

**ANNA RICE**

**Godzina Czarownic**

**The witching hour**

**Tom 1**

**Przełożyła: Anna Czajkowska**

**Wydanie polskie: 1994**

**TMN**

*I deszcz myślą barwiony,  
I uderzenie gromu będące przypomnieniem.*

*Stan Rice*

Doktor ocknął się, przerażony. Znowu przyśnił mu się ten stary dom w Nowym Orleanie. Raz jeszcze ujrzał kobietę w bujanym fotelu i mężczyznę z brązowymi oczami.

I nawet teraz, w cichym pokoju hotelowym, wysoko ponad Nowym Jorkiem, ogarnęły go znane uczucia: niepewność i lęk. Znowu rozmawiał z brązowookim mężczyzną. Tak, pomóż jej. *Nie, to tylko sen. Chcę się z niego obudzić.*

Doktor usiadł na łóżku. Ciszy nie mącił żaden dźwięk oprócz niskiego pomruku klimatyzatora. Dlaczego przyszło mu to do głowy teraz, w pokoju hotelu Parker Meridien? Przez moment nie mógł się otrząsnąć ze wspomnienia tego starego domu. Przed oczami miał tamtą kobietę – jej pochyloną głowę, pusty wzrok. Nieomal słyszał bzyczenie owadów objadających się o siatkę na starym ganku. Zaś mężczyzna o brązowych oczach mówił nie otwierając ust. Niby woskowa lalka obdarzona życiem...

*Nie. Przestań.*

Doktor wstał z łóżka, bezszelestnie przemierzył dywan i stanawszy przy nieskazitelnie białych zasłonach, popatrzył na czarne jak sadza dachy domów i światła neonów rozbłyskujące na ceglanych murach. Między chmurami widocznymi ponad przeciwległą ponurą, betonową fasadą prześwitywał już blask wczesnego poranka. Tu nie ma ani morderczego upału, ani usypiającego zapachu róż i gardenii...

Stopniowo zbierał myśli.

Raz jeszcze wrócił myślą do Anglika napotkanego przy barze w hotelowym hallu. To właśnie przywołało wspomnienia – słowa tego człowieka, który rzekł do barmana, iż właśnie przyjechał z Nowego Orleanu, i że to rzeczywiście miasto duchów. Tak, ów Anglik, sympatyczny człowiek, prawdziwy, zdawać by się mogło, dżentelmen ze Starego Świata, w wąskim garniturze w paski, z zegarkiem na złotym łańcuszku przymocowanym do kieszeni kamizelki. Gdzie w naszych czasach można spotkać kogoś podobnego? – o wyraźnej melodyjnej intonacji brytyjskiego aktora i jasnych, młodych oczach.

Wtedy, w hallu, doktor odwrócił się do niego i rzekł:

– Ma pan rację co do Nowego Orleanu. Ja sam widziałem tam ducha i to wcale nie tak dawno temu... – Potem przerwał, zawstydzony i wlepił wzrok w kryształowy kieliszek burbona, na którego dnie ostro załamywało się światło.

Brzęczenie much pośród lata; woń lekarstw. *Aż tyle thorazyny? Czy to aby nie pomyłka?*

Anglik jednakże wykazał pełne szacunku zaciekawienie. Zaprosił doktora na wspólny obiad. Powiedział, że zbiera takie opowieści. Przez moment doktor walczył z pokusą. Na zjeździe nie działo się nic ciekawego, a ten mężczyzna przypadł mu do gustu, wzbudził natychmiastowe zaufanie. Hall hotelu Parker Meridien był miłym, wesołym, pełnym światła, ruchu i ludzi miejscem, tak odległym od ponurego zakątka Nowego Orleanu, od tego spoczywającego w podzwrotnikowym upale, smutnego, starego miasta przeżartego sekretami.

Doktor jednak nie potrafił opowiedzieć tej historii.

– Jeśli kiedyś zmieni pan zdanie, proszę zadzwonić – rzekł Anglik. – Nazywam się Aaron Lightner. – Potem wręczył doktorowi wizytówkę, na której widniała nazwa jakiejś organizacji. – Zbieramy, jeśli można tak powiedzieć, historie o duchach – naturalnie te prawdziwe.

TALAMASCA

Obserwujemy

Zawsze jesteśmy w pobliżu

Było to osobliwe motto.

Tak, to właśnie przywołało wspomnienia. Aaron Lightner i jego dziwaczna wizytówka z europejskimi numerami telefonów, ten Anglik, człowiek wyruszający jutro na Wybrzeże, żeby się spotkać z mężczyzną z Kalifornii, który niedawno utonął i został przywrócony do życia. Doktor czytał o tej historii w nowojorskich gazetach – chodziło o jednego z tych typów, którzy przeżywają śmierć kliniczną i wracają ujrzawszy „światło”.

O tym topielcu też dyskutowali, doktor z Anglikiem.

– Widzi pan, on twierdzi, że zdobył zdolności parapsychiczne – wyjaśniał rozmówca. – A to nas oczywiście interesuje. Podobno pojawiają mu się obrazy, kiedy dotyka różnych przedmiotów gołymi rękami. My nazywamy to psychometrią.

Doktor był wyraźnie zaciekawiony. Sam słyszał o kilku podobnych pacjentach, zawałowcach, jeśli pamięć go nie zawodzi, którzy wrócili do życia, a jeden z nich twierdził nawet, że poznał przyszłość. „Życie po śmierci”. W pismach naukowych można znaleźć coraz więcej artykułów dotyczących tego fenomenu.

– Tak – potwierdził Lightner. – Ten temat został najlepiej zbadany przez lekarzy, szczególnie kardiologów.

– Był chyba parę lat temu taki film – przypomniał sobie doktor – o kobiecie, która powróciła z umiejętnością uzdrawiania. Bardzo wzruszający.

– Podchodzi pan do tego bez uprzedzeń – powiedział wyraźnie uradowany Anglik. – Na pewno nie chce mi pan opowiedzieć o swoim duchu? Marzę o tym, żeby tego posłuchać. Wylatuję dopiero jutro, przed południem. Ach, co bym dał, żeby usłyszeć pańską opowieść!

Nie, tylko nie to. W żadnym wypadku.

A teraz, samotny w pełnym cieni hotelowym pokoju, doktor znowu odczuwał lęk. Gdzieś tam, w Nowym Orleanie, w zakurzonej korytarzu cyka zegar. Zdawało mu się, że słyszy szuranie stóp swej pacjentki, kiedy

pielęgniarka wyprowadza ją na spacer. Znów miał w nozdrzach woń nowoorleańskiego domu w lecie: upał i stare drewno. A tamten mężczyzna mówi do niego...

\* \* \*

Nigdy, aż do owej wiosny w Nowym Orleanie, doktorowi nie zdarzyło się być w środku rezydencji pochodzącej sprzed wojny secesyjnej. Ów stary dom miał od frontu charakterystyczne białe, żłobione kolumnienki, wyglądające wspaniale, chociaż farba już z nich obłaziła. Mówiono o tym: styl klasycystyczny – długi fiołkowoszary budynek w mocno zacienionym, prawie ciemnym zakątku Dzielnicy Ogrodów, a przy frontowej bramie, niby strażnicy, dwa olbrzymie dęby. Ogrodzenie z ozdobnych prętów udekorowane było rozetami i girlandami pnączy – fioletowych wisterii, żółtego dzikiego wina i bugenwilli w jaskrawym, ciemnoróżowym kolorze.

Doktor lubił przystawać na marmurowych stopniach i spoglądać w górę, ku doryckim kapitelom, które były wieńczone przez te kwiaty o usypiającym zapachu. Wąskie, pełne kurzu snopy światła przebijały się między splątanymi gałęzmi. Pszczoły brzęczały w gęstwinie jaskrawozielonych liści zwisających pod gzymsem, z którego odpadała farba. Cóż z tego, że było tam ponuro i wilgotno?

Nawet spacer opustoszałymi ulicami zdawał mu się nęcący. Chadzał powoli po splekanych lub wyboistych chodnikach z cegieł układanych w jodełkę lub szarych płyt, pod ciągnącym się nieprzerwanie sklepieniem z dębowych gałęzi, gdzie światło wpadało jak chmara plamek, a niebo było zawsze osnute zielenią. Często zatrzymywał się przy największym drzewie, którego nabrzmiące korzenie wypchnęły w górę żelazne ogrodzenie. Jego pnia doktor nie zdołałby objąć ramionami, zaś gałęzie sięgały od chodnika aż do samego domu, niby pokrzywione ramiona wczepiające się w okiennice, natomiast liście wplątywały

się w kwitnące pnącza.

A jednak niepokoił go panujący tam rozkład. Pająki tkwały swe maleńkie skomplikowane siatki na rozetach ogrodzenia. Żelazo miejscami pordzewiało tak, że dotknięte rozsypywało się w proch. Tu i ówdzie w pobliżu balustrad drewniany ganek przegnił na wskroś.

I jeszcze ten stary basen, dalej za ogrodem – duży, wydłużony ośmiokąt obrzeżony kamiennymi płytami, który zmienił się już w bagnisko, pełne czarnej wody i dzikich irysów. Sam zapach był odrażający. W wodzie zaległy się żaby, których można było słuchać o zmierzchu, kiedy zaczynały swoje zgrzytliwe, okropne śpiewy. Smutek ogarniał na widok stojących po obu stronach basenu malutkich fontann, nadal tryskających strumieniami wody, które łukiem spadały w błoto. Doktor marzył o tym, aby ten basen osuszyć, wyczyścić – gotów był własnymi rękami oskrobywać ściany, gdyby zaszła potrzeba. Pragnął też zreperować złamaną balustradę i powyrywać chwasty z zarośniętych urn.

Nawet stare ciotki jego pacjentki – panna Carla, panna Millie i panna Nancy – miały w sobie coś, co przywodziło na myśl stęchliznę i gnicie. I nie chodzi tu o siwe włosy czy okulary w drucianych oprawkach. To była kwestia ich obejścia i zapachu kamfory, którym przesiąkły ich ubrania.

Kiedyś doktor zaszedł przypadkiem do biblioteki i zdjął z półki książkę. Ze szpary wyroiły się małe żuczki. Spłoszony, odstawił książkę z powrotem.

Założenie klimatyzacji wiele zmieniłoby. Ale stary dom był na to zbyt duży – a przynajmniej tak wtedy mówiono. Sufity wznosiły się aż na wysokość czterech metrów. Leniwe powiewy wiatru przynosiły ze sobą zapach pleśni.

Jednak jego pacjentka miała dobrą opiekę. To musiał przyznać. Uroczą czarną pielęgniarką o imieniu Viola wyprowadzała ją na osłonięty moskitierą ganek o poranku i zabierała wieczorem.

– Ona nie sprawia żadnych kłopotów, panie doktorze. No, szybciotko, panno Deirdre, proszę pokazać doktorowi, jak panienka chodzi – Viola unosiła kobietę z fotela i popychała ją cierpliwie, krok za krokiem.

– Mija siedem lat, jak się nią opiekuję, panie doktorze, to moja słodka dziewczynka.

Siedem lat w tym stanie. Nic dziwnego, że stopy kobiety zaczynały już wykrzywiać się w kostkach, a ramiona przywierały do klatki piersiowej, chyba że pielęgniarka na siłę ułożyła je na jej kolanach.

Viola oprowadzała kobietę w koło po długim salonie, obok harfy i fortepianu, obu pokrytych kurzem. Później szły do długiej, obszernej jadalni, ozdobionej wyblakłymi freskami, na których widać było omszałe dęby i uprawne pola.

Stopy w kapciach szurające po wytartym dywanie. Ta kobieta miała czterdzieści jeden lat, a wydawała się bardzo stara i młoda zarazem – zgarbione i blade dziecko, którego nie zbrukały troski i namiętności dorosłych. Deirdre, czy miałaś kiedyś kochanka? Czy kiedykolwiek tańczyłaś w tym salonie?

Na półkach biblioteki stały pamiątkowe książki, z których każda miała na grzbiecie datę wypisaną wyblakłym fioletowym atramentem: 1756, 1757, 1758... Na każdej było też rodowe nazwisko Mayfairów wytłoczone połączanymi literami.

Ach, te stare rody z południa, jakżeż on im zazdrościł ich dziedzictwa. To nie musiało się skończyć taką ruiną. I pomyśleć tylko, że on sam nie znał imion swoich pradziadków, ani ich pochodzenia.

Mayfairowie – klasyczna kolonialna rodzina. Na ścianach domu widniały obrazy przedstawiające mężczyzn i kobiety w strojach z osiemnastego stulecia; były tam też dagerotypy, ferrotypy i wyblakłe fotografie. W hallu, w brudnych ramkach pożółkła mapa San Domingo – czy to się dalej tak nazywa? I jeszcze poczerniały obraz, a na nim wielka plantatorska rezydencja.

A proszę tylko spojrzeć na klejnoty, które nosi jego pacjentka. Scheda rodzinna, niewątpliwie – ta staromodna oprawa. I cóż to za pomysł, żeby stroić w taką biżuterię kobietę, która od ponad siedmiu lat nie wypowiedziała ani słowa i nie poruszyła się o własnych siłach?



Pielęgniarka powiedziała mu, że nawet wtedy, kiedy kąpie pannę Deirdre, nie zdejmuje łańcuszka ze szmaragdowym wisiorkiem.

– Zdradzę panu pewien sekret, doktorze. Niech pan nigdy tego nie dotyka!

A dlaczego? – miał ochotę zapytać, ale nie powiedział ani słowa. Patrzył z niepokojem, jak pielęgniarka nakłada pacjentce rubinowe kolczyki i pierścionek z diamentem.

Zupełnie jakby ubierała trupa, pomyślał. Na zewnątrz ramiona ciemnych dębów pełzną w stronę zakurzonych okien, i ogród drży w tępych upale.

– A niech pan tylko spojrzy na jej włosy – mówiła opiekunka z lubością. – Widział pan kiedyś tak piękne?

Rzeczywiście były czarne, gęste, faliste i długie. Pielęgniarka uwielbiała je szczotkować, patrzeć, jak loki zsunąwszy się ze szczotki zwijają się na powrót. Oczy kobiety, mimo bezmyślnego wejrzenia, były błękitne i przejrzyste. Ale od czasu do czasu srebrzysta nitka śliny spływała z kącika jej ust, pozostawiając ciemną plamkę na przodzie nocnej koszuli.

– To cud, że nikt nie próbował ukraść tego wszystkiego – powiedział doktor na wpuł do siebie. – Ona jest taka bezradna.

Pielęgniarka obdarzyła go uśmiechem wyższości osoby dobrze poinformowanej.

– Nikt, kto pracował w tym domu, nie odważyłby się na coś takiego.

– Ale przecież ona godzinami siedzi na ganku sama. Widać ją z ulicy.

Odpowiedzią był śmiech.

– Niech pan się o to nie martwi, doktorze. Nikt w okolicy nie jest aż tak głupi, żeby wejść przez tę bramę. Staruszek Ronnie kosi trawnik, ale tylko dlatego, że robi to od zawsze, będzie już ze trzydzieści lat. No i przy tym Ronnie nie całkiem dobrze ma w głowie.

– Niemniej jednak... – Doktor sam sobie przerwał. I co ja najlepszego robię, rozmawiając w ten sposób w obecności tej milczącej kobiety, której oczy tylko od czasu do czasu wykonują drobny ruch, ręce leżą dokładnie tam, gdzie

umieściła je pielęgniarka, a stopy bezwładnie opierają się o podłogę. Jakże łatwo można się zapomnieć, nie pamiętać o należnym szacunku wobec tej tragicznej istoty. Nikt nie miał pojęcia, czy ta kobieta cokolwiek rozumie.

– Nie zaszkodziłoby czasami wyprowadzać ją na słońce – powiedział. – Jej skóra jest taka blada.

Wiedział jednak, że spacer po ogrodzie nie jest możliwy, nawet daleko od smrodu idącego z basenu. Kępy ciernistych bugenwilli wystrzelały tam spod dzikich wawrzynów. Tłuste cherubinki, pomazane szlamem, wyzierały niby duszki spod rozrośniętej werbeny.

A przecież kiedyś bawiły się tu dzieci.

Jedno z nich, chłopiec lub dziewczynka, wryło słowo „Lasher” na grubym pniu gigantycznej urokliny, która rosła przy dalekim ogrodzeniu. Głębokie rysy wypłowiwały tak, że jaśniały bielą na tle woskowej kory. Cóż to za dziwne słowo. A drewniana huśtawka wciąż wisi na gałęzi odległego dębu.

Doktor podszedł wtedy do owego samotnego drzewa i na chwilę przysiadł na huśtawce. Zardzewiałe łańcuchy skrzypnęły, a następnie poruszyły się, kiedy wepchnął stopę w zgniecioną trawę.

Południowe skrzydło domu wydawało mu się stąd kolosalne i przytłaczająco piękne; zdobiły je kwitnące pnącza, które pięły się, obok okien z zielonymi okiennicami, aż do podwójnego komina ponad drugą kondygnacją. Ciemne bambusy, poruszone wiatrem, postukiwały o otynkowane ściany. Bananowce o błyszczących liściach wyrosły tak wysokie i gęste, że tył ogrodu, aż do ceglanej ściany, zmienił się w dżunglę.

Ta posiadłość przypominała jego pacjentkę – piękna, lecz zapomniana przez czas, przez ludzką niecierpliwość.

Twarz kobiety nadal odznaczałaby się urodą, gdyby nie była tak zupełnie pozbawiona życia. Czy ona dostrzega delikatne fioletowe pęki wisterii, kiedy drżą przy oknach, czy widzi poskręcane sploty innych kwiatów? Czy potrafi sięgnąć wzrokiem między drzewami, aż do białego domu z kolumnkami na

drugiej stronie ulicy?

Pewnego razu wraz z nią i pielęgniarką wjechał na piętro dziwną, ale wciąż sprawną, małą windą o drzwiach z brązu, wyłożoną wytartym dywanem. Wyraz twarzy Deirdre pozostał nie zmieniony, kiedy niewielka kabina zaczęła się unosić. On sam struchlał, słysząc terkot maszynierii. Nie potrafił jej sobie wyobrazić inaczej, jak tylko jako coś poczerńiałego, lepkiego, bardzo starego i pokrytego kurzem.

Oczywiście wypytywał o to wszystko starego lekarza ze szpitala chorób psychicznych.

– Pamiętam, kiedy byłem w pańskim wieku – powiedział mu starszek – pragnąłem wyleczyć ich wszystkich. Chciałem przemawiać do rozumu paranoikom, schizofrenikom przywrócić poczucie rzeczywistości, obudzić katatoników. Synu, masz jej robić codziennie zastrzyk. I tyle tego. My robimy tylko, co w naszej mocy, żeby się czasami nie rozbrykała – no i jeszcze, wie pan, to podniecenie.

Podniecenie? I stąd te silne narkotyki? Nawet gdyby jutro przzerwano zastrzyki, minie miesiąc, zanim całkowicie ustąpi ich działanie. Stężenie było tak duże, że innego pacjenta mogłoby zabić. Do takiej dawki dochodzi się stopniowo.

Czy ktokolwiek zna prawdziwy stan tej kobiety, skoro tak długo podawano jej leki? Gdyby tylko mógł zrobić elektroencefalogram...

Zajmując się tym przypadkiem już od miesiąca, zwrócił się o udostępnienie kart choroby. Prośba była rutynowa. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Doktor spędził całe popołudnie przy swoim biurku w szpitalu zmagając się z gryzmołami innych lekarzy, z niejasnymi i sprzecznymi diagnozami – mania, paranoja, całkowite wyczerpanie, złudzenia, załamanie psychotyczne, depresja, próba samobójstwa. Najwyraźniej zaczęło się to już wtedy, kiedy była nastolatką. Nie, wcześniej nawet. Gdy miała dziesięć lat, ktoś badał ją, podejrzewając obłąd.

Gdzie są fakty w tym zalewie abstrakcji? W jednym miejscu, pod górami pisaniny odkrył informację, że Deirdre w wielu lat osiemnastu urodziła dziecko, musiała je oddać, potem zapadła na „ostrą paranoję”.

Czy właśnie dlatego leczono ją wstrząsami elektrycznymi w jednym zakładzie i szokiem insulinowym w innym? Co takiego zrobiła pielęgniarce, które jedna po drugiej odchodziły z powodu „fizycznych napaści”?

Któregoś dnia „uciekła”, potem została „oddana do zakładu wbrew swej woli”. Dalej zabrakło stron i powstała luka w dokumentacji obejmująca całe lata. „Nieodwracalne uszkodzenie mózgu” zanotowano w 1976. „Pacjentka odesłana do domu. Przepisano thorazyne, aby zapobiec paraliżowi; obłąd”.

Był to nieciekawny dokument – nie przedstawiał żadnej historii, nie odkrywał prawdy i w rezultacie wzbudził w nim zniechęcenie. Czy całe legiony lekarzy nie przemawiały już do niej tak, jak on teraz, siedząc obok niej na ganku?

– Piękny dzień, prawda, Deirdre? – Ach, ta tutejsza bryza, tak wonna. Zapach gardenii stał się nagle przytłaczający, ale pomimo to doktor uwielbiał go. Na moment przymknął oczy.

Czy ona go nienawidzi, czy też śmieje się z niego, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z jego obecności? Dopiero teraz dostrzegł w jej włosach kilka pasm siwizny. Rękę miała zimną, nieprzyjemną w dotyku.

Weszła pielęgniarka z niebieską kopertą zawierającą fotografię.

– Od twojej córki, Deirdre. Widzisz? Ona ma już 24 lata, Deirdre – Viola uniosła zdjęcie, żeby doktor również mógł popatrzeć. Blondynka na pokładzie wielkiego białego jachtu, włosy rozwiane wiatrem. Ładna, bardzo ładna. – „Zatoka San Francisco, 1983”.

W twarzy kobiety nie zaszła żadna zmiana. Opiekunka odgarnęła jej z czoła czarne włosy i wepchnęła fotografię doktorowi.

– Widzi pan tę dziewczynę? Ona też jest lekarką! – Tu kiwnęła mu głowę z wyrazem wyższości. – Studiuje medycynę, kiedyś będzie lekarką zupełnie tak jak pan, to święta prawda.

Czy to możliwe? Czy ta młoda kobieta nigdy nie przyjechała do domu, żeby zobaczyć własną matkę? Nagle poczuł do niej niechęć. Będzie kiedyś lekarką, a jakże.

Ile czasu minęło, odkąd jego pacjentka po raz ostatni miała na sobie suknię lub parę prawdziwych butów? Marzył o tym, żeby jej włączyć radio. Może muzyka sprawi jej przyjemność. Pielęgniarka miała przecież swoje opery mydlane; telewizor grał cały dzień w kuchni na tyłach domu.

W końcu przestał ufać pielęgniarkom, podobnie jak i ciotkom.

Ta wysoka, która wypisywała dla niego czeki – „panna Carla” – wciąż pracowała jako prawniczka, chociaż na pewno przekroczyła siedemdziesiątkę. Do swego biura na ulicy Carondelet i z powrotem jeździła taksówką, bo nie była już w stanie wspinać się na wysokie drewniane stopnie starego tramwaju. Pięćdziesiąt lat – powiedziała mu to kiedyś, gdy ją spotkał przy bramie – jeździła wszędzie tym tramwajem.

– O, tak – rzekła pewnego popołudnia Viola szcztokując włosy panny Deirdre bardzo delikatnie i powoli. – Panna Carla jest tu najmądrzejsza. Pracuje dla sędziego Fleminga. Jedna z pierwszych kobiet, które ukończyły szkołę prawniczą imienia Loyoli. Miała siedemnaście lat, kiedy poszła na studia. Stary sędzia McIntyre to jej ojciec, i ona była z niego taka dumna.

Panna Carla nigdy nie odzywała się do Deirdre, przynajmniej nie w obecności doktora. To ta zażywna ciotka, „panna Nancy”, odnosiła się do niej nieprzyjemnie – a przynajmniej tak mu się wydawało.

– Ludzie mówią, że panna Nancy nigdy nie miała okazji, żeby się uczyć – plotkowała pielęgniarka. – Zawsze siedziała w domu, opiekowała się innymi. Była tu jeszcze kiedyś stara panna Belle.

„Panna Nancy” sprawiała ponure, niemal prostackie wrażenie. Przysadzista, zaniedbana, zawsze w fartuchu, do pielęgniarki zwracała się jednak protekcjonalnym, sztucznym tonem. Kiedy patrzyła na Deirdre, po jej ustach zawsze błędził słaby szyderczy uśmiech.

No i jeszcze panna Millie, najstarsza ze wszystkich, która była ponoć jakąś kuzynką – typowa starsza dama w czarnych koronkach i sznurowanych butach. Pojawiała się i odchodziła, zawsze w wytartych rękawiczkach i małym czarnym słomianym kapelusiku z woalką. Zawsze miała dla doktora wesoły uśmiech i całusa dla Deirdre.

– Moja biedna kochana dziecinka – mówiła wtedy drżącym głosem.

Doktor natknął się kiedyś na pannę Millie stojącą na popękanych płytach przy basenie.

– Nie ma gdzie zaczynać od nowa, panie doktorze – powiedziała mu ze smutkiem.

Nie wypadało mu zaprzeczać, ale coś w nim zadrżało, kiedy usłyszał potwierdzenie tej tragedii.

– Ach, jak Stella lubiła tu pływać – mówiła staruszka. – To ona zbudowała ten basen, miała tyle planów i marzeń. Zainstalowała windę, wie pan. Oto właśnie jedna z tych rzeczy, które lubiła robić. A jakież wydawała przyjęcia. Ach, pamiętam setki ludzi w tym domu, stoły na calutkim trawniku, i tych muzykantów, którzy nam przygrywali. Pan jest za młody, doktorze, żeby pamiętać tę pełną życia muzykę. To Stella kazała uszyć draperie w podwójnym salonie. Teraz są już za stare, żeby je czyścić. Tak przynajmniej mi powiedziano. Rozsypią się, gdyby ktoś próbował je odnowić. I to właśnie Stella kazała tu ułożyć ścieżki z kamiennych płyt, dookoła całego basenu. Widzi pan, tak jak te stare płyty naprzeciwko i wzdłuż ściany... – Przerwała, wskazując w stronę dłuższego boku domu i dalej, ku odległemu patio zarosłemu chwastami. Zdawało się, że nie jest już w stanie powiedzieć ani słowa. Powoli uniosła wzrok w stronę wysokiego okna strychu.

Doktor miał ochotę zapytać, kim była owa dama.

– Biedna kochana Stella.

Doktor wyobraził sobie papierowe lampiony porozwieszane między drzewami.

Może one są po prostu za stare, wszystkie te kobiety. A ta młoda, studentka chyba, przeszło trzy tysiące kilometrów stąd...

Panna Nancy łajała milczącą Deirdre. Miała zwyczaj przyglądać się, jak pielęgniarka prowadzi pacjentkę, a potem krzyczeć jej do ucha:

– Podnoś nogi. Wiesz cholernie dobrze, że mogłabyś chodzić sama, gdybyś tylko chciała.

– Panienska Deirdre nie ma żadnych kłopotów ze słuchem – przerywała jej Viola. – Doktor powiedział, że widzi i słyszy znakomicie.

Kiedyś, gdy panna Nancy zamiatała korytarz na górze, próbował z nią porozmawiać, myśląc, że może w złości rzuci nieco światła na całą tę sprawę.

– Czy w jej zachowaniu zaszła kiedyś choćby najmniejsza zmiana? Czy ona kiedykolwiek mówi... chociaż jedno słowo?

Przez dłuższą chwilę kobieta przypatrywała mu się kątem oka. Pot połykiwał na jej okrągłej twarzy, na nosie czerwienił się ślad ciężkich okularów.

– Powiem panu, co ja chciałabym wiedzieć! – odrzekła. – Kto zajmie się Deirdre, kiedy nas już nie będzie! Myśli pan, że jej rozpieszczona córeczka z Kalifornii będzie się nią opiekować? Ta dziewczyna nie wie nawet, jak jej matka ma na imię. To Ellie Mayfair przysyła te zdjęcia – Nancy prychnęła. – Stopa Ellie nie powstała w tym domu od dnia, kiedy urodziło się to dziecko, a ona przyjechała je zabrać. Tylko na dziecku jej zależało, bo sama była bezpłodna i umierała ze strachu, że mąż ją opuści. On jest tam prawnikiem – to gruba ryba. Wie pan, ile Carla zapłaciła Ellie za zabranie dziecka? I za to, żeby dziewczyna nigdy nie wróciła do domu? Ach, tylko ją stąd zabierzcie – mówiła. – Tak to było. Zmusiła Ellie, żeby podpisała jakiś papier. – Kobieta uśmiechnęła się gorzko, wycierając ręce w fartuch. – Wysłali ją do Kalifornii z Ellie i Grahamem, żeby sobie tam mieszkała w pięknym domu nad zatoką San Francisco, oto co się stało z córką Deirdre.

Ach, a więc ta młoda kobieta o niczym nie wie, pomyślał, ale zachował to

dla siebie.

– A Carla i Nancy niech zostaną w domu i zajmą się wszystkim! – mówiła dalej kobieta. – Tak to już jest w tej rodzinie. Niech Carla wypisuje czeki, a Nancy niech gotuje i sprząta. Czy Millie zrobiła coś kiedykolwiek, u diabła? Ona tylko chodzi sobie do kościoła i modli się za nas wszystkich. Czy to nie wspaniałe? Z ciotki Millie jeszcze mniej pożytku niż kiedyś z ciotki Belle. Powiem panu, co ciotka Millie potrafi najlepiej. Pielęgnować kwiaty. Przycina czasem róże, te, które dziczeją w ogrodzie.

Nancy wybuchnęła głośnym, nieprzyjemnym śmiechem i minąwszy go, ruszyła do pokoju chorej, ściskając w dłoni zatłuszczony kijek szczotki.

– A wie pan, że pielęgniarki nie można poprosić o zamiecenie podłogi! O nie, do tego to one się nie zniżą. Może mi pan łaskawie wyjaśni, dlaczego pielęgniarka nie może zamieść podłogi?

W sypialni panowała czystość – była to chyba największa sypialnia w domu, wielki, przewiewny pokój z oknami wychodzącymi na północ. Popiół w marmurowym kominku. A na jakim łóżku spała chora! Był to jeden z owych masywnych mebli, jakie wykonywano pod koniec stulecia; wznosił się nad nim baldachim z orzechowego drzewa i pikowanego jedwabiu.

Woń wosku do podłóg i świeżego płótna wydała się doktorowi przyjemna, sam pokój jednak wypełniały okropne dewocjonałia. Na marmurowej serwantce stała kiczowata i odrażająca figurka Dziewicy z nagim czerwonym sercem na piersi. Obok leżał krucyfiks, a na nim pokręcone, wygięte ciało Chrystusa, wszystko w naturalnych kolorach, nawet ciemna krew ciekąca spod wbitych w dłonie gwoździ. Obok uschniętej palmy płonęły świece w czerwonych kieliszkach.

– Czy ona dostrzega te religijne cacka?

– Diabła tam! – odparła panna Nancy. Z szuflad serwantki rozszedł się zapach kamfory, kiedy kobieta doprowadzała do porządku ich zawartość. – Nie na wiele się to wszystko przydaje pod tym dachem.



Na mosiężnych rzeźbionych lampach umieszczono różańce; wisiały nawet na wyblakłych satynowych abażurach. Zdawać by się mogło, że od dziesięcioleci nic się tutaj nie zmieniło. Żółte koronkowe firany były sztywne i miejscami przegniłe. Kiedy padało na nie światło, zdawały się je przechwytywać, promieniując własnym, smolistym i ponurym blaskiem.

Na stoliku przy łóżku stała szkatułka z biżuterią. Otwarta. Zupełnie jakby jej zawartość nie była bezcenna, a przecież tak właśnie było. Nawet doktor, choć niewiele znał się na takich rzeczach, wiedział, że te klejnoty są prawdziwe.

Obok szkatułki stało zdjęcie owej ślicznej, jasnowłosej córki. Pod nim o wiele starsza i wyblakła fotografia tej samej dziewczynki, malutkiej, ale nawet wtedy uroczej. Na dole pospiesznie nabazgrane słowa. Zdołał tylko odczytać: „Szkoła w Pacific Heights, 1966”.

Kiedy dotknął pluszowej pokrywy szkatułki, panna Nancy odwróciła się i prawie na niego wrzasnęła:

– Niech pan tego nie rusza, doktorze!

– Dobry Boże, kobieto, nie sądzi pani chyba, że jestem złodziejem!

– Jest wiele rzeczy, których pan nie wie o tym domu i o tej chorej. Jak pan myśli, doktorze, dlaczego okiennice są całe popękane? Prawie wypadają z zawiasów? Albo dlaczego tynk obłazi z cegieł? – Zaciskając blade usta, Nancy potrząsnęła głową. Jej obwisłe policzki zadygotały. – Niech no tylko ktoś spróbuje naprawić te okiennice. Niech no tylko ktoś spróbuje wejść na drabinę i odmalować dom!

– Nie rozumiem pani – odrzekł.

– Niech pan nawet nie dotyka tych klejnotów, doktorze, oto co chciałam powiedzieć. Proszę nie ruszać tu niczego, jeśli pan nie musi. Ten basen w ogrodzie, na przykład. Cały zapchany liśćmi i śmieciem, ale fontanny wciąż leją do niego wodę, czy pan się kiedyś nad tym zastanawiał? Niech no pan tylko spróbuje zakręcić te kurki, doktorze!

– Ale kto...?

– Należy zostawić jej klejnoty w spokoju. Oto moja rada.

– Jeśli coś tu zmienię, czy to ją zmusi do mówienia? – zapytał odważnie, bo tracił już cierpliwość, a ta ciotka nie budziła w nim takiego lęku jak panna Carla.

Kobieta parsknęła śmiechem.

– Nie, jej to by do niczego nie zmusiło – odparła z nutą pogardy, zatrzaszczając drzwiczki etażerki. Szklane paciorki różańca zadzwoniły o małą figurkę Jezusa. – A teraz, jeśli mi pan wybaczy, muszę też posprzątać w łazience.

Doktor patrzył na brodatego Jezusa, który wskazywał palcem cierniową koronę wokół swego serca.

Być może one wszystkie są wariatkami. Być może on sam dostanie obłędu, jeśli nie wydobędzie się z tego domu.

\* \* \*

Pewnego razu, znalazłszy się samotnie w jadalni, znów zobaczył to słowo – Lasher – wypisane w kurzu, który grubą warstwą pokrywał stół. Zrobiono to chyba czubkiem palca. Duże L było wielkie, fantazyjne. I cóż to może oznaczać? Kiedy zjawił się tam następnego popołudnia, napis został już starty, a był to w rzeczy samej pierwszy raz, kiedy ktokolwiek poruszał tutaj kurz, w tym pokoju, gdzie srebrny serwis w kredensie zupełnie szerniał od śniedzi. Freski na ścianach wyblakły, jednakże gdy przyjrzał się im bliżej, zdołał dostrzec krajobraz plantacji – tak, ten sam dom, co na obrazie w korytarzu. Dopiero po dłuższej obserwacji żyrandola zdał sobie sprawę, że nigdy nie przystosowano go do elektryczności. Na lichtarzykach wciąż jeszcze leżał wosk. Ach, cóż to za smutne miejsce, ten stary dom.

W nocy, w swoim nowoczesnym mieszkaniu z oknami wychodzącymi na jezioro, doktor wciąż rozmyślał o chorej. Zastanawiał się, czy w łóżku leży z otwartymi oczami.

Może mam wobec niej obowiązek... Ale jeśli tak, to jaki? Jej lekarz jest szanowanym psychiatrą. Nie godzi się podawać w wątpliwość jego orzeczenia. Lepiej nie robić żadnych głupstw – takich jak zabranie jej na przejażdżkę po okolicy, czy wyniesienie na ganek radia. A może nawet zaprzestanie kuracji środkami uspokajającymi, żeby zobaczyć, co się wtedy stanie?

A mógłby nawet chwycić za telefon i zadzwonić do córki, tej studentki medycyny. *Zmusiła Ellie, żeby podpisała jakiś papier.* Dwudziestoczteroletnia dziewczyna jest chyba dość dorosła, aby się dowiedzieć paru rzeczy o własnej matce.

Nawet zdrowy rozsądek nakazuje przerywać od czasu do czasu kurację Deirdre. A może by tak dokonać całkowicie nowej oceny? Musiał przynajmniej złożyć taką propozycję.

– Niech pan po prostu robi jej te zastrzyki – powiedział mu stary lekarz. – I posiedzi z nią codziennie przez godzinę. Tylko tego się od pana wymaga. – Usłyszał ledwo wyczuwalny chłód w głosie. Stary głupiec!

Nic dziwnego, że tak się ucieszył owego popołudnia, kiedy po raz pierwszy zobaczył, że chorą odwiedza jakiś mężczyzna.

Był to początek września i wciąż było ciepło. Minąwszy bramę, doktor dostrzegł na ganku obok Deirdre mężczyznę, który najwyraźniej mówił coś do niej, trzymając rękę na oparciu krzesła.

Wysoki, dość szczupły młody człowiek o kasztanowych włosach.

Doktor poczuł ukłucie dziwacznej zazdrości. Nieznany mu mężczyzna z jego chorą. A jednak nie mógł się doczekać spotkania z nim. Może wytłumaczy mu to, czego nie potrafiły wytłumaczyć kobiety. Z pewnością był to jej przyjaciel. Fakt, że stanął tak blisko, sposób, w jaki pochylał się nad milczącą Deirdre – w tym wszystkim znać było zażyłość.

Ale kiedy doktor wyszedł na ganek, nie było tam żadnego gościa. Nie znalazł też nikogo we frontowych pokojach.

– Wie pani, przed chwilą widziałem tu mężczyznę – oznajmił pielęgniarka,

kiedy weszła do pokoju. – Rozmawiał z panną Deirdre.

– Ja go nie widziałam – odparła niedbale Viola.

Panna Nancy, którą znalazł w kuchni przy obieraniu grochu, mierzyła go wzrokiem przez dłuższą chwilę, a potem potrząsnęła głową, wysuwając brodę. – Nie słyszałam, żeby ktokolwiek wchodził.

No, i czyż to nie koszmar? Musiał jednak przyznać, że widział go tylko przez moment – mężczyzna mignął mu za moskitierą. Ale nie, przecież naprawdę go tam zobaczył!

– Gdybyś do mnie przemówiła – powiedział Deirdre, kiedy byli sami, przygotowując się do zastrzyku. – Gdybyś tylko zechciała mi powiedzieć, że pragniesz mieć gości, jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie... – Jej ramię było takie chude. Kiedy zerknął na nią trzymając przygotowaną igłę, patrzyła wprost na niego!

– Deirdre?

Serce waliło mu w piersiach.

Oczy chorej uciekły w lewo i po chwili znów utkwiała wzrok przed siebie, milcząca i apatyczna jak poprzednio. Upał, który doktor zdążył już polubić, nagle wydał mu się uciążliwy. Zakręciło mu się nawet w głowie, zupełnie jakby miał za chwilę zemdleć. Za poczerniałą, zakurzoną siatką chodnik zdawał się poruszać.

Do tego dnia nigdy w życiu nie stracił przytomności i kiedy się nad tym zastanawiał, a raczej próbował się nad tym zastanawiać, zdał sobie sprawę, że rozmawiał z tajemniczym mężczyzną... tak, on jest tutaj, to znaczy wie, w tej chwili go nie ma, ale był tu dopiero co. Prowadzili nawet rozmowę, a teraz doktor zupełnie zgubił wątek... chociaż nie, nie tak, chodzi o to, że nagle nie mógł sobie przypomnieć, jak długo gawędzili – i czy to nie dziwne, że mówili ze sobą przez cały ten czas, a on nie potrafi odtworzyć w pamięci początku tego wszystkiego.

Próbował zebrać myśli i przyjrzeć się dokładniej swojemu rozmówcy... tylko

co on przed chwilą powiedział? Miał zupełny mętlik w głowie – przecież nie ma tu nikogo, z kim mógłby zamienić choćby jedno zdanie, nikogo oprócz niej, a jednak właśnie przed chwilą odpowiedział ciemnowłosemu mężczyźnie: naturalnie, trzeba przerwać zastrzyki... nie sposób wątpić w zasadność tej decyzji, a stary lekarz... („Tak, to głupiec!”, zgodził się mężczyzna o kasztanowych włosach)... będzie musiał go posłuchać!

To wszystko jest potworne – jeszcze ta córka w Kalifornii.

Doktor otrząsnął się i wstał. Co się stało? Zasnął siedząc w wiklinowym fotelu. Coś mu się śniło. W uszach miał brzęczenie pszczoł, które stało się nagle niepokojąco głośne; woń gardenii nagle wydała mu się odurzająca. Jego wzrok poszybował ponad balustradą w lewo, w kierunku patio. Czy coś się tam poruszyło?

To tylko gałęzie drzew, przez które przemknął powiew wiatru. Widział to już chyba z tysiąc razy, ten uroczy taniec, w którym jedno drzewo zdaje się podawać wiatr drugiemu. I ten rozkoszny wszechogarniający upał. Żadnych więcej zastrzyków! Ona się boi.

Tuż przed nim duży tropikalny motyl powoli i niezgrabnie wspinał się po moskitierze. Wspaniałe skrzydła. Stopniowo jednak uwaga doktora skupiła się na korpusie owada, malutkim, lśniącym, czarnym. Motyl przemienił się w jakiegoś robaka – ohyda!

– Muszę wracać do domu – powiedział na głos nie zwracając się do nikogo.  
– Czuję się nie najlepiej, chyba powinienem się położyć.

Imię tajemniczego mężczyzny. Jak ono brzmi? Jeszcze przed chwilą miał je w pamięci, takie nadzwyczajne imię – ach, a więc stąd to słowo, ty jesteś... – faktycznie bardzo piękne – nie, chwileczkę. To się dzieje znowu. Nie pozwolę na to!

– Panno Nancy! – doktor zerwał się z fotela.

Chora patrzyła w przestrzeń, nie zmieniona; ciężki szmaragdowy wisior lśnił na jej koszuli. Cały świat pełen był zielonego światła, drżących liści,

rozmazanych konturów bugenwilli.

– Tak, ten upał – szepnął doktor. – Czy zrobiłem jej zastrzyk? Dobry Boże. Na dodatek upuścił strzykawkę, a ona się stłukła.

– Wołał mnie pan, doktorze? – odezwała się panna Nancy. Oto i ona, stoi w drzwiach salonu, wlepiając w niego oczy i wycierając ręce o fartuch. Murzynka też tam stała, a za nią pielęgniarka.

– Nic, nic, to tylko ten upał – wyszeptał. – Upuściłem ją, upuściłem strzykawkę. Naturalnie mam jeszcze jedną.

Jakże one na niego patrzyły, jak go obserwowały. Myślicie, że ja też wariuję?

W następny piątek po południu jeszcze raz zobaczył tajemniczego mężczyznę.

Tego dnia miał dodatkową pracę w szpitalu i spóźnił się. Ulicę Pierwszą przebył biegiem wśród wczesnego jesiennego zmierzchu; nie chciał przeszkadzać rodzinie pacjentki w czasie obiadu. Biegł jeszcze, kiedy znalazł się przy bramie.

Mężczyzna stał w cieniu przy ganku. Oparty ramieniem o frontową kolumnę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, patrzył na doktora dużymi ciemnymi oczami, jakby był zatopiony w myślach.

– Ach, więc tu pan jest – mruknął doktor głośno. Westchnienie ulgi. Podchodząc do schodów wyciągał już dłoń. – Jestem doktor Petrie. Jak się pan miewa?

A wtedy – jak to opisać? Po prostu nikogo już tam nie było.

– Dalibóg, ja wiem, że to się zdarzyło! – poinformował w kuchni pannę Carlę. – Zobaczyłem go na ganku, a on po prostu rozpułynał się w powietrzu.

– To, co pan zobaczył, to nie pański interes – odparła kobieta Osobliwy dobór słów. Jakaż twarda z niej dama. Starość nie przyniosła ze sobą niemocy. Stała wyprostowana w granatowym kostiumie z gabardyny, patrząc na niego groźnie zza okularów w drucianej oprawie, zacisnąwszy usta w cienką linię.

– Panno Carlo, widziałem tego mężczyznę z moją pacjentką. A ona, jak wszyscy wiemy, jest bezbronną kobietą. Jeśli nieznana osoba wchodzi i wychodzi z tej posiadłości...

Ale słowa nie miały żadnego znaczenia. Nie wierzyła mu, albo nic jej to nie obchodziło. Panna Nancy, siedząca przy kuchennym stole, ani razu nawet nie podniosła oczu znad talerza, z hałasem nabierając jedzenie na widelec. Za to wyraz twarzy panny Millie, o, to było coś – stara panna Millie wyraźnie się przejęła, a jej oczy wciąż latały ku Carli i z powrotem.

Co za rodzina!

Zdenerwowany wkroczył do zakurzonej windy i nacisnął czarny guzik na mosiężnej tablicy.

Pluszowe draperie były zaciągnięte i w sypialni panowała ciemność; małe świece skwierczały w czerwonych kieliszkach. Na ścianie podrygiwał cień Dziewicy. Z początku doktor nie mógł znaleźć wyłącznika. A kiedy go wreszcie namacał, tylko jedna mała żarówka zapłonęła w lampie przy łóżku. Otwarta szkatułka stała tuż obok lampy. Cóż za efektowny przedmiot.

Dostrzegłszy kobietę leżącą na łóżku z otwartymi oczami, poczuł ucisk w gardle. Jej czarne, rozczesane włosy spoczywały na poplamionej powłoczce. Policzki chorej zabarwiły się kolorem, którego przedtem na nich nie widywał.

Czy jej wargi się poruszają?

– Lasher...

Słowo zostało wypowiedziane szeptem. Co powiedziała? Ach, „Lasher”, czy nie tak? Imię, które widział na pniu drzewa i na zakurzonym stole w jadalni. Ktoś mu już o nim wspominał... Stąd właśnie wiedział, że to imię. Katatoniczka, która mówi – na myśl o tym zimne ciarki przebiegły mu po plecach. Nie, z pewnością mu się wydawało. Tak bardzo pragnął, żeby to się zdarzyło – taka zmiana w stanie chorej. Teraz leży przecież nieświadoma, jak zawsze. Dawka aplikowanej thorazyny jest tak duża, że kogoś innego mogłaby zabić...

Postawił torbę obok łóżka. Ostrożnie napełnił strzykawkę, myśląc

jednocześnie nie po raz pierwszy: może by tego nie robić, może zmniejszyć ilość o połowę, o trzy czwarte, może nie dać nic, a potem usiąść przy niej i patrzeć, a wtedy, kto wie... Oczami wyobraźni ujrzał, jak ją podnosi i wynosi z domu. Zobaczył siebie, jak wywozi Deirdre na wieś. Trzymając się za ręce szli ścieżką pośród trawy, aż dotarli do grobli nad rzeką. Tam ona uśmiechnęła się do niego, a jej włosy rozwiewał wiatr...

Cóż za nonsens. Już wpół do siódmej, a więc bardzo spóźnił się z zastrzykiem. Strzykawka była przygotowana.

Nagle coś go popchnęło. Tego był pewien, choć nie potrafiłby powiedzieć, jak to się stało. Nogi się pod nim ugięły i upadł, a strzykawka poleciała na ziemię.

Kiedy przyszedł do siebie, klęczał w półmroku pokoju, wpatrzony w kłębki kurzu, które zebrały się na podłodze pod łóżkiem.

– Co u diaska... – zaklął na głos, zanim zdołał się powstrzymać. Nigdzie nie mógł dostrzec strzykawki. Wreszcie zobaczył ją, parę metrów dalej, za szafą. Była złamana, strzaskana, zupełnie jakby ktoś na nią nadepnął. Cała dawka thorazyny wyciekła ze zmiażdżonej plastikowej fiolki na nagie deski.

– No nie, chwileczkę! – wyszeptał. Podniósł strzykawkę i stał patrząc na zniszczony przyrząd spoczywający w jego ręku. Naturalnie miał inne, ale to już drugi raz, kiedy podobna rzecz... Nagle znów stał. Znalazł się przy łóżku, patrząc w dół na nieruchomą kobietę, myśląc: a więc jak dokładnie to się... To znaczy, co się tu dzieje, na Boga?

Nagle oblało go intensywne gorąco. W pokoju coś się ruszało, cicho postukując. Ach, to tylko koraliki owiniętego wokół lampy różańca. Doktor otarł pot z czoła. Potem, bardzo powoli, zaczął sobie uprzytamniać, że przez cały czas, kiedy on przyglądał się Deirdre, po drugiej stronie łóżka stała jakaś postać. Dostrzegł ciemne ubranie, kamizelkę, płaszcz z czarnymi guzikami. Potem jego oczy powędrowały wyżej i doktor rozpoznał tajemniczego mężczyznę.

W ułamku sekundy jego niedowierzanie przeszło w strach. Tym razem myśli



mu się nie plątały, cała scena nie wydawała się nierealna jak sen. Mężczyzna był tam, patrzył na niego. A potem po prostu zniknął. W pokoju powiało chłodem. Podmuch wiatru poruszył draperie i wtedy doktor zorientował się, że krzyczy, a jeśli chodzi o ścisłość, wrzeszczy na całe gardło.

\* \* \*

O dziesiątej tego samego wieczora Deirdre nie była już jego pacjentką. Stary psychiatra przyjechał aż do jego domu z widokiem na jezioro, żeby mu to powiedzieć osobiście. Razem poszli nad wodę i przechadzali się po wybetonowanym nabrzeżu.

– Z tymi starymi rodzinami nie ma dyskusji. Inie radzę panu narażać się Carolcie Mayfair. Ta kobieta zna wszystkich. Zdumiałby się pan, gdyby wiedział, jak wiele osób ma dług wdzięczności za to lub owo, wobec niej lub wobec sędziego Fleminga. Zaś do tych ludzi należy prawie całe miasto, więc jeśli pan by chciał...

– Przysięgam, że to widziałem! – odparł doktor.

Ale stary psychiatra zbyt go niczym. Kiedy mierzył wzrokiem młodszego kolegę, w jego oczach znać było ledwo skrywaną podejrzliwość, choć uprzejmy ton głosu nie zmienił się ani na chwilę.

– Wie pan, te stare rodziny – powtórzył.

Nigdy już nie wolno mu było odwiedzić tego domu.

Doktor nie powiedział ani słowa więcej. Po prawdzie czuł się głupio. Nie był przecież człowiekiem, który wierzy w duchy! W tej chwili nie mógł się jednak zdobyć na to, żeby w inteligentny sposób przedstawić sprawę samej chorej, jej zdrowia, potrzeby okresowej oceny jej stanu. Jego wiara w siebie legła w gruzach.

A mimo to był pewien, że widział tę postać. I to trzy razy. Nie mógł też zapomnieć owego popołudnia, kiedy miała miejsce ta mglista, wymaginowana

rozmowa. Tajemniczy mężczyzna był tam, owszem, choć zdawał się nierealny. A on znał również imię tego człowieka i, naturalnie, brzmiało ono... Lasher!

Jednakże nawet gdyby nie brać pod uwagę tej wyśniewanej konwersacji, obarczyć winą za nią spokój panujący w domu, ten piekielny upał i wyrzeźbane na pniu drzewa słowo, którym doktor się zasugerował – nie można przecież lekceważyć faktu, że to zdarzyło się trzy razy. Widział tam materialną, żywą istotę. Nikt nigdy nie zdołał go zmusić, żeby temu zaprzeczył.

W miarę jak mijały tygodnie, a praca w szpitalu nie wystarczała, by odciągnąć jego myśli od przeszłości, doktor zaczął zapisywać swoje wcześniejsze przeżycia, notując najdrobniejsze szczegóły. Kasztanowe włosy tajemniczego mężczyzny były lekko faliste. Oczy duże. Skóra równie biała jak u tej biednej chorej kobiety. Był młody, miał najwyżej dwadzieścia pięć lat. Na twarzy nie odznaczał się żaden szczególny wyraz. Doktor pamiętał nawet jego ręce. Nie było w nich nic specjalnego, ot, normalne, ładne ręce. Uderzyło go również, że młodzieniec, chociaż chudy, był wyjątkowo zgrabnie zbudowany. Tylko ubranie zdawało się dziwne i to nie z powodu fasonu, który był całkiem zwyczajny. Chodziło raczej o strukturę materiału. Podobnie jak twarz mężczyzny, był niewytłumaczalnie gładki. Miało się wrażenie, jakby cała postać – ubranie, ciało, twarz – powstała z tego samego surowca.

Pewnego poranka doktor ocknął się z jedną osobliwą wyraźną myślą: tajemniczy mężczyzna nie chciał, aby Deirdre zażywała środków uspokajające! Wiedział, że to jej szkodzi. Ona sama była naturalnie bezradna; nie mogła przemówić w swojej obronie. Widmo starało się ją chronić!

Ale kto, na Boga, gotów byłby w to wszystko uwierzyć? – myślał doktor. Wolałby być teraz w domu, w Maine, pracować w klinice ojca, a nie w tym wilgotnym, obcym mieście. Ojciec by go zrozumiał. Chociaż pewnie nie – przeląkłby się tylko.

Próbował więc zatopić się w pracy. Ale, mówiąc szczerze, w szpitalu panowała nuda i niewiele miał tam do roboty. Stary psychiatra przydzielił mu

kilka nowych przypadków, ale żaden z nich nie był jakoś szczególnie interesujący. Mimo to musiał pracować dalej, żeby z umysłu swego przełożonego wymazać najmniejszy ślad podejrzeń.

W miarę jak jesień skłaniała się ku zimie, doktor zaczął śnić o Deirdre. Widział ją wyleczoną, pełną życia, kroczącą żwawo ulicami miasta, z włosami powiewającymi na wietrze. Czasem, kiedy budził się z takiego snu, zastanawiał się, czy biedna kobieta nie umarła. To było już bardziej prawdopodobne.

Kiedy nadeszła wiosna, a on miał już za sobą cały rok spędzony w Nowym Orleanie, poczuł, że musi raz jeszcze zobaczyć dom Mayfairów. Dojechał więc tramwajem do alei Jacksona, a stamtąd ruszył piechotą, jak to zazwyczaj robił w przeszłości.

Dom wyglądał zupełnie tak samo – wokół ganków ukwiecone cierniste bugenwille, w zarośniętym ogrodzie chmary małych białych motyli, małe pomarańczowe kwiatki lantany przepychające się między czarnymi prętami ogrodzenia.

A na ganku, za zasłoną z pordzewiałych siatek, Deirdre w bujanym fotelu.

Doktor poczuł troskę, która zaciążyła mu jak ołów. Przez całe życie chyba jeszcze nic nie przysporzyło mu takiej zgryzoty. Ktoś musi coś zrobić dla tej kobiety.

Później włóczył się bez celu, dotarłszy wreszcie do brudnej i ruchliwej ulicy. Tam wpadła mu w oko nędzna lokalna knajpa. Wszedł do środka, z wdzięcznością witając lodowaty powiew wentylatora i względny spokój, w którym tylko kilku starych mężczyzn ściszonymi głosami rozmawiało przy barze. Doktor zaniósł swój kieliszek do ostatniego drewnianego stolika przy ścianie.

Stan Deirdre Mayfair nie dawał mu spokoju. Tajemnicza zjawia jeszcze pogarszała sprawę. Przyszła mu na myśl owa córka z Kalifornii. Czy odważyłby się do niej zadzwonić? Porozmawiać jak lekarz z lekarzem... Ale przecież nie zna nawet imienia tej dziewczyny.

– Poza tym nie masz prawa się wtrącać – wyszeptał na głos. Upił łyk piwa, rozkoszując się jego chłodem. – Lasher – szepnął. Skoro już o imionach mowa, cóż to za imię: Lasher? Ta studentka z Kalifornii uznałaby go za wariata. Pociągnął kolejny głęboki łyk.

Nagle wydało mu się, że w barze robi się coraz cieplej. Zupełnie jakby ktoś otworzył drzwi, przez które do środka wtargnął pustynny wiatr. Nawet starszankowie rozprawiający nad piwem zdawali się to dostrzegać. Doktor zauważył, jak jeden z nich nagle ociera twarz brudną chustką, a potem wraca do przerwanej tyrady.

A potem, kiedy unosił szklankę, zobaczył tajemniczego młodzieńca, który siedział na wprost niego, przy stoliku obok drzwi wychodzących na ulicę.

Ta sama woskowa twarz, te same brązowe oczy i niczym się nie wyróżniające ubranie o niezwyklej strukturze, tak gładkie, że aż słabo lśniło w przyćmionym świetle baru.

Chociaż mężczyźni w pobliżu nie przerywali rozmowy, doktor poczuł znany już, przeszywający strach, który odczuł kiedyś w mrocznym pokoju Deirdre Mayfair.

Mężczyzna siedział zupełnie nieruchomo, nie odrywając od niego wzroku. Dzielilo go od doktora nie więcej niż sześć metrów.

Jasne światło dnia dochodzące z frontowych okien baru padało całkiem wyraźnie ponad jego ramieniem, oświetlając jedną stronę twarzy.

On tam naprawdę jest. Do ust doktora napłynęła ślina. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Zdawało mu się, że lada moment straci przytomność. Wszyscy pomyślą, że się tutaj upił. Bóg jeden raczy wiedzieć, co się wydarzy... Usiłował powstrzymać drżenie ręki ściskającej szklankę. Starał się nie ulec całkowicie panice, tak jak kiedyś w pokoju Deirdre.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, tajemniczy mężczyzna zafalował, zupełnie jakby był tylko wyświetlonym na ekranie obrazem, a potem, na oczach doktora, zniknął. Przez bar przemknął zimny powiew.

Barman odwrócił się, aby złapać brudną serwetkę, której o mało nie uniósł wiatr. Gdzieś trzasnęły drzwi. Rozmowy chyba zabrzmiały głośniejsze. Doktor poczuł w głowie słaby pulsujący ból.

– Wariuję! – wyszeptał.

Po tym wydarzeniu żadna siła na ziemi nie zmusiłaby go, aby zaszedł w pobliże domu Deirdre Mayfair.

Jednakże następnej nocy, kiedy jechał do swego domu, znów zobaczył tajemniczego mężczyznę; stał on pod uliczną latarnią przy cmentarzu na bulwarze Przy Kanale, wyraźnie widoczny w jej żółtym świetle na tle kredowobiałego cmentarnego muru.

Doktor widział go jedynie przez mgnienie oka, wiedział jednak, że się nie pomylił. Chwyciły go gwałtowne dreszcze i przez chwilę zdawało mu się, że nie pamięta, do czego służą urządzenia w samochodzie. Potem pojechał dalej, na oślep, bezmyślnie, tak jakby mężczyzna go ścigał. Poczucie bezpieczeństwa odzyskał dopiero wtedy, kiedy zamknął za sobą drzwi mieszkania.

W następny piątek ujrzał mężczyznę w biały dzień, stojącego nieruchomo na trawniku na placu Jacksona. Przechodząca kobieta odwróciła głowę, aby przypatrzeć się ciemnowłosej figurze. Tak, on tam naprawdę jest, tak samo jak przedtem! Doktor wracał biegiem uliczkami dzielnicy irlandzkiej. Znalazłszy taksówkę przed wejściem do hotelu, kazał kierowcy, żeby go stamtąd zabrał, gdziekolwiek, nieważne gdzie.

W miarę jak dni mijały, jego lęk przeszedł w przerażenie. Nie jeść ani spać. Nie potrafił się skupić. Ponury nastrój nie opuszczał go ani na chwilę. Z niemą wściekłością patrzył na starego psychiatrę, kiedy tylko ich ścieżki się krzyżowały.

W jaki sposób, na Boga, mógłby wyjaśnić temu monstrum, że nie zamierza się zbliżyć do tej żalostnej kobiety siedzącej na ganku? Żadnych więcej igieł, żadnych zastrzyków! Czy nie widzisz, że już nie jestem waszym wrogiem!

Poprosić o radę lub zrozumienie któregośkolwiek ze znajomych znaczyłoby

narazić na szwank reputację, może nawet przyszłość w tym zawodzie. Psychiatra, który oszalał, podobnie jak jego pacjenci. Doktor był zrozpaczony. Musi uciec przed tą istotą. Kto wie, kiedy znów mu się ukaże? A jeśli zjawi się tu, w tych pokojach, co wtedy?

Wreszcie w poniedziałkowy poranek, mając rozstrojone nerwy i drżące ręce, pojawił się w gabinecie starego psychiatry. Nie zdecydował się jeszcze, co powie, oprócz tego, że dłużej nie wytrzyma ciężaru pracy. I zanim się zorientował, już się rozgadał na temat tropikalnych upałów, bólów głowy, bezsennych nocy i tego, jak ważne jest, aby jego rezygnacja została szybko przyjęta.

Wyjechał z Nowego Orleanu jeszcze tego samego popołudnia.

Gdy był już bezpieczny w biurze swego ojca w Portland, w stanie Maine, wtedy dopiero wyjawiał całą historię.

– W jego twarzy nigdy nie widziałem groźby – wyjaśniał. – Wręcz przeciwnie. Co osobliwe, nie miała ani jednej zmarszczki. Była równie pozbawiona wyrazu jak oblicze Chrystusa na portrecie, który wisiał u niej na ścianie. Ta istota po prostu patrzyła się na mnie. Ale przecież nie chciała, żebym zrobił chorej zastrzyk! Próbowwała mnie odstraszyć.

Ojciec doktora był człowiekiem cierpliwym. Nie odpowiedział od razu. Potem bez pośpiechu zaczął mówić o wszystkich dziwnych zdarzeniach, których sam był świadkiem w szpitalach psychiatrycznych – kiedy to lekarze najwyraźniej zarażali się od swoich pacjentów ich neurozami i psychozami. Pewnego razu widział nawet, jak pośród katatoników lekarz sam zapadł w katatoniczny sen.

– Najważniejsze, żebyś wypoczął, Larry – stwierdził ojciec. – To pozwoli osłabnąć wpływom tej przygody. I żebyś tylko nikomu innemu o tym nie mówił.

Mijały lata. Praca w Maine przebiegała bez zarzutu. Doktor Larry Petrie stopniowo doszedł do solidnej praktyki zupełnie niezależnie od ojca.

Jeśli zaś chodzi o widmo, zostawił je za sobą w Nowym Orleanie, wraz ze

wspomnieniem Deirdre Mayfair, wiecznie siedzącej w bujanym fotelu.

A mimo to pozostała w nim obawa, że pewnego dnia, tu czy tam, znów zobaczy dziwną istotę. Lękał się, że skoro coś takiego zdarzyło się raz, może się powtórzyć z zupełnie innych przyczyn. W trakcie owych czarnych dni w pełnym wilgoci Nowym Orleanie doktor poznał smak prawdziwego przerażenia i jego wizja świata zmieniła się bezpowrotnie.

\* \* \*

A teraz, stojąc przy oknie w mrocznym hotelowym pokoju w Nowym Jorku, Petrie zdał sobie sprawę, że cała ta historia na powrót zaczyna, go przytłaczać. Znów analizował tę dziwną opowieść, choć robił to już tysiące razy. Poszukiwał w niej głębszego znaczenia.

Czy ta istota naprawdę go śledziła, czy też źle odczytał intencje milczącego widma?

Może mężczyzna wcale nie starał się go przestraszyć. Może w rzeczywistości błagał go, aby nie zapominał o tej kobiecie! Niewykluczone, że było to jakieś dziwaczne odzwierciedlenie pełnych rozpaczmyśli Deirdre, obraz przesłany mu przez umysł, który nie znał żadnych innych sposobów porozumiewania się?

Ach, to wytłumaczenie nie przynosiło mu ulgi. Co za okropna wizja: ta bezradna kobieta błagająca go o pomoc za pośrednictwem widmowego wysłannika, który z nieznanых przyczyn nie mógł mówić, a tylko pojawiał się na krótką chwilę.

Ale któż potrafiłby wyjaśnić tę tajemniczą materię? Kto odważyłby się przyznać, że doktor ma rację?

Aaron Lightner, Anglik, zbieracz historii o duchach, który wręczył mu wizytówkę z nazwą: Talamasca? W barze mówił, że chce pomóc niedoszłemu topielcowi z Kalifornii. „Może on nie wie, że to się zdarzało innym. Jestem tam

potrzebny, aby mu powiedzieć, że są ludzie, którzy także, znalazłszy się na granicy śmierci, powracali z podobnym darem”.

Tak, to by pomogło. Świadomość, że inni również widywali duchy?

Jednak widok zjawy nie był tu najstraszniejszy. Coś gorszego niż lęk przywiodło go z powrotem do tego ganku i siedzącej na nim wymizerowanej kobiety. To poczucie winy, którą będzie ze sobą nosił całe życie – że nie starał się bardziej, aby jej pomóc, że nigdy nie zadzwonił do jej córki, przebywającej gdzieś tam na zachodzie. Nad miastem rozjarzało się światło poranka. Doktor patrzył, jak zmienia się niebo, jak delikatna jasność okrywa brudną ścianę naprzeciw. Potem podszedł do schowka i wyciągnął z kieszeni płaszcz wizytówkę Anglika.

## TALAMASCA

Obserwujemy

Zawsze jesteśmy w pobliżu

Doktor podniósł słuchawkę.

\* \* \*

Opowieść zajęła mu godzinę, co przyjął z zaskoczeniem, ale wszystkie szczegóły hurmem tłoczyły mu się do głowy. Zupełnie nie przeszkadzał mu mały magnetofon i jego błyskające czerwone światełko. Ostatecznie nie podawał żadnych nazwisk, numerów ulic, nawet dat. Nowy Orlean, stary dom, tak powiedział. A potem mówił, i mówił, i mówił. Teraz zdał sobie sprawę, że nawet nie tknął śniadania, jeśli nie liczyć kawy, której filiżanki opróżniał raz za razem.

Lightner okazał się doskonałym słuchaczem – odpowiadał z umiarkowaniem, nigdy nie przerywał. Mimo to doktor nie poczuł się lepiej. Kiedy skończył opowieść, było mu w zasadzie głupio. Patrząc, jak Lightner zabiera mały magnetofon i wkłada go do teczki, omal nie poprosił o oddanie



taśmy.

To Lightner, kładąc kilka banknotów na rachunku, wreszcie przerwał milczenie.

– Muszę panu coś wyjaśnić – powiedział. – Wydaje mi się, że to przyniesie panu ulgę.

Czy cokolwiek mogłoby mu ulżyć?

– Pamięta pan – ciągnął Anglik – powiedziałem panu, że zbieram historie o duchach.

– Tak.

– No cóż, ja znam ten stary dom w Nowym Orleanie. Widziałem go. Notowałem też opowieści innych ludzi, którzy spotkali mężczyznę opisywanego przez pana.

Doktor oniemiał. Lightner wygłosił te słowa z całkowitym przekonaniem. Więcej, wypowiedział je z taką powagą i pewnością siebie, że doktor uwierzył mu bez zastrzeżeń. Po raz pierwszy przyjrzał się bliżej swemu rozmówcy. Anglik był starszy, niż to się na pierwszy rzut oka wydawało. Sześćdziesiąt pięć lat, może siedemdziesiąt. Raz jeszcze wyraz jego twarzy, tak miły, ufny i budzący zaufanie, ujął doktora za serce.

– Inni ludzie – wyszeptał doktor. – Jest pan pewien?

– Słyszałem wiele relacji, niektóre z nich były bardzo podobne do pańskiej. Mówię o tym, aby pan zrozumiał, że nie miał do czynienia z wytworem własnej wyobraźni. I żeby ta historia przestała pana dręczyć. A tak na marginesie – nie mógł pan pomóc Deirdre Mayfair. Carlotta Mayfair nigdy by na to nie pozwoliła. Powinien pan zapomnieć o tym wydarzeniu. Proszę się już nigdy tym nie trapić.

Przez chwilę doktor odczuwał ulgę, jakby znalazłszy się w katolickim konfesjonale usłyszał słowa księdza: udzielam ci rozgrzeszenia. Później dotarło do niego pełne znaczenie rewelacji Lightnera.

– Pan zna tych ludzi! – wyszeptał, czując jak twarz oblewa mu się

czerwienią. Czyżby Deirdre była też pacjentką Anglika? Nagle poczuł się zupełnie dezorientowany.

– Nie, ja tylko słyszałem o nich – odparł Lightner. – I potraktuję pańską relację jako rzecz o charakterze całkowicie poufnym. Zapewniam całkowitą dyskrecję. Proszę pamiętać, w tym nagraniu nie wymienialiśmy nazwisk. Nie padło nawet pańskie lub moje.

– Niemniej muszę pana poprosić o zwrot taśmy – rzekł doktor wzburzony. – Nie dochowałem tajemnicy lekarskiej. Nie miałem pojęcia, że pan ich zna.

Lightner natychmiast wyciągnął niewielką kasetę i wsunął ją w rękę doktora. Nie zdradzał najmniejszego zdenerwowania.

– Oczywiście, może ją pan zabrać – powiedział. – Rozumiem to. Jeszcze bardziej zmieszany, doktor wymamrotał podziękowanie.

A przecież poczucie ulgi nie opuściło go całkowicie. Inni też widzieli tę istotę. I Anglik o tym wie. On nie kłamie. Doktor nie był szalony, ani teraz, ani przedtem. Narastał w nim żal do przelożonych w Nowym Orleanie, do Carlotty Mayfair, do upiornej panny Nancy...

– Najważniejsze – powiedział Lightner – żeby się pan już tym dłużej nie trapił.

– Tak – odrzekł doktor. – To wszystko takie okropne. Ta kobieta, te narkotyki.

Nie, nawet nie próbuj... Zamilkł, patrząc na kasetę, a potem na swoją pustą filiżankę.

– Ta kobieta, czy ona nadal...

– Bez zmian. Pojechałem tam w zeszłym roku. Panna Nancy, ta której pan tak nie lubił, umarła. Panna Millie odeszła jakiś czas temu. Od czasu do czasu dostaję wiadomości od ludzi z miasta, a z ich relacji wynika, że stan Deirdre się nie zmienił.

Doktor westchnął.

– Tak, pan rzeczywiście coś o nich wie... te wszystkie imiona – powiedział.

– Wobec tego proszę mi uwierzyć – odrzekł Lightner – że inni też widzieli tę zjawę. Nie był pan szalony, ani trochę. I nie wolno panu postępować nierozsądnie martwiąc się takimi rzeczami.

Doktor znów bez pośpiechu mierzył go wzrokiem. Lightner zamykał teczkę. Potem obejrzał swój bilet lotniczy i, najwyraźniej zadowolony z inspekcji, wsunął go do kieszeni płaszcza.

– Pan pozwoli, że dodam coś jeszcze – odezwał się. – A potem będę już musiał łapać samolot. Niech pan nikomu nie opowiada tej historii. Nie znajdzie pan zrozumienia. W podobne rzeczy wierzą tylko ci, którzy je widzieli. To tragiczna, lecz niezmienna prawda.

– Tak, wiem o tym – przyznał doktor. Miał tak wiele pytań, ale nie mógł ich zadać. – Czy pan...? – nie dokończył.

– Tak, widziałem go – odrzekł Lightner. – To było rzeczywiście przerażające. Dokładnie tak, jak pan opisał. – Wstał, chcąc odejść.

– Czym on jest? To demon? A może duch?

– W zasadzie nie wiem. Wszystkie opowiadania są bardzo podobne. Tam nic się nie zmienia. Rok za rokiem, wszystko odbywa się tak samo. Teraz naprawdę muszę iść, i raz jeszcze dziękuję panu, a gdyby kiedykolwiek miał pan ochotę znów ze mną porozmawiać, wie pan, jak się ze mną skontaktować. Ma pan moją wizytówkę. – Lightner wyciągnął dłoń. – Do widzenia.

– Niech pan zaczeka. Córka Deirdre, co się z nią stało? Ta studentka na zachodzie?

– Ona? Jest teraz chirurgiem – odrzekł Lightner, zerkając na zegarek. – Neurochirurgiem, jak mi się zdaje. Niedawno zdała egzaminy. Przyjęto ją do zawodu, czyż nie tak się to nazywa? Tylko że widzi pan, ja jej również nie znam. Od czasu do czasu dochodzą mnie tylko słuchy o niej. Chociaż nasze ścieżki kiedyś się skrzyżowały – przerwał, potem rzucił doktorowi szybki, niemal oficjalny uśmiech. – Do widzenia, i jeszcze raz dziękuję.

Potem przez długi czas doktor siedział sam, zatopiony w myślach.

Rzeczywiście było mu lepiej, nieopisanie lepiej. Trudno temu zaprzeczyć. Nie żałował, że opowiedział swoją historię. W istocie całe to spotkanie zdawało mu się darem, który los mu przysłał, aby pozbawić go największego ciężaru, jaki kiedykolwiek dźwigał na swoich barkach. Lightner znał i rozumiał całą sprawę. Znał też córkę z Kalifornii.

Lightner powie tej młodej lekarce wszystko, co powinna wiedzieć – o ile jeszcze tego nie zrobił. Tak, pozbawiono go ciężaru. Dręczący balast zniknął. Być może spoczywał teraz na barkach Lightnera, ale to już nie miało znaczenia.

Potem przyszła mu do głowy myśl bardzo osobliwa, coś, o czym nie myślał od lat. Nigdy nie był w tym starym domu w Dzielnicy Ogrodów w czasie burzy. Ach, to byłoby urocze, oglądać deszcz zza tych wysokich okien, słuchać, jak bije w dachy ganków. Co za szkoda, że stracił taką sposobność. Wtedy myślał o tym często, ale nigdy nie trafił na odpowiednią porę. A deszcz w Nowym Orleanie jest taki piękny.

A więc uwolnił się od tego wszystkiego, czyż nie tak? Znowu stwierdził, że traktuje zapewnienia Lightnera jak słowa wypowiedziane w konfesjonale, słowa poparte jakimś religijnym autorytetem. Tak, trzeba się wyzbyć tych przykrych wspomnień.

Gestem przywołał kelnerkę. Czuł głód. Skoro mógł już jeść, miał ochotę na śniadanie. I nie zastanawiając się nad tym wiele, wyciągnął z kieszeni wizytówkę Lightnera, zerknął na numery telefonów, pod które mógł zadzwonić, gdyby miał jakieś pytanie, a pod które nie zamierzał dzwonić nigdy. Potem podarł kartkę na kawałeczki, które wsypał do popielniczki i, wyciągnąwszy zapałkę, podpalił.

Dziewiąta wieczór. W pokoju panował mrok, rozświetlony jedynie błękitną poświatą telewizora. To panna Havisham, widmo w sukni ślubnej, z jego ukochanych „Wielkich nadziei”.

Gdyby przyszło mu do głowy wyrzeć na zewnątrz, za przejrzystymi, pozbawionymi ozdób oknami mógłby dojrzeć, niby gwiazdozbiór lśniący w rzadkiej mgle, światła śródmieścia San Francisco, a tuż poniżej, po drugiej stronie ulicy Wolności, spadziste dachy niedużych domów w stylu królowej Anny. Jakżeż on kochał tę ulicę. Jego dom był najwyższy w okolicy, niegdyś zapewne rezydencja, a teraz po, prostu piękny budynek, wznoszący się majestatycznie pośród skromniejszych budowli, ponad zgiełkiem i bieganiną ulicy Castro.

On sam „odrestaurował” tę posesję. Znał każdy gwóźdź, każdą belkę, każdy gzyms. W słońcu, bez koszuli, sam układał dachówki, a nawet bez niczyjej pomocy wylewał betonem chodnik.

Teraz czuł się w tym domu bezpiecznie – tu i nigdzie indziej. Od czterech tygodni nie wychodził ze swego pokoju, jeśli nie liczyć odwiedzin w małej przyległej łazience.

Godzina za godziną mijała, a on leżał na łóżku, gapiąc się na upiorny ekran telewizora. Dłonie paliły go w czarnych skórzanych rękawicach, których nie mógł i nie chciał zdjąć. Pozwalał, aby telewizor nadawał kształt jego snom poprzez ukochane filmy, które oglądał razem z matką wiele lat temu. Teraz

mówił o nich „film z domami”, ponieważ w każdym z nich była nie tylko cudowna fabuła i wspaniali ludzie, będący dla niego idolami, ale i cudowne domy. W „Rebecce” było Manderley. W „Wielkich nadziejach” zrujnowana posiadłość panny Havisham. W „Gasnącym płomieniu” – uroczy domek na londyńskim placu. Zaś w „Czerwonych pantofelkach” – posiadłość nad brzegiem morza, gdzie śliczna tancerka dowiedziała się, iż wkrótce zostanie primabaleriną swego zespołu.

Tak, filmy z domami, te z dziecięcych snów, w których bohaterowie byli równie wspaniali jak ich posiadłości. Oglądał je, pijąc piwo za piwem. Usypiał, budził się i od nowa. Rękawice sprawiały mu ból. Nie odbierał telefonów. Nie wpuszczał gości. Ciotka Vivian zajmowała się tym wszystkim.

Od czasu do czasu zaglądała do jego pokoju. Przynosiła mu kolejne piwo, jakieś jedzenie. Rzadko miał na nie ochotę.

– Michael, proszę, jedz – mówiła wtedy. On uśmiechał się w odpowiedzi: – Później, ciociu Viv.

Nie chciał spotykać się ani rozmawiać z nikim oprócz doktora Morrisa, ale ten nie mógł mu pomóc. Przyjaciele również byli bezradni. Poza tym nie chcieli już z nim gadać. Znudziły im się opowieści, jak to przez godzinę był martwy, a potem powrócił. A już z całą pewnością nie zamierzał rozmawiać z setkami ludzi, którzy chcieli, aby im zademonstrował swoje paranormalne umiejętności.

Miał już po dziurki w nosie tych swoich nowo nabytych zdolności. Czy naprawdę nikt nie rozumie? Przecież to salonowa rozrywka: ściągnąć rękawice, dotknąć jakiegoś przedmiotu i nagle ujrzeć zwykłe, codzienne zdarzenia. „Ten ołówek dostała pani dzisiaj w swoim biurze od jakiejś kobiety. Ona ma na imię Gert” Albo: „Ten medalion. Wyjąwszy go dzisiaj rana postanowiła go pani założyć, ale tak naprawdę nie miała pani na to ochoty. Lepiej byłoby założyć perły, ale się gdzieś podziały”.

Zwykłe zjawisko fizyczne, owa umiejętność – jakiś zmysł, który być może wszyscy ludzie posiadali tysiące lat temu.

Czy ktokolwiek potrafi zrozumieć prawdziwą tragedię? To, że nie był w stanie przypomnieć sobie, co ujrzał, kiedy tonął? „Ciociu Viv”, powtarzał, próbując od czasu do czasu jeszcze raz jej to wyjaśnić, „Ja naprawdę widziałem tam w górze ludzi. Wszyscy byliśmy martwi. Mnie dano wybór, wracać czy nie. I przysłano mnie z powrotem w jakimś celu”.

Ciotka Vivian, blady cień jego zmarłej matki, kiwała tylko głową.

– Wiem, kochanie. Może kiedyś sobie przypomnisz. Kiedyś.

Przyjaciele wreszcie zaczęli traktować go szorstko.

– Michael, gadasz głupstwa. Bywa tak, że ludzie toną i wracają do życia. Nie ma w tym żadnego specjalnego celu.

– Pleciesz jak czubek, Mike. Theresa zalewała się łzami.

– Michael, posłuchaj, nie zostanę tutaj, to bez sensu. Nie jesteś już sobą.

To prawda, nie był sobą. Tamten Michael utonął. Niezliczona ilość razy starał sobie przypomnieć swoje ocalenie – kobietę, która wyciągnęła go z wody i przywróciła mu przytomność. Gdyby tylko mógł z nią jeszcze raz porozmawiać, gdyby tylko doktor Morris zechciał ją odszukać... Pragnął tylko usłyszeć z jej ust, że nie powiedział ani słowa. Marzył, aby zdjąć rękawice i trzymać jej rękę w swoich dłoniach, kiedy będzie jej zadawał to pytanie. Może dzięki niej zdołałby sobie przypomnieć...

Doktor Morris chciał, aby Michael wrócił do szpitala na dalsze badania.

– Zostawcie mnie w spokoju. Proszę tylko odnaleźć tę kobietę. Wiem, że to możliwe. Mówił mi pan, że do pana dzwoniła. Powiedziała, jak się nazywa?

Miał już dosyć szpitali, badań mózgu, elektroencefalogramów, zastrzyków i pastylek.

Jedyną rzeczą, na którą miał ochotę, było piwo. Dzięki niemu czasami jakby powracało wspomnienie...

...zobaczył tam jakąś krainę. Ludzie – tak wielu ludzi. Czasem obraz przedstawiał mu się w całości, niby wielka pajęcza sieć. Widział ją... *kim ona jest!* Powiedziała... A potem znów wszystko zniknęło. „Zrobię to, zrobię.

Choćbym miał umrzeć ponownie, zrobię to”.

Czy naprawdę im to powiedział? Jakże mógłby wymyślić te wszystkie rzeczy, tak odległe od jego świata, który wypełniało to, materialne i rzeczywiste... i skąd te dziwaczne wizje, w których widywał siebie samego, daleko stąd, z powrotem w domu, w mieście swego dzieciństwa?

Nie wiedział. Nie miał pojęcia o niczym, co miałyby jakiegokolwiek znaczenie.

Pamiętał, że nazywa się Michael Curry, że ma czterdzieści osiem lat kilka milionów w garści i nieruchomości warte drugie tyle, co wyszło mu tylko na dobre, bo jego firma budowlana stanęła, i to na amen. Nie był już w stanie nią kierować. Najlepsi stolarze i malarze odeszli do innych zespołów. Odebrano mu duże zamówienie, które kiedyś tak wiele dla niego znaczyło – odnowienie starego hotelu na ulicy Unii.

Wiedział, że jeśli tylko zdejmie rękawice i dotknie czegośkolwiek: ścian, podłogi, puszki piwa, otwartego tomu „Dawida Copperfielda”, który miał przed sobą – znów zaczną mu się pojawiać informacje bez znaczenia, a wtedy oszaleje. Naturalnie jeśli już nie jest szalony.

Wiedział też, że przed utonięciem był szczęśliwy – nie było to szczęście idealne, ale jednak. Nie mógł narzekać na swoje życie.

Rano, przed owym wielkim wydarzeniem, Michael obudził się późno, marząc o wolnym dniu – a marzenie to ogarnęło go we właściwym czasie. Pracownicy radzą sobie świetnie, może nawet do nich nie zajrzy. Był pierwszy dzień maja, a jego nawiedziło najdziwniejsze wspomnienie – jak to kiedyś, jako chłopiec, wyjechawszy z Nowego Orleanu na Florydę, odbył samochodem długą podróż nad brzegami Zatoki. Zdarzyło się to najprawdopodobniej w czasie wielkanocnych ferii, nie był jednak całkowicie pewien, a wszyscy ci, którzy coś na ten temat wiedzieli – matka, ojciec, dziadkowie – już nie żyli.

Utkwiła mu w pamięci jedynie czysta, zielonkawa woda nad białą plażą, pod stopami piasek niby cukier i to, jak tam było ciepło.

O zachodzie słońca wszyscy poszli nad morze, aby się wykąpać; nie



ochłodziło się ani trochę, i chociaż pomarańczowa kula słońca wciąż wisiała w błękicie nad zachodnim horyzontem, wysoko nad ich głowami świeciła już połówka księżyca. Matka wskazała mu go palcem: „Popatrz, Michael”. Nawet ojciec zdawał się napawać tym widokiem; on, który nigdy takich rzeczy nie dostrzegał, potwierdził teraz cichym głosem piękno tego miejsca.

To wspomnienie sprawiło mu ból. Chłód był jedyną rzeczą, jakiej w San Francisco naprawdę nie cierpiał, dlatego zrobił coś, czego później nie potrafił nikomu wytłumaczyć – otóż pamięć o południowych upałach podsunęła mu pomysł wyprawy na miejską plażę. Czy nad Zatoką San Francisco jest gdziekolwiek miejsce chłodniejsze niż Plaża? Dobrze wiedział, że woda pod wyblakłym, ponurym niebem będzie bura i posępna, a morski wiatr zmrozi go; przez ubranie.

A mimo to pojechał. Wyruszył sam, aby w to blade, bezbarwni popołudnie stanąć na południowej Plaży z głową pełną wizji ciepłego morza, wspominając, jak to kiedyś jechał starym packardem z opuszczonym dachem, poddając się pieścizocie łagodnego południowego wiatru.

Mknąc przez miasto nie włączył radia, nie usłyszał więc ostrzeżeń o przyptywie. A gdyby nawet, to co? I bez tego wiedział, że Plaża nie jest bezpieczna. Każdego roku ludzie – zarówno turyści, jak i tubylcy – ginęli tam porwani przez morskie fale.

Może i przemknęło mu to przez głowę, kiedy wędrował po kamieniach tuż pod restaurację Cliff House. Tak, te skały zawsze były zdradliwe i śliskie. On nie lękał się jednak ani upadku, ani wody, ani niczego innego. Znów opadły go wspomnienia z Południa; myślał o tych letnich wieczorach w Nowym Orleanie, kiedy kwitnie jaśmin. Wspominał zapach dziwaczków w ogrodzie babki.

Po uderzeniu fali musiał stracić przytomność, bo nie pamiętał, jak zabierało go morze. Miał jednak wyraźnie w pamięci, jak unosi się w przestrzeń, spogląda na swoje ciało, które tam w dole kołysze się w falach przeboju, na ludzi, machających rękami i wskazujących na ocean, albo biegnących do restauracji,

aby zadzwonić po pomoc. Owszem, wiedział, co oni wszyscy robią. Obserwował ich nie tyle patrząc z wysokości, co będąc w pewien sposób świadom wszystkich ich działań. A jak dobrze mu było tam w górze, jak bezpiecznie się tam czuł – ach, „bezpiecznie” to zbyt mało, aby to doznanie opisać. Czuł się wolny do tego stopnia, że zupełnie nie potrafił zrozumieć ich zaniepokojenia, troski o to ciało, którym rzucały fale.

Potem zaczęła się część druga. To już musiało być wtedy, kiedy umarł na dobre; pokazywano mu mnóstwo cudownych rzeczy i byli tam inni zmarli, a on rozumiał, pojął wszystko, od najprostszych do najbardziej skomplikowanych, poznał również przyczynę, dla której musi powrócić... tak, chodzi o wrota, o obietnicę... a potem nagle wślizgnął się nieważko w obolałe ciało leżące na pokładzie łodzi, które przez godzinę było tylko zwłokami topielca, i wrócił do życia patrząc ku górze, wiedząc o wszystkim, gotów zrobić dokładnie to, czego od niego wymagano. Cała ta wspaniała wiedza!

W trakcie pierwszych kilku sekund rozpaczliwie usiłował opowiedzieć o miejscu, które odwiedził, i rzeczach, które widział, o całej tej długiej, cudownej przygodzie. Z pewnością się starał! Ale teraz pozostał mu w pamięci jedynie intensywny ból w piersiach, w rękach i stopach, i niewyraźna sylwetka kobiety u jego boku. Krucha istota o delikatnej, bladej twarzy, w czarnym czepku kryjącym włosy. Przez moment jej szare oczy zamigotały przed nim jak lampki. Łagodnym głosem nakazała mu spokój, obiecała, że ktoś się nim zajmie.

Aż trudno uwierzyć, że ta nieduża kobieta wyciągnęła go z morza i wypompowała wodę z płuc. Wtedy jednak nie zdawał sobie sprawy, że to ona ocaliła mu życie.

Jacyś mężczyźni podnosili go, kładli na nosze, przywiązywali do nich, a on wił się z bólu. Wiatr smagał go po twarzy. Oczy zamykały się same. Nosze uniosły się w powietrze.

Później wszystko mu się pomieszało. Czy znowu stracił przytomność? Czy wtedy nadszedł ten moment, kiedy pamięć opuściła go całkowicie?

Najwyraźniej nikt nie mógł ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, co wydarzyło się, gdy wieziono go do szpitala. Wiedział tylko, że pospiesznie przetransportowano go na brzeg, gdzie czekała już karetka i reporterzy.

Błyski fleszy, to zapamiętał, ludzie wypowiadający jego nazwisko. Zdawało mu się, że usłyszał głos ciotki Vivian. I jeszcze wewnątrz karetki, gdzie ktoś próbował wbić mu w żyłę igłę. Błagał ich, żeby tego nie robili. Musi usiąść prosto. Nie, nie mogą go znowu przywiązywać!

– Niech pan się trzyma, panie Curry, niech pan się trzyma. Hej, pomóżcie mi z tym facetem!

A jednak przywiązywali go ponownie. Traktowali jak więźnia. Opierał się, ale na próżno. Wiedział, że wstrzyknięto mu jakiś lek. Widział nadciągającą ciemność.

A potem oni wrócili, istoty, które widział tam w górze; znowu mówili coś do niego.

– Rozumiem – odpowiedział. – Nie pozwolę na to. Pojadę do domu. Wiem, gdzie to jest. Pamiętam...

Ocknął się w silnym, sztucznym świetle. Sala szpitalna. Podłączony do jakichś urządzeń. Przy łóżku siedział jego najlepszy przyjaciel, Jimmy Barnes. Michael usiłował odezwać się do Jimmy'ego, ale lekarze i pielęgniarki udaremniili mu to, otaczając go ze wszystkich stron.

Macali go, jego ręce, stopy, zadawali pytania. Jednak nie potrafił się skupić i dawać właściwych odpowiedzi. Wciąż miał jakieś zwidy – przed oczami migwały mu obrazy pielęgniarek, salowych, szpitalnych korytarzy. Co to wszystko znaczy? Znał nazwisko doktora – Randy Morris – wiedział też, że przed wyjściem z domu doktor dał całusa swojej żonie, Deenie. No i co z tego? Informacje po prostu wpadały mu do głowy. Nie mógł tego znieść. Był jak zawieszony między jawą o snem, rozgorączkowany, przerażony.

Michael zadrżał, starając się myśleć przytomnie.

– Słuchajcie – powiedział. – Ja się staram.

Wiedział przecież, co to wszystko oznacza, całe to macanie. Topił się, a teraz oni chcą sprawdzić, czy nie został uszkodzony mózg.

– Proszę sobie nie zawracać głowy. Wszystko w porządku. Chcę stąd wyjść i spakować bagaże. Czym prędzej muszę wracać do domu...

Zarezerwować samolot, zamknąć firmę... Brama, obietnica i ów cel, który jest absolutnie rozstrzygający...

Ale co to było? Dlaczego musiał wracać do domu? Wtedy znów przemknęły mu obrazy – pielęgniarka sprząta salę, ktoś wyciera chromowaną poprzeczkę łóżka. Działo się to kilka godzin temu, kiedy on pogrążony był we śnie. Stop! Muszę wrócić do sedna, do istoty całej tej historii, do...

Wtedy zrozumiał. Nie potrafił sobie przypomnieć ani celu, ani tego, co zobaczył, kiedy był martwy! Cała ta przygoda, wszystkie szczegóły – ludzie, miejsca, przesłanie – wszystko umknęło mu z pamięci! Nie, to być nie może. Przecież każdy szczegół był tak cudownie wyrazisty. A oni mu zaufali. Powiedzieli: Michael, wiesz, że nie musisz wracać, możesz odmówić, a wtedy on obiecał, że, że... że co? To z pewnością powróci w jednej chwili, jak sen, który zaciera się w pamięci, a potem nagle odżywa!

Usiadł na łóżku, wyrywając z ramienia jedną z igieł i poprosił o papier i długopis.

– Nie wolno panu się podnosić.

– Chwileczkę. Muszę to zapisać. – Jednak nie był w stanie tego zrobić. Pamiętał, jak stał na kamieniach, myśląc o dawno minionym lecie, o Florydzie, o ciepłych falach... Potem ta zimna, przemoczona, obolała rzecz na noszach, którą był on sam. Wszystko umknęło.

Zaniknął oczy, starając się ignorować dziwaczne ciepło w dłoniach i pielęgniarkę, pchającą go z powrotem na poduszki. Ktoś kazał Jimmy’emu wyjść z sali. Ten nie chciał słuchać. Czemu znów widzi te dziwne, nic nie znaczące rzeczy – jeszcze raz salowe, potem mąż pielęgniarki, no i nazwiska, skąd je wszystkie znał?

– Niech mnie pani tak nie dotyka – powiedział. Wydarzenie na oceanie, oto, co się liczy!

Raptem sięgnął po długopis.

– Jeśli tylko będziecie cicho...

Dotknął pióra – tak, znowu pojawiła się wizja: oto pielęgniarka wyjmuje je z szuflady w recepcji. Papier – obraz mężczyzny wkładającego bloczek do metalowej skrzynki. Stolik przy łóżku? Obraz kobiety, czyszczący go ścierką pełną zarazków z sąsiedniej sali. Potem mignął mu mężczyzna z radiem. Jakiś człowiek robi coś przy odbiorniku...

A łóżko? Ostatnia pacjentka, która je zajmowała, pani Ona Patrick, zmarła wczoraj o jedenastej rano, jeszcze zanim on zdecydował się pojechać na Plażę. Nie! Wyłącz to! Wizja jej ciała w szpitalnej kostnicy.

– Nie wytrzymam tego!

– Co się stało, Michael? – pytał doktor Morris. – Mów do mnie.

Jimmy klócił się w korytarzu. Do uszu Michaela doszedł głos Stacy’ego – Jimmy i Stacy byli jego najlepszymi przyjaciółmi. Michael zadygotał.

– Dobra, oczywiście – odpowiedział lekarzowi szeptem. – Pogadam z panem. Pod warunkiem, że nie będzie mnie pan dotykał. W rozpaczy ujął w dłoń własną głowę, przeczesał palcami włosy i nareszcie nie zobaczył nic. Ponownie zapadał w sen, myśląc, no cóż, wspomnienia powrócą jak przedtem, zobaczę ją i wtedy zrozumiem. Ale jeszcze zanim usnął, zdał sobie sprawę, że nie wie, kim *ona* jest.

Musiał jednak pojechać w swoje rodzinne strony, tak, wrócić po tych wszystkich latach, tych długich latach, w trakcie których jego dom zmieniał się w swego rodzaju rojenie...

– Wracam tam, gdzie się urodziłem – wyszeptał. Tak trudno było teraz mówić. Czuł nieopanowaną senność. – Jeśli dacie mi więcej narkotyków, zabiję was, przysięgam.

\* \* \*

To Jimmy przyniósł następnego dnia te skórzane rękawice. Michael nie wierzył, że to się uda. Okazało się jednak, że warto było spróbować. Ogarnęło go już takie rozdrażnienie, że bliski był szaleństwa. Poza tym mówił zbyt wiele, do wszystkich.

Kiedy reporterzy dodzwonili się bezpośrednio do sali, opowiedział im w wielkim pośpiechu o tym, „co się działo”. Kiedy wepchnęli się do środka, on rozprawiał dalej, raz po raz powtarzając swoją relację, lamentując: „Nie mogę sobie przypomnieć!” Oni dawali mu przedmioty, których miał dotykać i mówić, co zobaczył. „To nie ma żadnego znaczenia”.

Aparaty fotograficzne pstrykały wśród niezliczonych elektronicznych dźwięków. Wreszcie obsługa szpitala wyrzuciła wszystkich dziennikarzy. Michael bał się nawet dotknąć widelca czy noża. Nie chciał jeść. Z całego szpitala schodzili się pracownicy, aby wkładać mu w ręce różne przedmioty.

Kiedy brał prysznic, dotknął ściany. Znów zobaczył tę kobietę, pacjentkę, która umarła. Leżała w tym pokoju przez trzy tygodnie. „Nie chcę prysznic”, mówiła, „Czy wy nie rozumiecie, że jestem chora?” Synowa zmusiła ją, żeby tu stanęła... Michael nie mógł dłużej zostać w tej kabinie. Padł wyczerpany na łóżko, wsuwając ręce pod poduszkę.

Kiedy po raz pierwszy wyglądał na palcach rękawice, zamajaczyło mu kilka obrazów. Potem powoli zacierał dłonie, tak, aby wszystko się rozmyło, aby owe majaki mieszały się jeden z drugim, aż wreszcie utracą wyrazistość; wszystkie imiona zgiełkliwie przebiegły mu przez głowę – a potem zapadła cisza.

Powoli sięgnął po leżący na tacy nóż. Dostrzegł coś, ale wizja była blada, bezgłośna i zaraz umknęła. Podniósł szklankę, wypił mleko. Jedyne mgliste zarysy. Doskonale! Rękawice naprawdę działały. Sekret polegał na tym, aby każdy gest wykonywa prędko.

I jeszcze wydostać się stąd! Ale nie pozwalano mu na to.

– Nie chcę badań mózgu – mówił. – Mój mózg ma się doskonale. To ręce doprowadzają mnie do szaleństwa.

Mimo to wszyscy starali się mu pomóc – doktor Morris, główny stażysta, przyjaciele i ciotka Vivian, która godzinami przesiadywała u jego boku. Na prośbę Michaela doktor Morris skontaktował się załogą karetki, ze strażą przybrzeżną, lekarzami z ostrego dyżuru, właścicielką łodzi, która ratowała go, zanim straż zdołała ją odszukać – z każdym, kto mógłby pamiętać jego słowa, jeśli powiedział coś ważnego. W końcu nawet pojedynczy wyraz mógł odblokować jego pamięć.

Ale żadnych słów nie było. Michael wymamrotał coś, kiedy otworzył oczy, stwierdziła właścicielka łodzi, ale ona nie zdołała uchwycić żadnego określonego słowa. Zdawało jej się, że jedno zaczyna się na L, być może było to imię. Nic więcej. Potem zabrała go straż przybrzeżna. W karetce zaczął się awanturować, trzeba go było obezwładnić.

Mimo to żałował, że nie może porozmawiać z tymi ludźmi, przede wszystkim z kobietą, która przywróciła go do przytomności. Powiedział to dziennikarzom, kiedy przyszli go wypytywać.

Jimmy i Stacy co wieczór siedzieli przy nim do późna. Ciotka Vivian zjawiała się każdego ranka. Wreszcie przyszła Therese, onieśmielona, przelęknięta. Nie lubiła szpitali. Nie znosiła towarzystwa chorych ludzi.

Michael parsknął śmiechem. Oto i cała Kalifornia, pomyślał. Żeby powiedzieć coś takiego! Potem wykonał impulsywny gest. Zerwał rękawicę i schwycił dziewczynę za rękę.

*Boję się, nie podobasz mi się, jesteś ośrodkiem uwagi, daj z tym wreszcie spokój, nie wierzę, że rzeczywiście utonąłeś, to śmieszne, chcę stąd wyjść, tak, powinieneś być do mnie zadzwonić...*

– Idź do domu, kotku – poradził.

Kiedyś podczas tych cichych godzin pielęgniarka wsunęła mu do ręki

srebrne pióro. Spał wtedy smacznie, a rękawice leżały do stoliku.

– Powiedz mi jej nazwisko – rzekła.

– Nie znam. Widzę tylko biurko.

– Postaraj się.

– Piękne mahoniowe biurko, a na nim zielona suszka.

– A kobieta, która używała pióra?

– Allison.

– Tak. Gdzie ona jest?

– Nie wiem.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Mówię ci, że nie wiem. Dała ci pióro, ty je włożyłaś do torebki i wyjęłaś dziś rano. To tylko wizje, obrazy, nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Siedzisz w kawiarni i tym piórem rysujesz coś na serwetce. Myślisz o tym, żeby mi je pokazać.

– Ona nie żyje, czy tak?

– Nie wiem, mówiłem ci. Nie widzę tego. Allison, tyle tylko dostrzegam. Zapisywała nim listę zakupów, na miłość boską, mam ci powiedzieć, co było na liście?

– Musisz zobaczyć coś więcej.

– Cóż, nic z tego! – Na powrót nałożył rękawice. Nic go nie zmusi, żeby je znowu zdejmował.

Następnego dnia Michael opuścił szpital.

Potem przez trzy tygodnie przechodził piekło. Zadzwoń do niego kilku funkcjonariuszy straży przybrzeżnej, a także jeden z kierowców karetki, ale nie mieli do powiedzenia nic, co mogłoby mu pomóc. Jeśli chodzi o łódź, która go wyratowała, jej właścicielka nie chciała mieć ze sprawą nic wspólnego. I doktor Morris przyrzekł jej to. Tymczasem straż przybrzeżna przyznała wobec dziennikarzy, że nie udało im się zanotować nazwy łodzi, ani jej numeru z rejestru. Jeden z dziennikarzy określił ją jako pełnomorską kabinową łódź



motorową. Być może jest już na drugim końcu świata.

Do tego czasu Michael zdał sobie sprawę, że zbyt wielu ludziom opowiedział swoją historię. Wszystkie popularne magazyny w kraju chciały z nim przeprowadzić wywiad. Nie mógł wyjść z domu, żeby jakiś reporter nie zastąpił mu drogi; zupełnie obcy ludzie wpychali mu do ręki portfele lub fotografie, telefon dzwonił bez ustanku, przy drzwiach rosła sterta listów. I chociaż wciąż pakował bagaże, nie mógł się zdobyć na wyjazd. Zamiast tego pił – najpierw lodowate piwo, a potem burbon, gdy piwo przestało przynosić oświecenie.

Przyjaciele próbowali być lojalni. Na przemian wpadali na pogawędkę, starali się go uspokoić, namówić, aby zaprzestał picia, ale na nic się to nie zdało. Stacy czytał mu nawet książki, bo on sam nie mógł tego robić. Powoli wyczerpywał ich cierpliwość i dokładnie zdawał sobie z tego sprawę.

On tymczasem miał głowę nabitą myślami. Próbował rozgryźć tajemnicę. Jeśli nie potrafi sobie przypomnieć, może przynajmniej postara się zrozumieć całą tę przygodę, owo doniosłe, straszliwe wydarzenie. Wciąż jednak tylko plół i plół o życiu i śmierci, o tym mu się przydarzyło „tam w górze”, o tym, jak granice między bytem i niebytem zacierają się zarówno w sztuce masowej, jak i poważnej.

Czy nikt tego nie dostrzega? Filmy i powieści zawsze odzwierciedlają oczywistość. Żeby to dostrzec, wystarczy je dokładnie analizować. Przecież on sam zauważył to jeszcze przed wypadkiem.

Weźcie tylko film Bergmana „Fanny i Aleksander”. Zmarli chodzą sobie tam spacerkiem i rozmawiają z żywymi. To samo ma miejsce w „Ironweed”. A „Krzyki i szepty”, czyż zmarli nie wstają tam po prostu na nogi i nie zaczynają mówić? Była jeszcze jakaś komedia, która dopiero co pojawiła się w kinach... jeśli wziąć pod uwagę filmy lżejsze, tam zdarza się to jeszcze częściej. Weźcie na przykład „Julię”, w której zmarłe dziecko prześladuje w Londynie Mię Farrow.

– Michael, jesteś rąbnięty.

– I to nie tylko horrory, nie widzicie? W sztuce to się pojawia wszędzie. Weźmy tę powieść, „Biały hotel”, czy ktoś z was ją czytał? Wątek nie kończy się wraz ze śmiercią bohaterki, ale ciągnie się dalej w życie pozagrobowe. Mówię wam, coś się wkrótce wydarzy. Nastąpi jakiś przełom. Ja sam rozmawiałem ze zmarłymi i wróciłem do życia; my wszyscy podświadomie zdajemy sobie sprawę, że bariera między tymi dwoma światami zaczyna już pękać.

– Michael, musisz się uspokoić. Ta historia z rękami...

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Musiał jednak przyznać, że jest rąbnięty, i nie zamierzał się zmieniać. Podobało mu się to. Podniósł słuchawkę, żeby zamówić kolejną skrzynkę piwa. Nie ma potrzeby, aby ciotka Viv wychodziła po cokolwiek. A, jest jeszcze szkocka wódka Glenlivet, którą sobie zachomikował. I Jack Daniels. Och, wystarczy, aby być pod gazem aż do śmierci. Nie ma sprawy.

Ostatecznie, też przez telefon, zamknął swoją firmę. Przedtem, kiedy próbował coś robić, pracownicy bez osłonek kazali mu wracać do domu. Nie szła im robota przy akompaniamencie jego bezustannej gadaniny. Przeskakiwał z tematu na temat. I jeszcze ten reporter, który prosił go, aby zademonstrował swoje zdolności dla kobiety z hrabstwa Sonoma. Poza tym Michaela nękało coś jeszcze, z czego nie mógł się zwierzyć nikomu: otóż od spotkanych ludzi odbierał pewne niewyraźne, emocjonalne sygnały niezależnie od tego, czy dotykał tych osób, czy nie.

Była to, jak się zdaje, swego rodzaju samoistna telepatia – oczywiście rękawice nie mogły na to poradzić. Nie docierały do niego żadne informacje, jedynie silne wrażenia: sympatia, antypatia, prawda lub kłamstwo. Czasami te impulsy tak go pochłaniały, że dostrzegał jedynie poruszające się ludzkie wargi, a nie słyszał słów.

Owa, jeśli można to tak określić, intensywna zażyłość, stała się przyczyną

dojmującego wyobcowania.

Michael zerwał wszystkie kontakty, znalazł zatrudnienie dla każdego pracownika, wreszcie zamknął nieduży sklepik na ulicy Castro, w którym sprzedawał klasyczne wiktoriańskie instalacje.

Dobrze było zostać w domu, położyć się do łóżka, zaciągnąć zasłony i pić. Ciotka Viv podśpiewywała w kuchni gotując mu posiłki, których nie chciał jeść. Od czasu do czasu próbował przeczytać kawałek „Dawida Copperfielda”, pragnąc uciec od wytworów własnego umysłu. We wszystkich najgorszych chwilach jego życia zawsze ukrywał się w jakimś odległym zakątku świata i wertował „Dawida Copperfielda”. Tak naprawdę najbardziej lubił „Wielkie nadzieje”, „Dawid” był jednak łatwiejszy i lżejszy. Teraz zdołał przebrnąć przez tę książkę tylko dlatego, że znał ją w zasadzie na pamięć.

Therese wyjechała na południe Kalifornii, żeby odwiedzić brata. Kłamstwo, wiedział o tym, choć nawet nie dotknął słuchawki, usłyszał tylko jej głos nagrany przez automatyczną sekretarkę. No i dobrze. Żegnaj, Therese.

Kiedy z Nowego Jorku zadzwoniła Elizabeth, jego dawna dziewczyna, Michael gadał tak długo, aż wreszcie stracił przytomność. Następnego ranka kazała mu zwrócić się o pomoc do psychiatry. Groziła, że rzuci pracę i przyleci do niego, jeśli jej nie przyrzeknie, że to zrobi. Michael dał obietnicę. To było kłamstwo.

Nie miał ochoty zwierzać się komukolwiek, ani też opisywać tych nowych intensywnych odczuć. A już z całą pewnością niej chciał mówić o swoich rękach. Pragnął jedynie rozmawiać o wizjach. Jednak wszyscy mieli dosyć wysłuchiwanie jego opowieści o tym, jak uchyla się kurtyna, która oddziela żywych od martwych.

Kiedy ciotka Viv położyła się już do łóżka, Michael zwykł był przeprowadzać drobne eksperymenty z mocą, która tkwiła w jego dłoniach. O każdym przedmiocie mógł się wiele dowiedzieć, jeśli tylko powoli obracał go w palcach. Kiedy zadawał swojej tajemniczej sile pytania – to jest, kiedy próbował

nią kierować – zdobyć jeszcze więcej informacji. Jednak wszystkie te obrazy przemykające przez jego głowę nie sprawiały mu przyjemności. Jeśli obdarzono go taką wrażliwością z jakiegoś konkretnego powodu, umknął mu z pamięci wraz z wizjami i świadomością celu, z jakim powrócił do życia.

Stacy przynosił mu do czytania książki o ludziach, którzy wrócili z krainy śmierci. To doktor Morris powiedział mu o tych dziełach – klasycznych studiach nad „życiem po życiu” Moody’ego, Rawlingsa, Saboma i Ringa. Zmagając się z pijaństwem, rozdrażnieniem i po prostu niemożnością dłuższej koncentracji, Michael przebrnął przez niektóre z tych opowiadań.

Tak, znał to! To wszystko prawda. On też opuścił ciało, i to nie był sen; nie dostrzegł jednak cudownego światła, nie spotkał ukochanych zmarłych i nie zobaczył żadnego nieziemskiego raju, pełnego kwiatów i pięknych kolorów, do którego pozwolono by mu wejść. W górze przydarzyło się coś zupełnie innego. Został tam niejako przechwycony, przedstawiono mu prośbę, wyjaśniono, że musi wykonać bardzo trudne zadanie, od którego wiele zależy.

Raj. Jedyne podobne miejsce, jakie kiedykolwiek znał, to miasto swojej młodości; ciepły, uroczy zakątek, który opuścił jako siedemnastolatek, ten ogromny czworobok, składający się może z dwudziestu pięciu ulic, znany w Nowym Orleanie jako Dzielnica Ogrodów. Tak, powrócić tam, w to miejsce, gdzie wszystko się zaczęło. Do Nowego Orleanu, którego nie odwiedzał od lata owego roku, kiedy skończył siedemnaście lat. Najdziwniejsze, że kiedy spojrzał wstecz na swoje życie, co ponoć zdarza się wszystkim tonącym, przyszła mu na myśl przede wszystkim owa odległa noc, gdy jako sześciolatnie dziecko odkrył muzykę klasyczną, słuchając starego radia w pełnym woni półmroku, na kuchennym ganku domu swego dziadka. Dziwaczki jaśniejące w ciemności. Cykady grające wśród drzew. Dziadek, siedząc na schodku, pali cygaro... a potem w życie chłopca wkroczyła ta niebiańska muzyka.

\* \* \*

Dlaczego kochał ją tak bardzo, chociaż nikt wokół niego nie podzielał tego uczucia? Od samego początku się wyróżniał, tak to już z nim było. I nie można tego wytłumaczyć pochodzeniem matki. Dla niej każda muzyka to hałas, tak mówiła. A małego Michaela oczarowała tak bardzo, że stał tam, dyrygując patykami, wymachując nim zamasyście w ciemności i nucąc pod nosem.

Mieszkali wszyscy w irlandzkiej dzielnicy, cała ciężko pracująca rodzina Currych. Wraz z jego ojcem trzecie pokolenie zamieszkało w małym dwurodzinnym domku w dzielnicy nad rzeką, gdzie osiedliło się tak wielu Irlandczyków. Przodkowie Michaela uciekli przed głodem, stłoczeni na statkach, które przywiózłszy do Liverpoolu bawełnę wracały puste do południowych stanów Ameryki po bardziej dochodowy ładunek.

Wrzucano ich, tych zgłodniałych, odzianych w łachmany emigrantów, do „mokrego grobu”, aby zebrali o pracę i marli jak muchy na żółtą febrę, suchoty i cholere. Ci, którzy przetrwali, kopali w mieście kanały, będące istną wylęgarnią moskitów. Palili w kotłach wielkich parowców. Ładowali na statki bawełnę. Pracowali przy kolei. Zostawali policjantami i strażakami.

To byli twardzi ludzie, a Michael odziedziczył po nich potężną sylwetkę i determinację. Również umiłowanie pracy ręcznej miał po nich, i ono wreszcie zwyciężyło w nim mimo lat nauki.

Dorastał wysłuchując opowieści o dawnych czasach, o tym, jak pracujący Irlandczycy sami wybudowali wielki kościół św. Alfonsa, jak ściągali z nad rzeki kamienie, kładli zaprawę, zbierali pieniądze na piękne posągi sprowadzane z Europy. „Widzisz, trzeba było przebić Niemców, wiesz, że budowali kościół Marii Panny zaraz po drugiej stronie ulicy. Żadna siła na ziemi nie zmusiłaby nas, żebyśmy na msze chodzili razem”. Dlatego właśnie zamiast jednego kościoła parafialnego stanęły dwie wspaniałe budowle, a w nich co ranka ci sami księża odprawiali msze.

Dziadek Michaela pracował jako policjant na nabrzeżach, tam gdzie jego

ojciec ładował niegdyś bele bawełny. Pewnego dnia zabrał tam chłopca, żeby mu pokazać, jak do portu wpływają statki z bananami i jak tysiące tych owoców ułożonych na taśmach znikają w magazynie; ostrzegł go też przed wielkimi czarnymi węzami, które potrafią chować się w łodygach bananów aż do chwili, kiedy wywiesza się je na rynku.

Ojciec Michaela był strażakiem aż do owego popołudnia, kiedy zginął w pożarze na ulicy Tchoupitoulas. Michael miał wtedy siedemnaście lat. Był to w jego życiu punkt zwrotny, bo dziadkowie nie żyli i matka zabrała go ze sobą do miasta, w którym się urodziła: do San Francisco.

Nigdy ani przez chwilę nie wątpił, że w Kalifornii było mu dobrze. Uważał, że wiek dwudziesty dobrze go potraktował. Jako pierwszy ze swego klanu zdobył dyplom wyższej uczelni, jako pierwszy wkroczył w świat książek, obrazów, eleganckich domów.

Ale nawet gdyby ojciec nie umarł, życie Michaela nie byłoby życiem strażaka. Zbudziły się w nim potrzeby, których jego przodkowie chyba nigdy nie odczuwali.

I nie chodzi jedynie o muzykę, o tę letnią noc, lecz o miłość do książek, która ogarnęła go, skoro tylko nauczył się czytać; o to, jak pożerał Dickensa, kiedy miał dziewięć lat, i jak ten autor na zawsze zaskarbił sobie miejsce w jego sercu dzięki „Wielkim nadziejom”.

Wiele lat później w San Francisco nadał tę nazwę swej ukochanej firmie budowlanej: „Wielkie nadzieje”.

W szkolnej bibliotece zazwyczaj zagłębiał się w lekturach, podczas gdy inni chłopcy rzucali w niego papierowymi kulkami, szturchali w ramię i grozili, że dadzą mu wycisk, jeśli nie przestanie zachowywać się jak „ciołek”. W dzielnicy irlandzkiej tym epitetem określano kogoś, kto nie ma dość rozumu, żeby pozować na twardziela i brutala, i pogardzać wszystkim, co nie daje się łatwo zdefiniować.

Nikt jednak nigdy go nie pobił. Michael wziął po ojcu dość zdrowej

zawziętości, żeby ukarać każdego, kto by się na to poważył. Nawet jako chłopiec był krzepki i niezwykle silny – jak człowiek, któremu wysiłek, nawet gwałtowny, przychodzi całkiem naturalnie. Przy tym lubił się bić. Dzieciaki w końcu zostawiły go w spokoju, on zaś nauczył się ukrywać sekrety swojej duszy na tyle, że przebaczone mu kilka potknięć i otoczono ogólną sympatią.

A spacerować, co z tymi długimi wędrówkami, na które nie wybierał się nigdy żaden rówieśnik? Później nawet jego dziewczyny nie potrafiły tego zrozumieć. Rita Mae Dwyer wyśmiewała go. Marie Louise nazywała wariatem. „Co to ma znaczyć, tak po prostu chodzisz?” On jednak od najmłodszych lat lubił spacerować; przemykać się przez Sklepową, główną granicę oddzielającą wąskie, spalone słońcem uliczki, miejsce w którym przyszedł na świat i szerokie, ciche aleje Dzielnicy Ogrodów.

W Dzielnicy Ogrodów stały najstarsze arystokratyczne rezydencje miasta – pogrążone we śnie za potężnymi dębami i obszernymi ogrodami. Tam właśnie przechadzał się w milczeniu po ceglanych chodnikach; wepchnąwszy ręce w kieszenie, czasem pogwizdując, myślał sobie, że pewnego dnia on też będzie tu miał wielki dom z białymi kolumnkami od frontu, ze ścieżkami z kamiennych płyt. W pokoju postawi fortepian, taki jak ten, który kiedyś widział za wysokimi oknami. Będzie miał koronkowe firanki i świeczniki. Na całe dni pogrąży się w lekturze Dickensa, siedząc w chłodnej bibliotece, gdzie książki dochodzą do sufitu, a krwistoczerwone azalie drzemią za balustradą ganku.

Czuł się wtedy jak bohater Dickensa, mały Pip: obserwował to, co pragnął posiadać, lecz znajdował się tak daleko od owego wymarzonego celu.;

W swoim zamięłowaniu do długich przechadzek nie był jednak całkowicie odosobniony. Matka również lubiła spacerować i to zamięłowanie było zapewne jednym z kilku najbardziej znaczącym darów, jakie od niej otrzymał.

Podobnie jak Michael, ona również rozumiała i kochała domy. Kiedy był jeszcze malutki, prowadziła go do tego cichego sanktuarium starych budowli, wskazywała swoje ulubione zakątki i wielkie, gładkie trawniki, często prawie

zasłonięte przez krzaki kamelii. Ona nauczyła; go słuchać głosów ptaków wśród dębów, i muzyki ukrytych fontann.

Był tam pewien mroczny dom, który ona wyjątkowo kochała, a on nie potrafił go zapomnieć; długa posępna budowla, której boczne ganki pokrywały sploty pnącej bugenwilli. Nierzadko, kiedy przechodzili obok, Michael dostrzegał niezwykłego mężczyznę stojącego samotnie wśród kudłatych krzaków, daleko na tyłach zaniedbanego ogrodu. Sylwetka dziwnego człowieka zdawała się ginąć wśród rozpasanej, splątanej zieleni, tak całkowicie wtopiona w cieniste listowie, że inny przechodzień mógłby go nie zauważyć.

W tamtych czasach Michael i jego mama bawili się nawet w pewną grę, która dotyczyła tajemniczego mężczyzny. Ona powtarzała zawsze, że go nie widzi.

– Ale on tam jest, mamó – mówił wtedy Michael, a ona odpowiadała:

– No dobrze, Michael, powiedz mi, jak wygląda.

– No, ma kasztanowe włosy i brązowe oczy, jest bardzo elegancki, zupełnie jakby szedł na przyjęcie. Mamó, on na nas patrzy, chyba nie powinniśmy stać tutaj i gapić się tak.

– Michael, tam nie ma żadnego mężczyzny – zwykła wtedy mówić matka.

– Ojej, ty się zawsze ze mną droczysz.

Pewnego razu jednak i ona z całą pewnością zobaczyła owego bruneta, i wcale się jej nie spodobał. Nie było to w pobliżu starego domu. Ani też w zniszczonym ogrodzie.

Zdarzyło się to w okresie Bożego Narodzenia, kiedy Michael był jeszcze bardzo mały. Przy bocznym ołtarzu kościoła św. Alfonsa gdzie zrobiono stajenkę, wystawiono właśnie ogromną kołyskę z dzieciątkiem Jezus. Michael i jego matka podeszli, aby klęknąć przy balustradzie ołtarza. Jakże cudownie wyglądały naturalnej wielkości posągi Marii i Józefa; piękne było też samo dzieciątko Jezus – roześmiane wyciągało małe, pulchne rączki. Zdawało się, że wszędzie dookoła płoną jasne światła i łagodnie, uroczym migoczą świece.



Kościół rozbrzmiewał odgłosem szurających stóp i ściszonych szeptów.

Być może była to pierwsza Gwiazdka, jaką Michael zapamiętał. W każdym razie tajemniczy mężczyzna był tam, w cieniu sanktuarium; przyglądał się wszystkiemu spokojnie, a kiedy zobaczył Michaela, przesłał mu jak zwykle blady uśmiech. Miał złożone dłonie. Nosił garnitur. Jego twarz promieniowała spokojem. Wyglądał zupełnie tak samo, jak przedtem w ogrodzie na ulicy Pierwszej.

– Patrz, mamó, to on – powiedział od razu Michael. – Ten pan z ogrodu.

Matka zerknęła na tajemniczą postać, a potem z lękiem odwróciła wzrok. Później szepnęła Michaelowi do ucha:

– No już, nie gap się na niego.

Kiedy wychodzili z kościoła, odwróciła się, żeby spojrzeć raz jeszcze.

– To jest mężczyzna z ogrodu, mamó – powtórzył Michael.

– O czym ty mówisz? – usłyszał w odpowiedzi. – Z jakiego ogrodu?

Następnym razem, kiedy spacerowali po ulicy Pierwszej, znów zobaczył nieznanego i próbował jej o tym powiedzieć. Matka jednak po raz kolejny rozpoczęła grę. Droczyła się z nim, zapewniając, że nikogo tam nie ma.

Śmiali się wspólnie. Wszystko było w porządku. Wtedy ta sprawa zdawała się bez znaczenia, chociaż nigdy o tym nie zapomniał. O wiele bardziej liczyła się łącząca ich wielka przyjaźń, i to, jak dobrze się razem bawili.

W późniejszych latach Michael otrzymał od matki kolejny dar: filmy, na które zabierała go do kina Powszechnego w centrum miasta. W soboty jeździli tam tramwajem na poranki. To zabawa dla maminsyneków, Mike, mawiał jego ojciec. Jego nikt by siłą nie zaciągnął na te zwariowane przedstawienia.

Michael miał dość rozsądku, aby nie odpowiadać; w miarę upływu czasu nauczył się z uśmiechem wzruszać ramionami, a wtedy ojciec zaprzestawał swoich zgryźliwych uwag. Zostawiał też w spokoju matkę, a to znaczyło dla chłopca jeszcze więcej. Poza tym nic nie mogło mu odebrać owych specjalnych sobotnich popołudni. Zagraniczne filmy były dla niego oknem na inny świat, i

napełniały serce Michaela nieopisanym żalem i szczęściem jednocześnie.

Nigdy nie zapomniał „Rebeki”, „Czerwonych pantofelków”, „Opowieści Hoffmanna”, ani włoskiego filmu nakręconego na podstawie opery „Aida”. A, była jeszcze cudowna opowieść o pianiście zatytułowana „Niezapomniana pieśń”. Uwielbiał „Cezara i Kleopatę” z Claudem Rainsem i Vivien Leigh. I jeszcze „Świętej pamięci George Apley” z Ronaldem Colmanem, który miał najpiękniejszy głos, jaki Michael kiedykolwiek słyszał u mężczyzny.

Niecierpliwiło go, że czasem nie potrafi zrozumieć tych filmów, że chwilami nie może nawet śledzić fabuły. Napisy niezmiennie puszczano zbyt szybko, aby je zdążył przeczytać; zaś w filmach brytyjskich aktorzy mówili tak prędko, że nie był w stanie zrozumieć ich szorstkiego akcentu.

Kiedy wracali do domu, matka często wyjaśniała mu różne rzeczy. Mijali wtedy swój przystanek i jechali tramwajem dalej, aż do alei Carroltona. Dobrze im tam było samym. Mogli oglądać pałacowe rezydencje, owe późniejsze, często bardziej okazałe budynki, które zbudowano po wojnie secesyjnej, nie tak piękne jak starsze domy z Dzielnicy Ogrodów, niemniej jednak miłe dla oka i zawsze interesujące.

Ach, cicha udręka owych leniwych przejażdżek, kiedy pragną tak wiele, a pojmował tak mało. Od czasu do czasu przez otwarte okna tramwaju chwycił kwiaty urokliny. Marzył o tym, aby zmienić się w Maksyma de Winter. Chciał znać tytuły wszystkie klasycznych utworów, które usłyszał w radio i ukochał. Pragnął znać i zapamiętać niezrozumiałe zagraniczne słowa wygłaszane przez spikerów.

Co najdziwniejsze, w starych horrorach, które oglądał w brudnym kinie Szczęśliwa Godzina na ulicy Sklepowej – w swojej własnej iglicy – często odnajdywał ten sam elegancki świat i należących do niego ludzi. Widywał w nich wykładane boazerię biblioteki, kominki wieńczone łukiem, mężczyzn w bonzurkach i wdzięczne kobiety o łagodnych głosach – ramię w ramię z potworem Frankensteina czy córką Draculi. Doktor Van Helsing okazał się

wielkim elegantem, zaś Claude Rains, który w kinie w centrum miasta grał Cezara, tu zanosił się obłąkańczym chichotem jako Niewidzialny Człowiek.

Choć robił co mógł, aby zwalczyć to uczucie, Michael w końcu znienawidził dzielnicę irlandzką. Swoją rodzinę kochał, przyjaciół lubił. Nie znosił jednak tych domków-bliźniaków, po dwadzieścia na jednym odcinek ulicy, z malutkimi podwórkami od frontu i niskimi ogrodzeniami z kołków; znienawidził bar na rogu, w którym rozbrzmiewała szafa grająca, a drzwi wejściowe nieustannie trzaskały, i te grube kobiety w kwiecistych sukienkach, okładające pasem lub gołymi dłońmi swoje dzieci.

Nie cierpiał tłumów ludzi robiących zakupy na ulicy Sklepowej w sobotę późnym popołudniem. Zdawało mu się, że wszystkie dzieci mają usmolone twarze i brudne ubrania. Sprzedawczynie w sklepie ze starzyzną były nieuprzejme. Chodnik śmierdział skwaśniałym piwem. Cuchnęły stare domy przy kolei, gdzie mieszkali ci jego przyjaciele, którzy mieli największego pecha. Odór wypełniał stare sklepy szewskie i warsztaty, w których naprawiano radia. Smród ulicy Sklepowej czuć było nawet w kinie Szczęśliwa Gwiazda. W starych budynkach dywany leżące na schodach z wyglądu i w dotyku przypominały bandaże. Wszystko pokrywała warstwa brudu. Jego matka nie chciała chodzić na Sklepową nawet po szpulkę nici. Piechotą przemierzała Dzielnicę Ogrodów, by przy alei wsiąść w tramwaj i jechać na ulicę Przy Kanale.

Michael podobnie jak Pip w „Wielkich Nadziejach” wstydził się swojej nienawiści. Jednak im więcej wiedział i dostrzegał, tym bardziej narastała w nim pogarda.

A to przecież ludzie, przede wszystkim oni, wydawali mu się najbardziej odpychający. Wstydził się chropawego akcentu, po którym łatwo można go było rozpoznać jako mieszkańca dzielnicy irlandzkiej; akcentu, jak mu mówiono, przywodzącego na myśl Brooklyn lub Boston, czy jakiegokolwiek inne miejsce, gdzie osiedlali się Niemcy i Irlandczycy. „Wiemy, że chodzisz do szkoły

Redemptorystów”, mówiły mu dzieciaki z miasta, „domyśliliśmy się tego po tym, jak mówisz”. To miało wyrażać pogardę.

Michael nie lubił nawet zakonnice, grubiańskich kobiet o niskich głosach, które biły chłopców, potrząsały nimi i upokarzały do woli, kiedy tylko przyszła im na to ochota.

Nienawidził ich w szczególności za coś, co zrobiły, kiedy miał sześć lat. Pewnego pierwszoklasistę „rozrabiakę” wyciągnięto z klasy szkoły dla chłopców i zaprowadzono do nauczycielki pierwszej klasy dla dziewcząt. Dopiero później dowiedzieli się, że zmuszono go, aby z twarzą czerwoną od płaczu stał w koszu na śmieci, w obecności wszystkich swoich młodszych koleżanek. Zakonnice popychały go raz za razem, mówiąc: „Włóż do tego kosza! No, włóżże!” Dziewczynki patrzyły, a potem opowiedziały o wszystkim chłopcom.

Ta historia przejęła Michaela dreszczem. Na myśl o tym, że coś podobnego i jemu mogłoby się przydarzyć, zdjęło go nagle, nieme przerażenie. A to dlatego, że nigdy nie pozwoliłby na coś takiego. Zacząłby walczyć, a wtedy ojciec zbiłby go batem – akt przemocy, którym zawsze mu grożono, ale nigdy nie doszło do niczego więcej, jak tylko kilku uderzeń paskiem. Faktycznie cała ta gwałtowność, która zawsze wrzała dookoła – widział ją w ojcu, dziadku, we wszystkich znajomych mężczyznach – mogła by wtedy, niby chaos, powstać i pociągnąć go za sobą. Ile razy był świadkiem bicia batem innych dzieci? Nieraz słyszał żarty ojca, chłodno i z ironią mówiącego na temat lania, jakie dostawał od swojego ojca? Na myśl o tym Michaela ogarniał potworny paraliżujący lęk. Owa katastrofalna, przewrotna intymność bycia uderzanym, bitym napawała go strachem.

Tak więc wbrew wrodzonej ruchliwości i uporowi, Michael w szkole zachowywał się jak anioł na długo przedtem, zanim pojął, że musi się uczyć, aby spełnić swoje marzenia. Był grzecznym chłopcem; który zawsze odrabia lekcje. Lęk przed ignorancją, przemocą, upokorzeniem pchał go naprzód równie

pewnie jak później ambicja.

Czemu jednak te same motywy nie kierowały w podobny sposób nikim z jego otoczenia? Nigdy się tego nie dowiedział, ale sięgając wzrokiem wstecz nie miał wątpliwości, że był od początku osobą o wielkich zdolnościach przystosowawczych. Oto klucz do zagadki. Uczył się na podstawie tego, co zobaczył, i podług tego oceniał się.

Żadne z jego rodziców nie posiadało tej elastyczności. Matka, owszem, wyróżniała się cierpliwością. Umiała utrzymywać w ryzach niechęć, jaką odczuwała wobec przyzwyczajęń otaczających ją ludzi. Nie miała jednak marzeń, wielkich planów, nie tliła się w niej żadna twórcza iskra. Nigdy się nie zmieniała. Niczego też nie dokonała.

Jeśli zaś chodzi o ojca, był to mężczyzna śmiały i godzien miłości; odważny strażak, który zdobył niejedną medal. Zginął starając się ocalić życie innych. Po prostu taki miał charakter. Jednak w jego naturze leżało również unikanie rzeczy, których nie znał lub nie rozumiał. Głęboka próżność sprawiała, że czuł się „mały” w obecności ludzi, którzy posiadali prawdziwe wykształcenie.

– Odrabiaj lekcje – zwykł był mawiać, ponieważ tego od niego oczekiwano. Nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że Michael czerpie, co tylko się da ze swojej parafialnej szkoły, że w zatłoczonych klasach, słuchając zmęczonych, przepracowanych zakonnic, jego syn zdobywa w istocie całkiem przyzwoite wykształcenie, gdyż niezależnie od tego, jak okropne były warunki, zakonnice dobrze nauczyły dzieci czytania i pisania. Nawet jeśli musiały im to wbijać do głowy kijem. Każdy uczeń pod ich nadzorem wypracował piękny charakter pisma, dobrze opanował ortografię, tabliczkę mnożenia, a nawet liznął nieco łaciny, historii i literatury. Zakonnice doskonale radziły sobie z łobuzami, starając się utrzymać wzorowy porządek. I chociaż Michael nigdy nie przestał ich nienawidzić, chociaż nawet wiele lat później wspomnienie o nich było dla niego wstrętne, to musiał przyznać, że od czasu do czasu na różne swoje proste sposoby opowiadały im o rzeczach duchowych, o tym, jak wygląda wartościowe

życie.

Kiedy miał jedenaście lat, zdarzyły się trzy rzeczy, które wywarły dramatyczny wpływ na jego dalsze losy. Pierwszą z nich była wizyta ciotki Vivian z San Francisco, a drugą przypadkowe odkrycie, jakiego dokonał w bibliotece publicznej.

Wizyta ciotki trwała krótko. Siostra matki przyjechała do miasta pociągiem. Rodzina wyszła po nią na stację Unii. Krewna zatrzymała się w hotelu Pontchartrain na ulicy św. Karola, i wieczorem tuż po przyjeździe zaprosiła Michaela wraz z rodzicami na obiad w Sali Karaibskiej. Tak nazywała się elegancka jadalnia w hotelu. Ojciec Michaela odmówił. Nie zamierzał odwiedzać takich miejsc. Poza tym garnitur był w pralni.

Michael jednak poszedł; mały mężczyzna, bardzo elegancki dreptał za matką przez Dzielnicę Ogrodów.

Sala Karaibska wprowadziła go w oszołomienie. Znalazł się w cichym, fantastycznym świecie świec, białych obrusów i kelnerów, którzy w swoich czarnych żakietach i sztywnych białych koszulach przypominali duchy, albo, jeszcze lepiej, wampiry z kinowych horrorów.

Jednak prawdziwym objawieniem był fakt, że matka i jej siostra, czuły się w tym otoczeniu jak w domu; śmiały się cicho w czasie rozmowy, zadawały kelnerowi najróżniejsze pytania na temat zupy żółwiowej, sherry i białego wina, które zamówiły do obiadu.

Wszystko to obudziło w nim większy szacunek dla matki. Nie była damą, która udaje lepszą, niż jest. Naprawdę przywykła do takiego życia. Zrozumiał wtedy, dlaczego czasami płakała, mówiąc, że chciałaby wrócić do domu, do San Francisco.

Po wyjeździe siostry matka chorowała przez wiele dni. Leżała w łóżku, pijąc tylko wino, które nazywała swoim lekarstwem, Michael siadywał u jej boku, czasami czytywał jej książki i niepokoił się, jeśli milczała przez godzinę. Wreszcie wydobrzała. Wstała z łóżka i życie potoczyło się dalej.

Ale Michael często rozmyślał o tym obiedzie, o tym, jak swobodnie i naturalnie obie damy zachowywały się w swojej obecności. Często przechodził obok hotelu Pontchartrain. Przyglądał się z cichą zazdrością dobrze ubranym ludziom stojącym pod markizą, przed wejściem, w oczekiwaniu na limuzyny lub taksówki. Czy pragnienie wkroczenia w ich świat było objawem zachłanności? Czy temu pięknu brakowało wartości duchowych? Tak wiele rzeczy zaprzętało mu głowę. Rozsadzało go pragnienie wiedzy, zrozumienia, posiadania. A skończył w sąsiedztwie, w aptece Smitha, czytając komiksy-horroru.

Potem wydarzyła się owa przygoda w bibliotece. Michael dopiero niedawno dowiedział się o jej istnieniu, i jego przypadkowe odkrycie nadchodziło etapami.

Kręcił się właśnie po czytelnicy dla dzieci, szukając czegoś łatwego i ciekawego do czytania, gdy nagle na szafce zobaczył otwartą na pokaz instruktażową książkę o szachach.

Otóż gra w szachy zawsze wydawała się Michaelowi bardzo romantyczna. Nie potrafiłby jednak powiedzieć, skąd wzięło się to odczucie, bowiem nigdy nawet nie widział prawdziwej szachownicy.

Przejrzał książkę, zabrał ją do domu i zaczął czytać. Ojciec wyśmiał go, kiedy to zobaczył. Mówił, że on sam umie grać w szachy i że ciągle robi to w remizie. Szachów nie można się nauczyć z książki. To głupota.

Michael zdecydowanie zaprzeczył.

– Dobra, ucz się – odpowiedział ojciec. – A później ja z tobą zagram.

Oto uśmiech losu. Ktoś, kto potrafi grać w szachy. Może nawet kupią sobie szachownicę. Lektura książki nie zajęła mu nawet całego tygodnia. Poznał zasady. Przez godzinę odpowiadał na wszystkie pytania, które zadawał mu ojciec.

– No, nie do wiary – stwierdził ojciec Michaela. – Ale ty jednak umiesz grać w szachy. Teraz potrzebna ci tylko praktyka.

Potem ojciec wyprawił się do miasta. Kiedy zjawił się z powrotem, miał ze sobą komplet szachów piękniejszy niż chłopiec mógłby wyobrazić sobie nawet

w najśmielszych marzeniach. Figury nie były przedstawione symbolicznie – głowa konia, wieża, czapka gońca – ale wyrzeźbione ze wszystkimi szczegółami. Koń stawał dęba, niosąc na grzbiecie rycerza; goniec modlitewnie składał ręce. Królowa miała pod koroną drugie włosy, a wieża spoczywała na grzbiecie słonia.

Oczywiście wszystko zrobione było z plastiku. Ojciec kupił ten komplet w domu towarowym D.H. Holmesa. Szachownica i figury wydawały się chłopcu ładniejsze od wszystkich pokazanych w podręczniku. Michael na sam widok nowego zakupu nie mógł opanować wzruszenia. Nieważne, że ojciec nazywał konia „swoim kawalerzystą”. Grali w szachy. Później robili to jeszcze wiele razy.

Jednakże w wielkim przypadkowym odkryciu nie chodziło o to, że jego ojciec umie grać w szachy, ani o to, że ma w sobie dość życzliwości, aby kupić taki piękny komplet. Owszem, to było coś. Przy tym wspólna gra zbliżyła do siebie ojca i syna. Odkrycie jednakże polegało na tym, że z książek Michael mógł przyswoić sobie coś więcej niż historyjki... że stanowiły źródło inspiracji w drodze do czegoś więcej niż udręka marzeń i pragnień.

Nauczył się z książki gry w szachy, co w przekonaniu innych można było opanować jedynie dzięki praktyce.

Po tym wydarzeniu poczynął sobie w bibliotece śmieiej. Rozmawiał z siedzącymi przy biurku bibliotekarzami. Dowiedział się o istnieniu katalogu rzeczowego. I na chybił trafił, ale zapamiętał zaczął studiować wszystkie dziedziny nauki.

Najpierw były samochody. W bibliotece znalazł mnóstwo książek na ten temat. Z nich nauczył się wszystkiego o silnikach, i o różnych markach wozów, a potem spokojnie swoją wiedzę wprawiał ojca i dziadka w osłupienie.

Później odszukał w katalogu pozycje dotyczące pożarów i strażaków. Poznawał historie firm, które rozwijały się w wielkich miastach. Czytał o wozach strażackich i mechanicznych drabinach i o tym, jak były wykonane;



chłonał historię wielkich pożarów, takich jak w Chicago, lub w fabryce Triangle, i znów mógł dyskutować o tych sprawach z ojcem i dziadkiem.

Wszystko to wywarło na nim wielkie wrażenie. Czuł, że teraz posiada ogromną potęgę. Zaczął więc wykonywać program, który trzymał w tajemnicy, nie zwierając się z tego nikomu. Muzyka była dlań pierwszym sekretnym przedmiotem.

Z początku wybierał najbardziej dziecinne pozycje – temat był niełatwy – potem zaś zabrał się do ilustrowanych biografii dla młodzieży, z których dowiedział się wszystkiego o cudownym dziecku – Mozarcie, biednym głuchym Beethovenie i Paganinim-szaleńcu, który ponoć sprzedał duszę diabłu. Poznał definicje symfonii, koncertu i sonaty. Uczył się o pięciolinii, szesnastkach, półnutach, tonacji majorowej i minorowej. Poznał nazwy wszystkich instrumentów muzycznych.

Potem zabrał się do architektury. Nie minęło wiele czasu, a on już znał styl klasycystyczny i włoski i późny wiktoriański, wiedział też, po czym je odróżniać. Nauczył się rozpoznawać kolumny korynckie i doryckie, wyławiać boczne werandy i podniesione dachy. Uzbrojony w nowo zdobytą wiedzę, spacerował po Dzielnicy Ogrodów, i rosło w nim głębokie, choć milczące uwielbienie wszystkiego, co tam oglądał.

Ach, to był los wygrany na loterii. Nie było powodu, aby żyć w nieświadomości. Na każdy temat mógł coś wyczytać. W sobotnie popołudnia przerzucał tuziny książek o sztuce, architekturze, mitologii greckiej, technice. Czytał nawet dzieła o nowoczesnym malarstwie, o operze i o balecie, choć z zażenowaniem i obawą, że ojciec może zakraść się od tyłu i wyszydzić go.

Trzecim wydarzeniem owego roku był koncert w miejskim Audytorium. Ojciec Michaela, podobnie jak pozostali strażacy, w czasie wolnym po pracy znajdował sobie inne zajęcia, i tego roku pracował przy koncesjonowanym stoisku w Audytorium sprzedając wodę sodową w butelkach. Pewnego wieczoru ojciec zabrał go ze sobą jako pomocnika. Wypadło to w dzień szkolny i nie

powinien był iść ale miał na to wielką ochotę. Chciał zobaczyć miejskie Audytorium i wszystko, co się tam odbywało. Matka wyraziła zgodę.

W trakcie pierwszej połowy przedstawienia, przed przerwą, podczas której musiał pomagać ojcu, a później zwinąć manatki i pójść do domu, Michael wszedł do środka, a potem na samą górę, gdzie miejsca były wolne. Usadził się tam, chcąc zobaczyć, jak będzie wyglądał koncert. Przywiodło mu to nawet na myśl studentów z „Czerwonych pantofelków”. Tak jak on teraz bohaterowie siedzieli na balkonie, w wielkim podnieceniu czekając na rozpoczęcie. I rzeczywiście, sala zaczęła się wypełniać pięknie ubranymi ludźmi pochodzącymi z dobrych dzielnic – a orkiestra zebrała się, aby stroić instrumenty. Zjawił się nawet dziwaczny mężczyzna z ulicy Pierwszej. Michael ujrzał go przelotnie daleko w dole, unosił twarz w górę, jakby naprawdę był w stanie dostrzec chłopca aż tam, w najwyższym rzędzie.

Potem nastąpiło coś, co przejęło go do głębi. Izaak Stern, wielki skrzypek, grał owego wieczoru, w programie zaś był koncert na skrzypce i orkiestrę Beethovena, którego nieopisane piękno i siła wyrazu przewyższały wszystko, co Michael kiedykolwiek słyszał. Ani przez chwilę nie czuł się zagubiony.

Jeszcze długo po zakończeniu koncertu potrafił zagwizdać wiodący temat, mając jednocześnie w pamięci potężny, a przy tym słodki i zmysłowy ton orkiestry i wysokie, rozdzierające serce dźwięki skrzypiec Izaaka Sterna.

Pragnienia, jakie ten koncert w nim obudził, zatrwały życie Michaela. Dni, które przyszły potem, przyniosły chłopcu uczucie największego chyba rozczarowania losem, jaki go do tej pory doświadczał. Nie dawał jednak nic po sobie poznać. Krył to głęboko w sercu, podobnie jak utrzymywał w tajemnicy znajomość wszystkich przedmiotów, które studiował w bibliotece. Bał się narastającego w nim snobizmu, nienawiści, jaką mógłby żywić do ukochanych gdyby tylko pozwolił temu uczuciu zapuścić korzenie.

Gdyby nie kochał własnej rodziny, byłoby to dla niego nie do wytrzymania. Nie zniosłby poczucia wstydu za nich. Nie umiałby żyć pełen podobnych,

małostkowych i niewdzięcznych uczuć.

Mógł nienawidzić innych mieszkańców dzielnicy. To było w porządku. Musiał jednak żyć w zgodzie, kochać i być lojalnym wobec ludzi, z którymi przebywał pod jednym dachem.

Był, rzecz jasna – i nie bez przyczyny – bardzo przywiązany do swojej pracowitej babki, która zawsze miała na kuchni kapustę i szynkę, kiedy on się tam zjawiał. Życie babki zdało się schodzić na gotowaniu, prasowaniu albo wywieszaniu prania, które wynosiła w wiklinowym koszyku, aby je rozwiesić na podwórku za domem.

Kochał też swego dziadka, niedużego mężczyznę o małych czarnych oczach, oczekującego na frontowych schodach powrót ich wnuka ze szkoły. Dziadek miał zawsze dla niego cudowne opowieści o dawnych czasach, które nigdy się chłopcu nie nudziły.

No i był jeszcze ojciec, strażak, bohater. Jakżeż można nie doceniać takiego człowieka? Michael zachodził często do remizy w alei Waszyngtona, aby się z nim zobaczyć. Jak kumpel siadywał tam ze strażakami, marząc, żeby wyruszyć wraz z nimi, kiedy zabrzmi alarm, zawsze jednak mu tego zabraniano. Uwielbiał patrzeć, jak wóz strażacki śmiga przez bramę, słuchać syren i dzwonków. I to wszystko pomimo obaw, że sam pewnego dnia będzie musiał zamieszkać w bliźniaku z przechodnimi pokojami zostać strażakiem i niczym więcej.

Jak jego matce udawało się kochać tych ludzi, to już zupełnie inna historia, a Michael niezupełnie ją pojmował. Dzień po dniu starał się umniejszyć cichą zgryzotę matki. Był jej najbliższym i jedynym przyjacielem. Nic jednak nie mogło jej ocalić, a on zdawał sobie z tego sprawę. Tu w dzielnicy irlandzkiej była zagubioną duszą; ubierała się lepiej niż wszyscy dookoła, mówiła poprawniej, zawsze błagała, aby pozwolono jej wrócić do pracy sprzedawczyni w domu handlowym, i zawsze w odpowiedzi słyszała: nie. Była kobietą, dla której sens życia stanowiły tanie powieści czytowane późno w nocy – książki Johna Dicksona Carra, Dauphne Du Maurier i Frances Parkinson Keyes; kiedy

wszyscy usnęli czytywała je siedząc na sofie w bawialni, z powodu gorąca ubrana jedynie w halkę. Zwykła przy tym powoli i ostrożnie sączyć wino z butelki owiniętej w brązowy papier.

Miss San Francisco – mówił o niej ojciec Michaela. – Moja matka robi za ciebie wszystko, wiesz o tym?

Patrzył na nią z bezbrzeżną pogardą, kiedy od czasu do czasu wypijała zbyt dużo wina i język zaczynał się jej plątać. Nigdy jednak nie starał się jej powstrzymać. Bądź co bądź, nie było aż tak źle.

Michael wiedział, że ojcu chodziło jedynie o zasadę – oto kobieta siedzi sobie przez cały wieczór, ciągnąc z butelki jak mężczyzna.

A może ojciec ten dzielny strażak bał się, że żona go opuści, jeśli spróbuje narzucić jej swoją wolę. Był dumny z jej urody, smukłego ciała, z eleganckiego brzmienia mowy. Czasami nawet kupował jej wino, butelki porto i sherry, którymi sam pogardzał. „Słodkie, kleiste świństwo dla bab”, wyjaśniał synowi, który jednak wiedział, że to samo świństwo pociągali też i pijacy.

Czy matka nienawidziła ojca? Michael nigdy nie dowiedział się na pewno. Kiedyś w dzieciństwie zorientował się, że jest od ojca starsza o jakieś osiem lat. Ta różnica nie była jednak widoczna. Matka prawdopodobnie uważała go za przystojnego mężczyznę. Zazwyczaj odnosiła się do męża uprzejmie – ale przecież podobnie zwracała się do wszystkich. Mimo to, jak mówiła, za nic na świecie nie zgodziłaby się raz jeszcze zająć w ciążę. Zdarzały się więc okropne przyciszone klótnie za jedynymi zamkniętymi drzwiami ich małego mieszkania, oddzielającymi sypialnię na tyłach domu.

Z jego rodzicami wiązała się pewna historia, ale Michael nigdy nie miał pewności, czy jest ona prawdziwa. Ciotka opowiedziała mu to po śmierci matki. Podobno rodzice zakochali się w sobie w San Francisco, pod koniec wojny, kiedy ojciec służył w marynarce. W mundurze wyglądał bardzo przystojnie i miał wtedy ów wdzięk, którym zdobywa się serca dziewcząt.

– Przypominał cię, Mike – mówiła siostrzeńcowi ciotka wiele lat później.

– Czarne włosy, niebieskie oczy i te potężne ramiona, zupełnie takie jak twoje. Pamiętasz chyba głos ojca, piękny głęboki i melodyjny. Nawet mimo tego akcentu z irlandzkiej dzielnicy.

Matka Michaela „straciła dla niego głowę”. Kiedy znowu wyruszył na morze, pisywał do niej piękne poetyckie listy i tym sposobem całkowicie zawładnął jej sercem. Jednak nie ojciec był ich autorem, lecz jego najlepszy przyjaciel z oddziału, wykształcony mężczyzna służący na tym samym okręcie. Pisał je ozdabiając metaforami i cytatami z książek. Ona nigdy się nie domyśliła.

W gruncie rzeczy matka Michaela zakochała się w tych miłosnych poematach. I kiedy okazało się, że jest w ciąży, pojechała na południe ufając owym listom, i została natychmiast przyjęta przez pospolitą rodzinę o złotych sercach, która przygotowała ślub w kościele św. Alfonsa i załatwiła wszystko jak trzeba. Ceremonia odbyła się, skoro tylko ojciec Michaela zdołał otrzymać przepustkę.

Cóż to musiał być dla niej za szok: ta wąska, pozbawiona drzew uliczka, ten mały domek z przechodnimi pokojami, i teściowa, która usługiwała mężczyznom i nigdy w czasie obiadu sama nie usiadła przy stole.

Ciotka Michaela powiedziała, że ojciec przyznał się kiedyś żonie, jak to naprawdę było z listami. Chłopiec był wtedy niemowlęciem. Matka oszalała, chciała go zabić i spaliła na podwórku całą korespondencję. Potem jednak uspokoiła się i próbowała przejść nad tym do porządku dziennego. Oto znalazła się sama z małym dzieckiem. Skończyła już trzydziestkę. Jej rodzice nie żyli, miała tylko siostrę i brata daleko w San Francisco; nie było innego wyjścia, jak tylko zostać z ojcem tego dziecka. Poza tym rodzina Currych to dobrzy ludzie.

W szczególności pokochała teściową za to, że przyjęła ją, ciężarną, do swego domu. Ta część historii, dotycząca miłości, jaka połączyła starą i młodą panią Curry, była prawdziwa, Michael wiedział to na pewno, ponieważ jego matka opiekowała się babką podczas jej śmiertelnej choroby.

Oboje dziadkowie zmarli tego samego roku, kiedy Michael poszedł do szkoły średniej; babka na wiosnę, a dziadek dwa miesiące później. I chociaż do tamtej pory umarło wielu jego krewnych, te dwa pogrzeby były pierwszymi, w jakich Michael kiedykolwiek uczestniczył, i na zawsze utkwily mu w pamięci.

A były to absolutnie oszałamiające uroczystości. Nie brakło żadnych akcesoriów luksusu, które Michael tak uwielbiał. W istocie rzeczy czuł się nawet zaniepokojony, odkrywając że umeblowanie w firmie Lonigan i Synowie, kaplica pogrzebowa, limuzyny z szarą tapicerką, nawet kwiaty i elegancko ubrani żałobnicy, że wszystko to wiąże się z atmosferą wykwintnych filmów, które on tak kochał. Tu znalazł mężczyzn i kobiety o łagodnych głosach, piękne dywany, rzeźbione meble, zapach lilii i róż, a także ludzi, którzy starali się powściągać swą naturalną małostkowość i prostackie przyzwyczajenia.

Zdawać by się mogło, że po śmierci człowiek przenosi się w świat „Rebeki”, „Czerwonych pantofelków”, lub „Niezapomnianej pieśni”. Przez dzień lub dwa dane mu jest nacieszyć się pięknymi rzeczami, póki nie złożą go w ziemi.

Godzinami myślał nad owym powiązaniem rzeczywistości z fikcją filmową. Kiedy po raz drugi oglądał w Szczęśliwej Godzinie „Narzeczoną Frankesteina”, całą uwagę skupił na wielkich domach, przysłuchiwał się melodii głosów i obserwował stroje. Żałował że nie może o tym z nikim porozmawiać, ale kiedy próbował zacząć na ten temat rozmowę ze swoją dziewczyną, Marie Louise, ta nie miała pojęcia, o czym on właściwie mówi. Uważała, że to głupota chodzić do biblioteki. Nie chciała też oglądać zagranicznych filmów.

W oczach dziewczyny dostrzegał ten sam wyraz, który widywał przedtem u swego ojca. Nie był to strach przed nieznanym, lecz głęboka pogarda. A Michael nie chciał, aby nim pogardzano.

Poza tym był już w szkole średniej. Wszystko się zmieniało. Czasami chwycił go lęk, że oto nadszedł czas, kiedy jego marzenia mają się rozwiać, i prawdziwe życie dostanie go w swojej szpony. Pewnego dnia ojciec Marie Louise, siedząc na frontowych schodach rzucił na niego zimne spojrzenie i

zapytał obcesowo: „A skąd ci przyszło do głowy, że pójdziesz na uniwersytet? Tatuś ma forszę na Loyolę?” Potem splunął na chodnik i zmierzył chłopaka od stóp do głów. I znów to samo, to pogardliwe wejrzenie.

Michael wzruszył ramionami. W owych czasach w Nowym Orleanie nie było szkoły państwowej.

– Może pójde na uniwersytet stanowy w Baton Rouge – odparł. – Może dostanę stypendium.

– Trele-morele! – wymamrotał stary pod nosem. – Dlaczego nie pomyślisz o tym, żeby być równie dobrym strażakiem jak twój ojciec?

A jeżeli oni wszyscy mieli rację? Jeżeli już czas było pomyśleć o innych rzeczach? Michael miał już prawie metr osiemdziesiąt – Jak na chłopaka z irlandzkiej dzielnicy był to wzrost potężny, a w tej gałęzi rodu Currych – rekordowy. Ojciec kupił starego packarda i w ciągu tygodnia nauczył Michaela prowadzić; potem chłopak dostał pracę w kwiaciarni w alei Św. Karola jako doręczyciel kwiatów.

Jednak dopiero w drugiej klasie jego dawne pomysły zaczęły odchodzić w przeszłość, a on sam począł zapominać o swoich aspiracjach. Zapisał się do drużyny futbolu amerykańskiego, dostał do pierwszej ligi... i nagle był już na boisku w parku miejskim a wszystkie dzieciaki wrzeszcząc powtarzały za głosem z megafonu „Punkt dla Michaela Curry”. Marie Louise powiedziała mu przez telefon omdlewającym głosem, że jeśli o nią chodzi, ujarzmił jej wolę i z nim gotowa jest zrobić „wszystko”.

Nadeszły dobre dni i dla szkoły Redemptorystów, od niepamiętnych czasów najuboższej placówki edukacyjnej dla białych w całym Nowym Orleanie. Przybyła nowa dyrektorka, która nie wahała się wdrapywać na ławkę i pokrzykiwać przez mikrofon, żeby przed grą wzbudzić w nich ducha walki. Wysyłała też całe gromady uczniów, aby w parku miejskim kibicowały drużynie. Nie minęło wiele czasu, i na ulicach zaroilo się od jej podopiecznych zbierających po 25 centów na budowę sali gimnastycznej, a drużyna

dokonywała cudów. Wygrywali mecz za meczem chyba wyłącznie dzięki sile woli zdobywając punkty, bowiem rywale grali lepiej.

Michael wciąż zaglądał do książek, ale to na futbolu koncentrowało się jego życie emocjonalne w tamtym roku. Gra była idealnym ujściem dla jego agresji, siły, a nawet frustracji. W szkole był jedną z gwiazd. Czuł na sobie spojrzenia dziewcząt, kiedy każdego ranka na mszy o ósmej szedł między rzędami.

Potem marzenie stało się rzeczywistością. Szkoła Redemptorystów wygrała mistrzostwa Nowego Orleanu. A udało się to chłopcom z drugiej strony ulicy Sklepowej, dotychczasowym popychadłom, którzy mówili w taki śmieszny sposób, i każdy mógł się domyślić, że są z dzielnicy irlandzkiej.

Nawet Times-Picayune nie szczędził ekstatycznych pochwał. Roboty w sali gimnastycznej szły pełną parą, zaś Michael i Marie Louise „poszli na całość”, a potem umierali ze strachu, czekając, aż się wyjaśni, czy Marie nie jest w ciąży.

Mało brakowało, a utraciliby wtedy wszystko. Nie pociągało go nic innego oprócz zdobywania punktów, randek z Marie Louis i zarabiania pieniędzy, za które mógłby ją zabierać na przejażdżki packardem. Kiedy przyszły ostatki, oboje przebrali się za piratów pojechali do dzielnicy francuskiej, pili piwo, tulili się i pieścili na placu Jacksona. Kiedy nadeszło lato, Marie coraz częściej wspominała o ślubie.

Michael nie miał pojęcia, co robić. Czuł, że jego miejsce jest przy tej dziewczynie, a jednak nie miał z nią o czym rozmawiać. Nie znosiła filmów, na które ją zabierał – „Chęć życia”, „Marty”, czy „Nad brzegiem morza”. Kiedy mówił o uniwersytecie, ona uważała to za mrzonki.

Potem przyszła zima. Był to ostatni rok jego nauki. Chwytał ostry mróz i w Nowym Orleanie po raz pierwszy w ciągu całego stulecia spadł śnieg. Kiedy zajęcia skończyły się wcześniej, Michael przechadzał się samotnie po Dzielnicy Ogrodów, po ulicach pokrytych prześlicznym białym dywanem, patrząc na śnieg, który miękko i bezgłośnie padał wszędzie dookoła niego. Nie miał ochoty dzielić tych chwil z Marie Louise. Samotnie rozkoszował się widokiem domów i



drzew, które kochał, podziwiał przybrane śniegiem ganki i ogrodzenia z lanego żelaza.

Na ulicach bawiły się dzieci; samochody toczyły się powoli po lodzie, przy zakrętach wpadając w niebezpieczne poślizgi. Uroczy śniegowy dywan pokrywał ziemię godzinami; potem Michael nareszcie wrócił do domu, a dłonie miał tak zziębnięte, że z trudem przyszło mu obrócić klucz w zamku. Został matkę zalaną łzami.

Tego dnia o trzeciej po południu jego ojciec zginął w pożarze magazynu, usiłując ocalić życie innego strażaka.

Dla Michaela i jego matki życie w dzielnicy irlandzkiej dobiegło końca. W ostatnich dniach maja sprzedali dom na ulicy Zwiastowania. Zaś w godzinę po tym, jak Michael otrzymał swój dyplom przed ołtarzem w kościele św. Alfonsa, wsiedli wraz z matką do autokaru linii Greyhound jadącego do Kalifornii.

Teraz nareszcie Michael będzie miał te wszystkie „wytwornosci”, pójdzie na uniwersytet, spotka ludzi, którzy posługują się poprawnym angielskim. I rzeczywiście, tak właśnie było.

Ciotka Vivian miała w parku Złote Wrota ładny apartament, pełen ciemnych mebli i oryginalnych olejnych malowideł. Zatrzymali się u niej, póki nie kupili własnego mieszkania kilka przecznic dalej. Michael natychmiast zaczął się starać o miejsce na uniwersytecie stanowym. Dzięki polisie ubezpieczeniowej ojca było ich stać na wszystko.

Młody Curry pokochał San Francisco. Prawda, zawsze było tu zimno, wietrznie i żałośnie jałowo. Mimo to polubił ponure kolory miasta, które wydawały mu się całkiem wyjątkowe: odcienie ochry i oliwkowej zieleni, fioletu i głębokiej szarości. Ogromne, ozdobne wiktoriańskie domy przywodziły mu na myśl owe piękne rezydencje z Nowego Orleanu.

Studiował na kursach wakacyjnych organizowanych przez śródmiejski wydział uniwersytetu stanowego, aby nadrobić zaległości w matematyce i naukach ścisłych. Nie miał więc czasu na to, aby tęsknić za domem, myśleć o

Marie Louise, ani w ogóle o dziewczynach. Kiedy się nie uczył, zajmowały go próby zrozumienia – jak wygląda życie w San Francisco, i dlaczego to miasto różni się tak bardzo od Nowego Orleanu.

Zdawało się, że liczna klasa niższa, do której należał w Nowym Orleanie, wcale nie istniała w tym mieście, gdzie nawet policjanci i strażacy mówili poprawnie, dobrze się ubierali i mieszkali w drogich domach. Nie sposób było zgadnąć, z której części miasta ktoś pochodzi. Chodniki były zadziwiająco czyste, a duch umiarkowania zdawał się panować nawet nad najdrobniejszą wymianą zdań.

Spacerując po parku Złote Wrota, Michael zastanawiał się nad charakterem tłumów, które swoją obecnością zdawały się potęgować piękno ciemnej zieleni krajobrazu, zamiast je naruszać. Ludzie jeździli ścieżkami na swych eleganckich zagranicznych rowerach, w małych grupkach urządzali pikniki na aksamitnej trawie, albo siedzieli przed muszlą koncertową słuchając niedzielnych muzycznych występów. Muzea w tym mieście również były dla niego objawieniem – tyle obrazów starych mistrzów, a w niedziele masa zwykłych ludzi z dziećmi, dla których wszystko to zdawało się zupełnie naturalne.

W weekendy Michael marnował godziny przeznaczone na naukę, żeby wędrować przez sale De Younga, w nabożnym podziwie przypatrywać się wielkiemu obrazowi El Greca przedstawiającemu Franciszka z Asyżu – świętego o znękanym spojrzeniu i wychudzonych, szarych policzkach.

– I to jest Ameryka? – pytał Michael. Miał wrażenie, że przyjechał z innego kraju do świata, który dotąd widywał tylko w kinie lub telewizji. Naturalnie nie w tych zagranicznych filmach pełnych wielkich rezydencji i bonzurek, ale w późniejszych, amerykańskich, a także w programach telewizyjnych, gdzie wszystko było porządne i cywilizowane.

Matka Michaela była tutaj szczęśliwa – tak szczęśliwej nigdy jej nie widywał – odkładała w banku pieniądze, które zarabiała w sklepie I. Magnina, gdzie jak przed laty sprzedawała kosmetyki, w weekendy odwiedzała siostrę, a

od czasu do czasu starszego brata, „wujka Michaela”, dżentelmena często zaglądnącego do butelki, który sprzedawał „wykwintną porcelanę” w sklepie Gumpsa na ulicy Pocztowej.

Pewnego wieczoru, pod koniec tygodnia poszli do staroświeckiego teatru na ulicy Geary’ego, aby obejrzeć przedstawienie „My Fair Lady”. Michaelowi bardzo się spodobało. Później często bywali w małych teatrzykach, gdzie oglądali znane sztuki – „Kaligulę” Camusa, „Na dnie” Gorkiego i osobliwą mieszkankę monologów opartych na dziełach Jamesa Joyce’a, pod tytułem „Ullises w mieście nocą”.

Michael był tym wszystkim oczarowany. Wujek obiecał mu, że kiedy zacznie się sezon operowy, zabierze go na „Cyganerię”. Wdzięczność wręcz odebrała chłopcu mowę.

Zdawać by się mogło, że dzieciństwo spędzone w Nowym Orleanie nigdy nie istniało.

Uwielbiał śródmieście San Francisco, hałaśliwe kablowe tramwaje, zatłoczone ulice i wielki dom towarowy na skrzyżowaniu Powella i Targowej, gdzie nierzadko stał godzinami nie zauważony, czytając książki przy stoisku księgarskim.

Kochał stragany z kwiatami, na których można było dostać bukiet czerwonych róż za pół darmo, i eleganckie sklepy na placu Unii. Wręcz ubóstwiał małe, zagraniczne kina, których było tam przynajmniej tuzin; chodzili do nich razem z matką, aby obejrzeć „Nigdy w niedzielę” z Meliną Mercouri i „Dolce vita” Felliniego, absolutnie najcudowniejszy film, jaki Michaelowi zdarzyło się kiedykolwiek oglądać. A były jeszcze komedie z Alekiem Guinessem oraz trudne, ponure filmy ze Szwecji reżyserowane przez Ingmara Bergmana, i mnóstwo innych wspaniałych obrazów z Japonii, Hiszpanii, Francji. W San Francisco wielu ludzi oglądało takie tlimy. Nie było w nich nic tajemniczego.

Lubił chodzić z innymi studentami z kursów wakacyjnych na kawę do

wielkiej, rześście oświetlonej restauracji Fostera na ulicy Suttera; tam po raz pierwszy w życiu rozmawiał z Azjatami, nowojorskimi Żydami i wykształconymi Murzynami, posługującymi się idealnym angielskim, a także ze starszymi ludźmi, mężczyznami i kobietami, poświęcającymi czas, który mogliby spędzić z rodziną lub w pracy, aby wrócić do szkoły jedynie dla czystej przyjemności.

Właśnie w tym okresie Michael pojął małą tajemnicę rodziny swojej matki. Składając ich historię kawałek po kawałku dowiedział się, że byli niegdyś bardzo bogaci. Ta babka matki ze strony ojca przehuła całą fortunę. Nie zostało z niej nic oprócz jednego rzeźbionego krzesła i trzech krajobrazów w ciężkich ramach. A jednak mówiono o niej jak o kimś wyjątkowym, niby o jakiejś bogini, bowiem objechała cały świat, jadła kawior i przed całkowitym bankructwem zdołała opłacić synowi studia w Harvardzie.

Jeśli zaś chodzi o owego syna – ojca matki Michaela – zapił się na śmierć po utracie żony, „przepięknej” dziewczyny irlandzkiego pochodzenia, z dzielnicy misyjnej w San Francisco. Nikt nie chciał mówić o „Mamie”, i wkrótce stało się oczywiste, że popełniła samobójstwo. „Tata”, który pił bez ustanku aż do śmiertelnego zawału, pozostawił trójce dzieci drobną rentę. Matka Michaela i jej siostra Vivian ukończyły naukę w Zgromadzeniu Serca Jezusowego, po czym podjęły pracę w zawodach odpowiednich dla dam, Wujek Michael był „kubek w kubek podobny do ojca”, o czym mówiono wzdychając, kiedy wypiwszy koniak usnął już na sofie.

Brat matki był jedynym znanym Michaelowi handlarzem, który potrafił sprzedawać ludziom różne rzeczy nie podnosząc się z krzesła. Upiwszy się podczas lunchu wracał do Gumpsa i siedział tam potem, czerwony i wyczerpany, wskazując po prostu palcem piękną porcelanę; wyjaśniał wszystko ani na chwilę nie wstając z miejsc podczas gdy jego młodzi klienci, pary narzeczeńskie, podejmowały decyzję. Ludziom najwyraźniej wydawał się czarujący. Naprawdę wiedział wszystko o eleganckiej porcelanie, i był przy tym

strasznie miłym człowiekiem.

Kiedy Michael tak stopniowo poznawał historię swojej rodziny, wiele rzeczy stało się dla niego jasne. W miarę upływu czasu zrozumiał, że wartości, jakim hołduje jego matka, są w istocie wartościami ludzi bardzo bogatych, chociaż ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Oglądała zagraniczne filmy, ponieważ ją to bawiło, a nie po to, aby nabrać ogłady. Pragnęła, aby Michael poszedł na uniwersytet, ponieważ „powinien” nań pójść. Całkiem naturalnie przychodziło jej robienie zakupów w Marzeniu Młodego Mężczyzny, skąd przynosiła mu swetry z prostym wycięciem na szyi i zapinane na całej długości koszule, w których wyglądał jak chłopiec z prywatnej szkoły. Natomiast o motywacjach i ambicjach klasy średniej zarówno ona jak jej rodzeństwo nie wiedzieli nic. Praca miała dla niej urok, ponieważ sklep I. Magnina był najbardziej elegancki w mieście i spotykała tam miłych ludzi. W wolnych chwilach wypijała coraz większe ilości wina, czytała powieści, odwiedzała przyjaciół i była po prostu szczęśliwą, zadowoloną z życia osobą.

To właśnie wino w końcu ją zabiło. W miarę upływu lat stała się pijaczką o manierach damy, spędzała długie wieczory za zamkniętymi drzwiami sącząc trunek z kryształowego kieliszka i niezmiennie przed porą snu była już nieprzytomna. Wreszcie pewnego razu, bardzo późno w nocy, przewróciwszy się w łazience uderzyła o coś głową. Ranę owinęła ręcznikiem i poszła spać, ani przez chwilę nie zdając sobie sprawy, że powoli wykrwawia się na śmierć. Była już zimna, kiedy Michael wreszcie wyłamał drzwi. Wydarzyło się to na ulicy Wolności, w domu, który Michael kupił i odrestaurował dla swojej rodziny. Co prawda wuj Michael już wtedy nie żył, również z powodu pijaństwa, chociaż w jego przypadku mówiło się o zawale.

Jednakże mimo własnego lenistwa i ostatecznej obojętności wobec świata w ogóle, pani Curry była zawsze dumna z ambicji swego syna. Rozumiała pragnienia Michaela, ponieważ dobrze znała jego samego. Zresztą był on jedyną istotą, która nadawała jej życiu znaczenie.

Zaś ambicja Michaela płonęła szaleńczym płomieniem, kiedy wreszcie wkraczał do uniwersytetu stanowego jako student pierwszego roku.

Tu, na ogromnym kampusie, pośród studentów ze wszystkich klas i pozycji społecznych, Michael czuł się niepozorny, ale potężny. Gotów był rozpocząć prawdziwą naukę. Zdawać by się mogło, że powróciły dawne czasy w bibliotece. Teraz jednak doceniano jego odczytanie. Podziwiano chęć zrozumienia wszystkich sekretów życia, która tak pobudzała go w minionych latach, kiedy ukrywał swoją ciekawość przed tymi, którzy mogliby go wyszydzić.

Nie wierzył własnemu szczęściu. Przechodząc z klasy do klasy całkowicie anonimowy wśród proletariackiej braci studenckiej z plecakami i w ciężkich butach, Michael wysłuchiwał, oczarowany, wykładów profesorów i zdumiewająco inteligentnych pytań zadawanych przez otaczających go kolegów. Wypełniając swój rozkład zajęć nadobowiązkowymi wykładami o sztuce, muzyce, bieżących wydarzeniach, literaturze porównawczej, nawet o teatrze, stopniowo zdobył prawdziwe, staroświeckie wykształcenie humanistyczne.

W końcu robił dyplom z historii, bo z tym przedmiotem dobrze sobie radził, umiał pisać wypracowania i zdawać testy; poza tym wiedział, że jego najnowsza ambicja – zawód architekta – przekracza jego siły. Nie zdołał opanować matematyki, niezależnie od tego, jak bardzo się starał. I na przekór wszystkim wysiłkom nie udało mu się zdobyć ocen, dzięki którym przyjęto by go na czteroletnie architektoniczne studia podyplomowe. Ponadto kochał historię, gdyż była to nauka społeczna. Ludzie zajmujący się tą dziedziną starają się spojrzeć na świat z dystansu i zrozumieć kierujące nim zasady. A to właśnie robił Michael, nawet jeszcze jako młody chłopak w dzielnicy irlandzkiej.

Synteza, teoria, ocena ogólna – to wszystko było dla niego zupełnie naturalne. A ponieważ pochodził z tak obcego niedzisiejszego zakątka, i tak zdumiał go nowoczesny świat Kalifornii, perspektywa historyka była dla niego wytchnieniem. Ponad wszystko uwielbiał czytać dobrze napisane książki o

miastach i stuleciach. Wybierał te pozycje, w których próbowano opisać miejsca lub epoki pod kątem ich korzeni, socjologicznego i technologicznego postępu, zmagania klasowych, sztuki i literatury.

Michael był bardziej niż zadowolony. W miarę jak topniały pieniądze z ubezpieczenia, zaczął pracować na pół etatu u stolarza specjalizującego się w odnawianiu pięknych, starych wiktoriańskich domów. I znów, jak za dawnych czasów, Michael zaczął wręcz pochłaniać lektury o domach.

Kiedy otrzymywał dyplom, starzy przyjaciele z Nowego Orleanu już by go nie poznali. Wciąż miał sylwetkę amerykańskiego futbolisty, masywne ramiona i potężną klatkę piersiową, a stolarka utrzymywała go w dobrej formie. Czarne kręcone włosy, duże błękitne oczy i nieznaczne piegi na policzkach nadal pozostawały najbardziej rzucającymi się w oczy cechami jego wyglądu. Do czytania zakładał okulary w czarnej oprawie. Ubierał się zazwyczaj w sweter kurtkę z irlandzkiego tweedu z łatami na łokciach. Palił nawet fajkę, którą nosił zawsze w prawej kieszeni płaszcza.

W wieku dwudziestu jeden lat czuł się równie swobodnie pracując młotkiem nad drewnianym szkieletem domu jak i szybko wystukując dwoma palcami na maszynie wypracowanie semestralne pod tytułem: „Prześladowania czarownic w Niemczech w XVII wieku”.

Dwa miesiące po rozpoczęciu pracy dyplomowej z historii Michael zaczął przygotowywać się, nie przerywając nauki na uniwersytecie, do państwowego egzaminu dla przedsiębiorców budowlanych. Pracował wtedy jako malarz, przy okazji poznając tajniki tynkarstwa i układania kafli ceramicznych oraz wszystkiego, co wiąże się z budownictwem i przy czym ktoś mógłby go zatrudnić.

Nie rzucał szkoły, gdyż nie pozwalał mu na to głęboko zakorzeniony brak pewności siebie, wtedy jednak zdawał już sobie sprawę, że żadna ilość akademickich atrakcji nie zaspokoi potrzeby, pracy fizycznej na powietrzu, wdrapywania się na drabiny, machania młotkiem, a pod koniec dnia odczuwania

owego ogromnego, podniosłego wyczerpania. Nic nigdy nie zastąpi jego pasji zajmowania się pięknymi domami.

Lubił oglądać rezultaty swojej pracy – naprawione dachy, odnowione schody, beznadziejnie wybrudzone podłogi doprowadzone do wysokiego połysku. Lubił oskrobywać, a później lakierować pięknie wyrobione podpory, balustrady, ramy drzwiowe. Wszechstronny student, uczył się od każdego rzemieślnika, z którym pracował. Kiedy tylko mógł, brał na spytki architektów; kopiował plany pomocne w dalszej nauce. Ślęczał na książkami, pismami i katalogami poświęconymi restauracji i victorianom.

Czasami zdawało mu się, że kocha domy bardziej niż ludzi; był im oddany w podobny sposób, jak marynarze statkom. Po pracy zwykł był przechadzać się samotnie po pokojach, w które tchnął nowe życie. Z miłością dotykał parapetów, mosiężnych gałek, jedwabiście gładkiego tynku. Słyszał wtedy, jak wielki dom do niego przemawia.

Doktorat z historii zrobił w ciągu dwóch lat, w czasach, kiedy Ameryki wrzały od studenckich protestów przeciwko wojnie w Wietnamie, a wśród młodych, którzy zjeżdżali się do Haight Ashbury zapanowała moda na branie psychodelików. Ale już na długo przedtem Michael zdał swój murarski egzamin i założył własną firmę.

Świat dzieci-kwiatów, rewolucji politycznej, wewnętrznej przemiany osiągananej dzięki narkotynom to było coś, czego on całkowicie nie rozumiał, i co nigdy go głęboko nie poruszało. Tańczył w sali Avalonu przy muzyce Rolling Stones'ów; palił trawkę; czasami zapalał kadzidełka; słuchał nagrań Bismilli Kahn i Ravi Shankara. Poszedł nawet ze swoją dziewczyną na happening „Wejrzyjcie w siebie”, w parku Złote Wrota, gdzie Timothy Leary radził zebranej młodzieży: „Bądźcie na fali, dajcie czadu i olewajcie wszystko”. Michaela jednak tylko w nieznacznym stopniu fascynowało to zjawisko.

Historyk, który w nim tkwił nie był w stanie poddać się płytkiej, często głupawej rewolucyjnej retoryce, którą słyszał wszędzie dookoła; śmiał się tylko



po cichu z domorosłego marksizmu swoich przyjaciół, którzy najwyraźniej nie mieli żadnej bezpośredniej styczności z ludem pracującym. Patrzył też z przerażeniem, jak ludzie, z którymi czuł się związany, niszczą swój spokój ducha, jeśli nie umysł, potężnymi środkami halucynogennymi.

A jednak Michael uczył się nowych rzeczy próbując zrozumieć otaczające go wydarzenia. Owo ogromne psychodeliczne zamięślenie do kolorów i wzorów, do muzyki i stylów Wschodu wywarło nieunikniony wpływ na jego poczucie estetyki. Wiele lat później miał utrzymywać, że rewolucja w sferze świadomości, która zaistniała w latach sześćdziesiątych, przyniosła korzyści wszystkim członkom narodu – że renowacja starych domów, budowa wspaniałych publicznych obiektów, projektowanie ukwieconych placów i parków, nawet powstanie skromnych centrów handlowych z marmurowymi podłogami, fontannami i kwietnikami – wszystko to bezpośrednio bierze swój początek z owych przełomowych lat, kiedy hipisi z Haight Ashbury zawieszali paprocie w oknach swoich mieszkań i okrywali swe tanie meble indyjskimi narzutami w żywych kolorach, kiedy dziewczyny wplatały kwiaty w swe wolno puszczone loki, a mężczyźni wyzbywali się monotonnych ubrań na rzecz koszul w jasnych kolorach, włosom zaś pozwalali rosnąć swobodnie.

W jego umyśle nie powstała żadna wątpliwość, że ten okres niepokojów, masowego ćpania i dzikiej muzyki wywarł bezpośredni wpływ na jego karierę. W całym kraju młode pary odwracały się pogardą od małych kwadratowych domków, nowoczesnych przedmieść, i pałając zamięśleniem do nowej struktury, detali i zróżnicowanych form zwróciły uwagę na wdzięczne stare domy śródmieścia. W San Francisco było takich obiektów bez liku.

Michael miał niezmiennie pełną listę oczekujących, na której zapisywał niecierpliwych klientów. Firma Wielkie Nadzieje podejmowała się renowacji, odbudowy, mogła też budować od zera. Wkrótce pod jego nadzorem znajdowały się rozpoczęte budowy na terenie całego miasta. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności, niż wkroczyć do zdewastowanego, zżartego pleśnią

wiktoriańskiego domu na ulicy Divisadero i stwierdzić: „Dobra, zrobię wam z tego pałac w ciągu sześciu miesięcy”. Jego prace zdobywały nagrody. Zasłynął dzięki pięknym i szczegółowym rysunkom. Podejmując się niektórych projektów w ogóle rezygnował z pomocy architekta. Wszystkie jego marzenia stawały się rzeczywistością.

Miał trzydzieści dwa lata, kiedy nabył klasyczny miejski dom na ulicy Wolności, całkowicie go odrestaurował, przygotowując apartamenty dla matki i ciotki. Sam zamieszkał na piętrze, mając z okna widok na światła śródmieścia, tak jak tego zawsze pragnął. Książki, koronkowe firanki, fortepian, eleganckie antyki – wszystko to znalazło się w jego posiadaniu. Zbudował wielki taras na zboczu wzgórza, gdzie mógł siedzieć godzinami i rozkoszować się kapryśnym słońcem Kalifornii. Wieczna nadmorska mgła nierzadko wyparowywała, zanim dosięgła poziomu jego dzielnicy. W ten sposób zdobył nie tylko luksus i elegancję, które ukazały mu się przelotnie dawno temu na Południu, ale również zyskał nieco ciepła i słońca, które wspominał tak miło.

W wieku trzydziestu pięciu lat osiągnął już sukces, który zawdzięczał jedynie sobie, a przy tym zdobył wykształcenie. Pierwszy zarobiony na czysto milion włożył w pakiet miejskich obligacji. Kochał San Francisco, ponieważ czuł, że miasto dało mu to, czego pragnął.

Chociaż, podobnie jak i inni Kalifornijczycy, Michael wymyślił niejako samego siebie, tworząc styl tak idealnie współbrzmiający sposobem bycia wielu podobnych mu ludzi, zawsze po części pozostał owym twardym chłopakiem z dzielnicy irlandzkiej, który dorastając używał kawałka chleba, aby wepchnąć groch na widelec.

Nigdy do końca nie wyzbył się chropawego akcentu, a czasami, kiedy załatwiał sprawy z robotnikami na budowie, przerzucał się nań całkowicie. Rozumiał też doskonale, że nadal cechują go pewne prostackie nawyki i poglądy.

Sposób, w jaki radził sobie z tym wszystkim był istotnie kalifornijski. Po

prostu nie starał się tego ukrywać. Ostatecznie stanowiło to część jego samego. Wkraczając do jakiejś wykwintnej francuskiej restauracji, nie wahał się pytać: „A gdzie mięso i ziemniaki?” (naprawdę lubił mięso z kartoflami, i jadał je kiedy tylko się dało, rezygnując z innych potraw); pozwalał też, aby Camel zwisał mu z wargi przy rozmowie, tak samo niegdyś robił jego ojciec.

Zaś z przyjaciółmi-liberałami radził sobie przede wszystkim dlatego, że nie w głowie mu były kłótnie i kiedy oni wrzeszczeli na siebie nad kuflami piwa dyskutując na temat obcych krajów, w których nigdy nie byli i nie będą, on rysował na serwetkach domy.

Kiedy jednak dzielił się swymi poglądami, robił to w sposób bardzo abstrakcyjny, z dystansu, gdyż w istocie rzeczy zarówno w Kalifornii jak i w dwudziestowiecznej Ameryce czuł się obcym człowiekiem. I nie dziwiło go ani trochę, że nikt nie zwraca na niego wiele uwagi.

Jednak niezależnie od stosowanej taktyki, czuł się najbardziej związany z tymi, którzy byli podobnie jak on ogarnięci jakąś namiętnością – z rzemieślnikami, artystami, muzykami, z ludźmi żyjącymi na pograniczu obsesji. Zdumiewająca liczba jego kochanek była żydowskiego pochodzenia. One naprawdę zdawały się rozumieć jego pragnienie życia wartościowego, chęć wywarcia choćby najmniejszego wpływu na otaczający go świat. Michael marzył o tym, aby samodzielnie budować wielkie domy, przebudować całe ulice, tworzyć w starych dzielnicach San Francisco całe enklawy kawiarni, księgarni, tanich hotelików.

Od czasu do czasu, szczególnie po śmierci matki, wspominał lata spędzone w Nowym Orleanie, które wydawały mu się coraz bardziej nierzeczywiste i fantastyczne. Ludzie w Kalifornii sądzą, że są wolni, a jednak jacyż to konformiści, myślał. Przecież każdy, niezależnie od tego, czy przyjechał z Kansas, Nowego Jorku czy Detroit przyjmował po prostu te same, liberalne poglądy, identyczny sposób myślenia, ubierania się, odczuwania. W istocie ów konformizm bywał czasem po prostu śmieszny. Przyjaciele mówili rzeczy w

rodzaju: „Czy to nie jego bojkotujemy w tym tygodniu?” albo „Ale przecież powinniśmy być przeciwko temu”.

Wyjeżdżając z rodzinnych stron, opuścił być może miasto bigotów, ale przecież i nieprzeciętnych osobowości. Nadal miał w uszach opowieści starych irlandzkich gawędziarzy, albo głos dziadka, który mówił mu, jak to kiedyś będąc jeszcze chłopcem zakradł się do niemieckiego kościoła, żeby posłuchać brzmienia germańskiej łaciny. I jak to w czasach babci Gelfand Curry – ona jedna z całego klanu była niemieckiego pochodzenia – dzieci chrzczono u św. Marii, żeby pocziwej staruszce sprawić przyjemność, a potem zabierano je w sekrecie do św. Alfonsa, aby tam znowu były ochrzczone tym razem jak należy, w irlandzkim kościele, a ci sami księża przewodniczyli cierpliwie obu uroczystościom.

Cóż to były za indywidualności, ci jego wujkowie, owi starzy mężczyźni, którzy jeden po drugim umierali, kiedy on dorastał. Wciąż pamiętał ich opowiadania o tym, jak przepływali Missisipi tam i z powrotem (za jego czasów nikt już tego nie robił), jak, podpiwszy sobie, skakali do wody z dachów magazynów, jak przywiązywali wielkie wiosła do pedałów rowerów, próbując je dostosować do pływania.

Zdawać by się mogło, że wszystko tam stanowi materiał do powieści. Całą letnią noc można było spędzić na gawędach o kuzynie Jamiem Joe'em Curry, który zmienił się w takiego religijnego fanatyka, że rodzina musiała przywiązywać go do słupa na cały dzień, albo o wuju Timothy, który zwariował od oparów atramentu używanego w linotypach, a potem napychał wszystkie szpary wokół drzwi i okien gazetami, i spędzał czas wycinając tysiące papierowych laleczek.

A co powiecie o pięknej ciotce Lelii, która w młodości nieszczęśliwie zakochała się we włoskim chłopcu, i dopiero gdy była stara i siwa dowiedziała się, że to jej bracia pewnej nocy stłukłszy go na kwaśne jabłko, wygnali go z dzielnicy irlandzkiej. Makaroniarze nie byli w ich guście. Ciotka przez całe

życie płakała za tym chłopcem. Z wściekłości przewróciła stół, kiedy jej o tym powiedzieli.

Nawet niektóre zakonnice – te starsze, jak urocza, malutka Bridget Marie, która irlandzkim akcentem wciąż kaleczyła angielski, a przyszła do nich na dwutygodniowe zastępstwo, kiedy Michael był w ósmej klasie – znały wspaniałe opowieści. Siostra nie nauczyła ich niczego. Opowiadała im tylko historie o irlandzkim duchu z Petticoat Loose i o czarownicach – czy uwierzycie? – w Dzielnicy Ogrodów.

Wiele najlepszych opowieści z owych czasów dotyczyło życia codziennego – jak to było, kiedy wlewało się w butelki piwo własnej produkcji, kiedy w domu znajdowały się tylko dwie lampy olejne, kiedy w piątkowe wieczory trzeba było napełniać przenośną wannę, żeby każdy mógł wziąć kąpiel urządzaną przed kominkiem w bawialni. Po prostu życie. Pranie gotujące się nad ogniskiem rozpalonym na podwórku, woda z cystern pokrytych zielonym mchem, moskitiery podtykane pod pościel przed zaśnięciem. Rzeczy teraz już zupełnie zapomniane.

Pamięć tego wszystkiego ożywała w Michaelu w najdziwniejszy sposób. Przypominał sobie zapach lnianych chustek, które babka prasowała przed włożeniem do głębokich szuflad komody z orzechowego drzewa. Nagle czuł smak powideł z dzikich jabłek, jedzonych z krakersami i piwem; straszny dźwięk bębnow podczas ostatnich parad. Stawał mu przed oczami sprzedawca lodu, który biegł ku kuchennym schodom niosąc na wywatowanym ramieniu ogromny, zamrożony blok. I raz po raz słyszał te cudowne głosy, które wtedy wydawały się tak szorstkie. Teraz dostrzegał w nich bogate słownictwo, mnogość dramatycznych wyrażań, prawdziwe ukochanie języka.

Opowieści o wielkich pożarach, o słynnych zamieszkach wśród tramwajarzy i ładowaczy portowych, którzy w czasach, kiedy nie było jeszcze zgniatarek, przymocowywali bale bawełny wielkimi żelaznymi śrubami, śpiewając przy pracy.

Gdy sięgał myślą wstecz, ten miniony świat wydawał mu się wspaniały. W Kalifornii czasami wszystko było takie aseptyczne. Te same stroje, te same samochody, te same dążenia. Może naprawdę San Francisco nie jest dla niego? Może nigdy się tu nie zdomowi? A przecież z pewnością też nie należał do świata, kto opuścił. Toż przez te wszystkie lata nawet nie odwiedził miasta swego dzieciństwa...

Żałował, że w przeszłości nie zwracał więcej uwagi na tych pocziwych facetów z Nowego Orleanu. Za bardzo się wtedy bał.

Jaka szkoda, że nie może teraz pogadać z ojcem, posiedzieć wraz z nim i innymi zwariowanymi strażakami przed remizą w alei Waszyngtona.

Czy te dęby naprawdę były takie wielkie? Czy rzeczywiście tworzyły sklepienie nad ulicą, tak że wzrok biegł poprzez tunel zieleni aż do samej rzeki?

Wspominał kolory zmierzchu na ulicy Zwiastowania, kiedy wracał do domu po treningu. Jakże piękne były pomarańczowe i różowe lantany przeciskające się przez żelazne ogrodzenia. Ach, czy jest gdzieś niebo tak czyste i rozjarzone jak tamto, kiedy ponad dachami domów róż przechodził w fiolet, a potem w złoto? Tak niezemskie miejsce nie może chyba istnieć.

A Dzielnica Ogrodów, ach! Wspomnienia o niej były tak niebiańskie, że aż podejrzane.

Czasami śnił o niej – o tym ciepłym rozświetlonym raju, gdzie przechadzał się wśród wspaniałych pałaców, otoczonych wiecznie kwitnącymi kwiatami i lśniącym, zielonym listowiem. Potem budził się, myśląc – tak, naprawdę tam byłem, spacerowałem po ulicy Pierwszej. Byłem u siebie w domu. To miejsce nie może jednak rzeczywiście tak wyglądać. Michael chciał je zobaczyć raz jeszcze.

Przychodziły mu na myśl pewne określone domy – budowane bez planu wielkie rezydencje na ulicach Koloseum i Trzeciej, gdzie nawet żelazne ogrodzenia pomalowano na białą. I te domy z podwójnymi krużgankami i wejściem z boku, te, które zawsze lubił najbardziej, z czterema kolumnami z

obu stron, długimi ścianami i wysokimi podwójnymi kominami.

Przypomniawszy sobie nawet ludzi, których widywał w czasie swoich długich spacerów, starych mężczyzn w tużurkach i słomianych kapeluszach, damy z laseczkami, czarnoskóre niańki w sztywnych niebieskich mundurkach z bawełny popychające wózki z białymi dziećmi. I ów mężczyzna, ten dziwny, nienagannie ubrany dżentelmen, którego tak często widywał na ulicy Pierwszej w wielkim, zarośniętym ogrodzie.

Pragnął powrócić, aby porównać wspomnienia z rzeczywistością. Chciał zobaczyć mały domek na ulicy Zwiastowania, w którym się wychował, zobaczyć kościół św. Alfonsa, gdzie w wieku dziesięciu lat służył do mszy. A potem, po drugiej stronie ulicy, kościół św. Marii z gotyckimi halami i drewnianymi posągami, gdzie również posługiwał jako ministrant. Czy freski na ścianach św. Alfonsa są rzeczywiście takie śliczne?

Zasypiając, czasami wyobrażał sobie tę świątynię w Wigilię, gdy ludzie zgromadzili się na pasterkę. Na ołtarzu płonęły świece. Do jego uszu dobiegał ekstatyczny hymn „Adeste Fideles”. Wigilia, deszcz bijący o drzwi, a później, w domu, małe drzewko jarzące się w rogu i piecyk gazowy na płycie kuchni. Jak piękne były te małe, błękitne płomyki, jak cudownie wyglądało drzewko, na którym światełka lampek symbolizowały Światłość dla Świata, ozdoby – dary trzech króli, zaś zielone i pachnące, nawet w środku mroźnej zimy gałązki – obietnicę nadchodzącego lata.

Później przyszło mu wspomnienie procesji w trakcie pasterki, kiedy małe dziewczynki z pierwszej klasy przebrane za aniołki miały sanktuarium i szły między rzędami. Przypomniawszy sobie zapach zielonych choinkowych gałązek, który mieszał się ze słodką wonią kwiatów i topniejącego wosku. Dziewczynki śpiewały o dzieciątku Jezus. Dostrzegał tam Ritę Mae Dwyer i Marie Louise Guidry, swoją kuzynkę – Patrycję Annę Becker i wszystkie inne znajome, nieznośne koleżanki, w tym momencie tak pięknie wyglądające w białych sukniach ze sztywnymi skrzydłami z płótna. Z małych potworków zmieniły się

w prawdziwe anioły. Na tym polegała magia Gwiazdki. A kiedy później znalazł się w domu, wszystkie prezenty czekały już pod zapaloną choinką.

Procesje. Tyle ich było. Jednak tej do Marii Dziewicy nigdy naprawdę nie lubił. Matka Boska za bardzo kojarzyła mu się ze złośliwymi zakonnicami, które tak męczyły chłopców, więc nie był w stanie odczuwać wobec niej wielkiego, nabożnego szacunku, co budziło w nim żal, póki nie dorósł na tyle, aby machnąć na to ręką.

Gwiazdki jednak nie zapomniał nigdy. Był to w jego umyśle trwałe jedyny ślad, jaki zostawiła po sobie religia, ponieważ w wigilijnej tradycji wyczuwał wielką, świetlaną historię, która sięgała wstecz poprzez tysiąclecia, do czasów, kiedy w mrocznych lasach płonęły ognie i tańczyli poganie. Uwielbiał wspominać kołyskę z uśmiechniętym niemowlęciem, i ten uroczysty moment o północy, kiedy Chrystus rodzi się na nowo.

W istocie nawet w Kalifornii Wigilia była jedynym dniem, który Michael uznawał za święty. Zawsze obchodził go tak jak inni sylwestra – ponieważ był to dla niego symbol nowego początku: moment, gdy czas zbawia ludzi i odkupuje, wszystkie ich przewinienia, aby mogli zacząć od nowa. Nawet kiedy był sam, siedział z kieliszkiem wina aż do północy, w ciemnym pokoju, który rozświetlały jedynie lampki na małej choince. Zaś w tę ostatnią wspólną Wigilię – kto by pomyślał – sypał śnieg. Bezgłośnie i miękko zaczął wirować na wietrze. Być może w tej samej chwili jego ojciec wpadał właśnie przez płonący dach do magazynu na ulicy Tchoupitoulas.

Tak czy inaczej, Michael nigdy potem nie pojechał do domu, nawet się do tego nie zabrał. Zawsze starał się dokończyć robotę, której termin już minął. Swoje krótkie wakacje spędzał w Europie lub w Nowym Jorku, wędrując wśród wspaniałych pomników i muzeów. Tego domagały się jego kochanki. Któż chciałby oglądać ostatki w Nowym Orleanie, kiedy można było zabawić się w Rio? Po co jeździć na południe Stanów, kiedy można na południe Francji?

Często jednak Michael myślał, że zdobył wszystko, o czym marzył podczas



owych długich spacerów w Dzielnicy Ogrodów i powinien tam wrócić, aby dokonać zestawienia, sprawdzić, czy nie oszukuje samego siebie. Zdarzały się takie chwile, kiedy odczuwał wewnętrzną pustkę. Miał wrażenie, że na coś niezmiernie ważnego czeka. Nie wiedział jednak, cóż to być może?

Jedyną rzeczą, której nie znalazł, była wielka i trwała miłość, wiedział jednak, że to przyjdzie z czasem, i może wtedy właśnie zabierze świeżo poślubioną żonę w podróż do rodzinnych stron i razem będą wędrować po ścieżkach cmentarza lub starych chodnikach. Kto wie? Może będzie mógł tam zostać przez jakiś czas, żeby pochodzić po ulubionych ulicach.

W ciągu tych wszystkich lat miał oczywiście kilka romansów, i przynajmniej dwa ostatnie bardzo przypominały małżeństwo. Obie kobiety były Żydówkami rosyjskiego pochodzenia, obie były namiętne, uduchowione, inteligentne i niezależne. Michael był zamsze boleśnie dumny z tych dystygowanych, bystrych dam. Ich romanse opierały się w równym stopniu na rozmowach jak na zmysłach. Kochanie się, a potem dyskusja przez całą noc; debatowanie nad pizzą i piwem, pogawędka przy wschodzie słońca – oto, co Michael zawsze robił ze swymi kochankami.

Wiele skorzystał z tych związków. Jego dobroduszna otwartość wydawała się owym kobietom bardzo pociągająca, on zaś bez specjalnego wysiłku przyswajał sobie wszystko, czego były w stanie go nauczyć. Uwielbiały jeździć z nim do Nowego Jorku, na Riwierę lub do Grecji, aby ujrzeć, jak uroczo do wszystkiego się zapala i jak głęboko przeżywa wszystko, co ujrzy. Dzieliły się z nim swoją ulubioną muzyką, daniami, poglądami na temat mebli i strojów. Elizabeth nauczyła go, jak kupować odpowiednie garnitury od braci Brooksów i koszule od Paula Stewarta. Judith zabrała go do Bullocka i Jonesa, aby sprawić mu jego pierwszy płaszcz Burberry, a potem poszli do eleganckich fryzjerów doskonale dobierających odpowiednie uczesanie; nauczyła go, jak zamawiać europejskie wina, gotować makaron i objaśniła dlaczego muzyka barokowa jest równie dobra jak klasyczna, którą kochał.

Śmiał się z tego wszystkiego, ale mimo to zyskiwał nową wiedzę. Obie kobiety żartowały sobie z jego piegów, sylwetki ciężarowca, z włosów, które zasłaniały jego duże błękitne oczy, z sympatii, jaką miała dla niego wpadając w odwiedziny rodzina, z jego chłopięcего wdzięku i tego, jak wspaniale wyglądał w czarnym krawacie. Elizabeth nazywała go swoim „twardym facetem o złotym sercu”, a Judith wymyśliła mu przydomek „zabijaka”. Zabierał je na turnieje bokserskie o Złotą Rękawicę, na mecze koszykówki, na piwo do dobrych barów, nauczył je cenić niedzielne rozgrywki piłki nożnej i rugby w parku Złote Wrota, jeśli jeszcze tego nie umiały. Odślaniał przed nimi tajniki samoobrony. Robił to jednak bardziej żartem niż na serio. Zabierał je też do opery i do filharmonii, które odwiedzał z religijnym zapamiętaniem. One zaś zaznałomiły go z Davem Brubeckiem, Milesem Davisem, Billem Evansem i Kwartetem Kronos.

Chłonność Michaela i jego żarliwość nikogo nie pozostawiały obojętnym.

Cechowała go również zawziętość, która prawie zawsze oczarowywała dziewczęta. W przyływie złości lub w przypadku poczucia zagrożenia potrafił na powrót zmienić się w tego ponurego chłopca z irlandzkiej dzielnicy, a kiedy tak się zachowywał, robił wszystko z wielkim przekonaniem i pewnością siebie, a także pewną nieświadomą zmysłowością. Kobietom imponowały również jego zdolności manualne, talent w posługiwaniu się młotkiem i gwoźdźmi, oraz jego nieustrasżoność.

Lęk przed upokorzeniem, tak, to w głębi serca rozumiał, i z tego brały się owe irracjonalne fobie z dzieciństwa, które nadal go prześladowały. Ale obawa przed czymś rzeczywistym? Jako człowiek dorosły nie znał znaczenia takiego strachu. Kiedy w nocy rozlegał się krzyk, Michael pierwszy pojawiał się na schodach, żeby sprawę zbadać.

Ta cecha nie była czymś pospolitym pośród wykształconych mężczyzn. Podobnie jak jego charakterystycznie nieskomplikowany, namiętny i entuzjastyczny stosunek do miłości fizycznej. Lubił seks prosty, bez uduwnień, choć nie gardził paroma ozdobnikami, jeśli jego panie sobie tego życzyły; przy

czym kochał się z równą satysfakcją rano tuż po obudzeniu jak i wieczorem. Tym zdobywał sobie ich serca.

Czuł, że za to pierwsze zerwanie – z Elizabeth – on ponosi winę, gdyż był po prostu za młody i nie dochowywał wierności. Dziewczyna straciła cierpliwość do jego „przygód” i chociaż przysięgał, że nic dla niego nie znaczą, spakowała manatki i opuściła go. Miał złamane serce i bardzo się kajał. Pojechał za nią do Nowego Jorku, ale na próżno. Wrócił do pustego mieszkania i opłakiwał ją przez sześć miesięcy, regularnie szukając pocieszenia w butelce. Później nie mógł uwierzyć, że Elizabeth wyszła za profesora z Harvardu, i nie posiadał się z radości, kiedy w rok później uzyskała rozwód.

Poleciał do Nowego Jorku, żeby ją pocieszać. Pokłócili się w Metropolitan Museum of Art, a on potem płakał przez wiele godzin w drodze powrotnej do domu. Faktycznie wyglądał tak żałośnie, że po wylądowaniu stewardesa zabrała go do swojego domu i opiekowała się nim przez całe trzy dni.

Kiedy Elizabeth przyjechała następnego lata, w życie Michaela wkroczyła już inna kobieta.

Judith i Michael mieszkali razem przez prawie siedem lat i nikomu do głowy by nie przyszło, że mogliby ze sobą zerwać. Wtedy Judith przypadkowo zaszła z Michaeliem w ciążę i wbrew jego życzeniom zdecydowała się nie urodzić.

Było to największe rozczarowanie, jakiego Michael kiedykolwiek doświadczył, i ono zniszczyło miłość między nimi.

Michael nie podważał prawa Judith do usunięcia ciąży. Nie potrafił sobie wyobrazić świata, w którym kobietom odmawiano by swobody wyboru. Zaś tkwiący w nim historyk wiedział, że praw antyaborcyjnych nigdy nie udawało się egzekwować, ponieważ nie istnieje między ludźmi żaden związek, który można by porównać do tego, jaki łączy kobietę i jej nie narodzone dziecko.

Nie, nigdy nie spierał się z tym prawem, sam w istocie gotów byłby go bronić. Nie przewidział jednak, że kobieta żyjąca z nim w luksusie, którą poślubiłby w jednej chwili, gdyby na to zezwoliła, będzie chciała pozbyć się ich

potomka.

Michael błagał, aby tego nie robiła. To jest ich dziecko, czyż nie tak, jego ojciec pragnie go rozpaczliwie i nie może znieść myśli, że nie dadzą mu szansy zakosztowania życia. Nie musi z nimi dorastać, jeśli Judith to nie odpowiada. Michael załatwi mu opiekę gdzie indziej. Będzie je odwiedzał sam. Judith nie będzie musiała o tym wiedzieć. Przed oczami przesuwają mu się wizje guwernantek, eleganckich szkół, wszystkich tych rzeczy, których on sam nie miał. Ale co najważniejsze, owo nie narodzone dziecko, to była żywa istota, krew Michaela płynęła w jego cieniutkich żyłach, i nie widział on żadnego rozsądnego powodu, dlaczego miałyby umrzeć.

Te uwagi wydawały się Judith przerażające. W tamtym okresie nie pragnęła macierzyństwa; nie sądziła, że byłoby ją na to stać. Kończyła właśnie doktorat na uniwersytecie w Berkeley, miała jeszcze jednak pracę do napisania. Zaś jej ciało nie jest przedmiotem, którego można by po prostu użyć w celu dostarczenia potomstwa innej osobie. Wielki wstrząs, jakim byłoby urodzenie tego dziecka, a potem oddanie go obcym – to było coś, co przekraczało jej wytrzymałość. Wyrzuty sumienia prześladowałyby ją do końca życia. Bolało ją, że Michael nie rozumie jej punktu widzenia. Zawsze liczyła na swoje prawo do usunięcia niechcianej ciąży. To była jej, jeśli można to tak określić, siatka bezpieczeństwa. A teraz jej wolność, godność, i zdrowie psychiczne były zagrożone.

Pewnego dnia będziemy mieli dziecko, powiedziała, kiedy tylko przyjdzie właściwy czas dla nas obojga, gdyż rodzicielstwo jest kwestią wyboru i na świat nie powinno przychodzić maleństwo, którego oboje rodzice nie kochają i nie pragną.

Do Michaela żaden z tych argumentów nie przemawiał. Śmierć lepsza niż porzucenie? Jak Judith może mieć wyrzuty sumienia z powodu oddania dziecka obcym, a żadnych po prostu zabijając je? Tak, oboje rodzice powinni pragnąć dziecka. Dlaczego jednak tylko jedno z nich ma prawo decydować, że nie może

ono przyjść na świat? Nie byli ani ubodzy ani chorzy; jej ciąża nie była wynikiem gwałtu. Przecież praktycznie są małżeństwem, i mogliby się pobrać, gdyby Judith wyraziła zgodę! Mieli temu dziecku tak wiele do zaofiarowania. Nawet gdyby wychowywało się u obcych, wiele mogliby dla niego zrobić. Czemu, u diabła, nasze maleństwo ma zginąć? Co to za argument, że to nie osoba? Jest na najlepszej drodze, żeby się nią stać. Inaczej Judith nie chciałyby go zabić. Czy noworodek jest bardziej osobą, na miłość boską?

Tak więc spierali się raz za razem, używając coraz ostrzejszych i bardziej skomplikowanych uzasadnień, na przemian osobistych i filozoficznych, które nie dawały jednak żadnej nadziei na pojednanie.

Wreszcie Michael sięgnął po ostatni rozpaczliwy argument. Niech Judith tylko urodzi to dziecko, a on je ze sobą zabierze. Judith nigdy więcej nie zobaczy ich obojga. W zamian za to on spełni każde żądanie Judith, da wszystko, na czym jej zależy. Płakał, kiedy ją o to błagał.

Judith była zdruzgotana. Michael wybrał dziecko. Starał się kupić jej ciało, cierpienia i to coś, co rosło w jej wnętrzu. Nie mogła przebywać z nim w jednym domu. Nienawidziła go za wszystko, co powiedział. Przeklinała jego pochodzenie, ignorancję, a ponad wszystko zdumiewającą nieżyczliwość wobec niej. Czy jemu się zdaje, że to, co ona zamierza zrobić, jest łatwe? Instynktownie jednak czuła, że powinna zakończyć ów brutalny cielesny proces, zniszczyć ten okruch życia, to niezamierzone istnienie, które teraz lgnęło do niej, rozwijając się wbrew jej woli, niszcząc miłość, jaką Michael do niej żywił, i ich wspólne życie.

Michael nie mógł na nią patrzeć. Pragnie odejść, niech odchodzi. Tak będzie nawet lepiej. Nie chciał wiedzieć, którego dnia i o której godzinie ich dziecko zostanie unicestwione.

Ogarnął go strach. Świat wydawał się szary. Żaden smak ani widok nie sprawiał mu przyjemności. Zdawać by się mogło, że metaliczny mrok ogarnął jego świat. Zblakły wszystkie kolory i odczucia. Wiedział, że Judith cierpi, ale

nie był w stanie jej pomóc. W istocie czuł do niej nienawiść i nic na to nie mógł poradzić.

Rozmyślał o wielebnych nauczycielkach ze szkoły, które były chłopców otwartą dłonią; pamiętał uścisk palców zakonnicy na swoim ramieniu, kiedy wpychała go do szeregu; wspominał ich bezmyślną władzę, małoskowną brutalność. Naturalnie to nie ma nic wspólnego z tą sprawą, mówił sobie. Mimo wszystko Judith odczuwa troskę, Judith jest dobrym człowiekiem. Robi to, co w swoim przekonaniu musi zrobić. On jednak był teraz równie bezradny jak wtedy, kiedy zakonnice, potwory w czarnych welonach, patrolowały korytarze, a ich męskie buty dudniły na wypolerowanym drewnie.

Judith wyprowadziła się, kiedy Michael był w pracy. Rachunek za zabieg, ze szpitala w Bostonie, przyszedł tydzień później. Michael wysłał czek pod odpowiedni adres. Nigdy więcej nie zobaczył Judith.

Po tym doświadczeniu Michael przez długi czas żył samotnie. Kontakty erotyczne z nieznanymi nigdy nie były w jego guście. Teraz jednak obawiał się ich. Wybierał sobie partnerki rzadko i z wielką rozwagą. Był ostrożny aż do przesady. Nie chciał żadnych więcej utraconych dzieci.

Poza tym stwierdził, że nie jest w stanie zapomnieć o martwym niemowlęciu, czy też, mówiąc ściślej, martwym płodzie. I nie chodziło o to, że chciał dręczyć się rozmyśleniami nad tym dzieckiem – nazywał je Małym Chrisem, ale o tym nikt nie musi wiedzieć – zaczął jednak widywać płody w filmach, które oglądał, i w znajdujących w gazetach reklamach filmów.

Jak zwykle kinowe obrazy zajmowały niepoślednie miejsce w życiu Michaela. Nadal stanowiły one główną, nieustającą część jego edukacji. W mrocznej sali zapadał w trans. Wyczuwał jakiś niemalże cielesny związek między tym, co działo się na ekranie, a tym co pojawiała się w jego snach, w podświadomości. Kino wspomagało jego nieprzerwane wysiłki w dążeniu do zrozumienia świata, w którym żył.

Teraz dostrzegł ową osobliwą rzecz, o której nikt poza nim nie wspominał:

czyż filmowe monstra naszych czasów nie przypominają w znaczącym stopniu dzieci, które usuwa się każdego dnia w klinikach jego kraju?

Weźcie na przykład „Obcego” Ridleya Scotta, gdzie mały potworek rodzi się bezpośrednio z piersi mężczyzny – piszczący płód, który, obżerając się ludźmi wyrasta na olbrzyma, wciąż jednak zachowuje swój niezwykły kształt.

A co powiecie o „Eraserhead”, gdzie potworek przypominający płód człowieka, potomek nieszczęsnej pary, bez przerwy zanosi się płaczem?

W pewnej chwili zdawało mu się nawet, że horrorów, w których pojawiają się figury przypominające płody jest zbyt wiele, by można je było wyliczyć. Wystarczy jeszcze wspomnieć „Krewnych” i „Upiory”, i „Leviatana”, i wijące się klony, które, podobne embrionom, wylęgają się ze strąków w „Invasion of the Body Snatches”. Nie mógł patrzeć na tę scenę, kiedy oglądał ją raz jeszcze w Castro. Wstał i wyszedł z kina.

Bóg jeden wie, jak dużo jest jeszcze podobnych filmów. Na przykład nowa wersja „Muchy”. Czyż główny bohater nie upodabnia się w końcu do płodu? A „Mucha 2” z wyraźną symboliką porodu i ponownych narodzin? Temat-rzeka, myślał Michael. A potem przyszedł „Pumpkinhead”, gdzie ogromny, żądny zemsty demon z Appalachów na oczach widzów wyrasta z trupa płodu, i zachowuje tę typową rozrośniętą głowę podczas wszystkich swoich ohydnych rzezi.

Michael starał się zrozumieć, co to znaczy. To chyba nie poczucie winy wywołane przez nasze uczynki, ponieważ wierzymy, że kontrolowanie urodzeń naszych dzieci jest moralnie poprawne, lecz mimo to w naszych niespokojnych snach pojawiają się te maleństwa, które wysyłamy, nie narodzone, w wieczność? A może obawa przed tymi istotkami, które roszczą sobie prawa do nas – wiecznie wolnych niedorostków – i chcą, abyśmy stali się rodzicami. Płody z Piekła! Wbrew samemu sobie parsknął gorzkim śmiechem na taką myśl.

Spójrzcie na „Rzecz” Johna Carpentera, ileż tam wrzeszczących płodopodobnych główek! Na miłość boską, a co powiecie o powszechnie

znanym, starym klasyku, „Dziecku Rosemary”, i tym głupim filmie „Ono żyje”, w którym potworne niemowlę zgłodniawszy zamordowało mleczarza. Nie sposób było uciec od podobnych obrazów. Dzieci-płody. Dostrzegał je, gdziekolwiek się zwrócił.

Zastanawiał się nad tym podobnie, jak niegdyś nad wspaniałymi domami i eleganckimi ludźmi z czarno-białych horrorów jego dzieciństwa.

Nie było sensu rozmawiać o tym z przyjaciółmi. Oni wierzyli, że Judith miała rację, i nigdy nie pojęliby tego, na co starał się zwrócić uwagę. Horrorzy to odbicie naszych niespokojnych snów, myślał Michael. Teraz prześladowuje nas temat narodzin, tych nieudanych, i tych, które zwróciły się przeciwko nam. W myślach znów przeniósł się do kina Szczęśliwa Godzina. W wyobraźni raz jeszcze oglądał „Narzeczoną Frankensteina”. A więc to nauka budziła nasz lęk wówczas, a nawet jeszcze wcześniej, kiedy Mary Shelley spisywała swe natchnione wizje.

Ech, nie był w stanie tego wszystkiego rozgryźć. Po prawdzie nie czuł się historykiem ani znawcą nauk społecznych. Może brakło mu inteligencji. Z zawodu był przecież przedsiębiorcą budowlanym. Odmalowywanie dębowych podłóg i rozkręcanie mosiężnych kurków, tego powinien się trzymać.

Poza tym kobiety bynajmniej nie budziły w nim ani nienawiści ani strachu. Naprawdę. Po prostu były ludźmi, czasami nawet lepszymi od mężczyzn – dzięki swej łagodności i życzliwości. Zazwyczaj ich towarzystwo odpowiadało mu bardziej. Nigdy nie czuł się zaskoczony faktem, że – z wyjątkiem tego jednego przypadku – kobiety zazwyczaj odbierały jego słowa z większym zrozumieniem niż mężczyźni.

Kiedy Elizabeth zadzwoniła, pragnąc rozpalić dawny płomień, Michael był bardzo, bardzo szczęśliwy, wsiadając w samolot do Nowego Jorku. Ich wspólny weekend stanowił samą rozkosz, jeśli nie liczyć wyszukanych zabezpieczeń przed poczęciem, co stawało się już u niego obsesją. Znowu odbudują swój związek, wiedzieli o tym oboje i na samą myśl o tym czuli słodkie podniecenie.



Elizabeth jednak nie chciała się przenieść na wschodnie wybrzeże, a Michael nie potrafił sobie wyobrazić Wielkich Nadziei na Manhattanie. Zaczną więc pisać listy, zastanowią się nad wszystkim, będą rozmawiać przez telefon. Poczekamy, zobaczymy.

W miarę upływu czasu Michael tracił nadzieję, że kiedykolwiek znajdzie miłość, jakiej pragnie.

Żył jednak w świecie, gdzie wielu dorosłych ludzi takiej miłości nie odnalazło. Mieli przyjaciół, wolność, styl, majątek, karierę, lecz nie miłość. Takie były warunki nowoczesnego życia, którym także on sam powoli zaczął się podporządkowywać, a nawet zaczął to uważać za coś, co rozumie się samo przez się.

Otaczało go wielu kolegów z pracy, dawnych kumpli z uniwersytetu; jeśli zechciał, nie brakło mu i damskiego towarzystwa. Obchodząc czterdzieste ósme urodziny doszedł do wniosku, że ma jeszcze czas na wszystko. Czuł się młodo i tak wyglądał, podobnie zresztą jak i inni jego rówieśnicy dookoła. Dalibóg, miał nawet jeszcze te przeklęte piegi. Kobiety nadal wpatrywały się w niego rozmarzonymi oczami, to pewne. W istocie łatwiej przychodziło mu je wabić teraz niż w czasach, gdy był przesadnie niecierpliwym młodym chłopcem.

Kto wie? Może drobny, błahy romans z Therese, kobietą spotkaną niedawno w filharmonii, rozwinie się w coś znaczącego. Therese była za młoda, wiedział o tym i wściekał się na siebie z tego powodu; ale potem ona dzwoniła i mówiła: „Michael, już dawno spodziewałam się twojego telefonu! Ty naprawdę bawisz się ze mną w kotka i myszkę!” I znów szli razem na kolację, a potem do jej mieszkania.

Ale czy tylko prawdziwej miłości mu brakło? Może było coś jeszcze? Pewnego ranka obudził się i w jednej chwili zrozumiał, że lato, na które czekał od tak dawna, nie nadejdzie. Ohydna wilgoć tego miasta już wżarła mu się w kości. Nigdy już nie będzie ciepłych nocy przesyconych zapachem jaśminu, ani łagodniej bryzy znad rzeki czy zatoki. Z tym jednak trzeba się pogodzić, mówił

sobie. Ostatecznie było to już jego miasto. Jakżeż mógłby kiedykolwiek wrócić do rodzinnego domu?

Czasami jednak zdawało mu się, że San Francisco nie zdoła już soczyste barwy ochry i rzymskiej purpury; że kolory te przeszły w monotonną sepię, a przyćmiony blask niezmiennie szarego nieba na zawsze złamał jego ducha.

Czasami miał wrażenie, że nawet piękne domy, które odnawiał, nie są niczym więcej jak tylko teatralnymi dekoracjami pozbawionymi prawdziwych tradycji; eleganckimi pułapkami do chwytania nie istniejącej przeszłości, dającymi poczucie trwałości ludziom, którzy żyli z dnia na dzień, w nieomal histerycznym strachu przed śmiercią.

Ach, był jednak szczęściarzem i wiedział o tym. Z pewnością nadejdą dobre czasy, a przyszłość kryje w sobie wiele dobrych rzeczy

\* \* \*

Tak więc wyglądało jego życie, które w sensie praktycznym już się zakończyło, ponieważ utonął on pierwszego maja i powrócił znękany, opętany, bredząc bez ustanku o żywych i umarłych. Nie mógł zdjąć z dłoni czarnych rękawic, gdyż obawiał się tego, co mógłby zobaczyć, czyli zalewu nic nie znaczących obrazów. Nadal odbierał emocjonalne sygnały nawet od osób, których nie dotykał.

Od tego straszego dnia minęło aż trzy i pół miesiąca. Therese odeszła. Przyjaciele także. Michael stał się więźniem domu przy ulicy Wolności.

Zmienił swój numer telefonu. Nie odpowiadał na góry listów, jakie otrzymywał. Ciotka Viv wychodziła tylnymi drzwiami, aby kupić potrzebne artykuły, których nie można było zamówić z dostawą do domu.

Słodkim, uprzejmym głosem załatwiała nieliczne telefony.

– Nie, Michaela już tu nie ma.

Słyszając to, za każdym razem parskał śmiechem. Bo przecież to była prawda.

W gazetach pisano, że Michael Curry „zniknął”. To również go bawiło. Mniej więcej co dziesięć dni dzwonił do Stacy’ego i Jima, jedynie po to, aby ich powiadomić, że żyje, potem odkładał słuchawkę. Nie mógłby ich winić, jeśli okazaloby się, że już przestali się interesować jego losem.

Leżał teraz w ciemności na łóżku, wlepiając oczy w ekran bezgłośnego telewizora, oglądając znane sceny z „Wielkich Nadziei”. Upiorna panna Havisham w postrzępionym ślubnym stroju rozmawia z małym Pipem, który właśnie wyrusza do Londynu.

Dlaczego Michael traci na to czas? Powinien już wyruszyć do Nowego Orleanu. W tej chwili jednak był na to zbyt pijany. Poza tym miał jeszcze nadzieję, że zadzwoni doktor Morris, któremu Michael zwierzył się ze swego jedyne planu.

– Gdybym tylko mógł się skontaktować z tą kobietą – powiedział doktorowi.  
– Wie pan, właścicielką jachtu, tą, która mnie uratowała. Gdybym tylko mógł ściągnąć rękawice i trzymać jej dłoń, kiedy będę z nią rozmawiał, no cóż, może dzięki niej zdołałbym sobie coś przypomnieć. Rozumie pan, o czym mówię?

– Jesteś pijany, Michael. Słyszę to.

– Fakt, jestem i nadal będę pijany, ale w tej chwili to nieważne. Pan posłucha, co mówię. Gdybym mógł jeszcze raz dostać się na tę łódź...

– Tak?

– No, chciałbym dostać się na jej pokład i dotknąć tego miejsca gołymi rękami... wie pan, desek, na których leżałem...

– Michael, to szaleństwo.

– Doktorze Morris, niech pan się z nią skontaktuje. Jeśli nie chce pan dzwonić, to proszę mi chociaż podać jej nazwisko.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Mam jej powiedzieć, że chcesz pęłzać po pokładzie jej jachtu w poszukiwaniu mentalnych wibracji? Michael, ona ma prawo do ochrony przed czymś takim: być może ta kobieta nie wierzy w takie dyrdymały o mocach parapsychicznych.

– Ale pan tak! Wie pan, że to działa!

– Chcę, żebyś wrócił do szpitala.

Michael, wściekły, odłożył słuchawkę. Żadnych więcej strzykawek, żadnych testów, dziękuję bardzo. Doktor Morris wielokrotnie dzwonił potem do niego, ale wiadomość, którą zostawiał, była zawsze taka sama: „Michael, przyjedź do szpitala. Martwimy się o ciebie. Chcemy cię zobaczyć”.

Potem, nareszcie, obietnica: „Michael, jeśli wytrzeźwiejesz, spróbuję. Wiem, gdzie można znaleźć tę damę”.

Wytrzeźwieć. Rozmyślał nad tym teraz, leżąc na łóżku w ciemności. Wymacał w pobliżu puszkę piwa, otworzył ją. Gość ubzdryngolony piwem to najlepszy gatunek pijaka. W pewien sposób jest to trzeźwość, nie dodał przecież do puszeki wódki ani szkockiej whisky, prawda? To dopiero byłoby picie, trucizna pierwsza klasa, już on coś o tym wiedział.

Zadzwoń do doktora Morrisa. Powiedz mu, że jesteś trzeźwy, tak trzeźwy, jak tylko gotów jesteś być.

Zdawało mu się, że nawet to zrobił. Może jednak tylko mu się przyśniło, może po prostu znów odpływał. Tak uroczo było leżeć tutaj, dzięki alkoholowemu zamroczeniu nie odczuwając rozdrażnienia, nie mając świadomości, że czas ucieka, nie czując rozpacz, że wszystko umknęło mu z pamięci...

Ciotka Viv nalegała: „Zjedz coś na kolację”.

Ale przecież on znów jest w Nowym Orleanie, spaceruje po ulicach Dzielnicy Ogrodów, powietrze jest ciepłe i... ach, ten zapach nocnego jaśminu. Pomyśleć tylko, że przez całe lata nie wdychał owej słodkiej, ciężkiej woni, nie patrzył, jak za dębami rozpłomienia się niebo, a na jego tle każdy najmniejszy liść staje się wyrazisty. Płyty chodnika łamały się nad korzeniami dębów. Zimny wiatr kęsał jego nagie palce.

Zimny wiatr. Tak. Przecież to nie lato, tylko zima, ostra, mroźna nowoorleańska zima, a oni biegną w ciemności, aby zobaczyć ostatnią paradę

tlustego wtorku, Mistyczną Krużę Komusa.

Taka śliczna nazwa, pomyślał Michael we śnie; w owych czasach również wydawała mu się cudowna. W oddali, w alei św. Karola, dostrzegł przed sobą pochodnie uroczystego pochodu i usłyszał bębny, które zawsze budziły w nim strach.

– Pospiesz się, Michael – powiedziała matka i szarpnęła go tak, że omal się nie przewrócił. Jaka straszliwa ciemność panowała na tej ulicy, jak okropny był wtedy chłód przypominający lodowatość oceanu.

– Ale patrz, mamó – chłopiec wskazał palcem poza żelazne ogrodzenie, szarpiąc matkę za rękę. – Tam w ogrodzie jest człowiek.

Dobrze znana gra. Ona powie teraz, że nie ma tam nikogo, i razem będą się z tego śmiać. Ale mężczyzna był tam niewątpliwie, tak jak zawsze – w dali, na skraju wielkiego trawnika, stał pod nagimi białymi gałęziami mirtu. Czy owej nocy dostrzegł Michaela? Zdawało mu się, że tak. Z pewnością wymienili spojrzenia.

– Michael, nie mamy teraz na to czasu.

– Ale, mamó, on tam jest, naprawdę...

Mistyczna Kruża Komusa. Orkiestry dęte towarzyszyły im w marszu swymi ponurymi, dzikimi melodiami, płonęły pochodnie. Tłumy wylewały się na ulicę. Ze szczytów kołyszących się platform z papier mache, mężczyźni w maskach i kostiumach z połyskującej satyny rozrzucaли szklane naszyjniki i drewniane paciorki. Ludzie bili się o nie. Michael, trzymając się matczynej spódnicy, z nienawiścią nadśluchiwał bicia bębnów. Błyskotki wpadały do rynsztoka u jego stóp.

W drodze powrotnej do domu, kiedy obchody ostatków już się skończyły i śmiecie zalegały ulice, zaś powietrze było tak zimne, że zmieniał się w parę, Michael znów zobaczył mężczyznę, który stał tam, gdzie przedtem; ale tym razem chłopiec nie zawracał sobie głowy wspomnianiem o nim.

Trzeba wracać do domu – wyszeptał teraz przez sen. – Trzeba tam wrócić.

Przed oczami miał długie, ażurowe, żelazne ogrodzenie domu na ulicy Pierwszej, boczny ganek za obwisłą moskitierą. I mężczyznę w ogrodzie. Jakie to dziwne, że ten jegomość nigdy się nie zmieniał. A wtedy w maju, po raz ostatni spacerując tymi ulicami, Michael skinął mężczyźnie głową, a tamten uniósł dłoń i pomachał mu.

– Tak, trzeba jechać – wyszeptał raz jeszcze. Ale czy ci ludzie, którzy przyszli do niego, gdy był martwy, nie dadzą mu już żadnego znaku? Z pewnością rozumieją, że zawiodła go pamięć. Pomogą mu. Kruszy się bariera odgradzająca żywych od umarłych. Przejdź na drugą stronę. Ale kobieta z czarnymi włosami powiedziała:

– Pamiętaj, możesz wybrać.

– Ale przecież nie, nie zmieniłem zdania, po prostu nie mogę sobie przypomnieć.

Usiadł na łóżku. Pokój nadal zalegała ciemność. Kobieta o czarnych włosach. Co takiego miała na szyi? Musiał się spakować. Pojechać na lotnisko. Brama. Trzynasta. Rozumiem.

Za drzwiami bawialni siedziała ciotka Viv, szyjąc przy świetle jedynej lampy.

Michael wychylił jeden łyk piwa. Potem powoli opróżnił całą puszkę.

– Proszę, pomóżcie mi – wyszeptał, nie zwracając się do nikogo. – Proszę, pomóżcie mi.

Znów zapadł w sen. Wiał wiatr. Bębny Mistycznej Kruży Komusa napełniały go lękiem. Czy to ostrzeżenie? Czemu nie skaczesz, rzekła w filmie „Rebeka” podła ochmistrzyni do biednej przestraszonej kobiety stojącej w oknie. Czy Michael wkładał nową taśmę? Nie przypominał sobie tego. Ale teraz jesteśmy już w Manderley, prawda? Przysięgłby, że to panna Havisham. Potem usłyszał, jak ona szepcze w ucho Estelli: „Możesz złamać mu serce”. Pip również to usłyszał, lecz zakochał się w niej Pomimo to.

Naprawię ten dom, wyszeptał. Napełnię go światłem. Estello, będziemy

zawsze szczęśliwi. To nie jest szkolny dziedziniec, ani też wiodący do baru długi, pusty korytarz, którym szła ku siostrze Klementynie. „Wracaj do szeregu, chłopcze!” Jeśli trzepnie mnie tak, jak trzepnęła Tony’ego Vedrosa, zabiję ją. Ciotka Viv stała przy nim w mroku.

– Jestem pijany – powiedział.

Włożyła mu w dłoń zimne piwo. Jaka kochana z niej osoba.

– Boże, co za smak.

– Ktoś chce się z tobą widzieć.

– Kto? Kobieta?

– Nie. Miły dżentelmen z Anglii...

– Nie. Ciociu Viv...

– Ale to nie dziennikarze. Przynajmniej tak twierdzi. Nazywa się Lightner. Mówi, że przybył aż z Londynu. Samolot, który przywiózł go z Nowego Jorku, dopiero co wylądował, a on przyjechał prosto pod nasze drzwi.

– Nie teraz. Proszę powiedz mu, żeby sobie poszedł. Ciociu Viv, ja muszę wracać do Nowego Orleanu. Chcę zadzwonić do doktora Morrisa. Gdzie jest telefon?

Wygramolił się z łóżka. Zakręciło mu się w głowie, stał więc przez chwilę, póki to wrażenie nie minęło. Ale to na nic. Ciało miał jak z ołowiu. Z powrotem osunął się na pościel, wracając do swoich snów. Wędrował po domu panny Havisham. Mężczyzna w ogrodzie znów skinął głową.

Ktoś wyłączył telewizor.

– Teraz śpij – powiedziała ciotka Viv.

Do jego uszu dobiegł odgłos oddalających się kroków. Czy to dzwoni telefon?

– Niech mi ktoś pomoże – wyszeptał.

Pokręć się po prostu w pobliżu, idź na małą przechadzkę ulicą Sklepową, skręć w Pierwszą i przejdź obok tego okazałego, lecz zniszczonego starego domu. Zobacz sam, czy we frontowych oknach popękały szyby i czy Deirdre Mayfair ciągle siedzi na tym bocznym ganku. Nie musisz przecież wchodzić i prosić, żeby cię do niej wpuścili.

Bo według ciebie co, u diabła, może się wydarzyć?

Ojciec Mattingly złościł się na samego siebie. Tak naprawdę był to jego obowiązek, odwiedzić tę rodzinę przed wyjazdem na północ. Przecież kiedyś pełnił funkcję proboszcza ich parafii. Znał ich wszystkich. A minął już ponad rok od pogrzebu Nancy. Wtedy to ostatni raz był na południu i widział się z panną Carlą.

Kilka miesięcy wcześniej jeden z młodych księży napisał mu, że Deirdre Mayfair bardzo podupadła na zdrowiu. Przykurcz ściągnął jej ramiona do klatki piersiowej – atrofia mięśni, która zawsze się pojawia w takich przypadkach.

Czeki panny Carli wystawione na parafię Redemptorystów przychodziły regularnie jak zawsze – teraz dostawali je, zdaje się, raz w miesiącu – każdy po tysiąc dolarów, bez żadnych zobowiązań. W ciągu tych wszystkich lat podarowała im majątek.

Ojciec Mattingly naprawdę powinien tam pójść, choćby tylko po to, aby złożyć swoje uszanowanie i osobiście podziękować, tak jak to robił wiele lat temu.



Teraz księża z probostwa nie znali już Mayfairów. Nie słyszeli starych opowieści. Nigdy nie zapraszano ich do tego domu. Zresztą całkiem niedawno przybyli do tej smutnej, starej parafii, z której wiernych ubywało, gdzie przepiękne kościoły zamknięto obawiając się wandalii, a starsze z nich były w ruinie.

Ojciec Mattingly pamiętał jeszcze czasy, gdy każdego dnia na najwcześniejsze msze przybywały tłumy, kiedy przez cały tydzień w kościołach św. Alfonsa i św. Marii odbywały się śluby i pogrzeby. Ciągłe miał w pamięci majowe procesje, nowenny i pasterkę w przepelnionym kościele. Ale nie było już starych irlandzkich i niemieckich rodzin. Gimnazjum zamknięto wiele lat temu. Teraz z okien budynku sypało się szkło.

Cieszył się, że jego wizyta potrwa krótko, bo każdy powrót był smutniejszy od poprzedniego. Jeśli się nad tym zastanowić, ta Parafia przypominała misję duszpasterską. Ojciec Mattingly miał nadzieję, że już nigdy nie zostanie wysłany na południe.

Nie mógł jednak wyjechać nie odwiedzwszy tej rodziny.

Tak, idź tam. Powinieneś to zrobić. Musisz zajrzeć do Deirdre Mayfair. Czyż nie jest ona twoją parafianką?

I nie było w tym nic złego, że chciał sprawdzić, czy plotki mówią prawdę – że rodzina próbowała zamknąć Deirdre w zakładzie, ona oszalała, wybiła z okien wszystkie szyby, zanim na powrót zapadła w katatonię. Ponoć zdarzyło się to trzynastego sierpnia, zaledwie dwa dni temu.

Kto wie, może panna Carla z przyjemnością przyjmie gościa.

Podobne rozważania były jednak tylko grami, w które ojciec Mattingly bawił się z własnym umysłem. Panna Carla z pewnością nie miała ochoty na jego towarzystwo ani teraz, ani przedtem. Minęły lata, odkąd ostatni raz został tam zaproszony. Zaś Deirdre Mayfair jest i zostanie już na zawsze „miłym pękiem marchewek”, jak to określiła pewna pielęgniarka.

Nie, jedynym motywem jego wizyty byłaby ciekawość.

Ale jak, u diabła, ów „pęczek marchewek” mógł podnieść się na nogi i wybić całe szkło z dwóch okien wysokich na trzy i pół metra? Jeśli się nad tym zastanowić, ta opowieść nie trzyma się kupy. I dlaczego ludzie z zakładu jej nie zabrali? Z pewnością mogli jej założyć kaftan bezpieczeństwa. Czy nie tak się postępuje w podobnych wypadkach?

A przecież pielęgniarka Deirdre zatrzymała ich pod drzwiami, wrzeszcząc, żeby wracali, że chora zostaje w domu, że ona z panną Carla się tym zajmą.

Całą tę historię opowiedział księdzu Jerzy Lonigan, przedsiębiorca pogrzebowy. Kierowca karetek z sanatorium, często prowadził też limuzyny firmy Lonigan i Synowie, widział wszystko. Szkło z hukiem leciało na ganek. Sądząc z odgłosów, ktoś porozbijał wszystkie rzeczy w wielkim pokoju od frontu. I jeszcze Deirdre wydająca okropny odgłos, który przypominał wycie. Straszny widok – to przecież tak, jakby ktoś wstawał z grobu.

No cóż, to do ojca Mattingly’ego nie należy. A może jednak?

Na miły Bóg, panna Carla może i chodzi codziennie do pracy, ale przecież przekroczyła już osiemdziesiątkę. A została teraz w domu sama z Deirdre i płatną pomocą domową.

Im więcej ojciec Mattingly się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że powinien iść, nawet jeśli nienawidzi tego domu, Carli i wszystkiego, co o tych ludziach wie. Tak, musi iść.

Naturalnie nie zawsze jego uczucia w stosunku do mieszkańek tej posesji były tak negatywne. Czterdzieści dwa lata temu, kiedy po raz pierwszy przyjechał z St. Louis do tej parafii nad rzeką, panny Mayfair – nawet przysadzista i gderająca Nancy, a już z pewnością słodka Belle i śliczna Millie – wydawały mu się bardzo dystyngowane. Dom oczarował go zegarami z brązu i pluszowymi portierami. Uwielbiał nawet te wielkie zamglone lustra i osłonięte przykurzonym szkłem portrety przodków przybyłych z Karaibów.

Polubił również niewątpliwą inteligencję i stanowczość Carlotty Mayfair, która podawała mu café au lait w pokoju ogrodowym, gdzie siadywali w białych

wiklinowych fotelach przy takimże stoliku, pośród orchidei i paproci w doniczkach. Spędzili niejeden przyjemny wieczór rozmawiając o polityce, pogodzie i historii parafii, którą ojciec Mattingly tak usilnie starał się zrozumieć. Tak, wtedy czuł do nich sympatię.

Lubił też małą Deirdre, sześćoletnie dziecko o ładnej buzi, znane mu tylko przelotnie, a które taka tragedia spotkała zaledwie dwanaście lat później. Czy nie pisze się w podręcznikach, że wstrząs elektryczny może wymazać wszystkie wspomnienia z pamięci dorosłej osoby, tak że staje się ona jedynie milczącą skorupą samej siebie, i patrzy bezmyślnie na padający deszcz, podczas gdy pielęgniarka karmi ją srebrną łyżeczką?

Jakie były prawdziwe motywy tego, co zrobili? Nie odważył się zapytać. Co prawda tłumaczono mu wiele razy, że musieli wyleczyć ją z „przywidzeń”, aby nie krzyczała już w pustym pokoju „Ty to zrobiłeś!” do jakiegoś nieobecnego mężczyzny, do kogoś, kogo przeklinała bez końca za śmierć ojca swego nieślubnego dziecka.

Deirdre. Zapłaczmy nad Deirdre. I tak ojciec Mattingly czynił a nikt oprócz Boga nie dowie się, jak często i dlaczego, chociaż on sam nigdy o tym nie zapomni. Do końca swoich dni będzie pamiętał opowieść, którą mała dziewczynka wyrzuciła z siebie w gorącej drewnianej celi konfesjonau, wówczas jeszcze dziecko, które miało spędzić resztę owego życia gnijąc w tym domu przykrytym całunem winorośli, podczas gdy świat poza nim galopował ku wiecznemu potępieniu.

To tak niedaleko. Złóż wizytę. Może stanie się to swego rodzaju cichym pomnikiem upamiętniającym tę małą dziewczynkę. Nie próbuj niczego zrozumieć ani poskładać w logiczną całość. Nawet po tych wszystkich latach. Opowieści o diabłach usłyszane z ust dziecka wciąż brzmią ci w uszach! *Skoro raz zobaczy się tego mężczyznę, to już koniec.*

Ojciec Mattingly podjął decyzję. Nałożył płaszcz, poprawił koloratkę i czarny gors, po czym wyszedł z klimatyzowanej plebanii na gorący, wąski

chodnik ulicy Constance. Nie patrzył na chwasty pieniaące się na schodkach kościoła św. Alfonsa. Nie zwracał uwagi na gryzmoły na ścianach starej szkoły.

Jeśli cokolwiek widział spiesząc ulicą Józefiny, a potem skręcając za róg, była to przeszłość. A potem, zaledwie dwa bloki dalej, wkroczył w inny świat. Zniknęło oślepiające słońce, a wraz z nim kurz i uliczny zgiełk.

Zamknięte okiennice, zacienione ganki. Cichy syk ogrodowych zraszaczy za ozdobnymi ogrodzeniami. Intensywny zapach czarnoziemiu narzuconego na korzenie troskliwie pielęgnowanych krzaków róż.

No dobrze, a co powiesz, kiedy tam dotrzesz?

Jak na sierpień upał nie dokuczał zanadto, a mimo to było dokładnie tak, jak kiedyś powiedział ten młody ksiądz z Chicago: „Zaczynasz świetnie, ale potem ubranie staje się coraz cięższe i cięższe...” Myśląc o tym, Mattingly nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

Co oni, ci młodzi, myślą o tych spustoszeniach? Nie ma sensu opowiadać im, jak to dawniej bywało. Ach, ale samo miasto, i ta stara dzielnica – te są piękne jak zawsze.

Szedł przed siebie, aż dostrzegł poplamioną i łuszczącą się ścianę domu Mayfairów, która wznosiła się ponad dachami innych budowli, a jej podwójny komin jakby płynął na tle chmur. Zdawać by się mogło, że winorośle chcą wciągnąć ten stary gmach pod ziemię? – Czy na żelaznym ogrodzeniu jest więcej rdzy niż wtedy, kiedy je ostatni raz widział? I ten ogród, prawdziwa dżungla.

Ksiądz zwolnił kroku, ponieważ tak naprawdę wcale nie miał ochoty na tę wizytę. Nie chciał oglądać z bliska marniejącego ogrodu, gdzie melia i oleandry zmagaly się z trawą wybujałą jak zboże: ganków z odpadającą farbą, przybierających już tę blado-szarą barwę, którą stare, nie chronione drewno przybiera w wilgotnym klimacie Luizjany.

Nie miał nawet ochoty przebywać w tej cichej, opuszczonej dzielnicy. Nic się tutaj nie poruszało oprócz owadów i ptaków. Rośliny powoli chłoneły światło i błękit nieba. Kiedyś musiało to być bagno. Wylęgarnia zła.

Co za nedorzeczne myśli przychodzą mu do głowy. Cóż zło ma wspólnego z bożą ziemią i tym, co w niej rośnie – nawet z dżunglą zaniedbanego ogrodu Mayfairów.

A mimo to wciąż huczały mu w głowie wszystkie opowieści, jakie kiedykolwiek słyszał o kobietach z rodziny Mayfair. Czym jest voodoo jeśli nie kultem diabła? Który grzech jest gorszy, morderstwo czy samobójstwo? Tak, zło kwitło w tym domu. Znów miał w uszach szept małej Deirdre. Wyczuwał zło, kiedy opierał się o żelazne ogrodzenie, kiedy spoglądał w górę ku twardym, splekanym gałęziom dębu, które rozchyłały się nad jego głową.

Ojciec Mattingly przetarł chustką czoło. Owego pamiętnego dnia mała Deirdre powiedziała mu, że widziała diabła! Teraz słyszał jej głos równie wyraźnie jak w konfesjonale wiele lat temu. Nic nie było w stanie zagłuszyć tupotu jej nóg, kiedy pędem opuszczała kościół; uciekała od niego, bo nie był w stanie jej pomóc.

Ale cała ta historia miała jeszcze wcześniejszy początek. Wszystko zaczęło się pewnego ponurego, leniwego piątkowego popołudnia, kiedy siostra Bridget Marie wezwała księdza na szkolny dziedziniec. Znowu chodziło o Deirdre Mayfair.

Przed owym dniem ojciec Mattingly nawet nie wiedział o istnieniu Deirdre Mayfair. Przybył dopiero co z południa, z seminarium duchownego w Kirkwood, w stanie Missouri.

Siostrę Bridget Marie znalazł dość szybko na asfaltowym podwórzu za starym budynkiem klasztoru. Jakżeż europejski wydawał mu się wtedy ten klasztor, jak niezwykle i smutny z tymi popękkanymi ścianami i sękatym drzewem otoczonym czworobokiem ławek.

Podchodząc, z radością powitał cień. Potem zauważył, że małe dziewczynki siedzące na ławce płaczą. Siostra Bridget Marie trzymała drżące dziecko za chude ramię. Dziewczynka zbieła ze strachu. A mimo to była śliczna: niebieskie oczy, robiące wrażenie zbyt wielkich dla jej twarzyczki, czarne włosy

skręcone w staranne loki, które teraz trzęsły się przy jej policzkach, ręce i nogi ładnie wymodelowane, a przy tym delikatne.

Wszędzie na ziemi leżały porozrzucane kwiaty – wielkie gladiolusy, białe lilie, długie pióra zielonych paproci, a nawet śliczne uformowane czerwone róże. Rośliny najwyraźniej pochodziły z kwaciarni, a jednak było ich tak dużo...

– Czy pan to widzi, ojczy? – wykrzyknęła siostra Bridget Marie. – Te małe złodziejki, miały dość tupetu, żeby mi powiedzieć, że to jej niewidzialny przyjaciel, diabeł we własnej osobie, przyniósł tutaj te gladiole i lilie, i wręczył jej na ich oczach! One ukradły kwiaty z ołtarza kościoła św. Alfonsa...!

Dziewczynki zaczęły wrzeszczeć. Jedna tupiała nogami. Z zastrasżającą gwałtownością rozbrzmiały okrzyki: „Widziałyśmy! Naprawdę widziałyśmy!” Zduszone łkania jednych ośmielały drugie, aż powstał prawdziwy chór.

Siostra Bridget Marie krzykiem nakazała im ciszę. Potrząsnęła dziewczynką, którą trzymała za ramię, chociaż dziecko nie odezwało się słowem. Usta małej rozchyliły się w szoku, jej oczy zwróciwszy się na Mattingly’ego przekazały mu ciche błaganie.

– Ależ, siostry, proszę – zaczął ksiądz i łagodnie uwolnił dziecko, które w oszołomieniu poddawało się bezwolnie. Miał ochotę wziąć ją na ręce, wytrzeć twarz, na której łzy pozostawiły brudne smugi. Ale nie zrobił nic.

– Jej niewidzialny przyjaciel – powtórzyła siostra. – Ten, ojczy, który znajduje wszystko, co zginie, i wkłada jej do kieszeni pieniądze na słodycze! A one to jedzą, i owszem, napychają się łakociami kupionymi za ukradzione pieniądze, może ksiądz być pewien.

Dziewczynki zawodziły jeszcze głośniejsze. Nagle Mattingly zdał sobie sprawę, że depta po kwiatkach, a ciche dziecko o bladej twarzyczce patrzy na jego stopy, na miażdżone przez nie białe płatki.

Niech dzieci wejdą do środka – powiedział. Należało przede wszystkim zapanować nad sytuacją. Dopiero wtedy będzie w stanie wyłuskać jakiś sens ze słów siostry Bridget Marie.

Jednak kiedy już pozostali sami, historia okazała się nie mniej fantastyczna. Dzieci twierdziły, że widziały, jak kwiaty lecą w powietrzu, a następnie lądują w ramionach Deirdre. Śmiały się wtedy do rozpuku. Magiczny przyjaciel Deirdre zawsze je rozśmieszał, mówiły. Potrafił odnaleźć zgubiony zeszyt lub ołówek. Wystarczyło poprosić Deirdre, a wtedy on jej to przynosił. Dzieci utrzymywały nawet, że widziały tego przyjaciela – miłego mężczyznę o kasztanowych włosach i brązowych oczach, który pojawiał się na sekundę stojąc u boku Deirdre.

– Ojcie, ją trzeba odesłać do domu – powiedziała siostra. – To się ciągle zdarza. Ja dzwonię wtedy do jej ciotecznej babki Carli albo do ciotki Nancy i przez jakiś czas jest spokój. Potem wszystko zaczyna się od nowa.

– Ale nie wierzy siostra...

– Ojcie, to jedno lichy. Albo w tym dziecku siedzi jakiś czort, albo ona kłamie jak diabeł, i zmusza koleżanki, aby wierzyły w jej zwariowane opowieści, zupełnie jakby je zaczarowała. Deirdre nie może zostać u św. Alfonsa.

Ojciec Mattingly krocząc pewnie i powoli sam zaprowadził panienkę Mayfair do domu. Żadne z nich nie odezwało się słowem. Telefonicznie powiadomiono pannę Carlę urzędującą w swoim biurze na mieście. Wraz z panną Millie oczekiwały ich na frontowych schodach wielkiego domu.

A wtedy była to piękna rezydencja. Pomalowana na głęboki fioletowy kolor, z zielonymi okiennicami, białymi obramieniami wokół drzwi i okien, i balustradami na gankach pociągniętymi lśniąca czarną farbą, dzięki czemu tak wyraźnie odznaczały się żelazne rozety. Winoroślą tworzyły jeszcze wtedy wdzięczny rysunek liści i barw, nie zaś groźnie wyglądający kłęb, w jaki zamieniły się od tego czasu.

– Wybujala wyobraźnia, ojcie – stwierdziła panna Carla bez śladu z troskania. – Millie, małej najbardziej potrzebna jest teraz kąpiel.

I dziecko odeszło nie odezwawszy się słowem, zaś panna Carla po raz

pierwszy zabrała ojca Mattingly'ego do przeszklonego pokoju ogrodowego na cafe au lait przy wiklinowym stoliku. Panna Nancy, ponura i nieładna, przyniosła filiżanki i srebra.

Porcelana Wedgwood z połączanymi brzegami. Płócienne serwetki z wyhaftowaną literą M. A ta panna Carla, cóż to za bystra dama. Wydawała się nieco sztywna w jedwabnym kostiumie o prostym kroju i białej bluzce z falbankami, ze szpakowatymi włosami ściągniętymi w schludny węzeł z tyłu głowy i wargami starannie umalowanymi blad różową pomadką. Jej domyślny uśmiech sprawił, że Mattingly od razu poczuł się swobodnie.

– Można to nazwać przekleństwem naszej rodziny, ojczyste, ten nadmiar wyobraźni. – Nalała gorącego mleka i kawy z dwóch małych srebrnych dzbanków. – Miewamy dziwne sny, wizje; chyba powinniśmy zajmować się poezją czy malarstwem. Nie prawem, tak jak ja. – Zaśmiała się cicho, swobodnie. – Deirdre dojdzie do siebie, kiedy nauczy się odróżniać fantazję od rzeczywistości.

Później oprowadziła go po pokojach na parterze. Dołączyła do nich i panna Millie. W odróżnieniu od Carli była bardzo kobieca – twarz w otoczeniu staromodnych rudych loczków, na palcach pierścionki z kamieniami. Poprowadziła go do okna, żeby pomachać starej panie Belle, która przycinała róże wielkim sekatorem o drewnianych rączkach.

Carla wyjaśniła, że Deirdre pojedzie do szkoły sióstr Najświętszego Serca, skoro tylko będzie tam miejsce. Wyraziła żal z powodu tego niemądrego incydentu u św. Alfonsa; naturalnie zatrzymają Deirdre w domu, jeśli tak sobie życzy siostra Bridget Marie.

Mattingly zaczął protestować, ale decyzja już zapadła. Nic prostszego, jak przyjąć dla Deirdre guwernantkę, kogoś, kto zna się na dzieciach – czemu nie?

Spacerowali razem wzdłuż głębokich, zacienionych ganków.

– Nasza rodzina jest stara, ojczyste – mówiła Carla, kiedy wchodzili z powrotem do podwójnego salonu. – Nie wiemy nawet, jak bardzo. Nie ma już



nikogo, kto potrafiłby rozpoznać niektóre z tych portretów, które widzi ksiądz wokół siebie. – W jej głosie brzmiało rozbawienie zabarwione znużeniem. – Pochodzimy z wysp, tyle wiadomo na pewno – z pewnej plantacji na San Domingo – a jeszcze wcześniej nasze korzenie sięgają Europy, ale już ślad zaginął. Pełno tu tajemniczych pamiątek. Czasami wyobrażam sobie ten dom jako wielką, twardą skorupę, którą niby ślimak muszę nosić na plecach.

Jej dłonie przesuwały się lekko po fortepianie, po pozłacanej harfie. Przyznała, że nie ma upodobania do takich rzeczy. Co za ironia, że to właśnie jej przypadła rola strażnika. Panna Millie uśmiechnęła się tylko, po czym skinęła głową.

A teraz, jeśli ksiądz wybaczy, pożegnamy się, ponieważ panna Carla naprawdę musi wracać do miasta. Klienci czekają. Razem wyszli przez bramę.

– Bardzo ojcu dziękuję!

W ten sposób wszystko zbyt machnięciem ręki, a mała dziewczynka o bladej twarzyczce i czarnych lokach opuściła szkolne mury św. Alfonsa.

Jednakże podczas dni, które nadeszły, jedna rzecz trapiła ojca Mattingly'ego – a mianowicie sprawa kwiatów.

Trudno sobie wyobrazić bandę małych dziewczynek gramolącą się przez balustradę, aby obrabować ołtarz tak ogromnego i wspaniałego kościoła. Nawet ulicznicy, których ojciec Mattingly znał jako chłopiec, nie odważyliby się na coś podobnego.

A według siostry Bridget Marie, co naprawdę się wydarzyło? Czy dzieci rzeczywiście potajemnie zabrały te kwiaty? Niewysoka, potężnie zbudowana zakonnica o okrągłej twarzy przez chwilę mierzyła go wzrokiem. Potem zaprzeczyła.

– Ojczy, Bóg mi świadkiem, to przekłeta rodzina, ci Mayfairowie. Babka tej właśnie dziewczynki, pani Stella, opowiadała takie same historyjki na tym samym szkolnym dziedzińcu wiele lat temu. Stella Mayfair miała zatrważającą władzę nad ludźmi, którzy ją otaczali. Pod tym dachem mieszkały zakonnice,

które śmiertelnie bały się jej narazić; czarownica, mówiły o niej wtedy i teraz.

– No, no, siostró – natychmiast sprzeciwił się ksiądz. – Nie chadzamy mglistymi drogami Tipperary, szukając ducha z Petticoat Loose.

– Ach, słyszał ksiądz tę bajkę – zaśmiała się.

– Od własnej matki na Wschodnim Nabrzeżu, siostró, wiele razy.

– Cóż, wobec tego, pozwoli ksiądz, że mu tylko tyle powiem: ta Mayfair wzięła mnie kiedyś za rękę i trzymała ją ot tak, po czym zaczęła wyjawiać moje własne sekrety, o których ja nie wspomniałam żywej duszy po tej stronie Atlantyku. Przysięga ojciec. To się przydarzyło mnie. Była taka pamiątka, którą zgubiłam w domu, łańcuszek z krzyżykiem. Jako dziewczynka wypłakiwałam oczy, kiedy mi zginął. I właśnie tę błyskotkę opisała mi Stella Mayfair: „Chce go siostra z powrotem?” – zapytała mnie. A przez cały czas uśmiechała się na swój słodki sposób, tak samo jak teraz jej wnuczka Deirdre. Więcej w tym było niewinności niż sprytu. „Zdobędę go dla siostry”, powiedziała. „Dzięki mocom diabelskim, prawda, Stello Mayfair?” – odparłam. „Nie, nie zgadzam się na to”. Ale niejedna siostra, która uczyła u św. Alfonsa, obierała inną drogę, i tak właśnie Stella zdobywała władzę nad otaczającymi ją ludźmi, stawiając na swoim w tej czy innej sprawie. Trwało to nieprzerwanie aż do samego dnia jej śmierci.

– Zabobony, siostró! – rzekł ksiądz autorytatywnie. – A matka małej Deirdre? Chce mi pani powiedzieć, że i ona była czarownicą?

Siostra Bridget Marie potrząsnęła głową.

– Ach, Antha, zagubiona dusza; nieśmiała, słodka, bała się własnego cienia – zupełnie niepodobna do matki, a przynajmniej do czasu, kiedy tę zabito. Trzeba było widzieć twarz panny Carlotty na pogrzebie Stelli. A miała ten sam wyraz, kiedy chowali Anthę. No, Carla, drugiej takiej mądrali ze świecą by szukać w Parafii Najświętszego Serca. To ona jest ostoją tej rodziny, chociaż jej matka zawsze miała ją w nosie. Mary Beth Mayfair zależało jedynie na Stelli. Podobnie było ze starym panem Julienem, czyli wujem Mary Beth?. Stella,

Stella, Stella. A Antha była ponoć pod koniec zupełnie obłąkana. Nie miała więcej niż dwadzieścia lat, kiedy wbiegła na schody tego starego domu, wyskoczyła z okna na strychu i na dole roztrzaskała sobie głowę o kamienie.

– Taka młoda – wyszeptał ksiądz. Przypomnił sobie bladą, przestraszoną twarzyczkę Deirdre Mayfair. Ile miała lat, kiedy jej młoda matka popełniła samobójstwo?

– Anthę, niech się Bóg zlituje nad jej duszą, pochowano w poświęcanej ziemi. Bo któż może oceniać stan umysłu takiej osoby? Jej głowa rozłupała się jak arbuz, kiedy uderzyła o taras. W tym czasie malutka Deirdre darła się wniebogłosy w swojej kołysce. A jednak nawet Anthy można się było lękać.

Ojcu Mattingly'emu nieomal kręciło się w głowie, chociaż już od dzieciństwa wysłuchiwał podobnych historii, bo tak właśnie Irlandczycy dramatyzują rzeczy ponure, składając żywiłowy hołd tragedii. Po prawdzie nużyło go to bardzo. Chciał zapytać...

Ale zadzwonił dzwonek. Dzieci ustawiały się w porządnym szeregu przed wymarszem na zewnątrz. Siostra musiała odejść, nagle jednak odwróciła się do niego:

– Ksiądz pozwoli, że mu opowiem jedną historię o Ancie – odezwała się, zniżając głos ze względu na ciszę, jaka zapanowała na korytarzu. – A jest to najlepsza, jaką znam. Dawnymi czasy my zakonnice siadałyśmy do obiadu o dwunastej w południe, a dzieci czekały cicho na dziedzińcu, dopóki nie odmówiono Anioł Pański, a potem podziękowania za dary Boże. Obecnie ludzie nie mają wiele szacunku dla podobnych zwyczajów, ale wtedy tak właśnie to się odbywało. I pewnego wiosennego dnia, podczas tej chwili milczenia, paskudna, zła dziewczynka, którą nazywali Jenny Simpson podeszła do biednej, nieśmiałej Anthy chcąc ją nastraszyć ścierwem szczura, które znalazła pod żywopłotem. Antha rzuciła okiem na trupa i wydaje mrozący krew w żyłach wrzask, ryk, ojciec, jakiego ludzkie ucho nie słyszało! Wtedy my naturalnie zrywamy się od stołu, przybiegamy i co widzimy, jak ksiądz myśli? Złośliwa Jenny Simpson leży,

ojcze, przewrócona na plecy, z twarzą całą we krwi, a szczur wyrwany z jej dłoni przelatuje właśnie nad tym żywopłotem! Myśli ksiądz może, że to wszystko dzieło małej Anthy? Tej kruszynki, równie delikatnej jak dziś jej córka Deirdre? O, nie! To ten niewidzialny czort we własnej osobie, to była jego robota, ojcze, tego samego diabła, który tydzień temu na tym samym dziedzińcu zesłał Deirdre kwiaty.

– Siostra ma mnie chyba za żółtodzioba... – zaśmiał się ojciec Mattingly – jeśli sądzi, że w coś takiego uwierzę.

A ona uśmiechnęła się. Ksiądz wiedział jednak, że każda Irlandka może się śmiać z tego, co mówi, a jednocześnie być przekonana o prawdziwości każdego słowa.

Mayfairowie fascynowali go tak jak wszystko, co skomplikowane i eleganckie. Opowieści o Stelli i Ancie były wystarczająco odległe, aby traktował je jako romantyczne bajki i nic więcej.

W następną niedzielę raz jeszcze odwiedził Mayfairów. Znowu podjęto go kawą i miłą rozmową – jakież to było dalekie od opowieści siostry Bridget Marie. W tle radio grało Rudy'ego Valee. Stara panna Belle podlewała senne doniczkowe orchidee. Z kuchni płynął zapach pieczonego kurczaka. Bardzo przyjemny dom.

Poproszono go nawet, aby został na niedzielny obiad – na pięknie nakrytym stole były już gotowe grube płócienne serwetki tkwiące w srebrnych kółkach – ale grzecznie odmówił. Panna Carla wypisała czek dla parafii i wetknęła mu go w rękę.

Wychodząc dostrzegł w ogrodzie bladą twarzyczkę Deirdre która obserwowała go zza starego sękatego drzewa. Pomachał jej ręką nie zwalniając kroku, potem jednak dostrzegł w wyglądzie dziewczynki coś niepokojącego. Czy to były jej potargane loki? A może rozbiegane spojrzenie?

Szaleństwo, oto co opisywała mu siostra Bridget Marie, i z troską myślał, że być może grozi ono także tej mizernej dziewczynce. Ojciec Mattingly nie

widział nic romantycznego w prawdziwym obłędzie. Od dawna wyznawał pogląd, że szaleńcy żyją w piekle bezsensu. Nie dostrzegają istoty życia, które się wokół nich toczy.

Panna Carlotta jest jednak rozsądną, nowoczesną kobietą. To dziecko nie jest więc skazane na to, aby pójść w ślady matki. Wręcz przeciwnie, będzie miało wszelkie możliwości dalszego, normalnego rozwoju.

Minął miesiąc, zanim jego pogląd na dom Mayfairów zmienił się raz na zawsze – owego niezapomnianego niedzielnego popołudnia, kiedy Deirdre Mayfair przyszła do spowiedzi do kościoła św. Alfonsa.

Zdarzyło się to w tych ustalonych godzinach, kiedy wszyscy dobrzy katolicy, zarówno Irlandczycy jak i Niemcy, przychodzili systematycznie, aby przed niedzielną mszą i komunią oczyścić swe sumienia.

Siedział zatem w ozdobnym drewnianym konfesjonale na wąskim krześle za zieloną zasłoną z serży, wysłuchując penitentów klęczących w małych celkach na przemian po jego prawej i lewej stronie. Takich głosów i grzechów mógłby słuchać w Bostonie czy Nowym Jorku, tak podobne były akcenty, troski, pomysły.

„Trzy zdrowaśki”, zwykł był zalecać. Albo: „Trzy razy „Ojcze nasz”. Rzadko zadawał więcej tym ciężko pracującym mężczyznom i dobrym gospodyniom, przychodzącym, aby się spowiadać z rutynowych grzeszków.

Owego dnia zaskoczył go niespodziewanie dziecięcy głosik, który nadpłynął prędko i rześki zza ciemnej, zakurzonej kraty, zdradzając inteligencję i przedwczesną dojrzałość. Z początku nie rozpoznał go. Ostatecznie Deirdre Mayfair nie wypowiedziała dotąd ani jednego słowa w jego obecności.

– Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłam. Ostatni raz byłam w spowiedzi wiele tygodni temu. Proszę, niech mi ksiądz pomoże. Nie potrafię walczyć z diabłem. Próbuję, ale nigdy mi się nie udaje. A przecież pójdę za to do piekła.

Cóż to takiego, wpływy siostry Bridget Marie? Ale zanim zdążył przemówić, dziecko już ciągnęło dalej, a on zorientował się, że to Deirdre.

– Nie kazałam diabłu odejść, kiedy przyniósł kwiaty. Chciałam mu rozkazać i wiedziałam, że powinnam była to zrobić. Ciocia Carla jest na mnie bardzo, bardzo zła. Ale on tylko pragnął zrobić nam przyjemność. Przysięgam ojcu, on nigdy mi nie dokucza. I płacze, kiedy na niego nie patrzę, albo nie słucham, co mówi. Nie wiedziałam, że przyniesie kwiaty z ołtarza! Czasami robi takie głupie rzeczy, jak małe dziecko, albo nawet jeszcze bardziej nierozsądne. Ale on nie zamierzał nikogo skrzywdzić.

– No, no, zaczekaj chwilę, kochanie, skąd ci przyszło do głowy, że sam diabeł chciałby dręczyć małą dziewczynkę? Czy nie chcesz mi powiedzieć, co się naprawdę stało?

– Ojczy, on nie jest taki, jak mówi Biblia, przysięgam. Nie ma w nim nic brzydkiego, wręcz przeciwnie, jest wysoki i piękny. Zupełnie jak prawdziwy mężczyzna. I nie opowiada kłamstw. Robi miłe rzeczy, zawsze. Kiedy się boję, on przychodzi, siada na łóżku i całuje mnie. Naprawdę. I straszy ludzi, którzy chcą mnie skrzywdzić!

– Wobec tego dlaczego mówisz, że to diabeł, dziecino? Czy nie lepiej powiedzieć, że to wymyślony przyjaciel, ktoś, kto istnieje po to, żebyś nigdy nie była samotna?

– Nie, ojczy, to diabeł – powiedziała z całą stanowczością. – On nie jest prawdziwy, ale i nie jest wymyślony. – W cichym głosiku brzmiał smutek i znużenie. Klęczała przed nim malutka kobieta w przebraniu dziecka zmagająca się z ogromnym ciężarem, nieomal w rozpacz. – On jest obok mnie, ale nikt inny go nie widzi, a wtedy patrzę i patrzę, aż wreszcie wszyscy mogą go zobaczyć! – Głos dziewczynki załamał się. – Ojczy, ja się staram nie patrzeć. Mówię: Jezus, Maria, i próbuję odwrócić wzrok. Wiem, że to śmiertelny grzech. Ale on jest taki smutny, i płacze nie wydając głosu, a ja go słyszę.

– No, dziecino, czy mówiłaś o tym cioci Carli? – Głos księdza brzmiał spokojnie, choć w rzeczywistości szczegółowa relacja dziecka zaczęła go niepokoić. To więcej niż „nadmiar wyobraźni”, czy jakkolwiek podobny

nadmiar, z jakim się kiedykolwiek spotkał.

– Ojczy, ona wie o nim wszystko. Inne ciotki też. Mówią o nim „ten mężczyzna”, ale ciocia Carla twierdzi, że tak naprawdę to jest diabeł. To ona mówi, że znajomość z nim to grzech, podobnie jak dotykanie się między nogami, brzydkie myśli, czy jak to, że kiedy on mnie całuje, czuję dreszcze i różne takie. Pewnego razu wykrzyczała mi, że to ohyda patrzeć na tego mężczyznę i pozwalać, żeby wchodził pod kołdrę. Mówi, że on może mnie zabić. Mama też go widywała przez całe życie i właśnie dlatego umarła i poszła do nieba, żeby się od niego uwolnić.

Ojciec Mattingly osłupiał. A ponoć nie można zaskoczyć księdza w konfesjonale, czyż nie tak brzmi to stare powiedzenie?

– Matka mamy też go widziała – ciągnęło dziecko w pośpiechu, podniesionym głosem. – A ona była naprawdę, naprawdę niedobra, i to z jego winy; i przez niego też umarła. Tylko że babcia pewnie poszła do piekła zamiast do nieba. Może i ja tam pójdę.

– Nie, dziecino, zaczekaj. Kto ci tego wszystkiego naopowiadał!

– Ciotka Carla, ojczy – upierała się dziewczynka. – Ona nie chce, żebym poszła do piekła jak Stella. Kazała mi się modlić i odpędzać go, powiedziała, że potrafiłabym, gdybym tylko zechciała, gdybym zmawiała różaniec i nie patrzyła na niego. Ojczy, ona tak się na mnie złości, kiedy pozwalam mu przyjść... – Deirdre przerwała. Płakała, choć najwyraźniej starała się zdusić szloch. – Ciotka Millie zaś okropnie się boi. A ciotka Nancy nie chce na mnie patrzeć. Mówi, że w naszej rodzinie, jak się już raz zobaczy tego mężczyznę, to już koniec.

Ojciec Mattingly był zbyt wstrząśnięty, aby się odezwać. Szybko odchrząknął.

– Chcesz powiedzieć, że twoje ciotki wierzą, iż ten majak jest rzeczywisty...

– One zawsze o nim wiedziały, ojczy. Poza tym każdy może go zobaczyć, kiedy pozwolę mu nabrać dość sił. Przysięgam, że nie kłamię. Każdy. Tylko widzi ojczy, to ja muszę sprawić, żeby przyszedł. Dla innych ludzi patrzenie na

niego nie jest grzechem śmiertelnym, bo to ja go sprowadzam. To moja wina. Nie można by go było zobaczyć, gdybym na to nie pozwalała. I, ojcze, ja po prostu, ja po prostu nie rozumiem, jak diabeł może być dla mnie taki miły, płakać tak strasznie, kiedy jest smutny i tak bardzo pragnąc jedynie być przy mnie... – Głos dziewczynki przeszedł w cichy szloch.

– Nie płacz, Deirdre! – powiedział Mattingly stanowczo. Ależ to nie mieści się w głowie! Ta rozsądna, „nowoczesna” kobieta w dobrze skrojonym kostiumie opowiadała dziecku wszystkie te zabobony? A co powiedzieć o innych, na miłość boską? Toż w porównaniu z nimi siostra Bridget Marie to Zygmunt Freud we własnej osobie. Starał się dojrzeć Deirdre przez ciemną kratę. Czy wyciera sobie oczy rękami?

Jej żywy głosik rozbrzmiał nagle z bolesnym pośpiechem.

– Ciotka Carla mówi, że to grzech śmiertelny nawet myśleć o nim. On przychodzi natychmiast, kiedy wypowie się jego imię! Ale kiedy ona tak do mnie przemawia, ów mężczyzna stoi tuż obok mnie i szepcze, że to nieprawda... i ojcze, ja wiem, że to okropne mówić coś takiego, ale ciotka Carla czasami kłamie, czuję to, nawet kiedy on się nie odzywa. Najgorzej jest jednak wtedy, gdy on się pojawia i straszy ją. A ona mu grozi! Mówi, że jeśli nie zostawi mnie w spokoju, to ona zrobi mi krzywdę! – Głosik dziewczynki ponownie się złamał i przeszedł w prawie niesłyszalny szloch. Zdawała się taka mała, taka bezradna! – Ale przez cały czas, ojcze, bez względu na to czy jestem sama, czy na mszy ze wszystkimi, ja wiem, że on jest tuż obok. Wyczuwam go, słyszę, jak płacze i mnie to też doprowadza do łez.

– Dziecino, zastanów się dobrze, zanim mi odpowiesz. Czy twoja ciotka naprawdę mówiła, że widzi tę zjawę?

– O tak, ojcze. – Bezbrzeżne znużenie. Czy on jej wierzy? Przecież o to właśnie błagała.

– Staram się zrozumieć, kochanie, szczerze tego pragnę, ale ty musisz mi pomóc. Czy jesteś pewna, że ciotka Carla mówiła, iż widzi go na własne oczy? –



ksiądz z naciskiem powtórzył pytanie.

– Ojcie, ona go już widywała, kiedy ja byłam malutka i nawet nie wiedziałam, że potrafię przywoływać diabła. Ujrzała go w dniu śmierci mojej matki. Huśtał moją kołyskę. A kiedy babcia Stella była jeszcze dziewczynką, on przychodził wraz z nią do stołu na obiad. Powiem ojcu jeden straszny sekret. Mamy w domu portret mojej matki, i ten mężczyzna tam jest, stoi przy niej. Wiem o tym obrazie, bo go wyciągnął i dał mi, chociaż ciotki go schowały. Otworzył szufladę toaletki nawet jej nie dotykając, a potem włożył mi portret w rękę. Robi takie rzeczy, kiedy jest naprawdę silny, gdy towarzyszy mi już przez długi czas, lub myślę o nim cały dzień. Właśnie w takich chwilach wszyscy wiedzą, że on jest w domu a ciotka Nancy spotyka się z ciotką Carlą przy drzwiach i szepcze: „Ten mężczyzna jest tutaj. Właśnie go widziałam”. A wtedy ciotka Carla jest taka zła. To wszystko moja wina, ojcie! Boję się, że nie potrafię go powstrzymać. A ciotki tak się złością.

Szloch dziewczynki przybrały na sile, odbijając się echem od drewnianych ścian celki. Na pewno słyhać ją było w całym kościele.

I cóż on miał odpowiedzieć? Złość aż się w nim gotowała. Co za wariactwo opętało te kobiety? Czy w całej tej rodzinie nie ma nikogo, kto miałby choć szczyptę zdrowego rozsądku i załatwił tej dziewczynce pomoc psychiatry?

– Kochanie, posłuchaj. Chcę cię prosić o zgodę, żebym mógł o tym wszystkim porozmawiać poza konfesjonalem z twoją ciotką Carlą? Czy mogę?

– Och nie, proszę, nie wolno ojcu!

– Dziecino, nie zrobię nic bez twojego pozwolenia. Ale uwierz mi, muszę porozmawiać o tym z twoją ciotką. Deirdre, przy jej pomocy będę w stanie odpędzić tę zjawę.

– Ojcie, ona mi nigdy nie daruje, że opowiedziałam to wszystko. Nigdy. To śmiertelny grzech nawet wspominać o tym. Ciotka Nancy też mi nie wybaczy do końca życia. Nawet ciotka Millie będzie zła. Ksiądz nie może jej powiedzieć, że mówiłam mu o nim – W jej głosie zaczynała pobrzmiwać histeria.

– Ja jestem w stanie zmazać ten śmiertelny grzech, dziecino – wyjaśnił. – Mogę ci dać rozgrzeszenie. Od tej chwili, Deirdre, twoja dusza jest czysta jak łąza. Zaufaj mi. Pozwól mi porozmawiać z ciotką Carlą.

Przez pełen napięcia moment jedyną odpowiedzią był płacz. A potem, zanim jeszcze usłyszał odgłos obracającej się klamki u drewnianych drzwiczek, wiedział, że ją utracił. W ciągu kilku sekund dobiegł go tupot nóg, kiedy uciekała od niego między rzędami ławek.

Powiedział to, czego nie powinien, niewłaściwie ocenił sytuację! Teraz nie już nie mógł zrobić, skrępowany tajemnicą konfesjonału. A swój sekret powierzyło mu udręczone dziecko zbyt małe jeszcze, żeby popełnić śmiertelny grzech, albo odnieść korzyść z sakramentu, którego szukało.

Nigdy nie zapomniał tej chwili, kiedy siedział bezradnie, słysząc echo jej kroków w przedsionku kościoła, dusząc się w cieple i duchocie konfesjonału. Dobry Boże, co powinien zrobić?

Ale dla ojca Mattingly'ego męka dopiero się rozpoczęła.

Przez wiele kolejnych tygodni księdza dręczyła obsesja – te kobiety, ten dom...

Nie mógł jednak działać na podstawie tego, co usłyszał, ani komukolwiek powtórzyć wyznań dziewczynki. Konfesjonał zobowiązywał go do tajemnicy w słowach i czynach.

Nie odważył się nawet wypytywać siostry Bridget Marie, choć ta z własnej woli dostarczała mu dość informacji, podczas przypadkowych spotkań na podwórzu. Sumienie gryzło go, kiedy tego słuchał, nie był jednak w stanie odejść.

– Oczywiście, przenieśli Deirdre do Najświętszego Serca, i owszem. Myśli ojciec, że ona tam zostanie? Jej matkę, Anthę, wyrzucono z tej szkoły kiedy miała zaledwie osiem lat. Urszulanki też czym prędzej pozbyły się jej. Wreszcie znaleziono prywatną szkołę, jedno z tych zwariowanych miejsc, gdzie pozwalają dzieciom chodzić na uszach. Och, jakimże nieszczęśliwym stworzeniem była ta

mała dziewczynka; ciągle pisała wiersze, opowiadania, gadała do siebie, pytała, jak zginęła jej matka. A przecież wie ksiądz, że to było morderstwo. Stelle Mayfair zastrzelił jej brat Lionel. I zrobił to na balu kostiumowym w tym ich domu. Spowodował prawdziwe pandemonium. Lustra, zegary, okna, wszystko poszło w drzazgi, zanim panika została opanowana. Stella tymczasem leżała już martwa na podłodze.

Ojciec Mattingly potrząsnął tylko głową ze współczuciem.

– Nic dziwnego, że Antha później oszalała, i nie minęło dziesięć lat, jak skumała się z malarzem, który nigdy nie zawracał sobie głowy ślubem. A on zostawi ją w trzypiętrowym bloku bez windy w Greenwich Village, w środku zimy, bez pieniędzy i z malutką Deirdre na głowie, tak że musiała ze wstydem wracać do domu. Nie upłynęło wiele czasu jak wyskoczyła z tego okna na strychu, biedactwo, ale cóż za diabelskie życie miała w tym domu, gdzie ciotki czepiały się jej bezustannie, obserwowały każdy jej ruch i zamykały ją na noc na klucz. A ona uciekała do dzielnicy francuskiej i upijała się, w jej wieku, niech sobie ksiądz wyobrazi, w towarzystwie poetów i pisarzy, mając nadzieję, że zwrócą uwagę na jej prace. Zdradzę ojcu pewien dziwny sekret. Przez wiele miesięcy po jej śmierci przychodziły do niej listy, a jej rękopisy wracały z Nowego Jorku od ludzi, do których je wysyłała. I cóż to za boleść dla panny Carlotty, kiedy listonosz za każdym razem przynosił jej wspomnienie takich cierpień.

Ojciec Mattingly zmówił w duszy modlitwę za Deirdre. Niechaj cień zła jej nie dotknie.

– Mówiono mi, że jedno z opowiadań Anthy pojawiło się w miesięczniku wydawanym w Paryżu, ale wszystko w nim było po angielsku. Kiedy przysłano to do panny Carlotty, ona raz na to spojrzała i natychmiast zamknęła na klucz. Opowiadała mi to jedna z kuzynek Mayfairów – jak to proponowali, że zabiorą niemowlę – malutką Deirdre – ale Carla odpowiedziała, że nie, zatrzyma ją, winna jest to Stelli, Ancie i swojej matce, a także samemu dziecku.

Wracając na plebanie ojciec Mattingly zaszedł do kościoła. Przez dłuższą chwilę stał w cichej izdebce zakrystii, patrząc na główny ołtarz widoczny przez otwarte drzwi.

Plugawą przeszłość mógł wybaczyć Mayfairrom bez trudności. Przychodzili na ten świat równie nieświadomi jak reszta śmiertelników. Ale żeby wypaczać umysł małej dziewczynki kłamstwami o diable, który doprowadził jej matkę do samobójstwa? Nie był jednak w stanie nic zrobić. Mógł tylko modlić się za Deirdre, co zresztą czyni do dziś.

Deirdre wydalono z akademii św. Małgorzaty na krótko przed Gwiazdką, a ciotki wysłały ją do kolejnej prywatnej szkoły w północnych stanach.

Nieco później ksiądz dowiedział się, że znów wróciła do domu, że niedomaga i uczy się pod kierunkiem guwernantki; raz zdarzyło mu się dostrzec ją pośród tłumu na mszy o dziesiątej. Nie przyjęła komunii, ale Mattingly widział ją siedzącą w ławce wraz z ciotkami.

Urywek po urywku, coraz lepiej poznawał historię Mayfairów. Najwyraźniej cała parafia wiedziała, że on odwiedzał ich dom. Babcia Lucy O'Hara ujęła jego dłoń. „Ludzie gadają, że Deirdre Mayfair wysłano z miasta, a ksiądz był w ich domu z jej powodu, czy nie tak, ojcze?”. Wielkie Nieba, co mógł odpowiedzieć? Zamieniał się więc w słuch.

– O, ja znam tę rodzinę. Mary Beth, to była wielka dama; ona mogłaby księdzu opowiedzieć wszystko o starych plantacjach. Urodziła się na jednej z nich tuż po wojnie secesyjnej, a do Nowego Orleanu przybyła dopiero w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Przywiózł ją tutaj jej wuj Julien. A był to prawdziwy stary południowiec-dżentelmen. Wciąż pamiętam, jak nadjeżdżał konno aleją św. Karola; najprzystojniejszy starzec, jakiego w życiu widziałam. Mieli oni, jak powiadają, naprawdę wspaniałą rezydencję na plantacji w Riverbend, jej zdjęcia pojawiały się w książkach, nawet kiedy już szła w ruinę. Pan Julien i Mary Beth robili co mogli, żeby ocalić tę posiadłość wraz z uprawami. Nie można jednak powstrzymać rzeki, kiedy ta ma ochotę porwać

dom.

O, to była prawdziwa piękność, Mary Beth; czarnowłosa, o dzikim wyglądzie, nie tak delikatna jak Stella lub brzydka jak panna Carlotta. Ludzie mówią też, że i Ancie los nie poskąpił urody, chociaż mnie osobiście nigdy nie udało się zobaczyć ani jej, ani tej biednej dziewczyny Deirdre. Za to Stella była prawdziwą szamańską królową. Znała te wszystkie proszki, napary, ceremonie. Umiała odczytywać los ludzki z kart. Wróżyła też mojemu wnukowi Scanowi. Wystraszyła go śmiertelnie tym, co mu naopowiadała. Zdarzyło się to podczas jednej z tych szalonych zabaw na ulicy Pierwszej, gdzie szmuglowana wódka lała się strumieniami, a kapela przygrywała w samym salonie. Cała Stella.

O tak, lubiła mego Billy'ego. – Szybki gest w stronę wyblakłej fotografii na biurku. – Tego, który zginął na wojnie. Mówiłam mu: „Billy, posłuchaj mnie. Trzymaj się z dala od tych panien Mayfair”. Stella lubiła wszystkich przystojnych młodych mężczyzn. Oto dlaczego brat ją zabił. W pogodny dzień potrafiła przywołać na niebo chmury. To prawda, ojciec, przysięgam przed Bogiem. Miała zwyczaj straszyć zakonnice od św. Alfonsa wywołując burze nad samiotkim ogrodem. A tej nocy, kiedy umarła, trzeba było widzieć tę nawałnicę, jaka rozpętała się nad domem. Ludzie powiadają, że wyleciały wszystkie szyby z okien. Deszcz i huraganowy wiatr dookoła całego domu. Stella skłoniła niebiosa, żeby nad nią płakały.

Ojciec Mattingly siedział oniemiały, popijając mdłą herbatę z dodatkiem mleka i cukru. Starał się zapamiętać każde słowo.

Nigdy więcej nie odwiedził już Mayfairów. Nie miał odwagi. Nie chciał, aby to dziecko – jeśli jeszcze tam było – pomyślało, że zamierza mówić o sprawach, które miał obowiązek na zawsze zachować w tajemnicy. Wypatrywał tych kobiet na mszy, ale widywał je rzadko. Być może chodziły do drugiego kościoła, albo do małej kapliczki dla bogatych w Dzielnicy Ogrodów.

Mimo to czeki od panny Carli przychodziły nadal. O tym wiedział. Ojciec Lafferty, który zajmował się w parafii księgowością, pokazał mu tuż przed

Gwiazdką czek na dwa tysiące dolarów – opatrując go cichą uwagą o tym, jak to Carlotta Mayfair używa pieniędzy, aby świat wokół niej pozostawał miły i spokojny.

– Ich małą siostrzenicę odesłano do domu z tej szkoły w Bostonie; przypuszczam, że ksiądz o tym słyszał.

Mattingly zaprzeczył. Stał w drzwiach biura ojca Lafferty’ego, i czekał...

– No cóż, myślałem, że świetnie się ksiądz dogaduje z tymi paniami – rzekł parafialny księgowy. Ojciec Lafferty mówił to, co myślał; wyglądał na więcej niż sześćdziesiąt lat i nie był plotkarzem.

– Odwiedziłem je tylko jeden czy dwa razy – odparł Mattingly.

– Teraz mówią, że mała Deirdre niedomaga – ciągnął Lafferty. Położył czek na biurku, na zielonej suszce, przyjrzał mu się uważnie. – Nie może chodzić do zwykłej szkoły, musi siedzieć w domu z prywatną nauczycielką.

– To smutne.

– Tak, tym bardziej że nikt nie zajdzie tam i nie sprawdzi, czy to dziecko rzeczywiście otrzymuje przyzwoite wykształcenie.

– One mają dość pieniędzy...

– Naturalnie, wystarczająco dużo, żeby wszystko zatuszować. Zawsze tak robiły. Nawet morderstwo uszłoby im na sucho.

– Tak ksiądz myśli?

Zdawać by się mogło, że ojciec Lafferty dyskutuje sam ze sobą. Nie odrywał wzroku od czeku Carlotty Mayfair.

– Słyszał ksiądz, jak przypuszczam, o tej strzelaninie, podczas której Lionel Mayfair zabił swoją siostrę Stellę? Nie spędził za to w więzieniu nawet jednego dnia. Panna Carlotta wszystko załatwiła. Pomagał jej w tym pan Cortland, syn Julienu. Zastrzelono kobietę, a nikt nie miał żadnych pytań, wątpliwości, podejrzeń.

– Ale jak na Boga zdołaliby...

– Szpital psychiatryczny, naturalnie, a już tam Lionel odebrał sobie życie,

choć nikt nie wie jak, skoro miał na sobie kaftan bezpieczeństwa.

– Ojciec nie mówi serio.

Lafferty potrząsnął głową.

– Dlaczego miałbym żartować? I znów nikt nie miał żadnych pytań. Msza żałobna taka sama jak zwykle. A potem przyjechała ta mała Antha, ksiądz wie, córka Stelli – płacząc, wrzeszcząc, twierdząc, że to Carlotta zmusiła Lionela, żeby zamordował jej matkę. Powiedziała to tutaj, w tym salonie na lewo. Oprócz pastora byłem jeszcze ja, ojcowie Morgan i Graham. Wszyscy to słyszeliśmy.

Mattingly słuchał w milczeniu.

– Mała Antha przyznała, że nie chce wracać do domu. Boi się panny Carlotty. Twierdziła, że ciotka powiedziała Lionelowi: „Co z ciebie za mężczyzna, jeśli nie powstrzymasz tego, co się tu dzieje”, dała mu nawet rewolwer kaliber 38., żeby zastrzelił Stellę. Może ktoś inny chciałby zadać parę pytań na ten temat – ale nie pastor. On wziął słuchawkę i zadzwonił do panny Carlotty. Kilka minut później pojawiła się wielka czarna limuzyna i zabrała małą Anchę.

Ojciec Mattingly wpatrywał się w niepozornego chudego mężczyznę za biurkiem. *I ja nie zadawałem żadnych pytań.*

– Pastor stwierdził później, że dziewczyna jest chora psychicznie. Ponoć mówiła dzieciom, że przez ściany słyszy rozmawiających ludzi i potrafi czytać ich myśli. Powiedział, że z czasem Antha uspokoi się. Szaleje po prostu z powodu śmierci matki.

– Ale później jeszcze się jej pogorszyło?

– W wieku dwudziestu lat wyskoczyła z okna na strychu, oto co zrobiła. I znów żadnych pytań. Po prostu miała nie poklei w głowie, a poza tym, to było przecież tylko dziecko. Msza pogrzebowa – jak zwykle.

Ojciec Lafferty obrócił czek na drugą stronę i przybił pieczęć, na której widniała nazwa parafii.

– Czy ksiądz sugeruje, że powinienem odwiedzić Mayfairów?

– Nie, ojczy, niczego nie sugeruję. Prawdę powiedziałwszy sam nie wiem, po co to mówię. Ale teraz żałuję, że panna Carlotta nie zgodziła się na to, aby dziewczynkę zabrano z tego domu. Pod tym dachem zbyt wiele jest złych wspomnień. To już nie miejsce dla dziecka.

\* \* \*

Kiedy ojciec Mattingly usłyszał, że Deirdre znów wysłano do szkoły – tym razem do Europy – zdecydował, że musi pójść w odwiedzin. Nadeszła wiosna, zaś od czasu owej nękającej go spowiedzi minęły ponad trzy lata. Ksiądz musiał się przemóc, aby podejść do tej znajomej bramy – choćby dlatego, że nic innego nie przychodziło mu na myśl.

Nie zdziwił się, gdy Carlotta jak dawniej zaprosiła go do długiego, podwójnego salonu, a na tacy przyniesiono komplet do kawy. Wszystko odbywało się bardzo serdecznie. Ksiądz uwielbiał ten wielki pokój. Z ustawionymi naprzeciw siebie lustrami. Po pewnym czasie dołączyła do nich panna Millie, potem panna Nancy, która przeproszała za brudny fartuch. Nawet stara panna Belle zjechała windą, o której istnieniu ksiądz nie wiedział, gdyż skrywały ją wysokie, trzyipółmetrowe drzwi, niczym nie różniące się od innych. Natychmiast zorientował się, że stara panna Belle jest głucha.

Pod pretekstem rozmowy o błahostkach obserwował zgromadzone kobiety, starając się zrozumieć, co kryją ich powściągliwe uśmiechy. Nancy to popychadło, Millie trzpiotka, Belle to prawie zdziecinniała staruszka. A Carla? O, ta zasługiwała na wszystko, co o niej mówiono – kobieta z głową, dama biznesu, sprytna prawniczka. Rozmawiali o polityce, korupcji w miastach, o rosnących cenach i zmieniających się czasach. Jednak ani podczas tej wizyty ani żadnej innej nie wymieniono imienia Anthy, Stelli, Mary Beth, Lionela. Faktycznie ani razu nie mówili o przeszłości, a on nie zdobył się na to, aby poruszyć ten temat, nie zadał nawet prostego pytania, które wiązałoby się z



jakimś przedmiotem w pokoju.

Opuszczając stary dom zerknął na wyłożone kamiennymi płytami, zarośnięte chwastami patio. *Głowa rozłupała się jak arbuz*. Idąc ulicą zerknął za siebie, ku oknom strychu. Teraz w całości pokrywały je winorośle, okiennice wisiały krzywo.

To już ostatnia wizyta, powiedział sobie. Niech ojciec Lafferty się tym zajmie. Albo niech wszyscy zostawią ten dom w spokoju.

\* \* \*

Jednakże w miarę jak mijały lata, narastało w nim poczucie, że nie stanął na wysokości zadania.

W wieku dziesięciu lat Deirdre Mayfair uciekła z domu; odnaleziono ją dwa dni później, kiedy w deszczu szła samotnie nad kanałem św. Jana, przemoknięta do suchej nitki. Później był następny internat gdzieś daleko – w Irlandii, w hrabstwie Cork – a potem kolejny powrót do domu. Siostry twierdziły, że miewała koszmary, chodziła we śnie, mówiła dziwne rzeczy.

Później doszły ich słuchy, że Deirdre jest w Kalifornii. Mayfairówny podobno miały tam kuzynów, którzy się nią zaopiekowali. Może zmiana klimatu wyjdzie jej na dobre.

Ojciec Mattingly wiedział już, że nigdy nie wymaże z pamięci płaczu tego dziecka. Czemu w imię Boże nie próbował zastosować wobec niej innej taktyki? Modlił się, żeby opowiedziała jakiemuś mądrymu nauczycielowi lub lekarzowi to, co mówiła jemu, aby ktoś, gdzie przyszedł z tą pomocą, której on, ksiądz, nie zdołał jej udzielić.

Nie pamiętał już, kiedy dokładnie dowiedział się, że Deirdre wróciła z Kalifornii. Dopiero w 1956 roku powiedziano mu, że dziewczynka jest w internacie w śródmieściu, u św. Róży z Limy. Potem doszła go plotka, że ją ponownie wyrzucono i uciekła do Nowego Jorku.

Pewnego dnia, na stopniach kościoła panna Kellerman dokładnie opowiedziała mu o wszystkim. Usłyszała to od swojej pokojówki, która знаła „tę kolorową”, która czasem pomaga w domu Mayfairów. Deirdre znalazła w skrzyni na strychu opowiadanie swojej matki, „wszystkie te bzdury o Greenwich Village”. Dziewczyna uciekła, aby odnaleźć swego ojca, chociaż nikt nie wiedział, czy ten żyje.

Cała eskapada zakończyła się zamknięciem Deirdre w Bellevue, a panna Carlotta poleciała do Nowego Jorku, żeby przywieźć dziewczynę do domu.

Później, pewnego letniego popołudnia 1959 roku, przy stole w kuchni ojciec Mattingly dowiedział się o „skandalu”. Osiemnastoletnia Deirdre zaszła w ciążę. Wydalono ją ze szkoły w Teksasie. Kto był ojcem? Czy ksiądz uwierzy? Jeden z jej nauczycieli, a przy tym żonaty i protestant. Rozwiódł się z żoną, z którą żył przez dziesięć lat, żeby poślubić Deirdre!

Najwyraźniej cała parafia o tym tylko mówiła. Panna Carlotta stwierdziła, że umywa ręce. Natomiast ciotka Nancy zebrała Deirdre do Gusa Mayera, żeby jej kupić ładną sukienkę na ślub cywilny. Deirdre wyrosła na śliczną dziewczynę, równie piękną jakiegoś Antha i Stella. Jest śliczna, mówiono, jak panna Mary Beth.

Ojciec Mattingly pamiętał jedynie przerażone dziecko o bladej twarzyczce. Kwiaty miazdzone stopą.

Ślub miał się nigdy nie odbyć.

Kiedy Deirdre była w piątym miesiącu, ojciec dziecka zginął w drodze do Nowego Orleanu. Wypadek na drodze nad rzeką. W starym fordzie z 1952 roku pękł drążek kierowniczy. Niedoszły pan młody stracił panowanie nad samochodem i uderzył w dąb. Natychmiast nastąpił wybuch.

Później, pewnego gorącego lipcowego wieczoru, spacerując wśród tłumów na przykościelnym bazarze ojciec Mattingly usłyszał najdziwniejszą jak dotąd historię o Mayfairach, opowieść, która miała go później prześladować podobnie jak spowiedź Deirdre.

Na asfaltowym podwórzu rozwieszono lampy. Panowie bez marynarek wraz z paniami w bawełnianych sukienkach przechadzali się od jednej drewnianej budki do drugiej, od tej do tamtej gry. „Postaw grosik na wirujące koło, wygrasz czekoladowe ciastko albo misia”. Asfalt miękł od gorąca. Piwo lało się przy barze skleconym naprędce z desek ułożonych na beczkach. Księdzu zdawało się, że gdziekolwiek by się zwrócił, do jego uszu dochodzą szepty o tym, co dzieje się w rodzinie Mayfairów.

Siwy Red Lonigan, najstarszy członek rodu przedsiębiorców pogrzebowych, słuchał właśnie opowieści Dave’a Collinsa, jak to Deirdre zamykano na klucz w jej pokoju. Ojciec Lafferty siedział tam wlepiając w Dave’a ponury wzrok ponad kuflem piwa. Dave stwierdził, że zna Mayfairów dłużej niż ktokolwiek inny, dłużej nawet niż Red.

Ojciec Mattingly dostał przy barze zimną butelkę Jaxa, po czym zajął miejsce na końcu ławki.

Dave Collins był w siódmym niebie, mając wśród słuchaczy dwóch księży.

– Urodziłem się w 1901, ojcze! – oznajmił, chociaż Mattingly nawet nie spojrzał na niego. – W tym samym roku, co Stella Mayfair i pamiętam, jak została przez urszulanki wyrzucona z akademii, a panna Mary Beth posłała ją do tutejszej szkoły.

– Za wiele plotek krąży o tej rodzinie – stwierdził Red ponuro.

– Stella była szamańską królową, bez dwóch zdań – powiedział Dave. – Wszyscy o tym wiedzieli. Ale możecie zapomnieć o tych groszowych zaklęciach i zamawianiach. To nie dla niej. Stella miała sakiewkę ze złotymi monetami, która nigdy nie była pusta.

Red zaśmiał się smutno pod nosem.

– A w rezultacie miała jedynie pecha.

– No, zdążyła nieźle sobie pożyczyć, nim Lionel ją zastrzelił – zauważył Dave, przymrużył oczy i pochylił się do przodu, łokieć opierając na stole, zaś dłoń zaciskając na butelce. – A skoro tylko znalazła się w grobie, sakiewka pojawiła

się przy łóżku Anthy i gdziekolwiek by ją chowali, zawsze wracała.

– Klituś-bajduś – rzekł Red.

– A były w niej monety z całego świata – włoskie i francuskie i hiszpańskie też.

– A skąd ty wiesz? – zapytał Red.

– Ojciec Lafferty ją widział, co nie, ojcze? Pamięta ojciec te moniaki. Panna Mary Beth każdej niedzieli rzucała je na tace, czy nie tak? Przypomina sobie ksiądz, co zawsze mówiła: „Proszę je prędko wydać, jeszcze przed zachodem słońca, bo one zawsze wracają”.

– Co ty za bzdury opowiadasz! – szydził Red.

Ojciec Lafferty nie odzywał się ani słowem. Jego małe czarne oczka biegały od Dave’a do Reda. Potem zerknął na księdza Mattingly’ego, który siedział naprzeciwko.

– Jak to, wracały? – zapytał Mattingly.

– Z powrotem do sakiewki, o to jej chodziło! – odparł Dave unosząc brwi i pociągnął z butelki tak długi łyk, że nie zostało w niej nic prócz piany. – Mogła je rozdawać i rozdawać, a one zawsze znalazły drogę powrotną – zaśmiał się ochryple. W jego głosie słychać było flegmę. – To samo mówiła pięćdziesiąt lat temu mojej matce, kiedy jej płaciła za pranie, tak jest, moja matka robiła dla wielu pań z tych wielkich domów, i nie wstydziła się tego, o nie, a panna Mary Beth zawsze płaciła jej tymi moniakami.

– Klituś-bajduś – powtórzył Red.

– I powiem wam coś jeszcze – rzekł Dave, jeszcze bardziej pochylając do przodu i obserwując Reda Lonigana zwięzonymi oczami. – Ten dom, klejnoty, sakiewka, to się wszystko łączy. Nawet i nazwisko Mayfair. Zauważcie, że zawsze je noszą, niezależnie od tego, za kogo się wydadzą. „Mayfair” i już. A chcecie wiedzieć, dlaczego? To są czarownice, te baby! Wszystkie, co do jednej!

Red potrząsnął głową. Popchnął swoją pełną butelkę w stronę Dave’a i

patrzył się, jak tamten zaciska na niej dłoń.

– To prawda, przysięgam na Boga. Dziedziczą to z pokolenia na pokolenie, tę umiejętność czarowania. Dawniej wiele się o mówiło. Panna Mary Beth była potężniejsza niż Stella. – Upił duży łyk piwa Reda. – I dość łebska na to, żeby trzymać gębę na kłódkę czego niestety jej córka nie potrafiła.

– Wobec tego skąd o tym wiesz? – zapytał Red.

Dave wyciągnął mały biały woreczek tytoniu Bull Durham i rozpląszczył go między kciukiem a pozostałymi palcami.

– Nie ma ojciec papierosa domowej roboty? – zapytał Mattingly'ego.

Red zaśmiał się szyderczo. Ojciec Mattingly wręczył Dave'owi swoją paczkę Pall Malli.

– Dzięki. A teraz twoje pytanie, Red, którego wcale nie starałem się uniknąć. Wiem, bo mi matka powtarzała to, co jej mówiła Mary Beth, w 1921, kiedy panna Carlotta skończyła Loyolę i wszyscy wyśpiewywali peany na jej cześć, jaką mądrą kobietą została, prawniczką, te rzeczy. Ona nie jest wybrana, powiedziała mojej matce panna Mary Beth. A Stella tak, ona ma dar i dlatego dostanie wszystko po mojej śmierci. A cóż to za dar, panno Mary Beth? pyta moja matka. O, Stella widziała tego mężczyznę, odpowiada jej Mary Beth. A ta z nas, której się to przytrafi, dziedziczy wszystko.

Ojciec Mattingly poczuł, jak zimne ciarki przebiegają mu po plecach. Minęło już jedenaście lat, odkąd wysłuchał nie dokończonej spowiedzi Deirdre, ale nie zapomniał ani słowa. *Mówią o nim: ten mężczyzna...*

Ojciec Lafferty mierzył Dave'a groźnym spojrzeniem.

– Widziała tego mężczyznę? – zapytał zimno. – A cóż, na litość boską, to oznacza?

– Ale, ale, ojczy! Mnie się zdaje, że taki porządny Irlandczyk jak ojciec powinien znać odpowiedź na to pytanie. Czarownice mówią o diable: ten mężczyzna, no nie? Tak go nazywają, kiedy przychodzi w środku nocy, żeby je namawiać na niewymowne bezeceństwa. – Tu nastąpił kolejny wybuch

głębokiego, chrypliwego, niezdrowego śmiechu, po czym Dave wyciągnął z kieszeni brudną chustkę, żeby wytrzeć nos. – One były i są czarownicami, ojciec doskonale o tym wie. Dziedzictwo czarostwa. A stary pan Julien Mayfair, pamięta go ksiądz? Bo ja tak. On wiedział o wszystkim, oto co mi matka powiedziała.

– Dziedzictwo, i owszem – rzekł ojciec Lafferty ze złością: podniósł się na nogi. – Ale ciemnoty, zazdrości i choroby psychicznej! Mówi ci to coś, Dave’ie Collins? A czy słyszałeś kiedyś o siostrzanej nienawiści, zawiści i bezlitosnej ambicji?! – Po czym odwrócił się i odszedł, przebijając się przez tłum, nie zaczekawszy na odpowiedź.

Gniew Lafferty’ego oszołomił proboszcza. Wolałby, żeby tamten się roześmiał, tak jak teraz Collins. Dave wychylił resztkę piwa Reda.

– Nie masz na zbyciu paru groszy, co, Red? – zapytał, a jego wzrok latał od Lonigana do ojca Mattingly’ego.

Red siedział otępiały wpatrując się w pustą butelkę. Jak we śnie wyłowił z kieszeni spodni zgnieciony banknot dolarowy.

Tej samej nocy tuż przed zaśnięciem Mattingly przypomniał sobie lektury czytowane w seminarium. Ten wysoki, ciemny, przystojny mężczyzna, inkub, przybywający nocą... ten olbrzym, który przewodzi sabatom! W jego pamięci ożyły niewyraźne ryciny z pewnej książki, precyzyjnie wyrysowane, paskudne. Czarownice, wyszeptał zasypiając. *Ojciec, ona mówi, że to diabeł, że to grzech nawet patrzeć na niego.*

Zbudził się jeszcze przed świtem, w uszach brzmiał mu gniewny głos Lafferty’ego. *Zawiść, choroba psychiczna.* Czy taka jest prawda, którą widać między wierszami? Zdawało mu się, że znalazł kluczowy element tej układanki. Uzyskał już prawie dokładny obraz tego wszystkiego. Dom pod rządami żelaznej ręki, miejsce w którym piękną i nieposkromioną kobietę spotkała tragedia. A jednak coś wciąż nie dawało mu spokoju... *One wszystkie go widzą, ojciec.* Kwiaty rozsypane pod stopami, wielkie, długie, białe gladiolusy i

delikatne pióra paproci. W wyobraźni ujrzał, jak miażdży je butem.

\* \* \*

Deirdre Mayfair oddała swoje dziecko. Urodziło się siódmego listopada w nowym szpitalu Miłosierdzia Bożego, i jeszcze tego samego dnia matka ucałowawszy je złożyła w dłoniach Lafferty'ego, który udzielił mu chrztu i oddał do adopcji kuzynom z Kalifornii.

Ale to Deirdre postawiła warunek, że dziecko ma zachować nazwisko Mayfair. Jej córeczka nigdy nie może go zmienić. W przeciwnym razie Deirdre nie podpisze żadnych papierów. Popierał ją w tej kwestii wuj Cortland Mayfair, i nawet ojcu Lafferty'emu nie udało się jej przekonać, żeby wycofała żądanie. Domagała się, aby zobaczyć to czarno na białym na świadectwie chrztu. A biedny stary Cortland Mayfair – bardzo elegancki dżentelmen – już wtedy nie żył. Nie odratowano go po upadku ze schodów.

Ojciec Mattingly nie pamiętał, kiedy pierwszy raz usłyszał słowo: „nieuleczalna”. Deirdre oszalała jeszcze przed wyjściem ze szpitala. Powiadano, że mówiła do siebie, powtarzała: „Ty to zrobiłeś, ty go zabiłeś”. Pielęgniarki bały się wchodzić do jej pokoju. Bywało, że w środku mszy przychodziła do kaplicy w szpitalnej koszuli, śmiejąc się, na głos oskarżając pustą przestrzeń o zamordowanie jej kochanka, oddzielenie od dziecka, pozostawienie samotnej wśród „wrogów”. Kiedy zakonnice starały się ją wstrzymać, wpadała w szal. Wtedy przybiegali salowi i zabierali ją, wrzeszczącą i kapiącą.

Jeszcze przed śmiercią Lafferty'ego, która nastąpiła na wiosnę, Deirdre zamknięto w jakimś odległym szpitalu. Nikt nawet nie wiedział, gdzie. Rita Lonigan pytała o to swego teścia, Reda, bo bardzo chciała napisać list. Panna Carla stwierdziła jednak, że to Deirdre nie wyjdzie na zdrowie. Żadnych listów.

Jedynie modlitwy. I tak mijały lata.

Ojciec Mattingly opuścił parafię. Wysyłano go w zagranicznych misjach.

Pracował w Nowym Jorku. Wyjechał tak daleko, że Nowy Orlean nie pojawiał się nawet w jego myślach; z rzadka tylko powracało wstydlive wspomnienie: Deirdre Mayfair – ktoś, komu nie pomógł, utracona dusza.

A potem, pewnego popołudnia w 1976 ojciec Mattingly przyjechawszy w krótkie odwiedziny na starą plebanię, mijając dom Mayfairów dostrzegł chudziutką, bladą, młodą kobietę siedzącą w bujanym fotelu na bocznym ganku, za woalem przerdzewiałej moskitiery. W białej nocnej koszuli przypominała zjawę. On jednak natychmiast poznał Deirdre po jej czarnych lokach opadających na ramiona. Kiedy otworzywszy pordezewiałą bramę zbliżał się ścieżką wyłożoną płytkami, zauważył, że nawet wyraz jej twarzy pozostał ten sam – tak, to była Deirdre, którą przyprowadził z powrotem do tego domu prawie trzydzieści lat temu.

Beznamiętna twarz za obwisłą moskitierą wiszącą na lekkiej drewnianej ramie. „Deirdre...” – wyszeptał. Żadnej odpowiedzi.

Na szyi miała łańcuszek ze szmaragdem – piękny kamień, zaś na palcu rubinowy pierścionek. Czy to klejnoty, o których mu opowiadano? Wyglądały tak niestosownie zdobiąc tę milczącą kobietę w luźnej, białej koszuli. Nic w jej zachowaniu nie zdradzało, że go usłyszała lub dostrzegła.

Jego wizyta u panien Millie i Nancy była krótka, pełna skrępowania. W tym czasie Carla naturalnie urzędowała w mieście. I owszem, to Deirdre siedzi na ganku, jest już w domu na stałe, ale nie ma potrzeby szeptać.

– Ona nie ma rozumu – rzekła Nancy z gorzkim uśmiechem. – Wstrząs elektryczny najpierw zniszczył pamięć. Potem całą resztę. Nie zdołałaby wstać, nawet żeby ocalić życie, gdyby ten dom się zapalił. Od czasu do czasu załamuje ręce, próbuje mówić, ale nie może...

– Przestań! – wyszeptała Millie, lekko potrząsając głową i krzywiąc usta, jakby rozmowa o tym nie należała do dobrego tam. Panna Millie była już stara, lecz przepięknie siwa, filigranowa jak niegdyś panna Belle, która nie żyła od dawna. – Niech się ojciec napije jeszcze kawy.



A jednak co za ładna kobieta siedziała tam, na ganku. Od terapii wstrząsowej nie posiwiały jej włosy. Oczy zaś, choć całkowicie puste, miały wciąż głęboki, błękitny kolor. Przypominała świętą figurę z kościoła. *Niech mi ojciec pomoże.* Promień światła padł na szmaragd, który rozjarzył się jak maleńka gwiazda.

Później ojciec Mattingly rzadko przyjeżdżał na południe, a w ciągu następnych lat, kiedy dzwonił do ich drzwi, czuł, że nie jest tam mile widziany. Usprawiedliwienia panny Nancy stawały się coraz bardziej opryskliwe. Czasami nawet nikt mu nie otwierał. Gdy zastawał w domu Carlę, wizyty były krótkie, wymuszone. Żadnej więcej kawy w oranżerii, tylko parę słów zamienionych w pośpiechu w obszernym, zakurzonym salonie. Czy one nawet już nie zapalają świateł? Żyrandole były brudne.

Naturalnie kobiety się starzały. Millie umarła w 1979. Pogrzeb był ogromny, kuzyni pojeżdżali się z całego kraju.

Potem, w zeszłym roku, Nancy odeszła z tego świata. Ojciec Mattingly dostał list od Reda Lonigana. Przebywał wówczas w Baton Rouge i przyjechał jedynie na pogrzeb.

Panna Carla skończyła wtedy osiemdziesiątkę. Była chuda jak kościotrup, miała orli nos, białe włosy i okulary o grubych soczewkach, które nieprzyjemnie powiększały oczy. Jej kostki napuchły nad czarnymi sznurowanymi butami. Przy ostatnich słowach ceremonii musiała przysiąc na nagrobku.

Sam dom również niszczał, aż żal było patrzeć. Ojciec Mattingly dostrzegł to, kiedy przejeżdżał obok.

I w Deirdre zachodziły nieuniknione zmiany. Ksiądz zauważył, że zniknęła wreszcie ta krucha uroda cieplarnianego kwiatu. Choć pielęgniarki prowadziły ją tam i z powrotem, Deirdre przygarbiła się, a jej ręce w nadgarstkach wykrzywiły się w dół i na boki, jak u artretyka. Mówiono, że jej głowa przechyla się teraz zawsze na jedną stronę, a usta są nieustannie otwarte.

Nawet z daleka przedstawiała smutny widok. Klejnoty zaś czyniły tę zmianę jeszcze bardziej złowieszczą. Diamentowe kolczyki w uszach nieprzytomnej

kaleki. Szmaragd wielkości paznokcia u kciuka! Wtedy ojciec Mattingly, który wierzył ponad wszystko w świętość ludzkiego życia, doszedł do wniosku, że dla Deirdre śmierć będzie błogosławieństwem.

Dzień po pogrzebie Nancy, odbywając na południu swą potajemną przechadzkę w okolicy domu Mayfairów, ksiądz spotkał Anglika, który zatrzymał się przy odległym krańcu ogrodzenia – bardzo sympatycznego człowieka, który przedstawił mu się jako Aaron Lightner.

– Czy ksiądz wie coś o tej biednej kobiecie? – zapytał cudzoziemiec całkiem otwarcie. – Widuję ją tam, na ganku od ponad dziesięciu lat. Martwię się o nią.

– Ja także – przyznał się ojciec Mattingly. – Ale ludzie mówią, że nic nie można dla niej zrobić.

– Taka dziwna rodzina – stwierdził Anglik ze współczuciem. – Ależ tu upał. Zastanawiam się, czy ona to czuje? Powinni przynajmniej naprawić ten wentylator na górze. Widzi ksiądz? Najwyraźniej jest zepsuty.

Ojciec Mattingly polubił Anglika od pierwszego wejrzenia. Mężczyzna z charakterem, a przy tym taki uprzejmy. Ubrany był bardzo elegancko, w trzyczęściowy płócienny garnitur. Miał nawet ze sobą laseczkę. Księdzu przywiodło to na myśl dżentelmenów, którzy niegdyś spacerowali aleją św. Karola. Widywało się ich na gankach, gdzie siadywali w słomkowych kapeluszach, obserwując ruch uliczny. Ach, tamte czasy.

Ojciec Mattingly rozpoczął z Anglikiem swobodną pogawędkę pod niskimi gałęzmi dębów, przyciszonym głosem opowiadając mu wszystkie „powszechnie znane” rzeczy, o których jego rozmówca zdawał się wiedzieć – terapia wstrząsowa, szpitale psychiatryczne, Bialutka córeczka dawno temu oddana w adopcję do Kalifornii, jednak ojcu Mattingly’emu nie przyszło nawet do głowy, żeby wspominać o plotkach Dave’a Collinsa dotyczących Stelli czy „tego mężczyzny”. Powtarzanie takich bzdur byłoby całkowicie nie na miejscu. Poza tym, zbyt mocno wiązało się to z owymi bolesnymi tajemnicami, z których zwierzyła mu się Deirdre.

Na koniec tak jakoś wyszło, że Mattingly i Lightner poszli wspólnie, za zaproszeniem Anglika, na późny lunch do Pałacu Komandorskiego. Cóż to była za radość dla księdza. Ileż lat minęło, odkąd po raz ostatni jadł w takiej eleganckiej nowoorleańskiej restauracji, na tych obrusach z lnianymi serwetkami. Na dodatek Anglik zamówił doskonale wino.

Lightner przyznał szczerze, że interesują go historie rodów takich jak Mayfairowie.

– Wie ojciec, oni mieli plantację na Haiti jeszcze za czasów, kiedy ta wyspa nazywała się San Domingo. Maye Faire, tak brzmiała nazwa tego miejsce, o ile mnie pamięć nie myli. Na długo przed powstaniem niewolników zbili majątek na kawie i cukrze.

– Bardzo dużo pan wie i to nawet o tak dalekiej przeszłości tej rodziny – rzekł ksiądz, zdumiony.

– Och, tak, oczywiście – odparł Lightner. – To wszystko jest w książkach historycznych, ojciec rozumie. Rządziła tą plantacją nie byle jaka kobieta, Marie Claudette Mayfair Landry. Zresztą poszła w ślady swej matki, Angeliqve Mayfair. Mieszkali tam od czterech pokoleń. To Charlotte przyjechała z Francji w... zaraz, zaraz, tak, 1689 roku. Tak, Charlotte. Urodziła ona bliźnięta – Petera i Jeanne Louise. Oboje żyli po osiemdziesiąt jeden lat.

– A niech to! Nigdy nie słyszałem opowieści o Mayfairach, które pochodzą z tak dawnych czasów.

– Sądzę, że to po prostu kwestia relacji – Anglik wzruszył lekko ramionami.  
– Nawet czarni rebelianci nie odważyli się podpalić tej plantacji. Marie Claudette zdołała wyemigrować z całą rodziną i dobytkiem wartym bająnskie sumy. Potem była La Victorie w Riverbend pod Nowym Orleanem. Wydaje mi się, że nazywali te posiadłość po prostu Riverbend.

– Panna Mary Beth urodziła się tam.

– Tak! To prawda. W, niech pomyślę... to chyba był 1871 rok. Dopiero rzeka zdołała pochłonąć tę ogromną rezydencję. A taka była piękna, z kolumnkami

dookoła. W bardzo starych przewodnikach po Luizjanie można znaleźć jej fotografie.

– Chciałbym je zobaczyć – powiedział ksiądz.

– Ten dom na ulicy Pierwszej wzniesiono, proszę księdza, przed wojną secesyjną – ciągnął Lightner. – Zbudowała go Katherine Mayfair, ale później mieszkali tam jej bracia Julien i Remy. Potem Mary Beth dołączyła do nich wraz ze swoim całym gospodarstwem. O, Mary Beth, ona nie lubiła wsi. Zdaje się, że to Katherine poślubiła irlandzkiego architekta, tego, który umarł tak młodo na żółtą febrę. On zbudował te banki w centrum. Tak, nazywał się Monahan. Po jego śmierci zrozpaczona Katherine nie chciała już mieszkać na ulicy Pierwszej, gdzie wszystko przypominało jej męża.

– Słyszałem dawno temu, że Monahan zaprojektował ten budynek – odezwał się ksiądz, ale tak naprawdę bardzo nie chciał przerywać. – Mówiono mi też kiedyś o panie Mary Beth...

– Tak, to ona wyszła za sędziego McIntyre'a, choć naturalnie wtedy był on dopiero młodym prawnikiem; ich córka Carlotta Mayfair jest teraz głową domu, jak mi się zdaje...

Ojciec Mattingly był oczarowany. I nie chodziło tu tylko o dawną, bolesną ciekawość spraw Mayfairów, ale i ujmujące obejście Lightnera, i przyjemny dźwięk brytyjskiego akcentu. A to wszystko jedynie historia, zupełnie niewinna, pozbawiona jakichkolwiek domysłów. Minęło wiele czasu, odkąd ojciec Mattingly rozmawiał z tak kulturalnym człowiekiem. Nie, w ustach Anglika nic nie wydawało się plotką.

I tak, wbrew własnemu przekonaniu, niepewnym głosem, ksiądz zaczął opowiadać historię małej dziewczynki na szkolnym dziedzińcu i tajemniczych kwiatów. Naturalnie tego nie usłyszał w konfesjonale, usprawiedliwiał się sam przed sobą. A jednak aż strach, że tak mu się to wymknęło po kilku łykach wina. Ojciec Mattingly wstydził się za siebie. Nagle nie mógł odpędzić od siebie wspomnienia tej spowiedzi. Zgubił wątek. Myślał o Davie Collinsie i

wszystkich dziwnych rzeczach, które tamten opowiadał, także o tym, jak to się ojciec Lafferty rozgniewał owej lipcowej nocy na bazarze. To on przecież kierował adopcją dziecka Deirdre.

Czy ojciec Lafferty podjął jakieś działania w związku z szalonymi opowieściami Dave'a Collinsa? On sam nigdy nie był w stanie nic zrobić.

Anglik wykazał wiele cierpliwości wobec milczenia księdza. I nagle rzecz bardzo osobliwa. Ojcu Mattingly'emu wydało się, że tamten przysłuchuje się jego myślom! Ale to przecież było zupełnie niemożliwe; a jeśli jakiś człowiek jest w stanie w ten sposób podsłuchać wspomnienie o spowiedzi, cóż ksiądz może na to poradzić?

Jak długie zdawało mu się to popołudnie. Jakie było przyjemne, wolne od skrępowania. Ojciec Mattingly w końcu powtórzył stare opowieści Dave'a Collinsa, mówił nawet o tych rycinach w książkach, na których przedstawiono „ciemnego mężczyznę” i tańczące czarownice.

A Anglik zdradzał tyle zainteresowania, od czasu do czasu jedynie dolewał wina, proponował księdzu papierosa, ani razu nie przerywając.

– No, i co pan o tym wszystkim sądzi? – wyszeptał w końcu Mattingly. Czy uzyskał na to jakąś odpowiedź? – Wie pan, Dave Collins zmarł, ale siostra Bridget Marie będzie żyła wiecznie. Ma już prawie sto lat.

Anglik uśmiechnął się.

– Mówi pan o tej zakonnicy ze szkolnego dziedzińca, bardzo dawno temu?

Ojciec Mattingly wypił już tyle wina, że czuł jak myśli mu się mieszają. Przed oczami wciąż stał mu obraz tego dziedzińca, dzieci i kwiatów rozrzuconych po całym chodniku.

– Ona jest teraz w szpitalu Miłosierdzia Bożego – powiedział. – Widziałem się z nią ostatnim razem, kiedy tam byłem. Przypuszczam, że niebawem znów ją spotkam. I cóż za bzdury ona opowiada teraz, kiedy już nie wie, do kogo mówi. Stary Dave Collins zmarł w barze na ulicy Sklepowej. Stosowne miejsce. Wszyscy jego przyjaciele zrobili zrzutkę na wielki pogrzeb.

Ksiądz znów odpłynął myślami, wspominając Deirdre i konfesjonał. A wtedy Anglik dotknął jego dłoni i wyszeptał: – Godzina czarownic

– Niech się ksiądz tym nie dręczy.

Mattingly spojrzał zdumiony. Potem omal nie roześmiał się z pomysłu, że ktoś mógłby czytać w jego myślach. A przecież to właśnie Bridget Marie mówiła o Ancie, czyż nie tak? Wspominała że dziewczynka zza ściany słyszała rozmowy i umiała czytać w ludzkich myślach? Czy o tym też opowiedział Anglikowi?

– Tak, opowiedział ksiądz. Chciałbym podziękować...

Pożegnali się o szóstej pod bramą cmentarza Lafayette. Nadeszła już ta złota pora, gdy po zachodzie słońca rzeczy i rośliny oddają z powrotem światło, które wchłaniały przez cały dzień. A jednocześnie wszystko wydawało się tak opuszczone; stare bielone ściany, gigantyczne magnolie kruszące korzeniami chodnik.

– Wie pan, oni wszyscy są tutaj pochowani, Mayfairowie – rzekł ojciec Mattingly zerkając na bramę. – Wielkie mauzoleum w środkowej alei po prawej stronie, otoczone niskim ogrodzeniem z kutego żelaza. Panna Carla utrzymuje je w dobrym stanie. Można tam przeczytać wszystkie te nazwiska, o których mi pan wspominał.

Ksiądz zaprowadziłby tam Anglika osobiście, ale czas już było wracać na plebanię, a potem do Baton Rouge i dalej do St. Louis. Lightner podał mu adres w Londynie.

– Jeśli kiedykolwiek usłyszysz ojciec jakieś nowe wieści o tej rodzinie – coś, czym bez oporów gotów byłby się podzielić – czy skontaktuje się ksiądz ze mną?

Naturalnie ojciec Mattingly nigdy tego nie zrobił. Wiele miesięcy temu zapodział gdzieś kartkę z nazwiskiem i adresem. Wspominał jednak Anglika z sympatią, choć czasami zastanawiał się, kim w istocie był ten mężczyzna i czego tak naprawdę chciał. Gdyby wszyscy duchowni na świecie

oddziaływaliby na innych tak kojąco, jakie to byłoby wspaniałe. Zdawać by się mogło, że Anglik wszystko rozumiał.

\* \* \*

Teraz, zbliżając się do rogu, ojciec Mattingly znów rozmyślał o tym, co napisał mu młody ksiądz: Deirdre Mayfair usycha, ledwo może chodzić.

Wobec tego, na miłość boską, jak to możliwe, aby trzynastego sierpnia wpadła w szal? Oto, co chciałby wiedzieć. Jak mogła powybijać szyby i wystraszyć ludzi ze szpitala?

A przecież Jerry Lonigan mówił, że jego kierowca widział przedmioty wyrzucane na zewnątrz – książki, zegar, najróżniejsze rzeczy ciskane po prostu w powietrze. A głos jaki wydawała, zupełnie zwierzęce wycie.

Księdzu niełatwo przychodziło w to uwierzyć.

Ale tak właśnie wyglądały fakty.

Tego ciepłego sierpniowego popołudnia, kiedy powoli zbliżał się do bramy, zobaczył przy frontowym ganku szklarza w białym uniformie stojącego na szczycie drewnianej drabiny. Trzymając w ręce nóż, mężczyzna nakładał kit wokół szyb. W każdym z owych wysokich okien błyszczało nowe szkło, jeszcze z naklejkami ze znakiem firmowym.

Wiele metrów dalej, po południowej stronie domu, za swym welonem z porzewiałej miedzianej moskitiery siedziała Deirdre, z rękami wykrzywionymi w przegubach, z głową przechyloną i bokiem spoczywającą na oparciu bujanego fotela. Szmaragdowy wisior na łańcuszku na moment rozjarzył się zieloną iskrą.

Ach, jakie to musiało być dla niej uczucie, tak wybijać okna? Jak to jest, gdy w ciele znów krąży siła, kiedy posiada się tak niezwykłą potęgę? Nawet wydawanie dźwięków, to przecież dla niej coś wspaniałego!

Dziwne, że podobne myśli przyszły mu do głowy. A jednak poczuł, jak ogarnia go jakiś nieokreślony smutek, głęboka melancholia. Ach, Deirdre,

biedna mała Deirdre.

Prawdę mówiąc odczuwał teraz gorycz i przykrość, jak zawsze, kiedy ją widział. Wiedział też, że nie pójdzie wyłożonymi płytami chodnikiem aż do frontowych schodów. Nie zadzwoni do drzwi, po to tylko, aby usłyszeć, że panny Carli nie ma w domu, albo że akurat w tej chwili nie może go przyjąć.

Ta wycieczka była jedynie osobistą pokutą ojca Mattingly'ego. Ponad czterdzieści lat temu, pewnego fatalnego niedzielного popołudnia zrobił błąd, a gra szła wtedy o zdrowie psychiczne dziewczynki. Teraz żadna wizyta niczego już nie zmieni.

Przez dłuższą chwilę stał przy ogrodzeniu, słuchając zgrzytania szklarskiego noża, dźwięku dziwnie wyraźnego wśród łagodnej, tropikalnej ciszy panującej wokół. Czuł, jak upał wdziera się w jego buty, przenika całe ubranie. Poddawał się działaniu łagodnych, soczystych kolorów tego wilgotnego i pełnego cieni świata.

Ach, oto miejsce, jakich mało. Z pewnością lepsze dla niej niż jakiś sterylny szpitalny pokój, czy widok krótko wystrzyżonego trawnika, równie urozmaiconego jak syntetyczny dywan. I skąd mu przyszło do głowy, że zdołałby zrobić dla niej to, co nie udało się tylu lekarzom? Może nigdy nie było dla niej nadziei. Bój jeden wie.

Nagle, za pordzewiałą moskitierą dostrzegł gościa siedzącego obok biednej wariatki. Na pierwszy rzut oka był to miły, młody mężczyzna – wysoki, ciemnowłosy, starannie ubrany mimo duszącego upału. Może jakiś kuzyn z daleka, z Nowego Jorku albo z Kalifornii. Ten młody gość musiał właśnie wyjść z salonu na ganek, bo jeszcze chwilę przedtem go tam nie było.

Robił wrażenie bardzo troskliwego. Schylał się ku Deirdre z wyraźną czułością. Zupełnie jakby całował ją w policzek. Tak, to właśnie robił. Nawet mimo głębokiego cienia ksiądz widział to i wzruszył się do głębi. Bolesny żal wypełnił jego serce.

Szklarz kończył już robotę. Składał drabinę. Potem zszedł po frontowych



schodach i ruszył wyłożoną płytami ścieżką, mijając osłonięty siatką ganek; idąc używał drabiny, aby odgarniać gałęzie bananowców i obrzękłych oleandrów.

Ksiądz także już kończył wizytę. Odrobił swoją pokutę. Teraz mógł wrócić do domu; z powrotem po gorących, bezludnych chodnikach ulicy Constance do chłodnego wnętrza plebanii. Odwrócił się więc powoli i ruszył w stronę rogu.

Tylko raz zerknął za siebie. Osłonięty moskitierą ganek był teraz pusty, jeśli nie liczyć Deirdre. Ale z pewnością ów miły, młody człowiek wkrótce wyjdzie ponownie. Ten pełen czułości pocałunek poruszył serce księdza, podobnie jak świadomość, że ktoś nadal kocha tę zagubioną duszę, której on sam wiele lat temu nie zdołał ocalić.

Jest coś, co powinna dziś wieczorem zrobić, ktoś, do kogo musi zadzwonić. I to w ważnej sprawie. Ale po piętnastu godzinach pracy – z czego dwanaście spędzonych na sali operacyjnej – nie była w stanie przypomnieć sobie, o co właściwie chodzi.

Rowan Mayfair nie mogła jeszcze oddać się wszystkim swoim osobistym żalom i troskom. Teraz była po prostu doktor Mayfair, która, pusta i czysta jak szkło, siedziała milcząco w służbówce. Ręce trzymała w kieszeniach brudnego białego fartucha, a nogi wyciągnęła na przeciwległym krześle; z papierosem Parliament w ustach słuchała, jak koledzy prowadzą swe zwykłe rozmowy, przeżywając wszystkie pasjonujące chwile tego dnia.

Wybuchy cichego śmiechu, głosy mieszające się ze sobą, zapach alkoholu, szelest wykrochmalonych ubrań, słodki aromat papierosów. I choć to wstyd, że wszyscy tu palą, to i cóż. Miło było tak siedzieć; czuła się swobodnie wśród oślepiającego światła, które odbijało się na stole z formiki; w pokoju z brudną podłogą wyłożoną linoleum i dawno nie odnawianymi beżowymi ścianami. Przyjemnie było odsunąć na jakiś czas konieczność myślenia, tę chwilę, kiedy pamięć powróci, aby ją znów napełnić, uczynić ciężką i nieprzejrzystą.

Prawdę mówiąc, dzisiejszy dzień był niemal idealny, i stąd właśnie te obolałe stopy. Wykonała na ostrym dyżurze trzy operacje, jedną po drugiej; od rany postrzałowej o szóstej rano począwszy, a skończywszy na ofierze wypadku drogowego, którą przywieziono do szpitala cztery godziny temu. Właściwie

uświadamiała sobie, że gdyby każda doba przypominała tę, jej życie byłoby całkiem znośne. A w zasadzie absolutnie cudowne.

Po dziesięciu latach studiów medycznych, a później praktyk i stażu, osiągnęła wreszcie swój cel – została lekarką, neurochirurgiem, a mówiąc ściślej – pełnoprawną członkinią zespołu lekarskiego w gigantycznym szpitalu uniwersyteckim, gdzie w Centrum Neurochirurgii Urazowej mogła operować ofiary wypadków nieomal na okrągło.

Musiała przyznać, że czerpie z tego satysfakcję, cieszy się pierwszym tygodniem spędzonym w zupełnie innej roli niż przepracowana i śmiertelnie zmęczona główna stażystka, która nadal połowę operacji musi przeprowadzać pod czyimś nadzorem. Nawet ta dzisiejsza nieunikniona gadanina nie była tak straszna – ta trwająca bez końca na sali operacyjnej perora, później dyktowanie notatek, a wreszcie długi i nieformalny przegląd w służbówce. Lubiała otaczających ją lekarzy – siedzących naprzeciw młodych praktykantów o błyszczących twarzach, doktorów Petersa i Blake’a, którzy niedawno rozpoczęli prace i patrzyli na nią tak, jakby była czarownicą, a nie lekarką. A doktor Simmons, główny stażysta? Od czasu do czasu mówił jej gorącym szeptem, że jest najlepszą lekarką, jaką kiedykolwiek widział przy zabiegach chirurgicznych, i że pielęgniarki potwierdzają jego opinię; i jeszcze doktor Larkin, ukochany szef neurochirurgii, znany wśród swych protegowanych jako Lark, który zmuszał ją raz za razem, aby podawała więcej szczegółów: „Wyjaśnij, Rowan, wyjaśnij dokładniej. Musisz tym chłopcom powiedzieć, co robisz. Panowie, proszę spojrzeć, oto jedyny neurochirurg cywilizacji zachodniej, który nie lubi opowiadać o swojej pracy”.

Nie lubi – to mało. Rowan nienawidziła mówienia. Powodowała nią wrodzona podejrzliwość wobec słów, gdyż była w stanie „usłyszeć” z zadziwiającą dokładnością, co kryje się za nimi; poza tym po prostu nie wiedziała, jak swoją pracę przełożyć na zdania.

Dzięki Bogu wszyscy rozmawiali teraz o mistrzowskim popisie, jaki Larkin

dał dzisiaj przy pacjencie z zapaleniem opon mózgowych, i Rowan mogła pograć się w słodkim znużeniu, rozkoszując się smakiem papierosa, ohydnej kawy i uroczym odbłaskiem światła na przepięknie pustych ścianach.

Problem polegał na tym, że dziś rano nakazała sobie pamiętać o tej osobistej sprawie, tym telefonie, który trzeba wykonać, o czymś co naprawdę miało dla niej znaczenie. No więc, jak to było? Przypomni sobie, skoro tylko wyjdzie z budynku, a mogła to przecież zrobić, kiedy tylko chciała. W końcu jest asystentką i nie musi siedzieć tu dłużej niż piętnaście godzin; już nigdy nie będzie zmuszona sypiać w dyżurce, i nikt nie będzie od niej oczekiwał, że pobiegnie na ostry dyżur jedynie po to, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, choć pozostawiona sama sobie może i miałaby na to ochotę.

Dwa lata temu, albo i nawet wcześniej, dawno by jej już tu nie było, na granicy dozwolonej prędkości pędziłaby w stronę Złotych Wrót, nie mogąc się doczekać, kiedy znów zmieni się w Rowan Mayfair, i znalazłszy się w sterówce „Sweet Christine” samodzielnie wyprowadzi ją z zatoki Richardsona na otwarte morze. I dopiero po nastawieniu autopilota na szeroki, okrężny kurs, daleko poza zasięgiem kanałów, zmęczenie wzięłoby nad nią górę. Poszłaby wtedy pod pokład, do kabiny, gdzie drewno błyszczało jasno jak wypolerowany mosiądz i upadłszy na podwójną koję zapadłaby w lekki sen, przez który rozkosznie przedzierałyby się ciche głosy łodzi.

Ale to było jeszcze zanim proces dokonywania cudów przy stole operacyjnym zmienił się dla niej w narkotyk. Badania naukowe nadal bardzo ją pociągały. Wtedy Ellie i Graham, przybrani rodzice, nadal żyli, a przeszklony dom na wybrzeżu Tiburon nie stał się jeszcze mauzoleum pełnym ich książek i ubrań.

Codziennie musiała przejść przez tę ziejącą chłodem posesję, żeby się dostać do „Sweet Christine”. Przeglądała wtedy pocztę, która wciąż przychodziła do Ellie i Grahama. Wysłuchiwała paru nagranych przez automatyczną sekretarkę wiadomości od przyjaciół spoza miasta, którzy nie wiedzieli, że Ellie rok temu

umarła na raka, zaś Graham, na dwa miesiące przed śmiercią żony zmarł na „zawał”, aby określić to prosto. Nadał podlewała paprocie ku pamięci Ellie, która nawet puszczała im muzykę. Jeździła jaguarem sedanem, niegdyś należącym do Grahama. Sprzedanie go byłoby kłopotliwe. Nigdy nie wysprzątała jego biurka.

Zawał. Ogarnęło ją ponure, nieładne uczucie. Nie myśl o Grahamie konającym na kuchennej podłodze, ale o zwycięstwach dnia dzisiejszego. W ciągu piętnastu godzin ocaliłaś trzy osoby, podczas gdy twoi koledzy lekarze być może pozwoliliby im umrzeć. Innym ludziom, których życie znajdowało się w cudzych rękach, udzieliłaś swej wprawnej pomocy. A teraz, bezpieczni w łonie oddziału intensywnej terapii, śpią, i mają oczy, które potrafią widzieć, usta zdolne kształtować słowa, a kiedy ujmujesz ich dłonie, ściskają twoją rękę, dając w ten sposób znak życia.

Tak, nie mogła żądać więcej. Najchętniej zawsze pozostawiałaby innym przeszczepy tkanek i guzy. Podniecały ją sytuacje krytyczne. Potrzebowała tego. Wkrótce pojedzie do domu, ponieważ tak trzeba, zdrowo jest dać oczom, stopom i umysłowi odpocząć i naturalnie spędzić weekend gdzie indziej niż tu; na „Sweet Christine”, na morzu.

Na razie odpoczywała na tym wielkim statku zwanym szpitalem, bo tak właśnie jej się przedstawiał – łódź podwodna, płynącą bezgłośnie poprzez czas. Nigdy nie gasną tu światła, nie zmienia się temperatura, nie zatrzymują się silniki. A my, załoga, współpracujemy ze sobą, na przekór gniewowi, niechęci, rywalizacji. Nasz związek to swego rodzaju miłość, niezależnie od tego, czy się do tego przyznajemy, czy nie.

– Chyba czekasz na cud! – o szóstej tego wieczora powiedział jej z pogardą szef ostrego dyżuru, o oczach szklistych ze zmęczenia. – Odstaw tę kobietę pod ścianę i zachowaj siły na kogoś, dla kogo będziesz w stanie coś zrobić!

– Tylko cuda mnie zadowalają – odparła Rowan. – Teraz wydostaniemy z jej mózgu szkło i brud, a potem zobaczymy, co dalej.

W żaden sposób nie mogła mu powiedzieć, że kładąc ręce na ramionach kobiety „nadsluchiwała” swoim zmysłem diagnostycznym tysiąca drobnych sygnałów. To one powiedziały jej, nieomylnie, że pacjentka może przeżyć. Wiedziała, co ujrzy, kiedy odłamki kości zostaną ostrożnie usunięte z pęknięcia i zamrożone do późniejszego odtworzenia, kiedy poszarpana opona twarda zostanie dalej rozcięta, a leżące pod nią uszkodzone komórki powiększone pod potężnym chirurgicznym mikroskopem. Mnóstwo żywej nienaruszonej tkanki mózgowej będzie funkcjonować, kiedy odciągnie się z niej krew i skauteryzuje przerwane naczynka, aby przestały krwawić.

Ten sam niezawodny zmysł prowadził ją owego dnia na morzu. Za pomocą wyciągarki wydobyła na pokład zimne i poszarzałe ciało mężczyzny. Tak, jest w nim życie. Przyprawdź go z powrotem.

Ten topielec, Michael Curry. O to chodziło, naturalnie, to o tym właśnie nakazała sobie pamiętać. Zadzwoń do lekarza Curry’ego. Zostawił dla niej wiadomości zarówno w szpitalu jak i w domu, na automatycznej sekretarce.

Już ponad trzy miesiące minęły od owego przejmująco zimnego majowego wieczoru, kiedy mgła pokrywała płaszczem odległe miasto, tak że nie widać było ani jednego światła, a topielec na pokładzie „Sweet Christine” wydawał się równie martwy, jak wszystkie widziane przez nią do tej pory zwłoki.

Rowan zgasła papierosa.

– Dobranoc panom doktorom – powiedziała wstając. – Poniedziałek, ósma rano – przypomniała praktykantom. – Nie, nie wstawajcie.

Doktor Larkin schwycił ją dwoma palcami za rękaw. Kiedy starała się wyrwać, nie puszczał.

– Nie wypływaj sama tą łodzią, Rowan.

– No, no, szefie. – Próbowала się uwolnić. Bez skutku. – Dlaczego? Robię to, odkąd skończyłam szesnaście lat.

– I niedobrze, Rowan, bardzo niedobrze – odparł. – Przypuśćmy, że uderzysz się w głowę tam, na morzu, wypadniesz za burtę.

Z grzeczności roześmiała się cicho, choć tak na prawdę drażniło ją takie gadanie; a potem była już na zewnątrz i minawszy windy – są za wolne – pospieszyła w stronę betonowych schodów.

Może, zanim wyjdzie, powinna po raz ostatni zajrzeć do pacjentów na oddziale intensywnej terapii; niespodziewanie myśl o odejściu wydała jej się uciążliwa. A świadomość, że nie wróci tu przed poniedziałkiem, była jeszcze gorsza.

Wpychając ręce w kieszenie ruszyła przez dwie kondygnacje schodów na czwarte piętro.

Rozjarzone korytarze na górze były tak ciche, tak odległe od zamieszania nieodmiennie panującego na ostrym dyżurze. Samotna kobieta spała na sobie w poczekalni wyłożonej ciemnym dywanem. Stara pielęgniarka w dyżurce pomachała tylko ręką, kiedy Rowan ją mijała. Podczas męczących dni jej praktyki bywały takie chwile, kiedy czekając na wezwanie, zamiast próbować usnąć, snuła się tymi korytarzami. Chodziła tam i z powrotem, przemierzając piętro za piętrem, przemieszczając się w brzuchu tej gigantycznej łodzi podwodnej, ukołysana cichym szmerem niezliczonych maszyn.

Niedobrze, że szef wie o „Sweet Christine”, myślała teraz; źle że zdesperowana i wystraszona przyprowadziła go do domu w dniu pogrzebu przybranej matki, i zabrała na pomost, gdzie siedzieli pijąc wino pod błękitnym niebem Tiburonu. Była niezadowolona, że w tych pustych, ciężkich chwilach, zwierzyła się Larkowi ze swej niechęci do przebywania w tym domu, że powiedziała mu, iż mieszka na łodzi, a czasami nawet żyje dla niej, że wypływa sama po każdej zmianie, niezależnie od tego, jak długo pracowała i jak bardzo jest zmęczona.

Zwierzenia – czy one kiedykolwiek pomagają? Lark, starając się ją pocieszyć, zarzucił ją banałami. A od tego czasu wszyscy w szpitalu wiedzieli o „Sweet Christine”. I nie była już tylko Rowan-milczkiem, ale również Rowan-adoptowaną córką, osobą, której cała dwuosobowa rodzina wymarła zaledwie w

przeciągu roku, dziewczyną samotnie wypływającą na morze wielką łodzią. Została również „tą Rowan”, która nie chciała przyjąć zaproszenia Larka na obiad, podczas gdy każda inna niezamężna lekarka zgodziłaby się w jednej chwili.

Gdybyż tylko znali resztę, myślała – jak bardzo jest tajemnicza, nawet dla siebie samej. A co powiedzieliby o jej ulubionym typie mężczyzn – dzielnych funkcjonariuszach prawa i bohaterach straży pożarnej, na których polowała w hałaśliwych barach w przyzwoitych dzielnicach, wybierając sobie partnerów w równym stopniu ze względu na ich szorstkie dłonie i chropawe głosy, jak na obszerne klatki piersiowe i potężne ramiona. Tak, co powiecie na spółkowanie w kabinie pod pokładem „Sweet Christine”, podczas gdy policyjny rewolwer kaliber 38 w czarnej skórzanej kaburze wisi na ścianie?

A potem rozmowy – nie, nazwijmy to monologami – w których owi mężczyźni, kierowani rozpaczliwą potrzebą tak podobną do jej własnej, przeżywali na nowo chwile niebezpieczeństwa i sukcesów, brawury i zręczności. Ach, ten aromat odwagi na wyprasowanych mundurowych koszulach. Śpiewajmy pieśń życia i śmierci.

Dlaczego właśnie tacy? – chciał kiedyś wiedzieć Graham.

– Dlaczego wyszukujesz sobie tych tępych, niewykształconych facetów o grubych karkach? A co będzie, kiedy któryś z nich da ci tą swoją grubą łapą po buzi?

– Ależ właśnie o to chodzi, że oni takich rzeczy nie robią – odparła zimno, nawet na niego nie patrząc. – Ci mężczyźni ratują ludzkie życie i to mnie w nich pociąga. Lubię bohaterów.

– Gadasz jak niemądra czternastolatka – odrzekł Graham kwaśno.

– Mylisz się – powiedziała Rowan. – Kiedy miałam czternaście lat, moimi idolami byli prawnicy, tacy jak ty.

Pamięta błysk złości w oczach Grahama, kiedy odwracał się do niej plecami. Nawet teraz, ponad rok po jego śmierci nie potrafi go dobrze wspominać. Smak



Grahama, zapach Grahama, Graham w jej łóżku wreszcie. Gdyby tego nie zrobiła, odszedłby jeszcze przed śmiercią Ellie.

– Tylko mi nie mów, że przez cały czas nie miałaś na to ochoty – powiedział jej, gdy leżeli na grubym, puchowym materacu w koi „Sweet Christine”. – I niech diabli wezmą tych twoich strażaków i gliniarzy.

Przestań się z nim kłócić. Postaraj się zapomnieć. Ellie nigdy się nie dowiedziała, że poszłaś z nim do łóżka, że czułaś taką konieczność. Tak wielu rzeczy nie wiedziała. Jak dobrze, że jesteś poza jej domem, a nawet poza swoją ukochaną łodzią, którą podarował ci Graham. Wciąż przebywasz bezpieczna w antyseptycznym spokoju twego świata, Graham zaś nie żyje. Leży pochowany na małym cmentarzu w północnej Kalifornii. I nieważne, jak umarł, bo nikt nie zna i tej historii. Nie pozwól, aby towarzyszył ci duchem, jak to ludzie mówią, kiedy wkładasz kluczyk do stacyjki jego samochodu, który już dawno powinnaś była sprzedać, albo gdy przechodzisz przez wilgotne i zimne pokoje jego domu.

A mimo to wciąż prowadziła z nim rozmowy, nadal przeprowadzała nie kończącą się obronę. Jego śmierć na zawsze uniemożliwiła jakiegokolwiek rozwiązanie. I tak jej nienawiść i gniew stworzyły ducha Grahama. Nie był już tak wyrazisty, ale wciąż tropił ją, nawet tu w bezpiecznych korytarzach jej królestwa.

Właśnie tych facetów, którymi tak gardzisz, wybrałabym w każdej sytuacji – jak bardzo chciała mu to powiedzieć. Bez wahania przyjąłabym ich ego, hałaśliwość, ignorancję i rubaszne poczucie humoru. Zaakceptowałabym ich szorstkość, gorące i proste umiłowanie kobiet, i strach przed nimi. Zniosłabym nawet ich gadaninę, tak, ten nie kończący się potok słów. Dzięki Bogu, że, w przeciwieństwie do neurochirurgów, oni nie domagają się odpowiedzi, nie chcą nawet wiedzieć, kim lub czym jestem – lekarz czy konstruktor rakiet, as szpiegowski, czarownica, jedno lichy. „Nie chcesz chyba powiedzieć, że przeprowadzasz operacje na ludzkich mózgach?” – śmiali się z niedowierzaniem.

I jakie to wszystko ma znaczenie?

W gruncie rzeczy Rowan rozumiała teraz „kwestię mężczyzn” nieco lepiej niż w owych czasach, kiedy Graham się z nią sprzeczał. Pojmowała związek między sobą a tymi bohaterami w mundurach – zdawała sobie sprawę, że wchodzenie do sali operacyjnej, nakładanie sterylnych rękawic, podnoszenie mikrokoagulatora i mikroskalpela, wszystko to jest podobne do wchodzenia do płonącego budynku, albo ingerowania z pistoletem w kłótnię rodzinną, aby ocalić kobietę i dziecko.

Ileż to razy słyszała, jak neurochirurgów porównywano do strażaków? A potem ta chytra krytyka – jednak to co innego, bo nie rzucasz na szalę swojego życia. Akurat! Jeśli dość często będziesz zawodził tam, na sali, jeśli okaże się, że nie jesteś zbyt dobry, twoje życie legnie w gruzach równie pewnie, jak gdyby płonący dach zleciał ci na głowę. Żeby przeżyć, trzeba być wybitnym, odważnym i niemal idealnym, ponieważ w żaden inny sposób nie można są utrzymać na powierzchni, i każda chwila na sali operacyjnej stawała się śmiertelnym testem.

Tak, identyczny rodzaj odwagi, umiłowania napięcia i niebezpieczeństwa, na które człowiek naraża się z tego samego powodu – to właśnie dostrzegała w owych gburowatych facetach, których uwielbiała całować, gładzić, ssać; mężczyznach, pod którymi lubiła leżeć; ludziach, którzy nie wymagali od niej mówienia.

Ale na co się zda rozumienie, skoro minęły już miesiące – prawie pół roku – odkąd po raz ostatni zaprosiła kogoś do swego łóżka. Co sobie o tym myśli „Sweet Christine”? – zastanawiała się czasami. Czy łódź szepcze do niej w ciemności: Rowan, gdzie są nasi mężczyźni?

Jasnowłosey Chase o oliwkowej skórze, gliniarz-albinos z Marin, wciąż zostawiał dla niej wiadomości na automatycznej sekretarce. Ona jednak nie miała czasu, żeby do niego zadzwonić. A był te przecież taki słodki gość; on nawet czytywał książki, a pewnego razu rozmawiali, przeprowadzili prawdziwą

rozmowę, kiedy ona zrobiła jakąś zdawkową uwagę na temat ostrego dyżuru i kobiety, której mąż wpakował kulkę w głowę. On zrewanżował się natychmiast serią podobnych opowieści i wkrótce na przemian raczyli się różnymi krwawymi historiami. Tak łatwo znaleźli wspólny język. Może właśnie dlatego nie odpowiadała na jego telefony?

Wbrew pozorom jednak neurochirurg na jakiś czas zwyciężył w niej kobietę tak kompletnie, że nie była nawet pewna, dlaczego właściwie rozmyśla dziś wieczór o tych mężczyznach. Chyba że przyszli jej na myśl, bo nie była wcale aż tak zmęczona – albo dlatego, że ostatnim pięknym samcem, do którego odczuwała pociąg, był Michael Curry, ten wspaniały topielec, piękny nawet wtedy, kiedy leżał tam na pokładzie, blady i mokry, z włosami przyklejonym do czaszki.

Tak. Był to, jak mawiały dziewczyny w szkole, uroczy byczek – po prostu absolutnie cudowny facet, i to całkowicie w jej typie. Jego ciało nie przypominało kalifornijskiego kulturysty o przerośniętych mięśniach i fałszywej opaleniznie, z farbowaną czupryną na czubku głowy, ale potężny proletariacki egzemplarz, któremu uroku przydawały niebieskie oczy i te piegi na policzkach, na których wspomnienie miała ochotę go pocałować.

Cóż za ironia, żeby wyłowić z morza, w stanie tragicznej bezradności, tak idealny przykład jedyne rodzaju mężczyzny, jaki kiedykolwiek ją pociągał.

Rowan zatrzymała się. Była już pod drzwiami oddziału intensywnej terapii. Wszedłszy po cichu, przez chwilę stała bez ruchu, obserwując ten dziwaczny, lodowato nieruchomy świat przezroczystych komór przypominających akwaria, w których wystawiono na pokaz wychudzone jednostki śpiące pod plastikami namiotów tlenowych, ludzi, których kruche torsy i kończyny podłączono do pikających monitorów, pośród niezliczonych kabli i ekranów.

W głowie Rowan nagle pstryknął wyłącznik. Wszystko, co znajdowało się na zewnątrz tej sali, rozplynęło się. Podobnie zniknął świat rozciągający się poza salą operacyjną.

Podeszła do biurka, wyciągając dłoń, aby bardzo leciutko dotknąć ramienia pielęgniarki, która siedziała pochylona nad górą papierów leżącą pod nisko zawieszoną świetlówką.

– Dobry wieczór, Laurel – wyszeptała.

Kobieta przełękła się. Potem, kiedy rozpoznała Rowan, jej twarz się rozjaśniła.

– Doktor Mayfair, pani jeszcze tutaj?

– Chciałam się jeszcze trochę rozejrzeć.

Rowan obchodziła się z pielęgniarkami o wiele łagodniej niż z lekarzami. Od samego początku swej praktyki zabiegała o ich względy, usilnie starając się zmniejszyć ową niechęć do lekarek, i wzbudzić w nich tyle entuzjazmu, ile tylko się dało. Neurochirurgia była dla niej wiedzą ścisłą, skalkulowaną i udoskonaloną niemal bezlitośnie, a jednak równie głęboko szczerą.

Wszedłszy do pierwszego pokoju i zatrzymawszy się przy wysokim, błyszczącym metalowym łóżku – wyglądało ono jak monstrualny stelaż na kółkach – usłyszała za sobą kroki siostry, która podeszła, aby ją obsłużyć. Pielęgniarka zrobiła ruch, chcąc zdjąć kartę choroby z jej miejsca w nogach łóżka. Rowan potrząsnęła głową: nie, dziękuję.

Ofiara wypadku z poprzedniego dnia leżała blada, na pozór nieżywa; jej głowa w białym turbanie z bandaży wydawała się olbrzymia, do nosa biegła cienka, bezbarwna rurka. Tylko maszyny zdradzały oznaki życia swym cichym, monotonnym popiskiwaniami i krzywiznami fosforyzujących linii. Glukoza płynęła przez maleńką igłę wkłutą w unieruchomiony przegub.

Niby trup powracający do życia na stole balsamisty, kobieta pod warstwami wyblakłych prześcieradeł powoli otworzyła oczy.

– Doktor Mayfair – wyszeptała.

Przez ciało Rowan przebiegł słodki dreszcz ulgi. Ponownie wymieniła spojrzenia z pielęgniarką. Potem uśmiechnęła się.

– Jestem tutaj, pani Trent – powiedziała cicho. – Świetnie się pani trzyma.

Delikatnie objęła palcami prawą rękę kobiety. Tak, naprawdę doskonale.

Oczy chorej zamknęły się powoli, niby płatki kwiatu. Nie zaszła żadna zmiana w cichym graniu maszyn, które ich otaczały. Rowan odeszła równie bezgłośnie, jak przybyła.

Przez okna następnego pokoiku spojrzała na kolejną, na pozór nieprzytomną figurę, istne chuchro. Był to chłopiec o oliwkowej skórze, który oślepił nagle i zatoczywszy się spadł z peronu prosto pod koła nadjeżdżającego pociągu.

Nad nim pracowała cztery godziny, zszywając miniaturową igielką krwawiące naczynie, które spowodowało ślepotę, potem łatając uszkodzoną czaszkę. Na oddziale pooperacyjnym żartował wspólnie z otaczającymi go lekarzami.

Teraz, stojąc nieruchomo, Rowan śledziła zmrużonymi oczami delikatne poruszenia, które chłopiec wykonywał we śnie; kolano drgnęło pod kołdrą, zacisnęła się leżąca dłoń do góry ręka, głowa przekręciła na drugą stronę. Chłopiec przesunął językiem po suchych wargach i zamamrotał do siebie, jak ktoś prowadzący we śnie rozmowę.

– Dobrze sobie radzi, pani doktor – wyszeptała stojąca obok pielęgniarka.

Rowan skinęła głową. Wiedziała jednak, że za kilka tygodni chłopiec zacznie miewać ataki. Będą próbowali to opanować za pomocą dilantinu, ale mimo to pacjent już do końca życia pozostanie epileptykiem. Na pewno lepsze to od śmierci czy ślepoty. Rowan poczeka jeszcze z tą diagnozą lub wyjaśnieniami. Bądź co bądź, istnieje szansa, że się pomyliła.

– A pani Kelly? – zapytała i odwróciła się. Spojrzała siostrze prosto w oczy. Chciała dostrzec ją wyraźnie i całkowicie. Była to sprawna i pełna współczucia pielęgniarka; Rowan odczuwała do niej nawet sympatię.

– Panią Kelly bawi fakt, że wciąż ma w głowie dwie kule. „Czuję się jak naładowany pistolet”, powiedziała mi. Nie pozwala odejść swojej córce. Chce wiedzieć, co się stało z tym „łachudrą z ulicy”, który ją postrzelił. Domaga się jeszcze jednej poduszki, telewizora i telefonu.

Rowan roześmiała się cicho i z uznaniem, gdyż tego od niej oczekiwano. Nikły odgłos wśród tej pełnej szumów ciszy.

– No, może od jutra – powiedziała.

Z miejsca, w którym stała, widziała energiczną panią Kelly leżącą za ostatnią parą okien na końcu oddziału. Nie będąc w stanie unieść głowy z poduszki, kobieta gestykulowała swobodnie prawą ręką, rozmawiając ze swoją dorosłą córką, chudą i wyraźnie znużoną dziewczyną o obwisłych powiekach, która jednakże co i raz kiwała głową, spijając każde słowo matki.

– To jej dobrze robi – wyszeptała Rowan. – Pozwólcie córce zostać, jak długo zechce.

Pielęgniarka skinęła głową.

– Nie wrócę przed poniedziałkiem, Laurel – powiedziała Rowan. – I nie jestem pewna, czy taki rozkład zajęć mi się podoba.

Pielęgniarka zaśmiała się cicho.

– Zasłużyła pani na odpoczynek, doktor Mayfair.

– Naprawdę? – mruknęła Rowan. – Doktor Simmons zadzwoni do mnie, gdyby był jakiś problem. Możesz go zawsze o to poprosić, Laurel. Rozumiesz?

A potem wyszła przez podwójne drzwi, które zamknęły się za nią z lekkim szurnięciem. Tak, to był dobry dzień.

I naprawdę nie ma już powodu, żeby tu dłużej zostawać – chyba że tylko po to, aby zrobić parę notatek w osobistym dzienniku, który trzymała w gabinecie, no i wysłuchać wiadomości z automatycznej sekretarki. Być może odpocznie przez chwilę na obitej skórą sofie. O ileż wygodniej było w tym pokoju niż w ciasnych i odrapanych dyżurkach, gdzie przez lata sypiała czekając na wezwanie.

Musi już iść do domu, wiedziała o tym. Powinna pozwolić ceniom Grahama i Ellie, aby przybywały i odchodziły, kiedy im przyjdzie ochota.

A ten Curry? No patrzcie, raz jeszcze zapomniała o Michaelu Curry, a jest już prawie dziesiąta. Trzeba zadzwonić do doktora Morrisa tak szybko, jak się

da.

Tylko nie pozwól, aby serce biło ci szybciej dla tego Curry, myślała, idąc niespiesznie wyłożonym linoleum korytarzem, raz jeszcze wybierając cementowe schody zamiast windy, i przemierzając kręty szlak, który miał ją wreszcie doprowadzić pod drzwi gabinetu.

Czekała z niecierpliwością na to, co ma do powiedzenia Morris, żadna wieści o jedynym w tej chwili mężczyźnie w jej życiu; o kimś, kogo nie znała i nie widziała ani razu od czasu owego burzliwego epizodu desperackich wysiłków; szalonego, przypadkowego wyczynu, jaki miał miejsce na wzburzonym morzu prawie cztery miesiące temu...

\* \* \*

Owej nocy była nieomal nieprzytomna ze znużenia. Rutynowa zmiana podczas ostatniego miesiąca jej praktyki przyniosła trzydzieści sześć godzin pracy, z czego Rowan przepała może w godzinę. Nie miała jednak nic przeciwko temu, póki nie dostrzegła w wodzie utopionego mężczyzny.

„Sweet Christine” posuwała się zółwim tempem po spienionym oceanie, pod ciężkim, ołowianym niebem. Wiatr wył za oknami sterówki. Ostrzeżenia przeznaczone dla małych jednostek nie miały żadnego znaczenia dla tej trzynastometrowej, pełno wyporowej, stalowej holenderskiej łodzi motorowej o podwójnym silniku; jej ciężki kadłub sunął gładko, choć powoli wśród rozkołysanych fal, nie unosząc się ani trochę. Prawdę powiedziawszy, ta łódź była nieco za duża jak na siły jednej osoby. Rowan jednak pływała nią od czasu, kiedy skończyła szesnaście lat.

Naprawdę najtrudniejszym zadaniem jest wyprowadzenie takiego kolosa z portu i wprowadzenie go tam z powrotem; wtedy wymagana jest obecność drugiego członka załogi. Rowan zaś miała swój własny kanał, głęboki i szeroki, wykopany w pobliżu domu w Triburon, z prywatnym molo. Doskonale

opanowała powolny, metodyczny sposób postępowania z łodzią. Skoro już „Sweet Christine” została wyprowadzona z kanału i skierowana w stronę San Francisco, na mostku wystarczała w zupełności jedna kobieta, która znała i rozumiała wszystkie skomplikowane elektroniczne pogwizdy i dzwonki ukochanej łajby.

„Sweet Christine” zbudowano mając na względzie nie szybkość, lecz wytrzymałość. Tamtego dnia, jak zawsze, jej wyposażenie wystarczyłoby na podróż dookoła świata.

Kiedy Rowan przepływała pod mostem Złote Wrota, na zaciągniętym chmurami niebie dogorywał blask owego majowego popołudnia. Do czasu, kiedy most zupełnie zniknął jej z widoku, przedłużający się zmierzch zgasł już całkowicie.

Ciemność zapadała z czystą, metaliczną monotonią; ocean zlewał się z niebem. Było tak zimno, że Rowan nosiła wełniane rękawice i marynarską czapkę nawet w sterówce, wypijając filiżankę za filiżanką parującej kawy, która ani na chwilę nie umniejszała jej znużenia. Jak zawsze wzrok dziewczyny lustrował zmienną powierzchnię morza.

Wtedy pojawił się Michael Curry. Ten punkcik na morzu – czy to może być człowiek?

Unosił się na falach twarzą do dołu, ze swobodnie rozrzuconymi ramionami; dłonie dryfowały w pobliżu głowy, a czarny gąszcz włosów odcinał się od jaśniejszej, szarej wody. Poza tym dostrzegła tylko ubranie, rozdymające się nieco wokół bezwładnego, niekształtnego ciała. Płaszcz przeciwdeszczowy ściągnięty paskiem, brązowe buty. Sprawiał wrażenie trupa.

W ciągu tych kilku pierwszych chwil mogła jedynie stwierdzić że nie natrafiła na rozkładające się zwłoki. Dłonie, choć blade, nie napuchły od wody. Być może dopiero przed chwilą wypadł za burtę z jakiegoś większego statku. Przede wszystkim trzeba było niezwłocznie wysłać sygnał Pan-Pan, podać swoje położenie, a potem spróbować wciągnąć biedaka na pokład.



Tak się akurat zdarzyło, że łodzie straży przybrzeżnej znajdowały się wiele mil od jej pozycji, a załogi helikopterów ratunkowych miały roboty po łokcie. Z powodu ostrzeżeń meteorologicznych w całej okolicy nie było naprawdę żadnych mniejszych jednostek. Przy tym nadciągała mgła. Pomoc przybędzie, skoro tylko się da, jednak nikt nie był w stanie powiedzieć, kiedy.

– Postaram się wyciągnąć go z wody – powiedziała Rowan. – Jestem tutaj sama. Przyplyniecie tak szybko, jak możecie.

Nie było potrzeby mówić im, że jest lekarką, ani przypominać to, o czym sami wiedzieli – w tych zimnych wodach ofiary utonięć utrzymują się przy życiu przez niewiarygodnie długi czas, ponieważ spadek temperatury zwalnia przemianę materii; mózg zasypiając wymaga jedynie drobnej części zwykłej ilości tlenu i krwi. Najważniejsze, żeby wydostać go z wody i rozpocząć akcję ratunkową.

I tu właśnie leżała trudność, ponieważ Rowan nigdy jeszcze nie robiła czegoś podobnego sama. Miała jednak odpowiednie wyposażenie: uprząż przymocowane do potężnej nylonowej liny, która biegła do benzynowej wciągarki na szczycie sterówki – innymi słowy, dostateczne środki, aby wciągnąć go na pokład, jeśli tylko zdoła się do niego dostać, a to właśnie mogło się jej nie udać.

Bez zwłoki nałożyła gumowe rękawice i kamizelkę ratunkową, potem zamocowała własną uprząż i ściągnęła drugą dla niego. Sprawdziła osprzęt, włącznie z liną przymocowaną do łódki ratowniczej – trzymały jak należy. Potem spuściła szalupę za burtę „Sweet Christine” i zeszła do niej, nie zważając na falujące morze, kołysanie drabinki i zimną wodę, która opryskiwała jej twarz.

Mężczyzna dryfował ku niej, kiedy wiosłowała w jego stronę; ale woda prawie zatapiała szalupę. Przez sekundę Rowan pomyślała jasno: to beznadziejne. Mimo to nie chciała się poddać. Nareszcie, omal nie wypadłszy ze swojej łupinki, sięgnęła po jego rękę, chwyciła ją i przyciągnęła ciało, głową naprzód, ku sobie. No, teraz trzeba właściwie zamocować tę przeklętą uprząż

wokół jego piersi.

Raz jeszcze woda z impetem wdarła się na pokład. Potem fala podrzuciła Rowan i popchnęła do ciała mężczyzny. Dłoń topielca wyslizgnę się jej. Straciła go. Powrócił jednak, podskakując jak korek. Schwyciwszy go, siłą nasunęła mu uprząż na szyję, a potem na ramię: z trudem udało jej się wepchnąć jego lewą rękę. Koniecznie trzeba było jednak przeciągnąć również prawą. Uprząż musi dobrze opasywać korpus, jeśli ona ma go wyciągnąć z wody, obciążonego mokrą odzieżą.

Przez cały ten czas, kiedy jej oczy spoczywały na częściowo zatopionej twarzy, gdy dotykała zimnej skóry jego wyciągniętej ręki, zmysł diagnostyczny pracował, Tak, on tu jest, może powrócić. Zabierz go na pokład.

Jedna za drugą nadeszły gwałtowne fale, które nie pozwoliły jej nic robić; mogła tylko trzymać go mocno. Potem nareszcie zdołała uchwycić prawy rękaw i pociągnawszy jego ramię ku przodowi wcisnęła je w uprząż, którą natychmiast mocno zadzierzgnęła.

Szalupa wywróciła się do góry dnem, wrzucając ich oboje do morza. Rowan łyknęła nieco wody i straciła dech, kiedy przeraźliwe zimno przeniknęło przez ubranie. Ile minut wytrzyma w tej temperaturze, zanim straci przytomność? Mężczyzna był już jednak przypasany do łodzi równie bezpiecznie jak ona sama. Jeśli uda jej się dotrzeć do drabinki, da radę wwindować go na pokład. Puściwszy jego linę, złapała własną i, chwyt za chwytem, przyciągała się do łodzi, nie dopuszczając do siebie myśli o porażce; szeroka sterburta „Sweet Christine” była rozmazana plamą, która na przemian zniknęła i wyłaniała się z ciemności, kiedy Rowan zalewały fale.

Wreszcie uderzyła w bok łodzi. Wstrząs błyskawicznie przywrócił jej pełną świadomość. Kiedy sięgała do najniższego stopnia drabinki, palce w rękawicach nie chciały się zginać. Dała im jednak rozkaz. Zaciskajcie się, do diabła, złapcie się liny – a potem, kiedy jej prawa ręka usłuchała, obserwowała ruchy, których nie była już w stanie wyczuć. Lewa dłoń ruszyła ku przeciwległej stronie

drabinki. Rowan znów rzuciła komendy zdrtwiałemu ciału; nie całkiem jeszcze w to wierząc wspinała się szczebel po szczeblu.

Leżąc na pokładzie przez chwilę nie była w stanie się poruszyć. Ciepłe powietrze z otwartych drzwi sterówki parowało niby gorący oddech. Później Rowan zaczęła masować palce, póki nie wróciło w nich czucie. Nie miała jednak czasu, aby się ogrzać; musiała szybko gramolić się na nogi i ruszać do wyciągarki.

Teraz dłonie zaczęły boleć. Kiedy zapuszczała motor, robiły jednak mechanicznie to, co chciała. Dźwig jęczał i śpiewał nawijając nylonową linę. Nagle Rowan dostrzegła ludzkie ciało, które wznosiło się nad barierką pokładu – zwieszona głowa, ramiona rozrzucone szeroko i zwisające bezwładnie, woda lejąca się z ciężkiego, bezbarwnego ubrania. Mężczyzna poleciał przed siebie i upadł na pokład głową naprzód.

Sprzęt wył przyciągając topielca bliżej sterówki; potem Rowan szarpnięciem postawiła go na nogi, niecały metr od drzwi. Wyłączyła motor. Mężczyzna osunął się bez śladów życia. Mimo wszystko był zbyt daleko od podmuchu ciepłego powietrza, aby mu się to mogło na coś przydać.

Rowan wiedziała, że sama nie zdoła wciągnąć go do środka, a nie było czasu, aby znów użerać się z linami.

Jednym potężnym szarpnięciem przewróciła mężczyznę na brzuch i wypompowała mu z płuc dobrą kwartę morskiej wody. Później uniosła go, wpychając się podeń i przerzucając z powrotem na plecy. Ściągnęła rękawice, bo przeszkadzały. Potem wsunęła lewą rękę pod kark topielca, zacisnęła palce prawej na jego nosie i zaczęła sztuczne oddychanie. Jej umysł współpracował, tworząc wizję ciepłego powietrza, które w niego pompowała. Zdawało jej się, że ta praca trwa wiecznie, a w nieruchomej masie pod nią nie zachodzą żadne zmiany.

Przerzuciła się więc na klatkę piersiową, uciskając na mostek najmocniej jak potrafiła, potem zwalniając nacisk, i tak raz za razem, przez piętnaście uderzeń.

„No, ruszaj, oddychaj!”, powtarzała. „Oddychaj, niech cię diabli!” Potem wróciła do sztucznego oddychania.

Nie sposób powiedzieć, jak długo to trwało; podobnie jak na sali operacyjnej Rowan nie zważała na czas. Pracowała po prostu dalej, próbując na przemian masażu klatki piersiowej i nadymania płuc, przerywając tylko od czasu do czasu, aby wymacać zamarłą tętnicę szyjną i sprawdzić, czy zmysł diagnostyczny podaje jej tę samą informację – *On żyje*. – Potem działała dalej.

Poruszone jej wysiłkami, ciało mężczyzny taczało się po pokładzie; zapamiętała skórę błyszczącą i woskową od wilgoci, obcasy brązowych skórzanych butów przewracające się na deskach.

Jeszcze raz spróbowała wciągnąć go do sterówki, ale to było na nic. Niewyraźnie zdając sobie sprawę, że ani jedno światło nie majaczy we mgle ani żaden helikopter nie ryczy nad jej głową, Rowan walczyła dalej, przerywając raptownie tylko po to, aby go spoliczkować, a potem przemawiać do niego, mówić mu, że jest tu razem z nią, że liczy na jego powrót.

– Ty mnie słyszysz! – krzyczała, ponownie uciskając mostek. Wyobrażała sobie serce i płuca we wszystkich wspaniałych szczegółach. A potem, kiedy ponownie zaczęła unosić jego głowę, oczy mężczyzny rozwarły się nagle, a twarz rozjaśniła życiem. Jego pierś poruszyła się; poczuła falę oddechu, który gorącym oblał jej twarz.

– O to chodzi, oddychaj! – zawołała przekrzykując wiatr. I czemu tak się zdumiała, że on żyje, że patrzy na nią, skoro przedtem nawet nie pomyślała, żeby się poddać?

Prawa dłoń mężczyzny wystrzeliła w górę i chwyciła jej rękę. Odezwał się do niej, zamamrotał coś nieskładnie; coś, co mimo wszystko zabrzmiało jak imię.

Znów uderzyła go w twarz, tym razem delikatnie. Oddychał nierówno, lecz szybko, z twarzą ściągniętą bólem. Jak niebieskie były jego oczy, jak wyraźnie i niewątpliwie żywe. Nigdy przedtem nie widziała takich oczu, dzikich,

błyszczących, galaretowatych kul przypatrujących się jej z uwagą.

– Nie przestawaj oddychać, słyszysz. Idę pod pokład po koce.

Znów złapał ją za rękę; zaczął gwałtownie dygotać. A kiedy próbowała się oswobodzić, ujrzała, jak jego wzrok mija ją i biegnie ku górze. Uniósł lewą dłoń. Wskazywał coś. Światła reflektorów nareszcie omiotły pokład. I, dobry Boże, nad łodzią przetaczała się mgła gęsta jak dym. Helikopter przyleciał w samą porę; oczy Rowan piekły od wiatru. Z trudem dostrzegała wirujące w górze śmigło.

Osunęła się na pokład, sama niemal straciwszy przytomność. Nadal jednak czuła na ręce jego uchwyt. Starał się coś jej powiedzieć. Poklepała go po dłoni, zapewniając: „Już wszystko w porządku, oni cię zabiorą”.

W chwilę później wyrzaskiwała rozkazy do schodzących po drabince ludzi ze straży przybrzeżnej; nie rozgrzewajcie go za szybko i na miłość boską, nie dawajcie mu nic gorącego do picia. To ostry przypadek hipotermii. Skontaktujcie się z portem, żeby wezwali karetkę.

Kiedy wciągali topielca na górę, drżała o niego. Prawdę powiedziawszy wiedziała jednak, że lekarze nie stwierdzą żadnych neurologicznych zaburzeń.

\* \* \*

Nie mogąc zasnąć do północy, Rowan dała za wygraną. Przynajmniej było jej znów ciepło i wygodnie. „Sweet Christine” bujała się na ciemnym morzu niby ogromna kołyska, omiatając światłami mgłę; pracował radar, autopilot utrzymywał ten sam, szeroki okrężny kurs. Wtulona w kątek koi, ubrana w suche rzeczy, Rowan piła swoją parującą kawę.

Myślała o nim, o wyrazie jego oczu. Nazywała się Michael Curry, tak przynajmniej powiedział jej pracownik straży przybrzeżnej, kiedy go wywołała. Zanim dostrzegła ciało, znajdował się już w wodzie przynajmniej od czterech godzin. Poza tym wszystko było tak, jak przewidziała. „Żadnych

neurologicznych problemów”. Prasa nazywała to cudem.

Niestety w karetce stracił orientację i zaczął się zachowywać gwałtownie – może przez tych wszystkich reporterów, którzy byli w porcie – a oni zaaplikowali mu środek uspokajający (głupcy!), co narobiło nieco kłopotu (no przecież!), ale w chwili obecnej „pacjent ma się dobrze”.

– Nie podawajcie nikomu mojego nazwiska – powiedziała wtedy. – Chcę, aby chroniono moją prywatność.

Zrozumiano. Ci reporterzy to prawdziwa zmora. Prawdę mówiąc, jej prośba o pomoc przysłała w najgorszym momencie i nie została właściwie zanotowana. Nie mieli ani jej nazwiska, ani nazwy łodzi. Gdyby była tak miła i podała im te dane teraz...

– Koniec rozmowy, bez odbioru, dziękuję wam – przerwała wyłączając się.

„Sweet Christine” dryfowała. Rowan odtwarzała sobie niedawne wydarzenia. Pamiętała Michaela leżącego na pokładzie, sposób, w jaki zmarszczył czoło, kiedy się ocknął, i odbijające się w jego oczach światło ze sterówki. Cóż za słowo wymówił? Zabrzmiało jak jakieś imię. Nie przypominałaby sobie jednak, nawet gdyby usłyszała je wyraźnie.

Wydawało się niemal pewne, że zginąłby, gdyby go nie dostrzegła. Myśl o tym nie przyniosła jej ulgi; widziała Michaela dryfującego w ciemności i mgłę, podczas gdy życie z każdą minutą wycieka z jego ciała. Tak mało brakowało.

Co za wspaniały facet. Prezentował się świetnie, nawet jako topielec. Charakteryzował się owym zawsze tajemniczym zestawem rysów, który czyni mężczyznę pięknym. Miał niewątpliwie irlandzką twarz – kwadratową, z krótkim i raczej zaokrąglonym nosem, a to nie dodaje człowiekowi urody. Jednak nie w przypadku Michaela. Nie przy takich ustach i oczach. W żadnym razie.

Ale nie wypada myśleć o nim w ten sposób, nieprawdaż? Nie była lekarką, kiedy wychodziła na łowy; była Rowan pragnącą jedynie anonimowego partnera, a potem, kiedy zamknę się za nim drzwi, snu. Tymczasem to Rowan-

lekarka martwiła się o pana Curry'ego.

Któż lepiej niż ona zna się na wszystkich nieprawidłowościach, jakie mogły się wkraść w chemiczne procesy mózgu podczas tej rozstrzygającej godziny?

Następnego dnia wczesnym rankiem po wprowadzeniu łodzi do portu zadzwoniła do Szpitala Centralnego w San Francisco. Doktor Morris, główny stażysta, wciąż był na dyżurze. „Całym sercem jestem z panem”, powiedziała, pokrótce wyjaśnwszy swą własną pozycję na Uniwersytecie. Opisała akcję ratunkową, wymieniła wskazówki, jakich udzieliła pielęgniarzowi na temat hipotermii. Curry nic nie mówił, wymamrotał coś tylko, nie zdołała uchwycić żadnych wyraźnych sylab. Żywiła jednak mocne przekonanie, że pacjent wydobrzeje.

– Tak, czuje się dobrze, ma diabelskie szczęście – poinformował ją doktor Morris. Tak, oczywiście, rozmawiają jak lekarz z lekarzem, całkowicie poufnie. Te wszystkie szakale na korytarzu nie muszą wiedzieć, że wciągnęła go na pokład łodzi samotna kobieta – neurochirurg. Naturalnie pod względem psychologicznym cierpi na pewne zaburzenia, bez ustanku opowiada o wizjach, które miał na morzu, poza tym coś dzieje się z jego rękami, coś przedziwnego...

– Z rękami?

– To nie paraliż, ani nic w tym rodzaju. Przepraszam, wzywają mnie do pacjenta.

– Słyszę. Niech pan posłucha, odpracowuję na Uniwersytecie ostatnie trzydzieści dni. Proszę zadzwonić, gdyby pan mnie potrzebował. Przyjadę.

Odwiesiła słuchawkę. Co u diabła on miał na myśli, mówiąc o rękach? Przypomniała sobie uścisk Michaela, sposób, w jaki się jej uczeplił. Nie chciał pozwolić jej odejść. Dokładnie pamiętała utkwiony w nią wzrok. „Nie spałam roboty”, wyszeptała do siebie, „rękom tego faceta nic złego się nie stało”.

\* \* \*

Następnego popołudnia otworzywszy Examinera zrozumiała, na czym polega „sprawa dłoni” pana Curry’ego.

Michael wyjaśniał, że przeżył „doświadczenie mistyczne”. Z jakiegoś miejsca wysoko w górze obserwował własne ciało, które dryfowało po Pacyfiku. Przytrafiło mu się o wiele więcej, ale nie potrafił sobie tego przypomnieć, i odchodził od zmysłów z powodu utraty pamięci.

A jeśli chodzi o plotki na temat jego rąk, no cóż, owszem, to prawda, nosi teraz przez cały czas czarne rękawice, ponieważ za każdym razem kiedy czegoś dotyka, dostrzega obrazy. Nie mógł unieść łyżeczki ani dotknąć mydła nie ujrawszy czegoś, co wiązało się z człowiekiem, który jako ostatni trzymał ten przedmiot.

Na prośbę reporterki dotknął krzyżyka jej różańca i powiedział, że kupiono go w Lourdes w 1939 roku, zaś ona odziedziczyła go po matce.

To całkowita prawda, zapewniała gazeta; ale teraz już i liczni członkowie sanitarnego personelu mogli potwierdzić nowe zdolności Curry’ego.

Michael mówił, że naprawdę chciałby wrócić do domu. Pragnął też, żeby skończyła się ta heca z rękami i aby powróciła pamięć tego, co mu się przydarzyło ponad oceanem.

Rowan wpatrywała się w zdjęcie – dużą czarno-białą fotografię siedzącego w łóżku mężczyzny. Nie sposób było nie dostrzec jego proletariackiego uroku. A uśmiech miał po prostu cudowny. Na szyi miał nawet złoty krzyżyk na cienkim łańcuszku, który uwydatniał muskularność jego ramion. Wielu gliniarzy i strażaków nosiło podobne ozdoby. Uwielbiała je. Nawet wtedy, gdy w łóżku ten mały złoty krzyżyk, medalik, czy inne lichy przesuwiał się po jej twarzy, osiadając niby pocałunek na powiekach.

Dłonie w czarnych rękawicach, spoczywające na białej kołdrze, sprawiały jednak złowróżbne wrażenie. Czy to, co opisano w artykule, jest w ogóle możliwe? Rowan nie wątpiła ani przez moment. Widywała już o wiele



dziwniejsze rzeczy.

*Nie spotykaj się z tym facetem. On ciebie nie potrzebuje, a ty nie powinnaś pytać go o rękę.*

Wydarła artykuł, złożyła go i wcisnęła do kieszeni. Był tam jeszcze następnego ranka, kiedy po ciężkiej nocy spędzonej w Centrum Neurologii Urazowej, zataczając się wkroczyła do służbówki i otworzyła Chronicle.

Interesujący ją tekst wraz ze zdjęciem znalazła na trzeciej stronie; ładne ujęcie głowy, wyraz twarzy trochę bardziej ponury, może nieco mniej ufny. Na tuziny liczone już ludzi, którzy byli świadkami osobliwych psychometrycznych umiejętności Curry'ego. Chciałby, aby ludzie zrozumieli, że to po prostu „salonowa sztuczka” i w niczym nie może im pomóc.

Jedyną rzeczą, która go obchodziła, była ta zapomniana przygoda, to znaczy miejsca, które odwiedził, kiedy był martwy. „Wróciłem z jakiegoś powodu”, powiedział, „jestem tego pewien. Pozwolono mi wybierać, a ja podjąłem decyzję powrotu. Miałem do zrobienia coś bardzo ważnego. Czuję to; wiem, że jest jakiś cel. Wiązało się to z bramą, i z numerem. Nie mogę jednak przypomnieć sobie znaczenia widzianych obrazów. Prawdę mówiąc, nic z tego wszystkiego nie pamiętam. Zupełnie tak, jakby najważniejsze zdarzenie całego życia zostało wymazane z mojej świadomości. I nie znam sposobu, w jaki mógłbym je odtworzyć”.

Robią z niego wariata, pomyślała. A było to zapewne typowe przeżycie towarzyszące śmierci klinicznej. Obecnie lekarze wiedzą, że to się zdarza. Co napadło otaczających go ludzi?

Jeśli zaś chodzi o rękę, to sprawa fascynuje ją odrobinę za bardzo, nieprawdaż? Przejrzała kilka relacji świadków. Żałowała, że nie ma choćby pięciu minut, aby zapoznać się z testami, jakie mu zrobiono.

Raz jeszcze przypomniwała sobie Michaela leżącego na pokładzie, wspomniwała siłę jego uścisku, wyraz twarzy.

Czy w owej chwili wyczuł coś dzięki wizjonerskiej sile swego dotyku? A co

poczułby teraz, gdyby do niego poszła, opowiedziała to, co pamięta z całego wypadku, i usiadłszy przy nim na łóżku poprosiła, aby wykonał dla niej tę salonową sztuczkę – innymi słowy, gdyby wymieniła swoje skąpe informacje na to, czego wszyscy od niego żądali? Nie.

To straszne, że mogłaby czegoś podobnego zażądać. Obrzydliwość, że ona, lekarka, może myśleć nie o tym, czego jemu potrzeba, ale o tym, czego sama pragnie. Wydało jej się to jeszcze gorsze niż zastanawianie się, co by było, gdyby poszła z nim do łóżka, lub o trzeciej nad ranem piła w jego towarzystwie kawę w tej malutkiej kabinie.

Jak tylko będzie miała czas, zadzwoni do doktora Morrisa. Dowie się o zdrowie pana Curry'ego... ale kiedy? Nie wiedziała. W tej chwili sama z braku snu przypomniła chodzącego trupa, a przecież jeszcze potrzebowali jej na pooperacyjnym. Chyba powinna zostawić tego mężczyznę w spokoju. Może to jest najlepsza rzecz, jaką mogła zrobić dla nich obojga.

\* \* \*

Pod koniec tygodnia Chronicle opublikowała na pierwszej stronie długi artykuł:

#### CO SIĘ PRZYTRAFIŁO MICHAELOWI CURRY'EMU

Miał czterdzieści osiem lat, prowadził firmę budowlaną, pod nazwą Wielkie Nadzieje, która specjalizowała się w odnawianiu starych wiktoriańskich budynków. Najwyraźniej był już w San, Francisco legendą; fanatyk autentyczności aż po drewniane kołki i kwadratowe gwoździe, ruiny zamieniał w rezydencje. Na Castro miał mały sklepik pełen wanien na zwierzęcych łapkach i umywalek na cokołach. Słynne były jego szczegółowe rysunki restaurowanych budowli. Wydano nawet album, zatytułowany „Wielkie zabytki wiktoriańskiej architektury na zewnątrz i od środka”. To on zbudował hotele: Barbary Coast na ulicy Clay, i Jack London na Buena Vista West. Ten pierwszy

otrzymał nawet nagrodę.

Teraz jednak Michael Curry niczym się nie zajmował. Wielkie Nadzieje tymczasowo zamknięto. Ich właściciel zbyt był zajęty próbując sobie przypomnieć, co takiego mu objawiono podczas owej rozstrzygającej godziny, kiedy to „pływał po wodzie nieżywy”.

– To nie był sen – mówił. – Wiem, że rozmawiałem z jakimiś ludźmi. Wyjaśnili mi, co mam dla nich zrobić, a ja się zgodziłem. Prosiłem, aby mi pozwolono wrócić.

Jeśli zaś chodzi o parapsychiczne umiejętności, one nie mają z tym nic wspólnego, utrzymywał Curry. Najprawdopodobniej jest to jedynie swego rodzaju efekt uboczny. „Zrozumcie, te wszystkie imiona, twarze – dostrzegam tylko przelotnie. – Zupełnie nie można na tym polegać”.

Tej nocy w szpitalnej dyżurce zobaczyła go w wiadomościach telewizyjnych – żywego, trójwymiarowego człowieka. Znow te niezapomniane niebieskie oczy, uczciwy uśmiech. Było w nim coś niewinnego; proste, niedwuznaczne gesty zdradzały kogoś, kto dawno temu zrezygnował z nieuczciwości, z jakichkolwiek prób przechytrzenia życia.

– Muszę wracać do domu – powiedział. Czy to nowojorski akcent? – To znaczy nie na ulicę Wolności, ale tam, gdzie się urodziłem, z powrotem do Nowego Orleanu. – (Ach, a więc stąd ten akcent!) – Mógłbym przysiąc, że to miasto ma coś wspólnego z tym, co się wydarzyło. Nieustannie zwidują mi się rodzinne strony. – Raz jeszcze wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie cholernie miłego faceta.

Natomiast jeśli chodzi o te pośmiertne wizje, nic mu się jeszcze nie przypomniało. Nie chcieli go wypuścić ze szpitala, choć musieli przyznać, że fizycznie nic mu nie dolega.

– Opowiedz nam o tych zdolnościach, Michael.

– Nie chcę o tym mówić. – Wzruszenie ramion. Zerknął na swoje dłonie w czarnych rękawicach. – Chciałbym porozmawiać z tymi, którzy mnie uratowali

– tym człowiekiem ze straży przybrzeżnej i z właścicielką łodzi. Niczego innego tak nie pragnę jak tego, żeby ci ludzie się ze mną skontaktowali. Wiecie, właśnie dlatego udzielam tego wywiadu.

Kamera przeniosła się na parę dziennikarzy w studio. Gadanina na temat „zdolności”. Oboje ich doświadczyli.

Przez chwilę Rowan nie poruszała się, nie myślała nawet. Nowy Orlean... a przy tym on prosi, żeby się z nim skontaktowała. Nowy Orlean... no, to załatwia sprawę. Nałożono na nią obowiązek. Usłyszała tę prośbę z jego własnych ust. I jeszcze kwestia Nowego Orleanu, musi to wyjaśnić. Tak, porozmawia z nim... albo napisze.

Tej nocy, natychmiast po powrocie do domu, poszła do starego biurka Grahama, wyciągnęła papier listowy i zabrała się do dzieła.

Opisała Curry’emu ze szczegółami wszystkie swoje spostrzeżenia w związku z jego wypadkiem od momentu, kiedy dostrzegła go na morzu, aż do chwili zabrania go przez straż przybrzeżną. Potem, po chwilowym wahaniu, dodała numer swojego telefonu domowego, adres i krótkie postscriptum.

„Panie Curry, ja również pochodzę z Nowego Orleanu, chociaż nigdy tam nie mieszkałam. Zaadoptowano mnie zaraz po urodzeniu i natychmiast wywieziono. Zapewne fakt, że oboje jesteśmy południowcami to jedynie zbieg okoliczności, ale sądziłam, że informacja ta może być ważna. Na łodzi przez dłuższy czas trzymał mnie pan za rękę, bardzo mocno. Nie chciałabym, aby zrozumienie sytuacji utrudniał panu jakiś niewyraźny telepatyczny przekaz odebrany w tamtej chwili; coś, co być może nie ma żadnego znaczenia.

Gdyby chciał pan ze mną porozmawiać – zakończyła – proszę zadzwonić do szpitala uniwersyteckiego albo do mojego domu”.

Wszystko było wystarczająco umiarkowane, i z pewnością dość neutralne. Dała mu jedynie do zrozumienia, że wierzy w zdolności, jakie on posiada, i że jest do jego dyspozycji, gdyby jej potrzebował. Nic ponadto, żadnych żądań. A ona sama już się postara, żeby nie stracić poczucia odpowiedzialności,

niezależnie od tego, co się wydarzy.

Mimo to nie mogła odpędzić od siebie tej myśli – gdyby tylko mogła wsunąć dłoń w jego rękę i po prostu zapytać: „Teraz pomyślę o czymś zupełnie szczególnym, co wydarzyło się pewnego razu... nie, trzy razy, w moim życiu, i chcę tylko, abys mi powiedział, co widzisz. Czy zrobisz to dla mnie? Tylko proszę, nie zrozum mnie źle. Nie jesteś mi nic winien za ocalenie życia...”

– Nie możesz? A więc nie rób tego!

Wysłała list bezpośrednio do doktora Morrisa, przez Feder Express.

Doktor zadzwonił do niej następnego dnia. Poprzedniego popołudnia, zaraz po telewizyjnej konferencji prasowej, Curry opuścił szpital.

– On jest stuknięty, doktor Mayfair, ale my nie mamy podstaw prawnych, aby go zatrzymać. A propos, powtórzyłem mu to, co pani mi przekazała – że nic nie mówił. Jednak cała ta sprawa tak go opętała, iż nie chce zrezygnować. Uwziął się, że sobie przypomni, co tam zobaczył – wie pani, tę wspaniałą przyczynę wszystkiego, tajemnicę wszechświata, cel, bramę, numer, klejnot. Nigdy nie słyszała pani czegoś podobnego. Prześlę ten list do jego domu, ale jest duże prawdopodobieństwo, że do niego nie dojdzie. On dostaje ich pełne wory.

– A ta historia z rękami, czy rzeczywiście jest tak, jak mówią?

Milczenie.

– Chce pani usłyszeć prawdę? To działa ze stuprocentową dokładnością, przynajmniej o ile ja się orientuję. Jeśli kiedyś sama to pani zobaczy, wystraszy się pani na śmierć.

\* \* \*

Brokowiec opublikowały „historię Michaela Curry’ego” w następnym tygodniu. Dwa tygodnie później podobne wersje pojawiły się w People i Time. Rowan wycięła artykuły i zdjęcia. Fotografowie najwyraźniej podążali za Curry’em, gdziekolwiek poszedł. Złapali go przed jego firmą na ulicy Castro, w

samochodzie na stopniach domu.

W Rowan narastał drapieżny instynkt opiekuńczy. Naprawdę powinni odczepić się od tego człowieka.

*Ty również musisz zostawić go w spokoju, Rowan.*

On sam nie zgadzał się już na żadne wywiady. Ogłoszono to w pierwszym tygodniu czerwca. Brukowce radziły sobie przeprowadzając rozmowy na prawach wyłączności ze świadkami jego jasnowidzenia. „Dotknął torebki i opowiedział mi wszystko o siostrze – co mówiła, kiedy mi ją dawała. Cała aż się trzęsłam, a wtedy on stwierdził, że moja siostra nie żyje”.

Na koniec lokalna stacja CBS podała, że Curry zamknął się w domu na ulicy Wolności i absolutnie z nikim nie rozmawia. Przyjaciele wyrażali troskę. „Jest rozczarowany, zły”, powiedział jeden z jego starych kumpli ze studiów. „Mam wrażenie, że odwrócił się od świata”. Wielkie Nadzieje zamknięto na czas nieokreślony. Lekarze ze Szpitala Centralnego nie widywali swego pacjenta. Oni też byli zaniepokojeni.

Potem w lipcu Examiner ogłosił, że Curry „zaginął”.

Reporter z telewizyjnych „Wiadomości o jedenastej” stał na schodkach wielkiej wiktoriańskiej rezydencji wskazując na stertę nie otwieranych listów, które wysypywały się z kosza na śmieci przy bocznej bramie.

„Czy Curry kryje się na ulicy Wolności, wewnątrz domu, który wiele lat temu sam odrestaurował z takim zamiłowaniem? Czy w pokoju na strychu przy zapalonym świetle siedzi samotny człowiek?”

Rowan z obrzydzeniem wyłączyła telewizor. Miała wrażenie, jakby kogoś podglądała. Okropność, ciągnąć kamerzystów aż pod same drzwi tego biedaka.

Jednak tym, co pozostało jej w pamięci, był ów śmietnik pełen listów. Czy i jej wiadomość znalazła się, nieuchronnie, w tej stercie? Niełatwo przyszło jej poradzić sobie z wizją Michaela zamkniętego w tym domu, obawiającego się świata, potrzebującego porady.

Chirurdzy to ludzie czynu – istoty, którzy wierzą, że są w stanie czegoś

dokonać. Stąd właśnie mają dość tupetu, aby rozcinać ludzkie ciała. Rowan chciała coś zrobić – iść tam, walić w drzwi. Ale jak wielu innych ludzi już to robiło?

Nie, Michaelowi nie jest potrzebny jeszcze jeden gość, szczególnie taki, który ma własny, sekretny plan.

\* \* \*

Wieczorami, wróciwszy ze szpitala do domu i samotnie wyprowadziwszy łódź, nieodmiennie myślała o nim. Na osłoniętych wodach przy brzegach Tiburonu było niemal ciepło. Rowan nie spieszyła się z wyruszeniem na zatokę San Francisco, gdzie wiał chłodny wiatr. Później „Sweet Christine” wpadała w gwałtowny prąd oceanu. Ten wielki przeskok był jak doznanie erotyczne. Ustawiała łódź dziobem na zachód, odrzucając głowę w tył, aby jak zwykle spoglądać na wyniosłe pylony mostu Złote Wrota. Wielka ciężka łajba sunęła powoli, lecz uparcie naprzód, pchając przed sobą niewyraźny horyzont.

Jakże obojętny wydawał się wielki, bury, falujący Pacyfik. Nie można wierzyć w nic oprócz siebie, kiedy patrzy się na nieskończoną mozaikę jego powierzchni, która unosi się i przesuwa pod bezbarwnie zachodzącym słońcem, a morze zlewa się z niebem w rozświetlonej mgle.

A on wierzy, że przysłano go z zaświatów z powrotem na ziemię w jakimś celu, czyż nie tak? Ten mężczyzna, który restaurował przepiękne budynki, robił rysunki publikowane później w książkach, człowiek wydawałoby się zbyt doświadczony, aby coś podobnego brać na serio.

Ale z drugiej strony on naprawdę umarł, nieprawdaż? Doświadczył tego, co tak wielu opisywało – wznoszenia się ku górze, wrażenia nieważkości, patrzenia z najwyższą obojętnością na leżący w dole świat.

Jej nic takiego nigdy się nie przydarzyło. Przytrafiały się natomiast inne rzeczy, równie osobliwe. A podczas gdy cały świat wiedział o przygodzie

Curry'ego, nikt nie miał pojęcia o dziwnych sekretach, które znała Rowan.

Ale żeby myśleć, że jest w tym jakieś znaczenie, czy plan – no cóż, to wykracza poza granice jej filozofii. Jak zawsze lękała się, że jedynym jej przeznaczeniem jest samotność, ciężka praca, i próby wprowadzenia zmian tam, gdzie z góry wiadomo, że nic nowego zrobić się nie da. To tak, jakby ktoś zanurzał patyczek w morzu i usiłował coś napisać. Wszyscy mali ludzie tego świata kreślący swoje wzorki, które przetrwają zaledwie kilka lat, a znaczenia nie mają żadnego. Chirurgia pociągała ją, gdyż dzięki niej mogła stawiać ludzi z powrotem na nogi, a oni, przeżywszy, mówili „dziękuję!”; jej praca służyła życiu, odpędzała śmierć, i to była jedyna bezsporna wartość, dla której gotowa była dać z siebie wszystko. *Pani doktor, nigdy nie myśleliśmy, że ona będzie znowu chodziła.*

Ale jakiś wielki cel – życia, ponownych narodzin? Cóż to by mogło być? Jaki był sens zgonu kobiety, która zmarła na zawał na łóżku porodowym, podczas gdy jej nowo narodzone dziecko płakało w ramionach lekarza? Jakie głębsze znaczenie miała śmierć mężczyzny, którego zabił pijany kierowca, kiedy ten wracał do domu z kościoła?

I owszem, dla wyjątego z łona płodu, który kiedyś zobaczyła, znaleziono pewien cel – dla tej żyjącej, oddychającej istoty, z oczkami wciąż jeszcze szczelnie zaklejonymi, z małymi ustami, które przywodziły na myśl rybę; od jego okropnej, przerośniętej głowy i malutkich ramion we wszystkich kierunkach biegły druty, a on spał w specjalnym inkubatorze, czekając, aż stanie się dawcą – jeszcze za swego życia oczywiście. Pobiorą od niego tkanki do transplantacji, dla pacjenta, który czekał dwa piętra wyżej.

Ale jeśli to jest właśnie cel – owo odkrycie, że można, wbrew wszelkim zabraniającym tego prawom, po zabiegu aborcji utrzymywać te małe stworzonka przy życiu w tajnym laboratorium w samym środku wielkiego szpitala i kroić je do woli, aby z nich skorzystał pacjent z chorobą Parkinsona, który zaliczył już dobrze sześćdziesiąt lat, zanim zaczął konać na chorobę, którą



może uleczyć tkanka płodowa... no cóż, chyba lepiej już co dzień ze skalpelem w rękę zмагаć się z ranami postrzałowymi.

Nigdy nie zapomni tej zimnej, mrocznej Wigilii, kiedy doktor Lemle poprowadził ją na górę przez wyludnione piętra Instytutu Keplingera. „Jesteś nam tu potrzebna, Rowan. Mógłbym załatwić twoje odejście z Uniwersytetu. Wiem, co powiedzieć Larkinowi. Chcę cię mieć tutaj. A teraz zamierzam pokazać ci coś, co ty docenisz, a czego nigdy nie doceni Larkin. Tego nigdy nie zobaczysz na żadnym uniwersytecie.

Ach, ale ona nie rozumiała. A raczej zrozumiała – aż za dobrze – potworność tego procederu.

– Ono nie jest zdolne do życia w ścisłym tego słowa znaczeniu – wyjaśnił jej ów lekarz, Karl Lemle, którego geniusz, ambicja i wyobrażenia tak ją pociągały. – Naturalnie nawet technicznie nie jest żywe. Jest martwe, całkiem martwe, ponieważ matka usunęła je, rozumiesz, w klinice na dole, wobec czego z medycznego punktu widzenia można mówić o osobie, czy istocie ludzkiej. W związku z tym, kto może zdecydować, Rowan, że mamy to wrzucić do plastikowej torby na śmieci, skoro wiemy, że utrzymując to małe ciało przy życiu, to i inne jemu podobne, możemy na polu transplantów neurologicznych dokonać odkryć, przy których „Frankenstein” Mary Shelley będzie przypominał bajkę na dobranoc. Te płody to miniaturowe kopalnie złota w postaci unikatowej tkanki, tak elastycznej, łatwo się przystosowującej, niepodobnej do innych ludzkich tkanek, bo roi się w niej niezliczona ilość małych obcych komórek, których w trakcie normalnego rozwoju płód w końcu by się pozbył.

Tak, w tej kwestii miał całkowitą rację. I trudno było wątpić, że mówił prawdę zapowiadając na przyszłość przeszczepę całego mózgu. Gdy nadejdą te czasy, organ myślenia wyjmować się będzie bezpiecznie w całości z jednego zużytego ciała i przenosić w inne. Oto świat, w którym można będzie tworzyć całkowicie nowych ludzi, tu i ówdzie dodając coś innego, aby uzupełnić dzieło natury.

– Widzisz, w przypadku tkanki płodowej ważne jest to, że organizm biorcy jej nie odrzuca. O tym wiesz, ale czy zastanawiałaś się, co to naprawdę znaczy? Nieco komórek płodu wszczepiamy do oka dorosłego człowieka, które ich nie odrzuca, one rozwijają się dalej, przystosowując się do nowej tkanki... Mój Boże, czy zdajesz sobie sprawę, że to nam pozwoli ingerować w proces ewolucji? A przecież jesteśmy dopiero na początku...

– Nie my, Karl. Ty.

– Rowan, jesteś najwybitniejszym chirurgiem, z jakim kiedykolwiek zdarzyło mi się pracować. Gdybyś...

– Nie będę tego robiła! Nie chcę zabijać. – A jeśli zaraz stąd nie wyjdę, zacznę wrzeszczeć. Ja już kiedyś zabijałam.

Tak, to był cel; cel, jak to mówią, zrnaksymalizowany.

Naturalnie nie doniosła na Lemlego. Lekarze nie robią takich rzeczy swoim kolegom po fachu, szczególnie kiedy sami są stażystami, a ich nieprzyjaciele potężnymi i słynnymi badaczami. Po prostu wycofała się.

– A poza tym – przekonywał ją później przy kawie przed kominkiem w Tiburon, gdzie światła wigilijnych lampek odbijały się od otaczających ich szklanych ścian – te badania na żywych płodach odbywają się wszędzie. Inaczej nie byłoby to prawnie zabronione.

I nic dziwnego. To zbyt kuszące. W istocie siła tej pokusy była równa jej obrzydzeniu do tego typu zabiegów. Który naukowiec – a więc i neurolog – nie miał takich marzeń?

Oglądając na nocnym seansie „Frankensteina” pragnęła przedzierzgnąć się w zwariowanego badacza. Jaką radość dałaby jej własna pracownia w górach – tak, chciałyby zobaczyć, co by było, gdyby miała odwagę potraktować ludzki mózg jak preparat laboratoryjny, nie bacząc na żadne moralne... ale nie, nie zrobiłaby tego.

Cóż za potworny prezent gwiazdkowy, owa propozycja. Od tamtego czasu jej poświęcenie dla chirurgii urazowej wzrosło. Ujrzawszy tego maleńkiego

potworka z trudem łapiącego oddech w sztucznym świetle, Rowan odrodziła się; jej życie zawężyło się i nabrało nieocenionej intensywności, odkąd została cudotwórczynią Uniwersytetu – tą lekarką, którą wzywano, kiedy mózg wylewał się na nosze, albo gdy pacjent wtoczył się wprost z ulicy z siekierą nadal sterczącą mu z głowy.

Być może uszkodzony mózg stał się dla niej mikrokosmosem wszelkiej tragedii; życia nieustannie i na oślep masakrowanego przez życie. Kiedy Rowan zabiła – a zrobiła to – czyn ów był równie niszczący: mózg pokiereszowany, tkanki poszarpane, widok podobny do tego, jaki teraz przedstawiali pacjenci, o których nic nie wiedziała. Dla tych, których ona zgładzała, nikt nie był w stanie niczego zrobić.

Ale nie po to, aby rozprawiać o celach, chciała się zobaczyć z Michaeliem. A także nie po to, aby zaciągnąć go do łóżka. Oczekiwała od niego tego samego, co wszyscy, i właśnie z tej przyczyny nie poszła do Szpitala Centralnego, aby się z nim spotkać i osobiście sprawdzić, jak wraca do zdrowia.

Pragnęła dowiedzieć się czegoś o tych zabójstwach. Żadne sekcje nie mogły dać odpowiedzi na jej pytanie. Chciała wiedzieć, jaką będzie miała wizję, gdy – i jeśli – ona weźmie go za rękę, myśląc jednocześnie o tamtych zgonach. On coś wyczuł, kiedy dotknął jej po raz pierwszy. Ale może i to zatarło mu się w pamięci, wraz ze wszystkim, co ujrzał, gdy był martwy.

Rozumiała to. Być może owe zrozumienie towarzyszyło jej przez cały czas, ukryte w zakamarkach umysłu. I w miarę jak mijały miesiące, nie mniej odrażający wydawał jej się fakt, że chciała się zobaczyć z Michaeliem Currym jedynie ze względu na swoje własne potrzeby.

Curry jest w tym domu na ulicy Wolności. Wiedziała o tym. I potrzebuje pomocy.

Ale czy to by miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie, gdyby przyszła i powiedziała: jestem lekarką i wierzę w twoje wizje. Wiem, że takie rzeczy istnieją – owe psychiczne fenomeny, których nikt nie jest w stanie wytłumaczyć.

Ja sama posiadam właśnie taką bezprawną, niepojętą, czasami całkowicie nieposkromioną siłę, moc, która pozwala mi zabijać, kiedy chcę.

Cóż go to obchodzi? Przecież ciągle otoczony jest ludźmi, którzy wierzą w to, co on potrafi zrobić, czy nie tak? Nikt nie zdoła mu pomóc. Umarł i powrócił do życia, a teraz zaczyna wariować. Jednak gdyby przedstawiła mu swoją historię... być może – a myśl ta stała się już dla niej definitywnie w pełni rozwiniętą obsesją – on jest jedyną na całym świecie osobą gotową całkiem serio potraktować to, co by mu opowiedziała.

Nie, to czyste szaleństwo nawet marzyć o tym, aby ktokolwiek chciał jej wysłuchać ze zrozumieniem. Bywały takie chwile, kiedy starała się sama siebie przekonać, że się pomyliła. Jednak wcześniej czy później musi nawiązać z kimś rozmowę na ten temat, wiedziała o tym. Jeśli nie zacznie mówić, jej trzydziestoletnie milczenie z całą pewnością przerwie nie kończący się krzyk, który zagłuszy wszystkie słowa.

Ostatecznie, niezależnie od tego, jak wiele głów załatała, nie mogła zapomnieć tych trzech morderstw. Twarz Grahama, kiedy uciekało z niego życie; mała dziewczynka wijąca się w konwulsjach na betonie; mężczyzna padający ku przodowi, na kierownicę jeepa.

Zaraz po rozpoczęciu stażu zdołała oficjalną drogą otrzymać wyniki trzech sekcji. Wypadek mózgowo-naczyniowy, krwawienie pod błoną pajęczą, wrodzony aneuryzm. Rowan przestudiowała wszystkie szczegóły.

Opinie te, wyrażone w języku zrozumiałym dla laika, oznaczają ukrytą słabość ściany arterii, która z niezrozumiałych przyczyn wreszcie pęka, powodując śmierć nagłą i nieoczekiwaną. Innymi słowy, nie sposób było przewidzieć, że sześciolatnia dziewczynka dostanie nagle ataku na placu zabaw – dziecko wystarczająco zdrowe, aby kopać swoją rówieśniczkę Rowan i ciągnąć ją za włosy zaledwie kilka minut wcześniej. I dla tej małej nikt nie mógł nic zrobić, kiedy krew tryskała z jej uszu i nosa, a oczy przewracały się ukazując białka. Nie, opiekunowie chronili pozostałe dzieci, zasłaniali im oczy przed tym

widokiem, prowadzili z powrotem do klasy.

– Biedna Rowan – powiedziała później nauczycielka. – Kochanie, chcę, abyś zrozumiała, że to coś w jej głowie ją zabiło. To rzecz medyczna, nie mająca nic wspólnego z waszą bójką.

I wtedy właśnie Rowan pojęła, nieodwołalnie, to, czego nauczycielka nigdy nie miała się dowiedzieć. Ona to zrobiła – spowodowała śmierć swojej rówieśnicy.

No, to można bez problemu odrzucić – mówiono – naturalne u dziecka poczucie winy wywołane wypadkiem, którego nie rozumiało. Rowan jednak poczuła coś, podczas tego zajścia. Jej wnętrze ogarnęło potężne, wszechobecne doznanie, które, jeśli się nad tym zastanowić, bardzo przypominało orgazm; niby fala, uczucie to przetoczyło się przez nią i poza nią, w tej samej chwili, kiedy nieszczęsna dziewczynka przewracała się na plecy. Zaś zmysł diagnostyczny, który już wtedy działał, powiedział jej, że koleżanka umrze.

Z czasem Rowan zapomniała o tym zdarzeniu. Graham i Ellie, jak przystało na dobrych kalifornijskich rodziców, zabrali ją do psychiatry. Rowan bawiła się jego lalkami. Powiedziała to, czego od niej oczekiwał. Ludzie przecież przez cały czas umierają „na zawał”.

Minęło osiem lat. Nieznajomy mężczyzna wysiadł ze swego jeepa na odludnej drodze wśród wzgórz Tiburonu i zaciskając dłoń na jej ustach powiedział tym odrażająco intymnym i bezczelnym głosem: „No, tylko mi tu nie krzycz”.

Jej przybrani rodzice nigdy nie skojarzyli małej dziewczynki z gwałcicielem, który skonał podczas walki ze swoją ofiarą. Rowan pamięta, jak wówczas zelektryzował ją ten sam płomienny gniew przechodzący w owo rozkoszne doznanie, od którego całe jej ciało stężało... a wtedy gwałciciel puścił ją i padł na kierownicę wozu.

Dla niej jednak skojarzenie było oczywiste. Spokojnie i pewnie zanalizowała całe zajście. Jeszcze nie wtedy, kiedy siłą otworzyła drzwiczki jeepa i

wrzeszcząc pobiegła drogą. Nie, wówczas nie wiedziała nawet, że jest już bezpieczna. Jednak później, kiedy odeszli już policjanci z drogówki i detektywi, leżąc samotnie w ciemności, jasno zdała sobie ze wszystkiego sprawę.

Minęło prawie piętnaście lat, zanim zdarzył się ten wypadek z Grahamem. Ellie była wtedy zbyt chora na raka, aby zastanawiać się nad czymkolwiek. I naturalnie Rowan nie zamierzała usiąść przy jej łóżku i oznajmić: „Mamo, myślę, że go zabiłam. On cię nieustannie zdradzał. Próbował się z tobą rozwieść. Nie chciał nawet odczekać tych dwóch cholernych miesięcy, bo tyle tylko ci życia zostało”.

Śmierć Grahama wpisana była w pewien schemat, równie oczywisty jak ten w sieci pajęczej. Schematy jednak nie oznaczają celu, można je znaleźć wszędzie, zaś cel jakiegoś wydarzenia wydaje się najbardziej wartościowy i pewny wtedy, gdy jest spontaniczny i krótkoterminowy.

Już nigdy tego nie zrobisz. Nie będziesz odbierać życia. Przypominanie sobie bójk z tą małą dziewczynką, nawet walki z mężczyzną w jeepie, znaczyło wiarę w herezje. A wspomnienie kłótni z Grahamem było po prostu straszne.

– Co to znaczy? Szykujesz dokumenty do rozwodu? Ona umiera! Najpierw będziesz miał ze mną do czynienia!

Graham schwycił ją za ramiona, starał się pocałować.

– Rowan, kochanie, to już nie jest ta sama kobieta, którą poślubiłem...

– Nie? To nie ta sama kobieta, którą zdradzałeś przez trzydzieści lat?

– To już tylko jakaś rzecz tam leży, ja chcę ją zapamiętać taką, jaką była kiedyś...

– Nie wciskaj mi kitu!

Właśnie w tym momencie oczy Grahama zamarły i wszelki wyraz zniknął z jego twarzy. Umierający zawsze mają takie spokojne oblicza. Mężczyzna w jeepie już, już miał ją zgwałcić – a potem po prostu na jego twarz spłynęła całkowita obojętność.

Przed przyjazdem karetki klęczała przy Grahamie przykładając do jego

głowy słuchawkę. Dobięł ją dźwięk, tak słaby, że większość lekarzy nie była w stanie go wyłapać. Ona jednak usłyszała – to odgłos krwi, która w wielkich ilościach pędzi w jedno miejsce.

Nikt nigdy jej o nic nie oskarżył. Jakżeby inaczej. Jest przecież lekarką, była przy nim, kiedy przydarzyła się ta „straszna rzecz” i, Bóg jej świadkiem, zrobiła wszystko, co mogła.

Naturalnie każdy wiedział, że Graham był z gruntu lichą istotą ludzką – jego partnerzy z firmy prawniczej, sekretarki, nawet ostatnia kochanka, Karen Garfield, to głupie małe stworzenie, które przyszło prosić o jakąś pamiątkę – dokładnie wszyscy potwierdziliby tę opinię. To znaczy wszyscy, oprócz jego żony. Nie padło jednak nawet najłżejsze podejrzenie. Bo i skąd? Po prostu śmierć z przyczyn naturalnych. Przydarzyła się właśnie wtedy, kiedy miał czmychnąć z majątkiem zbitym dzięki spadkowi żony i dwudziestoletnią idiotką, która sprzedała już meble i kupiła bilety na samolot do St. Croix.

Ale lekarze wystawiający akt zgonu mylili się co do przyczyny tak nagłego zejścia.

Do tego czasu Rowan poznała już i zrozumiała swój zmysł diagnostyczny; wzmocniła go nawet dzięki praktyce. I kiedy położyła dłoń na ramieniu Grahama, wszystko było dla niej jasne: to nie jest naturalna śmierć.

Już to powinno jej wystarczyć. Ale jeśli się myliła? Może był to ów oszukańczy schemat, który nazywamy zbiegiem okoliczności i nic ponadto?

Ale dajmy na to, że spotkała się z Michaeliem Currym. Przypuśćmy, że wzięłby ją za rękę, a ona zamknęłaby oczy i pomyślała o tych zgonach? Czy ujrzałby jedynie to, co widziała ona, czy też objawiłaby mu się jakaś obiektywna prawda? *Zabiłaś ich*. No cóż, warto spróbować.

\* \* \*

Wędrując przez szpital niespiesznie i właściwie bez celu, idąc okrężną drogą

przez obszerne poczekalnie wyłożone dywanem, przez oddziały, na których nie była i nigdy nie będzie znana, zdała sobie sprawę z nieprzepartego pragnienia, aby po prostu odbyć z Michael'em bardzo długą rozmowę. Czuła się z nim w jakiś sposób związana. Łączył ich zarówno ten wypadek na morzu, jak i parapsychiczne sekrety. Pragnęła, zapewne z przyczyn nie całkiem dla niej zrozumiałych, opowiedzieć jemu i tylko jemu o tym, co zrobiła.

Nielatwo przyszło by jej przyznać się do tej słabości. Rozgrzeszenie za morderstwo uzyskiwała jedynie w trakcie operacji. Stawała przed ołtarzem Boga, kiedy pielęgniarki podawały jej wysterylizowany fartuch i nieskazitelne czyste rękawice chirurgiczne.

Przez całe życie była samotnicą, dobrą słuchaczką, osobą niezmiennie bardziej oziębłą niż otaczający ją ludzie. Ów specjalny zmysł, ten, który tak bardzo pomagał jej w pracy lekarskiej, zawsze sprawiał, że zbyt wyraźnie zdawała sobie sprawę z tego, co ludzie naprawdę czują.

Miała dziesięć, może dwanaście lat, kiedy wreszcie zorientowała się, że inni nie posiadają takiego wyczucia, niekiedy nawet ani odrobiny. Że jej ukochana Ellie, na przykład, nie ma zielonego pojęcia, iż Graham nie tyle ją kocha, ile jej potrzebuje. Była jego kozłem ofiarnym, któremu można do woli kłamać i urągać. Dowartościowywał się jej stałą obecnością i niższością wobec niego.

Rowan marzyła czasami o podobnej nieświadomości – jak dobrze byłoby nie wiedzieć, że inni ci zazdroszczą, albo że cię nie lubią, i nawet nie przypuszczać, iż wielu ludzi bezustannie kłamie. Lubiła policjantów i strażaków, ponieważ do pewnego stopnia byli całkowicie przewidywalni. A może po prostu dlatego, że właściwy im rodzaj nieuczciwości nie przeszkadzał jej tak bardzo; zdawał się nieszkodliwy w porównaniu ze skomplikowaną, zdradziecką i nieskończenie złośliwą wewnętrzną niepewnością bardziej wykształconych mężczyzn.

Oczywiście diagnostyczna przydatność stała się całkowitym zadośćuczynieniem dla tego specjalnego parapsychicznego zmysłu.

Lecz cóż może być odkupieniem dla umiejętności zabijania, kiedy przyjdzie



ochota? Pokuta to inna sprawa. Ale w jaki sposób można by kiedykolwiek spożytkować tego rodzaju telekinetyczną władzę?

Zaś najbardziej przerażający był fakt, że ta siła nie jest z punktu widzenia nauki całkowitą niemożliwością. Podobnie jak psychometryczne zdolności Michaela Curry'ego. Możliwe, że wiąże się to z jakąś dającą się zmierzyć energią; być może skomplikowane parapsychiczne talenty będą kiedyś równie łatwe do zdefiniowania jak elektryczność czy mikrofałe, albo dźwięki o wysokich częstotliwościach. Curry doświadcza różnych rzeczy za pomocą dotyku. Wrażenia jakie odbiera trzymając dany przedmiot w ręku są najprawdopodobniej wynikiem działania jakiejś niezbadanej energii. Niewykluczone, że każdy istniejący obiekt – jego powierzchnia, najmniejszy dający się zdefiniować okruch materii – ma zakodowane tego rodzaju „wrażenia”. Istnieją one w postaci całkiem wymiernego pola.

Parapsychologia jednak nie była miłością Rowan. Ją fascynowało to, co można dostrzec w próbkach, na przeźroczach i wykresach. Nie miała ochoty testować ani też analizować swej zabójczej mocy. Chciała jedynie uwierzyć, że nigdy jej nie użyła. Może istnieje jakieś inne wytłumaczenie tego, co się zdarzyło? Może, w jakiś sposób, jest niewinna?

Jednak prawdziwa tragedia polegała na tym, że nikt nie był w stanie jej powiedzieć, co naprawdę przytrafiło się Grahamowi, mężczyźnie w jeepie i dziewczynce na placu zabaw. Mogła jedynie mieć nadzieję, że kiedyś komuś o tym opowie i w ten sposób pozbędzie się ciężaru, wypędzi demona, tak jak robią to wszyscy – dzięki rozmowie.

Rozmawiać, rozmawiać, rozmawiać.

Tego właśnie potrzebowała Rowan. I wiedziała o tym.

Dotąd tylko raz omal nie uległa owemu pragnieniu zwierzeń. A było to bardzo osobliwe zdarzenie. Faktycznie, mało brakowało, a opowiedziałaby całą tę historię zupełnie obcemu człowiekowi – bywały chwile, kiedy żałowała, że tego nie zrobiła.

Zdarzyło się to pod koniec zeszłego roku, pełne sześć miesięcy po śmierci Ellie. Rowan ogarnęło wtedy najbardziej dojmujące poczucie samotności, jakiego kiedykolwiek doznała. Zdawało jej się, że wspaniały schemat pod nazwą „nasza rodzina” rozwiął się w ciągu jednej zaledwie nocy. Tak dobrze im się żyło, zanim Ellie zachorowała. Nawet romanse Grahama nie mogły popsuć sielanki, bo Ellie udawała, że ich po prostu nie ma. I chociaż Graham, jak wiadomo, nie był osobnikiem zasługującym na miano dobrego człowieka, to posiadał jednak niewyczerpaną i zaraźliwą energię, dzięki której życie rodzinne szło na wysokich obrotach.

A Rowan tak bardzo polegała na nich obojgu.

Niemal całkowite poświęcenie się medycynie oddaliło ją od kumpli ze studiów. Jednak dla Rowan i jej opiekunów rodzina pozostała najważniejsza; ich trójce nic innego nie było potrzebne. Jak daleko Rowan sięgała pamięcią, tworzyli nierozłączne trio – czy to pływając po Morzu Karaibskim, czy jeżdżąc na nartach w Aspen, czy też jedząc wigilijną kolację o północy przy stole w apartamencie nowojorskiego hotelu Plaza.

A teraz ten wręcz wymarzony dom na wybrzeżu Tiburonu stał pusty niby wyrzucona na brzeg muszla.

Rowan miała też osobliwe wrażenie, że „Sweet Christine” należy nie tylko do niej i jej rozlicznych, starannie dobieranych kochanków, ale raczej do rodziny, która pozostawiła tu wyraźne piętno podczas dziesięciu szczęśliwych lat.

Pewnej nocy po śmierci Ellie, Rowan stała samotnie w wielkiej bawialni o wysoko sklepionym suficie, mówiąc na głos do siebie samej, śmiejąc się nawet. Myślała, że nie ma tam nikogo – nikt się nie dowie, nikt nie usłyszy. Ciemne szklane ściany odbijały niewyraźne zarysy dywanu i mebli. Nie mogła dojrzeć fal przyływu nieustannie bijących o pale. Ogień przygasał. Wieczny chłód nadmorskiej nocy wkradał się powoli do pokoi. Dostałam bolesną lekcję, myślała Rowan – kiedy umierają kochane osoby, tracimy naszych świadków,

obserwatorów, tych, którzy rozumieją nawet drobniutkie, nic nie znaczące schematy, te słowa wypisywane patykiem na wodzie. I nie zostaje nic, jedynie nie kończące się przemijanie.

Niedługo potem nadeszła ta niezwykła chwila, kiedy mało brakowało, a przyjęłaby zaproszenie obcego człowieka i wyklepała swoją historię.

Był to starszy pan o siwych włosach – Brytyjczyk, co stało się całkiem oczywiste po pierwszych wypowiedzianych przez niego słowach. A spotkali się – ze wszystkich możliwych miejsc! – na cmentarzu, gdzie jej przybranych rodziców ułożono na wieczny spoczynek.

To niezwykle miejsce, upstrzone podniszczonymi pomnikami, leżało na skraju małego kalifornijskiego miasteczka, gdzie mieszkała kiedyś zupełnie jej nieznaną rodziną Grahama. Chodziła tam kilka razy po pogrzebie Ellie, choć nie była pewna, dlaczego. Tego szczególnego dnia miała prosty powód: nareszcie ukończono pomnik, chciała więc sprawdzić, czy zgadzają się imiona i daty.

Kiedy jechała na północ, kilkakrotnie przyszło jej do głowy, że ten pomnik będzie stał, póki ona nie umrze, a wtedy przewróci się, popęka, i będzie tak leżał wśród chwastów. Krewnym Grahama Franklina nawet nie dano znać o dacie pogrzebu. Rodzina Ellie – przebywająca gdzieś daleko na tajemniczym południu – nie została powiadomiona o jej śmierci. Z pewnością za jakieś dziesięć lat nikt nie będzie wiedział o Grahama i Ellie Mayfair Franklin. A pod koniec życia Rowan wszyscy, którzy ich znali lub nawet tylko o nich słyszeli, będą już martwi.

Pajęczyny porwane i poszarpane przez wiatr, którego nie obchodzi ich uroda. Po co zawracać sobie tym wszystkim głowę? Jednak taka była wola Ellie. Zgodnie z tradycją panującą w Nowym Orleanie, skąd pochodziła, chciała mieć pomnik i kwiaty. Dopiero na łożu śmierci zaczęła nareszcie opowiadać o swoich rodzinnych stronach, i to najdziwniejsze rzeczy – że Stellę ułożono w salonie, że ludzie przychodzili, aby ją zobaczyć i ucałować, chociaż brat ją zastrzelił, że Lonigan i Synowie zasklepili ranę na czole zmarłej.

– A Stella tak pięknie wyglądała w trumnie. Miała cudowne czarne włosy, wiesz, całe w malutkich loczkach, i była równie śliczna jak na portrecie wiszącym w bawialni. Kochałam ją. Czasem pozwalala mi potrzymać naszyjnik. Ja siedziałam na krześle przy trumnie. Machałam nogami i ciotka Carlotta kazała mi przestać.

Każde słowo tej dziwnej przemowy wryło się w pamięci Rowan. Stella, jej brat, ciotka Carlotta. Nawet nazwisko Lonigan. Przez kilka cennych sekund otchłań rozbłysła kolorami.

Ci ludzie to krewni Rowan, bo była ona w zasadzie kuzynka Ellie. I właśnie o tych ludziach nie wiedziała nic i nigdy się niczego nie dowie, jeśli dotrzyma danego Ellie słowa.

– Nigdy tam nie wracaj, Rowan – napominała nawet podczas tych bolesnych godzin. – Pamiętaj, co mi obiecałaś. Spaliłam wszystkie zdjęcia, listy. Twój dom jest tutaj.

– Wiem, Ellie. Pamiętam.

I nie było więcej mowy o Stelli, jej bracie, ciotce Carolcie, portrecie na ścianie bawialni. Tylko wstrząs na widok dokumentu, który po śmierci Ellie przedstawił Rowan wykonawca testamentu – skrupulatnie sformułowane zobowiązanie, nie posiadające jednak absolutnie żadnej mocy prawnej. Mówiło ono, że Rowan nigdy nie powróci do Nowego Orleanu i nie będzie się starała dowiedzieć czegoś o swojej rodzinie.

A przecież w ciągu tych ostatnich dni ona sama opowiadała o wszystkim.

A ponieważ Ellie mówiła także o nagrobkach i kwiatach, o tym, że chce pozostać w pamięci swej przybranej córki, owego popołudnia Rowan pojechała na północ, aby wypełnić obietnicę. Właśnie tam, na tym małym cmentarzyku na zboczu wzgórza spotkała Anglika o siwych włosach.

Przyklękłszy na jedno kolano przed grobem Ellie, zupełnie jakby się modlił, spisywał owe nazwiska, które dopiero co wryto w kamieniu.

Wydawał się nieco zakłopotany, kiedy mu przerwała, chociaż ona nie

odezwała się ani słowem. Faktycznie przez chwilę patrzył na nią tak, jakby zobaczył ducha. Omal się nie roześmiała. Była przecież, mimo wysokiego wzrostu, kobietą o delikatnej budowie ciała. Miała na sobie rzeczy, które zwykle nosiła na łodzi – granatową marynarską kurtkę i dżinsy. To on wydawał się tak dziwny i anachroniczny w eleganckim trzyczęściowym garniturze z szarego tweedu.

Jednakże ów specjalny zmysł powiedział jej, że ten mężczyzną działa wyłącznie w dobrych intencjach i kiedy wyjaśnił, że znał rodzinę Ellie w Nowym Orleanie, uwierzyła mu. Poczula się jednak trochę zagubiona. Ona też chciałaby poznać tych ludzi.

Ostatecznie prócz nich nie miała nikogo na świecie! Ach, jakże niewdzięczna i nielojalna była ta myśl.

Nie odezwała się słowem, kiedy w ten uroczy, liryczny brytyjski sposób gawędził o żarze słońca i urodzie cmentarzyka. Milczenie było jej głęboko zakorzenioną reakcją, nawet wtedy, kiedy wprowadzało ludzi w zakłopotanie i sprawiało, że ludzie czuli się nieswojo. I tak, z przyzwyczajenia, nie zdradziła nic, niezależnie od tego co myślała w duszy. Znał moją rodzinę? Ludzi z którymi łączą mnie więzy krwi?

– Nazywam się Aaron Lightner – powiedział mężczyzna wsuwając jej do ręki małą, białą karteczkę. – Gdyby chciała się Pani kiedyś czegoś dowiedzieć o Mayfairach z Nowego Orleanu, niech Pani do mnie zatelefonuje do Londynu. Proszę dzwonić na mój koszt. Będę szczęśliwy mogąc opowiedzieć wszystko, co wiem o rodzinie Mayfairów. A to nie byle jaka historia. Zobacz pani.

Paralizujące słowa, niezamierzenie bolesne wobec jej samotności i nieoczekiwane na tym dziwnym opuszczonym wzgórzu. Czy wyglądała bezradnie, kiedy tak stała, nie będąc w stanie odpowiedzieć, nie mogąc zareagować nawet najmniejszym skinieniem głowy? Miała nadzieje, że tak. Z niechęcią myślała, że być może wydała mu się zimna lub nieuprzejma.

Wyjaśnianie mu, że została adoptowana i wywieziona z Nowego Orleanu

tego samego dnia, kiedy się urodziła, nie wchodziło w rachubę. Nie umiała też logicznie wytłumaczyć obietnicy, że nigdy tam nie wróci, nie będzie starać się zdobyć informacji o kobiecie, która ją oddała. Przecież nie знаła nawet imienia matki. Wtedy niespodziewanie zdała sobie sprawę, że zastanawia się czy on zna to imię? Czy wie coś o tej pannie Mayfair, która miała nieślubne dziecko i oddała je?

Oczywiście najlepiej nie mówić nic, aby ten człowiek nie roznosił żadnych plotek. Możliwe, że ostatecznie jej matka wyszła później za mąż i miała siedmioro dzieci. Gadanina może teraz tylko tej kobiecie zaszkodzić. Odgródzona wieloma latami i setkami kilometrów Rowan nie czuła gniewu wobec owej istoty bez twarzy i imienia, jedynie smutną, beznadziejną tęsknotę. Nie, nie odezwała się ani słowem.

Lightner obserwował Rowan przez dłuższą chwilę bynajmniej nie zmieszany widokiem jej kamiennej twarzy i zrozumiałą rezerwą. Kiedy oddała mu wizytówkę, przyjął ją taktownie, potem jednak trzymał niezobowiązująco w wyciągniętej ręce, jakby miał nadzieję, że ona znowu ją weźmie.

– Tak bardzo chciałbym z panią porozmawiać – ciągnął. – Interesuje mnie życie przesadzonej rośliny, tak daleko od rodzinnej gleby – Zawahał się, potem dodał: – Znałem pani matkę wiele lat temu.

Przerwał, prawdopodobnie wyczuwając, jaki skutek wywierają jego słowa. Być może ich niestosowność zaniepokoiła go. Rowan nie miała pojęcia. Ta chwila nie mogłaby sprawić jej większej udręki nawet gdyby ją uderzył. A mimo to nie odwróciła się. Stała tam nieruchomo, z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki. *Znał moją matkę?*

Jakież to było upiorne. Ten mężczyzna o wesołych niebieskich oczach wpatrujących się w nią z taką cierpliwością; i milczenie, które jak zwykle krępowało Rowan niby całun. Gdyż, prawdę powiedziawszy, nie mogła zmusić się do mówienia.

– Szczerze pragnąłbym, abyśmy zjedli razem obiad; a może wstąpimy

jedynie na drinka, jeśli nie ma pani dość czasu. Proszę mi wierzyć, ja naprawdę nie jestem okropnym człowiekiem. Istnieje długa historia...

A specjalny zmysł powiedział jej, że Anglik mówi prawdę!

Mało brakowało, a przyjąłaby jego zaproszenie – do wszystkiego, do rozmowy o sobie, o nich. Ostatecznie ona go przecież nie szukała. Sam do niej przyszedł oferując informacje. A potem poczuła wewnętrzny przymus, aby ujawnić wszystko, nawet historię swej niezwykłej mocy, zupełnie jakby Anglik milcząco ją do tego zachęcał, wywierając jakiś nacisk na jej umysł, który miał otworzyć przed nim swe najskrytsze komnaty. On naprawdę chciał ją poznać! I to zainteresowanie, tak przejmująco osobiste, u kogoś nie zbrukanego najmniejszą złą intencją, rozgrzało jej serce równie pewnie jak ognisko w zimie.

\* \* \*

Schematy, świadkowie, wszystkie zakrojone na szeroką skalę rozmyślenia o podobnych kwestiach niespodziewanie wysunęły się na czoło.

*Uśmierciłam w swoim życiu troje ludzi. Mój gniew zabija. Wiem, że tak. Oto, co się przytrafiło przesadzonej roślinie, jak pan mnie nazwał. Czy w naszej rodzinnej historii jest miejsce na coś takiego?*

Czy Anglik, przypatrując się jej, zachnął się nieco? A może był to jedynie odbłysek ukośnych promieni słońca w jego oczach?

Nie, nie zrobi tego. Stali nad grobem kobiety, której Rowan złożyła obietnicę, serdecznej i kochanej opiekunki, która być może dała jej więcej, niż rodzona matka zdołałaby jej dać. Znow ogarnęła ją atmosfera pokoju chorej, usłyszała ciche, niemal nieludzkie krzyki bólu. „Obiecuj mi, Rowan, nawet gdyby do ciebie napisali... Nigdy... nigdy...”

– Jesteś moją matką, Ellie, moją jedyną matką. Jak mogłabym żądać czegoś więcej?

Podczas tych ostatnich rozpaczliwych tygodni Rowan najbardziej obawiała

się swej okropnej niszczycielskiej potęgi – bo co by było, gdyby w gniewie i żalu skierowała ją na osłabione ciało Ellie, w ten sposób kończąc raz na zawsze te głupie i niepotrzebne męki? *Mogłabym cię zabić, Ellie, i w ten sposób wybawić z cierpienia. Wiem, że to możliwe. Czuję w sobie tę siłę, która tylko czeka, abym poddała ją próbie.*

Kim jestem? Czarownicą, na miłość boską! Ja chcę uzdrawiać, nie niszczyć. Mam chyba prawo wyboru, tak jak wszystkie istoty ludzkie!

A Anglik stał tam, obserwując ją w zafascynowaniu, zupełnie jakby mówiła to na głos, chociaż wcale tak nie było. Zdawać by się mogło, że powiedział, iż to rozumie. Ale naturalnie to tylko złudzenie. Mężczyzna nie mówił nic.

Udręczona, zagubiona, odwróciła się i odeszła zostawiając go tam. Z pewnością uznał, że czuła wobec niego wrogość, może nawet pomyślał, że oszalała. Ale cóż to ma za znaczenie? Aaron Lightner. Nawet nie zerknęła na wizytówkę zanim ją mu oddała. Nie miała pojęcia, dlaczego w takim razie zapamiętała to nazwisko, wiedziała tylko, że nie zapomni ani tego człowieka ani jego dziwnych słów.

\* \* \*

Minęły miesiące od owego okropnego dnia, kiedy przyjechawszy do domu otworzyła sejf i wyciągnęła papier, który wykonawca testamentu kazał jej podpisać.

„Ja, Rowan Mayfair, przysięgam uroczyście przed Bogiem, i w obecności niżej podpisanych świadków, że nigdy nie wrócę do Nowego Orleanu, gdzie się urodziłam. Nie będę też starała się niczego dowiedzieć o moich biologicznych rodzicach. Powstrzymam się również od wszelkich kontaktów z rodziną o nazwisku Mayfair, nawet gdyby którykolwiek z jej członków zwrócił się do mnie z jakiegokolwiek powodu, czy pod jakimkolwiek pretekstem...”

I tak to szło, pisane niemal histerycznym językiem; dokument w którym



Ellie próbowała ująć wszelkie dające się przewidzieć ewentualności; tak wiele słów, a tak mało znaczenia. Nic dziwnego że Rowan nie ufała słowom. Jedynie życzenie Ellie odgrywa tutaj istotną rolę.

Ale Rowan podpisała ten papier. Prawnik, Milton Kramer, złożył podpis jako świadek. Kopia dokumentu poszła do jego archiwum.

\* \* \*

Czy życie Michaela Curry'ego również przesuwalo się mu przed oczami, myślała Rowan, podobnie jak teraz dzieje się to w moim przypadku? Często wpatrywała się w jego uśmiechniętą twarz na zdjęciu wydartym z miesięcznika i przylepionym do lustra.

Wiedziała też, że gdyby go spotkała, zapora z pewnością by pękła. Śniła o tym, podczas snu marzyła o rozmowach z Michaeliem, tak jakby to się rzeczywiście mogło wydarzyć, jakby mogła przyprowadzić go do tego domu w Tiburon, pić z nim kawę i dotykać jego ukrytej w rękawicy ręki.

Ach, cóż za romantyczny pomysł. Twardy facet, który kocha piękne domy i rysuje śliczne obrazki. Może on nawet słucha Vivaldiego, ten twardziel, może czyta Dickensa? A jakby to było, gdyby pójść do łóżka z takim mężczyzną, nagim z wyjątkiem czarnych rękawic z miękkiej skóry?

Ach, marzenie. To trochę tak jak wyobrażanie sobie, że przyprowadzani do domu strażacy okażą się poetami, policjanci, których uwodziła, ujawnią wielki talent pisarski, strażnik leśny spotkany w barze w Bolinas to w istocie wielki malarz, a krzepki weteran wojny wietnamskiej, który zabrał ją do swojej chatki w lesie, zaprezentuje się jako wybitny reżyser filmowy kryjący przed wymagającym i uwielbiającym go światem.

Naprawdę wyobrażała sobie takie rzeczy, i naturalnie nie był w tym nic absurdalnego. Ale to walory cielesne wiodły prym wypukłość w dżinsach musiała być wystarczająco duża, kark potężny, głos głęboki, a niedokładnie

ogolony podbródek na tyle szorstki, aby ją ranić.

Ale jeśli...

Ale jeśli Curry udał się na południe, tam skąd pochodzi, co wtedy? Najprawdopodobniej tak właśnie się stało. Nowy Orlean, jedyne miejsce na świecie, do którego Rowan Mayfair pojechać nie mogła.

\* \* \*

Kiedy otwierała drzwi biura, zadzwonił telefon.

– Doktor Mayfair?

– Doktor Morris?

– Tak, próbowałem się z panią skontaktować. Chodzi o Michaela Curry’ego.

– Tak, wiem, doktorze, dostałam pańską wiadomość. Właśnie miałam do pana dzwonić.

– On chce z panią porozmawiać.

– A więc wciąż jest w San Francisco.

– Ukrywa się we własnym domu na ulicy Wolności.

– Widziałam ten budynek w telewizji.

– Ale on chce się z panią spotkać, to znaczy... no cóż, mówiąc bez ogródek, pragnie panią zobaczyć osobiście. Wpadło mu do głowy...

– Tak?

– No cóż, pani pomyśli, że szaleństwo jest zaraźliwe, ale ja tylko przekazuję jego prośbę. Czy jest możliwe, żebyście spotkali się na łodzi – tej samej, na której przebywaliście wtedy w nocy, kiedy go pani ratowała?

– Z przyjemnością go tam zabiorę.

– Słucham?

– Z chęcią się z nim zobaczę. I zabiorę go na łódź, jeśli tego chce.

– To naprawdę bardzo uprzejme z pani strony, pani doktor. Muszę jednak parę rzeczy wyjaśnić. Wiem, że to brzmi jak zupełne wariactwo, ale on chce

zdjąć rękawice i dotknąć desek pokładu na którym leżał, kiedy pani przywracała mu przytomność.

– Naturalnie, bardzo proszę. Nie mam pojęcia, dlaczego sama na to nie wpadłam.

– Poważnie? Boże, nie ma pani pojęcia, jak mi ulżyło. Aha, doktor Mayfair, chciałbym jeszcze powiedzieć, że to mimo wszystko naprawdę bardzo miły facet.

– Wiem.

– Poza tym on bardzo cierpi. Zaskoczył mnie tym pomysłem w zeszłym tygodniu. Od miesiąca nie miałem od niego żadnych wiadomości! Był pijany, kiedy zadzwonił. Myślałem, że o tym zapomni.

– To całkiem niezły pomysł, doktorze Morris. Powiedział pan, że ta moc w jego rękach jest prawdziwa.

– Tak, to prawda. Zaś pani jest niezwykłą lekarką, doktor Mayfair, ale czy pani wie, w co się pakuje? Prosiłem go, błagałem, żeby wracał do szpitala. Żadnego odzewu. I nagle dzwoni zeszłej nocy, żądając, abym panią natychmiast odnalazł. Musi położyć ręce na deskach pokładu, po prostu świruje. Ja mu na to, wytrzeźwiej, Michael, a ja spróbuję. A potem odzywa się ponownie, dokładnie, dwadzieścia minut temu, tuż przed moim telefonem do pani. „Nie będę kłamał”, mówi mi, „Wypiłem dzisiaj skrzynkę piwa, ale nie tknąłem wódki ani szkockiej. Jestem tak trzeźwy, jak tylko być mogę”.

Zaśmiała się cicho.

– Powinnam zapłakać nad komórkami jego mózgu – powiedziała.

– Jasne! Ale ja staram się pani wyjaśnić, że ten człowiek jest w rozpacz. Nie ma żadnej poprawy. A ja nigdy bym pani o to nie poprosił, gdyby on nie był po prostu najsympatyczniejszym...

– Pojadę po niego. Czy mógłby pan zadzwonić i powiedzieć mu, że jestem w drodze?

– Boże, to świetnie. Doktor Mayfair, nie wiem jak pani dziękować.

– Naprawdę nie trzeba. Chcę go zobaczyć.

– Świetnie, i proszę z nim ubić interes. Pani pozwoli mu się bawić na łodzi w jasnowidza, a on za to wróci do szpitala na kurację odwykową.

– Niech pan teraz do niego zadzwoni, doktorze Morris? W ciągu godziny będę pod jego frontowymi drzwiami.

Odłożyła słuchawkę i przez chwilę stała nieruchomo patrząc na nią. Potem odpięła tabliczkę z nazwiskiem, zdjęła wybrudzony biały fartuch i powoli wyciągnęła z włosów szpilki.

A więc znów, po tych wszystkich latach, spróbowano oddać Deirdre Mayfair do zakładu. Skoro panna Nancy umarła, a Carla z dnia na dzień stawała się coraz słabsza, to najlepsze wyjście. Tak przynajmniej mówiono. 13 sierpnia przyjechała karetka. Ale Deirdre oszalała, zostawili ją więc w spokoju, a teraz jest z nią coraz gorzej.

Kiedy Jerry Lonigan powiedział o tym swojej żonie Ricie, rozplakała się.

Minęło trzynaście lat, odkąd Deirdre wróciła do domu jako bezmyślna idiotka, która nie potrafi wypowiedzieć własnego imienia, ale dla pani Lonigan to nie miało znaczenia. Rita nigdy nie zapomniała prawdziwej Deirdre.

Obie miały po szesnaście lat, kiedy wysłano je do internatu św. Róży z Limy. Był to brzydki, ceglany budynek na samym skraju francuskiej dzielnicy. Ritę przeniesiono tam, ponieważ była „niedobra”, bo wybrała się z chłopcami na statek rzeczny „Prezydent” i piła tam z nimi alkohol. Jej tata powiedział, że u „św. Różyczki” doprowadzą ją do porządku. Wszystkie dziewczęta spały w sali na strychu. Chodziły spać o dziewiątej. Rita spłakała się na dobranoc.

Deirdre Mayfair była już u „św. Różyczki” od dłuższego czasu. Nie przeszkadzało jej, że budynek jest stary i ponury, a dyscyplina surowa. Trzymała jednak Ritę za rękę, kiedy tamta płakała. Słuchała, jak koleżanka mówi, że ta szkoła przypomina więzienie.

Dziewczęta oglądały film „Ojciec wie najlepiej” w starym telewizorze o okrągłym sześciocalowym ekranie, jak mi Bóg miły! Nie lepsze było równie

wiekowe, skrzypiące, drewniane radio, które stało na podłodze pod oknem. Do gramofonu natomiast nie sposób nie było dostać. Miały go zawsze dziewczyny z południowej Ameryki, puszczały sobie to okropne tango „La Cucaracha” i tańczyły wszystkie te hiszpańskie tańce.

– Nie zwracaj na nie uwagi – mówiła Deirdre.

Późnym popołudniem zabrała Ritę na podwórko. Bujały się na huśtawkach pod Grzesznikami. Nikomu nie wpadłoby do głowy, że coś takiego może sprawić radość szesnastoletniej dziewczynie, ale Rita uwielbiała tę formę rozrywki, ale tylko wtedy, kiedy była wraz ze swoją przyjaciółką.

Deirdre śpiewała na huśtawce stare szkockie i irlandzkie ballady. Miała prawdziwy sopranowy głos, delikatny i wysoki, a pieśni były takie smutne. Ricie, kiedy ich słuchała, aż ciarki chodziły po skórze. Deirdre lubiła zostawać na dworze, póki nie zaszło słońce, niebo nie zalało się „czystym fioletem”, a cykady na drzewach naprawdę nie wzięły się do dzieła. Deirdre mówiła o tym: zmierzch.

Rita widziała to słowo na papierze, naturalnie, ale nigdy nie słyszała, aby ktoś je wypowiadał. Zmierzch.

Pewnego razu Deirdre wzięła Ritę za rękę i obie ruszyły wzdłuż ceglanej ściany, tuż pod Grzesznikami, gdzie musiały się schylać pod niskimi, liściastymi gałęzmi. W niektórych miejscach drzewa zupełnie zasłaniały stojącego człowieka. Być może głupio to opisywać, ale było to dla Rity takie dziwne i urocze przeżycie – stała tam w ciemności u boku swej jedynej przyjaciółki, drzewa kołysały się na wietrze, a na ich głowy sypały się małe listki.

W tamtych czasach Deirdre wyglądała naprawdę jak dziewczynka ze staroświeckiej książki z obrazkami. Nosila fiołkową wstążkę wplecioną w czarne loki opadające jej na plecy. Mogła być prawdziwą elegantką, gdyby tylko zechciała. Miała odpowiednią figurę, a w szafce nowe ubrania, których nigdy nawet nie przymierzała. Łatwo było jednak nie myśleć o takich rzeczach, kiedy przebywało się z Deirdre. Miała takie miękkie włosy. Rita dotknęła ich kiedyś.

Takie miękkie.

Spacerowały przez zakurzony krużganek przy kaplicy. Zaglądały przez drewnianą bramę do ogrodu zakonnicy. Tajemny zakątek, mówiła Deirdre, pełen najpiękniejszych kwiatów.

– Nie chcę nigdy wracać do domu – wyjaśniła. – Tutaj jest tak spokojnie.

Spokojnie! Nocą, w samotności, Rita zalewała się łzami. Do jej uszu docierały dźwięki szafy grającej ustawionej w murzyńskim barze po drugiej stronie ulicy; muzyka wznosiła się ponad ceglane ściany, aż do strychu na trzecim piętrze. Czasami, kiedy wydawało jej się, że wszyscy śpią, Rita wstawiała i wyszedłszy na żelazny balkonik patrzyła w stronę dalekich światła. Nad ulicą Przy Kanale gorzała czerwona luna. Tam bawił się cały Nowy Orlean, a Rita siedziała tu zamknięta, pilnowana przez zakonnice, które spały za zasłoną po obu stronach dormitorium. Co by zrobiła, gdyby nie miała Deirdre?

Ta panna Mayfair różniła się od wszystkich znajomych Rity. Miała tak pięknie wykonane ubrania – długie, białe koszule obszyte koronkami.

Rzeczy tego samego rodzaju miała na sobie trzydzieści cztery lata później, gdy na otoczonym moskitierą ganku siedziała „jak bezmyślna idiotka w stanie śpiączki”.

Deirdre pokazała Ricie ten szmaragdowy naszyjnik, który zawsze nosiła. Nawet teraz lśnił na tej białej nocnej koszuli. Słynny klejnot Mayfairów – chociaż wtedy jeszcze Rita nic o tym nie wiedziała. Naturalnie Deirdre nie zabierała go do szkoły. U „św. Różyczki” nie pozwalano nosić żadnej biżuterii. A i tak przecież nikt nie założyłby takiego wielkiego staroświeckiego cacka, chyba że na bal w zapusty.

A teraz wygląda on na Deirdre okropnie. Nie pasuje; taki przedmiot na szyi kaleki, gapiącej się tylko bezmyślnie w przestrzeń. Ale kto wie? Może jednak w jakiś sposób chora jest świadoma, że ciągle ma na sobie ten naszyjnik, który tak bardzo lubiła.

Pozwalała go Ricie dotykać, kiedy siedziały razem na brzegu łóżka. I kiedy

nie było żadnych zakonnicy, które powiedziałyby im, żeby nie gniotły narzuty.

Rita obracała w palcach szmaragdowy wisiołek. Taka ciężka, złota oprawa. Na odwrocie coś chyba wygrawerowano. Jakies imię? Zdołała rozpoznać tylko dużą literę L.

– Och, nie, nie czytaj tego – powiedziała Deirdre. – To tajemnica!

Przez chwilę zdawała się przestraszona; jej policzki poróżwiały, oczy zabłyły wilgocią. Potem ujęła rękę Rity i ścisnęła ją. Na Deirdre nie można się było złościć.

– Czy to jest prawdziwe? – spytała Rita. Musiało kosztować majątek.

– O, tak – odparła Deirdre. – Przywieziono go z Europy wiele, wiele lat temu. Należał wtedy do mojej pra-pra-pra-prababci.

Obie roześmiały się z tych wszystkich „pra”. A Deirdre powiedziała to tak niewinnie. Nigdy się nie przechwalała, nie raniła niczyich uczuć, dlatego wszyscy ją kochali.

– Moja matka zostawiła go mnie – wyjaśniła Deirdre. – A pewnego dnia ja go przekażę, to znaczy... jeśli kiedykolwiek będę miała córkę... – Na jej twarzy odbił się niepokój. Rita otoczyła przyjaciółkę ramieniem. Po prostu chciało się ochraniać Deirdre. Ona w każdym budziła takie uczucie.

Powiedziała, że nie zna swojej matki.

– Umarła ponad piętnaście lat temu. Powiedziano mi, że wypadła z okna na piętrze, kiedy była jeszcze bardzo młoda. Ciotki nigdy o niej nie rozmawiają. Nie sądzę, żeby moja rodzina była podobna do innych.

Rita czuła się oszołomiona. Nikt z jej znajomych nie mówił takich rzeczy.

– Ale co masz na myśli, Dee Dee? – zapytała.

– Och, nie wiem – odrzekła Deirdre. – My na przykład wyczuwamy różne rzeczy, kiedy ludzie nas nie lubią, i chcą zrobić nam coś złego.

– Kto chciałby skrzywdzić ciebie? – zapytała Rita. – Dożyjesz setki i będziesz miała dziesięcioro dzieci.

– Kocham cię, Rito – odparła Deirdre. – Ty masz czyste serce, ot co.



– Och, nie, Dee Dee – Rita Mae potrząsnęła głową. Pomyślała o swoich chłopakach od św. Krzyża, o tym, co robili.

A Deirdre, zupełnie jakby czytała w jej myślach, powiedziała:

– Nie, Rito, to nie ma żadnego znaczenia. Ty jesteś dobra. Nigdy nie chcesz nikogo zranić, nawet kiedy czujesz się naprawdę nieszczęśliwa.

– Ja też cię kocham – odrzekła dziewczyna, chociaż nie zrozumiała wszystkiego, co mówiła jej przyjaciółka. A Rita nigdy, przez całe swoje życie, nie powiedziała żadnej kobiecie, że ją kocha.

Omam nie umarła, kiedy Deirdre wyrzucono ze św. Róży. Ale przecież wiedziała, że tak będzie.

Ona sama widziała Deirdre z młodym mężczyzną w klasztorным ogrodzie. Zauważyła, jak Deirdre wykrada się po kolacji, kiedy nikt nie patrzył. Powinny wtedy brać kąpiel, układać włosy, to była jedyna rzecz u „św. Różyczki”, która Ricie wydawała się naprawdę zabawna. Dziewczęta musiały ładnie się czesać i lekko malować usta, bo, jak mówiła siostra Daniela, na tym polega „etykieta”. Deirdre nigdy nie brała udziału w tym niemal rytualnym czesaniu, ponieważ jej włosy zawsze leżały w idealnych lokach. Potrzebna jej była tylko wstążka.

W tamtych czasach Deirdre nieustannie zniknęła. Pierwsza brała kąpiel, a potem wymykała się na dół i wracała tuż przed zgaszeniem światła. Zawsze spóźniona na wieczorny pacierz, zawsze w pośpiechu, zawsze z zarumienioną twarzą. W ramach przeprosin obdarzała siostrę Daniele tym prześlicznym niewinnym uśmiechem. A kiedy się modliła, robiła to z uczuciem.

Rita myślała, że tylko ona dostrzega, iż Deirdre wymyka się na zewnątrz. Nie mogła ścierpieć, kiedy Deirdre nie było w pobliżu. Tylko dzięki niej czuła się znośnie w tym internacie.

A więc pewnej nocy zeszła na dół, aby poszukać przyjaciółki. Może Deirdre buja się na huśtawkach. Zima dobiegła końca i zmierzchało dopiero po kolacji. A Rita wiedziała, co dla Deirdre znaczył zmierzch.

Nie znalazła jej jednak na placu zabaw. Podeszła do otwartej bramy ogrodu

zakonnice. W ciemności jaka tam panowała, dostrzegła jarzącą się białą wielkanocną lilie. Zakonnice zetną je w Wielką Niedzielę. Nie, Deirdre nigdy nie złamałaby zasad wchodząc tam.

A jednak Rita usłyszała głos przyjaciółki. I stopniowo jej oczom ukazała się sylwetka Deirdre siedzącej w cieniu na kamiennej ławce. Orzeszniki były tak samo wielkie jak na podwórku, a ich gałęzie zwisały równie nisko prawie dotykając ziemi. Z początku Rita dostrzegła jedynie białą bluzkę, ale potem dojrzała twarz koleżanki, nawet fioletową wstążkę w jej włosach. Zobaczyła też siedzącego przy niej wysokiego mężczyznę.

Było tak cicho. Szafa grająca w murzyńskim barze właśnie w tej chwili zamilkła. Żaden dźwięk nie dobiegał z klasztoru. I nawet światła w refektarzu zakonnice zdawały się bardzo odległe, bo tak wiele drzew rosło wokół budynku.

Mężczyzna powiedział do Deirdre:

– Moja ukochana – wyszeptał cicho, ale Rita Mae dosłyszała to.

– Tak, ty mówisz. Słyszę cię. – Odparła Deirdre.

– Moja ukochana – powtórzył cicho mężczyzna.

Potem Deirdre płakała. Wyszeptała coś jeszcze, być może było to imię, tego Rita już nigdy się nie dowie. Zabrzmiało tak, jakby powiedziała: Mój Lasher.

Pocałowali się. Deirdre odchyliła głowę w tył, blade palce nieznajomego odcinały się wyraźnie od jej czarnych włosów. I mężczyzna odezwał się ponownie:

– Chcę tylko dać ci szczęście, moja ukochana.

– Dobry Boże – wyszeptała Deirdre. A potem nagle zerwała się z ławki i Rita zobaczyła, jak biegnie ścieżką wśród grządek lilii. Mężczyzny nigdzie nie było widać. Zerwał się wiatr i przemknął przez orzeszniki, a ich najwyższe gałęzie uderzyły w ganki klasztoru. Nagle cały ogród zaczął się poruszać. A Rita była tam sama.

Odwróciła się zawstydzona. Nie powinna była słuchać. I ona także uciekła, biegiem pokonując cztery kondygnacje drewnianych schodów, które wiodły z

piwnicy na strych.

Minęła godzina, zanim wróciła Deirdre. Rita czuła się okropnie że tak ją szpiegowała.

Ale później, tej samej nocy leżąc w łóżku Rita powtarzała te słowa: *Moja ukochana. Chcę tylko dać ci szczęście, moja ukochana!* Och, pomyśleć tylko, że jakiś mężczyzna mógł powiedzieć coś takiego do Deirdre.

Rita знаła tylko chłopców, którzy przy nadarzającej się okazji chcieli ją „pomacać”. Głupich niezgrabiaszy, takich jak Terry od św. Krzyża, który powiedział: „Wiesz, Rita, zdaje mi się, że cię bardzo lubię”. Jasne! Bo pozwoliłam ci się „pomacać”, głupi bawole.

– Ty lafiryndo! – powiedział jej ojciec. – Do internatu, oto gdzie pójdziesz. Nieważne, ile mnie to będzie kosztowało.

*Moja ukochana.* Przywiodło jej to na myśl piękną muzykę i eleganckich panów ze starych filmów, które oglądało się w telewizji. Głosy z innej epoki, miękkie i wyraźne, słowa niby pocałunki.

A przy tym ukochany Deirdre był taki przystojny. Wysoki i dobrze, ba! przepięknie ubrany. Dostrzegła biały kołnierz i także mankiety u jego rękawów. Właściwie nie widziała jego twarzy, dostrzegła jednak, że miał ciemne włosy, duże oczy.

Z kimś tak wspaniałym Rita też spotykałaby się w ogrodzie. Zrobiłaby z nim wszystko.

Och, naprawdę nie mogła się połapać w uczuciach, jakie w niej to obudziło. Płakała, ale był to płacz cichy i pełen słodczy. Wiedziała, że na całe życie zapamięta tę chwilę – ogród o zmierzchu, pod ciemnofioletowym niebem, na którym już ukazywały się gwiazdy, i głos mężczyzny, kiedy wypowiadał te słowa.

To był koszmar, kiedy oskarżono Deirdre. Zabrano ją do świetlicy, a innym dziewczętom kazano zostać w dormitorium, ale i tak wszystko słyszały. Deirdre wybuchnęła płaczem, ale do niczego nie chciała się przyznać.

– Ja sama widziałam tego mężczyznę! – rzekła siostra Daniela. – Chcesz powiedzieć, że kłamie?

Potem zabrano Deirdre do klasztoru na rozmowę ze starą matką Bernardą, ale nawet ona nie mogła sobie z dziewczyną poradzić.

Rita była w rozpacz, kiedy zakonnice przyszły spakować rzeczy Deirdre. Zobaczyła, jak siostra Daniela wyjmując szmaragdowy naszyjnik ze szkatułki i gapi się na niego. Myślała, że to szkło, można to było poznać po sposobie, w jaki trzymała klejnot. Widok siostry dotykającej naszyjnika boleśnie dotknął Ritę; z bólem patrzyła, jak tamta zbiera nocne koszule i inne rzeczy, a potem wpycha je do walizki Deirdre.

Kilka dni później, kiedy siostrze Danieli przytrafił się ten straszny wypadek, Ricie nie było przykro. Nigdy nie życzyła paskudnej starej zakonnicy podobnej śmierci – udusiła się w zamkniętym pokoju przy włączonym piecyku gazowym – ale niech i tak będzie.

Rita miała co innego na głowie niż płkanie nad kimś, kto był niemiły dla Deirdre.

W tamtą sobotę zebrała wszystkie grosze, które udało jej się znaleźć, a potem dzwoniła i dzwoniła z płatnego telefonu w piwnicy. Ktoś musi znać domowy telefon Mayfairów. Ich posesja znajdowała się na ulicy Pierwszej zaledwie kilka przecznic od domu Rity, ale równie dobrze mogliby mieszkać na końcu świata. To już nie była biedna dzielnica irlandzka, tylko bogata Dzielnica Ogrodów, gdzie Mayfairowie mieli tam wspaniałą rezydencję.

Potem Rita wdała się w okropną bójkę z Sandy, która powiedziała, że Deirdre jest stuknięta. „Ty wiesz, co ona robiła w nocy? Ja ci powiem. Kiedy wszyscy usnęli, ściągała kołdrę i tak się ruszała, jakby ją ktoś całował! Widziałam to, otwierała usta i kręciła się na łóżku – no wiesz, kręciła się – zupełnie tak, jakby naprawdę coś czuła!”

– Zamknij tę brudną gębę! – wrzasnęła Rita i próbowała ją uderzyć. Wszystkie dziewczęta napadły na obrończynię Deirdre. Ale Liz Conklin zabrała

ją na stronę i kazała się uspokoić. Powiedziała, że Deirdre zrobiła coś gorszego niż spotkanie się z mężczyzną w ogrodzie.

– Rito Mae, ona go wpuściła do budynku. Przyprowadziła go prościutko na górę na nasze piętro. Ja go widziałam – Liz mówiła szeptem, zerkając co i raz przez ramię, jakby ktoś mógł je podsłuchać.

– Nie wierzę ci – odparła Rita.

– Ja za nią nie chodziłam – rzekła Liz – Nie chciałam, aby miała kłopoty. Wstałam po prostu, żeby pójść do łazienki. I zobaczyłam ich przy oknie w świetlicy – byli tam oboje, razem, Rito – mniej niż trzy metry od miejsca, gdzie my wszystkie spałyśmy.

– Jak wyglądał? – chciała wiedzieć Rita, pewna, że to kłamstwo. Pozna się na tym, bo przecież go widziała.

Liz jednak opisała mężczyznę właściwie – wysoki, kasztanowe włosy, bardzo „dystyngowany”. Całował Deirdre i szeptał do niej.

– Rito Mae, tylko sobie wyobraź, ta dziewczyna otworzyła wszystkie zamki i wprowadziła go po schodach. Ona jest stuknięta.

– Ja wiem tylko tyle – powiedziała później Rita Jerry’emu Loniganowi, kiedy chodzili ze sobą. – Ona była najmiłszą dziewczyną, jaką w życiu znałam. W porównaniu z tymi zakonniceami to święta, mówię ci. Kiedy myślałam, że oszaleję w tej budzie, ona trzymała mnie za rękę i zapewniała, że rozumie moje uczucia. Zrobiłabym dla niej wszystko.

Minął ponad rok. Nastoletnie życie Rity skończyło się i ani przez chwilę go nie żałowała. Wyszła za Jerry’ego Lonigana, który co prawda był od niej o dwanaście lat starszy, ale za to miłszy od wszystkich chłopców, jakich kiedykolwiek spotkała – przyzwoity, dobry mężczyzna zarabiający na dostanie życie w firmie pogrzebowej Lonigan i Synowie (jednej z najstarszych w parafii), którą prowadził wraz ze swoim ojcem.

To Jerry dostarczał Ricie wiadomości o byłej przyjaciółce z internatu. Powiedział, że Deirdre zaszła w ciążę z mężczyzną, który zginął w wypadku na

autostradzie, a jej ciotki, te wredne zwariowane baby, chcą ją zmusić, żeby oddała dziecko.

Ritę kusilo, aby choć przejść obok ich domu i zobaczyć Deirdre. Musiała to zrobić. Jerry'emu nie podobał się ten pomysł.

– Co ty, u diabła, możesz tu poradzić! Nie znasz tej ciotki, panny Carlotty, nie wiesz, że jest prawniczką? Może wsadzić Deirdre do zakładu, jeśli ona nie odda tego dzieciaka.

Red Lonigan, ojciec Jerry'ego, potrząsnął głową.

– Z tą biedaczką postępowano tak już wiele razy, Rito – powiedział. – Deirdre podpisze papiery, albo skończy u czubków. Poza tym ojciec Lafferty załatwia tę sprawę. A jeśli jest u św. Alfonsa jakiś ksiądz, któremu ufam, na pewno będzie to Tim Lafferty.

Rita jednak poszła.

Było to najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek miała wykonać – podejść do tego ogromnego domu i zadzwonić do drzwi. Ale zdobyła się na to. I naturalnie to panna Carla otworzyła jej, ta właśnie, której wszyscy się bali. Jerry powiedział później, że gdyby zjawiała się panna Millie lub Nancy, może byłoby inaczej.

Rita weszła do środka, prawie przeciskając się przez uchylone drzwi. Panna Carla wcale nie wyglądała wrednie, lecz po prostu poważnie.

– Wie pani, chcę się z nią tylko zobaczyć. U św. Róży ona była moją najlepszą przyjaciółką...

Za każdym razem, kiedy panna Carla odpowiadała „nie” w swój uprzejmy sposób, Rita w jakiś inny mówiła „tak”, opowiadając, jak bliska była jej Deirdre.

Potem usłyszała dobiegający ze szczytu schodów głos przyjaciółki:

– Rito Mae!

Twarz Deirdre była mokra od płaczu, włosy w strąkach opadały jej na ramiona. Boso biegła po schodach w kierunku Rity, a panna Nancy, ta potężnie zbudowana kobieta, podążała tuż za nią.

Panna Carla ujęła mocno ramię Rity i starała się ją popchnąć w stronę frontowych drzwi.

– Chwileczkę! – zaprotestowała Rita.

– Rito Mae, oni chcą zabrać moje dziecko!

Na schodach panna Nancy schwyciła Deirdre w pasie i uniosła w górę.

– Rito Mae! – wrzasnęła Deirdre. Trzymała coś w dłoni, chyba małą, białą karteczkę.

– Rito Mae, zadzwoń do tego człowieka. Powiedz mu, żeby mi pomógł.

Panna Carla stanęła twarzą w twarz z Ritą.

– Idź do domu, Rito Mae Lonigan – powiedziała.

Rita jednak okrążyła ją biegiem. Deirdre szamotała się, starając się uwolnić od panny Nancy, która z trudnością utrzymując równowagę, opierała się o słupki balustrady. Deirdre próbowała rzucić Ricie karteczkę, ale ta sfrunęła jedynie w dół na schody. Panna Carla ruszyła w tę stronę.

A potem było już tak, jak w zapusty, w czasie ostatnich bójek o błyskotki rzucające z platform procesji. Rita odepchnęła pannę Carlę na bok i schwyciła kartkę, właśnie tak jak chwyciła się tani naszyjnik z chodnika, zanim ktokolwiek inny zdołał go dopaść.

– Rito Mae, zadzwoń do tego człowieka! – wrzasnęła Deirdre. – Powiedz mu, że go potrzebuję!

– Zrobię to, Dee Dee!

Panna Nancy niosła ją z powrotem na górę po schodach. Gołe stopy Deirdre wierzgały, jej dłonie szarpały ramię Nancy. To było okropne, po prostu okropne.

W tym czasie panna Carla schwyciła Ritę za przegub ręki.

– Oddaj mi to, Rito Mae Lonigan – powiedziała.

Rita wyrwała się i wybiegła przez frontowe drzwi, ściskając w dłoni mały, biały skrawek papieru. Słyszała, jak panna Carla goni ją przez ganek.

Rita biegła ścieżką, a jej serce waliło. Jezus, Maria, toż to dom wariatów! A Jerry tak się zirytuje. I co powie Red?

Potem poczuła ostry, paskudny ból, kiedy ktoś z tyłu chwycił ją za włosy. Ta baba szarpnięciem prawie zwała ją z nóg.

– Nie waż się tego robić, ty stara czarownico! – warknęła Rita przez zaciśnięte zęby. Nie znosiła, kiedy ciągnięto ją za włosy.

Panna Carla usiłowała wydrzeć jej z zaciśniętych palców tę ważną dla obu kartkę. To była chyba najgorsza rzecz, jaka kiedykolwiek przytrafiła się Ricie. Napastniczka skręcała róg kartki starając się go oderwać, Rita nie puszczała, choć w tym samym czasie panna Carla drugą ręką wciąż szarpała jej włosy tak mocno, jak tylko mogła. Niezadługo wyrwie je razem z korzeniami.

– Przestań! – wrzasnęła Rita. – Ostrzegam cię!

Zdołała uwolnić karteczkę z uchwytu Carli i zgmiotła ją w zaciśniętej pięści. Bo przecież nie można uderzyć takiej starszej damy.

Ale kiedy panna Carla raz jeszcze szarpnęła dziewczynę za włosy, ta jednak nie wytrzymała. Prawym ramieniem huknęła przeciwniczkę w pierś i panna Carla padła na krzaki melli, które uchroniły ją od upadku na ziemię.

Rita wybiegła przez bramę.

Zaczynała się burza. Dęby trzęsły się całe. Rita widziała, jak ich wielkie, czarne konary kołyszą się na wietrze, usłyszała ten głośny pomruk, który zawsze wydają duże drzewa. Gałęzie smagały dom, skrobały w dach ganku na piętrze. Raptem do jej uszu dobiegł dźwięk tłukącego się szkła.

Zatrzymała się i spojrzawszy za siebie dostrzegła deszcz zielonych listków lecących na całą posiadłość. Sypały się mniejsze i większe gałązki. To przypominało huragan. Panna Carla stała na ścieżce patrząc w górę, na drzewa. Przynajmniej nie złamała sobie ręki ani nogi.

Dobry Boże, w każdej chwili może zerwać się ulewa. Rita przemoknie do suchej nitki, zanim dotrze do Sklepowej – jeszcze i to na dokładkę, jakby nie dość było poszarpanych włosów i ściekających po policzkach łez.

Jednak nie spadła ani kropla deszczu. Rita dotarła w końcu do firmy Lonigan i Synowie. A potem, kiedy usiadła w biurze Jerry’ego, załamała się zupełnie.



– Nie powinnaś była tam chodzić, nie powinnaś! – powiedział jej mąż. We frontowej części budynku odbywały się uroczystości pogrzebowe i Redowi na pewno przydałaby się pomoc syna.

– Kotku, to taki stary ród, oni są w stanie zmusić wszystkich, aby zwrócili się przeciwko nam – mówił Jerry.

Rita mogła jedynie szlochać. Potem zerknęła na małą, białą karteczkę.

– Ale spójrz na to, Jerry! Popatrz tylko!

Kartka pomięta się i nawilgła w jej spoconej dłoni. Rita załamała się ponownie.

– Nie mogę odczytać numerów!

– No, zaczekaj, Rito – odezwał się. Cierpliwy jak zawsze – po prostu człowiek o naprawdę dobrym sercu. Stojąc nad nią rozwijał papier na suszce do atramentu. Wyciągnął szkło powiększające.

Część środkowa była całkiem wyraźna.

#### TALAMASCA

Poza tym nic więcej nie dało się odczytać. Niżej słowa zmieniły się w drobniutkie plamki atramentu. Cokolwiek wypisano przy dolnym brzegu, zostało zupełnie zniszczone.

– Och, Dee Dee! – płakała Rita.

Jerry prostował papier wkładając go między dwie ciężkie książki, ale to nie pomogło. Wszedł jego ojciec, spojrzał na kartkę, jednak i on niczego nie mógł odczytać. Słowo „Talamasca” nic dla niego nie znaczyło. A Red znał chyba wszystko i wszystkich. Gdyby to było na przykład jakieś stare stowarzyszenie zapustowe, Red by wiedział.

– Słuchaj, tu na odwrocie widać jakiś napis – powiedział Red. – Zerknij na to.

Aaron Lightner. Nie było jednak numeru telefonu, który z pewnością wydrukowano na drugiej stronie. Jednak nawet prasowania kartki gorącym żelazkiem nie na wiele się zdało.

Rita robiła, co mogła.

Przejrzała książkę telefoniczną szukając Aarona Lightnera i Talamaski, cokolwiek to było. Zadzwoiła do informacji. Błagała telefonistę, aby jej powiedział, jeśli jest to zastrzeżony numer. Dawała nawet ogłoszenie w Times-Picayune i States-Item.

– Kartka była stara i wybrudzona jeszcze zanim ją dostałaś – przypomniał jej Jerry. Pięćdziesiąt dolarów wydane na ogłoszenie to dosyć. Red powiedział, że jego zdaniem powinna zrezygnować. Nie krytykował jednak jej poczynań, za co była mu wdzięczna.

– Kochanie, nie chodź znów do tego domu – nalegał. – Nie boję się panny Carlotty, nic podobnego. Po prostu nie chcę, żebyś się zadawała z tymi ludźmi.

Rita dostrzegła, jak Jerry zerka porozumiewawczo na ojca, a ten odwzajemnia jego spojrzenie. Coś wiedzieli, ale nie mówili o tym. Rita wiedziała, że firma Lonigan i Synowie chowała matkę Deirdre, kiedy ta wiele lat temu wypadła przez okno; Rita słyszała także o tym, że Red pamięta babkę jej przyjaciółki, która również „umarła młodo”.

Obaj Loniganowie byli jednak małomówni, jak przystało na pracowników zakładu pogrzebowego, Rita zaś zbyt przygnębiona, aby wysłuchiwać historii tego okropnego starego domu i mieszkających w nim kobiet.

Spłakała się wtedy na dobranoc jak kiedyś w internacie. Może Deirdre znalazła ogłoszenie w gazecie i wie, że Rita próbowała zrobić to, o co ją prosiła.

Minął kolejny rok, zanim pani Lonigan znów zobaczyła przyjaciółkę. Córeczkę Deirdre już dawno zabrano. Wzięli ją jacyś kuzyni z Kalifornii. Mili ludzie, mówiono powszechnie, bogaci. On jest prawnikiem jak panna Carla. Dziecko będzie miało dobrą opiekę.

Siostra Bridget Marie od św. Alfonsa powtórzyła Jerry’emu to, co mówiły zakonnice ze szpitala Miłosierdzia Bożego: to była śliczna dziewczynka z jasnymi włosami, zupełnie niepodobnymi do czarnych loków Deirdre. Ojciec Lafferty złożył niemowlę w ramionach matki i powiedział jej: pocałuj swoją

dziecinę, a potem zabrał je.

Ritę aż ciarki przeszły. To było zupełnie jak te pocałunki, które ludzie dają trupom tuż przed zamknięciem trumny.

Nic dziwnego, że Deirdre całkowicie się załamała. Prosto ze szpitala zabrano ją do zakładu.

– Nie pierwszy raz w tej rodzinie – powiedział Red Lonigan kręcąc głową. – Tak właśnie umarł Lionel Mayfair, w kaftanie bezpieczeństwa.

Rita chciała wiedzieć, co miał na myśli, ale stary nie odpowiedział.

– Och, ale oni nie musieli tego robić w ten sposób – rzekła. – Deirdre to takie słodkie stworzenie. Nie mogłaby nikogo skrzywdzić.

Później dowiedziała się, że Deirdre znowu wróciła do domu. Rita zdecydowała się wziąć udział w niedzielnym nabożeństwie odprawianym w kaplicy Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Dzielnicy Ogrodów. To tam przeważnie chodzili ludzie bogaci. Do dużych kościołów parafii – św. Marii i św. Alfonsa – po drugiej stronie ulicy Sklepowej uczęszczali mieszkańcy dzielnicy irlandzkiej.

Rita poszła na mszę o dziesiątej rano, myśląc: cóż, po prostu wracając przejdę sobie koło domu Mayfairów. Nie musiała jednak tego robić, bo Deirdre była na mszy, siedziała między ciotkami – Belle i Millie. Bogu niech będą dzięki, nie było panny Carlotty.

Deirdre wyglądała okropnie, niby duch. Bańka, jak powiedziałyby matka Rity. Miała podkrążone sińcami oczy. Ubrana była w starą, błyszczącą sukienkę z gabardyny. Z watowanymi ramionami. Coś okropnego, na dodatek w niewłaściwym rozmiarze, z pewnością „prezent” od którejś z tych starych kobiet mieszkających razem z nią.

Po ceremonii, schodząc po marmurowych stopniach, Rita przełknęła ślinę, wzięła głęboki oddech i pobiegła za przyjaciółką.

Deirdre natychmiast obdarzyła ją tym prześlicznym uśmiechem. Jednak kiedy próbowała się odezwać, z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Potem

cicho powiedziała:

– Rita Mae!

Pani Lonigan schyliła się, żeby ją pocałować, i szepnęła:

– Dee Dee, starałam się zrobić to, o co mnie prosiłaś. Nie mogłam znaleźć tego człowieka. Wizytówka była zbyt zniszczona.

Rozwarte oczy Deirdre były puste. Nawet o tym nie pamięta, nieprawdaż? Przynajmniej ciotki Millie i Belle niczego nie zauważyły. Witały się z mijającymi je ludźmi. Poza tym biedna panna Belle i tak nigdy niczego nie dostrzegała.

Później Deirdre coś sobie chyba przypomniała.

– Nic nie szkodzi – powiedziała i raz jeszcze obdarzyła przyjaciółkę tym swoim niepowtarzalnym uśmiechem. Uścisnęła dłoń Rity, pochyliła się i pocałowała ją w policzek. Potem ciotka Millie odezwała się:

– Powinnyśmy już iść, złotko.

Oto cała Deirdre Mayfair. *Nic nie szkodzi*. Najśłodsza dziewczyna, jaką Rita kiedykolwiek знаła.

Nie minęło wiele czasu i Deirdre znów znalazła się w zakładzie. Chodziła boso po alei Jacksona mówiąc do siebie na głos. Wtedy posłano ją do szpitala psychiatrycznego w Teksasie; później Rita słyszała już tylko, że Deirdre Mayfair jest „nieuleczalnie chora” i nigdy nie wróci do domu.

Kiedy umarła stara panna Belle, Mayfairowie, tak jak zawsze, zadzwonili do ojca Jerry’ego. Może panna Carla nie pamiętała nawet bójki z Ritą Mae. Na pogrzeb zjechała się rodzina z całego kraju, ale nie było ani śladu Deirdre.

Pan Lonigan z najwyższą niechęcią otwierał grobowiec na Lafayette numer 1. Na tym cmentarzu było tak wiele zrujnowanych grobów, z których wzywały gnijące trumny, że aż robiło mu się niedobrze, kiedy prowadził tam pogrzeb.

– Mayfairów chowano w tym miejscu od 1861 roku – powiedział. – Trzeba przyznać, że dbają o ten grobowiec. Ogrodzenie z kutego żelaza malują co roku. A kiedy przychodzą tam turyści? No cóż, to jeden z grobów, które zawsze

oglądają – bo i tylu Mayfairów tam leży, wystarczy spojrzeć na te wszystkie imiona nawet małych dzieci żyjących jeszcze w czasach wojny secesyjnej. Żeby tylko pozostała część tego cmentarza nie była w takim złym stanie. Pewno kiedyś zrównają wszystko z ziemią, wiesz.

Nigdy jednak nie wyburzono Lafayette numer 1. Turyści zbyt lubili ten cmentarz. Podobnie rodziny z Dzielnicy Ogrodów. Zatem zamiast likwidować wyczyszczono go, zreperowano pobielane ściany, posadzono nowe magnolie. Mimo to było tam wciąż sporo zrujnowanych mogił będących przedmiotem zainteresowania tych, którzy chcieli sobie zerknąć na ludzkie kości. Mówiono, że to „obiekt historyczny”.

Pewnego popołudnia pan Lonigan zabrał ze sobą Ritę; pokazał jej słynne groby ofiar żółtej febry. Można było tam przeczytać długą listę osób, które podczas epidemii umierały w odstępach zaledwie kilkudniowych. Pokazał jej grobowiec Mayfairów – potężne gmaszysko o dwunastu wielkich jak piece kryptach. Niski żelazny płotek biegł dookoła, otaczając wąski pasek trawnika. A dwa marmurowe wazony umocowane na schodkach od frontu pełne były świeżych kwiatów.

– No, no, naprawdę ładnie go utrzymują – rzekła Rita. – Lilie, gladiolusy, goździki.

Lonigan w milczeniu patrzył na te piękne rośliny. Potem, odchrząknąwszy, wskazał synowej nazwiska ludzi, których znał.

– Ta tutaj – Antha Mayfair, zmarła w 1941 – to była matka Deirdre.

– Ta, która wypadła przez okno – rzekła Rita i znów nie otrzymała odpowiedzi.

– O, Stella Louise, matka Anthy. Zmarła w 1929. A tutaj Lionel, jej brat – „zmarły w 1929” – skończył w kaftanie bezpieczeństwa po tym, jak zastrzelił Stellę.

– Och, nie chcesz chyba powiedzieć, że zamordował własną siostrę.

– Owszem, tak właśnie było – odparł Lonigan. Potem wskazał jej kolejne

nazwiska, cofając się coraz dalej w przeszłość. – Panna Mary Beth, to matka Stelli i Carli, bo panna Millie jest w zasadzie córką Remy’ego Mayfaira. To był wuj Carlotty, który umarł w domu na ulicy Pierwszej, ale to zdarzyło się jeszcze przed moimi narodzinami. Pamiętam jednak Julię. On był z tych, o których się mówi: niezapomniani. Tak, tak, bardzo przystojny mężczyzna, do dnia swojej śmierci. Podobnie Cortland, jego syn. Widzisz, Cortland zmarł w tym samym roku, kiedy Deirdre urodziła dziecko. Ale ja go nie chowałem. Jego rodzina mieszkała w Metairie. Mówi się, że to całe zamieszanie wokół dziecka zabiło Cortlanda. Zresztą nieważne. A poza tym sama widzisz, że miał osiemdziesiąt! lat. Natomiast Belle to starsza siostra Carli. Z kolei panna Nancy no cóż, ona jest siostrą Anthy. Panna Millie będzie następna, zapamiętaj sobie moje słowa.

Ci ludzie nie obchodzili Rity. Wspominała Deirdre owego dawno minionego dnia, kiedy siedziały razem na łóżku u św. Róży. Ten szmaragdowy naszyjnik wszedł w jej posiadanie poprzez Stellę i Anthę.

Powiedziała o tym teraz Redowi, a on bynajmniej nie był zaskoczony. Potwierdził skinąwszy głową, a potem dodał, że przedtem klejnot ten należał do panny Mary Beth, a jeszcze wcześniej do panny Katherine, która wybudowała ten dom na ulicy Pierwszej, ale to już nie jego czasy. Sięgał pamięcią tylko do monsieur Julię...

– Wiesz co, to bardzo dziwne – rzekła Rita. – Że też one wszystkie noszą nazwisko Mayfair. Dlaczego nie przyjmują nazwisk mężczyzn, za których wychodzą?

– Nie mogą – odparł Lonigan. – Jeśli to zrobią, nie dostaną rodzinnych pieniędzy. Tak to właśnie ustalono dawno temu. Trzeba być Mayfairem, żeby odziedziczyć majątek Mayfairów. Cortland wiedział o tym wszystko; był świetnym prawnikiem i nigdy nie pracował dla nikogo oprócz rodziny Mayfairów. Pamiętam jak tłumaczył mi, że to kwestia zapisu spadkowego.

Wzrok Reda znów spoczął na kwiatach.

– O co chodzi, Red? – zapytała Rita.

– Och, taka stara historia, którą opowiadają w mieście – odparł. – Ponoć te wazony nigdy nie stoją puste.

– To panna Carla zamawia kwiaty, prawda? – zapytała.

– O ile wiem, nie – odrzekł Lonigan. – Ale ktoś zawsze je tu wkłada. – Potem jednak znów, jak zawsze, zamilkł. Nigdy nie mówił wszystkiego, co wiedział.

Kiedy w rok później zmarł, Rita odczuła to tak, jakby straciła własnego ojca. Mimo to zastanawiała się, jakie sekrety zabrał, ze sobą do grobu. Zawsze miał dla niej tyle serca. I Jerry nie był już taki jak kiedyś. Zawsze się denerwował, kiedy załatwiał sprawy ze starymi rodami.

\* \* \*

W 1976 roku Deirdre wróciła do domu na ulicy Pierwszej jako bezmyślna idiotka z powodu, jak mówiono, terapii wstrząsowej.

Ojciec Mattingly z parafii poszedł się z nią zobaczyć. Z mózgu nic nie zostało. Jest jak niemowlę, powiedział Jerry’emu, albo jak dziecienniała staruszka.

Rita postanowiła udać się tam z wizytą. Minęły lata od czasu tej okropnej bójki z panną Carlottą. Rita miała już troje dzieci. Nie bała się tej starszej damy. Kupiła dla Deirdre śliczny jedwabny peniuar u D.H. Holmesa.

Panna Nancy zaprowadziła ją na ganek i rzekła do Deirdre:

– Popatrz, co przyniosła Rita Mae Lonigan.

Po prostu bezmyślna idiotka. I jak okropnie wygląda ten piękny szmaragdowy wisior na jej szyi. Zupełnie jakby robili sobie z niej żarty, zakładając go na flanelową koszulę.

Stopy Deirdre spoczywające na gołych deskach podłogi wydawały się spuchnięte i obolałe. Kiedy patrzyła przez moskitierę, jej głowa chyliła się na bok. Ale poza tym była to wciąż Deirdre – nadal piękna i słodka. Rita musiała

wyść z tego domu.

Nigdy więcej nie przyszła. Ale nie było takiego tygodnia, żeby nie przechodziła Pierwszą tylko po to, aby zatrzymać się przy ogrodzeniu i pomachać przyjaciółce, która nawet jej nie dostrzegała. Mimo to Rita i tak robiła swoje. Miała wrażenie, że Deirdre pochyliła się i wychudła, że jej ręce nie spoczywają już na kolanach ale tkwią przyciągnięte do piersi. Rita jednak nigdy nie była dość blisko, aby się upewnić. Na tym polega zaleta machania ręką zza ogrodzenia.

\* \* \*

Kiedy w zeszłym roku umarła panna Nancy, Rita oznajmiła, że weźmie udział w pogrzebie.

– Dla Deirdre.

– Ależ kochanie – odrzekł Jerry. – Ona nawet nie będzie wiedziała, że to robisz.

Przez te wszystkie lata Deirdre nie wypowiedziała nawet jednej sylaby.

Ricie było wszystko jedno. Postanowiła pójść.

Jeśli chodzi o Jerry'ego, nie chciał mieć do czynienia z Mayfairami. Bardziej niż kiedykolwiek brakowało mu ojca.

– Czemu u diabła nie zadzwonią do innego domu pogrzebowego? – mruczał pod nosem. Teraz, kiedy jego ojciec już nie żył, wielu ludzi tak robiło. Dlaczego Mayfairowie nie poszli w ich ślady? Nienawidził tych starych rodzin.

– Przynajmniej to naturalna śmierć, w każdym razie tak mi powiedziano – dodał.

To dopiero zdumiało Ritę.

– A co, czy panna Belle i panna Millie nie umarły z przyczyn naturalnych? – zapytała.

Tego popołudnia, zakończywszy prace nad panną Nancy, Jerry opowiedział



Ricie, jak okropna była wyprawa do tego starego domu, aby przywieść ciało.

Wszystko było jak za dawnych lat; w sypialni na górze zaciągnięte draperie, dwie świece płonące przed obrazem Matki Boskiej Bolesnej. Pokój śmierdzał uryną. Zwłoki panny Nancy przez wiele godzin leżały w tym upale, zanim on tam dotarł.

A na ganku biedna Deirdre niby precel w ludzkim ciele i czarna pielęgniarka, która trzymając chorą za rękę, na głos odmawiała różaniec, zupełnie jakby Deirdre zdawała sobie sprawę z jej obecności i sensu tych wszystkich zdrowasiek.

Panna Carlotta nie chciała wejść do pokoju Nancy. Stała w korytarzu z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Na ramionach i nogach widzę rany, panno Carlo. Czy ona się przewróciła?

– Pierwszy atak miała na schodach, panie Lonigan.

Jakże on żałował, że nie ma przy nim ojca. Red wiedział, jak sobie radzić z takimi klientami ze starych rodów.

– A teraz powiedz mi, Rito Mae: czemu, u diabła, Nancy nie była w szpitalu? To nie jest 1842 rok! To teraźniejszość. No, pytam się ciebie.

– Niektórzy ludzie chcą zostać w domu, Jerry – odparła Rita. Czyż nie dostał świadectwa zgonu podpisanego przez lekarza?

Owszem, dostał. Naturalnie. Ale nie cierpiał tych starych rodzin.

– Człowiek nigdy nie wie, co za numer zaraz wykręcą – klął. – I to nie tylko Mayfairowie, mówię o tych wszystkich staruchach.

Czasami krewni wkraczali do pokoju z własnym pudrem i szminką i sami zaczęli pracować nad wyglądem trupa. A przecież żaden rozsądny człowiek już takich rzeczy nie robi.

A co powiecie o tych starych Irlandczykach, którzy śmieją się i żartują niosąc trumnę? Jeden z nich w pewnym momencie puszcza ją, żeby brat niósł cały ciężar – harują na cmentarnej ścieżce, jakby to były ostatki.

A te historie, którymi starzy urozmaicali sobie czas czuwania przy zmarłym,

mogły człowieka przyprawić o mdłości. Siostra Bridget Marie opowiadała niedawno, jak to płynęli z Irlandii łodzią. „Mama mówi niemowlakowi w plecionej kołysce, jak nie przestanie wrzeszczeć, to wyrzuci go za burtę. Potem, nakazuje starszemu chłopcu, aby pilnował braciszka. Po krótkiej chwili wraca. Dziecka nie ma w kołysce. A synek mówi, że on znowu zaczął płakać, więc wyrzucił go za burtę.”

No i czy to jest historia, którą można opowiadać siedząc przy trumnie?

Rita nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zawsze lubiła siostrę Bridget Marie.

– Mayfairowie to nie Irlandczycy – odrzekła. – Są bogaci, a tacy ludzie nie zachowują się w ten sposób.

– Mylisz się Rito, to są Irlandczycy. A przynajmniej siedzi w nich dość Irlandczyka, żeby mieli fioła. To ten słynny irlandzki architekt Darcy Monahan zbudował ten dom, i on był ojcem Mary Beth. Zaś panna Carla jest córką sędziego MacIntyre, a to już był Irlandczyk co się zowie. Prawdziwy antenat. Oni, Rito, są tak irlandzcy, jak tylko można być w obecnych czasach.

Była zdumiona, że jej mąż mówi tak wiele. Mayfairowie denerwowali go, to jasne, podobnie jak jego ojca, a nikt jeszcze nie opowiedział Ricie całej tej historii.

Pani Lonigan wybrała się do kaplicy na mszę żałobną za duszę panny Nancy. Pojechała na procesję własnym samochodem. Żałobnicy specjalnie skręcili w ulicę Pierwszą przez wzgląd na Deirdre. Nic jednak nie wskazywało na to, że chora choćby dostrzegła owe czarne limuzyny sunące przed rezydencją.

W ceremonii brało udział tylu Mayfairów. I skąd na Boga oni się wszyscy zjechali? Rita rozpoznała akcent nowojorski, kalifornijski, a nawet południowy – z Alabamy i Atlanty. No i jeszcze ci wszyscy krewni z Nowego Orleanu! Przeglądając listę nie wierzyła własnym oczom. Przyjechali Mayfairowie zarówno z biednych jak i z eleganckich dzielnic, z Metairie, i z za rzeki.

Był tam nawet jakiś Anglik, siwy pan w płóciennym garniturze, który nosił – i owszem! – laseczkę. Mężczyzna ów trzymał się z tyłu wraz z Ritą.

– Och, cóż za okropnie ciepły dzień – odezwał się eleganckim angielskim akcentem. Kiedy Rita potknęła się na ścieżce, przytrzymał ją za ramię. Jak to miło z jego strony.

Co ci wszyscy ludzie myślą o tym wstrętnym domu, zastanawiała się Rita – albo o cmentarzu Lafayette i jego sypiących się kryptach. Tłoczyli się na wąskich ścieżkach, stawali na palce starając się coś dojrzeć ponad wysokimi nagrobkami. Moskity w wysokiej trawie. W tej samej chwili, przed bramą zatrzymał się wycieczkowy autokar. Turyści oczywiście uwielbiają takie rzeczy. No już, napatrzcie się do woli!

Ale największym wstrząsem okazała się obecność kuzynki, która zabrała dziecko Deirdre. Bo i ona tam była, Ellie Mayfair z Kalifornii. Jerry wskazał ją Ricie, kiedy ksiądz wygłaszał ostatnie słowa. Wpisywała się do księgi na każdym rodowym pogrzebie przez ostatnie trzydzieści lat. Wysoka, ciemnowłosa kobieta w niebieskiej sukience bez rękawów, z pięknie opaloną skórą. Nosila duży płócienny czepek i ciemne okulary. Wyglądała jak gwiazda filmowa. Jakżeż oni się wokół niej zbierali. Ludzie ściskali jej dłoń.

Całowali upudrowany policzek. A kiedy przysuwali się naprawdę blisko, czy pytali o córkę Deirdre?

Rita otarła oczy. *Rito Mae, oni chcą zabrać moje dziecko.* Co zrobiła ze strzępką białej kartki, na której widniało słowo: Talamasca? Pewnie ma go tutaj, w modlitewniku. Nigdy niczego nie wyrzucała. Może powinna porozmawiać z tą kobietą, zapytać, jak można się skontaktować z córką Deirdre. Może pewnego dnia ta dziewczyna powinna usłyszeć to, co Rita ma do powiedzenia. Jednak z drugiej strony, kto jej dał prawo się wtrącać? Ale jeśli Deirdre umrze przed Ritą, a ona zobaczy jeszcze tę kobietę, no cóż, wtedy podejdzie i zapyta. Nic jej nie powstrzyma.

Mało brakowało, a zalałaby się łzami; wyobraźcie sobie, ludzie pomyśleliby, że ona płacze nad starą panną Nancy! Śmiechu warte. Odwróciła się, próbując ukryć twarz, a wtedy zobaczyła, że angielski dżentelmen ją obserwuje. Miał

bardzo dziwny wyraz twarzy, zupełnie jakby obawiał się, że ona będzie płakała – i rzeczywiście łzy popłynęły jej strumieniem. Drobnym ruchem ręki dała nieznanemu do zrozumienia, że to nic. Ale on i tak podszedł.

Podobnie jak przedtem ofiarował jej ramię i pomógł odejść nieco na bok; stała tam ławka, więc Rita usiadła na niej. Kiedy uniosła wzrok, mogłaby przysiąc, że stara prawniczka patrzy na nią i na Anglika. Chociaż nie, Carla stała zbyt daleko, a na dodatek słońce odbijało się w jej okularach. Prawdopodobnie w ogóle ich nie widziała.

Wtedy Anglik wręczywszy Ricie małą, białą karteczkę stwierdził, że chciałby z nią porozmawiać. A niby o czym, pomyślała. Wzięła jednak tę wizytówkę i wsunęła do kieszeni.

Była już późna noc, kiedy ją przypadkowo znalazła. Szukała tekstu modlitwy z pogrzebu. I oto trafiła na małą karteczkę od nieznanego mężczyzny, a na niej widniały, po tych wszystkich latach, te same słowa – Talamasca i Aaron Lightner.

Przez chwilę Rita Mae myślała, że zemdleje na miejscu. Może popełniła wielki błąd. Przejrzała modlitewnik chcąc odszukać starą kartkę, lub to, co z niej zostało. I rzeczywiście, obie były takie same, tyle że na tej nowej Anglik dopisał atramentem nazwę hotelu w mieście, Monteleone, i numer pokoju.

Rita zastała Jerry'ego w kuchni. Siedział przy kuchennym stole i pił.

– Moja droga, nie wolno ci spotkać się z tym mężczyzną. Nie możesz mu niczego mówić o tej rodzinie.

– Ależ, Jerry, ja muszę mu opowiedzieć, co się wtedy wydarzyło, wyjaśnić, że Deirdre starała się z nim skontaktować.

– To było wiele lat temu, Rita Mae. Dziecko Deirdre dorosło. Ona jest lekarką, wiedziałaś o tym? Zostanie chirurgiem, tak mi powiedziano.

– Nic mnie to nie obchodzi, Jerry. – Potem Rita Mae wybuchnęła płaczem. Jednak nawet wylewając łzy, jednocześnie robiła coś dziwnego. Wpatrywała się w wizytówkę, starając się zapamiętać wszystko, co na niej napisano – numer

pokoju hotelowego i telefonu w Londynie.

Przeczucie jej nie myliło. Jerry nagle wziął wizytówkę i wsunął do kieszeni koszuli. Rita nie powiedziała słowa. Po prostu płakała dalej. Jej mąż jest najśłodszym mężczyzną na świecie, ale tego nigdy nie zrozumie.

Teraz Jerry odezwał się:

– To było miłe z twojej strony, że poszłaś na pogrzeb, kotku.

Rita nie wspominała już o Angliku. Nie chciała robić niczego wbrew woli ukochanej osoby. No, a przynajmniej w owej chwili jeszcze nie podjęła decyzji.

– Ale co ta dziewczyna w Kalifornii wie o swojej matce? – zapytała. – To znaczy, czy chociaż zdaje sobie z tego sprawę, że Deirdre nigdy nie chciała jej oddać?

– Musisz przestać się tym zajmować, kochanie.

W życiu Rity nigdy nie zdarzyła się chwila podobna tej w ogrodzie zakonnicy, wiele lat temu – kiedy do jej uszu dotarły słowa Deirdre i tajemniczego mężczyzny, gdy usłyszała, jak dwoje ludzi w taki sposób mówi o miłości. Zmierzch. Naturalnie Rita opowiedziała o tym Jerry’emu, ale ani on, ani nikt inny tego nie rozumiał. Trzeba było tam stać, czuć zapach lilii, widzieć granatowe niebo, które niby witraż prześwituje między konarami drzew.

I pomyśleć tylko, że ta dziewczyna mieszkająca teraz daleko stąd nie wie nawet, jaka była jej prawdziwa matka...

Jerry potrząsnął głową. Nappełnił kieliszek burbonem i jednym haustem wypił prawie połowę.

– Kotku, gdybyś tylko wiedziała o tych ludziach to, co ja.

Jerry zdecydowanie wypił za dużo. Rita to dostrzegła. Jej mąż nie był plotkarzem. Dobry właściciel zakładu pogrzebowego nie powtarza przypadkowo zasłyszanych historii. Teraz jednak zaczął mówić, a ona nie przerywała.

– Kotku – powiedział. – W tej rodzinie Deirdre nie miała żadnych szans. Możesz uznać, że jej los był przesądzony od dnia, kiedy się urodziła. Tak mówił tata.

Jerry chodził jeszcze do szkoły podstawowej, kiedy matka Deirdre, Antha, umarła spadłszy z dachu ganku znajdującego się pod oknem na strychu. Jej czaszka roztrzaskała się na płytach patio. Deirdre była wtedy malutka, podobnie jak Rita Mae. Ale Jerry pracował już dla swojego taty.

– Mówię ci, my zdrapywaliśmy jej mózg z tych płyt. To było okropne. Miała tylko dwadzieścia lat i była taka piękna! Ładniejsza nawet niż później Deirdre. A te drzewa na podwórku. Kotku, to wyglądało tak, jakby huragan rozpętał się jedynie nad tym domem – tak się trzęsły. Nawet sztywne magnolie kładły się i wyginały.

– Tak, widziałam coś podobnego – rzekła Rita, ale po cichutku, żeby on mówił dalej.

– Najgorzej było wtedy, gdy wróciliśmy tutaj i tata przyjrzał się Ancie. Od razu powiedział: „Spójrz na zadrapania wokół oczu. Nie, tych na pewno nie spowodował upadek. Pod tamtym oknem nie było drzew”. A potem tata zobaczył, że jedno z jej oczu zostało wyrwane z oczodołu. O, on wiedział, co robić w takiej sytuacji.

Natychmiast zatelefonował do doktora Fitzroya. Powiedział, że jego zdaniem powinna zostać przeprowadzona sekcja. I nie ustąpił, kiedy Fitzroy się z nim spierał. Wreszcie doktor wyłożył karty na stół: Antha Mayfair dostała szalu i próbowała wydrapać sobie oczy. Panna Carla starała się ją powstrzymać i właśnie wtedy dziewczyna pobiegła na strych. Wypadła, naturalnie, ale kiedy to się zdarzyło, nie była przy zdrowych zmysłach. Carla Mayfair widziała wszystko. I nie ma najmniejszego powodu, żeby ludzie o tym gadali, żeby to się dostało do gazet. Czyż ta rodzina nie miała już dosyć zmartwień, choćby ze Stellą? Doktor Fitzroy poradził Redowi, żeby zadzwonił na plebanię św. Alfonsa i porozmawiał z proboszczem, jeśli nadal nie ma pewności.

– To mi wcale nie wygląda na ranę, którą ona sama sobie zadała – odparł tata. – Ale jeśli pan gotów jest podpisać ten akt zgonu... no cóż, zdaje mi się że zrobiłem, co mogłem. – I nigdy nie było sekcji. Ale tata wiedział, co mówi.

Naturalnie kazał mi przysiąc, że nigdy nie powiem o tym żywej duszy. W owych czasach żyliśmy ze sobą naprawdę blisko i już wtedy byłem dla niego dużą pomocą. Wiedział, że może mi zaufać. Tak jak teraz ja tobie, kochanie”.

– Och, co za okropność – wyszeptała Rita. – Żeby wydrapać sobie oczy...

Miała nadzieję, że Deirdre o tym nie wiedziała.

– Nie usłyszałaś jeszcze wszystkiego – rzekł Jerry, pociągając kolejny łyk burbona. – Kiedy zabraliśmy się do mycia Anthy, zauważyliśmy, że nadal miała na sobie szmaragdowy wisior – ten sam, który teraz nosi Deirdre – ów słynny klejnot Mayfairów. Łańcuszek owinał się wokół jej szyi, a sam kamień w złotej oprawie zaplątał się z tyłu we włosach. Cały był we krwi, odłamkach kości i Bóg jeden wie w czym jeszcze. Nawet tata, chociaż tyle już widział na tym świecie, był wstrząśnięty, kiedy czyścił ten klejnot. Powiedział mi: „To nie pierwszy raz, kiedy zmywam krew z tego naszyjnika”. Poprzednio znalazł go przy Stelli Mayfair, matce Anthy.

Rita przypomniała sobie ten odległy dzień u św. Róży, naszyjnik, który przyjaciółka trzymała w dłoni. I to, jak wiele lat później pan Lonigan pokazywał jej wyryte na grobowcu imię Stelli.

– A Stella to ta, którą zastrzelił brat.

– Tak, i aż strach było słuchać, jak tata o tym opowiada. Stella była wariatką tego pokolenia Mayfairów. Jeszcze przed śmiercią swojej matki napełniła ten stary dom światłami, noc w noc odbywały się tam przyjęcia, płynął nielegalny alkohol, grała muzyka. Bóg jeden wie, co myślały o tym wszystkim Carla, Millie i Belle. Ale kiedy zaczęła sprowadzać do domu mężczyzn, wtedy właśnie Lionel wziął sprawy w swoje ręce i zastrzelił ją. Zazdrość, oto przyczyna. W obecności wszystkich zgromadzonych w salonie powiedział: „Prędzej cię zabiję, niż oddam jemu”.

– Co ty mi opowiadasz – rzekła Rita. – Brat i siostra chodzili razem do łóżka?

Mogło tak być, kotku – odparł Jerry. – Oj, mogło. Nikt nigdy nie znał

imienia ojca Anthy. Niewykluczone, że był nim Lionel, kto go tam wie. Gadano nawet... Ale Stella nie przejmowała się tym, co ludzie sobie myśleli. Mówiono, że kiedy była w ciąży z Anthą, zaprosiła wszystkie przyjaciółki na wielki bal. Ona nigdy nie martwiła się tym, że ma nieślubne dziecko.

– No, to najdziwniejsza rzecz, jaką usłyszałam – wyszeptała Rita Mae. – W tamtych czasach...

– Tak to było, kotku. I nie tylko od taty słyszałem niektóre z tych opowieści. Lionel strzelił Stelli w głowę, a wtedy wszyscy w domu po prostu oszaleli, wybijali okna wiodące na ganki, żeby się stamtąd wydostać. Zupełna panika. A na dodatek mała Antha, która była na górze, zeszła podczas całego tego zamieszania i zobaczyła swoją matkę, leżącą martwą na podłodze w bawialni.

Rita potrząsnęła głową. Co Deirdre powiedziała owego dawno minionego popołudnia? *A oni powiedzieli, że jej matka też umarła młodo, ale nigdy o tym nie rozmawiają.*

– Lionel skończył w kaftanie bezpieczeństwa po tym, jak zastrzelił Stellę. Tata zawsze mawiał, że poczucie winy doprowadziło go do szaleństwa. Wrzeszczał ciągle, że diabeł nie chce go zostawić w spokoju, że jego siostra była czarownicą i nasłała na niego czarta. Wreszcie umarł w konwulsjach, połknął własny język i nie było nikogo, kto by mu pomógł. Kiedy otworzono celę o wyściełanych ścianach, on leżał tam, martwy i już czerniał. Ale przynajmniej wtedy trup przyjechał od koronera elegancko pozszywany. To te zadrapania na twarzy Anthy, dwanaście lat później, zawsze prześladowały tatę.

– Biedna Dee Dee. Z pewnością coś o tym wiedziała.

– Jasne – odparł Jerry. – Dobrze wiesz, że nawet niemowlę z wielu rzeczy zdaje sobie sprawę. A kiedy razem z ojcem zabieraliśmy Anthę, słyszeliśmy, jak Deirdre zawodzi w kołysce, zupełnie jakby czuła, że jej matka nie żyje. I nikt nie brał tego dziecka na ręce, nikt nie pocieszał. Mówię ci, Deirdre urodziła się przeklęta. Nigdy nie miała żadnej szansy wobec tego, co się wyrabia w tej rodzinie. Właśnie dlatego wysłali jej malutką córeczkę na zachód, żeby znalazła



się jak najdalej od tego wszystkiego, i gdybym był na twoim miejscu, kotku, nie mieszałbym się do tego.

Rita pomyślała o ślicznej Ellie Mayfair. Pewnie w tej chwili leci już do San Francisco.

– Ludzie mówią, że ci Kalifornijczycy są bogaci – ciągnął Jerry. – Powiedziała mi to pielęgniarka Deirdre. Ta dziewczyna ma w San Francisco własny jacht, przycumowany tuż przy ganku ich domu na wodzie. Ojciec jest tam ważnym prawnikiem, wredny sukinsyn, ale forsy ma jak lodu. Jeśli nad tą rodziną ciąży klątwa to najmłodsza z Mayfairów jej uniknęła.

– Jerry, przecież ty nie wierzysz w klątwy – rzekła Rita.

– Kotku, zastanów się przez chwilę nad tym szmaragdowym naszyjnikiem. Dwa razy tata zmywał z niego krew. Zawsze wydawało mi się, że sama panna Carlotta sądzi, iż on jest przeklęty. Gdy tata czyścił go po raz pierwszy, wtedy, kiedy zastrzelono Stellę, wiesz, czego domagała się Carla? Chciała, aby ojciec włożył naszyjnik do trumny ze Stellą. Mówił mi o tym więc wiem na pewno. A on nie chciał jednak tego zrobić.

– A, może to cacko nie jest prawdziwe, Jerry?

– Diabła tam! Za ten szmaragd mogłabyś kupić cały ciąg domów w dobrej dzielnicy na ulicy Przy Kanale. Tata dał go do wyceny do Hershmana ze Sklepowej. No i wtedy panna Carlotta mówi mu tak: żądam kategorycznie, aby włożył pan to do trumny z moją siostrą. Wtedy właśnie tata zadzwonił do zaprzyjaźnionego jubilera, a ten powiedział, że naszyjnik jest prawdziwy, bez dwóch zdań, najwspanialszy szmaragd, jaki w życiu oglądał. Nie wiedziałby nawet, na ile go wycenić. Musiałby wysłać taki klejnot do Nowego Jorku, aby tam określono jego wartość jak należy. Dodał też, że podobnie jest z pozostałą biżuterią Mayfairów. Czyścił ją kiedyś dla panny Mary Beth, zanim ta wszystko przekazała Stelli. Hershman stwierdził, że takie klejnoty znajdują się w końcu na wystawie w muzeum.

– No i co Red powiedział panie Carolcie?

– Oznajmił, że nie włoży do skrzynki szmaragdu wartego co najmniej milion dolarów. Wyczyścił go alkoholem i nabył u Hershmana wyłożoną aksamitem szkatułkę, a potem zaniósł go jej. To samo zrobiliśmy wiele lat później, kiedy Antha wypadła przez okno. Wtedy już panna Carla nie kazała nam go zakopać. Nie domagała się też, żeby przeprowadzać uroczystości pogrzebowe w salonie.

– W salonie?

– Tak, tam właśnie ułożyli przedtem Stellę, Rito. Dawniej zawsze tak robiono. Starego Julienu Mayfaira wyniesiono na cmentarz z salonu, podobnie pannę Mary Beth, a to już był rok 1925. Stella kazała się chować dokładnie w taki sam sposób. Zostawiła nawet odpowiedni zapis w testamencie i tak to przeprowadzono. Ale z Anthą nic podobnego nie było. Gdy przynieśliśmy ten naszyjnik z powrotem, pannę Carlę zastaliśmy w salonie; żadne światła się nie paliły. Było bardzo ciemno, bo przecież dom otaczają te stare ganki, drzewa, i tak dalej. Ona zaś siedziała sobie, bujając stojącą obok kołyskę małej Deirdre. Wszedłem wraz z tatą, a on wsunął jej naszyjnik do ręki. I wiesz, co zrobiła? Powiedziała: dziękuję, Redzie Lonigan, a potem odwróciła się i wsadziła tę szkatułkę do kołyski dziecka.

– Ale dlaczego to zrobiła?

– Bo naszyjnik należał do Deirdre, oto dlaczego. Panna Carla nigdy nie miała prawa do żadnego z tych klejnotów. Mary Beth zostawiła je Stelli, ta zapisała je Ancie, która z kolei oddała biżuterię swej jedynej córce Deirdre. Zawsze tak było, one wszystkie przekazywały klejnoty jednej córce.

– No, a jeśli na tym naszyjniku rzeczywiście ciąży klątwa, co wtedy? – rzekła Rita. Boże, pomyśleć tylko, że wisi teraz na szyi „nieuleczalnie chorej” Deirdre. Och, Ricie aż się słabo robiło.

– Jeśli tak, to dom pewnie też jest przeklęty – rzekł Jerry. – Bo klejnoty oddaje się wraz z domem i mnóstwem pieniędzy.

– Zaraz, zaraz, Jerry! Czy to znaczy, że ta cała posiadłość należy do Deirdre?

– Rito, o tym wszyscy wiedza, a ty nie?

– Chcesz powiedzieć, że dom jest jej własnością, a te kobiety mieszkały tam przez cały czas, kiedy ona była zamknięta w zakładzie, a potem przywiozły ją w takim stanie i ona siedzi teraz i...

– No, nie histeryzuj, kotku. Ale właśnie tak jest. Należy do Deirdre, podobnie jak kiedyś do Anthy i do Stelli. A po śmierci Deirdre przejdzie na tę córkę z Kalifornii, chyba że ktoś zdoła zmienić wszystkie te stare dokumenty, ale nie sądzę, żeby coś takiego można było zrobić. Ten zapis pochodzi z bardzo dawnych czasów – wtedy mieli jeszcze plantację, zanim tu przyjechali mieszkali na tych wyspach, no wiesz, na Haiti. Dziedzictwo, tak to nazywają. Pamiętam jak Hershman mówił, że panna Carla, kiedy była jeszcze młodą dziewczyną, zaczęła uczęszczać do szkoły prawniczej, jedynie po to żeby się nauczyć, jak obejść ten zapis. Ale nigdy jej się to nie udało. Jeszcze zanim umarła panna Mary Beth wszyscy wiedzieli, że to Stella jest spadkobierczynią.

– A jeśli ta dziewczyna z Kalifornii o tym nie wie, co wtedy?

– To jest prawo, kotku. A panna Carlotta, cokolwiek by o nie mówić, jest dobrym fachowcem w tej dziedzinie. Poza tym to się wiąże z ich nazwiskiem, Mayfair, które uprawnia do dziedziczenia rodzowego majątku. A ta dziewczyna nazywa się Mayfair. Podobnie jej przybrana matka, Ellie Mayfair, ta, która przyszła tu dzisiaj wpisać się do księgi. One doskonale zdają sobie ze wszystkiego sprawę. Ludzie zawsze wiedzą, kiedy należą im się pieniądze. Poza tym ktoś z krewnych powiedziałby jej o tym; choćby Ryan Mayfair – wnuk Cortlanda, tego, który tak bardzo kochał Deirdre. Był już bardzo stary, kiedy Deirdre musiała oddać dziecko i według tego, co mi mówiono, Cortland ani przez chwilę się na to nie zgadzał, choć nie na wiele się to zdało. Słyszałem, że naprawdę napadł na Carlę w sprawie tego niemowlęcia; mówił, że Deirdre oszaleje, jeśli zabiorą jej dziecko, zaś panna Carlotta odparła, że ona już jest szalona.

Lonigan skończył burbona i napełnił kolejny kieliszek.

– Ale, Jerry, może są inne rzeczy, o których ta dziewczyna z Kalifornii nie

wie? – zapytała Rita. – Dlaczego nie przyjechała tu dzisiaj? Dlaczego nie chciała zobaczyć się z matką?

*Rita Mae, oni chcą zabrać moje dziecko!*

Jerry nie odpowiedział. Oczy miał nabiegłe krwią. Przesadził już z tym burbonem.

– Tata wiedział o tych ludziach o wiele więcej, niż mi kiedykolwiek zdradził – wybełkotał. – Więcej. – Kiedyś dowiedziałem się od niego, że oni mieli prawo zabrać córkę Deirdre i oddać ją Ellie Mayfair, dla jej własnego dobra. Tata powiedział mi coś jeszcze. Ponoć Ellie Mayfair sama nie mogła mieć dzieci, a jej mąż był z tego powodu naprawdę rozczarowany i miał ją już zostawić, kiedy panna Carlotta zadzwoniła i zapytała, czy nie chcieliby wziąć córki Deirdre. „Nie powtarzaj tego Ricie Mae”, poradził mi tata, „ale to było błogosławieństwo dla wszystkich. A stary pan Cortland, świeć Panie nad jego duszą, nie miał racji”.

\* \* \*

Rita Mae wiedziała, co ma zrobić. Nigdy w życiu nie skłamała Jerry’emu. Teraz po prostu postanowiła nic mu nie mówić. Następnego popołudnia zadzwoniła do hotelu Monteleone. Anglik właśnie się wyprowadził! Powiedziano jej jednak, że być może znajdą go jeszcze w hallu.

Rita Mae czekała. Serce waliło jej w piersiach.

– Tu Aaron Lightner. Tak, pani Lonigan. Proszę przyjechać taksówką, ja zapłacę. Będę czekał.

Rita była tak onieśmielona, że jąkała się, a potem wybiegłszy z domu zapomniała wziąć paru rzeczy i musiała po nie wracać. Cieszyła się jednak ze spotkania z Anglikiem. Nawet gdyby Jerry ją wtedy przyłapał i tak by pojechała.

Lightner zabrał ją za róg do baru Desire Oyster, ładnego lokalu z wentylatorami na suficie, wielkimi lustrami i drzwiami wychodzącymi na ulicę

Burbonów. Ricie bar wydał się egzotyczny, jak zresztą wszystko we francuskiej dzielnicy. Prawie nigdy nie miała okazji przyjeżdżać do tej części miasta.

Usiedli przy stoliku z marmurowym blatem, Anglik poprosił o kieliszek białego wina, a Rita skwapliwie zamówiła to samo. Jaki on przystojny! – pomyślała. U takiego mężczyzny wiek nie ma znaczenia; podobał jej się bardziej niż młodsi od niego. Czowała się trochę onieśmielona jego bliskością. A sposób, w jaki zmierzył ją wzrokiem sprawił, że rozrzewniła się zupełnie jakby znów była nastolatką.

– Niech pani opowiada, pani Lonigan – powiedział. – Będę słuchał. Chciała mówić powoli, ale skoro tylko zaczęła, słowa pobiegły same. Wkrótce już płakała, a pan Lightner zapewne nie był w stanie nic zrozumieć z jej opowieści. Wręczyła mu ten stary, pomięty strzępek kartki. Wspomniała o ogłoszeniach, które dawała, i o tym, jak powiedziała Deirdre, że nie mogła go znaleźć.

Potem został jeszcze do powiedzenia ten trudny kawałek.

– Są różne rzeczy, których ta dziewczyna w Kalifornii nie wie! Posiadłość na ulicy Pierwszej będzie należała do niej. Być może prawnicy jej o tym powiedzą, ale co z klątwą, panie Lightner? Zaufałam panu wyjawiając rzeczy, o których mąż zabronił mi wspominać żywej duszy. Ale jeśli kiedyś, dawno temu Deirdre obdarzyła pana zaufaniem, no cóż, to mi wystarczy. Mówię panu, na tych klejnotach i na domu ciąży klątwa.

Wreszcie opowiedziała mu wszystko. Powtórzyła to, co mówił jej Jerry, i to, o czym kiedykolwiek wspominał Red. Przekazała mu każdy szczegół, który zapamiętała.

A co najdziwniejsze, Anglik ani przez chwilę nie wydawał się zaskoczony czy wstrząśnięty. Raz za razem zapewniał ją, że zrobi co w jego mocy, aby dostarczyć te informacje dziewczynie z Kalifornii.

Kiedy wszystko zostało już powiedziane i Rita siedziała wycierając nos, nawet nie tknąwszy białego wina, mężczyzna zapytał, czy zachowa jego wizytówkę i czy zadzwoni do niego, gdyby była jakaś „zmiana” w stanie

Deirdre. W razie jego nieobecności, niech zostawi wiadomość. Ci, którzy odbiorą telefon, zrozumieją. Trzeba tylko powiedzieć, że to w związku z Deirdre Mayfair.

Rita wyciągnęła z torebki modlitewnik.

– Niech mi pan jeszcze raz poda te numery – poprosiła i zapisała słowa: „w związku z Deirdre Mayfair”.

Dopiero kiedy to wszystko zapisała, przyszło jej do głowy pytanie:

– Panie Lightner, jak poznał pan Deirdre?

– To długa historia, pani Lonigan – odparł. – Powiedzmy, że obserwuję tę rodzinę od lat. Mam dwa obrazy namalowane przez ojca Deirdre, Seana Lacy. Jeden z nich to portret Anthy. To Sean właśnie zginął na autostradzie w Nowym Jorku przed urodzeniem Deirdre.

– Zginął na autostradzie? Nie wiedziałam o tym.

– Wątpię, czy ktokolwiek tutaj wie – odrzekł. – To był całkiem dobry malarz. Wykonał piękny portret Anthy z tym słynnym szmaragdowym naszyjnikiem. Znalazłem go przy pomocy nowojorskiego handlarza dzieł sztuki kilka lat po śmierci ich obojga. Deirdre miała w tym czasie pewnie już z dziesięć lat. Nie spotkałem jej, póki nie poszła na studia.

– To osobliwa rzecz, że ojciec Deirdre miał wypadek drogowy – powiedziała Rita. – To samo zdarzyło się jej narzeczonemu. Czy wiedział pan, że miał wypadek na szosie, kiedy jechał do Nowego Orleanu?

Zdawało jej się, że dostrzegła niewielką zmianę w wyrazie twarzy Anglika, ale nie miała pewności. Odniosła wrażenie, jakby jego oczy zwężyły się na sekundę.

– Tak, wiedziałem o tym – powiedział. Zdawał się myśleć o rzeczach, o których nie chciał jej powiedzieć. Potem znów się odezwał. – Pani Lonigan, czy obieca mi coś pani?

– A o co chodzi, panie Lightner?

– Gdyby wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego i ta dziewczyna z

Kalifornii wróciłaby do domu, proszę, niech pani nie próbuje z nią rozmawiać. Niech pani zadzwoni do mnie, bez względu na porę dnia czy nocy. Obiecuję, że przylecę tutaj pierwszym samolotem z Londynu.

– Chodzi panu o to, żebym sama nie opowiadała jej o tym, czyż nie tak?

– Tak – odparł poważnie, po raz pierwszy dotykając jej ręki, ale w bardzo kulturalny sposób. Gest ten wydał się Ricie całkowicie na miejscu. – Niech pani nie chodzi już do tego domu, szczególnie wtedy, gdyby była tam córka Deirdre. Obiecuję pani, że gdybym sam nie mógł przyjechać, wyślę kogoś, kto dobrze zna tę całą historię i dokona tego, na czym nam zależy.

– Och, zdjąłby mi pan kamień z serca – rzekła Rita. Jasne, że nie chciała rozmawiać z tą dziewczyną, zupełnie obcą osobą, i próbować opowiedzieć jej o tych wszystkich sprawach. Ale ni stąd ni zowąd cała ta sytuacja wydała się Ricie dziwna. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać – kim jest ten miły człowiek? Czy popełniła błąd ufając mu?

– Naprawdę może mi pani ufać, Rito – rzekł, zupełnie jakby wiedział, o czym myślała. Niedawno spotkałem córkę Deirdre i wiem, że jest raczej spokojną, choć – no, powiedzmy – groźną osobą. Z pewnością niełatwo będzie z nią rozmawiać, jeśli pani rozumie, co mam na myśli. Mam jednak nadzieję, że uda mi się wytłumaczyć jej parę rzeczy.

No, to brzmiało całkiem rozsądnie.

– Jasne, panie Lightner.

Anglik przyglądał się Ricie z uwagą. Może wiedział, jaki zamęt ma w głowie, jak dziwne wydaje jej się to popołudnie, całe to gadanie o klątwach, zmarłych i tym starym złowróbnym naszyjniku.

– Tak, to wszystko bardzo dziwne – powiedział w końcu.

Rita parsknęła śmiechem.

– Chyba czyta pan w moich myślach.

– Proszę się więcej nie martwić – poradził jej. – Dopilnuję, żeby Rowan Mayfair dowiedziała się, że matka nie chciała jej oddać. Tyle jestem winien

Deirdre, nie sądzi pani? Żałuję, że nie byłem przy niej, kiedy mnie potrzebowała.

No, to Ricie wystarczyło.

Każdej niedzieli po tej rozmowie, będąc na mszy, Rita zaglądała na koniec modlitewnika i spoglądała na numer telefonu w Londynie. Odczytywała słowa: „w związku z Deirdre Mayfair”. Potem zmawiała modlitwę za Deirdre i nie wydawało jej się niewłaściwe, że była to modlitwa za zmarłych; miała wrażenie, że jest odpowiednia w tej sytuacji.

„Niechaj ogarnie ją światłość wiekuista, o Panie, i niech spoczywa w spokoju. Amen”.

\* \* \*

A teraz minęło już ponad dwanaście lat od czasu, kiedy Deirdre zajęła miejsce na ganku, zaś ponad rok, odkąd Anglik przybył i odjechał – i znów była mowa o oddaniu Deirdre do zakładu. To jej własny dom rozpada się stojąc wśród tego smutnego, zarośniętego ogrodu, a oni znowu zamierzają ją zamknąć?!

Może Rita powinna zadzwonić do tego człowieka i poinformować go o tym. Nie miała pojęcia.

– To rozsądne, że oddają ją do zakładu teraz – stwierdził Jerry. – Wkrótce panna Carla całkiem się zestarzeje i już nie będzie mogła podjąć takiej decyzji. A prawda jest taka, no cóż, z niechęcią ci to mówię, kotku, że z Deirdre jest coraz gorzej. Ludzie mówią, że ona umiera.

*Umiera.*

Rita zaczekała, póki Jerry nie poszedł do pracy. Potem zadzwoniła. Wiedziała, że to wyjdzie na rachunku i najprawdopodobniej w końcu będzie musiała coś mężowi powiedzieć. Ale teraz to nie miało znaczenia. Ważne, aby telefonista zrozumiał, że ona chce zadzwonić pod numer aż za oceanem.



Odebrała miła kobieta i rzeczywiście przyjęła na siebie koszt rozmowy, dokładnie tak, jak obiecał Lightner. Z początku Rita nie mogła zrozumieć wszystkiego, ponieważ Angielka mówiła bardzo szybko. Ostatecznie okazało się, że pan Aaron jest w Stanach Zjednoczonych, w San Francisco. Zaraz się z nim skontaktuję. Czy Rita byłaby uprzejma zostawić swój numer?

– Och nie, nie mogę – odparła. – Proszę przekazać mu tylko taką informację: Rita Mae Lonigan dzwoniła „w związku z Deirdre Mayfair”. Czy może pani to zapisać? I jeszcze jedno: Deirdre Mayfair jest bardzo chora, czuje się coraz gorzej. Być może nawet umiera.

Ricie aż zabrakło tchu, kiedy wymawiała te ostatnie słowo, potem niewiele więcej mogła powiedzieć. Kobieta powtórzyła wiadomość. Zadzwoń zaraz do pana Lightnera w hotelu Św. Franciszka w San Francisco. Rita płakała odkładając słuchawkę.

Ten nocy śniła o przyjaciółce, ale po przebudzeniu nie pamiętała nic prócz tego, że była tam Deirdre, panował zmierzch i wiatr kołysał Grzesznikami za klasztorem św. Róży z Limy. Kiedy otworzyła oczy, myślała o wietrze w koronach drzew. Miała w uszach opowieść Jerry’ego o tym, jak to było, kiedy poszli po ciało Anthy. Wspomniała rozszalałe dęby owego okropnego dnia, kiedy wraz z panną Carlą walczyły o karteczkę z napisem „Talamasca”. Wiatr w koronach drzew w ogrodzie za klasztorem Św. Róży z Limy.

Rita wstała i udała się na poranną mszę. Podeszła do ołtarza Błogosławionej Dziewicy i zapaliła świecę. Błagam, niech pan Lightner przyjedzie, modliła się. Błagam, niech porozmawia z córką Deirdre.

A wtedy, podczas modlitwy zdała sobie sprawę, że to nie spadek ją trapił, ani klątwa ciążyąca na pięknym szmaragdowym naszyjniku. Bowiem nie sądziła, że panna Carla ma dość tupetu, aby złamać prawo, niezależnie od swego niedobrego charakteru; a co do klątw, Rita mocno wątpiła w ich istnienie.

Tym, w co wierzyła naprawdę, była miłość, którą w głębi serca czuła do Deirdre Mayfair.

Poza tym tkwiło w niej głębokie przekonanie, że dziecko ma prawo wiedzieć, iż jego matka była kiedyś najśłodszym, najuprzejmiejszym stworzeniem, osobą powszechnie kochaną – piękną dziewczyną, do której wiosną 1957 roku przystojny, elegancki mężczyzna mówił w ogrodzie o zmierzchu: moja ukochana.

Spędził pod prysznicem całe sześć minut, ale wciąż pijany był jak diabli. Potem dwa razy zaciął się brzytwą. Nic poważnego, po prostu wyraźny sygnał, że bardzo ostrożnie musi rozegrać swoje spotkanie z jadącą do niego damą, z tą tajemniczą lekarką, która wyciągnęła go z morza.

Ciotka Viv pomogła mu nałożyć koszulę. Pospiesznie pociągnął jeszcze jeden łyk kawy. Smak wydał mu się okropny, chociaż to była dobra kawa, sam ją zaparzył. Piwo, oto czego pragnął. Bez niego czuł się jak bez powietrza. Jednak opróżnienie kolejnej puszki byłoby już za dużym ryzykiem.

– Ale co będziesz robił w Nowym Orleanie? – zapytała ciotka Viv żałośnie. Jej małe niebieskie oczy były zaczerwienione i wilgotne. Chudymi, sękatymi rękami poprawiła klapy jego kurtki w kolorze khaki. – Na pewno nie potrzebujesz cieplejszego płaszcza?

– Ciociu Viv, jest sierpień, a ja jadę na południe. – Pocałował ją w czoło. – Nie martw się o mnie – dodał. – Świetnie mi idzie.

– Michael, nie rozumiem, dlaczego...

– Ciociu Viv, zadzwonię do ciebie, kiedy tam dotrę, przysięgam. A ty masz ten numer w Pontchartrain, gdybyś chciała wcześniej zostawić mi jakąś wiadomość.

Poprosił o ten sam apartament, który ciotka wynajmowała wiele lat temu, gdy on był jedenastoletnim chłopcem i razem z matką poszli ją odwiedzić – ten wielki pokój ponad aleją Św. Karola, z miniaturowym fortepianem. Tak,

wiedzieli, o który apartament mu chodzi. Owszem, mógł go zająć. Oczywiście, fortepian nadal tam stoi.

Potem linie lotnicze potwierdziły rezerwację: pierwsza klasa, fotel przy przejściu, odlot – szósta rano. Żadnych problemów. Po prostu jeden kawałek układanki za drugim wchodzi na swoje miejsce.

A wszystko to dzięki poczciwemu Morrisowi i doktor Mayfair, która teraz jest już w drodze.

Był wściekły, kiedy po raz pierwszy dowiedział się, że ona jest lekarką.

– A więc stąd ta tajemniczość – powiedział Morrisowi. – Nie robi się kłopotów kolegom po fachu, co? Nie udostępnia się ich telefonów domowych. Wie pan, to powinno być podane do wiadomości publicznej, ja z pewnością...

Ale Morris uciszył go bardzo szybko:

– Michael, ta pani jedzie po ciebie. Wie, że jesteś pijany i porządnie stuknięty. A mimo to zabiera cię do swojego domu w Tiburon i pozwoli ci pełzać po swojej łodzi.

– No dobra – odparł. – Jestem wdzięczny.

– Więc wyłaż z łóżka, weź prysznic i ogól się.

Zrobione! A teraz nic go nie powstrzyma przed tą podróżą, dlatego opuści dom tej pani w Tiburon i pojedzie prosto na lotnisko, gdzie zdrzemnie się na plastikowym krzeselku, czekając na odlot samolotu do Nowego Orleanu.

– Ale, Michael, dlaczego to wszystko robisz? – ciągle dopytywała się ciotka Viv. – Nie jestem w stanie tego zrozumieć.

Na tle oświetlonego korytarza, drobna kobieta odziana w obwisły, niebieski jedwab zdawała się płynąć. Mimo starannie wykonanej fryzury podtrzymywanej szpilkami, pełnej loczków, widać było, że z siwych włosów ciotki Viv pozostały już tylko kosmyki, równie wiotkie jak srebrne nitki, które dawno temu zakładało się na choinkę, nazywając je anielskim włosem.

– Nie zostanę długo, obiecuję – rzekł z czułością. Jednak nagle nawiedziło go złe przeczucie. Był wyraźnie świadom – znów ta swobodna telepatia – że

nigdy już nie będzie mieszkał w tym domu. Nie, to nie może być prawda. To tylko alkohol wrący w jego wnętrzu, doprowadzający go do pasji, przy tym miesiące prawdziwego odosobnienia – no, to dosyć, aby człowiek oszalał. Pocałował ciotkę w miękki policzek.

– Muszę przejrzeć bagaż – powiedział. Raz jeszcze ryknął kawy. Czuł się coraz lepiej. Ostrożnie wytarł swe okulary w rogowych oprawkach, nałożył je z powrotem, sprawdził, czy zapasowa para tkwi w kieszeni kurtki.

– Zapakowałam wszystko – powiedziała ciotka Viv lekko potrząsnąwszy głową. Stała obok niego nad otwartą walizką, wskazując sękatym palcem porządnie poskładane ubrania. – Twoje lekkie garnitury, oba, przybory do golenia. Och, i płaszcz przeciwdeszczowy. Nie zapomnij o płaszczu, Michael. W Nowym Orleanie ciągle pada.

– Mam go, ciociu Vic, nie martw się. – Zamknął walizkę i zatrzasnął zamki. Nawet nie zwracał sobie głowy przypominaniem jej, że płaszcz został zniszczony, bo w nim właśnie utonął. Słynnego Burberry szyto może z myślą o okopach, ale nie o tonięciu. Wełniana podszewka jest do niczego.

Przesunął grzebieniem po włosach, z niechęcią znosząc dotyki rękawic. Nie wyglądał na pijanego, chyba że był zbyt zamroczony alkoholem, aby to zobaczyć. Zerknął na kawę: Wypij resztę, idioto! Ta kobieta przyjeżdża do twojego domu tylko po to, aby udobruchać narwańca. Możesz się przynajmniej postarać, żeby nie spaść z własnych frontowych schodów.

– Czy to dzwonek do drzwi? – Michael podniósł walizkę. Tak, jest gotów, zupełnie gotów, aby opuścić ten dom.

A potem raz jeszcze złe przeczucie, a może przebłysk intuicji? Rozejrzał się po pokoju – tapeta w paski, błyszcząca stolarka, którą on sam tak cierpliwie oskrobał, a później pomalował, nieduży kominek własnoręcznie wyłożony hiszpańskimi płytkami. Nigdy już nie będzie się tym wszystkim cieszył. Nigdy już nie położy się w tym mosiężnym łóżku, nie spojrzy zza zasłon z surowego jedwabiu na odległe, widmowe światła miasta.

Smutek ołowiem zaciążył mu na sercu; ogarnął go nastrój żałoby. W istocie był to ten sam żal, jaki odczuwał po śmierci swoich bliskich.

Ciotka Viv pospieszyła korytarzem; boleśnie napuchłe kostki, ręka, która przez chwilę błędziła, potem znalazła przycisk domofonu i naciskała go mocno.

– Czym mogę służyć?

– Tu Rowan Mayfair. Przyjechałam zobaczyć się z Michaeliem Curry.

Boże, to się naprawdę dzieje. Michael raz jeszcze powraca do świata żywych.

– Już schodzę – powiedział.

– Nie idź ze mną aż na dół, ciociu Viv. – Pocałował ją raz jeszcze. Gdyby tylko mógł pozbyć się tego przeczucia. Co się z nią stanie, gdyby jemu coś się przytrafiło? – Wrócę niedługo, obiecuję.

Impulsywnie przytulił ciotkę mocno na kilka chwil, zanim wreszcie ją puścił.

Potem pogwizdując zbiegał po dwu kondygnacjach schodów; jak dobrze znowu się ruszać, być w drodze. Mało brakowało, a otworzyłby drzwi nie sprawdzając, czy nie ma reporterów; jednak w ostatniej chwili zatrzymał się i wyjrzał przez mały, okrągły, szlifowany kryształ umieszczony w środku prostokątnego witraża.

U stóp schodów stała, patrząc wzdłuż ulicy, kobieta-gazela, odwrócona do niego profilem. Miała długie nogi w niebieskich dzinsach i falujące jasne włosy uczesane na pazia, które poruszały się delikatnie przy zagłębieniu policzka.

Wydawała się młoda i świeża; bezwiedna kusicielka w dobrze dopasowanej, zwężającej się ku dołowi, granatowej marynarskiej kurtce i w swetrze z kołnierzem zawiniętym przy szyi.

Nikt nie musiał mu mówić, że to jest doktor Mayfair. Niespodziewane ciepło zbudziło się w jego łądźwiach i oblało całe ciało, powodując, że twarz zaczęła go palić. Wydałaby mu się pojętna i interesująca niezależnie od tego, gdzie by ją zobaczył. Ale świadomość, że to ONA WŁAŚNIE, przytłoczyła go. Był wdzięczny losowi, że dziewczyna nie patrzy na drzwi i nie widzi jego cienia za

szkłem.

Oto kobieta, która sprowadziła mnie z powrotem, pomyślał całkiem dosłownie, pełen nieokreślonego podniecenia z powodu narastającego ciepła i surowego poczucia uległości zmieszanego z nieomal brutalnym pragnieniem dotknięcia, poznania, być może posiadania. Szczegóły akcji ratunkowej opisywano mu wiele razy – sztuczne oddychanie metodą usta usta, na przemian z masażem serca. Teraz myślał o jej dłoniach na swoim ciele, o jej wargach przylegających do jego warg. Jakie to brutalne, że po chwili tak intymnej rozdzielono ich na tak długo. Znow poczuł niechęć. Ale to nie miało znaczenia.

Nawet w profilu dostrzegał niewyraźnie wcześniej zapamiętaną twarz, o napiętej skórze i subtelnej urodzie, o głęboko osadzonych, blado jaśniejących szarych oczach.

I jak kusząca wydawała mu się jej postawa, tak szczerze niedbała, wręcz męska – sposób, w jaki opierała się o słupek, jedną stopę postawiwszy na najniższym schodku.

Ogarniające go uczucie bezradności stawało się w dziwny i zaskakujący sposób coraz ostrzejsze, przy czym równie mocno zaznaczyło się pragnienie zdobycia. Nie było czasu, aby analizować te doznania i szczerze mówiąc nie miał na to ochoty. Wiedział, że niespodziewanie poczuł się szczęśliwy, po raz pierwszy od czasu wypadku.

Przypomniał sobie powiew piekącego morskiego wiatru, światła bijące prosto w twarz, ludzi ze straży nadbrzeżnej schodzących po – drabinie niby aniołowie z mglistego nieba. *Nie, nie pozwól im mnie zabrać!* I jej głos tuż przy nim: „Wszystko będzie dobrze”.

Tak, wyjdź na zewnątrz. Porozmawiaj z nią. Nigdy nie zbliżysz się bardziej do tamtej chwili; oto twoja szansa. A jakże słodkie było to uczucie fizycznego przyciągania, to wrażenie, że stoi nagi w jej obecności. Zupełnie jakby niewidzialna dłoń odsuwała suwak jego spodni.

Szybko rozejrzał się po ulicy. Nie było nikogo oprócz samotnego mężczyzny

stojącego w bramie, od którego doktor Mayfair nie odrywał oczu. A ten siwowłosy facet w trzyczęściowym tweedowym garniturze, ściskający parasol, jakby był laską, zupełnie nie wyglądał na reportera.

Jednak sposób, w jaki młoda kobieta nieprzerwanie przyglądała się temu człowiekowi, wydawał się Michaelowi dość dziwny; starszy jegomość również osobliwie spoglądał na doktor Mayfair. Oboje zaś stali nieruchomo, lecz swobodnie, zupełnie tak jakby ich zachowanie było całkowicie normalne.

Michael przypomniał sobie coś, co ciotka Viv powiedziała wiele godzin temu, o człowieku, który przyjechał aż z Londynu, żeby się z nim zobaczyć. A ten mężczyzna z pewnością wyglądał na wyspiarza i to bardzo pechowego, który odbył długą podróż na próżno.

Michael nacisnął klamkę. Anglik nie ruszył do przodu, choć spoglądał teraz na Curry'ego również badawczo jak przedtem na doktor Mayfair. Michael wyszedł na schody i zamknął drzwi.

W jednej chwili zupełnie zapomniał o Angliku. Doktor Mayfair odwróciła się i śliczny uśmiech rozpromienił jej twarz. Michael natychmiast rozpoznał pięknie zarysowane, popielate brwi i gęste, ciemne rzęsy, przy których jej szare oczy zdawały się jeszcze jaśniejsze.

– Pan Curry – powiedziała głębokim, zmysłowym i absolutnie wspaniałym głosem. – A więc spotykamy się znowu.

Wyciągnęła rękę na powitanie, kiedy Michael schodził ku niej po schodkach. Sposób, w jaki mierzyła go wzrokiem od stóp do głów, również wydawał się zupełnie naturalny.

– Doktor Mayfair, dziękuję, że pani przyjechała – powiedział, ściskając jej dłoń, potem puszczając ją natychmiast, wstydząc się swoich rękawic. – Wskrzesała mnie pani raz jeszcze. Umierałem tam, w tym pokoju na górze.

– Wiem – rzekła. – A tę walizkę zabrał pan, bo zakochamy się w sobie i odtąd będzie pan ze mną mieszkał?

Zaśmiał się. Zmysłowy głos był cechą, którą u kobiet uwielbiał, tak rzadką, a



zawsze magiczną. Jednak akurat tej drobnej, choć istotnej właściwości Michael nie zapamiętał z łodzi.

– Och, nie, przykro mi, doktor Mayfair – odrzekł. – To znaczy ja... po spotkaniu chcę szybko dostać się na lotnisko. O szóstej odlatuje mój samolot do Nowego Orleanu. Muszę tam się udać. Planowałem wziąć taksówkę, z miejsca, do którego jedziemy, bo jeśli wrócę tutaj...

I znowu to przeczucie: nigdy nie będę już mieszkał w tym domu. Michael zerknął w górę na wysokie wykuszowe okna, na imbirową stolarkę, tak pieczołowicie restaurowaną. Odniósł wrażenie, że ta wąska, ponura budowla, o oknach jaśniejących bladym światłem bezbarwnego wieczora, nie jest już jego domem.

Przez chwilę poczuł się niepewnie, jakby uniknęła mu istota wypowiedzi.

– Przepraszam – wyszeptał.

Rzeczywiście stracił wątek. Mógłby przysiąc, że jest właśnie w Nowym Orleanie. Kręciło mu się w głowie. Znalazł się w samym środku jakiejś tajemnicy. Panowała tam wielka i słodka intensywność. A teraz została tylko wilgoć, ciężkie, niskie niebo i wyraźna świadomość, że lata oczekiwania dobiegły końca, że coś, na co go przygotowywano, ma się właśnie rozpocząć.

Zdał sobie sprawę, że przypatruje się doktor Mayfair, która prawie dorównywała mu wzrostem. Obserwowała go pilnie, choć w całkowicie bezosobowy sposób. Wyglądało to tak, jakby patrzenie na niego sprawiało jej przyjemność, jakby wydawał jej się przystojny lub interesujący – a może i to, i to. Uśmiechnął się, bo nagle i on zaczął się rozkoszować widokiem tej pięknej kobiety. Cieszył się, o wiele bardziej niż odważyłby się jej wyznać, że do niego przyjechała.

Wzięła go za rękę.

– Chodźmy, panie Curry – powiedziała. Odwróciła się na wystarczająco długi moment, aby spojrzeć powoli i nieco twardo na stojącego w oddali Anglika, a potem pociągnęła Curry'ego za sobą w kierunku ciemnozielonego

jaguara sedana. Otworzywszy drzwiczki wzięła od Michaela walizkę zanim nawet przyszło mu na myśl, żeby zaproponować. Wrzuciła ją na tylne siedzenie.

– Niech pan wsiada – powiedziała.

Skóra w kolorze karmelu. Piękna, staromodna, drewniana deska rozdzielcza. Michael zerknął w tył. Anglik nadal patrzył.

– To dziwne – powiedział.

Dziewczyna wsadziła kluczyk do stacyjki jeszcze zanim drzwi się zamknęły.

– Co takiego? Pan go zna?

– Nie, ale sądzę, że to Anglik. Przyjechał tutaj, aby się ze mną zobaczyć... a nawet nie drgnął, kiedy wyszedłem.

Zaskoczyło ją to. Wydawała się zdumiona, mimo to mocno nacisnęła pedał gazu; samochód wyrwał z miejsca i wykonał nieomal niemożliwy skręt o 180 stopni. Przejeżdżając obok tajemniczego mężczyzny, doktor Mayfair rzuciła mu kolejne znaczące spojrzenie.

Raz jeszcze Michael poczuł, jak budzi się w nim namiętność. Sposób, w jaki prowadziła wóz, dowodził jej ogromnej, niepoprawnej gwałtowności. Z przyjemnością spoglądał na jej smukłe dłonie spoczywające na dźwigni biegów i na małej, obciążonej skórą kierownicy. Dwurzędowa kurtka opinała ją ściśle, a gęsta grzywa jasnych włosów zakrywała prawe oko.

– Mogłabym przysiąc, że już kiedyś widziałam tego człowieka – mruknęła pod nosem.

Zaśmiał się, nie z tego, co właśnie powiedziała, lecz ze sposobu, w jaki prowadziła samochód. Z prędkością błyskawicy skręciła i popędziła ulicą Castro poprzez niesioną wiatrem mgłę.

Michael czuł się trochę jak na górskiej kolejce w lunaparku. Zapiął pas, bo inaczej mógłby wylecieć przez przednią szybę. Kiedy pędem mijała pierwszy znak stopu, poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Na pewno chce pan lecieć do Nowego Orleanu, panie Curry? – zapytała. – Sądząc z wyglądu nie da pan rady. O której godzinie jest ten samolot?

– W Nowym Orleanie jest mój dom. Muszę tam być jutro – odparł. – Przykro mi. Wiem, że to brzmi bezsensownie. Ale to wszystko przez te odczucia. One zjawiają się przypadkowo. Opanowują mnie. Myślałem, że tylko dotyk je wyzwała, ale tak nie jest. Słyszała pani o moich rękach, doktor Mayfair? Mam całkowicie stargane nerwy. Proszę mnie posłuchać. Chciałbym, żeby pani coś dla mnie zrobiła. Tu niedaleko jest sklep monopolowy, na lewo, tuż za Osiemnastą, czy mogłaby pani tam podjechać?

– Panie Curry...

– Doktor Mayfair, ja zaraz zwymiotuję w pani wspaniałym samochodzie.

Zatrzymała się przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Na Castro roiły się tłumy, jak to zwykle w piątkowy wieczór; oświetlone drzwi barów otwarte na zewnątrz nadawały spowitej mgłą ulicy całkiem wesoły wygląd.

– Niedobrze panu, tak? – zapytała. Położyła mu rękę na ramieniu, ciężko i spokojnie. Czy wyczuła falę podniecenia, jaka przez niego przepłynęła? – Jeśli będzie pan pijany, nie wpuszczą pana do samolotu.

– Wysokie puszki – powiedział. – Miller. Sześć opakowań. Będę pił po trochu. Proszę?

– A ja mam wejść tam i zdobyć dla pana tę truciznę? – zaśmiała się, ale był to śmiech łagodny, nie szyderczy. Jej głęboki głos brzmiał miękko i łagodnie, a oczy, w świetle neonowych lamp, były wielkie i idealnie szare, jak woda w oceanie.

On jednak za chwilę mógł umrzeć.

– Nie, naturalnie, że pani tam nie wejdzie – odparł. – Ja to zrobię. Nie mam pojęcia, co mi przyszło do głowy. – Zerknął na skórzane rękawice. – Chowałem się przed ludźmi, ciotka Viv wszystko dla mnie załatwiała. Przepraszam.

– Miller, sześć wysokich puszek – powiedziała, wysiadając z wozu.

– No, dwanaście.

– Co to, to nie!

– Doktor Mayfair, jest dopiero jedenasta trzydzieści, a samolot nie odleci

przed szóstą. – Zaczął przetrząsać kieszenie szukając portfela.

Gestem powstrzymała go i ruszyła przez ulicę, zgrabnie omijając taksówkę. Potem zniknęła w sklepie.

Boże, ależ ja mam tupet, żeby ją o to prosić, pomyślał, pokonany. Zaczęliśmy okropnie... ale może to niezupełnie tak, przecież jest dla niego taka miła, a to oznacza, że jeszcze wszystkiego nie zniszczył. Już czuł w ustach smak piwa. Wiedział, że nic innego nie uspokoi jego żołądka.

Dudniąca muzyka z pobliskich barów nagle wydała mu się za głośna, kolory na ulicy zbyt jaskrawe. Miał wrażenie, że młodzi przechodnie za bardzo zbliżają się do samochodu. Oto, jaki jest efekt trzyipółmiesięcznego osamotnienia, pomyślał. Zachowujesz się jak facet wypuszczony z celi.

Przecież nawet nie miał pojęcia, jaki dziś dzień miesiąca. Wiedział tylko, że to musi być piątek, bo jego samolot odlatuje w sobotę o szóstej rano. Zastanawiał się, czy może zapalić w tym samochodzie.

Otworzył paczkę, jak tylko doktor Mayfair położyła mu ją na kolanach.

– Za trzymanie otwartej puszki piwa w samochodzie płaci się pięćdziesiąt dolarów mandatu – powiedziała, wjeżdżając na ulicę.

– Tak, jasne, jeśli nas złapią, ja zapłacę. – Pierwszym łykiem wypił chyba połowę zawartości puszki. A potem, przez chwilę, było mu lepiej.

Minęła szerokie sześciopasmowe skrzyżowanie przy Targowej, wykonała niedozwolony skręt w lewo w Siedemnastą, a potem ruszyła w górę.

– Piwo tłumi wrażenia, czy o to chodzi? – zapytała.

– Nie, nic ich nie tłumi – odparł. – One nadchodzą zewsząd, zawsze i wszędzie.

– Czy i ode mnie?

– No, nie. Ale, widzi pani, ja chcę być z panią. – Pociągnął następny łyk, wysunawszy rękę do przodu, aby oprzeć się o deskę rozdzielczą, kiedy ona skręcała w dół w stronę Haight. – Z natury nie lubię się skarżyć, doktor Mayfair – ciągnął. – Chodzi mi tylko o to, że od czasu wypadku pędzę życie bez żadnej

warstwy ochronnej. Nie jestem w stanie się skoncentrować. Nie mogę nawet czytać ani spać.

– Rozumiem, panie Curry. Kiedy dojedziemy do domu, może pan pójść na łódź i robić to, na co ma pan ochotę. Ale byłabym bardzo zadowolona, gdybym mogła zrobić panu coś do jedzenia.

– Nie, dziękuję, doktor Mayfair. Pani pozwoli, że o coś zapytam: do jakiego stopnia martwy byłem, kiedy mnie pani znalazła?

– Całkowita śmierć kliniczna, panie Curry. Żadnych widocznych oznak życia. Bez lekarskiej interwencji wkrótce rozpocząłby się nieodwołalny proces śmierci fizycznej. Nie dostał pan mojego listu, prawda?

– Pisała pani do mnie?

– Powinnam była przyjść do szpitala – odrzekła.

Prowadzi samochód jak kierowca wyścigowy, pomyślał; wykorzystując każdy bieg do tego stopnia, że silnik wył już, kiedy wrzucała następny.

– Ale niczego pani wtedy nie powiedziałem, nieprawda? Tak przynajmniej mówił mi doktor Morris po rozmowie z panią...

– Wypowiedział pan, a raczej wymamrotał jakieś słowo, może było to imię. Nie słyszałam sylab. Jedynie dźwięk brzmiący jak i...

– Jak i... – Reszta jej słów zatonąła w wielkiej ciszy. Michael opadał. Z jednej strony wiedział, że siedzi w samochodzie, że ona mówi do niego, że przejechali aleję Lincolna i przemykają się przez park Złote Wrota w stronę przejazdu przy parku Presidio, ale tak naprawdę nie było go tam. Przebywał na skraju przestrzeni snów, gdzie słowo zaczynające się na „l” oznaczało coś o kluczowym znaczeniu, coś niezmiernie skomplikowanego, a jednak znanego. Otoczył go tłum istot, które zbliżały się do niego, gotowe przemówić. Brama...

Potrząsnął głową. Skoncentruj się. Ale wszystko już się rozmywało. Poczuł, jak ogarnia go panika.

Kiedy zatrzymała się na czerwonych światłach przy ulicy Geary’ego, Michaela aż rzuciło w tył na skórzane siedzenie.

– Nie operuje pani ludzkich mózgów tak samo, jak prowadzi pani samochód, prawda? – zapytał. Cała jego twarz płonęła.

– Owszem, jeśli o to chodzi, tak to właśnie robię – odparła. Z przejścia ruszyła jednak nieco wolniej.

– Przepraszam – powiedział raz jeszcze. – Od czasu, kiedy to się wydarzyło, nieustannie muszę wszystkich za coś przeproszać. Prowadzi pani samochód bez zarzutu. To mój problem. Przed tym wypadkiem byłem... kimś zwyczajnym. Wie pani, byłem jednym z tych szczęśliwych ludzi...

Czy kiwnęła głową?

Kiedy na nią spojrział, sprawiała wrażenie roztargnionej, zatopionej we własnych myślach. Zwolniła, kiedy zbliżali się do roгатki.

Nad mostem wisiała mgła tak gęsta, że ruch uliczny zdawał się w nim rozplýwać.

– Chce pan ze mną porozmawiać? – zapytała, nie odrywając oczu od znikających przed nimi pojazdów. Wyciągnęła z kurtki banknot dolarowy i wręczyła go strażnikowi przy roгатce. – Chce mi pan opowiedzieć, co się wtedy wydarzyło?

Westchnął. Zadanie wydawało się niemożliwe. Jednak najgorsze było to, że gdyby raz rozpoczął, nie mógłby się zatrzymać.

– Ręce, wie pani – widzę różne rzeczy, kiedy dotykam przedmiotów, ale wizje...

– Proszę mi o nich dokładnie opowiedzieć.

– Ja wiem, co pani – neurolog, myśli na ten temat. Dla pani to pewnie jakieś zaburzenia w płatach skroniowych, czy inne takie bzdury.

– Nie, nieprawda – odparła.

Jechała szybciej. Wielka, brzydka sylwetka ciężarówki ukazała się przed nimi; jej tylne światła płonęły niby latarnie morskie. Rowan zajęła bezpieczne miejsce z tyłu, przyspieszając do osiemdziesięciu, aby utrzymać to samo tempo.

Michael dokończył piwo trzema szybkimi łykami, wepchnął puszkę do

torby, potem zdjął rękawicę. Zjechali już z mostu i, jak to często bywa, mgła zniknęła jak zaczarowana. Czyste, jasne niebo zdumiało go. Ciemne wzgórza wznosiły się niby ramiona, które popychały ich, kiedy wspinali się na Waldo Grade.

Michael zerknął na swoją dłoń. Wydawała się nieapetycznie wilgotna i pomarszczona. Kiedy potarł palcami jednej ręki o palce drugiej, przemknęło przez niego odczucie, które sprawiło mu nieokreśloną przyjemność.

Jechali teraz dziewięćdziesiąt na godzinę. Michael sięgnął po dłoń doktor Mayfair. Jej rozluźnione, długie, blade palce spoczywały na dźwigni biegów.

Nie poruszyła się, aby mu się oprzeć. Zerknęła na niego, potem, kiedy wjeżdżali do tunelu, przeniosła wzrok z powrotem na jadące przed nimi pojazdy. Michael zdjął jej rękę z drążka i wcisnął kciuk w nagą dłoń.

Otoczył go miękki, szemrzący odgłos; jego wzrok nagle się zaćmił. Było to tak, jakby jej ciało się rozplynęło, a potem otoczyło go wirującą chmurą cząstek. *Rowan*. Przez chwilę bał się, że zjeżdżają z szosy. Ale przecież to on, nie ona, podlega temu złudzeniu; to on czuł jej wilgotną, ciepłą rękę, i bijący puls, który poprzez tę rękę do niego docierał... Miał wrażenie, jakby znajdował się w samym jądrze ogromnej, lekkiej istności, która otoczyła go i pieściła całego niczym padający śnieg. Podniecenie erotyczne było tak intensywne, że nie mógł zrobić nic, aby je pohamować.

Potem w nagłym rozbłysku wszystko zniknęło, a on znalazł się w kuchni, oszalałym, nowoczesnym pomieszczeniu pełnym błyszczących gadżetów i urządzeń, gdzie na podłodze leżał umierający człowiek. Kłótnia, krzyki; ale to już było coś, co wydarzyło się przed chwilą. Okresy czasu nasuwały się na siebie, wpadały jeden na drugi. Nie było góry ani dołu, prawej ani lewej strony. Michael znajdował się w samym środku tego wszystkiego. *Rowan*, ze swoją słuchawką, klęczała przy konającym mężczyźnie. *Nienawidzę cię*. Zamknęła oczy, wyciągnęła z uszu słuchawki stetoskopu. Nie mogła uwierzyć swemu szczęściu, że on umiera.

Potem wszystko się urwało. Ruch uliczny zwalniał. Rowan wyrwała rękę z uścisku Michaela i zmieniła biegi mocnym, sprawnym ruchem.

Sposób, w jaki podróżowali, przypominał mu jazdę na łyżwach; skręcali w prawo, i znów w prawo; ale to nie miało znaczenia. Przeczucie niebezpieczeństwa było jedynie złudzeniem, a teraz objawiły mu się fakty – zupełnie tak jakby zawsze je znał, podobnie jak swój adres, numer telefonu, datę urodzenia.

To był jej przybrany ojciec, a ona pogardzała nim, bo niczym się od niego nie różniła. Tak samo zdecydowana, z gruntu nieżyczliwa i nieczuła. Jej życie opierało się na wysiłkach, aby nie być podobną do niego, ale do przybranej matki, swobodnej, sentymentalnej istoty z wielkim poczuciem smaku, kobiety kochanej przez wszystkich i nie szanowanej przez nikogo.

– A więc co pan zobaczył? – zapytała. Jej twarz skąpana w świetle mijanych lamp wydawała się cudownie gładka.

– Nie wie pani? – odparł. – Boże, wolałbym, żeby ta moc mnie opuściła. Żałuję, że w ogóle kiedykolwiek coś takiego odczuwałem. Nie chcę wiedzieć o ludziach tego wszystkiego.

– Proszę powiedzieć, co pan zobaczył.

– On umarł na podłodze. Pani była zadowolona. Nie rozwiódł się z nią. Nigdy się nie dowiedziała, że zamierzał to zrobić. Miał metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, urodził się w San Rafael w Kalifornii, a ten samochód należał do niego – I skąd się brała ta wiedza? A on mógłby ciągnąć dalej; już przy pierwszym spotkaniu mógł powiedzieć jej tak wiele, gdyby tylko chciał. – Oto, co zobaczyłem. Czy to ma dla pani jakieś znaczenie? Dlaczego chciała pani, abym to zobaczył – oto o co powinienem teraz spytać. Cóż za pożytek z tego, że wiem, iż to była pani kuchnia i że kiedy wróciła pani ze szpitala, dokąd go zabrano i zarejestrowano, co było zupełną głupotą, bo przybył tam już jako trup, pani usiadła i zjadła jedzenie, które on ugotował, zanim umarł.

Milczenie. Potem ona wyszeptała:



– Byłam głodna.

Michael trząśnięty całym. Otworzył kolejne piwo. Rozkoszny zapach słoju wypełnił wóz.

– A teraz niezbyt mnie pani lubi, prawda? – zapytał.

Nie zareagowała. Obserwowała ruch uliczny.

Michaela oślepiały padające na niego światła jadących z naprzeciwka samochodów. Dzięki Bogu skręcili już z autostrady w wąską drogę, która prowadziła do Tiburon.

– Bardzo pana lubię – odparła wreszcie. Jej głos był cichy, pieszczotliwy, zmysłowy.

– Cieszę się – odparł. – Naprawdę bałem się... po prostu się cieszę. Nie wiem, dlaczego mówiłem o tym wszystkim...

– Zapytałam pana, co pan zobaczył – odparła prosto.

Zaśmiał się i przechylił puszkę.

– Prawie jesteśmy w domu – rzekła. – Może by pan przyhamował z tym piwem? Lekarz pana prosi.

Pociągnął kolejny głęboki łyk. Znów ta kuchnia, zapach pieczeni w piekarniku, otwarte czerwone wino, dwa kieliszki.

*...to zabrzmiało brutalnie, ale nie ma absolutnie żadnego powodu, abym był świadkiem jej agonii, a jeśli ty postanowiłaś zostać i przyglądać się, jak ta kobieta umiera na raka, no cóż, w takiej sytuacji powinnaś zapytać samą siebie, dlaczego chcesz być świadkiem czegoś podobnego, dlaczego uwielbiasz tego rodzaju cierpienia. Coś właściwie jest z tobą nie w porządku, że...*

*Nie wciskaj mi tego kitu – nie mnie!*

Tu chodzi o coś więcej, jeszcze więcej. I żeby to zobaczyć wystarczy tylko, abyś o tym myślał. *Dałem ci wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłaś, Rowan. Wiesz, że to ty trzymałaś nas razem. Odszedłbym, gdyby nie ty. Czy Ellie kiedykolwiek ci to wyjaśniła? Okłamała mnie. Powiedziała, że może mieć dzieci, chociaż wiedziała, że to nieprawda. Spakowałbym manatki już dawno temu,*

*gdyby nie ty.*

Skręcili w prawo, chyba na zachód, w ciemną zadrzewioną ulicę, która wspinała się na wzgórze, a potem biegła w dół. Znów błysnęło mu ogromne, czyste, ciemne niebo, pełne dalekich gwiazd. Na północy, za czarną zatoką, dostrzegął szeroki i prześliczny krajobraz Sausalito, które ciągnęło się w dół na zboczach wzgórz aż do swojej małej, zatłoczonej zatoczki. Rowan nie musiała mu mówić, że są prawie na miejscu.

– Czy mogę panią o coś zapytać, doktor Mayfair?

– Tak?

– Czy pani... boi się, że zrobi mi krzywdę?

– Skąd to pytanie?

– Przyszła mi właśnie do głowy bardzo dziwna myśl, że pani usiłuje... teraz niedawno, kiedy trzymałem pani dłoń... przesłać mi ostrzeżenie.

Nie odpowiedziała. Wiedział, że ta wypowiedź nią wstrząsnęła.

Zjechali na dół, w ulicę biegnącą nad brzegiem oceanu. Nieduże trawniki, spadziste dachy ledwo widoczne z za wysokich ogrodzeń. Cyprysy z Monterey okrutnie poskręcane przez nieubłagane zachodnie wiatry. Enklawa milionerów. Prawie nigdy nie widywał takich wspaniałych, nowoczesnych domostw.

Zapach wody dochodził tu do niego jeszcze wyraźniej niż na moście Złote Wrota.

Samochód wtoczył się na brukowany podjazd. Rowan zgasła silnik. Reflektory samochodu oświetliły wielką, podwójną bramę z drzewa sekwoi. Potem zgasły. Dom za bramą widoczny był jedynie jako ciemna plama na jaśniejszym niebie.

– Ja czegoś od pana chcę – powiedziała. Siedziała spokojnie, patrząc przed siebie. Kiedy schylała głowę, jej włosy opadły kryjąc profil.

– No, jestem pani coś winien – odparł bez wahania i jednym haustem wypił dużą ilość pianistego piwa. – Co mogę dla pani zrobić? – zapytał. – Mam tam wejść, położyć dłonie na kuchennej podłodze i powiedzieć, co się zdarzyło,

kiedy on umierał, co go właściwie zabiło?

Kolejny wstrząs. Cisza w ciemnej kabinie samochodu. Michael był znów wyraźnie świadom bliskości pięknej kobiety, słodkiego czystego zapachu jej skóry. Zwróciła ku niemu twarz. Zza gałęzi drzewa światło ulicznej lampy padało pod postacią żółtych plam. Na początku myślał, że spuściła, może nawet przymknęła oczy. Potem zorientował się, że są otwarte i wlepione w niego.

– Dokładnie tak – odparła. – Właśnie tego chcę.

– W porządku – odparł. – To pech, że coś podobnego wydarzyło się w trakcie takiej kłótni. Pewnie winiła pani siebie.

Jej kolano otarło się o nogę Michaela. Znowu dreszcz.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Nie może pani znieść myśli, że mogłaby kogoś skrzywdzić – odparł.

– To naiwne.

– Może jestem stuknięty, pani doktor, ale na pewno nie naiwny – zaśmiał się.

– Dzieciom z rodziny Currych obca była ta cecha. – Jednym długim łykiem wychylił resztkę piwa z puszkii. Zorientował się, że patrzy na bladą smugę światła na jej podbródku, na jedwabiste, kręcone włosy. Jej dolna warga wydawała się pełna i miękka; tak rozkosznie byłoby ją całować...

– Wobec tego mogę to nazwać niewinnością, jeśli pan chce – powiedziała.

Wyśmiał to nie odpowiedziawszy. Gdyby tylko wiedziała, co chodziło mu po głowie, kiedy patrzył na jej usta, jej słodkie pełne wargi.

– A odpowiedź na to pytanie brzmi: tak – rzekła i wysiadła z samochodu.

Otworzył drzwiczki i wstał.

– Na jakie pytanie, u diabła? – zapytał rumieniąc się. Wyciągnęła jego walizkę z tylnego siedzenia.

– O, pan wie – odparła.

– Ależ skąd!

Wzruszyła ramionami, po czym skierowała się w stronę bramy.

– Chciał pan wiedzieć, czy poszłabym z panem do łóżka. Odpowiedź brzmi:

tak.

Dogonił ją, kiedy przechodziła przez bramę. Szeroka, wybetonowana ścieżka wiodła do wielkich podwójnych drzwi z drzewa tekowego.

– Zastanawiam się, po co, u diabła, zawracamy sobie głowę rozmową – stwierdził. Kiedy szukała klucza, zabrał jej walizkę.

Znów wydawała się nieco roztargniona. Gestem zaprosiła go do środka. Kiedy brała od niego torbę z piwem, ledwo to zauważył.

Dom był nieskończenie piękniejszy, niż to sobie wyobrażał. Znał i badał niezliczone stare budynki. Jednakże budowla tego rodzaju, starannie wymodelowane, nowoczesne arcydzieło, to było dlań coś nowego.

Zobaczył obszerną powierzchnię podłogi z szerokich desek, która ciągnęła się nieprzerwanie od jadalni aż do bawialni. Za szklanymi, południowymi ścianami rozciągał się, niby szeroki fartuch, drewniany pomost, zaś na zachodzie i północy głęboki ganek bez zadaszenia, który oświetlały z góry łagodnym blaskiem rozmieszczone tu i ówdzie słabe reflektory. Poza nim leżała zatoka, czarna i prawie niewidoczna. Ledwo dostrzegalne po zachodniej stronie drobniutkie, mrugające światełka Sausalito wydawały się delikatne i znajome w porównaniu z rysującym się na tle południowego nieba, odległym i wspaniałym widokiem zatłoczonego, pełnego jaskrawych kolorów San Francisco.

Mgła była już tylko wątlą smugą kalającą świetność nocy; rzedła i znikła, kiedy się jej przyglądał.

Bez końca mógłby wpatrywać się w ten przepiękny krajobraz, jednak dom doktor Mayfair wydawał mu się cudowniejszy. Wydając głębokie westchnienie, Michael przesunął dłonią po ścianie z desek łączonych w pióro, podziwiając równie kunsztowną mozaikę wysokiego sufitu spoczywającego na ciężkich krokwiach, które wznosiły się stromo ku wspólnemu środkowi. Wszystkie deski, z pięknie wysłojowanego drewna, zakołkowano, dopasowano, wyheblowano i zakonserwowano znakomicie. Drewniane ramy wokół szklanych drzwi. Na stojących tu i ówdzie meblach połyskiwały niewyraźnie szkło i skóra; nogi

krzesel i stołów odbijały się w błyszczącej podłodze.

Wschodni róg domu zajmowała kuchnia, którą ujrzał w tej najwcześniejszej, przelotnej wizji – obszerna alkowa z ciemnymi szafkami i błyszczącymi, miedzianymi rondlami zwisającymi z haczyków. Taką kuchnię należy oglądać, a nie tylko korzystać z niej. Jedyne głęboki kamienny kominek z wysokim, obszernym paleniskiem – na którym można było usiąść – oddzielał kuchnię od pozostałych pokojów.

– Nie myślałam, że się panu spodoba – powiedziała.

– Och, jest cudowny – westchnął. – Zbudowany jak okręt. Nigdy nie widziałem domu wykonanego z podobnym kunsztem.

– Czuje pan, jak się kołysze? Zrobiono go tak, aby poruszał się wraz z wodą.

Michael powoli przemierzał gruby dywan rozłożony w bawialni. Dopiero wtedy dostrzegł za kominkiem kręcone żelazne schody. Łagodne, bursztynowe światło sączyło się z otwartych drzwi na górze. Natychmiast przyszedł mu na myśl sypialnie, pokoje otwarte jak ten tutaj, gdzie leżałby wraz z nią w ciemności, a w oddali migotałyby światła miasta. Jego twarz znów płonęła.

Zerknął na Rowan. Czy odgadła tę myśl, tak jak przedtem jego pytanie? Do diabła, na to wpadłaby każda kobieta.

Doktor Mayfair stała w kuchni przy otwartych drzwiach lodówki i w czystym, białym świetle po raz pierwszy naprawdę zobaczył jej twarz. Skórę gładką i sprężystą jak u Azjatki, w odcieniu jednakże typową dla blondynki. Teraz, kiedy Rowan się do niego uśmiechnęła, na jej policzkach pojawiły się dwa dołeczki.

Ruszył w jej stronę, znów wyraźnie świadom jej fizycznej obecności, sposobu, w jaki światło odbijało się od jej rąk, olśniewająco pięknych włosów, które przy najdrobniejszym ruchu ocierały się o kołnierz, stając się istotnym elementem każdego gestu.

Kiedy Rowan zamknęła drzwi lodówki, kiedy zgasło czyste białe światło, Michael zdał sobie sprawę, iż za północną szklaną ścianą domu, daleko po lewej

stronie, tuż przy frontowych drzwiach, dostrzega stojącą na kotwicy białą łódź gigantycznych rozmiarów. Słaby reflektor oświetlał ogromny dziób, liczne świetliki i ciemne okna sterówki.

W zestawieniu z miękkim umeblowaniem i porozrzucanymi dywanikami, które go otaczały, łódź wydawała mu się monstrualnie wielka, niczym wieloryb wyrzucony na plażę. Ogarnęło go uczucie graniczące z paniką. Dziwaczny lęk – zupełnie jakby tamtego dnia, kiedy go ocalono, poznał jakąś okropną historię, która wraz ze wszystkim innym poszła w zapomnienie.

Nie pozostało nic, jak tylko pójść do tej łodzi. Położyć dłonie na pokładzie. Zorientował się, że podchodzi do szklanych drzwi; potem zatrzymał się, zmieszany i patrzył, jak Rowan pociąga za klamkę i rozsuwa ciężkie szklane tafle.

Uderzył w niego podmuch zimnego, słonego wiatru. Usłyszał poskrzypywanie ogromnej motorówki; słabe, księżycowe światło reflektorów wydało mu się ponure i zdecydowanie nieprzyjemne. Zdatna do żeglugi morskiej, tak powiedziano. Patrząc na tego giganta, gotów był w to uwierzyć. Odkrywcy przemierzali oceany tego świata w łodziach o wiele mniejszych niż ta tutaj. Raz jeszcze wydała mu się groteskowa, zatrwajająco nieproporcjonalna.

Wkroczył na molo, gdzie wiatr zwał mu kołnierz na policzek. Ruszył ku brzegowi. W dole leżała idealnie czarna woda, on zaś czuł jej zapach, nieunikniony zastały odór martwych stworzeń morza.

Daleko za zatoką dostrzegał światła Sausalito, jednakże teraz przenikliwie zimno stanęło między nim a urokami krajobrazu i Michael zdał sobie sprawę, że wszystkie znienawidzone przez niego cechy zachodniego klimatu zjednoczyły się w tej właśnie chwili. Nie było tu nigdy ciężkiej zimy, ani gorącego lata, tylko ten wieczny chłód i niegościnna surowość.

Tak się cieszył, że wkrótce będzie w domu, gdzie sierpniowy upał czeka na niego niby ciepły koc. Ulice Dzielnicy Ogrodów, drzewa kołyszące się na łagodnym wietrze...

Lecz to jest owa łódź i ta właśnie chwila. Teraz trzeba się wdrapać na tę łajbę kołyszącą się łagodnie przy czarnych gumowych oponach przybitych do dłuższego boku mola. Musi stanąć na pokładzie, który wygląda na śliski. Niezbyt mu się to spodobało, to pewne. Cieszył się cholernie, że ma na rękach rękawice.

Jego znajomość wszelkich łodzi ograniczała się wyłącznie do dużych jednostek – starych promów rzecznych znanych z dzieciństwa i potężnych statków turystycznych, które przewoziły setki ludzi w tę i z powrotem przez zatokę San Francisco. Kiedy patrzył na łódź podobną do tej, przychodziła mu jedynie na myśl możliwość wpadnięcia do wody.

Ruszył wzdłuż burty potwora, aż dotarł do rufy, i tam dopiero, za wielką, niezgrabną sterówką, uchwyciwszy się barierki wskoczył do środka. Przez chwilę stał zaskoczony faktem, że łódź zanurzyła się pod jego ciężarem, a potem najszybciej jak się dało przeskoczył przez barierkę na rufowy pokład.

Rowan weszła tuż za nim.

Nie cierpiał tego – podłóża, które poruszało się pod nim! Jezu, w jaki sposób ludzie potrafią wytrzymać na łodziach! Ta jednak zdawała się już całkiem stabilna. Otaczające go barierki były dość wysokie, aby dać mu poczucie bezpieczeństwa. Znalazł nawet pewną osłonę przed wiatrem.

Przez chwilę zaglądał przez szklane drzwi sterówki. Połyskujące tarcze, gadżety. Równie dobrze mogła to być kabina pilota w odrzutowcu. Może tam są schody prowadzące do kajut?

No, to nie powinno go obchodzić. Ważny był sam pokład, gdyż na nim się znalazł, kiedy go uratowano.

Wiatr znad oceanu wył mu w uszach. Michael obrócił się i spojrzał na dziewczynę. Jej twarz, na tle odległych świateł, była idealnie czarna. Wyjęła dłoń z kieszeni kurtki i wskazała deski tuż przed sobą.

– Właśnie tutaj – powiedziała.

– Otworzyłem oczy? Po raz pierwszy wziąłem oddech?

Skinęła głową.

Michael uklęknął. Ruchy łodzi zdawały się teraz powolne i ledwo wyczuwalne, jedynym dźwiękiem było słabe poskrzypywanie, które, zdawać by się mogło, nie dochodziło z żadnego określonego miejsca. Ściągnął rękawice, wepchnął je do kieszeni, zacisnął i rozprostował dłonie.

Potem położył je na deskach. Chłód; wilgoć. Wizja jak zwykle zjawiała się jak gdyby znikąd, zrywając jego kontakt z chwilą obecną. Ale to nie akcję ratunkową zobaczył, lecz skrawki i ułamki obrazów: oto inni ludzie pogrążeni w rozmowie, w działaniu. Doktor Mayfair, potem znów znienawidzony przez nią mężczyzna, a wraz z nimi ładna, starsza kobieta o imieniu Ellie – ta warstwa jednak ustąpiła miejsca następnej, i jeszcze następnej, głosy przeszły w hałas.

Wciąż na klęczkach, Michael padł ku przodowi. Kręciło mu się w głowie, ale nie chciał oderwać dłoni od pokładu. Dotykał go po omacku jak ślepiec. „Dla Michaela”, powiedział, „Dla Michaela!”

Nagle wezbrał w nim gniew wobec cierpień wypełniających to długie, zmarnowane lato. „Dla Michaela!”, powtórzył, jednocześnie wewnętrznie napierając na swoją moc, żądając, aby się zogniskowała i wyostrzyła, aby odszukała obrazy, których pragnął.

– Boże, ukaz mi ten moment, w którym po raz pierwszy zaczerpnąłem powietrza – wyszeptał. Nadał jednak przypominało to przeglądanie wielu tomów, aby odnaleźć jeden prosty wers. Graham, Ellie, głosy, które wznosiły się i zderzały ze sobą. Nie chciał szukać w umyśle słów na wyrażenie tego, co widzi; odrzucał to. „Ukaz mi ten moment”. Rozpłaszczył się na pokładzie, opierając policzek na chropowatych deskach.

Zupełnie zniecka chwila obecna rozprysła się wokół Michaela, jakby drewno pod nim zajęło się płomieniem. Zimniej niż obecnie, gwałtowniejszy wiatr. Rozkołysana łódź. Ona schyla się nad nim; dostrzegł siebie samego – leżał tam, martwy mężczyzna z białą, mokrą twarzą; ona biła go w pierś. „Ocknij się, do diabła, ocknij się!”



Oczy mężczyzny rozwarły się. *Tak, oto co zobaczyłem, to ona, Rowan, tak. Żyję, jestem tutaj! Rowan, tak wiele rzeczy...* Ból w piersiach był nie do zniesienia. Nie czuł rąk ani nóg. Czy to jego dłoń unosi się, chwyta jej rękę?

Muszę wyjaśnić, cała ta sytuacja zanim...

Zanim co? Próbował chwycić się tego, dotrzeć głębiej. Zanim co? Jednak nie było tam już nic oprócz jej bladej, owalnej twarzy, takiej, jaką ją ujrzał owej nocy, z włosami wciśniętymi pod marynarską czapkę.

Nagle, na powrót w teraźniejszości, walił pięścią w pokład.

– Podaj mi rękę! – wykrzyknął.

Uklękła obok niego.

– Myśl, myśl o tym, co się zdarzyło w chwili, kiedy po raz pierwszy odetchnąłem.

Wiedział już jednak, że nic nie da się zrobić. Dostrzegał jedynie to, co widziała ona. Siebie samego, nieżywego mężczyznę, który powracał do życia. Martwą, mokłą rzecz taczającą się po pokładzie pod naporem ciosów, które Rowan raz za razem wymierzała w jego pierś; a potem srebrzystą szparę między powiekami, kiedy otwierał oczy.

Przez dłuższą chwilę leżał nieruchomo, nierówno oddychając. Czuł, że znów jest mu ohydnie zimno, choć nie aż tak jak owej okropnej nocy. Widział Rowan stojącą w cierpliwym oczekiwaniu. Mógłby się rozplakać, ale był na to zbyt zmęczony, zbyt przegrany. Zupełnie jakby te obrazy, pojawiając się, ciskały nim tu i tam. Teraz pragnął jedynie spokoju. Jego dłonie zacisnęły się w pięści. Nie poruszał się.

Jednakże była tam pewna rzecz, coś, co odkrył, pewien szczegół, o którym przedtem nie wiedział. Chodziło o dziewczynę. W ciągu pierwszych kilku sekund po odzyskaniu przytomności wiedział, kim ona jest, jak ma na imię, znał Rowan.

Ale jak można ufać podobnym wnioskom? Boże, po tym wysiłku bolała go nawet dusza. Leżał pokonany, zły; czuł się jak głupiec, ale przy tym ogarnął go

wojowniczy nastrój. Z pewnością wybuchnąłby płaczem, gdyby jej tu nie było.

– Spróbuj raz jeszcze – powiedziała teraz.

– To na nic, to inny język. Nie wiem, jak go używać.

– Spróbuj – nalegała.

A więc dobrze. Tym razem jednak nie dostrzegł niczego oprócz jakichś ludzi. Przelotne obrazy słonecznych dni, Ellie, potem Graham, i jeszcze wielu innych; promienie światła, które poniosłyby go w tym lub innym kierunku; drzwi sterówki zatraskujące się na wietrze, wysoki mężczyzna, który wychodzi na górę spod pokładu, bez koszuli, i Rowan. Tak, Rowan, Rowan, Rowan, Rowan obecna przy każdej sylwetce, którą dostrzegał, zawsze ona, czasem nawet szczęśliwa. Nikt z tych, którzy bywali na łodzi, nie zjawił się tu pod nieobecność Rowan. Podniósł się na klęczki, po drugiej próbie bardziej jeszcze rozkojarzony niż po pierwszej. Świadomość tego, że owej nocy znał ją, była jedynie złudzeniem, cienką warstwą potężnego piętna, jakie pozostawiła na tej łodzi. Wszystko zmieszało się razem w jedną wizję. Być może znał ją, ponieważ trzymał jej rękę, bo zanim przywołano go z powrotem wiedział, jak to się odbędzie. Nigdy nie dowie się na pewno.

Problem polega na tym, że teraz jej nie zna, i nadal nic nie pamięta! Ona jest po prostu bardzo cierpliwą i wyrozumiałą kobietą, a on powinien jej podziękować i odejść.

Michael usiadł.

– Do diabła! – wyszeptał. Nałożył rękawice. Wyciągnął chustkę i wydmuchał nos, a potem naciągnął kołnierz lekkiej kurtki chcąc ochronić się przed wiatrem.

– Niech pan wejdzie do domu – powiedziała, biorąc go za rękę niby małe dziecko. Zdumiało go, jak bardzo docenił ten gest. Skoro już zeszli z tej piekielnej, rozchybotanej, śliskiej łodzi i stanęli na molo, Michael poczuł się lepiej.

– Dzięki, pani doktor – powiedział. – Warto było spróbować, pani mi na to

pozwoili, doprawdy brak mi sów wdzieczności.

Rowan otoczyła go ramieniem. Ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie.

– Może uda się innym razem.

Świadomość, że ją znał, i pewność, że pod pokładem jest niewielka kabina, w której często spędzała noc wpatrując się w jego zdjęcie przyklejone do lustra, nie dawała mu spokoju. Czy znów się zaczerwienił?

– Proszę wejść do środka – powiedziała, ciągnąc go za sobą. Miło było znaleźć schronienie we wnętrzu domu. Odczuwał jednak zbyt wielki smutek i zmęczenie, aby dłużej się nad tym zastanawiać. Potrzebował odpoczynku. Ale nie odważyłby się na to. Trzeba jechać na lotnisko, myślał, zabrać walizkę i wydostać się stąd, a potem spać na plastikowym krześle. Jedna droga ku odkryciu prawdy została nieodwołalnie zamknięta dziś wieczorem, musi zatem ruszyć tą drugą tak szybko, jak tylko można.

Obejrzawszy się na łódź, pomyślał, że chciałby raz jeszcze powiedzieć IM, że nie porzucił swego celu, ale po prostu nie może sobie go przypomnieć. Nie wiedział nawet, czy brama to dosłownie brama. A ten numer... bo był tam numer, nieprawdaż? W dodatku znaczący... Oparłszy się o szklane drzwi, Michael przycisnął głowę do szyby.

– Nie odjeżdżaj – wyszeptala.

– Wierz mi, że nie chcę, ale to konieczne – odparł. – Widzisz, oni naprawdę czegoś ode mnie oczekują. Powiedzieli mi, o co chodzi, i muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, a wiem, że powrót jest częścią tego zadania.

Milczenie.

– To miłe z twojej strony, że mnie tu przyprowadziłaś.

Cisza.

– Możliwe...

– Możliwe co? – Odwrócił się.

Znów stała tyłem do światła. Zdjęła kurtkę; w obszernym swetrze zdawała się kanciasta, lecz zgrabna. Te długie nogi, wspaniałe kości policzkowe i pyszne

smukłe nadgarstki.

– Być może miałeś zapomnieć? – zapytała.

To nigdy nie przyszło mu do głowy. Przez chwilę nie odpowiadał.

– Czy wierzysz w moje wizje? – zapytał wreszcie. – To znaczy, czy czytałaś o nich w gazetach? To, co pisali, jest prawdą. Naturalnie dziennikarze zrobili ze mnie głupca, wariata. Ale zrozum, one zawierały tak wiele znaczeń, tak wiele, i...

Żałował, że nie jest w stanie wyraźniej zobaczyć jej twarzy.

– Wierzę ci – odparła prosto. Przerwała, potem ciągnęła:

– To zawsze zatrważające, uniknąć śmierci o włos – rzecz zdawałoby się tak przypadkowa, a jednak wywiera ogromny wpływ. Pragniemy wierzyć, że jest w tym jakiś cel...

– I był!

– Zamierzałam powiedzieć, że w twoim wypadku niewiele brakowało, ponieważ było już prawie ciemno, kiedy cię dostrzegłam Pięć minut później być może nie zobaczyłabym cię w ogóle, nawet nie mogłabym cię zobaczyć.

– Szukasz wyjaśnień, to bardzo uprzejme z twojej strony. Doceniam to, naprawdę. Ale widzisz, to, co pamiętam, to znaczy owo wrażenie, ono jest tak potężne, że nie ma potrzeby, aby je w ten sposób wyjaśniać. Oni tam byli, doktor Mayfair. I...

– Co się stało?

Potrząsnął głową.

– Po prostu jeden, z owych dreszczy, tych szalonych chwil, kiedy przez chwilę zdaje mi się, że pamiętam, a potem wszystko znika. Doświadczyłem tego i na pokładzie. Miałem świadomość, że... tak, kiedy otworzyłem oczy naprawdę wiedziałem, co się stało... a potem wszystko się rozwiało...

– To słowo, które wymamrotałeś...

– Nie dosłyszałem go. Nie widziałem siebie wypowiadającego jakikolwiek wyraz. Ale powiem ci coś. Wydaje mi się, że znałem wtedy twoje imię.

Wiedziałem, kim jesteś.

Milczenie.

– Ale nie jestem pewien. – Odwrócił się, zakłopotany. Co on najlepszego robi? Gdzie jest jego walizka, przecież naprawdę musi jechać... tylko że jest taki zmęczony, i nie ma na to ochoty.

– Nie odjeżdżaj. Proszę – powtórzyła.

– Mówisz poważnie? Mógłbym zostać na jakiś czas? – Zerknął na nią, na jej wysoką i szczupłą sylwetkę, czarny cień na tle odległego, słabo oświetlonego szkła. – Och, szkoda, że nie spotkałem cię przed tym wszystkim – powiedział. – Szkoda, że... Chciałbym... To znaczy, to takie głupie, ale ty jesteś bardzo...

Ruszył naprzód, aby lepiej ją dojrzeć. Ukazały mu się jej oczy; choć głęboko osadzone, zdawały się bardzo duże i podłużne, wargi zaś tak obfite i miękkie. Jednakże, kiedy przysunął się bliżej, doznał osobliwego złudzenia. Jej twarz w łagodnym blasku sączącym się zza ścian wydała mu się w najwyższym stopniu niebezpieczna i złośliwa.

Z pewnością to pomyłka. Nie dostrzegał przecież wyrazu twarzy. Zwrócona ku niemu postać zdawała się, pochyliwszy głowę, patrzeć na niego spod grzywy jasnych włosów wzrokiem pełnym nienawiści.

Zatrzymał się. To na pewno pomyłka. A jednak ona stała tam, zupełnie nieruchomo, albo nieświadoma lęku, który odczuwał, albo zupełnie wobec niego obojętna.

Potem ruszyła ku niemu, wchodząc w blade światło wpadające zza północnych drzwi.

Wyglądała tak ślicznie i smutnie! Jakże mógł popełnić taki błąd? Dziewczyna była na granicy łez. W istocie okropnie było patrzeć na smutek w jej twarzy, dostrzegać w niej milczący głód i uczucia, które wyrwały się spod kontroli.

– Co się stało? – wyszeptał i otworzył ramiona. Natychmiast przycisnęła się do niego łagodnie. Czuł dotyk jej piersi, dużych i jędrnych. Przytulił ją mocno,

wziął w objęcia, przesunął po jej włosach palcami w rękawicy.

– Co się stało? – wyszeptał raz jeszcze, ale nie było to właściwe pytanie, raczej ubrana w słowa uspokajająca pieszczota. Wyczuwał bicie jej serca, wstrzymywany oddech. On również dygotał. Zbudziło się w nim gorące, opiekuńcze uczucie, które niby materia alchemika przekształciło się w namiętność.

– Nie wiem – wyszeptała. – Nie wiem.

Teraz już cicho płakała. Uniosła wzrok, a potem rozchyliwszy usta bardzo delikatnie przeszła do pocałunku. Zdawało się, że nie chciała tego robić wbrew jego woli; dawała mu dość czasu, aby mógł się wycofać. A on, naturalnie, nie miał najmniejszej ochoty, aby tak zrobić.

Natychmiast utonął w niej, jak przedtem w samochodzie, po dotknięciu jej dłoni. Tym razem jednak objęło go wspaniałe, zmysłowe i nader materialne ciało. Całował ją raz za razem, pożerał ustami jej szyję, policzki, oczy. Chronionymi rękawicą palcami gładził twarz, dotykał gładkiej skóry pod ciężkim, wełnianym swetrem. Boże, gdyby tylko mógł zdjąć rękawice; jednak gdyby to zrobił, zatraciłby się, i cała namiętność umknęłaby w tym zamęcie. Rozpaczliwie uczepił się tego; a tymczasem ona już, zwiedziona, uwierzyła, już niemądrze się bała...

– Tak, tak, chcę – powiedział. – Jak mogłaś pomyśleć, że tego nie pragnę, że nie byłbym... Obejmij mnie, Rowan, obejmij mnie mocniej. Teraz jestem tutaj. Tak, jestem z tobą.

Płacząc, osunęła się w jego ramiona. Szarpała dłonią jego pasek suwak spodni, ale były to niezgrabne, nieudane gesty. Wydała ściszony jęk pełen nieograniczonego cierpienia. Nie mógł tego znieść.

Ustami przywarł do niej raz jeszcze; całował szyję, kiedy jej głowa odchyliła się w tył. Potem wziął ją na ręce i ostrożnie poniósł przez pokój, a dalej na górę, po żelaznych schodach, powoli mijając zakręt po zakręcie, aż wreszcie znalazł się po południowej stronie domu w wielkiej, ciemnej sypialni. Upadli na niskie

łóżko. Michael pocałował dziewczynę po raz kolejny, odgarnął dłonią jej włosy; nawet przez rękawice dotykanie jej sprawiało mu ogromną przyjemność. Patrzył na zamknięte oczy, bezradne, półotwarte usta. Kiedy ściągał sweter Rowan, starała się mu pomóc; nareszcie zerwał go przez głowę, uroczo targając jej włosy.

Kiedy pod cienkim nylonem zobaczył jej piersi, pocałował je przez materiał, świadomie drocząc się z samym sobą. Nadal nie odsuwając bielizny muskał językiem ciemny krąg sutka. Jakie to uczucie, te czarne skórzane rękawice dotykające jej skóry, pieszczące brodawki? Uniósł jej piersi, pocałował ciepłą krągłość pod spodem – tę właśnie szczelinę uwielbiał – potem zaczął mocno ssać sutki, najpierw jeden, potem drugi, dłonią gorączkowo rozcierając i miętosząc jej skórę.

Kręciła się pod nim, jej ciało wykonywało ruchy, które zdawały się bezradne; musnęła wargami niedokładnie ogolony podbródek Michaela, a potem jej wargi znalazły się, miękkie i słodkie, na jego ustach, dłonie zaś wśliznęły się pod koszulę i przesuwwały po jego piersi, jakby jej płaskość sprawiała dziewczynie przyjemność.

Kiedy on ssał jej sutki, ona szczypała jego. Michael był już tak podniecony, że za chwilę mógł się spuścić. Przerwał, uniósł się na rękach, próbował złapać oddech, potem osunął się na łóżko obok niej. Wiedział, że Rowan ściąga dzinsy. Przyciągnął ją do siebie, dotknął gładkiej skóry pleców, potem jego ręce powędrowały w dół, aż do krzywizny drobnych pośladków, które aż się prosiły, aby je chwytać i miętosić.

Dosyć czekania; nie mógł już dłużej wytrzymać. W szale niecierpliwości ściągnął okulary i rzucił je na nocny stolik. Teraz dziewczyna będzie dla niego tylko fantazyjną, stonowaną plamą, jednak wszystkie fizyczne szczegóły, które zobaczył, ani na chwilę nie opuszczały jego umysłu. Leżał już na niej. Dziewczyna manipulowała przy jego kroczu, rozpinając spodnie, potem wydobyła członek i szorstko trzepnęła go dłonią, jakby chciała ocenić jego

twardość – drobny gest, który doprowadził go do granic wytrzymałości. Wchodząc w nią, wyczuł kłującą gęstwę włosów łonowych, potem rozgrzane wargi sromu, a wreszcie samą ciasną, pulsującą pochwę.

Być może coś wykrzyknął. Nie miał pojęcia. Rowan uniosła się na poduszce – jej usta na jego ustach – ramiona dziewczyny przyciągały go coraz bliżej, jej biodra przywarły do niego.

– Nie oszczędzaj mnie – wyszeptała. To było jak uderzenie – niby pchnięcie ostrogi, które doprowadziło jego powstrzymywany szal do punktu wrzenia. Krucha postać, wrażliwe, podatne na rany ciało, wszystko to zachęcało go tylko. Żaden wyimaginowany gwałt, który kiedykolwiek popełnił w najskrytszych, niewyjaśnionych głębiach swej śniącej duszy, nie był bardziej brutalny.

Biodra Rowan uderzały o niego; jęczała, a on jak przez mgłę dostrzegał czerwony rumieniec na jej twarzy i nagich piersiach. Wchodząc w nią coraz szybciej i ostrzej, dostrzegł, jak rozrzuciła ramiona – na chwilę przedtem, nim on sam zamknąwszy oczy eksplodował w jej wnętrzu.

Nareszcie, wyczerpani, rozłączyli się i opadli na miękkie flanelowe prześcieradła. Jej gorące ręce spoczywały w nieładzie pod wyciągniętym ramieniem Michaela, który zanurzył twarz w jej pachnących włosach. Przytuliła się do niego zaciągając na nich oboje luźny, zlekceważony dotąd koc.

Co tam jego mroczny cel i samolot do Nowego Orleanu. Niechaj odejdą ból i rozdrażnienie. Gdzie indziej, w innej sytuacji, uznałby Rowan za porywającą. Teraz jednak znaczyła dlań coś więcej – była nie tylko żywotna, gorąca, tajemnicza, pełna zdawałoby się idealnego ognia. Miała w sobie również coś boskiego, a on pragnął tego czegoś tak bardzo, że aż ogarniał go smutek.

Delikatne, jedwabiste ramię otoczyło jego szyję, kiedy przygarniał dziewczynę do siebie. Czuł na swojej piersi jej bijące serce.

Kilka chwil później, zbliżywszy się niebezpiecznie blisko do granicy głębokiego snu, Michael usiadł raptownie i nieprzytomnie zerwał z siebie rozgrzane ubrania. Leżał potem nagi obok niej, mając na sobie jedynie rękawice,



wdychając jej ciepło i słysząc ciche, zaspane westchnienie niby pocałunek, aż wreszcie u jej boku pograżył się w snach.

– Rowan – wyszeptał. Tak, wiedział o niej wszystko, znał ją.

Byli na dole. Powiedzieli: obudź się, Michael, zejdź tutaj Rozpalili wielki ogień w kominku. A może był to po prostu ogień który ich otaczał, niby płonący las? Zdawało mu się, że słyszy dźwięk bębnów. *Michael*. Niewyraźny sen lub wspomnienie parady owej dawno minionej zimowej nocy i muzykantów wybijający dziki, okropny rytm, podczas gdy na gałęziach dębów migotały pochodnie. Oni są tam, na dole, trzeba tylko obudzić się i zejść. Ale po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich tygodni od czasu, gdy go opuścili, nie chciał ich widzieć, ani w ogóle pamiętać.

Usiadł, patrząc na blade, mętne poranne niebo. Podniósł okulary, założył je.

W tym domu nie ma nikogo, żadnych bębnów, ani zapachu ogniska. Są sami, we dwoje. Jednak Rowan nie było już w łóżku u jego boku. Słyszał muzykę krokwi i pali – ale to tylko woda sprawiała, że wydawały głos. Potem doszedł go głęboki, wibrujący dźwięk, bardziej drzenie niż odgłos, i Michael zrozumiał, że to wielka łódź kołysze się u przystani. Ten okropny lewiatan ostrzega: *jestem tutaj*.

Przez chwilę siedział patrząc bezmyślnie na spartańskie wnętrze sypialni. Każdy mebel wykonano starannie z tego samego drewna, które widział na dole. Mieszkał tu ktoś, kto kochał piękne drewno, kto lubił rzeczy idealnie dopasowane. Wszystko w tym pokoju było dosyć niskie – łóżko, biurko, porozstawiane bezładnie krzesła. Nic nie zasłaniało widoku z okien sięgających aż do sufitu.

Poczuł zapach ogniska, a kiedy zaczął uważnie nasłuchiwać, usłyszał je nawet. Zobaczył wyłożony dla niego szlafrok, miły, gruby, z niestrzyżonego aksamitu, dokładnie taki, jaki lubił.

Naciągnął go więc i ruszył na dół w poszukiwaniu Rowan.

W kominku płonął ogień, co do tego miał rację. Nie otaczała go jednak

horda sennych widziadeł. Rowan, również w szlafroku, w którego fałdach nieomal ginęło jej szczupłe ciało, siedziała sama na obszernym, kamiennym palenisku, trzęsąc się i znowu płacząc.

– Przepraszam, Michaelu, tak bardzo cię przepraszam – wyszeptała tym głębokim, aksamitnym głosem. Jej znużoną twarz znaczyły ślady łez.

– Ależ, kotku, skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał, siadając obok i otaczając ją ramionami. – Rowan, za cóż ty mnie przepraszasz?

W pośpiechu wyrzuciła z siebie słowa, które przebiegły tak prędko, że z trudnością za nimi nadążał – otóż zażądała od niego zbyt wiele, tak bardzo chciała z nim być, tych kilka ostatnich miesięcy to najgorszy okres w jej życiu, samotność stała się niemal nie do zniesienia.

Michael pokrywał jej policzek pocałunkami.

– Lubię być przy tobie – odparł. – Pragnę zostać tutaj. Nie mam ochoty przebywać w żadnym innym miejscu na świecie...

Przerwał, myśląc o samolocie do Nowego Orleanu. No, to może poczekać. Potem niezgrabnie próbował wyjaśnić, że stał się więźniem swego domu na ulicy Wolności.

– Nie przychodziłam, bo wiedziałam, że to się wydarzy – powiedziała. – Miałaś rację, chciałam, żebyś dotknął swoimi dłońmi mojej ręki i podłogi w kuchni, miejsca, gdzie on umarł, chciałam... widzisz, nie jestem taka, na jaką wyglądam...

– Wiem, jaka jesteś – odparł. – Doktor Rowan Mayfair to silna kobieta, dla której przyznanie się do jakiegokolwiek potrzeby to rzecz okropna.

Milczenie. Potem Rowan skinęła głową.

– Gdybyż tylko na tym się skończyło – stwierdziła i zalała się łzami.

– Porozmawiaj ze mną, opowiedz mi swoją historię – poprosił. Rowan wstała, wysunąwszy się z jego ramion. Na bosaka przemierzała podłogę w tę i z powrotem, najwyraźniej nie zwracając uwagi na jej chłód. I znowu opowieść pobiegła szybko; padało wiele długich, delikatnych zdań wyrzucanych z taką

szybkością, że słuchanie przychodziło mu z wysiłkiem, gdy starał się oddzielić ich znaczenie od mamiącego piękna jej głosu.

Zaadoptowano ją, kiedy miała zaledwie jeden dzień, zabrano z domu; a czy on wie, że to był Nowy Orlean? Wyjaśniła mu to w liście, którego nigdy nie otrzymał. I owszem, powinien o tym wiedzieć, bo kiedy się ocknął, schwycił ją za rękę, uczepił się jej, zupełnie jakby nie chciał pozwolić, aby odeszła. I być może właśnie wtedy odebrał jakiś pomieszany, niemądry sygnał, intensywne odczucie związane z tym miejscem. Ale rzecz w tym, że ona nigdy tam nie była, nie widziała tego miasta! Nie знаła nawet imienia swojej matki.

A czy on wie, że w sejfie – o tam, za tym obrazem przy drzwiach – leży podpisany przez nią dokument, w którym zobowiązuje się nigdy nie wrócić do Nowego Orleanu, ani nie próbować zdobyć jakichkolwiek wiadomości o rodzinie, o swoich prawdziwych rodzicach? Odizolowana, wyrwana stamtąd; przeszłość odcięto jej niby pępownię i w żaden sposób nie będzie mogła odzyskać tego, co kiedyś odrzucono. Ale rozmyślała o tym ostatnio – ta okropna, czarna czeluść i fakt, że ich już nie ma, Ellie i Grahama na dodatek ten papier w sejfie oraz to, że Ellie umarła nakazując jej, aby powtarzała swoją obietnicę, raz po raz.

Zabrali ją z Nowego Orleanu do Los Angeles samolotem o szóstej wieczorem, tego samego dnia, kiedy przyszła na świat A jakże, przez lata wmawiano jej, że urodziła się w Los Angeles Tak napisano w akcie urodzenia; jedno z tych drobnych oszustw które popełnia się „dla dobra” zaadoptowanych dzieci. Ellie i Graham opowiadali jej tysiące razy o tym, jak bardzo się cieszyli, kiedy przywieźli ją do tego małego mieszkanka w zachodnim Hollywood.

Ale nie w tym rzecz, chodzi o to, że oni odeszli, nie żyją, a wraz z nimi zniknęła cała ich historia, wymazana tak szybko i kompletnie, że budziło to w niej strach. I Ellie, która umierała w takim bólu. Nikt nie powinien być zmuszany do znoszenia podobnych cierpień. A przecież prowadzili wspaniałe, nowoczesne życie, świetne po prostu, chociaż w ich świecie panował

egoistyczny materializm, to musiała przyznać. Żaden związek – czy to z rodziną, czy z przyjaciółmi – nigdy nie przerwał im samolubnej pogoni za przyjemnościami. A potem, kiedy Ellie krzykiem domagała się morfiny, przy jej łóżku nie było nikogo prócz Rowan.

Michael kiwał głową. Zbyt dobrze to rozumiał. Czyż jego życie nie zmieniło się w coś podobnego? Zaskoczony, w przeblysku wspomnienia ujrzał Nowy Orlean; zamykające się drzwi, kuzynów przy kuchennym stole, ryż z czerwoną fasolą i rozmowy, rozmowy, rozmowy...

– Mówię ci, omal jej nie zabiłam, tak pragnęłam końca tego wszystkiego – rzekła Rowan. – Nie mogłam... nie mogłam... Mnie nikt nie był w stanie powiedzieć nieprawdy. Wiem, kiedy ludzie kłamią. Nie chodzi o to, że czytam w myślach. To, co odczuwam, jest bardziej wyrafinowane. Wyobraź sobie wszystko, co ludzie mówią głośno, jako słowa wypisane na kartce papieru, czarno na białym – a ja tymczasem widzę to jako kolorowe obrazy. Czasami wyczuwam myśli, takie drobne ułamki informacji. No, a poza tym jestem lekarką, więc nawet nikt nie próbował kłamać, i miałam pełny dostęp do wszystkich informacji. To Ellie zawsze była oszukiwana, starano się udawać, że nic się nie dzieje. A ja znałam jej uczucia, zawsze, nawet jako mała dziewczynka. I jeszcze ten dar wiedzy, nazywam go zmysłem diagnostycznym, ale to coś więcej, położyłam dłonie na ciele Ellie i nawet kiedy była w remisji, wiedziałam. Rak jest tam, w środku, powraca. W najlepszym razie zostało jej sześć miesięcy. A potem, już po wszystkim, trzeba było wracać tutaj – do tego domu, w którym są wszystkie możliwe gadżety, udogodnienia i luksusy, jakie tylko człowiek mógłby sobie...

– Wiem – odparł miękko. – Te nasze zabawki, nasze pieniądze.

– Tak, a czym ten dom jest teraz, bez nich? Skorupą! Tu nie jest moje miejsce! A jeśli nie moje, to i niczyje i kiedy się po nim rozglądam... boję się, mówię ci, strasznie się boję. Nie, czekaj, nie pocieszaj mnie. Ty nic nie wiesz. Nie mogłam zapobiec śmierci Ellie, potrafię się z tym pogodzić, ale z

Grahamem było inaczej. Ja sama spowodowałam jego zgon. Zabiłam go.

– Nie, ależ ty tego nie zrobiłaś – zaprzeczył. – Jako lekarka wiesz, że...

– Michaelu, ty jesteś jak anioł zesłany z nieba. Ale wysłuchaj tego, co ci chcę powiedzieć. Ty masz w dłoniach moc, która jest prawdziwa. Kiedy jechaliśmy tutaj, zademonstrowałeś mi ją. Cóż, ja mam w sobie moc, która jest równie silna. Zabiłam go. Przedtem spowodowałam śmierć jeszcze dwojga ludzi – obcego człowieka i, wiele lat temu, małej dziewczynki z placu zabaw. Czytałam sprawozdania z sekcji zwłok. Potrafię odbierać życie, mówię ci! Dziś jestem lekarką, bo usiłuję wyprzeć się tej mocy, moje działania są ciągłą próbą zadośćuczynienia temu złu!

Wzięła głęboki oddech. Przeczesła palcami włosy. Wydawała się mała i zagubiona w tym obszernym, luźnym szlafroku, ciasno związanym w pasie; z miękkimi, potarganymi włosami ostrzyżonymi na pazia wyglądała jak Ganimedes. Michael ruszył ku niej, ale dziewczyna gestem kazała mu zostać na miejscu.

– Tego jest tak wiele. Wiesz, wymarzyłam sobie, że opowiem ci o tym, właśnie tobie, nikomu innemu...

– Jestem tutaj, słucham – powiedział. – Chcę, abyś mówiła... Jakimi słowami miał wyrazić swoją fascynację? Pochłonęła go całkowicie, a uczucie to zdawało się tak niezwykle po tych wszystkich rozgorączkowanych, szalonych tygodniach.

Teraz, zniżonym głosem, opowiadała o całym swoim życiu. Zawsze uwielbiała naukę, to ona była dla niej poezją. Nigdy nie myślała, że zostanie chirurgiem, pociągały ją jedynie badania naukowe, ów niewiarygodny, nieomal fantastyczny postęp, jaki dokonał się w dziedzinie neurologii. Chciała spędzić życie w laboratorium, gdzie, jak sądziła, można się było wykazać prawdziwym bohaterstwem; a ona miała do tego rzeczywisty geniusz, może jej wierzyć na słowo. Niewiarygodny talent.

Ale wtedy nadeszła ta okropna Wigilia i wydarzyło się coś strasznego. Miała

już przenieść się do Instytutu Keplera, aby na pełnym etacie pracować tam nad metodami operowania mózgu, które nie wymagają interwencji chirurgicznej, sposobami leczenia przy użyciu laserów, noży gamma, cudów, które niełatwo mogłaby objaśnić laikowi. Ostatecznie z ludźmi nigdy nie szło jej łatwo. Czyż jej miejsce nie było w laboratorium?

I niech jej Michael wierzy, najnowsze osiągnięcia pełne są wspaniałych rzeczy, jednakże jej mentor – nieważne, jak się nazywał, i tak już nie żyje, niedługo później zmarł na skutek serii drobnych zawałów. Co za ironia! Żaden chirurg na świecie nie był w stanie pospinać i pozszywać tych śmiercionośnych pęknięć... ale o tym dowiedziała się dopiero później. Wracając do jej opowieści – ten człowiek zabrał ją do filii Instytutu w San Francisco, w Wigilię, bo ze wszystkich nocy w tę właśnie nikogo tam nie było, a on przecież łamał zasady pokazując jej, nad czym pracują, zaś tym czymś były badania prowadzone na żywych ludzkich płodach.

– Zobaczyłam to maleństwo w inkubatorze. Wiesz, jak on go nazywał? Abortus. Och, niechętnie ci o tym mówię, bo wiem, jakie są twoje uczucia wobec Małego Chrisa...

Nie dostrzegła, jak Michael to wstrząsnęło. Nigdy nie opowiadał jej o swym nie narodzonym dziecku, nikomu nie wspominał o tym pieszczotliwym przezwisku. Ale Rowan najwyraźniej zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego uczuć, siedział więc w milczeniu, słuchając jej opowieści, rozmyślając niejasno o wszystkich filmach, które obejrzał, gdzie okropne wizje płodów przewijały się nieustannie. Nie przerywał jej. Chciał, aby mówiła dalej.

– A to stworzonko zachowano przy życiu – ciągnęła Rowan – po usunięciu czteromiesięcznej ciąży, i wiesz, że ten człowiek obmyślał już sposoby podtrzymywania funkcji organizmu jeszcze młodszych płodów. Mówił o hodowaniu embrionów w probówkach, z których nie miały już powracać do macicy, ale służyć jako źródło narządów. Trzeba było słyszeć jego argumenty, jak to płód odgrywa znaczącą rolę w ludzkim łańcuchu rozwojowym –

uwierzyłbyś? A teraz powiem ci coś okropnego, coś naprawdę przerażającego; otóż to wszystko było absolutnie fascynujące, uwielbiałam to. Miałam przed oczami potencjalne korzyści, które on opisywał. Wiedziałam, że pewnego dnia naukowcy będą w stanie tworzyć nowe, nietknięte mózgi dla pacjentów zapadających w śpiączkę. O Boże, wyobraź sobie to wszystko, co można by zrobić, i czego ja, biorąc pod uwagę mój talent, mogłabym dokonać!

Skinął głową.

– Rozumiem – odparł cicho. – Pojmuję ohydę takich przedsięwzięć, ale i pokusę.

– Dokładnie tak – odrzekła. – Moje nazwisko mogło być jednym z tych, które wymieniają w książkach. Urodziłam się do tego niejako. Gdy odkryłam neurologię, kiedy doszłam do niej, że tak powiem, po wszystkich przygotowaniach, to było tak, jakbym dotarła na szczyt góry i poczuła się tam jak w domu. Tak, tu jest moje miejsce.

Wschodziło słońce. Jego promienie padły na deski, na których stała. Rowan jednak zdawała się tego nie dostrzegać. Znow cicho płakała; łzy po prostu płynęły, a ona ocierała je wierzchem dłoni.

Wyjaśniła, jak w popłochu opuściła to laboratorium. Od tamtej chwili zupełnie zaniechała badań, i wszystkiego, co na tym polu można było osiągnąć; uciekła przed własnym, bezlitosnym pragnieniem, aby mieć w swej mocy te malutkie komórki płodowe, z całą ich zadziwiającą plastycznością. Czy on rozumie, że można ich używać do transplantacji całkowicie różniących się od dotychczasowych, że przeszczepione tkanki rozwijają się dalej w nowym środowisku, nie wywołując zwykłej reakcji systemu immunologicznego biorcy, że to teren badań tak niesamowicie obiecujący?

– Oto właśnie chodziło, trudno było dostrzec granice tego, czego można by dokonać. A wyobraź sobie ilość tego surowca – małą nację ludzi, idącą w miliony. Są naturalnie ustawy zakazujące uprawiania tego procederu. Wiesz, co on mi powiedział? Zabrania tego prawo, bo wszyscy wiedzą, że robi się takie

rzeczy.

– To mnie wcale nie dziwi – wyszeptał.

– Wtedy zabiłam dopiero dwoje ludzi, W głębi duszy byłam przekonana o tym. Ponieważ, widzisz, to się wiąże z moim charakterem, umiejętnością dokonania wyboru i niemożnością zaakceptowania porażki. Nazwijmy to temperamentem w najprymitywniejszej formie, a jego najbardziej dramatyczny przejaw – furia. Czy wyobrażasz sobie, jak w badaniach mogłabym spożytkować tę zdolność całkowicie samowolnego działania, przeciwstawiania się władzy, chodzenia własnymi drogami, nawet jeśli wiedzą one do niemoralnego, może nawet katastrofального celu? To nie jest po prostu siła woli, jest w tym zbyt wiele ognia, aby to tak określić.

– Determinacja – poddał.

Skinęła głową.

– Otóż chirurg jest interwencjonistą pełnym determinacji. Bierzesz nóż i mówisz: zamierzam wyciąć połowę twojego mózgu, a ty wydobrzejesz; kto miałby dość odwagi, aby zrobić coś podobnego, jeśli nie człowiek pełen determinacji, słuchający jedynie swego wewnętrznego głosu, ktoś bardzo silny.

– I Bogu dzięki za to – powiedział.

– Być może – uśmiechnęła się gorzko. – Ale pewność siebie chirurga to nic w porównaniu z tym, co obudziłoby się we mnie w laboratorium. I chcę ci powiedzieć jeszcze coś, co jak sądzę, będziesz w stanie zrozumieć ze względu na swoje ręce i te wizje. Nigdy nie powiedziałabym tego innemu lekarzowi, bo na nic by się to nie zdało.

Kiedy operuję, wyobrażam sobie to, co robię. To jest, tworzę w myślach dokładny, trójwymiarowy obraz skutków moich działań. Mój umysł posługuje się właśnie takimi szczegółowymi obrazami. Kiedy leżałeś martwy na pokładzie łodzi, a ja robiłam ci sztuczne oddychanie, wyobrażałam sobie twoje płuca i powietrze, które do nich wchodzi. A kiedy zabiłam mężczyznę w jeepie i tę małą dziewczynkę, najpierw wyobrażałam sobie, jak umierają zalani krwią



ponosząc karę. Wtedy nie miałam wystarczającej wiedzy, aby budować te wyimaginowane wizje z odpowiednią dokładnością, ale to było to samo, ten sam proces.

– Oni mogli umrzeć śmiercią naturalną. Rowan.

Potrząsnęła głową.

– Ja to zrobiłam, Michael. Ta sama potęga prowadzi mnie, kiedy operuję. Czułam ją w sobie i wtedy, kiedy ratowałam ciebie.

Michael nie powiedział nic, czekał tylko na dalszy ciąg. Spieranie się z nią było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę. Boże, ona jest chyba jedyną osobą na świecie, która naprawdę go słucha. W tej chwili nie potrzebowała kogoś, kto by się z nią kłócił. Mimo to nie był całkiem pewien, czy miała rację.

– To są rzeczy, o których nikt nie wie – ciągnęła. – Stałam w pustym domu, płakałam, na głos mówiłam do nikogo. Ellie była moją jedyną najbliższą przyjaciółką, ale nawet jej nie mogłam tego powiedzieć, i co zrobiłam? W chirurgii starałam się znaleźć odkupienie. Wybrałam najbardziej brutalny i bezpośredni sposób interwencji. Jednak wszystkie udane operacje tego świata nie mogą ukryć przede mną tego, do czego jestem zdolna. Zabiłam Grahama.

– Wiesz, myślę, że w owej chwili, kiedy byliśmy tu razem z Grahamem, wtedy chyba... wtedy chyba rzeczywiście przypomniałam sobie zdarzenie na placu zabaw, mężczyznę w jeepie. Wierzę, że... tak, wierzę, że naprawdę miałam zamiar zrobić użytek z tej potęgi, ale pamiętam jedynie nagle pojawiający się obraz arterii. Widziałam, jak pęka. I wiesz, sądzę, że zabiłam go rozmyślnie. Chciałam, żeby umarł i nie mógł zranić Ellie. Spowodowałam jego śmierć.

Przerwała, jakby nie była pewna tego, co przed chwilą powiedziała, lub właśnie zdała sobie sprawę, że to prawda. Jej wzrok poszybował za okno, ponad wody zatoki. Teraz, w promieniach słońca, woda była błękitna i przesycona oślepiającym blaskiem. Na jej powierzchni zjawilo się mnóstwo żagli. Cały dom wypełnił się otaczającymi go widokami ciemnooliwkowych wzgórz

nakrapianych białymi domami. Na tle tego wszystkiego Rowan zdawała się Michaelowi jeszcze bardziej samotna i zagubiona.

– Kiedy przeczytałam o mocy, jaką masz w rękach, byłam pewna, że jest prawdziwa – powiedziała. – Wiedziałam, przez co przechodzisz. To właśnie owe sekrety oddzielają nas od innych. Nie oczekuj, że ludzie ci uwierzą, choć w twoim wypadku widzieli to. W moim zaś nie wolno im tego ujrzeć, ponieważ to się nie może więcej przydarzyć...

– Czy tego właśnie się boisz, że to się powtórzy?

– Nie wiem. – Spojrzała na niego. – Gdy myślę o tych zgonach, targa mną ogromne poczucie winy. Nie mam żadnego celu, pomysłu, planu. To stoi pomiędzy mną a życiem. A mimo to żyję, i w dodatku lepiej niż wszyscy, których znam – zaśmiała się cicho i z goryczą. – Każdego dnia wchodzę na salę operacyjną i czuję wielkie podniecenie. Ale nie tego pragnęłabym najbardziej...

– Znowu popłynęły łzy; jej wzrok, choć spoczywał na Michaelu, zdawał się przechodzić poprzez niego. Słońce oświetlało ją teraz całą.

Tak bardzo pragnął wziąć dziewczynę w ramiona. Cierpienie Rowan było dla niego nie do wytrzymania. Nie mógł znieść widoku tych pięknych, szarych oczu zaczerwienionych i pełnych łez; skóra jej twarzy była bardzo napięta i sprawiała okropne wrażenie, kiedy bolesne zmarszczki pod wpływem płaczu nagle się zaostrzały, uwyrażniały. A potem znów, niby na skutek szoku, twarz Rowan wygładzała się.

– Chciałem ci opowiedzieć o tym wszystkim – powiedziała. Była zdezorientowana, niepewna. Głos jej się załamał. – Pragnęłam być z tobą, tobie właśnie się zwierzyć. To uczucie wzięło się zapewne z przekonania, że skoro ocalałam ci życie, może w jakiś sposób...

Tym razem nic nie mogło go powstrzymać przed zbliżeniem się do Rowan. Podniósł się powoli i wziął dziewczynę w ramiona. Tuląc ją, całował jedwabistą szyję i skąpane we łzach policzki.

– Miałaś rację – powiedział. Odsunął się i niecierpliwie ściągnąwszy

rękawice odrzucił je na bok. Przez chwilę patrzył na swoje dłonie, potem uniósł wzrok na nią.

W jej oczach dostrzegł wyraz nieokreślonego zdumienia. Łzy skrzyły się w blasku kominka. Wtedy Michael położył dłonie na jej głowie, potem dotknął włosów, policzków i wyszeptał:

– Rowan.

Siłą woli powstrzymał wszystkie przypadkowe, zwariowane obrazy; zmusił się do tego, aby widzieć teraz jedynie ją, postrzegać ją dłońmi. Raz jeszcze odniósł urocze wrażenie, jakby go pochłaniała, tak jak wtedy, w samochodzie, zdawało mu się, że otoczyła go ze wszystkich stron. A potem, wśród nagłego, gwałtownego szumu, który niby impuls elektryczny przebiegł przez jego żyły, poznał ją: czuł szczerą i intensywną jej życie, niezaprzeczalną dobroć i odwagę. Beładne, zmieniające się obrazy nie miały żadnego znaczenia. Zgadzały się z całością jego spostrzeżeń, i właśnie owa całość była istotna.

Wsunął dłonie w jej szlafrok, dotknął drobnego, szczupłego ciała, tak gorącego, tak rozkosznego w dotyku. Schyliwszy głowę pocałował czubki jej piersi. Sierota, samotna, przestraszona, a mimo to nieustępliwie silna.

– Rowan – wyszeptał raz jeszcze. – Teraz niech tylko to się liczy. Poczul, jak dziewczyna wzdycha, a potem poddaje się, niby złamana łodyga kładąca się na jego piersi. W narastającym żarze opuszczał ją wszystek ból.

\* \* \*

Michael leżał na dywaniku z głową opartą na zgiętym lewym ramieniu. W prawej ręce trzymał niedbale nad popielniczką papierosa, u boku stała filizanka parującej kawy. Jest już pewnie dziewiąta. Dzwonił do biura linii lotniczych. Mogą mu dać miejsce w samolocie, który odlatuje w południe.

Jednak kiedy myślał o opuszczeniu Rowan, ogarniał go lęk. Lubił ją bardziej niż większość ludzi, których w życiu poznał, i, co być może ściślej wiąże się ze

sprawą, był nią oczarowany, zauroczony jej oczywistą inteligencją i nieomal ponurą wrażliwością nieustannie budzącą w nim rozkoszną opiekuńczość. Delektował się tym uczuciem tak, że prawie się tego wstydził.

Skończywszy swą drugą grę miłosną rozmawiali przez wiele godzin.

Mówili spokojnie, bez pośpiechu i uniesień, każde o swoim życiu. Ona opowiedziała mu, jak dorastała w Tiburon, niemal każdego dnia wypływając łodzią i jak się czuła uczęszczając do dobrych szkół. Szczegółowo i z większym opanowaniem opisywała swoje życie zawodowe, młodzieńcze uwielbienie dla prac badawczych, marzenia o stworzeniu czegoś na miarę Frankensteina. Potem przyszło odkrycie talentu, jaki przejawiała na sali operacyjnej. Bez wątplenia była nieprawdopodobnie dobrym chirurgiem. Nie odczuwała potrzeby, aby się tym chlępić; opisywała po prostu swoją pracę – podniecenie, jakie w niej budziła, ową natychmiastową satysfakcję i, po śmierci rodziców, niemal rozpaczliwą potrzebę ciągłego operowania, chodzenia po oddziałach, pracowania od świtu do nocy. W niektóre dni rzeczywiście operowała aż do kresu fizycznej wytrzymałości. Było to tak, jakby jej ręce i umysł funkcjonowały oddzielnie od reszty.

On opowiedział jej o swoim świecie, zwięźle i cokolwiek lekceważąco wobec samego siebie; odpowiadał na pytania, ucieszony widocznym zainteresowaniem. „Klasa pracująca”, wyjaśnił. Jakżeż ją to zaciekawiło. Jak się żyło tam, na południu? Mówił o wielodzietnych rodzinach, hucznych pogrzebach, wąskim domku z przechodnimi pokojami i podłogami wyłożonymi linoleum, dziwaczkach w ogródku wielkości znaczka pocztowego. Czy to się jej wydaje cudaczne? Może teraz i jemu przedstawiało się to podobnie, chociaż z bólem o tym myślał, bo tak bardzo pragnął wrócić do domu.

– Tu nie chodzi tylko o moją tajemniczą misję, o te wizje i tak dalej. Chcę tam wrócić, znów przejść się ulicą Zwiastowania...

– Czy tak nazywała się ulica, na której się wychowywałeś? Jak ślicznie.

Nie wspomniał ani słowem o chwastach w rynsztoku, mężczyznach

przesiadujących na schodkach z puszkami piwa, zapachu gotowanej kapusty, którego nigdy nie można było się pozbyć, o pociągach, z których powodu grzechotały szyby.

Nieco łatwiej przyszło mu mówić o swoim życiu tutaj, o Elizabeth, o Judith i aborcji, która zniszczyła ich wspólne życie; opowiadał o kilku ostatnich latach, ich osobiwej pustce, i wrażeniu, jakby na coś czekał, chociaż nie wiedział, na co. Mówił o domach i o swojej miłości do nich; o zróżnicowanej architekturze San Francisco: wielkich budowlach w stylu królowej Anny albo pseudowłoskim, o hotelu na ulicy Unii, nad którym tak bardzo chciał pracować... a potem rozpoczął opowieść o domach, które naprawdę kochał, wielkich, starych rezydencjach z Nowego Orleanu. Potrafił zrozumieć, że w domach przebywają duchy, gdyż domy to coś więcej niż siedliska, i nic dziwnego, że umieją ukraść człowiekowi duszę.

Była to łatwa wymiana zdań, pogłębiająca ich wiedzę o sobie i zwiększająca zażyłość, którą już odczuwali. Podobało mu się, jak mówiła o morzu; o samotności osoby stojącej na mostku, z filiżanką kawy w ręku, o wietrze wyjącym wokół sterówki. Nie lubił tego, ale opisów słuchał z przyjemnością. Podziwiał wyraz jej szarych oczu, prostotę swobodnych, niespiesznych gestów.

Zapędził się nawet w zwariowane opowieści o filmach, o powtarzających się wątkach mściwych niemowląt i dzieci, o tym, jakie uczucia budziły w nim podobne tematy – zupełnie jakby wszystko wokoło przemawiało do niego. Być może stąd tylko krok do wariatkowa; zastanawiał się jednak, czy pacjenci domu wariatów nie znaleźli się tam dlatego, że wzięli zbyt dosłownie schematy, które postrzegali? Co ona na to? A śmierć, no cóż, wiele myślał na ten temat, ale przede wszystkim przyszła mu niedawno do głowy taka myśl, jeszcze przed wypadkiem, że śmierć innej osoby to być może jedyne prawdziwe zjawisko nadprzyrodzone, w jakim uczestniczymy.

– Nie mówię teraz o lekarzach, lecz o zwykłych ludziach w nowoczesnym świecie. Chodzi mi o to, że kiedy patrzysz na takie ciało i zdajesz sobie sprawę,

że opuściło je życie, a ty możesz na nie wrzeszczeć, bić je, próbować posadzić, zresztą robić z nim, co ci tylko przyjdzie do głowy, a ono i tak jest martwe, absolutnie i jednoznacznie martwe...

– Wiem, o czym mówisz.

– A musisz pamiętać, że większość z nas widuje coś takiego raz lub dwa na dwadzieścia lat, a być może nigdy. Przecież w Kalifornii w obecnych czasach rozwija się cała cywilizacja ludzi, którzy nigdy nie byli świadkami śmierci. Oni nawet nie oglądają martwego ciała! Kiedy usłyszą, że ktoś nie żyje, myślą sobie, że zapomniał o jedzeniu zdrowej żywności, albo nie uprawiał joggingu tak jak powinien...

Rowan roześmiała się cicho.

– Każda cholerna śmierć to morderstwo. Jak myślisz, dlaczego my, lekarze, jesteśmy stałym obiektem nieprzerwanych ataków prawników?

– Dokładnie – ale chodzi o coś jeszcze głębszego. Ci ludzie nie wierzą, że prędzej czy później muszą odejść z tego świata! A kiedy ktoś inny umiera, cała ceremonia odbywa się za zamkniętymi drzwiami, przy zatrzaśniętej trumnie. Oczywiście, jeśli ten biedny dureń strzelił gafę żądając trumny i pogrzebu, których naturalnie nie powinien był chcieć. Niech to raczej będzie uroczystość żałobna w jakimś modnym lokalu, przy suszi i białym winie, gdzie ludzie nie chcą nawet powiedzieć głośno, po co tam są! Ja przecież bywałem w Kalifornii na tego typu uroczystościach, na których nikt nawet nie wspomniał o nieboszczyku! Ale jeśli naprawdę to zobaczysz... i nie jesteś lekarzem, ani pielęgniarką, ani przedsiębiorcą pogrzebowym... no cóż, to jest zjawisko nadprzyrodzone pierwszej wody, i najprawdopodobniej jedyne, jakie kiedykolwiek będzie ci dane oglądać.

– Wobec tego pozwól, że ci opowiem o jeszcze jednym zjawisku nadprzyrodzonym – rzekła z uśmiechem. – Ma ono miejsce wtedy, kiedy jedno z owych martwych ciał leży na pokładzie twojej łodzi, a ty bijesz je i gadasz do niego... a potem nagle oczy się otwierają i trup ożywa.

Mówiąc to uśmiechnęła się do niego prześlicznie. Znow zaczął ją całować i tak właśnie zakończyła się ta część rozmowy. Rzecz jednak w tym, że jej przez to zwariowane gadanie nie utracił. Cały czas czuł z nią bliski kontakt.

Ale dlaczego radość wspólnego przebywania musi być zakłócana przez coś innego? Skąd to wrażenie, że przeżywają ukradzione chwile?

\* \* \*

Nadal leżał na dywaniku, myśląc teraz o tym, jak bardzo lubi tę dziewczynę. Niepokoił go jej smutek i samotność. Nie chciał jej opuszczać, chociaż wiedział, że musi.

Umysł miał wyjątkowo jasny. Przez całe lato nie spędził jeszcze tyle czasu bez alkoholu. A przy tym miło było myśleć przytomnie. Rowan właśnie ponownie napełniła mu filiżankę kawą. Smakowało świetnie. Jednak trzeba włożyć rękawice, bo znow z wszystkich przedmiotów odbierał te przypadkowe, głupie obrazy – Graham, Ellie, i mężczyźni, mnóstwo przystojnych mężczyzn – kochanków Rowan, to było całkowicie jasne. Zbyt jasne, prawdę mówiąc.

Na wschodzie słońce lało żar przez okna i świetliki. Michael słyszał, jak Rowan pracuje w kuchni. Doszedł do wniosku, że powinien wstać i pomóc jej, niezależnie od tego, co powiedziała, choć trzeba przyznać, przedstawiła sprawę w sposób bardzo przekonujący: Lubię gotować, to jak chirurgia. Zostań tam, gdzie jesteś.

Michael myślał o tym, że w ciągu tych wszystkich tygodni nic nie miało najmniejszego znaczenia do momentu pojawienia się Rowan. Ona jedna potrafiła odciągnąć myśli od wypadku i od niego samego. A była to taka ulga, skoncentrować się na kimś innym, nie na sobie. W istocie, rozważywszy to ze świeżo zdobytą jasnością umysłu, zdał sobie sprawę, że odkąd się tu znalazł, potrafi dobrze skupić uwagę – na ich rozmowach, miłosnych igraszkach, na poznawaniu siebie nawzajem; a to było coś zupełnie nowego, ponieważ przez

ten cały czas spędzony w domu na ulicy Wolności niemożność koncentracji – nie był w stanie przeczytać więcej niż jedną stronę książki, ani nadażyć za akcją jakiegokolwiek filmu – wprowadziła go w stan nieustannego podrażnienia. To było równie męczące jak brak snu.

Zdał sobie sprawę, że nigdy przedtem wiedza o innym człowieku nie rozpoczęła się dla niego na tak wysokim poziomie i nie osiągnęła takiej głębi. Ponoć podobne rzeczy zdarzają się podczas stosunku, ale w rzeczywistości rzadko tak bywa. Zupełnie stracił z oczu fakt, że to kobieta, która go uratowała; to znaczy, silna świadomość jej indywidualności wymazała owo niejasne bezosobowe podniecenie, jakie odczuwał spotkawszy się z nią po raz pierwszy. Michael zaczął tworzyć w wyobraźni szalone fantazje na jej temat.

Jak mógłby nadal ją poznawać, może nawet w końcu pokochać, posiadać ją, a jednocześnie wykonać to drugie zadanie, które wykonać powinien? Nadal przecież musi wrócić do domu, aby poznać cel.

A co do faktu, że ona urodziła się na południu, to było nieistotne. Zbyt wiele obrazów z przeszłości wypełniało jego umysł, zaś jednoczące je poczucie przeznaczenia było zbyt silne, aby mogło mieć swoje źródło w przypadkowym wspomnieniu stron rodzinnych, które przyszło do niego przez nią. Poza tym zeszłej nocy na pokładzie łodzi niczego podobnego nie wyczuł. Wiedza o niej, tak, tę posiadał, nadal jednak sądził, że i to jest podejrzone, nie doznał bowiem głębokiego olśnienia, nie było żadnego „och, tak!”, kiedy opowiadała mu swoją historię. Jedyne pozytywne fascynacja. W jego potędze nie było nic naukowego; być może jest ona fizyczna i w rezultacie wymierna, niewykluczone nawet, iż da się ją kontrolować za pomocą jakiegoś paraliżującego leku, ale to nie zmienia faktu, że nie ma nic wspólnego z nauką. Bardziej przypominała sztukę, malarstwo lub muzykę.

Rzecz jednak w tym, że musiał odjechać, a nie chciał. Niespodziewanie zbudziło to w nim smutek, smutek nieomal rozpaczliwy, zupełnie jakby jakieś fatum ciążyło nad nimi obojgiem.



Podczas tych wszystkich minionych tygodni, gdybyż tylko mógł być widywać Rowan, przebywać z nią. Nagle przyszła mu do głowy bardzo dziwna myśl. Gdybyż tylko ten okropny wypadek się nie wydarzył, a on spotkałby ją w jakimś zwykłym, normalnym miejscu i tam właśnie rozpoczęliby rozmowę. Ona była jednak nierozzerwalnie związana z tym wszystkim, jej niezwykłość i siła to część tej przygody. Zupełnie sama na tej okropnej, wielkiej łodzi, właśnie wtedy, gdy zapadła ciemność. Któż inny, u diabła, mógłby tam być i wydostać go z wody? Ach, z łatwością przyszło mu uwierzyć w to, co mówiła o determinacji, o swoich mocach.

Kiedy bardziej szczegółowo opisywała mu akcję ratunkowa powiedziała coś dziwnego. Stwierdziła, że w zimnej wodzie człowiek traci przytomność niemal natychmiast. A jednak ona sama wpadła prosto do tej wody i nic. Powiedziała jedynie:

– Nie wiem, jak dotarłam do drabinki, naprawdę nie wiem.

– Czy myślisz, że zadziałała twoja moc? – zapytał. Zastanawiała się przez chwilę, potem odrzekła:

– Tak i nie. To znaczy, może po prostu miałam szczęście.

– Cóż, jeśli o mnie chodzi, miałem szczęście, bez dwóch zdań – odparł i mówiąc to doznał nadzwyczajnego uczucia wewnętrznego zadowolenia – a nie był wcale pewien, dlaczego.

Może ona wiedziała, bo odezwała się:

– Boimy się tego, co nas od ludzi różni.

Przyznał jej rację.

– Wiele osób posiada takie zdolności – powiedziała. – Lecz na czym one polegają, jak je zmierzyć? Pewne jest, że są częścią tego, co się między ludźmi dzieje. Widuję to w szpitalu. Niektórzy lekarze wiedzą różne rzeczy, choć nie potrafią ci powiedzieć, skąd. Tak samo w przypadku pielęgniarek. Wyobrażam sobie, że istnieją też tacy, którzy wiedzą nieomylnie, kiedy ktoś jest winny; albo czy ława przysięgłych zagłosuje za, czy przeciw; a jednak nie potrafią ci

powiedzieć, skąd się bierze ta ich pewność.

Rzecz w tym, że pomimo wszystkiego, czego się o sobie dowiadujemy, co kodyfikujemy, klasyfikujemy, definiujemy, nadal otacza nas bezmiar tajemnic. Weź na przykład badania genetyczne. Człowiek tak wiele dziedziczy – nieśmiałość, upodobanie do niektórych imion, do danego gatunku mydła – to wszystko może być dziedziczne. Ale co jeszcze? Jakie niewidzialne siły dostajemy w spadku genetycznym? Oto dlaczego drażni mnie fakt, że tak naprawdę nie znam swojej rodziny. Nic a nic o nich nie wiem. Ellie była jakąś daleką kuzynką.

Tak, zgadzał się z tym wszystkim. Opowiedział jej nieco o swoim ojcu i dziadku, o tym, że jest do nich bardziej podobny, niż byłby gotów się przyznać.

– Ale trzeba wierzyć, że człowiek może zmienić cechy dziedziczne, że jest w stanie przekształcić owe magiczne składniki – dodał Michael. – Bo jeśli nie, to nie ma nadziei.

– Oczywiście, że można – odparła. – Tobie się udało, nieprawdaż? Chciałabym ufać, że i ze mną jest podobnie. Może to zabrzmie niemądrze, ale wierzę, że powinniśmy...

– Dokończ

– ... starać się osiągnąć doskonałość – rzekła spokojnie. – To znaczy, czemu nie?

Zaśmiał się wtedy, ale to nie była kpina. Myślał o czymś, co niegdyś powiedział mu jeden z jego przyjaciół który pewnej nocy wysłuchawszy paplaniny Michaela o tym, jak to nikt nie rozumie historii, nikt nie wie dokąd zmierzamy, ponieważ do końca nie znamy procesu dziejów – powiedział:

– Michael, ty jesteś osobliwym mówcą – wyjaśniając jednocześnie, że zdanie to pochodzi z „Orfeusza w piekle”, sztuki Tennessee Williamsa. Michael zachował w sercu ten komplement i miał nadzieję, że i ona go tak potraktuje.

– Rowan, ty jesteś osobliwym mówcą – rzekł, objaśniając wypowiedź, podobnie jak wcześniej uczynił to jego przyjaciel.

Rozśmieszyło to do ją do łez.

– Może właśnie dlatego jestem ta małomówna – stwierdziła. Nie chcę nawet zaczynać. Chyba trafiłeś w sedno. Jestem osobliwym mówcą, i dlatego właśnie w ogóle się nie odzywam.

Rozmyślał teraz nad tym, zaciągając się papierosem. Byłoby uroczo, gdyby mógł z nią zostać. Jednak uczucie, że musi wracać nie opuszczało go.

– Włóż jeszcze jedno polano do ognia – Powiedziała, przerywając jego zadumę – śniadanie gotowe.

Nakryła stół przy oknie, Jajecznica, jogurt, cząstki świeżych pomarańczy iskrzące się w słońcu, bekon, parówki i gorące bułeczki prosto z piekarnika.

Rowan naląła kawę i sok pomarańczowy. Potem przez całe pięć minut, nie odezwawszy się ani słowem, Michael po prostu jadł. Nigdy jeszcze nie był tak głodny. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoją kawę. Nie, nie miał ochoty na piwo. Wypił kawę, a Rowan ponownie napełniła mu filiżankę.

– To było po prostu cudowne – pochwalił.

– Zostań – powiedziała – A ja ugotuję ci obiad i śniadanie jutro rano.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Przez chwilę wpatrywał się w dziewczynę, starając się dostrzegać ją nie tylko jako piękność i obiekt pożądania, ale również zobaczyć, jak ona naprawdę wygląda. Prawdziwa blondynka, pomyślał, cała gładziutka, prawie bez meszku na twarzy i ramionach. Urocze ciemnopopielate brwi i czarne rzęsy, przy których jej oczy wydawały się jeszcze bardziej szare. W zasadzie miała twarz zakonnicy. Ani śladu makijażu, a jej podłużne, pełne usta wydawały się jakoś dziewicze, jak u małych dziewczynek, zanim zaczną je malować. Żałował, że nie może po prostu siedzieć tu przy niej aż do końca świata...

– Ale ty i tak odjedziesz – powiedziała. Skinął głową.

– Muszę – wyjaśnił. Zamyśliła się.

– Co z wizjami? – zapytała. – Czy chcesz o nich porozmawiać? Zawahał się.

– Za każdym razem, kiedy staram się je opisać, kończy się to zawodem –

wyjaśnił. – A poza tym, no cóż, to ludzi odstręcza.

– Mnie nie odstręczy – odparła. Wydawała się teraz całkowicie opanowana; ręce skrzyżowane na piersi, włosy ślicznie rozczochrane, na stole przed nią filiżanka gorącej kawy. Przypominała bardziej ową zdecydowaną i stanowczą kobietę, którą po raz pierwszy spotkał poprzedniego wieczora.

Wierzył w to, co powiedziała. Jednakże na tak wielu twarzach widywał już wyraz niedowierzania, a później obojętności. Poprawił się na krześle i przez chwilę patrzył na krajobraz za oknem. Na wodach zatoki zgromadziły się chyba wszystkie żaglówki świata. Dostrzegł też mewy, które fruwały nad przystanią w Sausalito niby małe skrawki papieru.

– Wiem, że całe to doświadczenie trwało długo – powiedział. – Trudno mi dokładnie określić ile godzin, bowiem czas nie mieści się w nim jako parametr. – Zerknął na nią. – Wiesz, co mam na myśli. To tak jak dawno temu, kiedy elfy wywabiały ludzi. No wiesz, wieśniacy wychodzili, żeby spędzić z nimi dzień, ale kiedy wracali do domu okazywało się, że byli nieobecni przez pięćdziesiąt lat.

Rowan zaśmiała się cicho.

– Czy to irlandzka opowieść?

– Tak, usłyszałem ją od pewnej zakonnicy pochodzącej z Irlandii – przyznał. – Miała zwyczaj opowiadać nam niesamowite rzeczy – Mówiła na przykład, że w Dzielnicy Ogrodów mieszkają czarownice, które złapią nas, jeśli będziemy tam chodzić po ulicach...

A pomyśl tylko, jak ciemne są owe ulice, jak ponuro piękne, niby zwrotki „Ody do słowika”: Okryty mrokiem słucham...

– Wybacz – powiedział. – Zamyśliłem się. Czekala w milczeniu.

– W tych wizjach widziałem wielu ludzi – ciągnął. – Ale najwyraźniej zapamiętałem ciemnowłosą kobietę. Teraz nie mogę przywołać jej obrazu, ale wiem, że była mi równie znajoma jak ktoś, kogo bardzo dobrze znałem przez całe życie. Teraz wiem również, że znałem i ciebie. Wiedziałem, jak masz na

imię. Ale nie mam pojęcia, czy to było w środku, czy też tylko na końcu, wiesz, tuż przed tym, jak mnie uratowałaś, kiedy być może w jakiś sposób wiedziałem, że nadpływa łódź i ty tam jesteś – Tak, to prawdziwa zagadka, pomyślał.

– Mów dalej.

– Podejrzewam, że mogłem powrócić i żyć dalej, nawet gdybym odmówił zrobienia tego, czego ode mnie wymagali. Ale ja pragnąłem podjąć się tej misji, chciałem wypełnić ten cel. I zdawało mi się... miałem wrażenie, że to, czego ode mnie chcą, każdy ujawniony szczegół i w ogóle wszystko jest całkowicie powiązane z moją przeszłością, z tym, kim byłem. Rozumiesz mnie?

– Właśnie dlatego wybrali ciebie.

– Tak, dokładnie o to chodzi. Ja byłem odpowiednim kandydatem, ponieważ jestem, kim jestem. Tylko nie zrozum mnie źle. Wiem, że to przypomina brednie wariata, gadanie schizofrenika, który słyszy głosy nakazujące mu ocalić świat – zdaję sobie z tego sprawę. Jest takie stare powiedzonko, które powtarzają sobie moi przyjaciele z myślą o mnie.

– Jakie?

Poprawił okulary i obdarzył ją swoim najładniejszym uśmiechem.

– Michael nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Roześmiała się w najbardziej uroczy sposób.

– Wolne żarty – powiedziała. – Wyglądasz tak dobrze, że aż nie do wiary.

Strząsnęła popiół z papierosa.

– Sam wiesz, jaki jesteś przystojny. Ja nie muszę ci mówić. Co jeszcze sobie przypominasz?

Zawahał się, wręcz zelektryzowany tym komplementem. Czy już czas znów udać się do łóżka? Nie, już niedługo będzie miał samolot.

– Coś związanego z bramą – powiedział. – Mógłbym przysiąc Ale teraz znów nie jestem w stanie zobaczyć tych rzeczy. Rozmywają mi się nieustannie. Wiem jednak, że była z tym związana liczba. No i klejnot. Piękny klejnot. Nie mogę już nawet nazywać tego wspomnieniem. To bardziej jak wiara. Ponadto

wszystko to wiąże się z powrotem do domu, ze świadomością, że muszę zrobić coś niebywale ważnego, a Nowy Orlean jest częścią tego zadania, i ta ulica, po której zazwyczaj chodziłem, kiedy byłem dzieckiem.

– Ulica?

– Ulica Pierwsza. To śliczny odcinek, biegnący od Sklepowej do alei św. Karola. Niedaleko miejsca, gdzie dorastałem, może pięć domów dalej, jest stara, bardzo stara część miasta, którą nazywają Dzielnicą Ogrodów.

– To tam, gdzie mieszkają czarownice – poddała.

– Och, tak, oczywiście, więdźmy z Dzielnicy Ogrodów – odparł z uśmiechem. – Przynajmniej według siostry Bridget Marie.

– Czy ta okolica to ponure, zakłęte miejsce? – zapytała.

– Nie, w zasadzie nie – odparł. – Ale jest to trochę jak ciemny kawałek lasu w samym środku miasta. Ogromne drzewa, nie uwierzyłabyś. Tu – a może i nigdzie w Ameryce – nie ma nic, co można by z tym porównać. A tamtejsze domy to miejskie budynki, no wiesz, stoją tuż przy chodnikach, ale są takie duże, i nie łączą się ze sobą. Otaczają je ogrody. Jest tam jeden dom, ten który mijalem wiele razy, bardzo wąski, wysoki budynek. Miałem zwyczaj zatrzymywać się i przyglądać mu. Na jego żelaznym ogrodzeniu jest wzór rozety. No cóż, ciągle mam go przed oczami – od czasu wypadku – i wciąż myślę, że muszę wrócić, wiesz, bo to wydaje się takie naglące. I nawet teraz czuję się winny, że siedzę tu, a nie w samolocie.

Przez twarz Rowan przemknął cień.

– Chciałabym, żebyś tu został na jakiś czas – powiedziała. Piękny, głęboki, matowy głos. – Ale nie chodzi tylko o to, że ja tego chcę. Nie jesteś w dobrej kondycji. Potrzebujesz odpoczynku, prawdziwego, bez butelki.

– Masz rację, ale nie mogę tego zrobić, Rowan. Nie, nie jestem w stanie wytłumaczyć napięcia, jakie odczuwam. Ono nie ustąpi, póki nie wrócę do domu.

– No właśnie, i jeszcze to, Michael. Dlaczego nazywasz to miasto domem?

Nikogo tam nie znasz.

– O, to jest mój dom, kotku, naprawdę. Wiem o tym – roześmiał się. – Zbyt długo żyłem na wygnaniu. Zresztą jeszcze przed wypadkiem zdawałem sobie z tego sprawę. W dniu utonięcia zbudziłem się o poranku i, śmieszna rzecz, myślałem o domu. Wspominałem wyprawę nad Zatokę Meksykańską, gdzie nawet o zachodzie słońca było ciepło, naprawdę ciepło...

– Czy zdołasz trzymać się z daleka od kieliszka, kiedy stąd wyjedziesz?

Westchnął. Z rozmysłem obdarzył ją jednym ze swoich najwspanialszych uśmiechów – tych, które zawsze działały w przeszłości – a potem mrugnął do niej.

– Chce pani usłyszeć irlandzkie łgarstwa, moja damo, czy też prawdę?

– Michael... – W jej głosie zabrzmiała nie tylko dezaprobata, ale i rozczarowanie.

– Wiem, wiem – powiedział. – Masz rację we wszystkim, co mówisz. Słuchaj, nie zdajesz sobie sprawy, jak dużo dla mnie zrobiłaś, już przez to tylko, że wyciągnęłaś mnie za drzwi, a potem wysłuchałaś. Chciałbym móc zrobić to, co tylko każesz...

– Opowiedz mi jeszcze o tym domu – poprosiła. Zamyślił się, zanim rozpoczął.

– To styl klasycy styczny – czy wiesz, co to jest? – ale nieco odmienny. Miał ganki po bokach i od frontu, prawdziwe nowoorleańskie ganki. Trudno jest opisać taki dom komuś, kto nigdy nie był w Nowym Orleanie. Czy widziałaś kiedyś zdjęcia...?

Potrząsnęła głową.

– Ellie nie była w stanie rozmawiać na ten temat – rzekła.

– Rowan, to niesprawiedliwe. Wzruszyła ramionami.

– No nie, naprawdę.

– Ellie chciała wierzyć, że byłam jej własną córką. Kiedy pytałam o swoich biologicznych rodziców, myślała, że jestem nieszczęśliwa, że nie dość mnie

kochała. Na próżno próbowałam jej to wyperswadować. – Wypiła trochę kawy. – Przed ostatnim wyjazdem do szpitala spaliła w końcu całą zawartość swojego biurka. Widziałam, jak to robiła. Ogień pochłaniał fotografie, listy, najróżniejsze rzeczy. Nie miałam pojęcia, że to było wszystko. A może po prostu nie zastanawiałam się nad tym, jedno z dwojga. Ona wiedziała, że już nie wróci. – Przerwała na minutę i naląła jeszcze kawy do filiżanek.

– Potem, po śmierci Ellie nie mogłam nawet znaleźć adresu jej tamtejszych krewnych. Jej prawnik nie miał nawet najdrobniejszej informacji. Powiedziała mi, że nie chce, aby kontaktowano się z kimkolwiek stamtąd. Wszystkie jej pieniądze dostałam ja. A przecież odwiedzała tych ludzi z Nowego Orleanu. Dzwoniła do nich. Nigdy nie mogłam tego pojąć.

– To bardzo smutne, Rowan.

– Ale dość rozmawialiśmy o mnie. Pomówmy teraz jeszcze o tym domu. Co sprawiło, że nadal go pamiętasz?

– Zabudowania w Nowym Orleanie nie są podobne do tych tutaj – wyjaśnił. – Każdy dom ma osobowość, charakter. A tamten, no cóż, jest posępny i masywny, na swój sposób wspaniale mroczny. Postawiono go zaraz na rogu, tak że jedna jego ściana dochodzi do chodnika bocznej uliczki. Bóg jeden wie, jak ja kochałem tę tajemniczą rezydencję. Mieszkał tam mężczyzna przypominający postać z powieści Dickensa, przysięgam, wysoki, dżentelmen pierwszej wody, jeśli wiesz, co mam na myśli. Widywałem go zazwyczaj w ogrodzie... – zawahał się; coś było bardzo blisko, coś tak ważnego...

– Co się stało?

– Znowu odniosłem wrażenie, że to wszystko ma coś wspólnego z nim i z tym domem. – Zadygotał, jakby przejął go chłód, chociaż tak nie było. – Nie mogę tego rozgryźć – dodał. – Wiem jednak, że mężczyzna jakoś się z tym łączy. Nie sądzę, aby ci ludzie, których widziałem w wizjach, chcieli, żebym zapomniał. Myślę, że zależało im na moim szybkim działaniu, bo coś ma się wydarzyć.



– Co to by mogło być? – zapytała łagodnie.

– Nie wiem, ale z całą pewnością ma to związek z tamtym domem – odparł.

– Dlaczego mielibyście chcieć, abys pojechał do tej rezydencji? – zapytała. I tym razem pytanie było łagodne, nie prowokacyjne.

– Ponieważ jestem w stanie tam coś zrobić, na coś wpłynąć – Spojrzał na swoje dłonie, tak niepokojące w czarnych rękawicach. – I znów wszystkie elementy łamigłówek zaczęły do siebie pasować. Wyobraź sobie cały świat zbudowany z drobnych cząstek – i nagle ich wielka liczba przemienia się w światelka, a ty dostrzegasz... dostrzegasz...

– Plan?

– Dokładnie tak. No cóż, moje życie było częścią większego planu. – Pociągnął jeszcze jeden łyk kawy. – I jak myślisz? Jestem szalony?

Potrząsnęła głową.

– To wydaje się zbyt specjalne.

– Specjalne?

– Chciałam powiedzieć: specyficzne.

Zaśmiał się zdumiony. Podczas tych wszystkich tygodni nikt nie powiedział mu czegoś podobnego. Rowan zgasła papierosa.

– Czy często myślałeś o tym domu w ciągu ostatnich kilku lat?

– Nie – odparł. – Nigdy o nim nie zapominałem, ale też i wiele o nim nie rozmyślałem. No, może od czasu do czasu, zapewne kiedy wspominałem Dzielnicę Ogrodów, wtedy przypominał mi się ten dom. Powiedzmy, że to miejsce, które człowieka prześladowa.

– Ale pamięć o nim nie była dla ciebie obsesją do czasu owych wizji.

– Z całą pewnością – odparł. – Mam i inne wspomnienia z rodzinnych stron, ale wspomnienie tego budynku jest najbardziej intensywne.

– A jednak kiedy myślisz o swoich wizjach, nie przypominasz sobie, żeby była mowa o tym domu...

– Nic podobnie wyraźnego. Jednakże... – I znów nawiedziło go dobrze znane

uczucie. Nagle jednak zląkł się potęgi sugestii. Zdawać by się mogło, że powraca cała niedola ostatnich tygodni. A mimo to dobrze było wiedzieć, że mu uwierzyła, słuchać jej słów. Podobał mu się ten swobodnie władczy sposób bycia Rowan, który był pierwszą cechą, jaką dostrzegł poprzedniego wieczoru.

Patrzyła na niego tak, jakby nadal słuchała, chociaż on przestał mówić. Pomyślał o tych dziwnych, ulotnych mocach, które zamiast rzeczy rozjaśniać, wprowadzały całkowite zamieszanie.

– A więc co mi dolega? – zapytał. – To znaczy jako lekarz, znawca mózgu, co o tym myślisz? Co powinienem zrobić? Dlaczego wciąż mam przed oczami ten dom i tego mężczyznę? Dlaczego czuję, że powinienem teraz być w Nowym Orleanie, na ulicy Pierwszej?

Milcząca, nieruchoma, Rowan pogrążyła się w myślach. Wielkie szare oczy utkwiała w jakiś odległy punkt za szybą, długie, szczupłe ramiona skrzyżowała na piersiach. Wreszcie odrzekła:

– No cóż, musisz tam wrócić, co do tego nie ma wątpliwości. Nie spocziesz, póki tam nie pojedziesz. Odszukaj ten dom. Kto wie? Może go wcale nie ma. Albo kiedy go zobaczysz, nie odczujesz niczego specjalnego. Być może istnieje jakieś psychologiczne wyjaśnienie dla tej idee fixe, ale nie wydaje mi się. Przypuszczam, że naprawdę coś zobaczyłeś, gdzieś się udałeś. Wiemy, że podobne rzeczy zdarzają się wielu ludziom, a przynajmniej oni tak twierdzą, kiedy powrócą. Możliwe jednak, że interpretujesz zjawisko w niewłaściwy sposób.

– Nie da się ukryć, że niewiele mam faktów, na których mogę się oprzeć – przyznał.

– Czy sądzisz, że to oni spowodowali wypadek?

– Boże, nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałem.

– Nie?

– Owszem myślałem sobie, no cóż, przytrafił mi się wypadek, oni tam byli, nagle nadarzyła się sposobność. Podejrzenie, że ludzie z wizji spowodowali ten

wypadek, byłoby okropne. Wiele by to zmieniło, nieprawdaż?

– Nie wiem. Jednak oto, co mnie trapi: jeśli oni są potężni, niezależnie od tego, kim są, jeśli byli w stanie powiedzieć ci coś ważnego, co wiąże się z celem, jeśli zdołali cię utrzymać przy życiu, kiedy powinieneś był umrzeć, jeśli potrafili włączyć w to akcję ratunkową, cóż, dlaczego nie mogliby spowodować wypadku i sprawić, że utraciłeś pamięć?

Michael zaniemówił.

– Naprawdę nigdy o tym nie pomyślałeś?

– Nie – wyszeptał. Rowan znów zaczęła mówić, ale on drobnym, grzecznym gestem poprosił ją, aby zaczekała. Starał się znaleźć słowa, aby wyrazić to, co chciał powiedzieć. – Wyobrażam ich sobie inaczej – powiedział. – Wierzyłem, że zarówno duchowo, jak i fizycznie istnieją w innym wymiarze. Że są...

– Istotami wyższymi?

– Tak. I że mogli się do mnie zbliżyć, poznać mnie, zajmować się mną, kiedy znalazłem się blisko nich, pomiędzy życiem a śmiercią. To było doznanie mistyczne, oto co chciałem powiedzieć. Szkoda jednak, że nie mogę znaleźć innego określenia. Był to kontakt, który zaistniał jedynie dlatego, że w sensie fizycznym byłem martwy.

Rowan czekała.

– Chodzi mi o to, że oni należą do innego rodzaju istot. Nie mogliby sprawić, że człowiek spada ze skały i topi się w morzu. Bo jeśli potrafiliby robić takie rzeczy w świecie materialnym, cóż, po co, na Boga, ja byłbym im potrzebny?

– Rozumiem twój punkt widzenia – odparła. – Jednakże...

– Co?

– Zakładasz, że są to istoty wyższe. Mówisz o nich, jakby byli dobrzy. Jesteś wręcz przekonany, że powinieneś zrobić to, czego od ciebie chcą.

Raz jeszcze Michael zaniemówił.

– Słuchaj, może ja nie wiem, o czym mówię... – dodała.

– Nie, wręcz przeciwnie – odrzekł. – I masz rację. Tak właśnie zakładałem. Ale, Rowan, widzisz, to kwestia odczucia. Ocknąłem się mając świadomość, że są dobrzy, a ja powróciłem z potwierdzeniem ich dobroci, a ów cel to coś, na co się zgodziłem. I nie kwestionowałem tych założeń. A to, co ty sugerujesz, sprowadza się do tego, że być może powinienem.

– Nie zamierzam się przy tym upierać. Ale wiesz przecież, co ci mówiłam o chirurgach. My wkraczamy wymachując, nawet nie pięścią, ale nożem.

Roześmiał się.

– Nie masz pojęcia, jak wiele dla mnie znaczy, że mogę porozmawiać na ten temat, tak po prostu myśleć na głos. – Nagle jednak uśmiech spelzł z jego twarzy, gdyż mówienie o tym w ten sposób było również bardzo niepokojące, a ona o tym wiedziała.

– I jeszcze coś – rzekła.

– A mianowicie?

– Za każdym razem, kiedy wspominasz o właściwościach swoich rąk, dodajesz, że to nie ma znaczenia. Twierdzisz, że wizje są najważniejsze. Ale czy te rzeczy nie są powiązane? Dlaczego nie wierzysz, że to te wyższe istoty dały ci tę moc?

– Nie wiem – odparł. – Czasem zastanawiałem się nad tym. Nawet przyjaciele podsuwali mi podobną myśl. Ale to mi nie pasuje. Ja odczuwam tę zdolność jako zawadę. Chodzi o to, że ludzie z mego otoczenia chcą, abym używał tej mocy, a gdybym zaczął to robić, nigdy nie wróciłbym do domu.

– Rozumiem. A kiedy zobaczysz ten budynek, czy dotkniesz go dłońmi?

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Musiał przyznać, że czegoś takiego sobie nie wyobrażał. Wyjaśnienie sytuacji wydawało mu się bardziej bezpośrednio i cudowne. – Tak, sądzę, że to zrobię. Dotknę bramy, jeśli będę mógł. Wejdę po schodach i położę dłonie na drzwiach.

Czemu go to zatrwożyło? Widok tego domu oznaczał coś cudownego, ale dotykanie przedmiotów... Potrząsnął głową i skrzyżował na piersi ramiona,

poprawiając się w fotelu. Dotyk bramy, drzwi. Naturalnie mogli obdarzyć go tą mocą, czemu jednak sądził, że tego nie zrobili? Szczególnie, jeśli to wszystko części większej całości...

Rowan siedziała w milczeniu, najwyraźniej zaintrygowana, może zaniepokojona. Obserwował ją przez pewien czas, znój myśląc o tym, jak bardzo nie chce wyjeżdżać.

– Nie odjeżdżaj tak szybko, Michael – odezwała się nagle.

– Rowan, pozwól, że cię o coś zapytam – powiedział. – Ten dokument, który podpisałaś, zobowiązanie, że nigdy nie udasz się do Nowego Orleanu. Czy wierzysz w takie rzeczy? To znaczy w ważność obietnicy złożonej Ellie, osobie, która nie żyje?

– Naturalnie – odparła beznamiętnie, prawie z żalem. – Zresztą podobnie jak i ty.

– Ja?

– Chodzi mi o to, że jesteś człowiekiem prawym, mężczyzną, o jakim, nie bez głębszego znaczenia, mówi się: świetny facet.

– Dobra. Mam nadzieję, że to prawda. A pytanie zadałem niewłaściwie. Chodzi o to, co z twoim pragnieniem, aby zobaczyć miejsce, gdzie się urodziłaś? Tylko że ja ci teraz kłamię, widzisz, ponieważ to, co chcę powiedzieć brzmi: czy jest szansa, że wrócisz tam ze mną?

Milczenie.

– Wiem, że to zabrzmiało jak nadmierna pewność siebie – dodał. – Wiem, że w tym domu bywał niejeden mężczyzna. To znaczy, ja nie jestem światłem twego życia, ja...

– Przestań. Mogłabym się w tobie zakochać i ty doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

– Wobec tego posłuchaj, co mam do powiedzenia, bo mówię o dwojgu żyjących ludzi. I może ja już... ja, no... chodzi o to, że jeśli chcesz tam wrócić, czujesz taką potrzebę, wynikającą z prostej chęci zobaczenia miejsca, gdzie się

urodziłaś, poznania prawdy o swoich rodzicach... No, to czemu, u diabła, nie pojedziesz ze mną? – Westchnął i poprawił się w fotelu, wciskając dłonie w kieszenie spodni. – Przypuszczam, że to byłby naprawdę poważny krok, prawda? Co za samolubstwo z mojej strony. Po prostu pragnę, abys mi towarzyszyła. Taki to i świetny facet ze mnie.

Jak skamieniała, znów patrzyła w przestrzeń, potem zacisnęła usta. Michael zdał sobie sprawę, że Rowan za chwilę się rozplacze.

– Chciałabym pojechać – powiedziała. W jej oczach zakręciły się łzy.

– Boże, Rowan, przepraszam – rzekł. – Nie miałem prawa pytać. Łzy zwyciężyły. Nadal patrzyła ku wodzie za oknem, jak gdyby tylko w ten sposób mogła zapanować nad sobą. Ale mimo to płakała; kiedy przelykała, dostrzegał drobne poruszenia jej gardła, widział naprężenie mięśni ramion. Przemknęła mu myśl, że jest to najbardziej samotna osoba, jaką kiedykolwiek znał. Kalifornia pełna była takich ludzi, ale ona żyła w prawdziwej izolacji, i bez krzty egoizmu zląkł się o nią, bał zostawić ją samą w tym domu.

– Słuchaj, Rowan, naprawdę przepraszam. Nie powinienem ci tego robić – powiedział. – To sprawa między tobą a Ellie. Pojedziesz, kiedy już będziesz przygotowana. A ja muszę tam być z całkowicie odmiennych powodów.

Łzy znów pociekły po jej policzkach.

– Rowan...

– Michael – wyszeptała. – To ja przepraszam. Rzuciłam się w twoje ramiona, a teraz ty niepotrzebnie się o mnie martwisz.

– Nie, nie mów tak. – Zaczął się podnosić; znów pragnął ją objąć, ale ona powstrzymywała go. Ponad stołem sięgnęła po jego dłoń i przytrzymała ją w swojej.

Łagodnie powiedział do niej:

– Jeśli nie wierzysz, że trzymanie cię w ramionach i ocieranie twoich łez sprawiło mi przyjemność, no cóż, w takim razie nie używasz swoich mocy, Rowan. Albo po prostu nie rozumiesz mężczyzny takiego jak ja.

Zadygotała, ramionami ciasno oplatając klatkę piersiową; grzywka spadła jej na oczy. Wyglądała tak żałośnie, że znów ogarnęło go pragnienie, aby ją do siebie przyciągnąć i całować raz jeszcze.

– Czego tak naprawdę się boisz? – zapytał. Odpowiedziała szeptem tak cichym, że z trudem łowił słowa.

– Tego, że jestem zła, Michael, że jestem złym człowiekiem kimś, kto może wyrządzić prawdziwą krzywdę. Istota, w której tkwi potworny potencjał zła. Oto, co moje moce, jakiegokolwiek by one były, mówią mi o mnie samej.

– Rowan, to nie grzech być kimś lepszym niż Ellie czy Graham. I to nie grzech nienawidzić ich za twoją samotność, za to, że wychowali cię w odosobnieniu od wszystkich krewnych, jakich mogłabyś mieć.

– Wiem o tym, Michael. – Uśmiechnęła się – ciepły, słodki uśmiech pełen wdzięczności i spokojnej zgody – ale nie ufała jego słowom. Czowała, że nie zdołał w niej dostrzec czegoś o kluczowym znaczeniu, że mu się nie powiodło, podobnie jak przedtem na pokładzie łodzi. Spojrzała na głębokie, niebieskie wody za oknem, a potem znów na niego.

– Rowan, niezależnie od tego, co wydarzy się w Nowym Orleanie, ty i ja spotkamy się znowu, i to wkrótce. Mógłbym ci teraz przysiąc na całą stertę Biblii, że tu wrócę, ale prawdę powiedziawszy, nie sądzę, aby tak się stało. Kiedy odjeżdżałem z ulicy Wolności, wiedziałem, że nigdy już nie będę tam mieszkał. Jednak my spotkamy się gdzieś, Rowan. Jeśli twoja stopa nie może stanąć na ziemi Nowego Orleanu, wybierz miejsce, i powiedz tylko słowo, a przyjadę.

I co wy na to, wy dranie, tam w górze, myślał patrząc na wodę, a potem na brudnobłękitne niebo Kalifornii; wy, kimkolwiek jesteście, którzy wycięliście mi ten numer, a teraz nie chcecie przyjść i poprowadzić mnie. Pojadę do Nowego Orleanu, pójdę, dokądkolwiek mnie zaprowadzicie. Coś się jednak rozpoczęło pomiędzy mną a tą kobietą, a to należy wyłącznie do mnie.

\* \* \*

Chciała go odwiedzić na lotnisko, ale uparł się, że weźmie taksówkę. To zbyt długa jazda, a ona była zmęczona. Potrzebowała snu.

Wziął prysznic i ogolił się. Nie pił już od prawie dwunastu godzin. Naprawdę zadziwiające.

Kiedy zszedł na dół, znalazł ją siedzącą z podkulonymi nogami, znów przy kominku; wyglądała bardzo ładnie w białych wełnianych spodniach i w jednym z tych ogromnych swetrów, w których niknęła; jej nadgarstki i nogi zdawały się jeszcze dłuższe a ona a delikatna jak jelonek. Pachniała słabo jakim perfumami, których nazwę nigdy nie znał. Nadal lubił ich zapach.

Pocałował ją w policzek, potem przez dłuższą chwilę trzymał w ramionach. Osiemnaście lat, może więcej, taka była między nimi różnica wieku, i sama myśl o tym sprawiała mu ból; czuł się staro kiedy jego wargi prześlizgiwały się po jędrnym, okrągłym policzku Rowan.

Wręczył jej kawałek papieru, na którym zapisał nazwę hotelu i numer telefonu.

– Jak mogę się z tobą skontaktować w szpitalu, jeśli to nie jest niewłaściwe?

– Nie, chcę, żebyś to zrobił. Przez cały dzień, co jakiś czas przesłuchuję wiadomości. – Podeszła do kuchennej lady, wypisała numery na bloczku adresowym, wydarła kartkę i wsunęła mu w rękę – Zrób awanturę, gdyby stawiali ci jakieś przeszkody. Powiedz im, że czekam na twój telefon. Ja też ich o tym poinformuję.

– Zrozumiano... – Odsunęła się od niego o krok, wsunęła ręce do kieszeni i przyjrzała mu się, schyliwszy lekko głowę.

– Nie upijaj się znowu, Michael – powiedziała.

– Tak pani doktor – roześmiał się. – Kotku, ja mógłbym stać tutaj i powtarzać ci, że właśnie zostaję abstynentem, a mimo to, tak czy owak skoro tylko stewardesa...



– Michael, nie pij ani w samolocie, ani w Nowym Orleanie. Znajdziesz się pod ostrzałem wspomnień. Odjeżdżasz na wiele kilometrów od wszystkich, których znasz.

Kiwnął głową.

– Racja, pani doktor – zgodził się. – Zachowam ostrożność. Wszystko będzie dobrze.

Podszedł do walizki, z zamykanej na suwak kieszeni wyciągnął walkmana Sony, sprawdził, czy nie zapomniał zabrać książki.

– Vivaldi – oznajmił, wsuwając walkmana wraz z małutkimi słuchawkami do kieszeni kurtki. – I mój Dickens. Świruję, kiedy lecę bez nich. To lepsze niż valium i wódka, przysięgam.

Uśmiechnęła się do niego w najcudowniejszy sposób na świecie, a potem wybuchła głośnym śmiechem.

– Vivaldi i Dickens – wyszeptała. – Wyobraźcie sobie.

Wzruszył ramionami.

– Wszyscy mamy swoje słabości – wyjaśnił. – Boże, dlaczego odchodzę w ten sposób? – zapytał. – Czy ja oszalałem?

– Jeśli nie zadzwonisz dzisiaj wieczora...

– Będę dzwonił, wcześniej i częściej, niż mogłabyś oczekiwać.

– Taksówka już jest – powiedziała.

On też usłyszał klakson.

Wziął ją w ramiona, ucałował, omal nie zgniótłszy w uścisku. Przez jedną chwilę prawie nie był w stanie się oderwać. Znowu przyszły mu na myśl jej słowa, że to *oni* spowodowali wypadek, a następnie amnezję, i przeniknął go mroczny dreszcz, niemalże prawdziwy lęk. Co by było, gdyby po prostu zapomniał o nich, na zawsze, gdyby został tutaj z nią? Odebrał to jako możliwość, swego rodzaju ostatnią szansę.

– Myślę, że cię kocham, Rowan Mayfair – wyszeptał.

– Tak, Michaelu Curry – odparła. – Sądzę, że w tej chwili coś w tym rodzaju

może nawet dzieje się po obu stronach.

Obdarzyła go raz jeszcze jednym z tych miękkich, promiennych uśmiechów, a on dojrzał w jej oczach ową siłę, która w ciągu ostatnich godzin była dla niego tak kusząca, a także czułość i smutek.

\* \* \*

Przez całą drogę na lotnisko z zamkniętymi oczami słuchał Vivaldiego. To jednak nie pomagało. Rozmyślał o Nowym Orleanie, a potem wspominał Rowan; i tak kołysało się to wahadło, w tę i z powrotem. Taką prostą rzecz powiedziała, a jednak jak go to ubodło. Zupełnie jakby przez te wszystkie tygodnie kurczowo trzymał się wizji wspaniałego planu i celu, który służy jakimś wyższym wartościom, ale kiedy ona zadała kilka jasnych i logicznych pytań, jego wiara legła w gruzach.

No cóż, nie sądził, że ktokolwiek spowodował ten wypadek. Fala po prostu strąciła go ze skały. A potem podążył dokąds, w pewien wymiar, który odwiedzali już inni. Tam odnalazł owe istoty, a one odnalazły jego. Ale oni nie mogą wyrządzać ludziom krzywdy, manipulować nimi niby marionetkami na sznureczkach!

Wobec tego, koleś, co powiesz o swoim ocaleniu? Jak wyjaśnisz pojawienie się Rowan, samotnej na swojej łodzi, dokładnie na tym skrawku morza, i tuż przed zapadnięciem zmroku?

Boże, czuł, że powoli zaczyna dostawać bzika. Mógł myśleć jedynie o tym, żeby znowu znaleźć się przy niej, albo o porządnym łyku burbona z lodem.

Dopiero gdy czekał, aby wpuszczono go do samolotu, błysnęła mu pewna myśl – coś, czemu przedtem nie poświęcał zupełnie uwagi.

Kochał się z nią trzy razy w ciągu ostatnich kilku godzin, ale nie stosował zwykłych zabezpieczeń. Nawet nie pomyślał o środkach antykoncepcyjnych, które zazwyczaj nosił w portfelu. Jej również nie zadawał pytań w tej sprawie.

Pomyśleć tylko, że pierwszy raz od wielu, wielu lat zdarzyło mu się przeoczyć coś takiego.

No cóż, ona jest lekarką, na miłość boską. Z pewnością zajęła się tą kwestią. Ale może powinien teraz do niej zadzwonić. Nie zaszkodzi posłuchać jej głosu. Zamknął tom „Dawida Copperfieda” i zaczął szukać telefonu.

Wtedy znów zobaczył tego mężczyznę, Anglika o siwych włosach, w tweedowym garniturze. Siedział zaledwie kilka rzędów dalej, z walizką i parasolką, trzymając w dłoni złożoną gazetę.

O, nie, pomyślał Michael posępnie, z powrotem zajmując miejsce. Jeszcze tylko tego mi trzeba, żeby wpaść na tego faceta.

Pasażerów wezwano do samolotu. Michael obserwował niespokojnie, jak Anglik wstaje i, zebrawszy swoje rzeczy, rusza ku wyjściu.

Jednak kilka chwil później starszy pan nie uniósł nawet oczu, kiedy Michael przeszedł obok niego i zajął miejsce przy oknie na końcu kabiny pierwszej klasy. Nieznajomy otworzył już swoją walizkę i pisał coś bardzo szybko, w dużym, oprawnym w skórę notatniku.

\* \* \*

Zanim jeszcze samolot wystartował, Michael zamówił burbona i na przystawkę lodowate piwo. Kiedy wylądowali w Dallas na czterdziestominutowy postój, był przy szóstym piwie i siódmym rozdziale „Dawida Copperfieda” i nie pamiętał już nawet, że Anglik jest w pobliżu.

Polecivszy kierowcy taksówki, aby zatrzymał się po drodze, Michael kupił sześć puszek piwa, już pełen radości, że nareszcie znalazł się w ciepłym, letnim powietrzu. A teraz, kiedy skręcili z autostrady i wjechali w znany, niezapomniany śmietnik alei św. Karola, rozczulił się do łez na widok dębów o czarnej korze i ciemnym listowiu, i długiego, wąskiego tramwaju, który, dokładnie taki, jakim go pamiętał, huczał i klekotał na szynach.

Nawet na tym odcinku, przepełnionym brzydkimi barami szybkiej obsługi, obskurnymi drewnianymi knajpami i nowymi blokami, które wznosiły się nad sklepami o zabitych deskami witrynach i opuszczonymi stacjami benzynowymi, nawet tu to było jego stare, zielone, subtelnie pięknie miasto. Z lubością patrzył na chwasty wybijające w szczelinach. Na ziemi niczyjej trawa rosła bujna i wysoka. Mirty stały okryte kwieciami niby pianą. Dostrzegł różowe urokliny, fioletowe urokliny, i jeszcze inne – płonące czerwienią równie soczystą, jak wewnątrz arbuza.

– Popatrz tylko na to! – powiedział do kierowcy, który dotąd nieustannie rozprawiał o przestępczości i niedobrych czasach, które nastąpiły w mieście. – Niebo jest dokładnie tak samo fiołkowe jak je pamiętam, a przecież, do diabła, przez te długie lata spędzone tam sądziłem, że taki obraz, pokolorowany świecową kredką, istnieje tylko w mojej wyobraźni, że wymyśliłem to wszystko, wiesz.

Zbierało mu się na płacz. Przez cały czas, kiedy tulił łkającą Rowan, sam nie

uronił łzy. Teraz jednak gotów był się rozryczeć i ach, jak bardzo pragnął, aby Rowan tu była.

Kierowca śmiał się z niego.

– Jasne, no, prawdziwe fioletowe niebo, można tak o nim powiedzieć.

– Racja, do diabła – odparł Michael. – Urodziłeś się gdzieś między Sklepową a rzeką, co nie? – dodał. – Ten głos poznałbym wszędzie.

– O czym ty gadasz, chłopcze, lepiej posłuchaj własnego – droczył się z nim kierowca, – Urodziłem się na skrzyżowaniu Waszyngtona i św. Tomasza, jeśli chcesz wiedzieć, jako najmłodsze z dziewięciorga dzieci. Nie ma już takich rodzin. – Taksówka wlokła się aleją, przez otwarte okna wpadała łagodna, wilgotna sierpniowa bryza. Właśnie zapłonęły latarnie.

Michael zamknął oczy. Nawet nie kończąca się perora kierowcy była dla niego muzyką. Ale do tego pachnącego, gościnnego ciepła tęsknił dotąd całą duszą. Czy jest gdzieś na świecie miejsce, gdzie odczuwa się obecność powietrza niby żywej istoty, gdzie bryza całuje cię i głaszcze, gdzie niebo pulsuje jak żywe? I, o Boże, cóż to za ulga, kiedy się już nie marznie!

– Och, mówię ci, nikt nie ma prawa czuć się równie szczęśliwym jak ja teraz – powiedział Michael. – Nikt. Popatrz na te drzewa – dodał otwierając oczy i patrząc w górę ku ciemnym, poskręcany konarom.

– Gdzieś ty, u diabła, był, synu? – zapytał kierowca, niski mężczyzna w czapce z daszkiem. Jeden z jego łokci do połowy wystawał za okno.

– W piekle, kolego, i pozwól, że coś ci powiem o tym miejscu. Tam nie jest gorąco. Tam jest zimno. Hej, patrz, oto hotel Pontchartrain, on jest taki sam, do diabła, ciągle taki sam! – Jeśli zaszła w nim jakaś zmiana, to jedynie na korzyść. Teraz wydawał się bardziej elegancki i pełen dystansu niż w dawnych czasach. Miał niebiesko obrębianą markizę, a jego wizerunek dopełniali stojący przy szklanych drzwiach portierzy i boye hotelowi.

Michael nie mógł usiedzieć spokojnie. Chciał wsiąść, spacerować, przemierzać stare chodniki. Powiedział jednak kierowcy, aby zabrał go na ulicę

Pierwszą, że do hotelu wrócą później, a skoro jadą pod ten stary dom, to ze spacerem może poczekać.

Skończył drugie piwo, kiedy dotarli do świateł przy alei Jacksona i wtedy wszystko się zmieniło. W pamięci Michaela to przejście nie było aż tak dramatyczne; jednak dęby rosły tu wyższe i zdecydowanie bardziej gęste, bloki mieszkalne ustąpiły miejsca białym budynkom z korynckimi kolumnami i cały ten senny pograżony w półmroku świat zdawał się spowity w miękką, rozświetloną zieleń.

– Rowan, gdybyś tylko ty tu była – wyszeptał. Oto i rezydencja Jamesa Galliera na rogu św. Karola i Filipa, wspaniale odrestaurowana. A po drugiej stronie ulicy dom Henry’ego Howarda ozdobiony nową warstwą farby. Żelazne ogrodzenia strzegły ogrodów i trawników.

– Jezu, jestem w domu – wyszeptał.

Wylądowawszy w Nowym Orleanie, z początku żałował, że się i upił – tak cholernie trudno było radzić sobie z walizką, szukać taksówki – teraz jednak miał już to z głowy. Kiedy wiozący go samochód skręcił w lewo w ulicę Pierwszą zanurzając się w ciemnej pełnej liści jądro Dzielnicy Ogrodów, Michaela ogarnęła ekstaza.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że jest tu dokładnie tak, jaki kiedyś?! – powiedział kierowcy. Zalało go uczucie niezmiernej wdzięczności. Zaproponował mężczyźnie piwo, ale ten zaśmiał się tylko i odmówił gestem.

– Później, synu – odrzekł. – No, a teraz dokąd?

W zwolnionym tempie sennego marzenia prześlizgiwali się obok masywnych rezydencji. Michael dostrzegał ceglane chodniki, wysokie i sztywne magnolie z ich błyszczącymi, ciemnymi liśćmi.

– Po prostu jedź, powolutku, niech ten facet nas minie... świetnie, powolutku, póki nie powiem ci, żebyś się zatrzymał.

Cieszył się, że wybrał na swój powrót najpiękniejszą godzinę wieczora. Nie pamiętał teraz o wizjach lub ich mrocznym pełnomocnictwie. Po brzegi

wypełniony nieopisaną radością, mógł myśleć jedynie o tym, co miał przed oczami, i o Rowan. Oto próba miłości, myślał sennie, kiedy nie potrafisz znieść szczęścia, gdy tej drugiej osoby nie ma przy tobie. Naprawdę lękał się, że za chwilę zaleje się łzami.

Kierowca znów zaczął mówić. Tak naprawdę nigdy nie przerywał. Opowiadał teraz o parafii Redemptorystów, jak tam w dawnych czasach bywało, i jak teraz wszystko się rozlazło. Owszem, Michael chciałby zobaczyć stary kościół.

– Byłem ministrantem u św. Alfonsa – zwierzył się.

Ale to bez znaczenia, to może czekać wieki. Bo oto uniósłszy wzrok, Michael dostrzegł ów dom.

Zobaczył jego długą, ciemną ścianę, która biegła od rogu, i niezapomniane żelazne rozety ogrodzenia; na warcie przy bramę ujrzał dęby, które rozpościerały swe gigantyczne konary niby potężne, opiekuńcze ramiona.

– To tu – powiedział głosem, który bezsensownie przechodził w szept – Zjedź na prawo. Zatrzymaj się tutaj. – Zabierając ze sobą piwo wysiadł z taksówki i poszedł na róg tak, aby stanąć na wprost budynku.

Zdawać by się mogło, że cały świat ucichł. Po raz pierwszy Michael usłyszał muzykę cykad, ową głęboką, hurkoczącą pieśń, która rozlegała się wszędzie dookoła, sprawiając że cienie ożywały. Potem do jego uszu doszedł jeszcze jeden dźwięk, zupełnie zapomniany – piskliwe pokrzykiwanie ptaków.

Odgłosy jak w lesie, pomyślał patrząc na ściemniałe, opuszczone arkady, okryte teraz całunem wczesnego mroku; nawet pojedyncze światło nie migotało za licznym, wysokimi, wąskimi drewnianymi okiennicami.

Ponad dachem jaśniało szkliste niebo, pastelowe mieniące się fiołkowo i złoto. Na jego tle pięknie i wyraźnie uwidaczniała się najdalsza kolumna drugiej arkady, a pod podpartym gzymsem, wybujała pnąca bugenwilla spadająca z dachu. Nawet w półmroku dostrzegał fioletowe kwiaty. Zdołał też – odszukać rozety ogrodzenia. Dostrzegał kapitele kolumn, tę osobliwą projektowaną na

modłę włoską, mieszankę stylów: po bokach doryckie, te niższe, w przodzie, zbudowano w porządku jońskim, na górze zaś w korynckim.

Michael wciągnął powietrze wydając długie, ponure westchnienie. Znowu odczuwał niewyobrażalną radość, ale zmieszaną nie wiadomo dlaczego ze smutkiem. I tak przez te wszystkie długie lata, myślał ze znużeniem, nawet teraz, pośród radości. Pamięć oszukała go w jednym szczególe, zauważył. Te stare rezydencje są inne niż je zapamiętał. Sama skala tego wszystkiego przez moment wydała mu się niewyobrażalna.

A mimo to wszędzie pulsowała, oddychała bliskość – miękkie, rozrośnięte listowie za pordzewiałym żelaznym ogrodzeniem zlewało się z mrokiem, grały cykady, pod dębami leżały gęste cienie.

– Raj – wyszeptał. Patrzył w górę na miniaturowe paprocie pokrywające konary dębów i łzy zakręciły mu się w oczach. Wspomnienie wizji było niebezpiecznie blisko. Otarło się o niego niby ciemne skrzydła. *Tak, Michael, to ten dom.*

Stał jak wryty, trzymając w dłoni zimną puszkę piwa. Czy to ona do niego mówi, kobieta o ciemnych włosach?

Pewne wydawało mu się jedynie to, że zmrok rozbrzmiewał muzyką; że nawet upał grał. Jego wzrok powędrował ku innym otaczającym go rezydencjom; nie dostrzegał nic oprócz płynnej harmonii ogrodzeń i kolumn, ceglanych murów i nawet malutkich wątłych uroclin, które walczyły o życie na skrawkach aksamitnej zieleni. Ogarnął go ciepły spokój i przez sekundę wspomnienie wizji i swojego okropnego posłannictwa utraciło nad nim władzę. Sięgnął w przeszłość, w czasy swego dzieciństwa, nie wspomnień szukając, ale poczucia ciągłości. Chwila narastała, poniosła go poza granice wszelkich myśli, wszystkich bezradnych, nieodpowiednich słów.

Niebo ciemniało. Wciąż miało piękny odcień ametystu, jakby walczyło z nocą stłumionym, lecz nieustępliwym ogniem. Mimo to światło odchodziło. Odwróciwszy nieco głowę, aby ponad długą ulicą spojrzeć ku rzece, Michael



dostrzegł, że tam niebo płonie czystym złotem.

Głęboko w zakamarkach jego umysłu kryły się naturalnie wspomnienia, refleksje chłopca, który tą ulicą odchodził od małych, zatłoczonych domków nad rzeką i stał w tym właśnie miejscu, kiedy zapadał zmrok. Ale chwila obecna nadal zaćmiewała wszystko i Michael nie starał się odtwarzać w pamięci minionych czasów, aby zmienić płynący zewsząd łagodny zalew wrażeń zmysłowych, ulepszyć ten moment, w którym w jego duszy panował niezmacony spokój.

Dopiero teraz, kiedy niespiesznie i z lubością zwrócił wzrok na sam dom, na głęboką wnękę drzwi, uformowaną na podobieństwo dziurki od klucza, wspomnienie wizji znów przybrało na sile. Drzwi... brama. Tak, o tym właśnie mówili! Nie chodziło jednak o bramę w sensie dosłownym. A jednak widok tej gigantycznej dziurki od klucza, a za nią cienistego przedsionka... Nie, to nie może być rzeczywista brama. Otworzył i zaniknął oczy. Zorientował się, że niby w transie wpatruje się w okna pokoju od północy, na drugim piętrze, i nagle przejęty niepokojem dostrzegł tam niesamowity odblask ognia.

Nie, to niemożliwe. Jednak w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że to jedynie światło świec. Ich migotanie trwało nieustannie, a on po prostu dziwił się mu, zdumiony, że ludzie w środku zdecydowali się na taki rodzaj oświetlenia.

W ciemności ogród zdawał się gęstnieć i zbliżać ku niemu. Będzie musiał się otrząsnąć, jeśli chce przejść wzdłuż ogrodzenia i zajrzeć na tylne podwórko. Chciał to zrobić, ale owo wysokie okno od północy przykuło jego uwagę na tyle, że nie mógł się ruszyć. Dostrzegł teraz cień kobiety poruszający się na koronkowej zasłonie. Patrząc poprzez materię, zdołał dostrzec na ścianie w rogu, pod sufitem wyblakły kwiecisty wzór.

Nagle spojrział w dół, na swoje nogi. Puszka piwa wypadła mu z dłoni, a jej zawartość pieniać się, spływała do rynsztoka. Michael, jesteś pijany, pomyślał, zbyt pijany, idioto. Ale to nie miało znaczenia. Wręcz przeciwnie, zdawał się

sobie całkiem potężny i nagle ruszył przez skrzyżowanie, świadom, że stawia ciężkie i chwiejne kroki. Zbliżył się do frontowej bramy domu.

Wcisnął palce między żelazny ażur, spojrzął na kurz i śmiecie rozrzucone po obłazających z farby deskach frontowego ganku. Kamelie wyrosły jak drzewa i wznosiły się ponad ogrodzeniem. Liście pokrywały wyłożoną płytami ścieżkę. Wepchnął stopę między pręty. Nietrudno byłoby to przeskoczyć.

– Hej tam, koleś!

Obróciwszy się w zdumieniu, zobaczył obok siebie taksówkarza. Jakże niski był ten mężczyzna, kiedy nie siedział w samochodzie. Człowieczek z dużym nosem, z oczami ukrytymi w cieniu czapki, wydał mu się w tej chwili podwyższonej wrażliwości niby troll z dębowego gaju. – Co ty próbujesz zrobić? Zgubiłeś klucz?

– Nie mieszkam tutaj – odparł Michael. – Nie mam klucza. – I nagle roześmiał się z czystej niedorzeczności tego pomysłu. Kręciło mu się w głowie. Słodka bryza lecąca od rzeki była tak rozkoszna, a ten mroczny dom był tutaj, tuż przed nim, tak blisko, że niemal mógł go dotknąć.

– Chodź, zabiorę cię do hotelu. Pontchartrain, prawda? Pomogę ci wejść na górę do pokoju.

– Nie tak szybko – odparł Michael. – Zaczekaj chwilę. Obrócił się, po czym ruszył w dół ulicy, gdyż jego uwagę odciągnęły nagle spękane i nierówne płyty chodnikowe – tu też czysty fiolet, dokładnie tak, jak niegdyś. Czy nie ma tu niczego, co okaże się wyblakłe, co przyniesie rozczarowanie? Otarł twarz. Łzy. Potem odwrócił się i zajrzał na tylne podwórko.

Urokliny urosły do ogromnych rozmiarów. Ich blade, woskowe pnie były całkiem grube. Szeroki pas trawnika, który zapamiętał, porastały teraz chwasty, zaś stary bukszpan zdziczał w zaniedbaniu. A mimo to kochał to miejsce. Uwielbiał nawet tę starą altankę na tyłach, upadającą pod ciężarem splątanych winorośli.

To tam zawsze stał ten mężczyzna, pomyślał, wypatrując odległej urokliny,

tej, która wznosiła się wysoko przy ścianie sąsiedniego domu.

– Gdzie jesteś? – wyszeptał. Niespodzianie wizje ruszyły lawiną. Poczuł, że pada na ogrodzenie, usłyszał, jak jęczą żelazne ścięgna. Cichy szelest rozległ się wśród listowia po drugiej stronie, tuż obok, na prawo. Obrócił się; jakiś ruch wśród liści. Kwiaty kamelii, zgniecione, opadające na ziemię. Uklęknął i sięgnąwszy przez żelazne pręty schwycił jeden z nich, czerwony, zmięty. Czy taksówkarz mówi coś do niego?

– Wszystko w porządku, kolego – powiedział Michael, patrząc na kamelię w swojej dłoni, starając się lepiej dojrzeć ją w mroku. Czy to odbłysek światła na czarnym bucie, tam przed nim, po drugiej stronie? Znow rozległ się szelest. Przecież on patrzy na nogawkę męskich spodni! Ktoś stał tam zaledwie o krok od niego. Unosząc głowę stracił równowagę. Kiedy uderzył kolanami w chodnik, dostrzegł wznoszącą się nad nim sylwetkę człowieka, patrzącego nań poprzez kratę oczami, które odbijały zaledwie iskierkę światła. Mężczyzna jakby zamarł w bezruchu; rozszerzone oczy, niebezpiecznie blisko, gwałtowne i czujne, skupione na nim. Wysunęła się ręka – zaledwie przebłysk bieli wśród cieni, Michael odsunął się, nie wstając z chodnika, ogarnięty dziwnym lękiem. Teraz jednak, dokładnie przyglądając się rozrośniętemu listowiu, zorientował się, że nikogo tam nie ma.

Nagle ta pustka wydała mu się równie przerażająca, jak sylwetka, która zniknęła.

– Boże, pomóż mi – wyszeptał. Serce kołatało mu się w piersi. Nie mógł wstać. Taksówkarz ciągnął go za rękę.

– Chodź, synu, zanim przejedzie tędy patrol! Chwiał się niebezpiecznie, ale postawiono go na nogi.

– Widziałeś? – wyszeptał. – Jezu Chryste, to był ten sam mężczyzna! – Wbił wzrok w taksówkarza. – Mówię ci ten sam.

– A ja ci mówię, synu, że zabiorę cię teraz do hotelu. Jesteśmy w Dzielnicy Ogrodów, chłopcze, nie pamiętasz? Tu nie możesz włóczyć się po pijanemu!

Michael znów stracił równowagę. Przewracał się. Ciężko wycofał się z chodnika na trawę, a potem odwrócił się, sięgając w stronę drzewa, którego w istocie nie było. Raz jeszcze taksówkarz go podtrzymał. Potem druga para rąk pomogła mu utrzymać równowagę. Michael obrócił się w pośpiechu. Jeśli to znowu ów tajemniczy mężczyzna, znaczy, że zwariował ze szczętem.

Ale był to, ze wszystkich możliwych ludzi, Anglik, ten siwowłosy facet w tweedowym garniturze, którego widział w samolocie.

– Co, u diabła, pan tu robi? – wyszeptał Michael. Jednak nawet przez opary alkoholu dotarł do niego wyraźny obraz dobrotliwej twarzy tamtego, zauważył jego powściągliwe, kulturalne zachowanie.

– Chcę ci pomóc, Michael – wyjaśnił Anglik z ogromną łagodnością. Przemawiał jednym z tych głębokich i nieskończenie uprzejmych angielskich głosów. – Będę bardzo wdzięczny, jeśli pozwolisz, abym cię zabrał do hotelu.

– Tak, to chyba właściwy tryb postępowania – odparł Michael, dotkliwie świadom, że z trudnością przychodzi mu normalne artykułowanie słów. Spojrzał w tył, na ogród, potem raz jeszcze na wysoką fasadę domu, teraz już zupełnie gubiącą się w ciemności, chociaż za konarami dębu skrawki i ułamki nieba wciąż jaśniały ukrytym blaskiem. Zdawało mu się, że Anglik i taksówkarz rozmawiają ze sobą. Starszy pan płaci za kurs.

Michael chciał sięgnąć do kieszeni spodni po portfel, ale jego dłoń raz po raz przesuwiała się obok materiału. Odsunął się od dwóch mężczyzn, upadł w przód i ponownie przyłgnął do ogrodzenia. Z trawnika i odległych napierających nań krzaków zniknął niemal cały blask. Altana obciążona winoroślą była już tylko zakapturzonym kształtem w ciemności.

A jednak pod najdalszą urokliną Michael zdołał całkiem wyraźnie odróżnić chudą ludzką sylwetkę. Widział blady owal twarzy tajemniczego mężczyzny i przed jego niedowierzającym wzrokiem wyraźnie pojawił się sztywny, biały kołnierz, noszony za dawnych czasów, i jedwabny szalik na szyi.

*Jak postać z powieści.* Te same szczegóły dostrzegł przecież w panice

zaledwie parę chwil temu.

– Chodź, Michael... pozwól, że cię zabiorę z powrotem – odezwał się Anglik.

– Najpierw musi mi pan coś powiedzieć – rzekł Michael. Już zaczynał dygotać na całym ciele. – Niech pan spojrzy i powie, czy widzi pan tego mężczyznę?

Ale teraz on sam dostrzegał jedynie różne odcienie ciemności. W pamięci zabrzmiał mu głos matki, młody, świeży, boleśnie bliski: „Michael, wiesz przecież, że tam nie ma żadnego mężczyzny”.

Po wyjściu Michaela Rowan siedziała przez wiele godzin na pomoście od zachodu, poddając się ciepłu słońca i rozmyślając w dość bezładny i senny sposób o wszystkim, co zaszło. Czuła się nieco zaszokowana i poturbowana przez to, co się zdarzyło, rozkosznie poturbowana.

Nic nie może wymazać wstydu i poczucia winy za to, że obarczyła Michaela swoimi wątpliwościami i żalem. W tej chwili jednak nie przywiązywała do tego wagi.

Nie zostaje się dobrym neurochirurgiem zastanawiając się zbyt długo nad własnymi błędami. Dla Rowan instynktownym i właściwym podejściem było stwierdzić, na czym polegał błąd, rozważyć, jak uniknąć go w przyszłości, a potem żyć dalej.

Tak więc analizowała swoją samotność i smutek, odkrycie owej potrzeby, która popchnęła ją w ramiona Michaela; rozmyślała nad faktem, że Michael znajdował przyjemność w pocieszaniu jej, co właśnie przyciągnęło ich ku sobie, zabarwiając ich nowy związek w całkowicie nieprzewidziany, lecz niebłahy, sposób.

Potem przeszła do rozważań o nim.

Rowan nigdy jeszcze nie kochała mężczyzny w wieku Michaela; nawet sobie nie wyobrażała, do jakiego stopnia w jego najbardziej spontanicznych słowach i gestach może się uwidaczniać bezinteresowność i prostota. Nie była przygotowana na łagodność jego duszy i to właśnie ją oczarowało. A jeśli

chodzi o seks, no cóż, u diaska, było niemal idealnie. Lubił trochę szamotaniny, podobnie jak ona; z obu stron bardziej przypominało to gwałt. Żałowała, że nie mogła tego zrobić raz jeszcze, w tej chwili.

Dla Rowan, która tak długo utrzymywała całkowity rozdział pomiędzy głodem duchowym a fizycznym, zaspokajając ten pierwszy dzięki medycynie, drugi zaś poprzez stosunki z niemal anonimowymi partnerami, nagle zespolenie się obu w jednego dobrotliwego, inteligentnego, nieodparcie „przytulnego”, uroczo wesołego i przystojnego osobnika, który na domiar posiadał jeszcze ujmujące połączenie tajemniczych psychologicznych i mistycznych dylematów – to było już za wiele jak na jej siły. Potrząsnęła głową i cicho zaśmiała się do siebie, potem łyknęła kawy.

– Dickens i Vivaldi – wyszeptała na głos. – Och, Michael, proszę, wróć do mnie. Wróć szybko.

Ten mężczyzna był darem, który przyniosło jej morze.

Ale co, do diabła, będzie się z nim działo, nawet gdyby natychmiast przyjechał? Niszczyła go ta idee fixe o wizjach, domu i celu. A ponadto wyraźnie czuła, że on już nie wróci.

W głębi serca nie miała żadnych wątpliwości, kiedy siedziała tak, na wpół drzemiąc, w promieniach jasnego popołudniowego słońca, że w tym momencie Michael jest wstawiony, a zanim dotrze do tajemniczego domu, będzie już całkowicie pijany. Dla niego byłoby o wiele lepiej, gdyby pojechała, żeby się nim opiekować i pomóc mu utrzymać równowagę wewnętrzną w obliczu wstrząsów, jakie ta podróż przyniesie.

Faktycznie przyszło jej teraz do głowy, że dwukrotnie porzuciła Michaela – raz, kiedy oddała go zbyt szybko i zbyt łatwo straży przybrzeżnej, a drugi, kiedy tego poranka pozwoliła mu samemu jechać do Nowego Orleanu.

Naturalnie nikt by po niej nie oczekiwał, że wybierze się tam razem z nim. Nikt jednak nie wie, co oni czują do siebie.

A jeśli chodzi o naturę jego wizji – a rozmyślała o nich szczegółowo – nie

miała na ten temat określonego zdania, poza tym, że nie można im było przypisać żadnej fizjologicznej przyczyny. I raz jeszcze ich dokładność oraz ekscentryczność zdumiała ją i w jakiś sposób przestraszyła. Poza tym nie mogła się pozbyć przekonania o niebezpiecznej niewinności, wręcz naiwności Michaela, która w jej mniemaniu związana była z jego stosunkiem do zła. Dobro pojmował lepiej.

A jednak dlaczego, kiedy jechali tu z San Francisco, zadał jej to dziwne pytanie: czy starała się przekazać mu jakieś ostrzeżenie?

Zobaczył śmierć Grahama dotknąwszy jej dłoni, ponieważ Rowan o tym myślała, dręczyło ją wspomnienie tego wydarzenia. Ale jak Michael mógł odczytać to jako umyślne ostrzeżenie? Czy wyczuł coś, czego ona zupełnie nie była świadoma?

Im dłużej siedziała na słońcu, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie wyraźnie myśleć i że nie może znieść tęsknoty za Michaeliem, która zmieniała się już w udrękę.

Poszła na górę do swego pokoju. Wchodziła już pod prysznic, gdy nagle coś przyszło jej do głowy. Kiedy była z Michaeliem, zupełnie zapomniała o użyciu środków antykoncepcyjnych. Nie po raz pierwszy w życiu postąpiła tak głupio, był to jednak pierwszy raz od wielu lat.

No cóż, stało się, prawda? Przekręciła kurek i oparła się o kafelki, poddając się zalewowi wody. Wyobraź sobie: urodzić jego dziecko. Ale to szaleństwo. Rowan nigdy nie chciała mieć dzieci. Znów pomyślała o płodzie w laboratorium, o wszystkich drutach i rurkach, które do niego podłączono. Nie, jej przeznaczeniem jest ratowanie życia, nie tworzenie go. A więc co to oznacza? Przez mniej więcej dwa tygodnie będzie się martwić, a potem, dowiedziawszy się, że nie jest w ciąży, dojdzie do siebie.

Kiedy wyszła spod prysznic, była tak śpiąca, że ledwo zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Przy łóżku znalazła porzuconą koszulę Michaela, tę, którą zdjął poprzedniej nocy. Była to niebieska robocza koszula,



wykrochmalona i uprasowana niby wyjściowa, co jej się spodobało. Złożyła ją porządnie, a potem położyła się trzymając ją w ramionach. Wyglądała jak małe dziecko ze swoim ulubionym kocykiem lub pluszową zabawką.

I tak spała przez sześć godzin.

Kiedy się ocknęła, wiedziała, że nie będzie mogła zostać w tym domu sama. Zdawać by się mogło, że Michael na wszystkim pozostawił swój ciepły ślad. Miała w uszach barwę jego głosu, jego śmiech, widziała jego ogromne niebieskie oczy wpatrujące się w nią poważnie zza okularów w rogowej oprawie; na sutkach, na policzkach czuła dotyk palców w rękawicach.

Wciąż było za wcześnie, aby liczyć na wiadomość od niego. Zabrał ze sobą całe ciepło, bez którego dom zdawał się jeszcze bardziej pusty.

Natychmiast zadzwoniła do szpitala. Naturalnie, że jest im potrzebna. To przecież sobotnia noc w San Francisco, no nie?

Pomieszczenia ostrego dyżuru pękały już w szwach. Tłumy ofiar wypadków napływały do oddziału urazów na Uniwersytecie. Kraksa na autostradzie 101, kilka strzelanin w dzielnicy Misji.

Kiedy przyjechała, na stole operacyjnym czekał na nią pacjent już po intubacji i znieczuleniu, ofiara próby morderstwa za pomocą siekiery. Stracił mnóstwo krwi. Kiedy Rowan myła ręce, student przedstawił jej wyniki dotychczasowych badań. Doktor Simmons otworzył już czaszkę. Wkroczywszy do zimnej jak lodówka sali operacyjnej, natychmiast dostrzegła, że Simmonsowi ulżyło na jej widok.

Wyciągając ręce po sterylne zielone fartuchy i plastikowe rękawice, Rowan dokładnie zlustrowała otoczenie. Na dyżurze były dwie najlepsze pielęgniarki; jeden student na granicy mdłości, drugi ogromnie podniecony sytuacją; anestezjolodzy kompetentni, choć nie należeli do jej faworytów; doktor Simmons jak na razie wykonał dobrą, porządną robotę.

A oto i pacjent, anonimowy osobnik, ustawiony w pozycji siedzącej, przygarbiony, z pochyloną głową; czaszka otwarta, twarz i kończyny całkowicie

zakryte wieloma warstwami zielonej bawełnianej materii, z wyjątkiem dwóch nagich, bezbronnych stóp.

Podeszła do szczytu stołu, stanęła za zgarbionym ciałem, skwitowawszy skinieniem głowy kilka pospiesznych słów rzuconych jej przez anestezjologa; prawa stopa nacisnęła pedał ustawiający gigantyczny podwójny mikroskop chirurgiczny, wyostrzyła obraz otwartego mózgu, którego tkankę odciągały błyszczące metalowe rozwieracze.

– Ależ miazga – wyszeptała.

Dookoła rozbrzmiał cichy, delikatny śmiech.

– Czują, że pani przyjedzie, doktor Mayfair – rzekła starsza z dwóch pielęgniarek wskazując na ofiarę. – Powiedziała więc mężulkowi, żeby sobie nie żałował i jeszcze raz przyłożył jej tą siekierą.

Rowan uśmiechnęła się pod maską, w kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki.

– Co pan na to, doktorze Simmons? – zapytała. – Czy możemy wyczyścić tę krew nie wysysając jednocześnie zbyt dużo mózgu?

Później przez pięć godzin ani przez chwilę nie myślała o Michaelu.

Kiedy dotarła do domu, była druga w nocy. W środku było ciemno i zimno; wchodząc, tego właśnie oczekiwała. Jednak po raz pierwszy od śmierci Ellie jej myśli nie krążyła wokół przybranej matki. Nie pojawiał się też nawet cień bolesnego wspomnienia o Grahamie.

Automatyczna sekretarka nie nagrała żadnej wiadomości od Michaela. Rowan była rozczarowana, ale nie zaskoczona. Oczami wyobraźni widziała, w żywych kolorach, jak pijany wytacza się z samolotu. W Nowym Orleanie jest chyba czwarta. Nie mogła teraz dzwonić do hotelu Pontchartrain.

Nie dręcz się tym, Rowan, nakazywała sobie idąc na górę do łóżka.

Nie myśl o dokumencie z sejfu, gdzie napisano, że nie wolno ci jechać do Nowego Orleanu, odegnaj pokusę, aby wsiąść do samolotu i polecieć do niego. Nie przejmuj się tym Andrew Slatterym, kolegą, którego wciąż jeszcze nie

zatrudniono w Stanford, a który byłby szczęśliwy mogąc cię zastąpić na Uniwersytecie przez kilka tygodni. Czemu u diabła zapytała dzisiaj Larka o Slattery'ego? Zadzwoiła do szefa tuż po północy, pytając wyraźnie, czy Slattery znalazł sobie pracę. Coś się działo w jej rozgorączkowanym mózgu.

\* \* \*

Kiedy znów otworzyła oczy, była trzecia w nocy. W domu ktoś był. Nie miała pojęcia, jaki dźwięk lub wibracja sprawiły, że się ocknęła, wiedziała jedynie, że ktoś tam jest. Oprócz świateł odległego miasta jedyne oświetlenie stanowiły cyfry na kwarcowym zegarku. Niespodzianie w okna uderzył potężny podmuch wiatru, a wraz z nim sypnęły się połyskujące krople.

Zdała sobie sprawę, że dom hušta się gwałtownie na palach. Dobiegł ją słaby grzechot szkła.

Wstała tak cicho, jak tylko się dało, wyciągnęła z szuflady toaletki pistolet kaliber 38, odciągnęła kurek, i podeszła do szczytu schodów. Trzymała pistolet w obu dłoniach, tak jak nauczył ją Chase, zaprzyjaźniony gliniarz. Ćwiczyła z tą bronią i wiedziała, jak jej używać. Była nie tyle przestraszona, ile zła, a nawet wściekła, lecz spokojnie skoncentrowana.

Nie usłyszała żadnych kroków. Do jej uszu dobiegł tylko daleki wiatr, który wył w kominie i sprawiał, że gruba szklane ściany pojękiwały z cicha.

Tuż pod sobą widziała bawialnię, zalaną zwykłym niebieskawym światłem księżycy. Kolejna seria kropeł uderzyła o szyby Rowan usłyszała tępy odgłos, kiedy „Sweet Christine” uderzała o gumowe opony przymocowane wzdłuż mola od północy.

Po cichu, stopień po stopniu, schodziła na dół, za każdym zakrętem schodów przebiegając oczami puste pokoje, aż wreszcie dotarła na parter. W domu nie było żadnego zakamarka, którego nie widziałaby z tego miejsca, z wyjątkiem łazienki znajdującej się za jej plecami. A dostrzegając tylko pustkę,

gdziekolwiek spojrziała, i „Sweet Christine” kołyszącą się niezgrabnie, ruszyła ostrożnie w tamtym kierunku.

Malutkie pomieszczenie było puste. Nic tu nie ruszono. Filiżanka kawy Michaela na toaletce. Zapach jego wody kolońskiej.

Wyjrząwszy raz jeszcze ku frontowym pokojom, oparła się plecami o framugę drzwi. Przeraziła ją zaciekłość wiatru, który bił w szklane ściany. W przeszłości słyszała go często, jednak tylko raz był dość silny, aby zbić szybę. Podobna burza nigdy się nie zdarzyła w sierpniu. To było zawsze zimowe zjawisko, połączone z gwałtownymi deszczami, które siekały wzgórza hrabstwa Marin, zalewając ulice błotem, a czasami również zmywając domy z fundamentów.

Teraz patrzyła, niejasno zafascynowana, jak bryzgająca woda opryskuje długie pomosty, pokrywając je ciemnymi plamami. Dostrzegła krople, które niby szron osiadły na przedniej szybie sterówki „Sweet Christine”. Czy to ów nagły sztorm ją oszukał? Nastawiła swe niewidoczne czujniki. Nadśluchiwała.

Poza pojękiwaniem szkła i drewna, nie usłyszała żadnego obcego dźwięku. Coś jednak było nie w porządku. Czowała czyjąś obecność. Zaś intruz nie znajdował się na piętrze, to pewne. Był w pobliżu. Obserwował ją. Ale skąd? Nie potrafiła znaleźć wyjaśnienia dla tego, co wyczuwała.

Kwarcowy zegarek w kuchni wydał cichy, niemal niedosłyszalny pstryk, kiedy jedna z cyfr zmieniła się pokazując, że jest pięć po trzeciej.

Kątem oka uchwyciła jakieś drgnienie. Nie odwróciła się jednak, aby się dokładnie temu przyjrzeć. Zdecydowała, że w ogóle się nie poruszy. A potem, szybko rzuciwszy okiem w lewo, dostrzegła sylwetkę mężczyzny stojącego na pokładzie po zachodniej stronie.

Budowy był raczej wątłej, ciemnowłosy, o bladej twarzy. W jego postawie nie było nic ukradkowego ani wyrażającego groźbę. Stał niezrozumiale wyprostowany, z ramionami naturalnie opuszczonymi wzdłuż boków. Z pewnością nie widziała jego postaci wyraźnie. Ubranie, jakie miał na sobie,

zdawało się tak nieodpowiednie, że aż niemożliwe – odświętne, o eleganckim kroju.

Jej złość przybrała na sile; ogarnął ją chłodny spokój. Rozumowała natychmiast. On nie zdoła dostać się do domu przez drzwi wiodące na pomost. Nie mógł się również włamać roztrzaskując grube szyby. A jeśli ona użyje broni, co uczyniłaby z radością, przedziurawi szkło. Naturalnie on też może do niej strzelić, skoro tylko ją zobaczy. Ale dlaczego miałby to zrobić? Włamywacze chcą dostać się do środka. Poza tym była nieomal pewna, że już wcześniej ją dostrzegł, że obserwował ją od dłuższego czasu.

Bardzo powoli odwróciła głowę. Niezależnie od tego, jak ciemny mógł mu się wydawać pokój, w którym stała, niewątpliwie widzi ją, a wręcz dokładnie się jej przygląda.

Jego tupet rozwścieczył Rowan. Na domiar wzrosło w niej poczucie niebezpieczeństwa. Patrzyła chłodno, jak mężczyzna podchodzi do szyby.

– Chodź, sukinsynu, z radością cię zabiję – wyszeptwała, czując jak włosy jeżą jej się na szyi. Przez całe jej ciało przebiegł rozkoszny dreszcz. Chciała go zabić, kimkolwiek był – intruzem, szaleńcem, złodziejem. Pragnęła zmieść go z pomostu kulą kaliber 38. Albo, żeby wyrazić się jasno, jakąkolwiek mocą, którą miała do dyspozycji.

Powoli, obiema rękami, uniosła pistolet. Wymierzyła prosto w niego wyciągając ramiona przed siebie.

Intruz, bynajmniej nie przestraszony, nadal nie odrywał od niej wzroku i mimo cichej, zimnej jak żelazo furii, Rowan ze zdziwieniem obserwowała szczegóły jego wyglądu, te które zdołała dostrzec. Miał ciemne, kręcone włosy, ukryta w cieniu twarz była blada i szczupła, zaś w jej wyrazie dostrzegała coś smutnego i proszącego. Głowa mężczyzny obróciła się łagodnie, jakby błagał ją o coś, mówił do niej.

Kim ty jesteś, na Boga? – pomyślała. Powoli dotarł do niej cały bezsens tej sytuacji, a wraz z tą świadomością przysłała zupełnie obca myśl. On nie jest tym,

czym się wydaje. Patrzę na jakieś złudzenie! Ta nagła wewnętrzna odmiana przerodziła złość w podejrzliwość, a potem w lęk.

Ciemne oczy tajemniczej istoty wpatrywały się w nią błagalnie. Mężczyzna uniósł teraz blade dłonie i dotknął palcami szyby.

Nie była w stanie poruszyć się ani odezwać. Później, rozwścieczona własną bezradnością i przerażeniem, wykrzyknęła:

– Wracaj do piekła, z którego przybyłeś!

Jej głos rozbrzmiał głośno i przerażająco w pustym domu.

Jak gdyby w odpowiedzi, jakby po to, żeby ją ostatecznie wyprowadzić z równowagi i całkowicie pokonać, intruz powoli zniknął. Jego sylwetka stała się przezroczysta, a potem rozwiała się zupełnie i nie pozostało nic, jedynie niewyraźnie straszny, szarpiący nerwy widok pustego pomostu.

Ogromna szklana szyba zagrzechotała. Do uszu Rowan doszedł kolejny łoskot, jakby wiatr walił bezpośrednio w szkło. A potem morze najwyraźniej uspokoiło się. Szum wody ucichł. Dom przestał się poruszać. Nawet „Sweet Christine” spoczęła bez ruchu w kanale przy molu.

Rowan nadal patrzyła na pusty pomost. Później zdała sobie sprawę, że dygocze, a dłonie ma mokre od potu. Pistolet wydawał jej się ogromnie ciężki i niebezpiecznie trudny do opanowania. W istocie trzęsła się cała. Mimo to poszła prosto do szklanej ściany. Rozwścieczona własną bezbronnością w obliczu tego zjawiska dotknęła szyby w miejscu, gdzie przedtem spoczęły palce dziwnej istoty. Szkło było słabo, lecz wyraźnie ogrzane. Nie mogło to być ciepło pochodzące od ręki człowieka, gdyż jej termiczne oddziaływanie byłoby zbyt nikłe, aby zmienić temperaturę tak zimnej powierzchni. Wydawało się, jakby na ten mały fragment szyby skierowano jakieś źródło ciepła.

Raz jeszcze zbadła wzrokiem nagie deski. Spojrzała na ciemną, pociętą na fasety wodę, na odległe, przytulne światła Sausalito po drugiej stronie zatoki.

Szybko podeszła do kuchennej lady, położyła pistolet i podniosła słuchawkę.

– Muszę się skontaktować z hotelem Pontchartrain w Nowym Orleanie.

Proszę tam zadzwonić – powiedziała drżącym głosem. I kiedy tak czekała, jedyną rzeczą, jaką mogła zrobić, aby się uspokoić, było nadśluchiwanie, upewnianie się o tym, o czym już wiedziała – że jest sama.

Nie ma sensu sprawdzać zamków i klamek, zaglądać do szuflad, grzebać w kątach i zakamarkach. Nie ma sensu, nie ma sensu, nie ma sensu.

Kiedy odezwał się ktoś z hotelu, Rowan była już całkiem roztrzęsiona.

– Muszę mówić z Michaeliem Curry’em – powiedziała. Miał zatrzymać się u was tego wieczora, wyjaśniła. Nie, nieważne, że w Nowym Orleanie jest w tej chwili piąta dwadzieścia. Proszę zadzwonić do jego pokoju.

Zdawać by się mogło, że niemal całą wieczność stała tak samotnie ze słuchawką w ręku, zbyt przerażona, aby się zastanawiać, jak egoistycznie jest budzić Michaela o tej porze. Potem znów usłyszała głos recepcjonisty:

– Przykro mi, ale pan Curry nie odpowiada.

– Proszę spróbować raz jeszcze. Błagam, wyślijcie kogoś do jego pokoju. Muszę z nim mówić.

W końcu, kiedy nie udało im się go obudzić, a naturalnie nie zgodzili się wejść do apartamentu gościa bez pozwolenia – za to nie mogła ich winić – zostawiła pilną wiadomość, odłożyła słuchawkę, osunęła się na zimne palenisko i próbowała myśleć.

Była absolutnie pewna tego, co zobaczyła. Widmo na pomoście, które patrzyło na nią, zbliżało się do niej, badało ją wzrokiem! Jakaś istota, która może pojawiać się i znikać, kiedy jej przyjdzie ochota. A jednak dlaczego dostrzegła błysk światła na brzegu jego kołnierza; skąd krople wody w jego włosach? Czemu szkło się rozgrzało? Zastanawiała się, czy to zjawisko, kiedy jest widzialne, staje się w jakiś sposób materialne, i czy ta materia rozpływa się, kiedy istota „znika”.

Krótko mówiąc, jej umysł jak zwykle zwracał się ku nauce; Rowan wiedziała, że taka jest jej taktyka, ale to nie mogło powstrzymać budzącej się w niej paniki, potężnego, okropnego wrażenia bezradności, które nadeszło i

pozostało w jej sercu, sprawiając, że nie czuła się bezpieczna we własnym schronieniu, gdzie nigdy przedtem nie odczuwała lęku.

Dlaczego wiatr i deszcz tworzyły część tego zjawiska, zastanawiała się. Z pewnością nie były wytworem jej wyobraźni. I dlaczego to stworzenie objawiło się właśnie jej?

– Michael – wyszeptała. To imię wyszło z jej ust niby modlitwa. Potem zaśmiała się cicho. – Ja też miewam wizje.

Wstała z przypiecka i powoli, stanowczym krokiem, obeszła dom zapalając wszystkie światła.

– Dobra – rzekła spokojnie. – Jeśli powrócisz, to jedynie w blasku światła.

Ale to absurd, nieprawdaż? Istota, która potrafi poruszyć wody zatoki Richardsona, równie łatwo może wyłączyć bezpiecznik.

Ona jednak chciała, aby te światła się paliły. Bała się. Weszła do sypialni, przekręciła klucz w zamku, wcześniej zamknęła drzwi schowka i łazienki. Położyła się na łóżku, poprawiwszy poduszki i umieściwszy pistolet w zasięgu ręki.

Zapaliła papierosa, wiedząc, że okropnie jest palić w łóżku; skontrolowała małe mrugające światełko alarmu przeciwpożarowego, a potem ponownie głęboko się zaciągnęła.

Duch, pomyślała. Wyobraźcie sobie, widziałam ducha. Nie wierzyłam w nie nigdy, a jednak zobaczyłam go. To na pewno duch. Nic innego to być nie mogło. Ale czemu objawił się mnie? Znow miała przed oczami jego błagalne wejrzenie i zdarzenie to powróciło z pełną wyrazistością.

Nagle ogarnęło ją przygnębienie, że nie może się skontaktować z Michaeliem, bo na całym świecie tylko on mógł uwierzyć w to, co się zdarzyło, bo był jedynym człowiekiem, któremu ufała na tyle, żeby mu o tym opowiedzieć.

Faktycznie odczuwała podniecenie, które osobiwie przypominało uczucie, jakiego doznała owej nocy, kiedy go ocaliła. *Przeżyłam coś okropnego i*



*emocjonującego zarazem.* Bardzo chciała z kimś porozmawiać o tym, co zaszło. Leżała z otwartymi oczami, w jasnym, nie rzucającym cieni żółtym świetle sypialni i myślała: dlaczego pokazał się mnie?

Jakie to było niezwykle, kiedy tak przeszedł przez pomost i przyglądał się jej przez szybę. „Ktoś mógłby pomyśleć, że z nas dwojga to ja byłam dziwolągiem”.

Podniecenie nie zniknęło. Mimo to poczuła ulgę, kiedy nareszcie wstało słońce. Wcześniej czy później Michael zbudzi się z pijackiego snu. Dostrzeże na aparacie światelko oznaczające, że jest dla niego wiadomość, i z pewnością zadzwoni.

– I oto znowu czegoś od niego chcę, wyciągam do niego rękę nie zważając na to, co być może dzieje się tam, potrzebuję go...

Ale teraz już odpływała, czerpiąc ciepłe i słodkie poczucie bezpieczeństwa ze słonecznego światła, które wlewało się przez szyby; wtulając się w miękkie poduszki, naciągając na siebie zszywaną z różnokolorowych kawałków materiału kołdrę, myślała o ciemnych włosach Michaela, które niby runo pokrywały potężne ramiona, o jego dużych oczach wpatrujących się w nią zza okularów. I dopiero na granicy snu zastanowiła się: czy ten duch może mieć coś wspólnego z nim?

Jego wizje. Chciała zapytać: Michael, czy widzisz jakiś związek tego z twoimi wizjami? Potem sen przedzierzgnął się w nonsens i Rowan ocknęła się, jak zwykle opierając się przed tym, co nielogiczne i groteskowe – świadomość jest jednak o wiele lepsza... oczywiście, że Slattery mógłby ją zastąpić, a jeśli Ellie gdzieś tam istnieje, z pewnością nie obchodzi jej już, czy Rowan wróci do Nowego Orleanu – bo w to właśnie powinniśmy wierzyć, że wszystko, co znajduje się poza tym wymiarem, jest nieskończenie lepsze, czyż nie tak? Potem znów, wyczerpana, pogrążyła się we śnie.

Michael ocknął się gwałtownie; męczyło go pragnienie, poza tym zgrzał się pod przykryciem, chociaż powietrze w pokoju było całkiem chłodne. Miał na sobie szorty i koszulę – mankiety rozpięte, kołnierz rozluźniony. Na rękach niezmiennie tkwiły czarne rękawice.

Na końcu małego, wyłożonego dywanem korytarza płonęło światło. Poza stłumionym, wszechobecnym szumem wentylatora usłyszał coś, co przypominało szelest papieru.

Wielkie nieba, gdzie ja jestem? – pomyślał. Usiadł na łóżku. Po przeciwległej stronie krótkiego korytarza był chyba salon, gdzie nieduże pianino z bladego, lśniącego drewna stało na tle kwiecistych draperii. To musi być jego apartament w hotelu Pontchartrain.

Nie pamiętał, jak tu się dostał. I natychmiast wściekł się na samego siebie, że tak się upił. Potem jednak powróciła euforia poprzedniego wieczora – wizja domu na ulicy Pierwszej na tle fioletowego nieba.

– Nowy Orlean – westchnął z rozrzewnieniem. Poczul falę szczęścia, która zamazała niepewność i poczucie winy.

– Jestem w domu – wyszeptał. – Niezależnie od tego, co zrobiłem, jestem u siebie.

Jak jednak zdołał się dostać do tego hotelu? I kto jest w salonie? Anglik. Ostatnie wydarzenie, jakie zapamiętał, to rozmowa z Anglikiem przed domem na ulicy Pierwszej. Wraz z tym wspomnieniem powróciło inne: znów zobaczył

za ogrodzeniem mężczyzną o kasztanowych włosach, który patrzył na niego. Tuż nad sobą dostrzegł jego błyszczące oczy, osobiwie bladą i beznamietną twarz. Ogarnęło go dziwne uczucie. Nie był to właściwie lęk, bardziej odczucie fizyczne. Ciało Michaela sprężyło się, jakby wyczuwając zagrożenie.

Czy to możliwe, żeby ten mężczyzna tak niewiele się zmienił przez te wszystkie lata? Jak to się stało, że tam był, a potem nagle zniknął?

Michael miał wrażenie, że zna odpowiedź na te pytania, że zawsze rozumiał, iż mężczyzna ten nie jest zwykłym człowiekiem. Ale ta niespodziewana znajomość zupełnie nowego poglądu pobudziła go do śmiechu.

– Niedobrze z tobą, kolego – wyszeptał.

Teraz jednak musiał się zorientować w swoim nowym położeniu, dowiedzieć się, czego chce Anglik i dlaczego jeszcze tu jest.

Szybko zbadął wzrokiem pokój. Tak, to ten sam stary hotel. Ogarnęło go poczucie bezpieczeństwa i wygody, kiedy zobaczył nieco wypłowiały dywan, malowany wentylator pod oknami i ciężki staroświecki telefon stojący na małym inkrustowanym biurczku; lampka telefonu pulsowała w ciemności.

Przez uchylone drzwi łazienki widać było niewielką powierzchnię białych kafelków.

Na lewo miał schowek i swoją walizkę, która stała otwarta na stojaku i, dziwnie nad dziwny, na stoliku obok łóżka wiadro z lodem, pokryte kropelkami wody, ze środka zaś wystawały trzy wysokie puszki piwa Miller.

– No, i czy to nie jest niemal idealne?

Zdjął prawą rękawicę i dotknął jednej z puszek. Przemknął mu obraz kelnera w liberii, zwyczajny nawał dezorientujących, nic nie znaczących informacji. Z powrotem nałożył rękawicę i otworzył puszkę. Wypił połowę chłodnego napoju głębokimi łykami. Potem wygramolił się z łóżka, poszedł do łazienki i wysikał się.

Nawet w łagodnym świetle poranka wpadającym przez żaluzje dostrzegł przybory do golenia wyłożone na toalecie z marmurowym blatem. Wyciągnął

szczoteczkę, pastę, potem wyczyścił zęby.

Teraz ustąpiły nieco ból głowy, kac i przygnębienie. Uczesał się, kilkoma haustami opróżnił puszkę i poczuł się niemal dobrze.

Przebrał się w świeżą koszulę, naciągnął spodnie, i wyjąwszy kolejne piwo z wiadra z lodem przeszedł korytarz. Zatrzymał się patrząc na duży, elegancko umeblowany pokój.

Za aksamitnymi krzesłami i sofami, przy małym drewnianym stoliku siedział Anglik, schylony nad stertą teczek z brązowego papieru i pisanych na maszynie kartek. Był to mężczyzna drobnej budowy, z twarzą pokreśloną głębokimi zmarszczkami i całkiem bujnymi siwymi włosami. Miał na sobie szarą aksamitną bonzurkę związaną w pasie, i szare tweedowe spodnie, a patrzył na Michaela z niezmiernie przyjaznym i sympatycznym wyrazem twarzy.

Potem wstał.

– Panie Curry, czy lepiej się pan czuje? – zapytał. Oto jeden z tych wymownych angielskich głosów, dzięki którym najprostsze słowa nabierają nowego znaczenia, zupełnie jakby nikt dotąd nie wymawiał ich właściwie. Anglik miał małe, ale błyszczące niebieskie oczy.

– Kim pan jest? – zapytał Michael. Mężczyzna zbliżył się, wyciągnąwszy rękę.

Michael nie ujął jej, chociaż z niechęcią zachowywał się nieuprzejmie wobec kogoś o tak przyjaznym, szczerym i w pewien sposób miłym wyglądzie. Pociągnął kolejny łyk piwa.

– Nazywam się Aaron Lightner – wyjaśnił wyspiarz. – Przyjechałem z Londynu, aby się z panem zobaczyć.

Głos miał łagodny, pełen dyskrecji.

– Tak myślałem. Ciotka mi coś mówiła. Widziałem, jak włóczył się pan wokół mojego domu na ulicy Wolności. Czemu u diabła przyjechał pan za mną tutaj?

– Ponieważ chcę z panem porozmawiać, panie Curry – odparł mężczyzna

grzecznie, nieomal z czcią. – Tak bardzo tego pragnę, że gotów jestem zmieść każdą niewygodę lub nieprzyjemność, jaka może mnie spotkać. Oczywiście jest, że już naraziłem się na pańskie niezadowolenie. I, proszę wierzyć, przykro mi z tego powodu, naprawdę. Chciałem tylko pomóc panu dostać się tutaj, i pozwolił pan, że przypomnę, iż wtedy z chęcią pan współdziałał.

– Tak? – Michael zorientował się, że jeży się wewnątrz. A przecież ten facet miał mnóstwo wdzięku, to musiał przyznać. Jednak kolejny rzut oka na papiery rozłożone na stole zbudził w Michaelu złość. Za pięćdziesiąt dolców, może za wiele mniej, udzieliliby mu pomocy taksówkarz, którego już by tu nie było.

– Szczera prawda – przyznał Lightner tym samym łagodnym, opanowanym głosem. – Być może powinienem był usunąć się do mojego apartamentu na górze, ale nie miałem pewności, czy nie będzie pan chorował i, mówiąc szczerze, lękałem się jeszcze czegoś innego.

Michael nie odrzekł nic. Był całkowicie świadom, że mężczyzna właśnie niejako odczytał jego myśli.

– No, no, zainteresował mnie pan tą sztuczką – stwierdził. A w duchu dodał: „Czy potrafisz zrobić to jeszcze raz?”

– Owszem, jeśli pan chce – odparł Anglik. – Człowiek w takim nastroju jest łatwy do rozszyfrowania. Pańska zwiększona wrażliwość działa na dwie strony, niestety. Ja jednak mogę panu pokazać, jak ukrywać myśli, jak, że się tak wyrażę, ustawiać zasłony. Z drugiej strony, tak naprawdę nie jest to potrzebne. Po świecie chodzi niewielu podobnych do mnie ludzi.

Wbrew samemu sobie, Michael uśmiechnął się. Wszystko to zostało powiedziane z tak elegancką pokorą, że poczuł się nieco zakłopotany i zdecydowanie uspokojony. Ten mężczyzna wydawał się całkowicie szczerzy. W istocie jedynym emocjonalnym odczytem, jaki Michael odbierał, była dobroć, co trochę go zaskoczyło.

Minąwszy fortepian, podszedł do kwiecistych draperii i pociągnął za

sznurek. Nie cierpiał przebywać rano w pokoju oświetlonym elektrycznym światłem; znów ogarnęła go radość, kiedy tylko wyrzął na aleję św. Karola, zobaczył szeroki pas trawy, szyny tramwajowe i zakurzone liście dębów. W jego wspomnieniach te liście nie były tak ciemnozielone. Zdawało mu się, że wszystko, co dostrzega, jest niezwykle żywe. A kiedy pod oknem przejechał tramwaj toczący się powoli ku centrum miasta, ten dobrze znany łomot – dźwięk niepodobny do żadnych innych – na powrót obudził w Michaelu podniecenie. Jakież to wszystko było senne i jak cudownie znajome.

Musiał wyjść na zewnątrz, raz jeszcze pójść do domu na ulicy Pierwszej. Jednakże czuł wyraźnie, że Anglik go obserwuje. I znów nie wykrył w nim nic prócz uczciwości oraz swego rodzaju zdrowej życzliwości.

– Dobra, zaciekałem się – powiedział Michael odwracając się do niego. – Jestem również wdzięczny. Ale nie podoba mi się to wszystko. Naprawdę. A więc z ciekawości i wdzięczności, rozumie pan, daję dwadzieścia minut na wyjaśnienie, kim pan jest, dlaczego pan tu przybył, i o co w tym wszystkim chodzi. – Usiadł na aksamitnej sofie naprzeciw Anglika i zabałaganionego stołu Wyłączył lampę. – Ach, i dziękuję za piwo. Naprawdę to doceniam.

– Jest go więcej w lodówce w kuchni, za mną – odrzekł starszy pan w ten sam, niewzruszenie uprzejmy sposób.

– Miło to słyszeć – rzekł Michael. Dobrze się czuł w tym pokoju. Właściwie nie pamiętał go z dzieciństwa, ale z przyjemnością oglądał ciemne wytapetowane ściany, meble z miękką tapicerką, niskie mosiężne lampy.

Mężczyzna usadowił się za stołem, vis-a-vis Michaela. Wtedy po raz pierwszy Michael zauważył butelkę brandy i kieliszek. Dostrzegł też marynarkę Anglika wiszącą na drugim krześle, przy którym stała teczka.

– Ma pan ochotę na odrobinę koniaku? – zapytał Anglik.

– Nie. Dlaczego wziął pan apartament tuż nade mną? Co się tu dzieje?

– Panie Curry, jestem członkiem starej organizacji – odparł mężczyzna. – Nazywa się Talamasca. Czy kiedykolwiek słyszał pan tę nazwę?

Michael zastanawiał się przez chwilę.

– Nie.

– Nasze początki sięgają jedenastego stulecia. Prawdę mówiąc, jeszcze wcześniej. Jednak to w jedenastym wieku przyjęliśmy nazwę Talamasca, i od tego czasu posiadamy konstytucję, że tak powiem, i pewne zasady. Żeby to określić nowoczesnym językiem, jesteśmy grupą historyków zainteresowanych przede wszystkim badaniem zjawisk paranormalnych. Czary, nawiedzone domy, wampiry, ludzie o nadzwyczajnych zdolnościach parapsychicznych – wszystko to nas interesuje i posiadamy ogromne archiwa zawierające informacje na ten temat.

– Zajmujecie się tym od dziewięciuset lat?

– Tak. Pod wieloma względami jesteśmy grupą ludzi biernych; nie lubimy się wtrącać. A jeśli już o to chodzi, pan pozwoli, że pokażę naszą wizytówkę i nasze motto.

Anglik wyciągnął z kieszeni małą kartkę, podał ją Michaelowi i wrócił na swoje krzesło. Michael przeczytał napis:

TALAMASCA

Obserwujemy

Zawsze jesteśmy w pobliżu

Podano też numery telefonów w Amsterdamie, Rzymie i Londynie.

– Macie bazy w tych wszystkich miastach? – zapytał Michael.

– Konwenty, tak je nazywamy – odparł Anglik. – Ale idźmy dalej. Jak już powiedziałem, w większej części pozostajemy bierni. Zbieramy dane; znajdujemy odpowiedniki, współzależności, przechowujemy informacje. Działamy jednak aktywnie, gdy chodzi o udostępnianie naszych informacji wszystkim, którym mogą one przynieść pożytek. Dowiedzieliśmy się o pana doświadczeniach z londyńskich gazet, a także od informatora z San Francisco. Doszliśmy do wniosku, że moglibyśmy... przyjść panu z pomocą.

Michael zdjął prawą rękawicę, ciągnąc powoli za każdy palec, potem odłożył

ją na bok. Znów podniósł wizytówkę. Drażniący przeblysk: Lightner wkłada kilka podobnych karteczek do kieszeni w innym pokoju hotelowym. Nowy York. Zapach cygar. Hałas uliczny. Jakaś kobieta, mówiąca do Lightnera szybko, z brytyjskim akcentem...

– Dlaczego nie zada pan określonego pytania, panie Curry? Jego słowa wyrwały Michaela z transu.

– Dobra – odparł. *Czy ten człowiek mówi mi prawdę?* Osłabiający i budzący zniechęcenie nawał wiadomości nie ustawał, głosy, coraz bardziej zmieszane, przybierały na sile. Poprzez zgiełk Michael usłyszał, że Lightner znów do niego mówi:

– Proszę się skoncentrować, panie Curry, niech pan wyodrębni to, co chce wiedzieć. Jesteśmy dobrymi ludźmi, czy też nie?

Michael skinął głową, bezgłośnie powtarzając pytanie, potem jednak nie mógł już tego znieść. Położył wizytówkę z powrotem na stole, pilnując się, aby nie musnąć go palcami. Trząśł się nieco. Na powrót nasunął rękawicę. Wzrok już mu się nie ćmił.

– I co pan teraz wie? – zapytał Lightner.

– Coś o Templariuszach, ukradliście ich pieniądze – odparł Michael.

– Co? – Anglik był zdumiony.

– Zabraliście ich pieniądze. Właśnie dlatego macie te wszystkie konwenty na całym naszym pięknym świecie. Przywłaszczyliście sobie majątek Templariuszy, kiedy król Francji wsadził ich do więzienia. Dali wam je na przechowanie, a wyście je zatrzymali. I jesteście bogaci. Obrzydliwie bogaci. I wstydzicie się tego, co przydarzyło się Templariuszom, tego że oskarżono ich o czary i zniszczono. O tym dowiedziałem się naturalnie z książek. Robiłem dyplom z historii. Wiem, co się stało z członkami tego zakonu. Król Francji pragnął zniszczyć ich potęgę. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z waszego istnienia – Michael przerwał. – Bardzo niewielu ludzi tak naprawdę o was wie.

Lightner wlepił w niego oczy w niewinnym zdumieniu. Potem jego twarz



poróżowiała. Najwyraźniej czuł się coraz bardziej nieswojo.

Michael parsknął śmiechem, chociaż starał się od tego powstrzymać. Poruszył palcami prawej dłoni.

– Czy to jest właśnie koncentracja i wyodrębnienie informacji? – zapytał.

– No cóż, sędzę, że to właśnie to. Ale nigdy mi nie przyszło do głowy, że wybierze pan tak mało znaczący...

– A jednak wstydzi się pan. Zawsze się pan wstydził tego, co przydarzyło się Templariuszom. Czasami chodzi pan do archiwum w piwnicy w Londynie i czyta wszystkie stare akta. Nie wyciągi komputerowe, ale pożółkłe dokumenty, pisane atramentem na pergaminie. Stara się pan przekonać samego siebie, że wasz Zakon nie był w stanie zrobić nic, aby pomóc Templariuszom.

– Imponujące, panie Curry. Ale jeśli zna pan historię, to wie także i to, że nikt oprócz papieża nie mógł uratować Templariuszy. My z pewnością nie byliśmy w stanie tego zrobić, jako nieznana, mała i całkowicie tajna organizacja. I mówiąc szczerze, kiedy skończyły się prześladowania, a Jakub de Molay i inni zostali spaleni żywcem, nie pozostał już nikt, komu można było zwrócić pieniądze.

Michael znów się roześmiał.

– Oczywiście. Pan jednak naprawdę wstydzi się czegoś, co wydarzyło się sześćset lat temu. Ależ z was banda dziwaków. A tak na marginesie, jeśli to ma jakieś znaczenie, ja sam pisałem kiedyś rozprawę o Templariuszach i zgadzam się z panem. O ile wiem, nikt, nawet papież, nie mógł im pomóc. Gdybyście się ujawnili, was też spalono by na stosie.

Lightner znów się zarumienił.

– Bez wątplenia – odparł. – Czy przekonał się pan, że powiedziałem prawdę?

– Czy się przekonałem? Ależ pan mi zaimponował! – Michael obserwował go przez dłuższą chwilę. Znów odebrał wyraźne wrażenie, że stoi przed nim porządny człowiek, ktoś, kto uznaje wartości, które i dla Michaela znaczą bardzo wiele. – I ta wasza praca jest przyczyną, dla której pan za mną przyjechał

narażając się, jak to pan powiedział, na niewygodę, nieprzyjemności i moje niezadowolenie? – zapytał Michael. Podniósł wizytówkę, a w rękawicach nie było to łatwe, potem wsunął ją do kieszeni koszuli.

– Niezupełnie – odparł Anglik. – Aczkolwiek bardzo pragnę panu pomóc, a jeśli zabrzmiało to protekcjonalnie lub obraźliwie, przykro mi. Ale to prawda, a nie ma sensu kłamać komuś takiemu, jak pan.

– No cóż, nie sędzę, że zaskoczy pana informacja, iż bywały takie chwile w ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy głośno modliłem się o pomoc. Jednak teraz czuję się nieco lepiej niż dwa dni temu. O wiele lepiej. Jestem na dobrej drodze, żeby... zrobić to, co, mam wrażenie, powinienem.

– Posiada pan niezmierną moc, ale tak naprawdę nie rozumie jej pan – stwierdził Lightner.

– Ale ta siła nie ma znaczenia. Mówię teraz o celu. Czy czytał pan w gazetach artykuły o mnie?

– Tak, każdą wzmiankę w druku, jaką mogłem znaleźć.

– No cóż, wobec tego wie pan, że kiedy byłem martwy, miałem wizje, w których wytyczono mi jakiś cel. Aby go osiągnąć, musiałem wrócić do Nowego Orleanu. Poza tym w ten czy inny sposób utraciłem całą pamięć. No, prawie całą.

– Tak, rozumiem.

– A więc pojmuję pan, że ta historia z rękami nie liczy się – odparł Michael. Niepewność. Pociągnął kolejny głęboki łyk piwa. – Nikt tak naprawdę nie wierzy w ten cel. Ale od czasu wypadku minęły ponad trzy miesiące, a moje odczucia się nie zmieniły. Wróciłem tutaj z powodu owego celu. On ma coś wspólnego z domem, który odwiedziłem zeszłego wieczoru. Tę piękną lecz ponurą rezydencję na ulicy Pierwszej. Zamierzam nadal próbować dowiedzieć się, na czy ten cel polega.

Mężczyzna lustrował go przenikliwym spojrzeniem.

– A więc ten dom wiąże się z wizjami, które miał pan po utonięciu?

– Tak, ale proszę mnie nie pytać, w jaki sposób. Przez kilka! miesięcy raz po raz widywałem w wyobraźni ten dom. Pojawiał mi się we śnie. To się na pewno jakoś wiąże. Przejechałem ponad dwaj tysiące kilometrów z powodu tego niejasnego dla mnie związku.

– A Rowan Mayfair, co ona ma z tym wspólnego?

Michael powoli postawił puszkę i przeszył Anglika twardym, taksującym spojrzeniem.

– Pan zna doktor Mayfair? – zapytał.

– Nie, ale wiele wiem o niej i o jej rodzinie – odparł tamten.

– Tak? To może bardzo zainteresować Rowan. Ale skąd pani zna jej rodzinę? Co ci ludzie znaczą dla pana? Jeśli dobrze zrozumiałem, czekał pan pod moim domem w San Francisco, żeby ze mną porozmawiać.

Twarz Lightnera pociemniała na moment.

– Panie Curry, jestem zdezorientowany. Może pan mnie oświeci. Skąd na ulicy Wolności wzięła się doktor Mayfair?

– Niech pan posłucha, mam już dość tych pytań. Przyjechała tam, bo starała się mi pomóc. Jest lekarką.

– Była tam w charakterze lekarza? – zapytał Lightner szeptem. – Działalem więc pod mylnym wrażeniem. Doktor Mayfair nie przysłała pana tutaj?

– Ona mnie? Tutaj? Dobry Boże, nie. Czemu, u diabła, miałyby to robić? Nie popierała nawet mojego przyjazdu, chyba że w ten sposób pozbędę się tej obsesji. Prawdę powiedziawszy, kiedy mnie zabrała spod domu byłem tak pijany, że aż dziw, że nie oddała mnie do izby wytrzeźwień. Żałuję, że teraz nie jestem pijany. Ale skąd panu przyszło do głowy coś takiego, panie Lightner? Dlaczego Rowan Mayfair miałyby mnie tu przysyłać?

– Proszę o chwilę cierpliwości.

– Nie wiem, czy się na to zgodzę.

– Nie znaliście się przed wypadkiem?

– Nie. Poznałem ją pięć minut później.

– Nie rozumiem pana.

– To ona mnie wyratowała, Lightner. Doktor Mayfair wyciągnęła mnie z morza. Wtedy właśnie po raz pierwszy ją zobaczyłem – I kiedy przywróciła mi przytomność na pokładzie swojej łodzi.

– Dobry Boże, nie miałem pojęcia.

– No, ja też, aż do piątkowego wieczoru. To znaczy nie znałem jej nazwiska, nie wiedziałem, kim była, i tak dalej. Straż przybrzeżna skopała sprawę. Otrzymałszy wezwanie, nie zanotowali ani jej danych, ani numeru łodzi. Ale ona uratowała mi życie. Posiada swego rodzaju potężny zmysł diagnostyczny, który mówi jej, czy pacjent umrze, czy też przeżyje. Natychmiast zaczęła przywracać mnie do życia. Czasem zastanawiam się, czy ludzie ze straży przybrzeżnej próbowaliby mnie ocucić, gdyby to oni mnie znaleźli.

Lightner pogrążył się w milczeniu, wlepiając oczy w dywan. Wydawał się głęboko zaniepokojony.

– Tak, jest niezwykłą lekarką – wyszeptał, najwyraźniej nie dając jednak pełnego wyrazu swoim myślom. Widać było, że koncentracja przychodziła mu z trudnością. – A pan opowiedział jej o wizjach.

– Chciałem wrócić na jej łódź. Przyszło mi do głowy, że może, jeśli uklęknę na pokładzie i dotknę desek, no cóż, że poprzez dłonie odbiorę jakieś wrażenia. Coś, co ożywi moją pamięć. I co najdziwniejsze, ona się na to zgodziła. Nie jest zwyczajną lekarką, o nie.

– Tak, tu całkowicie się z panem zgadzam – odparł Lightner. – I co się wydarzyło?

– Nic, to znaczy nic oprócz tego, że poznałem Rowan – przerwał. Zastanawiał się, czy tamten może się domyślić, jak się rzeczy mają między nim a Rowan. Sam, z własnej woli nie miał zamiaru o tym mówić.

– A teraz sądzę, że jest mi pan winien kilka odpowiedzi – rzekł Michael. – Co dokładnie wiadomo panu o niej i jej rodzinie, i skąd przyszło panu do głowy, że ona mnie tu przysłała? Mnie, ze wszystkich możliwych ludzi. Czemu, u

diabła, miałyby to zrobić?

– Cóż, tego właśnie starałem się dowiedzieć. Myślałem, że to może mieć coś wspólnego z tą mocą w pańskich rękach, że poprosiła, aby przeprowadził pan dla niej w sekrecie jakieś badania. To było jedyne wytłumaczenie, jakie mi przyszło do głowy. Ale, panie Curry, skąd pan wie o tym domu? To znaczy, jak odkrył pan związek między tym, co zobaczył pan w swoich wizjach a...

– Dorastałem tutaj, Lightner. Kochałem ten dom, kiedy byłem małym chłopcem. Bardzo często przechodziłem obok niego ulicą. Nigdy go nie zapomniałem. Nawet przed utonięciem często myślałem o tym budynku. Zamierzam się dowiedzieć, czyją jest własnością i co to wszystko znaczy.

– Naprawdę... – zaczął Lightner, znów półszepem. – Pan *nie wie*, do kogo należy?

– Nie. Powiedziałem przecież, że zamierzam się dowiedzieć.

– I nie ma pan pojęcia...

– Powtarzam: zamierzam się dowiedzieć!

– Zeszłego wieczora chciał pan wdrapać się na ogrodzenie.

– Pamiętam. A teraz, czy byłby pan łaskaw powiedzieć mi parę' rzeczy? Pan mnie zna. Zna pan doktor Mayfair. Dom na ulicy Pierwszej nie jest panu obcy. Ma pan informacje dotyczące rodziny Rowan – Michael przerwał i wbił wzrok w Anglika. – Rodzina Rowan! To ich jest ten dom?

Lightner z powagą skinął głową.

– To rzeczywiście prawda?

– Należy do nich od stuleci – rzekł Lightner spokojnie. – I jeśli nie mylę się, kolejną właścicielką będzie Rowan Mayfair, która odziedziczy wszystko z chwilą śmierci swojej matki.

– Nie wierzę panu – wyszeptał Michael. Po prawdzie jednak uwierzył. Znów ogarnęła go atmosfera wizji, ale, jak zawsze, rozwiąła się natychmiast. Wpatrywał się w Lightnera, niezdolny sformułować żadnego z pytań, które kłębiły się w jego umyśle.

– Panie Curry, raz jeszcze błagam o cierpliwość. Proszę mi szczegółowo wytłumaczyć, w jaki sposób dom wiąże się z pańskimi wizjami. Lub, mówiąc ściślej, w jaki sposób poznał go pan i co zapamiętał z czasów dzieciństwa.

– Nie, dopóki nie usłyszę, co pan o tym wszystkim wie – powiedział Michael. – Czy pan zdaje sobie sprawę, że Rowan...

Anglik przerwał mu.

– Jestem gotów opowiedzieć bardzo wiele – odparł. – W zamian jednak proszę, aby pan mówił pierwszy i powiedział mi wszystko, co pamięta, co wydaje się znaczące, nawet jeśli nie wie pan, o co w tym chodzi. Być może ja znajdę właśnie odpowiedzi. Czy pan rozumie, do czego zmierzam?

– Dobra, moja wiedza za pańską wiedzę. Ale naprawdę *powie* mi pan wszystko, co wie?

– Absolutnie.

Gra warta świeczki, naturalnie. To była najbardziej podniecająca rzecz, jaka mu się przydarzyła, jeśli nie liczyć pierwszego pojawienia się Rowan u jego drzwi. Sam był zaskoczony, jak bardzo pragnął opowiedzieć temu mężczyźnie wszystko, aż do najdrobniejszego szczegółu.

– Dobra – rozpoczął. – Tak jak powiedziałem, nieraz przechodziłem obok tego domu, kiedy byłem chłopcem. Zazwyczaj nadrabiałem drogi, żeby przejść obok. Dorastałem nad rzeką, na ulicy Zwiastowania, sześć budynków stąd. Często widywałem w ogrodzie mężczyznę, tego samego, którego ujrzałem wczoraj. Pamięta pan, jak zapytałem, czy pan go widzi? No cóż, ja zeszłego wieczoru dostrzegłem go najpierw przy ogrodzeniu, a potem trochę dalej, w ogrodzie, i niech mnie licho, ale on wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy byłem małym chłopcem. A przecież miałem cztery lata, gdy po raz pierwszy ujrzałem tego faceta. Dwa lata później zobaczyłem go w kościele.

– Widział go pan w kościele? – Znów to badawcze wejrzenie; wzrok słuchającego niemal ranił jego twarz.

– Owszem, na Gwiazdkę, w kościele św. Alfonsa. Nigdy tego nie

zapomniałem, bo ze wszystkich możliwych miejsc on wybrał sobie sanktuarium, czy pan rozumie, o czym mówię? Kołyskę ustawiono na balustradzie ołtarza, a on stał z tyłu, na jego bocznych stopniach.

Lightner skinął głową.

– I jest pan pewien, że to był on? Michael parsknął śmiechem.

– No, wzięwszy pod uwagę część miasta z której pochodzę, byłem pewien – powiedział. – Ale owszem, na poważnie, to był ten sam mężczyzna. Widziałem go też innym razem, ale nie myślałem o tym od lat. W eleganckiej dzielnicy odbywał się koncert, którego nigdy nie zapomnę, bo tamtego wieczora grał Izaak Stern. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem coś podobnego na żywo, wie pan. W każdym razie wtedy właśnie zobaczyłem tego mężczyznę w audytorium. Obserwował mnie.

Michael zawahał się; powróciła atmosfera owej dawno minionej chwili, a on nie powitał jej z radością, gdyż były to takie smutne, bolesne czasy. Otrząsnął się z tego. Wiedział, że Lightner znów czyta w jego myślach.

– Nie są wyraźne, kiedy się pan denerwuje – przyznał Anglik łagodnie. – Ale to jest bardzo ważne, panie Curry...

– Wiem, wiem. To wszystko wiąże się z tym, co ujrzałem po utonięciu. Wiem, ponieważ ciągle myślałem o tym po wypadku, kiedy nie byłem w stanie skoncentrować się na niczym innym. Budziłem się nieustannie, przed oczami miałem ten dom, a w głowie myśl: tak, wracaj tam. Rowan Mayfair nazwała to idee fixe.

– Pan opowiedział jej o...

Michael skinął głową. Skończył piwo.

– Opisałem jej każdy szczegół. Była cierpliwa, ale nie mogła tego rozszyfrować. Powiedziała jednak coś, co wydaje mi się bardzo do rzeczy. Stwierdziła, że moje wizje są zbyt specyficzne, aby mogły mieć podłoże patologiczne. Brzmi rozsądnie, nieprawdaż?

– Błagam o jeszcze trochę cierpliwości – powiedział Lightner. – Ale proszę

mi powiedzieć, co pamięta pan z tych wizji? Mówił pan, że nie zapomniał ich całkowicie...

Michael coraz bardziej ufał temu człowiekowi. Może sprawiło to jego umiarkowanie autorytatywne obejście. Ale nikt jeszcze nie pytał o jego wizje z podobną powagą, nawet Rowan. Poczł się całkowicie rozbrojony. Ten człowiek zdawał się tak z nim solidaryzować.

– Och, tak właśnie jest – rzekł Lightner z pośpiechem. – Niech mi pan wierzy, solidaryzuję się całkowicie, nie tylko z tym, co się panu przydarzyło, ale i z pańską wiarą. Proszę, niech mi pan opowie.

Michael opisał pokrótce kobietę o ciemnych włosach, klejnot, który miał jakieś istotne w tym wszystkim znaczenie, niewyraźny obraz lub ideę bramy...

– Jednak nie bramy tamtego domu, to nie o to chodzi, choć naturalnie sam budynek jest ważny.

I jeszcze coś o liczbie, obecnie zapomnianej. Nie, nie adres. To nie był długi numer, miał dwie cyfry i jakieś bardzo ważne znaczenie. No i cel, naturalnie, to on był jego ocaleniem; i jeszcze mocne przekonanie Michaela, że miał prawo odmówić.

– Nie mogę uwierzyć, że pozwoliliby mi umrzeć, gdybym wycofał się z wykonania misji. We wszystkim dawali mi wybór. Zdecydowałem, że powrócę i wypełnię cel. Ocknąłem się wiedząc, że *ras* do zrobienia coś bardzo ważnego.

Widział wyraźnie, że jego słowa wywarły na Angliku zdumiewające wrażenie. Lightner nie starał się nawet ukrywać zaskoczenia.

– Czy pamięta pan coś jeszcze?

– Nie. Czasami mam wrażenie, że za chwilę wszystko sobie przypomnę. A potem to mi się wymyka. Dopiero dwadzieścia cztery godziny po odzyskaniu przytomności zacząłem myśleć o domu na ulicy Pierwszej. Nie, może nawet jeszcze później. I natychmiast wyczułem związek, zresztą podobnie jak wczoraj. Przybyłem we właściwe miejsce, żeby znaleźć odpowiedź, ale wciąż nie mogę sobie przypomnieć! To wystarczy, żeby człowieka doprowadzić do szaleństwa.



– Wyobrażam sobie – odparł Lightner cicho, wciąż jednak nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia i zdumienia, jakie wywołało w nim wszystko to, co powiedział Michael. – Pan pozwoli, że coś zasugeruję. Czy to możliwe, że kiedy przyszedł pan do siebie, ujął pan rękę Rowan w swoje dłonie i obraz domu przyszedł do pana poprzez pannę Mayfair?

– Cóż, to możliwe, jeśli nie brać pod uwagę jednego bardzo ważnego faktu. Rowan nic nie wie o tym domu, o Nowym Orleanie, ani o swojej rodzinie, za wyjątkiem przybranej matki, która umarła w zeszłym roku.

Lightner najwyraźniej nie był skłonny w to uwierzyć.

– Niech pan słucha – rzekł Michael. Temat zaczął go ponosić i wiedział o tym. Rzecz w tym, że rozmowa z Lightnerem sprawiała mu przyjemność. Ale sprawy zaszły już za daleko. – Musi mi pan powiedzieć, skąd pan wie o Rowan. W piątek wieczorem, kiedy Rowan przyjechała po mnie do San Francisco, zobaczyła tam pana. Powiedziała, że już pana gdzieś widziała. Tylko proszę być wobec mnie szczerym, Lightner. Co to za sprawa z Rowan? Skąd pan o niej wie?

– Wszystko wyjaśnię – odparł Lightner z tą samą charakterystyczną łagodnością. – Ale pozwoli pan, że zapytam raz jeszcze: jest pan pewien, że Rowan nigdy nie widziała zdjęcia tego domu?

– Nie, omawialiśmy ten właśnie punkt. Urodziła się w Nowym Orleanie...

– Tak...

– Ale tego samego dnia ją zabrano. Zmuszono ją, aby podpisała dokument, że nigdy tu nie wróci. Zapytałem ją, czy kiedykolwiek widziała zdjęcia tutejszych domów. Odpowiedziała, że nie. Po śmierci przybranej matki nie mogła znaleźć nawet najdrobniejszej informacji o swojej rodzinie. Czy pan nie rozumie? To nie przyszło od Rowan! To dotyczy jej, podobnie jak mnie.

– Co pan przez to rozumie?

Michael, oszołomiony, starał się to wszystko ogarnąć myślą.

– Chcę powiedzieć, że oni wybrali mnie ze względu na wszystko, co

kiedykolwiek mi się przydarzyło... kim byłem, czym byłem, gdzie mieszkałem, to wszystko miało znaczenie. I czy pan nie rozumie? Ja nie jestem tutaj ośrodkiem. Najprawdopodobniej jest nim Rowan. Ale muszę zadzwonić, powiedzieć jej, że ten dom należy do jej matki.

– Proszę tego nie robić.

– Co?

– Michael, proszę, niech pan usiądzie.

– O co chodzi? Czy pan nie rozumie, jakie to wszystko niepojęte! Ten dom należy do Mayfairów, a Rowan nie wie nic o swojej rodzinie, nawet nie zna imienia rodzonej matki.

– Nie chcę, aby pan do niej dzwonił! – rzekł Lightner z nagłą natarczywością. – Proszę, nie wywiązałem się jeszcze ze swojej części umowy. Pan mnie nie wysłuchał.

– Boże, czy pan nie zdaje sobie sprawy? Rowan najprawdopodobniej wyprowadzała właśnie „Sweet Christine”, kiedy mnie zmyło z tej skały! Szliśmy kolizyjnym kursem, a wtedy ci ludzie, ci ludzie, którzy wiedzieli o wszystkim, postanowili się wtrącić.

– Owszem, zdaję sobie sprawę... proszę teraz jedynie, aby zgodził się pan na wymianę informacji, zanim skontaktuje się pan z Rowan.

Anglik mówił coś jeszcze, ale Michael go nie słyszał. Jego umysł ogarnął nagły, gwałtowny zamęt; miał wrażenie, że osuwa się w nieświadomość i jeśli nie uchwyci się stołu, straci przytomność. Nie była to jednak niedomoga ciała. Na jedną, wspaniałą sekundę wizje otwarły się przed nim na nowo, kobieta o czarnych włosach mówiła wprost do niego, a potem z jakiegoś pięknego, wietrznego miejsca wysoko w górze, gdzie był nieważki i wolny, dostrzegł małą łódź na morzu poniżej i rzekł: tak, zrobię to.

Michael powstrzymał oddech. Usilnie starając się nie stracić wizji, nie sięgał ku nim umysłem. Nie zdusił ich. Zastygły w bezruchu, czuł jednak, jak raz jeszcze pozostawiają go bez odpowiedzi; powracała świadomość chłodnej

materialności własnego ciała, wzbierała w nim dobrze znana złość i tęsknota, narastał przyjemny ból.

– O mój Boże – wyszeptał. – A Rowan nie ma nawet pojęcia... Zorientował się, że znów siedzi na sofie. Lightner podtrzymał go i za to był mu wdzięczny. Inaczej mógłby upaść. Znów zamknął oczy. Wizje jednak odeszły. Ujrzał jedynie Rowan, delikatną i śliczną, uroczo nieporządną w obszernym, białym szlafroku, Rowan, która płakała z pochyloną głową i twarzą ukrytą w gęstwie jasnych włosów.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Lightner siedzi tuż przy nim. Miał przerażające wrażenie, że na sekundy, może nawet całe minuty stracił kontakt z rzeczywistością. Nie przeszkadzała mu jednak obecność tego człowieka. Wydawał się szczerze życzliwy i pełen szacunku, mimo tych wszystkich nieprawdopodobnych *rzeczy*, jakie miał do powiedzenia.

– Minęła tylko sekunda, może dwie – odezwał się Lightner. (Znów czytając w myślach!) – Ale panu zakręciło się w głowie. Omal pan nie upadł.

– Prawda. Nie ma pan pojęcia, jakie to okropne, nie pamiętać. Rowan powiedziała coś bardzo dziwnego.

– A mianowicie?

– Może oni nie chcą, żebym pamiętał.

– I to wydało się panu dziwne?

– Tak, ponieważ wydaje mi się, że jest odwrotnie. Oni chcą, żebym wykonał swoje zadanie. To ma jakiś związek z bramą, wiem o tym. I liczbą trzynaście. Rowan powiedziała jeszcze coś, co naprawdę mną wstrząsnęło. Zapytała, skąd wiemy, że ludzie, których widziałem, są dobrzy? Jezu, ona zasugerowała, że mogą być odpowiedzialni za ten wypadek, wie pan, za to, że tak mnie zmyło morza. O rany, mówię panu, dostaję bzika.

– To bardzo rozsądna sugestia – odparł tamten z westchnieniem. – Wspomniał pan coś o liczbie trzynaście...

– Tak? Naprawdę? Ja nie... Chyba rzeczywiście mówiłem coś takiego. Tak,

to była liczba trzynaście. Jezu, teraz mam to z powrotem. Tak, liczba trzynaście!

– A teraz proszę mnie posłuchać. Nie chcę, aby pan dzwonił do Rowan. Niech się pan ubierze i idzie ze mną.

– Chwileczkę, mój przyjacielu. Jest pan nader interesującym facetem. W bonzurce wygląda pan lepiej niż wszyscy ludzie, których widywałem w filmach. Ma pan przekonujący i czarujący sposób bycia. Ale ja jestem tutaj, czyli dokładnie w tym miejscu, gdzie chcę być. I zamierzam odwiedzić dom na ulicy Pierwszej, kiedy już zadzwonię do Rowan...

– A co dokładnie zamierza pan tam zrobić? Zapukać do drzwi?

– No cóż, poczekam na przyjazd Rowan. Ona z pewnością zechce przyjechać i spotkać się ze swoją rodziną. Jestem przekonany, że o to w tym wszystkim chodzi.

– A ten mężczyzna, co według pana on ma z tym wspólnego? – zapytał Lightner.

To Michaela wstrzymało. Siedział wlepiając oczy w Anglika.

– Pan widział tego faceta? – zapytał.

– Nie. Nie dał mi na to czasu. Chciał, aby pan go zobaczył. Ale dlaczego? To właśnie chciałbym wiedzieć.

– Pan wie o nim wszystko, nieprawdaż? – Tak.

– Dobra, teraz pańska kolej, proszę mówić. I to natychmiast, jeśli łaska.

– Tak, tak się umówiliśmy – odrzekł Lightner. – Zrozumiałem, że teraz bardziej niż kiedykolwiek ważne jest, aby pan poznał całą prawdę o Mayfairach.

– Wstał, powoli zbliżył się do stołu i zaczął zbierać papiery rozrzucone po całej jego powierzchni, układając je porządnie w dużej, skórzanej teczce. – Wszystko jest w tych aktach.

Michael ruszył za nim. Spojrzał na niemożliwie wielką stertę materiałów, którą Anglik wpychał do teczki. W większości były to kartki maszynopisu, dostrzegł tam jednak parę pisanych odręcznie.

– Niech pan słucha, Lightner, winien mi jest pan parę odpowiedzi – rzekł

Michael.

– To jest kompendium odpowiedzi, Michael. Z naszych archiwów. W całości odnosi się do rodziny Mayfairów. Sięga wstecz aż do roku 1666. Ale musi mnie pan wysłuchać. Nie mogę dać panu tego tutaj.

– Gdzie wobec tego?

– Mamy niedaleko stąd naszą samotnię, starą rezydencję plantatora, naprawdę urocze miejsce.

– Nie – odparł Michael ze zniecierpliwieniem.

Lightner gestem poprosił o spokój.

– To zaledwie półtorej godziny drogi stąd. Muszę nalegać, aby pan się teraz ubrał, pojechał ze mną, przeczytał te akta w ciszy i spokoju Dębowego Ustronia i aby powstrzymał się pan od pytań, póki pan tego nie zrobi i wszystkie aspekty tej sprawy nie staną się jasne. Po zapoznaniu się z tymi notatkami, zrozumie pan, czemu prosiłem o odłożenie na później rozmowy telefonicznej z doktor Mayfair. Sądzę, że będzie pan zadowolony, iż tak postąpił.

– Rowan powinna zobaczyć te akta.

– Oczywiście. I jeśli gotów pan jest przekazać to w jej ręce w naszym imieniu, będziemy dozgonnie wdzięczni.

Michael badał mężczyznę wzrokiem, starając się oddzielić urok jego obejścia od zdumiewającej treści wypowiedzianych przez niego słów. Z jednej strony czuł do Anglika sympatię, a jego wiedza budziła zaufanie; z drugiej strony jednak ocknęła się w nim podejrzliwość. A poza tym wszystkim, Michael był głęboko zafascynowany tym, jak wszystkie elementy tej układanki wskakują na swoje miejsca.

Uświadomił sobie coś jeszcze. Przyczyną, dla której z taką niechęcią odnosił się do tej mocy w swoich dłoniach, był fakt, że kiedy dotknął jakiejś osoby lub jej własności, powstawała między nimi swego rodzaju zażyłość, która w przypadku obcych ludzi szybko się zacierała. Inaczej było z Lightnerem. Poczucie bliskości z tym człowiekiem stopniowo przybierało na sile.

– Nie mogę wyjechać z panem na wieś – odrzekł Michael. – Nie mam najmniejszej wątpliwości, że mówi pan prawdę. Ale muszę zadzwonić do Rowan i chcę, aby dał mi pan te materiały tutaj.

– Michael, tu są informacje, które mają związek z tym, co mi pan opowiedział. Wiąże się to z kobietą o czarnych włosach i z bardzo znaczącym klejnotem. Nie wiem, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim brama. Natomiast jeśli chodzi o liczbę trzynaście, najprawdopodobniej rozumiem jej znaczenie. Co do tajemniczego mężczyzny, łączy się z nim zarówno kobieta z czarnymi włosami, jak i klejnot. Ale wypuszczę te akta z rąk jedynie na warunkach, które sam podyktuję.

Oczy Michaela zwęziły się.

– Twierdzi pan, że to kobieta, którą widziałem w wizjach?

– Jedynie pan może to stwierdzić.

– Pan nie bawi się chyba ze mną w kotka i myszkę.

– Nie. Oczywiście że nie. Ale, Michaelu, niech się pan nie bawi sam ze sobą. Wiedział pan zawsze, że ten mężczyzna nie jest... tym czym się wydaje, prawda? Czy pan czuł, kiedy go pan zobaczył zeszłego wieczoru?

– Taaaak, wiedziałem... – wyszeptał Michael. Raz jeszcze poczuł zamęt w głowie. Przeszył go mroczny, niepokojący, lecz przyjemny dreszcz. Znow miał przed oczami mężczyznę przypatrującego mu się zza ogrodzenia. – Jezu! – szepnął. I zanim zdołał się powstrzymać, wydarzyło się coś nader zaskakującego. Michael uniósł prawą rękę i szybko, instynktownie przeżegnał się.

Potem zerknął na Lightnera zawstydzony. Później w głowie zaświtała mu bardzo jasna myśl. Ogarniało go narastające podniecenie.

– Może oni chcieli, abym pana spotkał? – zapytał. – Kobieta o czarnych włosach, może ona chciała, aby doszło do naszego spotkania?

– Nikt inny, oprócz pana, nie jest w stanie tego osądzić. Tylko pan wie, kim naprawdę są te istoty i co powiedziały.

– Boże, ależ ja nic nie pamiętam – Michael ujął głowę w obie dłonie. Zorientował się, że patrzy na skórzaną teczkę. Był na niej napis w języku angielskim. Duże litery, wytłoczone w złocie, ale na wpół zatarte. – Czarownice z rodziny Mayfair – wyszeptał. – Czy to właśnie tutaj napisano?

– Tak. Ubierze się pan teraz i pójdzie ze mną? Na wsi mogą poczekać na nas ze śniadaniem. Proszę?

– Pan chyba nie wierzy w czarownice! – rzekł Michael. Ale już nadchodzili *oni*. Raz jeszcze pokój zaczął rozwierać się przed jego oczami. Głos Lightnera znów był daleki; słowa bez znaczenia, jedynie słabe, nic nieznaczące dźwięki biegnące z oddali. Michael zobaczył pokój w mglistym świetle poranka. Ciotka Vivian siadywała tutaj wiele lat temu, jego matka również. Ale to teraźniejszość. Zadzwoń do Rowan...

– Nie teraz – sprzeciwił się Lightner. – Po przeczytaniu akt.

– Pan się boi Rowan. Chodzi właśnie o samą Rowan, z jakiegoś powodu chce mnie pan przed nią chronić. – Widział przed sobą wirujące pyłki kurzu. W jaki sposób coś tak specyficznie materialnego może nadawać sytuacji posmak nierealności? Przypomniawszy sobie, jak w samochodzie dotknął ręki Rowan. Ostrzeżenie. Przypomniawszy sobie Rowan później, w swoich ramionach.

– Pan wie, co to jest – rzekł Lightner. – Ona panu powiedziała.

– Och, to wariactwo. Wytwórz jej wyobraźni.

– Nie, bynajmniej. Niech pan na mnie spojrzy. Mówię prawdę. I proszę nie kazać mi szukać w pańskich myślach czegoś, o czym pan wie. Pomyślał pan o tym ujrzawszy słowo „czarownice”.

– Nieprawda. Nie można zabijać ludzi jedynie życząc sobie ich śmierci.

– Michael, ja błagam o mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Zwracam się do pana w dobrej wierze. Proszę, aby pan uszanował nasze metody, i poświęcił trochę czasu.

W milczeniu, z zamętem w głowie, Michael obserwował, jak Lightner zdejmując bonżurkę, porządnie składa ją i chowa do walizki wraz ze skórzaną

teczką.

Musi przeczytać te dokumenty. Patrzył, jak Lightner wkłada marynarkę, zasuwa walizkę, podnosi ją i trzyma w ramionach.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości! – stwierdził Michael. – Rowan nie jest żadną czarownicą. To szaleństwo. Ta wspaniała dziewczyna jest lekarką i ocaliła mi życie.

I pomyśleć, że to własność jej matki, ten piękny dom, który kochał już od czasu, kiedy był małym chłopcem. Znów poczuł atmosferę owego wieczoru, z fioletowym niebem przeblyskującym zza gałęzi i ptakami, które krzyczały niby w dzikim lesie.

Przez te wszystkie lata czuł, że ten mężczyzna nie jest realny. Wiedział o tym przez całe życie.

– Michael, ten mężczyzna czeka na Rowan – rzekł Lightner.

– Czeka na Rowan? Ależ, Lightner, czemu wobec tego ukazał się mnie?

– Posłuchaj, przyjacielu – Anglik położył dłoń na ręce Michaela i ścisnął ją życzliwie. – Straszenie ciebie lub żerowanie na twojej fascynacji nie jest moim zamiarem. Jednak ta istota towarzyszy rodzinie Mayfairów od pokoleń. Potrafi zabijać ludzi. Ale to umie i doktor Rowan Mayfair. Faktycznie jest ona być może wśród podobnych sobie pierwszą, która może zabijać całkowicie samodzielnie, bez pomocy tej istoty. Oni zacierają ku sobie, ten mężczyzna i Rowan. Ich spotkanie jest tylko kwestią czasu. A teraz, proszę, niech się pan ubierze i pójdzie ze mną. Jeśli zdecyduje się pan zostać naszym pośrednikiem, i w naszym imieniu wręczyć Rowan te akta czarownic z rodziny Mayfair, wtedy nasze najwyższe cele zostaną spełnione.

Michael w milczeniu usiłował oswoić się z tym wszystkim; jego oczy biegały niespokojnie po postaci Lightnera, dostrzegał jednak zupełnie co innego.

Obecnie uczucia, jakie w nim budził tajemniczy nieznajomy z ogrodu nie były dla niego zupełnie zrozumiałe; ten mężczyzna, który zawsze wydawał mu się niejasno piękny, niby uosobienie elegancji, ta blada i sentymentalna figura



zdawała się posiadać swego rodzaju pogodę ducha, którą Michael również chciałby i odczuwać. Jednak wczorajszego wieczora, zza ogrodzenia, mężczyzna ten usiłował go przestraszyć. Ale czy rzeczywiście?

Gdybyż tylko w owej chwili nie miał być na sobie rękawic i mógł dotknąć tego człowieka!

Nie wątpił w słowa Lightnera. W tym wszystkim było coś upiornego, złowieszczonego i mrocznego niby cienie otaczające ten dom. *A jednak to coś wydawało się znajome.* Pomyślał o wizjach, nie usiłując sobie niczego przypominać, jedynie po to, aby na powrót zanurzyć się we wrażenia, jakie w nim budziły, i jak zawsze! ogarnęło go przekonanie o dobroci tamtych istot.

– Moim zadaniem jest interweniować – powiedział. – Z pewnością. A może mam użyć tej mocy poprzez dotyk? Rowan powiedziała...

– Tak?

– Zapytała, czemu sędzę, że ta moc w moich rękach nie ma z tym nic wspólnego, dlaczego upieram się przy swojej odrębności. – Pomyślał raz jeszcze o dotknięciu tego mężczyzny. – Może rzeczywiście jest ona częścią tego wszystkiego, a nie pomniejszym przekleństwem, które na mnie spadło, abym oszalał i zбочzył z drogi.

– Tak pan właśnie myślał? Michael skinął głową.

– Tak mi się zdawało. Jakby ta władza w rękach była czymś, co nie pozwalało mi przyjechać. Na dwa miesiące zaszyłem się na ulicy Wolności. Mogłem wcześniej odnaleźć Rowan. – Spojrzał na rękawice. Jakżeż on ich nienawidził. Zmieniały jego dłonie w protezy.

Dalej nie mógł myśleć. Nie był w stanie w pełni pojąć wszystkich aspektów tego zdarzenia. Nie opuszczało go wrażenie, że już przedtem w jakiś sposób znał rewelacje Lightnera, co teraz osłabiało ich efekt.

– Dobra – powiedział wreszcie. – Pojadę z panem. Chcę przeczytać te akta. Pragnę jednak wrócić tutaj tak szybko, jak to tylko możliwe. Zostawię dla niej wiadomość, na wypadek gdyby zadzwoniła. Ona wiele dla mnie znaczy. Więcej,

niż pan sobie wyobraża. I nie ma to nic wspólnego z wizjami. To wiąże się z tym, kim ona jest, i jak bardzo... zależy mi na niej. Nic nie może zepchnąć jej na drugi plan.

– Nawet wizje? – zapytał Lightner z szacunkiem.

– Nawet. Raz, może dwa razy w życiu odczuwa się wobec kogoś to, co ja czuję do Rowan, dlatego wiążą się z tym pewne preferencje i określone cele.

– Rozumiem – odrzekł Lightner. – Spotykamy się na dole za dwadzieścia minut. Odtąd proszę mówić do mnie: Aaron, jeśli pan chce. Mamy przed sobą długą wspólną drogę. Obawiam się, że już jakiś czas temu zacząłem do pana mówić po imieniu. Chciałbym, abyśmy zostali przyjaciółmi.

– Jesteśmy przyjaciółmi – odparł Michael. – Do diabła, kimże innym jeszcze moglibyśmy być? – Mówiąc to zaśmiał się niepewnie, ale musiał przyznać, że lubił tego faceta. W istocie odczuł wyraźny niepokój, kiedy Lightner, wraz ze swoją walizką, zniknął mu z oczu.

\* \* \*

Michael wziął prysznic, ogolił się i ubrał w niecałe piętnaście minut. Rozpakował się, pozostawiwszy w walizce parę niezbędnych rzeczy. I dopiero kiedy podnosił bagaż, ponownie dostrzegł światelko, które nadal pulsowało na aparacie przy łóżku. Czemu na Boga nie odpowiedział, kiedy je zobaczył po raz pierwszy? Ogarnęła go nagła wściekłość.

Natychmiast skontaktował się z centralą.

– Tak, panie Curry. Dzwoniła niejaka doktor Rowan Mayfair. O piątej piętnaście rano. – Kobieta podała mu numer Rowan. – Nalegała, abyśmy pana obudzili telefonicznie, zapukali do drzwi.

– I zrobiliście tak?

– Owszem, panie Curry. Nikt nie odpowiadał.

A mój przyjaciel Aaron był tu przez cały czas, pomyślał Michael gniewnie.

– Nie chcieliśmy używać zapasowego klucza, żeby się dostać do i środka.

– Bardzo dobrze. Niech pani posłucha, chcę zostawić wiadomość dla doktor Mayfair, gdyby odezwała się ponownie.

– Tak, panie Curry?

– Proszę jej powiedzieć, że przyjechałem szczęśliwie i że zadzwonię w ciągu dwudziestu czterech godzin. Teraz muszę wyjść, ale będę tu później.

Położył na narzucie banknot pięciodolarowy dla pokojówki i wyszedł.

\* \* \*

W niedużym, wąskim hallu hotelowym panował rozgardiasz, kiedy Michael zszedł na dół. Kawiarnia była zatłoczona i pełna wesołego hałasu. Lightner, zmieniwszy czarny tweedowy garnitur na nieskazitelnie biały w prążki, stał przy drzwiach i wyglądał zupełnie jak południowiec-dżentelmen ze starej szkoły.

– Mogłeś odebrać telefon, kiedy zadzwonił – powiedział Michael. Nie dodał, że Lightner przypomina mu siwowłosych mężczyzn spacerujących dawnymi czasy Dzielnicą Ogrodów, i dalej aleją prowadzącą do miasta.

– Nie sądziłem, że mam prawo tak zrobić – odrzekł Aaron uprzejmie. Otworzył przed Michaeliem drzwi i wskazał gestem szary elegancki samochód stojący przy krawężniku. – Poza tym obawiałem się, że to doktor Mayfair.

– No, i to była ona – rzekł Michael. Rozkoszny podmuch sierpniowego upału. Miał ochotę wyruszyć piechotą. Jakże wygodny wydawał mu się chodnik. Wiedział jednak, że musi jechać z Lightnerem, zajął więc miejsce na tylnym siedzeniu samochodu.

– Rozumiem – mówił Aaron. – Mam nadzieję, że nie odpowiedziałeś na jej telefon.

Usadowił się obok Michaela.

– Umowa to umowa – odrzekł Michael z westchnieniem. – Ale nie podoba mi się to. Staralem się dać ci do zrozumienia, jak sprawy stoją między mną a

Rowan. Wiesz, kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, zakochanie się w kimś w ciągu jednego wieczoru byłoby niemal niemożliwe. Przynajmniej nigdy mi się to nie przydarzyło. A po trzydziestce? No, może, ale znów nic takiego się nie stało, choć od czasu do czasu dostrzegałem zapowiedź... chyba więc uciekałem. Ale teraz dobiegam pięćdziesiątki i albo jestem głupszy niż kiedykolwiek, albo wiem nareszcie, że mogę się zakochać w ciągu jednego dnia lub jednej nocy, bo potrafię ocenić sytuację, że tak powiem, i poznać, kiedy coś zbliża się do ideału. Wiesz, o co mi chodzi?

– Tak sędę.

Samochód był dość stary, ale całkiem przyjemny, z dobrze utrzymaną szarą skórzaną tapicerką i małą lodówką ustawioną z boku. Mnóstwo miejsca na długie nogi Michaela. Za przyciemnionymi szybami aleja św. Karola przemknęła aż za szybko.

– Michael, szanuję twoje uczucie dla Rowan, chociaż muszę przyznać, że jestem zaskoczony i zaintrygowany zarazem. Och, nie zrozum mnie źle. Ta kobieta jest niezwykła pod każdym względem, jako lekarka nie ma sobie równych, poza tym jest przepięknym młodym stworzeniem o dość zdumiewających manierach. Ja wiem. Chciałbym jednak, abyś zrozumiał pewną rzecz: akta *Czarownic z rodziny Mayfair* normalnie nie mogłyby być powierzone nikomu oprócz członka naszej organizacji lub rodziny Mayfair. Co znaczy, że łamię zasady pokazując ci te materiały. Powody mojej decyzji są oczywiste. Niemniej pragnę wykorzystać ten cenny czas, aby wyjaśnić parę rzeczy na temat Talamaski, sposobów naszego działania, jak również lojalności, jakiej, choć w niewielkim stopniu, chcielibyśmy domagać się od ciebie.

– Dobra, nie gorączkuj się tak; czy jest trochę kawy w tej ulepszonej taksówce?

– Tak, oczywiście – odparł Aaron. Z kieszeni w bocznych drzwiczkach wyciągnął termos, a wraz z nim kubek, który zaczął napełniać.

– Bez mleka proszę – powiedział Michael. Niespodziewanie poczuł ucisk w

gardle ujrzawszy przesuwające się obok nich wysokie, dumne domy alei św. Karola, z ich głębokimi gankami, kolumnadami, okiennicami w wesołych kolorach, a w górze pastelowe niebo zaplątane w gęstwie chwytnych gałęzi i słabo trzepoczących liści. Nagle nawiedziła go zwariowana myśl; otóż pewnego dnia kupi sobie garnitur w prążki podobny do tego, który nosi Lightner, i będzie chodził tą aleją, jak panowie z dawnych lat, będzie spacerował godzinami, wolno pokonując wytyczone przez zakola rzeki kolejne zakręty, mijając wszystkie te wdzięczne stare domy, które przetrwały tak długo. Czuł się oszołomiony i szalony płynąc przez ten pofalowany, cudowny krajobraz roztaczający się za przyciemnionym szkłem odizolowanego od świata samochodu.

– Tak, jest pięknie – powiedział Lightner. – Naprawdę bardzo pięknie.

– Dobra, opowiedz mi o tym zakonie. A więc jeździcie sobie limuzyną dzięki Templariuszom. Co jeszcze?

Lightner karcąco potrząsnął głową, choć po jego ustach przemknął cień uśmiechu. A jednak znów się zaczerwienił, ku zaskoczeniu i rozbawieniu Michaela.

– Drocę się z tobą, Aaron – powiedział Michael. – No, przede wszystkim, jak dowiedzieliście się o rodzinie Mayfairów? I czym, u diabła, jest według was, czarownica, czy będziesz łaskaw mi powiedzieć?

– Czarownica to osoba, która potrafi przywoływać i kontrolować niewidzialne siły – odrzekł Aaron. – Oto nasza definicja. Jej zakres może też objąć czarnoksiężnika lub jasnowidza. Naszą organizację utworzono w celu obserwowania podobnych zjawisk. Początku należy szukać w tak zwanych wiekach średnich, na długo przed polowaniami na czarownice, o czym z pewnością wiesz. A dokładnie, wszystko zaczęło się od jednego maga, alchemika, jak sam o sobie mówił, który rozpoczął swoje badania gdzieś na ustroniu, zbierając w jednej wielkiej księdze wszelkie możliwe opowieści o zjawiskach nadprzyrodzonych, jakie kiedykolwiek przeczytał lub usłyszał.

Imię i dzieje owego maga nie są w tej chwili ważne. Jego relacje charakteryzowała jednak świeckość niezwykła jak na tamte czasy. Był zapewne jedynym historykiem, jaki kiedykolwiek pisywał o nieziemskich siłach, o rzeczach niewidzialnych lub tajemniczych nie wychodząc jednocześnie z założenia, że zjawy, duchy i tym podobne mają swe źródło w świecie demonów i nie starając się tego dowieść. A od niewielkiej grupy swych zwolenników domagał się podobnej otwartości umysłu. „Studiujcie jedynie historię tak zwanego czarownika”, miał zwyczaj mawiać, „Nie zakładajcie, że wiecie, skąd pochodzi jego moc”.

– Teraz działamy bardzo podobnie – ciągnął Aaron. – Jesteśmy dogmatyczni jedynie wtedy, kiedy przychodzi nam bronić naszego braku dogmatów. I chociaż nasza organizacja jest wielka i bardzo bezpieczna, zawsze poszukujemy nowych członków, ludzi będących w stanie uszanować naszą bierność, nasze powolne, lecz dokładne metody, ludzi tak jak my zafascynowanych badaniem sił tajemnych, ludzi obdarzonych niezwykłym talentem, takim jak na przykład jasnowidząca moc dotyku.

Otóż, kiedy po raz pierwszy o tobie czytałem, nie wiedziałem nic o żadnym związku między tobą a Rowan Mayfair, albo domem na ulicy Pierwszej. Wziąłem cię pod uwagę jako potencjalnego członka naszej organizacji. Naturalnie nie zamierzałem powiedzieć ci tego natychmiast. Teraz jednak, zgodzisz się ze mną, wszystko się zmieniło.

Jednak cokolwiek miało się wydarzyć w tej kwestii, przyjechałem do San Francisco, głównie po to, aby udostępnić ci naszą wiedzę i pokazać, gdybyś tego pragnął, jak spożytkować twą moc, a potem, być może, napomknąć o tym, że nasz sposób życia mógłby ci się wydać przyjemny lub satysfakcjonujący, w stopniu wystarczającym, aby się nad tym zastanowić, może tylko na jakiś czas...

Widzisz, w twoim życiu było coś takiego, co mnie zaciekało. Dowiedziałem się o tym z publicznych relacji i z... ach, pewnego prostego śledztwa, które przeprowadziliśmy na własną rękę. A mianowicie fakt, że przed

wypadkiem najwyraźniej znalazłeś się na rozdrożu – to było tak, jakbyś osiągnął swe cele, a jednak nie był zadowolony...

– Tak, tu masz rację, Aaronie – odparł Michael. Zapomniał już zupełnie o widokach za oknami. Nie odrywał wzroku od Lightnera. Podał kubek do ponownego napełnienia kawą. – Proszę, mów dalej.

– No a poza tym cenna jest twoja znajomość historii – ciągnął Lightner. – I brak bliskiej rodziny, za wyjątkiem kochanej ciotki, którą mimo krótkiej znajomości po prostu uwielbiam, muszę się przyznać; i naturalnie jest jeszcze kwestia mocy, jaką posiadasz, siły znacznie potężniejszej niż kiedykolwiek przypuszczałem...

Ale wracając do mojego zakonu. Obserwujemy zjawiska tajemne na całym świecie, jak możesz sobie wyobrazić. Nasza praca nad rodami czarownic jest zaledwie drobną częścią tego wszystkiego, a przy tym jedną z niewielu, z którymi wiąże się prawdziwe niebezpieczeństwo, gdyż z badaniem nawiedzeń, nawet przypadków opętania, praca nad reinkarnacją, odczytywaniem myśli itp. żadne niebezpieczeństwo nie jest związane. W przypadku czarownic jest zupełnie inaczej... A w rezultacie jedynie najbardziej doświadczeni członkowie zapraszani są do pracy nad materiałami dotyczącymi czarownic, choćby tylko po to, aby je przeczytać lub próbować zrozumieć. I prawie nigdy nowicjusz czy nawet młody członek nie jest zabierany w teren, gdzie miałby się zbliżyć do takiej rodziny jak Mayfairowie, gdyż zagrożenie jest zbyt wielkie.

To wszystko stanie się dla ciebie jasne, kiedy przeczytasz akta. Teraz wymagam jedynie nieco zrozumienia i proszę, abyś nie lekceważył tego, co oferujemy i robimy. Jeśli nasze drogi miałyby się rozejść, w przyjaźni czy w gniewie, uszanuj prywatność osób wspomnianych w historii Mayfairów...

– Wiesz przecież, że w tej kwestii możesz mi zaufać. Chyba zdążyłeś się już przekonać, jakiego rodzaju jestem człowiekiem – odrzekł Michael. – Ale co masz na myśli mówiąc o niebezpieczeństwie? Wspomniałeś coś o tym duchu, tajemniczym mężczyźnie, i o Rowan...

– Przedwcześnie. Co jeszcze chcesz wiedzieć o nas?

– Członkostwo, na jakich zasadach to działa?

– Zaczyna się od nowicjatu, podobnie jak w zakonach religijnych. Ale pozwolisz, że raz jeszcze podkreślę, iż przychodząc do nas nie przyjmuje się zestawu nauk, a jedynie określony sposób życia. Na lata nowicjatu aspirant wprowadza się do Konwentu, aby poznać starszych członków i spotykać się z nimi, pracować w bibliotekach i myszkować w nich do woli...

– O, to byłby raj – stwierdził Michael marząco. – Ale nie chciałem ci przerywać. Proszę, mów dalej.

– Po dwuletnich przygotowaniach zaczynamy mówić o poważnym zaangażowaniu, o pracy w terenie lub pracy naukowej. Oczywiście jedno nie wyklucza drugiego i tu również różnimy się od zakonów religijnych, gdyż nie wyznaczamy naszym członkom zadań, których wykonania nie mogą odmówić; nie składamy przysięgi posłuszeństwa. Wierność, dochowywanie tajemnicy, to wszystko jest dla nas o wiele ważniejsze. Ale widzisz, w ostatecznym rozrachunku, w tym wszystkim chodzi o zrozumienie; o wejście w pewną specyficzną społeczność, o zatopienie się w niej...

– Pojmuje – rzekł Michael. – Opowiedz mi o Konwentach. Czym są?

– Nasz Konwent w Amsterdamie jest obecnie najstarszy – odparł Aaron. – Jest jeszcze jeden pod Londynem, i ten największy, w Rzymie, którego istnienie jest utrzymywane w głębokim sekrecie. Naturalnie kościół katolicki nas nie lubi. Nie rozumie nas. Traktują nas na równi z diabłem. Tak samo niegdyś odnosili się do czarownic, czarnoksiężników i Templariuszy. Jednak my z władzą podziemi nie mamy nic wspólnego. Jeśli istnieje, nie jest naszym przyjacielem...

Michael parsknął śmiechem.

– Czy sądzisz, że diabeł istnieje?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Tak właśnie odpowiedziałby porządny członek Talamaski.

– Mów dalej o Konwentach...



– Cóż, w zasadzie polubiłbyś ten w Londynie...

Michael ledwo dostrzegł, że opuścili Nowy Orlean i pędzili teraz przez mokradła po pustym skrawku nowej autostrady, a niebo nad nimi zwęziło się we wstążkę nieskazitelnego błękitu. Całkowicie oczarowany, chłonał każde słowo Aarona. Wrzało w nim jednak mroczne, męczące uczucie, które starał się zignorować. Ta historia Talamaski rozwijająca się przed jego oczyma, to wszystko, czemu się teraz przysłuchiwał, wydawało mu się znajome. Znajome jak przedtem ów dom i te zatrważające słowa o Rowan i „tym mężczyźnie”. I choć ta myśl go pociągała, niespodzianie zrodziło się w nim również zniechęcenie, gdyż wielki plan – którego czuł się częścią – mimo swej niejasności zdawał się rozszerzać, a im większy się stawał, tym bardziej świat malał, nikła jego świetność, zapowiedź nieskończonych naturalnych dziwów i zawsze zmieniających się losów, tracił nawet nieco ze swej nieporządnej romantyki.

Aaron musiał zdać sobie sprawę z uczuć Michaela, bo przed kolejną częścią swojej historii przerwał, aby czule, choć z niejakim roztargnieniem powiedzieć:

– Michael, teraz tylko słuchaj. Nie obawiaj się...

– Powiedz mi coś, Aaron – rzekł Curry.

– Jeśli będę mógł, naturalnie...

– Czy można dotknąć ducha? Chodzi mi o tego mężczyznę. Czy można go dotknąć ręką?

– No cóż, są chwile, kiedy, jak mi się zdaje byłoby to całkowicie możliwe... A przynajmniej mógłbyś wyczuć cokolwiek. Ale oczywiście, czy ta istota pozwoliłaby się dotknąć, to zupełnie inna historia, jak wkrótce się zorientujesz.

Michael skinął głową.

– Wobec tego, to wszystko się łączy. Dłonie, wizje, nawet ty... i ta twoja organizacja. Wszystko ma jakiś związek.

– Poczekaj, aż przeczytasz akta. Przy każdym ruchu w tej grze... patrz i czekaj.



Zbudziwszy się o dziesiątej Rowan zaczęła wątpić w to, co widziała. W ciepłym, zalanym światłem domu duch zdawał się nierealny. Próbowwała ponownie przywołać ten moment – dziwne odgłosy wody i wiatru. Teraz całe wydarzenie zdawało się całkowicie niemożliwe.

Zacząła odczuwać wdzięczność do losu, że nie dodzwoniła się do Michaela. Nie chciała sprawiać wrażenia głupiej, a nade wszystko znów go obciążać. Z drugiej strony jednak, w jaki sposób jej wyobraźnia mogła stworzyć coś podobnego? Mężczyzna stojący przy szybie, dotykający jej palcami, patrzący na nią w tak błagalny sposób?

No cóż, teraz nie było tu żadnych dowodów pojawienia się jakiegokolwiek istoty. Wyszła na pomost, przemierzyła go w całej długości, przypatrywała się palom, wodzie. Żadnych śladów niczego niezwykłego. Ale co właściwie miałyby tu pozostać? Stała przy barierce, przez chwilę czując dotyk orzeźwiającego wiatru, z lubością patrząc na ciemnoniebieskie niebo. Kilka żaglówek opuściwszy przystań powoli i wdzięcznie sunęło po powierzchni wody. Wkrótce żagle pokryją całą zatokę. Przez moment chciała odcumować swoją łódkę i znaleźć cię na morzu. Zdecydowała jednak inaczej. Weszła z powrotem do domu.

Nie było jeszcze telefonu od Michaela. Trzeba wyprowadzić „Sweet Christine”, albo pojechać do pracy.

Ubrała się już i wychodziła do szpitala, kiedy zadzwonił telefon. „Michael”,

wyszeptala. Potem zorientowała się, że to dawna linia należąca do Ellie.

– Rozmowa prywatna do pani Ellie Mayfair.

– Przykro mi, ona nie może podejść – odparła Rowan. – Już jej tu nie ma. – Czy w taki sposób należało o tym mówić? Wyjaśnianie ludziom, że Ellie nie żyje, nigdy nie było przyjemne.

Narada po drugiej stronie.

– Proszę nam powiedzieć, gdzie możemy ją znaleźć?

– A czy mogę wiedzieć, kto dzwoni? – zapytała Rowan. Postawiła torbę na kuchennej ladzie. Poranne słońce rozgrzało dom i w płaszczu robiło jej się gorąco. – Z przyjemnością zapłacę za rozmowę, jeśli ta osoba jest gotowa ze mną porozmawiać.

Kolejna narada, potem szorstki głos starszej kobiety:

– Porozmawiam z tą panią. Telefonistka wykonała polecenie.

– Tu Rowan Mayfair, czym mogę pani służyć?

– Może mi pani powiedzieć, kiedy i gdzie mogę znaleźć Ellie – odparła kobieta, niecierpliwie, może nawet ze złością, a bez wątpienia chłodno.

– Czy jest pani jej przyjaciółką?

– Jeśli bezpośrednio skontaktowanie się z nią jest niemożliwe, chciałbym porozmawiać z jej mężem, Grahamem Franklinem. Czy ma pani może numer do jego biura?

Co za okropna osoba, pomyślała Rowan. Narastało w niej jednak podejrzenie, że dzwoni ktoś z rodziny.

– Graham również jest nieosiągalny. Gdyby powiedziała mi pani tylko, kim pani jest, z przyjemnością wyjaśniłabym tę sytuację.

– Dziękuję, ale nie mam ochoty tego robić. – Twarda jak stal. – Bezwarunkowo muszę się skontaktować z Ellie Mayfair lub Grahamem Franklinem.

Cierpliwości, mówiła sobie Rowan. To niewątpliwie starsza kobieta, a jeśli należy do rodziny, warto podtrzymać ten kontakt.

– Z przykrością muszę to pani powiedzieć – rzekła Rowan. – Ellie Mayfair zmarła na raka w zeszłym roku. Graham zmarł dwa miesiące przed nią. Jestem ich córką, Rowan. Czy chciałaby pani dowiedzieć się czegoś więcej?

Milczenie.

– Mówi pani ciotka, Carlotta Mayfair – powiedziała wreszcie kobieta. – Dzwonię z Nowego Orleanu. Czemu, na litość boską, nie powiadomiono mnie o ich śmierci?

W duszy Rowan natychmiast rozgorzał gniew.

– Nie wiem, kim pani jest – rzekła, zmuszając się, aby mówić spokojnie i powoli. – Nie mam adresu ani numeru telefonu żadnego z kuzynów Ellie. Nie zostawiła ani jednej informacji dotyczącej rodziny z Nowego Orleanu. Swemu prawnikowi poleciła, aby nie zawiadamiał nikogo oprócz tutejszych przyjaciół.

Rowan nagle zorientowała się, że dygocze, a jej ręka ściskająca słuchawkę jest śliska od potu. Z trudnością przychodziło jej uwierzyć, że zachowała się tak nieuprzejmie, ale za późno było na żale. Zorientowała się również, iż odczuwa potężne podniecenie. Nie chciała, aby ta kobieta odwiesiła słuchawkę.

– Jest tam pani jeszcze? – zapytała Rowan. – Przykro mi. Trochę mnie pani zaskoczyła.

– Tak – rzekła kobieta. – Zapewne było to zaskoczeniem dla nas obu. Chyba nie mam wyboru i muszę porozmawiać bezpośrednio z panią.

– Proszę, niech pani mówi.

– Spada na mnie niefortunny obowiązek poinformowania pani, że jej matka zmarła dziś rano. Przypuszczam, iż rozumie pani, o kim myślę. Moim zamiarem było powiedzieć o tym Ellie i pozostawić całkowicie jej uznaniu, jak i kiedy ta informacja zostanie przekazana pani. Przykro mi, że muszę to załatwiać w ten sposób. Pani matka zmarła dziś rano, za pięć piąta.

Rowan była zbyt zdumiona, aby odpowiedzieć. Równie dobrze ta kobieta mogłaby ją uderzyć. Nie był to żal. To uczucie było zbyt ostre, zbyt okropne. Niespodzianie jej matka stała się rzeczywistością, żywą, oddychającą istotą, na

ułamek sekundy zaistniała w wypowiedzianych słowach; i w tej samej sekundzie ogłoszono jej śmierć; jej egzystencja dobiegła końca.

Rowan nie próbowała mówić. Zamknęła się w swym nawykowym, naturalnym milczeniu. Ujrzała Ellie martwą, leżącą w domu pogrzebowym, wśród kwiatów; nie dostrzegła w tym jednak żadnej spójności, nie poczuła nawet słodkiego ukłucia żalu. To było jedynie okropne. A dokument nadal leży w sejfie, niezmiennie od ponad roku. *Ellie, ona żyła, mogłam ją poznać, a teraz umarła.*

– Nie ma żadnej potrzeby, aby pani tu przyjeżdżała – rzekła kobieta bez żadnej zmiany tonu lub nastroju. – Konieczne jest natomiast, aby natychmiast zwróciła się pani do swego adwokata i skontaktowała go ze mną, są bowiem pewne niecierpiące zwłoki sprawy związane z pani własnością, które należy przedyskutować.

– Och, ale ja chcę przyjechać – rzekła Rowan bez wahania, stłumionym głosem. – I zrobię to jak najszybciej. Chcę zobaczyć moją matkę, zanim zostanie pochowana. – Do diabła z dokumentem, do diabła z tą ohydną kobietą, kimkolwiek jest.

– To niezbyt właściwe – odparła kobieta ze znużeniem.

– Nalegam – powiedziała Rowan. – Nikomu nie sprawię kłopotu, ale pragnę po raz pierwszy i ostatni zobaczyć swoją matkę. Nikt na miejscu nie musi wiedzieć, kim jestem. Po prostu muszę przyjechać.

– Ta podróż będzie bezcelowa. Ellie z pewnością nie życzyłaby sobie tego. Zapewniała mnie, że...

– Ellie nie żyje! – wyszeptała Rowan, z wysiłkiem panując nad swoim głosem. Trzęsła się cała. – Niech pani słucha, zobaczenie matki ma dla mnie duże znaczenie. Ellie i Graham odeszli, jak pani powiedziałam. Ja... – Nie była w stanie tego powiedzieć. To zabrzmiałoby jak rozczulanie się nad sobą samą i byłoby zbyt osobiste; nie mogła przyznać, że jest samotna.

– Muszę nalegać, aby została pani w domu – odparła kobieta tym samym

zmęczonym, wyczerpanym, wypranym z uczucia głosem.

– Dlaczego? – zapytała Rowan. – Powiedziałam przecież, że nikt nie musi wiedzieć, kim jestem.

– Nie będzie publicznego czuwania przy zwłokach ani pogrzebu – odparła kobieta. – Nie ma znaczenia, kto wie, a kto nie wie. Pani matka zostanie pochowana tak szybko, jak tylko się da. Poprosiłam, aby wszystko było gotowe na jutro po południu. Proszę mi wierzyć, próbuję zaoszczędzić pani bólu. Ale ostatecznie postąpi pani przecież według własnego uznania.

– Jadę – powiedziała Rowan.

– Pani matka zostanie pochowana przez firmę Lonigan i Synowie z ulicy Sklepowej. Msza żałobna odbędzie się w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny na ulicy Józefiny. Trudno mi jednak w tej chwili podać dokładną godzinę, o której rozpoczną się uroczystości. Nie ma sensu, aby przebywała pani ponad trzy tysiące kilometrów...

– Powtarzam, chcę zobaczyć matkę. Proszę, aby pani zaczekała do mojego przyjazdu.

– To jest absolutnie wykluczone – odrzekła kobieta z odcieniem złości lub zniecierpliwienia. – Radzę wyjechać natychmiast, jeśli już podjęła pani taką decyzję. I proszę nie liczyć na nocleg w swoim domu. Nie mam środków, aby właściwie panią przyjąć. Rezydencja należy do pani, naturalnie, i opuszczę ją tak szybko, jak to możliwe, jeśli takie jest pani życzenie. Proszę jednak, aby do tego czasu pozostała pani w hotelu. Raz jeszcze mówię, nie mam środków, aby zapewnić tu pani wygodę.

Ostrożnie, tym samym znużonym tonem, kobieta podała Rowan adres.

– Powiedziała pani ulicy Pierwsza? – zapytała Rowan. Była pewna, że to właśnie ta, którą opisał jej Michael. – To jest dom mojej matki?

– Nie spałam przez całą noc – odparła kobieta, powoli i bez zapału. – Jeśli pani przyjeżdża, wytłumaczmy pani wszystko na miejscu.

Rowan miała właśnie zadać kolejne pytanie kiedy, ku jej zdumieniu, kobieta

odłożyła słuchawkę.

Była tak zła, że przez chwilę nie odczuwała niczego. Potem ból przesłonił wszystko.

– Kim pani jest, u diabła? – wyszeptwała, czując wzbierające się w oczach łzy, które nie chciały popłynąć. – I czemu, na Boga, mówi pani do mnie w ten sposób!

Cisnęła słuchawkę, przygryzając wargę i złożyła ręce na piersiach.

– Cóż za okropna, okropna kobieta – wyszeptwała.

Nie było czasu płakać lub tęsknić za Michaeliem. W pośpiechu wyciągnęła chusteczkę, wydmuchała nos, otarła oczy, potem sięgnęła po notatnik i pióro leżące na kuchennej ladzie i zanotowała informacje, które podała jej kobieta.

Ulica Pierwsza, pomyślała, patrząc na to, co zapisała. Zapewne jedynie zbieg okoliczności. Lonigan i Synowie, słowa, które Ellie wspomniała w majaczeniach, kiedy mówiła o swoim dzieciństwie i o domu. Szybko zadzwoniła do biura informacji w Nowym Orleanie, a potem do zakładu pogrzebowego.

Odebrał Jerry Lonigan.

– Nazywam się Rowan Mayfair, dzwonię z Kalifornii w sprawie pogrzebu.

– Tak, doktor Mayfair – odparł mężczyzna bardzo sympatycznym głosem, który natychmiast przypomniał jej Michaela. – Wiem, kim pani jest. Mam tutaj pani matkę.

Dzięki Bogu, żadnych wykrętów, nie trzeba żadnych fałszywych wyjaśnień. A mimo to musiała się zastanawiać, skąd ten człowiek ją zna? Czyż całej tej adopcji nie utrzymywano w wielkim sekrecie?

– Panie Lonigan – rzekła, starając się mówić wyraźnie, choć z trudnością wymawiała słowa. – Obecność na pogrzebie jest dla mnie bardzo ważna. Chcę zobaczyć matkę, zanim zostanie złożona w grobie.

– Oczywiście, doktor Mayfair. Rozumiem. Jednakże panna Carlotta dzwoniła właśnie do nas i powiedziała, że jeśli nie pochowamy pani matki



jutro... No cóż, powiedzmy po prostu, iż ona nalega. Mogę zaplanować mszę najpóźniej na trzecią po południu. Czy sądzi pani, że zdąży na tę godzinę, doktor Mayfair? Ostatecznie mogę wszystko wstrzymać tak długo, jak pani zechce.

– Nie, nie ma potrzeby – odparła Rowan. – Wyjadę dziś wieczór, najpóźniej jutro rano. Ale, panie Lonigan, gdyby mnie coś zatrzymało...

– Doktor Mayfair, jeśli będę wiedział, że jest pani w drodze, nie zamknę trumny przed pani przyjazdem.

– Dziękuję, panie Lonigan. Ja dopiero co się dowiedziałam. Ja...

– No cóż, doktor Mayfair, pani wybaczy te słowa, ale to dopiero co się wydarzyło. Zabrałem pani matkę dziś o szóstej rano. Uważam, że panna Carlotta działa pospiesznie, ale znowuż ona jest już taka stara, doktor Mayfair. Taka stara...

– Proszę posłuchać, dam panu telefon do szpitala. Gdyby zaszło coś nieoczekiwanego, niech pan do mnie zadzwoni.

Jerry zapisał numery.

– Proszę się nie martwić. Kiedy pani przyjedzie, pani matka będzie tutaj, w firmie Lonigan i Synowie.

Znów znalazła się na granicy łez. Jego słowa brzmiały tak prosto, tak beznadziejnie szczerze.

– Panie Lonigan, czy może mi pan powiedzieć coś jeszcze? – zapytała drżącym głosem.

– Tak, doktor Mayfair.

– Ile lat miała moja matka?

– Czterdzieści osiem.

– Jak miała na imię?

Najwyraźniej to go zaskoczyło, ale szybko doszedł do siebie.

– Deirdre, doktor Mayfair. To była bardzo piękna kobieta. Moja żona się z nią przyjaźniła. Kochała Deirdre, często chodziła w odwiedziny. Żona jest tu ze mną. Cieszy się, że pani zadzwoniła.

Z jakiejś przyczyny słowa te wywarły na Rowan równie głębokie wrażenie jak przedtem wszystkie inne informacje. Mocno przycisnęła do oczu chusteczkę i przełknęła ślinę.

– Czy może mi pan powiedzieć, na co umarła moja matka, panie Lonigan? Co mówi świadectwo zgonu?

– Śmierć z przyczyn naturalnych, doktor Mayfair, ale matka pani była chora, naprawdę bardzo chora, przez wiele lat. Mogę podać nazwisko lekarzy, który się nią zajmował. Chyba z panią porozmawia, skoro i pani jest lekarką.

– Wezmę jego dane, kiedy przyjadę – powiedziała Rowan. Nie mogła już dłużej ciągnąć tej rozmowy. Wydmuchała nos szybko i po cichu. – Panie Lonigan, mam tutaj nazwę hotelu. Pontchartrain. Czy to w pobliżu zakładu pogrzebowego i kościoła?

– No, może pani dojść stamtąd do nas na piechotę, doktor Mayfair, jeśli nie będzie zbyt gorąco.

– Zadzwońię do pana, skoro tylko przyjadę. Ale błagam raz jeszcze, niech mi pan obieca, że nie pochowa mojej matki zanim...

– Proszę się o to nie martwić ani chwili dłużej. Aha, pani doktor, jest jeszcze coś. To moja żona pragnie, abym poruszył ten temat.

– Niech pan mówi, panie Lonigan.

– Pani ciotka, Carlotta Mayfair, nie chce żadnych ogłoszeń w porannych gazetach; cóż, szczerze mówiąc, chyba już nawet nie ma na to czasu. Ale jest tak wielu Mayfairów, którzy chcieliby wiedzieć o pogrzebie. Chodzi o to, że kuzyni podniosą krzyk, kiedy się dowiedzą, jak szybko to wszystko się odbyło. A więc zależy to wyłącznie od pani, ja zrobię tak, jak pani sobie życzy, ale moja żona zastanawiała się, czy miałaby pani coś przeciwko temu, aby ona zaczęła dzwonić do tych kuzynów. Bo jeśli dotrze do dwóch czy trzech, ci powiadomią wszystkich innych. Ale jeśli pani nie chce, aby ona tak zrobiła, doktor Mayfair, naturalnie nie zrobi. Rita Mae, to jest moja żona, ona myśli, że to wstyd chować Deirdre w ten sposób, bez niczyjej wiedzy, i sądziła, że może i pani wyjdzie to

na dobre, kiedy wszyscy się zjadą, tak jak rok temu na pogrzebie panny Nancy. I panna Ellie była tu, panna Ellie z Kalifornii, o czym pani z pewnością wie...

Nie, Rowan nie wiedziała. Na wspomnienie imienia przybranej matki odczuła tępy wstrząs. Z bólem wyobrażała ją sobie tam, pośród tych niezliczonych, bezimiennych kuzynów, których ona sama nigdy nie widziała. Zaskoczyła ją intensywność tego gorzkiego gniewu. Ellie i kuzyni. A Rowan tu w tym domu, sama. Raz jeszcze z trudem musiała się opanować. Zastanawiała się, czy to nie najtrudniejsza chwila, jaką musiała przetrzymać od czasu śmierci Ellie.

– Tak, będę wdzięczna, panie Lonigan, jeśli pańska żona zrobi to, co uważa za najlepsze. Chciałabym zobaczyć moich krewnych... – Przerwała, bo nie mogła mówić dalej. – I, panie Lonigan, co się tyczy Ellie Mayfair, mojej przybranej matki – ona też już odeszła. Umarła w zeszłym roku. Jeśli sądzi pan, że niektórym kuzynom powinno się o tym powiedzieć...

– Och, oczywiście, zrobię tak, doktor Mayfair. Zaoszczędzi to pani konieczności mówienia im po przyjeździe. Ale przykro mi to słyszeć. Nie mieliśmy pojęcia.

Te słowa zdawały się płynąć prosto z serca. Naprawdę mogła uwierzyć, że jest mu przykro. Taki miły, staroświecki pan. Było w nim nieomal coś z Damona Runyona.

– Do widzenia, panie Lonigan. Spotkamy się jutro po południu.

Kiedy odłożyła słuchawkę przez chwilę zdawało jej się, że jeśli raz pozwoli płynąć łzom, nigdy ich nie powstrzyma. Uczucia, które się w niej obudziły, były tak głębokie, że aż zakręciło jej się w głowie, ból zaś wymagał jakiegoś gwałtownego działania; najdziwniejsze, najbardziej groteskowe obrazy wypełniły jej umysł.

Połykając łzy, ujrzała w wyobraźni siebie, jak wpada do pokoju Ellie, wyciąga z szuflad ubrania, niegdyś należące do zmarłej, zrywa je z wieszaków i rwie na strzępy co popadnie, ogarnięta niemal niekontrolowaną wściekłością.

Zobaczyła, jak własnoręcznie rozbija lustro Ellie i rząd buteleczek, które stały na jej toalecie, tych wszystkich flakoników perfum, które w ciągu miesiący wyschły i nie zostało z nich nic oprócz koloru.

– Martwa, martwa, martwa – wyszeptała. – Wczoraj była żywa i przedwczoraj i dzień przedtem, a ja byłam tutaj i nie robiłam nic! Martwa! Martwa! Martwa!

A potem ten dziwaczny obraz odmienił się, jakby rozpoczynał się kolejny akt ślepej furii. Ujrzała siebie bijącą pięściami w otaczające ściany ze szkła i drewna. Uderzała tak mocno, aż krew pociekła z jej pokaleczonych dłoni, tych samych, które przecież dokonały wielu operacji ratujących życie dziesiątkom istnień.

Ale Rowan nie zrobiła żadnej z tych rzeczy.

Zgarbiona, usiadła na stołeczku w rogu kuchni i ukrywszy twarz w dłoniach zaczęła łkać w głos w tym pustym domu. Przez jej umysł wciąż przepływały obrazy. Na koniec ułożyła głowę na splecionych ramionach i płakała, płakała, aż wreszcie znużona i prawie nieprzytomna, była w stanie jedynie szeptać raz po raz:

– Deirdre Mayfair, lat czterdzieści osiem, martwa, martwa, martwa.

Wreszcie wytarła twarz wierzchem dłoni, podeszła do dywanika przed kominkiem i położyła się tam. Bolała ją głowa, a cały świat zdawał się pusty, wrogi, i nic w tym nie zapowiadało ciepła ani światła.

To minie. Musi minąć. Podobna rozpacz ogarnęła Rowan tego dnia, kiedy pochowano Ellie. Odczuwała ją i wcześniej, stojąc na szpitalnym korytarzu i słysząc Ellie krzyczącą z bólu. Teraz jednak wydawało się niemożliwe, że nadejdą lepsze dni. Kiedy myślała o złożonym w sejfie testamencie, który po śmierci Ellie uniemożliwił jej podróż do Nowego Orleanu, pogardała samą sobą, że go uszanowała, a Ellie nienawidziła za to, że kazała jej podpisać ten dokument.

I takie myśli przychodziły dalej, rozpaczliwe i żalosne, niszcząc w niej

ducha i wiarę w siebie.

Chyba z godzinę leżała tam, na deskach podłogi gorących od słońca, które rozgrzewało jej policzek oraz ramiona. Wstydziła się swego osamotnienia i udręki, której padła ofiarą. Przed śmiercią Ellie była tak szczęśliwa, beztroska, całkowicie oddana swojej pracy; wychodziła z tego domu i wracała doń, tu zapewniono jej ciepło i miłość, a ona odwdzięczała „się dając to samo w zamian. Kiedy myślała o tym, jak bardzo liczy na Michaela, jak bardzo go teraz pragnie, czuła się podwójnie zagubiona.

To niewybaczalne, że przez tego ducha tak desperacko zadzwoniła do niego zeszłej nocy, i że tak rozpaczliwie pragnie go teraz. Powoli uspokajała się. Potem zaczęła sobie uświadamiać – ten duch zeszłej nocy... a przecież zeszłej nocy umarła jej matka.

Usiadła, krzyżując nogi po turecku i spróbowała na zimno przypomnieć sobie wszystkie szczegóły tego doświadczenia. Zaledwie kilka chwil po pojawieniu się tej istoty zerknęła na zegar. Było pięć po trzeciej. A czyż ta okropna kobieta nie powiedziała: „Pani matka umarła pięć po piątej?”

Biorąc pod uwagę różnicę czasu, oba wydarzenia zaistniały dokładnie w tym samym momencie. Ale cóż to za oszałamiająca możliwość – pomyślała – że te dwie *rzeczy* są powiązane.

Naturalnie gdyby pojawiła jej się matka, to by było niewiarygodnie wspaniałe. Byłaby to sakramentalna chwila z rodzaju tych, o których ciągle opowiadają ludzie. Znalazłoby się miejsce na wszystkie te urocze komunały – „punkt zwrotny w życiu, cud, nieprawdopodobne, wzruszające spotkanie”. W istocie aż trudno sobie wyobrazić, jaką pociechę przyniosłaby taka chwila. Ale to nie kobieta pojawiła się tam, lecz dziwny i osobliwie elegancki mężczyzna.

Nawet myśląc o tym raz jeszcze, wspominając niesamowite, błagalne spojrzenie tej istoty, Rowan odczuła lęk, jak poprzedniej nocy. Odwróciła się i zerknęła niespokojnie na szklaną ścianę. Nie było tam naturalnie nic oprócz pustego, błękitnego nieba ponad odległymi, ciemnymi wzgórzami i roziskrzonej,

połyskującej panoramy zatoki.

Kiedy po raz kolejny rozważała nocną wizytę, ogarnął ją chłodny, nieoczekiwany spokój; badała w myśli wszystkie popularne mity o podobnych zjawach, jakie kiedykolwiek słyszała... jednak wtedy jej krótkie, przejściowe podniecenie zaczęło opadać.

Czymkolwiek było to zjawisko, zdawało się niejasne, pozbawione treści, nawet błahe w porównaniu z faktem śmierci matki. Oto, z czym trzeba się uporać. A ona marnuje cenny czas.

Wstała z podłogi i podeszła do telefonu. Zadzwoiła do domu doktora Larkina.

– Lark, muszę iść na urlop – wyjaśniła. – Nie da się tego uniknąć. Czy możemy pogadać o zastępstwie Slattery’ego?

Jak spokojnie brzmiał jej głos, jak bardzo przypominał dawną Rowan. Ale to było oszustwo. Kiedy rozmawiali, znów patrzyła na szklaną ścianę, na pustą przestrzeń na pomoście, gdzie stała przedtem ta smukła, wysoka postać. Znów ujrzała jego ciemne oczy, badające jej twarz. Z trudnością nadążała za słowami Larkina. Nie ma mowy, żeby to był wytwór mojej wyobraźni, myślała.

Podróż do samotni Talamaski trwała niecałe półtorej godziny. Limuzyna mknęła nudną międzystanową autostradą i dopiero gdy byli zaledwie kilka kilometrów od celu skręciła na drogę nad rzeką.

Jednakże Michaelowi, pochłoniętemu rozmową z Aaronem, podróż zdawała się znacznie krótsza.

Kiedy docierali na miejsce, Michael orientował się już całkiem dobrze, czym jest Talamasca; zapewnił Aarona, że na zawsze utrzyma w tajemnicy to, co wkrótce przeczyta w aktach. Podobała mu się sama idea tego zakonu; uwielbiał kulturalny sposób, w jaki Aaron przedstawiał sprawy, i niejedną raz przechodziło mu do głowy, że gdyby nie ten „cel”, za którym gnał jak opętany, z radością przyjąłby członkostwo tej organizacji.

Były to jednak głupie myśli, ponieważ właśnie utonięcie spowodowało świadomość „celu” i dało mu ową moc parapsychiczną, zaś to z kolei przywiodło do niego Talamaskę.

Poza tym coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z miłości do Rowan, którą odbierał jako coś odrębnego od jego stosunku do wizji, chociaż teraz już wiedział, że wizje wiążą się z Rowan.

Kiedy zbliżali się do bram domu, starał się to wytłumaczyć Aaronowi.

– Wszystko, co mi opowiedziałeś, brzmi znajomo; mam wrażenie, jakbym to rozpoznawał. Podobne wrażenie odniosłem zeszłego wieczoru na widok domu w Dzielnicy Ogrodów. A wiesz oczywiście, że Talamaska nie może być mi

znana, to niemożliwe, aby usłyszał coś o was i zapomniał, chyba że to oni powiedzieli mi, kiedy utonąłem. Ale to, co staram się udowodnić, to fakt, że moje uczucie wobec Rowan nie wydaje mi się znajome, wcześniej zaplanowane. To coś nowego; i w moim umyśle wiąże się to w jakiś sposób z buntem. Przecież pamiętam, że kiedy byłem tam z nią – wiesz, rozmawialiśmy przy śniadaniu, w jej domu w Tiburon – rzuciłem okiem na zatokę i powiedziałem tym istotom nieomal wyzywająco, że Rowan wiele dla mnie znaczy.

Aaron wysłuchał tego wszystkiego uważnie.

Michael miał wrażenie, że obaj zdają sobie sprawę, iż ich wiedza na swój temat się pogłębia i staje niemal naturalna, wobec czego zachowywali się teraz zupełnie swobodnie.

Od opuszczenia Nowego Orleanu Michael pił tylko kawę. Zamierzał postępować tak dalej, przynajmniej dopóki nie przeczyta wszystkiego, co znajduje się w teczce Aarona.

Zmęczyła go już limuzyna, ów łatwy, brutalny sposób, w jaki pędziła przez bagnisty krajobraz. Chciał odetchnąć świeżym powietrzem.

Skoro tylko, skręciwszy w lewo z drogi nad rzeką i zostawiwszy za sobą groblę, wjechali w bramy samotni, Michael rozpoznał to miejsce z książek z obrazkami. Tę wysadzaną dębami aleję fotografowano niezliczoną ilość razy w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Wydawała się niemal zjawiskowa w swej południowej, gotyckiej doskonałości; gigantyczne drzewa o czarnej korze wyciągały ciężkie, sękate ramiona tworząc nieprzerwany dach surowych, łamanych łuków, który wiódł aż do werandy domu.

Ogromne sploty oplątwy zwisały z głębokich, węzlastych załomów gałęzi. Zgrubiałe korzenie napierały z obu stron na wąski, pocięty koleinami, żwirowany podjazd.

Michael uwielbiał ten widok. Milcząco przemawiał on do jego serca w podobny sposób jak przedtem piękno Dzielnicy Ogrodów; ożyła w nim spokojna wiara, że niezależnie od tego, co jeszcze mu się przydarzy, tu na



południu jest w domu i w jakiś sposób wszystko się ułoży.

Samochód zanurzał się głębiej i głębiej w zielonkawą światłość; nierówne promienie słońca tu i ówdzie przeszywały cienie, podczas gdy dalej, po obu stronach, niski teren, pełen wybujałej trawy i wysokich, niekształtnych krzaków zdawał się napierać na niebo i sam budynek.

Michael nacisnął przycisk, aby opuścić okno.

– Boże, czujesz to powietrze?

– Tak, jest nadzwyczajne – rzekł Aaron miękko. Uśmiechał się jednak do Michaela pobłaźliwie. Panował morderczy upał. Michael miał to w nosie.

Zdawać by się mogło, że cały świat ucichł, kiedy samochód się zatrzymał, a oni wysiedli przed szerokim, jednopiętrowym budynkiem. Była to jedna z owych wyszukanie prostych budowli stawianych przed wojną secesyjną – masywna, lecz przystosowana do tropików, kwadratowe pudło ozdobione oknami na całą ścianę, otoczone ze wszystkich stron głębokimi arkadami i grubymi kolumnami bez żłobień, które podpierały jego płaski dach.

Ten dom wydawał się zbudowany po to, aby chwytać wiatr, aby można było w nim siedzieć, obserwując pola i rzekę – mocna ceglana budowla, wzniesiona, aby przetrwać huragany i ulewne deszcze.

Aż trudno uwierzyć, myślał Michael, że za odległą groblą rzeka roi się od holowników i barek, które widzieli niecałą godzinę temu, kiedy sapiący prom przeniósł ich na południowy brzeg. Jedyłą rzeczywistość stanowiła teraz łagodna bryza, przemykająca ukradkiem po ceglanej podłodze, te szerokie podwójne drzwi, które otwarły się nagle przed nimi i wędrujące promienie słońca połyskujące na szybie zwieńczonego przepięknym łukiem półkolistego okna ponad nimi.

Gdzież jest reszta świata? To bez znaczenia. Michael znów słyszał te cudowne dźwięki, które ukołysały go na ulicy Pierwszej – granie owadów, dzikie, niemal rozpaczliwe krzyki ptaków.

Aaron ścisnął Michaela za ramię prowadząc go do środka, zupełnie

ignorując wstrząs, jaki spowodowało sztucznie chłodzone powietrze.

– Zrobimy krótką wycieczkę – powiedział.

Michael prawie go nie słuchał. Usidlił go dom, jak to zresztą zwykle bywało. Uwielbiał budynki wznoszone w ten sposób – obszerny hali pośrodku, proste schody, a po obu stronach w idealnej symetrii duże, kwadratowe pokoje. Odnowiono go i umeblowano pedantycznie i z przepychem, a przy tym w charakterystycznie brytyjski sposób – ciemnozielone dywany, a we wszystkich pokojach książki w mahoniowych regałach lub na półkach sięgających do sufitu. Jedyne kilka ozdobnych lusterek i mały klawikord zepchnięty w kąt przypominały o czasach sprzed wojny secesyjnej. Cała reszta było w każdym szczególe wiktoriańska, lecz bynajmniej nie odpychająca.

– Niby prywatny klub – wyszeptał Michael. Wydało mu się to niemal komiczne – tu i ówdzie na krześle pokrytym tkanym obiciem siedział jakiś człowiek, który nie odrywał nawet wzroku od książki lub gazety, kiedy bezszelestnie przesuwali się obok niego. Jednakże atmosfera była niewątpliwie nęcąca. Czuł się tu dobrze. Spodobał mu się przelotny uśmiech kobiety, która minęła go na schodach. Sam chciałby za jakiś czas znaleźć sobie krzesło w bibliotece. Przez liczne drzwi tarasowe dostrzegał zieleń, która niby ogromna, rozwinięta sieć pochłaniała błękitne niebo.

– Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju – powiedział Lightner.

– Aaron, ja nie zostaję. Gdzie są te akta?

– Oczywiście – odparł Anglik. – Ale musisz mieć spokój, żeby przeczytać to wszystko.

Poprowadził Michaela górnym korytarzem do sypialni po wschodniej stronie domu, od frontu. Wysokie okna wychodziły tam na oba krużganki: frontowy i boczny. I chociaż dywan był tak samo ciemny i gruby jak gdzie indziej, w wystroju poczyniono ustępstwa na rzecz tradycji plantatorskiej wprowadzając kilka biurek o marmurowych blatach i jedno z owych ogromnych, przytłaczających łóżek z baldachimem, które wydają się specjalnie

skonstruowane do domu tego rodzaju. Kilka warstw kołder ręcznej roboty pokrywało bezkształtny puchowy materac. Na ponad dwumetrowych słupkach nie było żadnych rzeźb.

Pokój wyposażono jednak w zaskakujący zestaw nowoczesnych udogodnień, włącznie z małą lodówką i telewizorem umieszczonym na rzeźbionej bieliźniarce, zaś w niewielkiej niszy krył się stolik i krzesło, ustawione na wprost obu okien, frontowego i wschodniego. Telefon pokrywały guziczki i małe, skrupulatnie wypisane numerki różnych linii wewnętrznych. Przed kominkiem stała para krzeseł z uszakami w stylu obowiązującym za czasów królowej Anny. Za otwartymi drzwiami widać było przylegającą do pokoju łazienkę.

– Wprowadzam się – rzekł Michael. – Gdzie są akta?

– Ależ powinniśmy zjeść lunch.

– Ja nie muszę, mogę dostać kanapkę i zjeść ją w trakcie czytania. Proszę, obiecałeś. Akta.

Aaron jednak nalegał, aby poszli natychmiast na mały osłonięty moskitierą ganek na tyłach pierwszego piętra, z widokiem na tradycyjny ogród ze zwirowanymi ścieżkami i podniszczonymi fontannami, i tam zasiedli do posiłku. Podano im potężne typowo południowe śniadanie, nie zabrakło sucharów, kaszy kukurydzianej i kielbasy, do tego zaś mnóstwo kawy z prażonej cykorii, au lait.

Michael był głodny jak wilk. Znów ogarnęło go uczucie, którego przedtem doznał przy Rowan – dobrze trzymać się z daleka od kieliszka. Jak miło mieć jasny umysł i patrzeć na zielony ogród, gdzie gałęzie dębów schylają się aż ku samej trawie. A ciepłe powietrze było po prostu boskie.

– To wszystko wydarzyło się tak szybko – rzekł Aaron, podając mu koszyczek parujących sucharów. – Czuję, że powinienem powiedzieć coś więcej, jednakże nie wiem, co. Chcieliśmy zbliżyć się do ciebie powoli, pragnęliśmy dobrze cię poznać i abyś ty poznał nas.

Michael niespodziewanie nie mógł się opędzić od myśli o Rowan. Złościło

go, że nie może do niej zadzwonić. Jednakże nie próbował wyjaśniać Aaronowi, jak bardzo martwi się o tę dziewczynę – to zdawało się bezcelowe.

– Gdybym nawiązał kontakt, na jaki liczyłem – powiedział Aaron – zaprosilibyśmy cię do naszego Konwentu w Londynie, a tam wprowadzenie do zakonu odbyłoby się powoli i taktownie. Nawet po latach pracy w terenie nie poproszono by cię, abys podjął się zadania tak niebezpiecznego jak interwencja w sprawie czarownic z rodziny Mayfair. W naszym zakonie oprócz mnie nie ma nikogo, kto posiadałby odpowiednie kwalifikacje do wykonania takiego zadania. Ty jednak jesteś w to zamieszany, żeby użyć prostego, nowoczesnego określenia.

– Siedzę w tym po uszy – zgodził się Michael, słuchając, ale nie przerywając jedzenia. – Wiem jednak, o czym mówisz. To tak, jakby kościół katolicki poprosił mnie, abym wziął udział w egzorcyzmach, wiedząc jednocześnie, że nie jestem wyświęconym księdzem.

– Coś w tym rodzaju – przyznał Aaron. – Czasami wydaje mi się, że nie posiadając dogmatów i rytuałów, bywamy przez to jeszcze surowsi. Nasza definicja dobra i zła jest bardziej subtelna, i bardziej gniewają nas ludzie, którzy się do niej nie stosują.

– Aaron, słuchaj. Żywa dusza nie dowie się ode mnie o tych aktach, z wyjątkiem Rowan. Zgoda?

Aaron na chwilę pogrążył się w myślach.

– Michael – powiedział. – Kiedy przeczytasz ten materiał, musimy dalej pomówić o tym, co powinienes zrobić. Zaczekaj, zanim powiesz: nie. A przynajmniej proszę, abys się zobowiązał, że wysłuchasz mojej rady.

– Boisz się Rowan osobiście, prawda?

Aaron wypił łyk kawy i przez chwilę wpatrywał się w talerz. Zjadł dotąd jedynie kawałek suchara.

– Nie jestem pewien – odpowiedział. – Moje jedyne spotkanie z Rowan było bardzo osobliwe. Mógłbym przysiąc...

– Co?

– Że rozpaczliwie pragnęła porozmawiać ze mną lub z kimkolwiek. A przecież dostrzegłem w niej i wrogość, dość uogólnioną, jakby ta kobieta była nadczłowiekiem i instynktownie emanowała czymś obcym wobec innych istot ludzkich. Och, wiem, że to brzmi przesadnie. Naturalnie ona nie jest nadczłowiekiem. Jednak jeśli przyjmiemy, że te nasze moce parapsychiczne to mutacje, wtedy możemy zacząć uważać istotę podobną do Rowan za coś odmiennego, tak jak jeden gatunek ptaka różni się od drugiego. Ja wyczuwam jej, że tak powiem, odrębność.

Przerwał. Chyba dopiero w tym momencie dostrzegł, że Michael nie zdjął do jedzenia rękawic.

– Czy chciałbyś spróbować robić to bez nich? Może potrafię cię nauczyć, jak powstrzymywać te obrazy. To naprawdę nie jest tak trudne jak ci się...

– Chcę akta – powiedział Michael. Wytarł usta serwetką i wypił resztę kawy.

– Naturalnie, i dostaniesz je – odparł Aaron z westchnieniem.

– Mogę iść teraz do swojego pokoju? Och, i jeśli znalazłby się jeszcze jeden dzbanek tego uroczego, czarnego ulepku i gorące mleko...

– Oczywiście.

Aaron wyprowadził Michaela z jadalni, zatrzymawszy się jedynie, aby zamówić kawę, a potem poprowadził go z powrotem przez centralny hali do frontowej sypialni.

Ciemne draperie z adamaszku, które zakrywały wysokie okna, zostały rozsunięte i przez wszystkie szklane szyby wpadały promienie łagodnego letniego słońca, przesiane przez gałęzie drzew.

Walizka z grubym plikiem akt w skórzanej teczce leżała na okrytym kołdrą łóżu z baldachimem.

– Dobrze, mój przyjacielu – powiedział Aaron. – Kawę przyniosą ci bez pukania, żeby nie przeszkadzać. Usiądź na frontowym krużganku, jeśli masz ochotę. I proszę, czytaj uważnie. Gdybyś mnie potrzebował, tu jest telefon.

Zadzwoń na centralę i poproś Aarona. Będę na drugim końcu hallu, trochę się zdrzemnę.

Michael zdjął kurtkę i krawat, wszedł do łazienki, umył twarz i właśnie wyciągał z walizki papierosy, kiedy przyniesiono kawę.

Był zaskoczona i nieco zaniepokojony, kiedy Aaron pojawił się ponownie ze zmartwionym wyrazem twarzy. Minęło zaledwie pięć minut – tak mu się przynajmniej zdawało.

Aaron kazał miodem służącemu postawić tacę na biurku w kącie pokoju, a potem zaczął czekać, aż chłopiec wyjdzie.

– Złe wieści, Michael.

– Co masz na myśli?

– Zadzwońłem właśnie do Londynu, żeby odebrać wiadomości. Okazuje się, że próbowali mnie odszukać w San Francisco, żeby mi powiedzieć, że matka Rowan umiera. Ale nie zdołaliśmy się połączyć.

– Rowan chciałaby o tym wiedzieć, Aaron.

– To już koniec, Michael. Deirdre Mayfair zmarła dziś rano, około piątej – Jego głos lekko zadrżał. – Ty i ja, jak sądzę, rozmawialiśmy o tej porze.

– To będzie okropne dla Rowan – rzekł Michael. – Nie wyobrażasz sobie, jak to ją poruszy. Nie masz nawet pojęcia.

– Ona przyjeżdża, Michael – powiedział Aaron. – Skontaktowała się z domem pogrzebowym i poprosiła ich o opóźnienie uroczystości. Zgodzili się. Podczas rozmowy zapytała o hotel Pontchartrain. Sprawdzimy, naturalnie, czy zrobiła rezerwację. Sądzę jednak, że trzeba się liczyć z jej szybkim przyjazdem.

– Jesteście gorsi niż FBI, wiecie o tym? – powiedział Michael. Nie odczuwał jednak gniewu. Dokładnie takiej wiadomości potrzebował. Z odrobiną ulgi wspomniawszy swój przyjazd, wizytę w starym domu i późniejsze przebudzenie. Nie, nie mógł zrobić nic, aby umożliwić Rowan spotkanie z matką.

– Tak, jesteśmy bardzo dokładni – rzekł Aaron ze smutkiem. – Myślmy o wszystkim. Zastanawiam się, czy Bóg z równą jak my obojętnością odnosi się

do zdarzeń, których jesteśmy świadkami. – Jego twarz uległa wyraźnej zmianie; zdawało się, że Aaron zagłębia się w siebie. Potem ruszył do wyjścia, nie mówiąc już ani słowa.

– Ty rzeczywiście znałeś matkę Rowan? – zapytał Michael.

– Tak, znałem ją – odparł Aaron gorzko. – I nigdy nie byłem w stanie zrobić choćby jednej drobnej *rzeczy*, aby jej pomóc. Ale widzisz, z nami tak często bywa. Może tym razem będzie inaczej. A może i nie. – Nacisnął klamkę, gotów do odejścia. – Wszystko jest tam – dodał wskazując teczkę. – Nie ma już czasu na rozmowy.

Michael patrzył bezradnie, jak Aaron wychodzi w milczeniu. Ten drobny dowód uczucia zaskoczył go zupełnie, ale jednocześnie podniósł na duchu. Zasmucił się, że nie był w stanie powiedzieć nic pocieszającego. A gdyby zaczął myśleć o Rowan, o tym, żeby ją zobaczyć i wziąć w ramiona, i postarać się jej to wszystko wytłumaczyć, mógłby oszaleć. Nie było czasu do stracenia.

Zabrawszy z łóżka skórzaną teczkę położył ją na biurku. Wziął papierosy i zajął miejsce w obitym skórą krześle. Nieomal z roztargnieniem sięgnął po srebrny dzbanek, nalał sobie filiżankę kawy, potem dodał gorącego mleka.

Pokój wypełnił się słodkim aromatem.

Michael otworzył okładkę i wyjął z jej wnętrza teczkę z szarego papieru, opisaną po prostu: Czarownice z rodziny Mayfair, część pierwsza. Był tam gruby, oprawiony maszynopis i koperta z napisem: „Fotokopie oryginalnych dokumentów”.

Jego serce wyrwało się do Rowan.

Michae zaczął czytać.

Godzinę później Rowan zadzwoniła do hotelu. Spakowała już tę niewielką liczbę letnich ubrań, jakie miała w swoim posiadaniu. W istocie pakowanie było dla niej pewną niespodzianką, kiedy, jak gdyby z oddalenia, obserwowała swoje przygotowania do podróży. Do walizek poszły lekkie jedwabne ciuszki, bluzki i sukienki kupione dawno temu na wakacje i od tego czasu nigdy więcej nie noszone. Kupa biżuterii, zaniedbanej od czasów szkolnych. Nie otwierane perfumy. Delikatne szpilki nigdy nie wyjęte z pudełka. Lata spędzone na medycynie nie zostawiły jej czasu na takie *rzeczy*. Podobnie z lnianymi kostiumami, które nosiła zaledwie kilka razy na Hawajach. No cóż, teraz jej się przydadzą. Zapakowała również kosmetyczkę, której nie otwierała od ponad roku.

Lot miała o północy. Pojedzie do szpitala, szczegółowo omówi historie choroby swoich pacjentów ze Slatterym, który będzie ją zastępował, a później prosto stamtąd uda się na lotnisko.

Teraz musi zrobić rezerwację i zostawić dla Michaela wiadomość, że przyjeżdża.

W hotelu odezwał się sympatyczny południowy głos. Owszem, jest wolny apartament. Nie, pana Curry nie ma w pokoju. Zostawił jednak dla niej informację – wyszedł, ale zadzwoni w ciągu dwudziestu czterech godzin. Nie, ani słowa o tym, gdzie jest i kiedy wróci.

– Dobrze – rzekła Rowan westchnąwszy ze znużeniem. – Proszę zanotować



wiadomość dla niego. Niech pani mu powie, że przyjeżdżam. Że moja matka umarła. Że pogrzeb jest jutro u Lonigana i Synów. Zapisła pani?

– Tak. Pani pozwoli, że powiem, jak nam wszystkim przykro z powodu śmierci matki. Jakoś tak przyzwyczaiałam się widywać ją na tym ganku za moskitierą, kiedy przechodziłam w pobliżu.

Rowan zdumiała się.

– Niech pani mi coś powie, jeśli łaska – poprosiła. – Dom, w którym mieszkała, jest na ulicy Pierwszej?

– Tak, pani doktor.

– Czy to w Dzielnicy Ogrodów?

– Tak, pani doktor, jasne, że tam.

Rowan wymamrotała podziękowanie i odwiesiła słuchawkę. A więc to ten sam odcinek, który opisywał mi Michael, pomyślała. I jak to się dzieje, że oni wszyscy o tym wiedzą, zastanawiała się. Przecież nawet nie podałam tej kobiecie nazwiska mojej matki.

Czas było wyruszać. Wyszła na północny pomost, upewniła się, że „Sweet Christine” jest porządnie zamocowana. Potem zamknęła sterówkę na klucz i wróciła do domu. Nastawiła przeróżne systemy alarmowe, których nie używała od chwili śmierci Ellie.

Czas, aby się po raz ostatni rozejrzeć.

Pomyślała o Michaelu stojącym przed tym uroczym, starym, wiktoriańskim domem na ulicy Wolności, mówiącym o przeczuciach, o tym, że już tam nie wróci. No cóż, ona nie miała podobnie wyraźnego wrażenia. Ale kiedy spojrzała na to wszystko, ogarnął ją smutek. Dom wydawał się porzucony, wykorzystany. Widok „Sweet Christine”, wzbudził w niej podobne odczucie.

Było to tak, jakby ukochana łódź służyła jej kiedyś dobrze, ale teraz się już nie liczyła, tak jak nie liczyli się już wszyscy mężczyźni, z którymi kochała się w kabinie pod pokładem. Faktycznie to godne uwagi, że nie zabrała Michaela w przytulne ciepło tej kabiny. Nawet jej to nie przyszło do głowy. On zdawał się

częścią innego świata.

Poczuła potężny impuls, aby nagle zatopić „Sweet Christine” wraz ze wszystkimi wspomnieniami, jakie się z nią wiązały. Ale to było głupie. To przecież „Sweet Christine” przywiodła ją do Michaela. Chyba traci głowę.

Bogu dzięki, że jedzie do Nowego Orleanu. Bogu dzięki, że zobaczy matkę przed pochówkiem i Bogu dzięki, że wkrótce spotka się z Michaeliem, opowie mu wszystko, będzie go miała przy sobie. Musiała wierzyć, że tak właśnie się stanie, niezależnie od tego, dlaczego nie zadzwonił. Z goryczą pomyślała o spoczywającym w sejfie podpisanym dokumencie. Ten jednak już się dla niej nie liczył, nawet na tyle, aby podejść, obejrzeć go albo podrzeć. Zamknęła drzwi nie oglądając się za siebie.